

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z JERZYM HAUSNEREM

W numerze m.in.: Stanisław GĘBALA, Edward KAROLCZUK, Adam KOMOROWSKI, Hieronim KUBIAK,
Marcin KULA, Józef LIPIEC, Włodzimierz LUTY, Krzysztof MROZIEWICZ, Jan POLEWKA, Filip RATKOWSKI,
Marian STĘPIEŃ, Andrzej WALICKI, Jacek WOJCIECHOWSKI, Marek ZAGAJEWSKI

Marian PILOT - Gody (II)
Józef SĘKOWSKI - rzeźby

3-4 (166-167) 2015



Andrzej Nowak
(1944 - 2014)

Elegia

Chłopaki,
czemu umieracie?

Tyle jest jeszcze spraw
do przypomnienia
(spraw w pamięci niesprawnej),
tyle jest jeszcze godzin, by je
przeżyć godnie,
wspólnie i po raz wtóry,
do wtóru szczeniackim rojeniom.
Wszak wspominać samemu
to tak, jak pić do lustra,
jak słuchać podwórkowych
skrzypiec, których już nie ma;
rzeczy o których pamięć chroni
tylko jeden,
nie są nazbyt dorzeczne, zda się
na wpół żywe.

Nie śpieszcie się, chłopaki,
przecie nie piekarnia.....
Toć w potrzaskanych skrzypcach
naszego
dzieciństwa
gonią się jeno strupieszale bryzy,
sącząc mollowe podglądliwe
tchnienia
przez dawne dziurki od
wiolinowych kluczy,
kluczy przelotnych żurawi,
brzdąkając w drzazgi uraz
tych nie odpuszczonych.
Poczekajcie, chłopaki,
Może jeszcze trochę,
do pierwszej w nocy,
do drugiej półlitrowki,
do łyż ostatniej.

Na okładce: Józef Sękowski, *Ptaki* (rzeźba)

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (166–167) 2015

OD REDAKTORA

„Zdanie” ukazuje się wiosną i jesienią. Wiedząc, że dla Polaków jesień, a zwłaszcza listopad to „niebezpieczna pora”, zamknęliśmy ten numer na dwa dni przed wyborami, nie wdając się w żadne przedwyborcze prognozy i spekulacje. Do tego, co stało się w Polsce 25 października 2015 roku i w jakiej sytuacji znalazła się lewica po wyborach ustosunkujemy się dopiero na wiosnę. To nie asekuracja, tylko wymóg dostosowania się do rytmu wydawania naszego pisma. A i on może zostać zachwiany, jeśli kolejny numer „Zdania” nie znajdzie znikąd finansowego wsparcia.

Korzystając z przywileju, jaki ma autor tej rubryki, który oddaje jako ostatni tekst do druku, pozwolę sobie na krótki komentarz na gorąco do zaistniałej sytuacji. Otóż dla lewicy wybiła godzina próby, jakiej zostanie poddana po raz pierwszy po 1989 roku. Po pierwsze – zabraknie

jej w parlamencie i to będzie test na lewicowość dla tych, którzy dotąd mienili się jej reprezentantami, brylując na sejmowej trybunie i w mediach. Po drugie – czy, ewentualnie jak, ten okres próby przetrwa partia, która uzurpowała sobie prawo do przywództwa na lewicy i dopiero na kilka miesięcy przed wyborami zrozumiała, że sama już nic nie zdziała. I po trzecie – czy zmiana pokoleniowa, autentyczna, a nie ratunkowa okaże się wystarczająca, aby lewica odzyskała zaufanie i wpływy w społeczeństwie, skoro obie lewicowe formacje startujące w wyborach znalazły się na szarym końcu w rankingu poparcia wśród wyborców w przedziale wiekowym 18-29 lat.

To nie jest dla lewicy prognoza optymistyczna, ale trzeba mieć nadzieję, że jej nowi liderzy zrozumieją, iż przez ten okres trudnej próby trzeba przejść razem.

EDWARD CHUDZIŃSKI

JERZY HAUSNER DZIŚ O UDZIAŁ W POLITYCE NIE ZABIEGAM „Trzech na jednego”	3
„Kowadło” dla Jerzego Hausnera: Jan Güntner ABY POSTAWIĆ POLSKĘ Z GŁOWY NA NOGI	16
Hieronim Kubiak JANUSOWE OBLICZE POPULIZMU	18
Józef Lipiec MIĘDZY ZDROWYM KONFORMIZMEM A SZLACHETNYM HEROIZMEM	25
Edward Karolczuk GLOBALIZACJA A DŁUG PUBLICZNY	32
Marek Zagajewski PERMANENTNY STAN WYJĄTKOWY	43
Włodzimierz Luty KRÓTKA HISTORIA RESTAURACJI KAPITALIZMU W POLSCE	48
Marcin Kula PZPR – TEMAT BADAWCZY WART GRZECHU	53
Andrzej Gąszczołowski MARCELI KOSMAN O GENERALE JARUZELSKIM	58
Andrzej Kurz „KUŹNICA” PRZY OKRĄGŁYM STOLE LEWICY	61
STO LAT PRZECIW GŁUPOCIE. Z prof. Władysławem Markiewiczem rozmawiają Paweł Kozłowski i Jerzy Ślabicki	62
Andrzej Walicki O REFORMIE NAUKI	67
„Kowadło” dla Bronisława Łagowskiego: (f.r.) MYŚLICIEL OKRUTNY AŻ DO BÓLU	68

69	Adam Komorowski REALISTA – MARZYCIEL
72	Bronisław Łagowski O SOBIE SŁÓW PARĘ
74	Krzysztof Mroziewicz CZAS INDOEUROPEJSKI
80	Stanisław Gębała ŚWIAT ODWRÓCONYCH WARTOŚCI
83	Marian Stepien OBOWIĄZEK I PRAWO OCENY (O Stanisławie Baczyńskim)
94	Filip Ratkowski „NASZ WYRAZ” – PISMO LEWICY ARTYSTYCZNEJ
99	Andrzej Nowak WIERSZE
100	Marian Pilot GODY (II)
111	Jan Polewka DOM POD WIECZNYM PIÓREM
120	Jacek Wojciechowski CEROWANIE ŚWIADOMOŚCI
126	Paweł Kozłowski MY, PREZYDENT
127	Roman Wysogład OKULARY OD BOFFARDA
128	Grzegorz Wiśniewski WSPOMNIENIA REDAKTORA
129	Krzysztof Komornicki ACH, TEN GALICYJSKI SPLEEN
130	Tomasz Goban-Klas FRANCISZEK I ŻURNALIŚCI
131	Sceptyk PRZYPISY DO LEWICY



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:

JERZY HAUSNER

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

DZIŚ O UDZIAŁ W POLITYCE NIE ZABIEGAM

EDWARD CHUDZIŃSKI: Urodził się Pan w Świnoujściu, maturę zdał w Opolu, a na miejsce studiów wybrał sobie Kraków. Gdzie jest więc Pana „mała ojczyzna”?

JERZY HAUSNER: To Opole. Ze Świnoujścia rodzice wyprowadzili się do Szczecina, kiedy miałem dwa lata, a w Opolu znaleźli się, kiedy miałem lat cztery. Ojciec pochodził z Krakowa. Dziadek był kolejarzem i całe życie, poza okresem okupacji, kiedy mieszkał w Bydgoszczy, spędził w Krakowie.

STEFAN CIEPŁY: Pana nazwisko brzmi z niemiecka...

JERZY HAUSNER: Bo jest niemieckie. Mamy rodzinnego historyka, Wojciecha Hausnera, który był kiedyś parlamentarzystą z ramienia Akcji Wyborczej Solidarność. Gromadzi rodzinne historie, z których wynika, że nasza rodzina znalazła się w Galicji w ramach akcji kolonizacyjnej w czasach austriackich. Trzech braci Hausnerów przybyło do miejscowości Dornbach w okolicach Leżajska. Dzisiaj ta miejscowość nazywa się Tarnawiec. Niemal wszyscy się spolonizowali i w czasie okupacji znacznie więcej Hausnerów walczyło w AK, niż podpisało volkslistę.

Mój ojciec był duchem niespokojnym. Urodził się w roku 1930 i jako siedemnastolatek uciekł z domu na „dziki zachód” i zaciągnął się do Służby Polsce. Awansował dość szybko i w Opolu był już zastępcą dyrektora do spraw administracyjnych szpitala wojewódzkiego. Natomiast mama wywodzi się z podupadłej rodziny

szlacheckiej z dawnych litewskich Kresów. Jej ojciec, były legionista, dostał ziemię na terenie obecnej Białorusi. Gdy wybuchła wojna, mama miała 12 lat i była akurat u krewnych koło Wilna. Zanim zdążyła wrócić do domu, okazało się, że Rosjanie wywieźli jej matkę z bratem za Ural. Oboje wrócili do Polski dopiero po 1956 r.

FILIP RATKOWSKI: Wywieziono ich jako rodzinę osadników wojskowych?

HAUSNER: Mamie szczęśliwym trafem udało się dotrzeć do Warszawy, do rodziny ze strony ojca i po Powstaniu Warszawskim, przez obóz w Pruszkowie, trafiła do Birkenau. Tego dnia, kiedy dotarł jej transport, zabrakło cyklonu B. Potem trafiła do Niemiec do obozu Flossenburg i tam ostatecznie wyzwolili ją Amerykanie. Wróciła do kraju i odnalazła swego ojca w okolicach Koszalina, gdzie prowadził niewielki sklepik. Niezbyt udany tatuś w pewnym momencie zostawił ją samą z upadającym handelkiem i musiała szukać pracy. Znalazła ją w Świnoujściu i tam poznała mojego ojca. Już po roku przyszedłem na świat jako najstarszy z trójki rodzeństwa.

Oboje rodzice byli patriotami tej Polski, jaka była, a więc Polski Ludowej. To w niej dostali swoje życiowe szanse i to ona określiła ich drogę życiową. Oboje byli w PZPR i byli w niej aktywni. Pewnie temu po części zawdzięczają swoje kariery, ale też później za to płacili, tracąc stanowiska za mój udział w wydarzeniach marca 1968 r. Szczyt kariery ojca to stanowisko dy-

rektora zakładów przemysłu terenowego. Pamiętam to dobrze, bo te zakłady wytwarzały między innymi piękne ozdoby choinkowe i jeszcze nieliczne mam do dzisiaj. Mama natomiast awansowała do funkcji sekretarza wojewódzkiej komisji związków zawodowych. Była osobą niezwykle odpowiedzialną i pracowitą.

Uczniem byłem dobrym. Choć zawsze były ze mną problemy wychowawcze i często miałem obniżoną ocenę ze sprawowania. Wyróżniała mnie społeczna aktywność. W szkole podstawowej działałem w samorządzie uczniowskim, w liceum był to ZMS. Przewodniczyłem zarządowi szkolnemu.

Najłatwiej szła mi chemia, więc myślałem o studiach o tym kierunku, ale mama dość łatwo przekonała mnie do ekonomii. Dziadkowie, rodzice ojca, mieszkali w Krakowie przy Dietla, blisko Wisły i u nich zamieszkałem na studiach. Mogłem ekonomię studiować bliżej, we Wrocławiu. Wybrałem Kraków dlatego, że nie dostałbym akademika, bo formalnie dochody rodziny były zbyt wysokie. Jednak ojciec zostawił mamę, która musiała zadbać o nas troje. Wszyscy zostaliśmy wykształceni dzięki jej wysiłkom. Mieszkanie u dziadków to była realna pomoc.

Od początku zacząłem na uczelni działać w ZMS. Do ZSP należałem, ale moją organizacją był ZMS. Mieszkałem na mieście, ale lepiej dogadywałem się i czułem z tymi, którzy mieszkali w akademiku. Oni też byli napływowi. Często zaglądałem do DS. „Fafik” przy Raclawickiej. I w akademikach doświadczałem wydarzeń marcowych. Początkowo byłem zdystansowany i źle przyjmowałem wyzywanie milicji od gestapo. Ale opowiadania kolegów o pobiciu studentów pod uniwersytetem i ich silne emocje wpłynęły na mnie.

RATKOWSKI: Mówiono, że pałąk dostał sam rektor Klimaszewski!

HAUSNER: ... zacząłem mimowolnie nasiąkać tą atmosferą. Brałem udział w wiecu pod domem studenckim „Żaczek”, poszliśmy potem na otwarte spotkanie z rektorem Mieczysławem Klimaszewskim. Byli tam wówczas także dr Gwidon Rysiak i złotousty docent Zbigniew Siatkowski z PWST.

I oto któryś z tych ważnych ludzi powiada: „Wyobraźcie sobie, musicie to sobie wyobrazić, te trumny, które będą stały na Błoniach! Wasze trumny!” Mnie wtedy poniosło i wygłosiłem płomiennie „rewolucyjne” przemówienie. – Nie jesteśmy wrogami socjalizmu – mówiłem – ale nie możemy się godzić z tym, aby nas bito. Nie może być tak, że będziecie nam grozić... trumnami za to, że upominamy się o wolność słowa, że sprzeciwiamy się kłamstwu i nagonce prasowej!

RATKOWSKI: Tam powołano tzw. „Komitet 13”, po jednym reprezentancie z każdej uczelni?

HAUSNER: Tak, i padło na mnie, może dlatego, że właśnie płomiennie wystąpiłem. Tyle, że ani razu nie udało mi się z kolegami z tego komitetu spotkać. Spotkanie miało być wieczorem, ale umówiliśmy się, że każdy dotrze do różnych akademików, aby mobilizować studentów do strajku. Z dwoma kolegami, tak jak i ja z pierwszego roku WSE, wzięliśmy akademiki Akademii Medycznej na Podgórzu. Jednym z tych kolegów był Robert Kaczmarek, który później został wojującym szefem „Solidarności” na AGH. Po drodze rozwieszaliśmy na mieście ulotki. Koło parku Bednarskiego przy-

lepiłem jedną na jakiejś ciężarówce. Akurat napatoczył się patrol, zwinął nas i wyładowaliśmy w komisariacie na Zamoyckiego. Potem odwiedziłem areszt na Siemiradzkiego, stanąłem przed kolegium orzekającym i w końcu trafiłem na Montelupich.

CIEPŁY: Przypomnijmy młodszym czytelnikom, że kolegium to był rodzaj niezawodowego sądu dla lżejszych spraw.

HAUSNER: Przed posiedzeniem kolegium odbyłem jeszcze rozmowę z oficerem bezpieczeństwa, który namawiał mnie do wyrażenia skruchy: *Sprawdziliśmy: jesteś dobrym studentem, a zostaniesz wydany na uczelnię, Twoi rodzice są działaczami partyjnymi, także i wobec nich będą pewnie jakieś konsekwencje... Powiedz, że się pomyliłeś i że tę ulotkę powiesiłeś przez pomyłkę.* Powiedziałem: nigdy w życiu! Ostatecznie dostałem 1800 zł grzywny z zamianą na 60 dni aresztu. Niestety, po trzech dniach babcia mnie wykupiła. Byłem bardzo niezadowolony.

Rzecz miała swoje konsekwencje na uczelni. Komisja dyscyplinarna orzekła naganę z ostrzeżeniem, pani profesor Czesława Żuławska, potem sędzia Trybunału Konstytucyjnego, będąc rzecznikiem oskarżenia broniła mnie dzielenie, a przewodniczący komisji, profesor Wiktor Boniecki i ówczesny rektor Władysław Bieda, bardzo zaangażowany działacz partyjny z przedwojenną odsiadką w zyciorysie, nie pozwolili mnie wyrzucić. A sprawa wyglądała cienko, bo natychmiast zostałem wezwany na komisję wojskową i śmiejąc się w oczy zmieniono mi kategorię z D na C, aby wysłać mnie zaraz, po relegowaniu z uczelni, do karnej kompanii.

Rodzice rzeczywiście ponieśli przykre konsekwencje; matka została odwołana z funkcji sekretarza Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Opolu. Ojciec też miał kłopoty. A za mną sprawa długo się ciągnęła. aż do końca PRL. Nie dali mi paszportu, nękali wezwaniem do komisariatów. Ciągłe czułem wokół mnie atmosferę podejrzliwości, także ze strony kolegów z ZMS. Przez cały drugi rok studiów zamknąłem się i znalazłem nowe towarzystwo, grałem w bridża i siedziałem w klubach studenckich, głównie w Jaszczurach.

CHUDZIŃSKI: No i już w 1970 roku wstępuje Pan do PZPR. Jest w tym jakaś niejasność, może nawet niekonsekwencja? Akceptuje Pan to, co się działo po Marcu?

HAUSNER: W marcu '68 uznałem, że w systemie sprawowania władzy, w sposobie funkcjonowania partii jest coś złego. Nie umiałem tego zinterpretować, ale uważałem, że to nie Moczar czy Gomułka mieli rację, lecz ci, którzy wbrew nim mimo wszystko bronili idei socjalizmu. Ja byłem do niej przywiązany.

RATKOWSKI: Doskonale to rozumiem, bo my też w gronie kilku ludzi z ZMS, takich jak Janusz Kaczorowski, który również był członkiem „Komitetu 13”, tyle że z ASP, czy Leonard Neuger, mocno poturbowany w Marcu, a dziś szwedzki profesor, założyliśmy „partyjną” grupę młodoliteracką 848 (od daty Manifestu komunistycznego), niejako biorąc PZPR „z lewa” i żądając śmiertelnie poważnego traktowania lewicowej frazeologii!

HAUSNER: Nie upieram się, że miałem wówczas jasny ogląd sytuacji. Celnie to skomentował, mój stryj, późniejszy wiceminister, kiedy wszyscy w rodzinie

biadali nade mną, w jaką to się wpakowałem kabałę, powiedział: *Dajcie mu spokój! To były jego pierwsze demonstracje w życiu!*

CHUDZIŃSKI: Ale wielu buntowników z tamtego okresu wybrało inną drogę.

HAUSNER: Z doświadczeń Marca nie wyprowadzam sensu politycznego, tylko sens moralny. Stałem przeciw kłamstwu i nagonkom. Z lewicowych pozycji. I nie uważam się za politycznego kombatanta.

CHUDZIŃSKI: Pamiętamy oczywiście, że w 1968 roku był Pan studentem pierwszego roku, co też miało znaczenie. Pana „marcowe” wyczyny widocznie uznano za błąd młodości, bo przecież po studiach zostaje Pan na uczelni...

HAUSNER: Swoją przyszłość łączyłem raczej z przemysłem. Miałem stypendium fundowane przez Fabrykę Armatury w Głucholazach, w której dyrektorem był wspomniany stryj. Dzięki temu miałem stypendium i nie obciążałem tak bardzo budżetu mamy. Odbywałem tam praktyki, jeździłem tam na wakacje i byłem pewien, że tam trafię do pracy. Tej fabryki dotyczyła moja praca magisterska, oparta na solidnych źródłowych materiałach ściągniętych z ponad 50 zakładów. W pięciu z nich siedziałem fizycznie i przepisywałem ręcznie z dokumentów szeregi liczb, aby potem móc coś policzyć. To było zresztą przyjemne. Miałem z pisania tej pracy mnóstwo satysfakcji, a mój promotor, profesor Emil Luchter pokazywał ją potem przez lata jako wzór.

Na ostatnim roku studiów zacząłem się zastanawiać, czy jednak nie zostać jednak w Krakowie. Coraz lepiej się tu czułem, zwłaszcza po wyprowadzeniu się od dziadków i zamieszkaniu w akademiku, początkowo na waleta, potem już legalnie. Kraków – to równało się zostaniu na uczelni. To było realne, bowiem pytano mnie, czy nie chciałbym podjąć pracy asystenta. Ciągle nie byłem pewny, co zrobić.

Pracowałem nad pracą magisterską porządnie, dlatego oddałem ją dopiero we wrześniu, ale przed końcem semestru. Normalnie od oddania pracy do obrony jest jakieś dwa, trzy tygodnie. Ale tygodnie mijały, a recenzji nie było. Recenzentem był profesor Jerzy Trzcieniecki, wybitny specjalista w zakresie organizacji i zarządzania, na uczelni wyróżniająca się postać. Ponieważ także przez niego byłem zachęcany do pozostania na uczelni, więc z zaskoczeniem przyjmowałem, że trzeba było aż trzech miesięcy i moich interwencji u pani dziekan, profesor Janiny Bieniarzówny, aby recenzja się pojawiła. Szokiem dla mnie było też to, że została oceniona na dobrze, co w praktyce oznaczało ocenę obniżoną.

Tak długie czekanie na recenzję i obronę było dla mnie problemem. W dodatku okazało się teraz, że nie ma dla mnie miejsca na uczelni. Nagle wytworzyła się wokół mnie atmosfera niechęci, jakiejś obawy, stałem się trefny.

CIEPŁY: Bo już były jakieś naciski?

HAUSNER: Nie mam dowodów, tylko intuicja mi podpowiada, że czkawką wracał 1968 r. Nie chcę wnikać w to kto, kiedy i co na mnie donosił, nie zamierzam zaglądać do papierów IPN, ale przypuszczam, że to tak zadziało. Otwarcie zwróciłem się do Komitetu Uczelnianego z pytaniem, jakie są przeszkody, aby mnie zatrudnić? Po jakimś czasie, poprosił mnie

na rozmowę docent dr hab. Wawrzyniec Wierzbicki, z którym wcześniej nie miałem zajęć i nie poznałem go. Powiedział, że rozważy na prośbę dziekana, profesora Bronisława Byrskiego (oba nie należeli do PZPR) zaproponowanie mi asystentury. Usłyszałem wtedy: *Nie znam pana, ale proszę mnie dziekan, abym rozważył przyjęcie pana do mojego Zakładu Ekonomii Politycznej Kapitalizmu. Zanim podjąłem decyzję było kilka telefonów od ludzi, którzy mi to odradzali. Przedstawiano pana w bardzo niekorzystnym świetle i to mnie zastanowiło. Nie chcę od pana żadnych deklaracji, proszę tylko o elementarną lojalność! Ja jestem gotów okazać panu zaufanie.*

Tę rozmowę zapamiętałem jako lekcję na całe życie. Przyjmujesz czyjąś propozycję, bądź wobec tej osoby lojalny, jeśli nie możesz, nie atakuj jej – odejdz.

CHUDZIŃSKI: Zatem robi Pan karierę na uczelni, nie tylko naukową, gdyż zostaje w „karnawale »Solidarności«” I sekretarzem uczelnianej organizacji partyjnej...

HAUSNER: Grubo wcześniej, w 1970 r. jeszcze jako student założyłem Filozoficzne Koło Dyskusyjne, zainspirowany wykładami z filozofii profesora Adama Węgrzeckiego, ucznia Romana Ingardena. Z tego koła wywodzi się kilkanaście osób, które ekonomię łączyły z filozofią i pracują w różnych krakowskich uczelniach. Więc to nie tak, że ciągnęła mnie tylko polityka.

Pierwsze cztery lata asystentury trochę przebumelowałem. Ożeniłem się (z Marysią jesteśmy razem już 43 lata), urodziła się córka, mieszkaliśmy przez prawie 7 lat w maleńkim pokoiku w domu asystenckim. Problemów było dużo.

Ogromny wpływ na moją drogę zawodową miał mój wielki – nieżyjący niestety – przyjaciel Jurek Indraszkiewicz. Za jego namową przeniósłem się w połowie lat 70. do Katedry Nauk Politycznych. Wobec profesora Wierzbickiego zachowałem się lojalnie – doktorat ukończyłem parę lat potem pod jego promotorstwem. Zawsze jestem mu wdzięczny, że dzięki niemu mogłem podjąć pracę na uczelni.

CIEPŁY: Jaki był temat tego doktoratu?

HAUSNER: *Wpływ nierówności rozwoju gospodarczego na przebieg procesu integracji krajów EWG.* Ówczesna Unia Europejska w latach 70. i 80. dwukrotnie rozszerzała się, najpierw o Wielką Brytanię, Danię i Irlandię, później o Grecję, Hiszpanię i Portugalię. Moja analiza wskazywała, że jeśli do ugrupowania przyjmowane są kraje o wyraźnie niższym poziomie rozwoju, to proces integracji musi prowadzić do zróżnicowania tempa tej integracji i że będą się tworzyły wewnętrzne kręgi. Wtedy to się nazywało „zmienną geometrią”, a dziś mówi się o „różnych prędkościach”.

W trakcie pracy nad doktoratem co roku jeździłem na miesięczny staż naukowy do Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, do GUS, także na SGPIŚ. W tym ostatnim przypadku chodziło mi głównie o rozmowę i radę profesora Pawła Bożyka, wówczas szefowego doradcy ekonomicznego Edwarda Gierka. Owszem, wyznaczył mi spotkanie, nawet spóźnił się niewiele. Zapytał: *Pan z Krakowa? Czym się pan zajmuje?* Ja na to powiedziałem, że kwestiami integracji gospodarczej... Potem trafiony zostałem krótkim generalnym pytaniem – „kap.” czy „soc.”? Odpowiedziałem – „kap.” i usłyszałem *A ja „soc.”, do widzenia.* Zapamiętałem.

Panowie chcecie mnie wciągnąć w rozmowę o mojej politycznej aktywności na uczelni. Nie wyrzekam się jej w żadnej mierze, ale muszę jednak podkreślić, że zajmowałem się głównie dydaktyką i nauką.

CHUDZIŃSKI: Tymczasem już jako pierwszy sekretarz PZPR na uczelni ma Pan okazję poznać smak władzy.

HAUSNER: U schyłku okresu gierkowskiego rośnie moja pozycja akademicka. Jestem już nie tylko „młody, zdolny, wygadany”, ale także potrafię coś pokazać. Andrzej Kurz, którego wówczas w ogóle nie znałem, na konferencji politologicznej w Krynicy, po moim wystąpieniu zatrzymał mnie i powiedział: *Będziesz kiedyś wybitnym uczonym, jeśli się tylko nie zmanierujesz.* Mniemam, że go pod tym ostatnim względem nie zawiodłem.

Pod koniec lat 70. miałem już wypracowany warsztat, sporo własnych przemyśleń, wyrobione poglądy. Byłem dobrze ocenianym wykładowcą, rygorystycznym egzaminatorem i pracę ze studentami traktowałem tak poważnie, że część mojego środowiska miewała do mnie pretensje. Dopiero z czasem, po doktoracie, gdy zacząłem pracować nad habilitacją, dotarło do mnie, że ten zawód, który uprawiam, rzeczywiście stał się moją pasją.

CHUDZIŃSKI: Ale wtedy właśnie wchodzi Pan do partyjnego aparatu.

HAUSNER: Do aparatu to jeszcze daleko. To była zima 1980 r. Dawniej, jak wybierano I sekretarza Komitetu Uczelnianego, wszystko nadane było z góry. Teraz po Gdańsku, nikt tego nie próbował. Partia na jakiś czas się zdemokratyzowała. Nakłaniany przez niektórych zdecydowałem się kandydować. Wymyślnie taki mechanizm, że wybiera się najpierw Komitet Uczelniany, który ma zaproponować kandydatów na I sekretarza i głosuje cała organizacja. Bez problemów wszedłem do Komitetu i potem na jego posiedzeniu miały być zaproponowane kandydaty. To posiedzenie prowadził jako najstarszy profesor Zbigniew Martyniak. Powiedział, że jedynym poważnym kandydatem jest dr Ryszard Borowiecki, który poparcie Komitetu uzyskał. Potem już się nikt nie odezwał i drugiej kandydaty nie zgłoszono. Na sali wybuchała awantura: jak to, mamy głosować tylko na jednego kandydata? Chciano, abym zgodził się kandydować, ale odmówiłem argumentując, że skoro nikt z członków Komitetu mnie nie zaproponował, to znaczy, że nie mam poparcia i trudno byłoby mi nim kierować. Długo debatowano, co z tym zrobić i zebranie zostało zamknięte bez rozstrzygnięcia. Zwołano jej miesiąc później, w styczniu 1981 r. Przez ten miesiąc coraz więcej osób mnie przekonywało, że powinienem kandydować choćby po to, aby uczynić zadość demokratycznym zasadom. Zgodziłem się i ku zaskoczeniu zostałem wybrany minimalną różnicą głosów. Po tym wszystkim nie było mi łatwo kierować Komitetem. Kadencja była burzliwa: wydarzenia bydgoskie, strajki studenckie, potem stan wojenny. Rysiek Borowiecki później był przez dwie kadencje rektorem naszej uczelni i nasza współpraca układała się dobrze.

Wtedy, w 1981 r. wrócił na uczelnię relegowany w 1968 r. profesor Edward Łukawer. Nie spotkałem go w Marcu, ale teraz zbliżyliśmy się. Często z nim rozmawiałem. Zaimponował mi. Chciano w nim widzieć

solidarnościowego bohatera, ale nie przyjął tej roli, odmówił kandydowania na prorektora. Powiedział mi, że na nikim się nie chce odgrywać za to, co go spotkało. Dziewięć lat, które mu pozostały do emerytury, chciał wykorzystać na pomaganie w rozwoju naukowym młodych pracowników. Żadnego kombatanctwa, żadnego obnoszenia się z martyrologią. I do końca wierność marksowskim przekonaniom. Fantastyczny człowiek.

Rektorem w tym czasie był profesor Jan Małecki znakomity historyk i wspaniały, mądry człowiek. Staratem się tak działać, aby uczelnia spokojnie przeszła przez ten trudny okres, aby nikogo nie dotknęły represje.

Stan wojenny przyjąłem jako takie wyjście w konfrontacyjnej sytuacji, które pozwala uniknąć rozlewu krwi. Dlatego wstrząsnęła mną tragedia w Kopalni Wujek. Uznałem, że politycznie stan wojenny jest przegrany. Organizacja gwałtownie malała – z ponad dwustu osób zostało trochę ponad sto. Zwołałem następnego dnia po Wujku zebranie i przedstawiłem projekt uchwały wzywającej do odwołania stanu wojennego, podjęcia rozmów z udziałem generała Jaruzelskiego, kardynała Glempa i przewodniczącego Wałęsy w celu utworzenie Rządu Ocalenia Narodowego. Powiedziałem, że jeśli uchwała nie zostanie przyjęta w zaproponowanym przeze mnie kształcie, zrezygnuję z funkcji I sekretarza. Wstrzymały się 3 osoby, reszta była za. Uchwałę przekazaliśmy do różnych komitetów, w tym dzielnicowego, którym kierował Ryszard Borowiecki, mój uprzednio uczelniany konkurent. Spodziewano się, że ja zostanę wyrzucony z partii, a uczelniana organizacja rozwiązana.

Wezwano mnie na sekretariat Komitetu Wojewódzkiego. I sekretarzem był wtedy Krystyn Dąbrowa i on zrozumiał, że na stan odczuć środowiska naukowego nasza organizacja musiała tak właśnie zareagować. Podkreślił oczywiście, że pomysły mamy wprawdzie dobre, ale nierealne i poprosił tylko, abyśmy zrezygnowali z szerszego niż dotąd rozpowszechniania naszej uchwały. Na tym sprawę zakończył. Szczęka opadła niektórym obecnym tam towarzyszom sekretarzom, w tym szczególnie Władysławowi Kaczmarkowi...

Komitetowi Uczelnianemu przewodziłem do 1984 r., potem zająłem się skończeniem habilitacji.

CIEPŁY: Co tym razem było przedmiotem tej pracy naukowej?

HAUSNER: *Branżowe grupy interesu w gospodarce socjalistycznej.* Pokazywałem kompletną nieskuteczność centralnego planowania i dociekałem systemów tego przyczyn.

Równocześnie zacząłem w Kronice Krakowskiej TVP występować z felietonami poświęconymi gospodarce i w ten sposób dałem się poznać trochę szerzej.

RATKOWSKI: Tymczasem z Krakowa odchodzi Dąbrowa, a ze stanowisk wszyscy dzielnicowi sekretarze wybrani „na fali odnowy”. Wieje chłodem!

HAUSNER: A ja, niespodziewanie, w 1986 r. dostaję od nowego I sekretarza KW Józefa Gajewicza propozycję objęcia funkcji sekretarza do spraw nauki i oświaty. Od kogoś z boku dowiedziałem się, że byłem dziewiątą osobą, do której się w tej sprawie zwracał. Wszyscy odmawiali. Wiem, że Służba Bezpieczeństwa dała mi negatywną opinię. To ciągle pokłosie wydarzeń



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

z 1968 r. Gajewicz musiał tę opinię przedstawić resortowemu sekretarzowi KC, Tadeuszowi Porębskiemu, profesorowi i byłemu rektorowi Politechniki Wrocławskiej, z którym potem, choć wiele nas dzieliło w sposobie rozumienia świata, się zaprzyjaźniłem. Wówczas ze mną nie rozmawiał, przejrzał te papiery i zdecydował, że ma do czynienia z człowiekiem, który już coś znaczy naukowo i ma charakter. I to mu wystarczyło. Dał zgodę. No i zostałem sekretarzem Komitetu Krakowskiego. Przede wszystkim wbrew żonie, która robiła z tego powodu straszne awantury. Czują, że będzie mnie to ogromnie dużo kosztowało.

Dlaczego się ostatecznie na to zdecydowałem? Bo było to poważne wyzwanie, próba, której chciałem sprostać. A pracę habilitacyjną miałem już gotową, choć kolokwium habilitacyjne miałem dopiero w 1988 r. Tyle to wtedy trwało.

Jako zaledwie trzydziestokilkuletni sekretarz, w wywiadzie dla „Wprost” powiedziałem wtedy, że historia daje nam bardzo niewiele czasu, ale ciągle wierzyłem, że PZPR jest w stanie przeprowadzić demokratyzację systemu politycznego i zreformować upadającą gospodarkę. Wcześniej sądziłem, że pozwoli na to stan wojenny, ale szybko straciłem złudzenia. Doprowadzono wtedy do spacyfikowania proreformatorskich sił w partii. Ufałem, że można je jeszcze ożywić i uniknąć upadku.

CIEPŁY: Wiązał Pan nadzieje z Rakowskim, z Wilczkiem?

HAUSNER: Owszem, ale liczba zmarnowanych szans była wielka i to już od 1956 r., potem przez Gierka... Ten bolesny i trudny okres pracy w KW skwitowałem tak: *miałeś co chciałeś, więc nie dziw się, że*

garbują ci skórę. To jednak tak mnie zahartowało, że potem, gdy pełniłem różne funkcje rządowe, potrafiłem bronić się, nie oddając pola.

CHUDZIŃSKI: Nie miał Pan czasem ochoty zerwać z polityką?

HAUSNER: Brałem to pod uwagę, bo to towarzystwo komitetowe było tak marne intelektualnie i intryganckie... Próbowali mnie odwoływać, ale wtedy wstawał się za mną Porębski, a ja nie chciałem go zawieść, skoro mi zaufał. Jak było bardzo źle, mówił: *Zgodziłeś się, to musisz wytrwać!* Byłem w Komitecie z nimi, ale nie byłem na ich towarzystwo skazany, bo miałem uczelnię i swój zawód – nauczyciela akademickiego. Nie musiałem się martwić, że zostanę z niczym, jak mnie wyrzucą. Dla innych sekretarzy Komitet to był cały ich świat. Więc go bronili do upadłego. Władek Kaczmarek do końca wierzył, że stare dobre czasy wrócą, tylko trzeba się brutalnie rozprawić z wrogami, tymi z partii też.

RATKOWSKI: On akurat nie wyszedł najgorzej. Załapał się na jakieś stanowisko w ambasadzie w Moskwie i siedzi tam do dziś!

HAUSNER: Nie wiem, co robi i nie interesuje mnie to. Ale widziałem go tam w naszej ambasadzie, przy okazji rządowej wizyty. Wyglądał na przestraszonego. Pewnie sądził, że będę go obsmarowywał, ale nawet się nie zająknąłem.

Te lata w Komitecie Krakowskim były dla mnie nadzwyczajnie trudne. Starłem się działać mądrze, szukałem w swoich dwóch środowiskach – nauki i oświaty porozumienia i rozumnego współdziałania. Oceniam, że udawało się, także w przypadku rektorów uczelni krakowskich, z wyłączeniem profesora Aleksandra

Koja, rektora UJ. Przez te lata spokoju w tej robocie nigdy nie było.

Największe napięcie narastało w 1988 r. W pewnym momencie miałem wrażenie, że znajduję się w jakimś kotle, między Rokitą a Kaczmarkiem. Jan Maria Rokita za wszelką cenę chciał wyprowadzić studentów na ulicę, a ludzie tacy jak Kaczmarek także tego chcieli i to prowokowali. Liczyli na to, że w końcu dojdzie do użycia siły, poleje się krew i nie będzie już odwrotu, Okrągły Stół zostanie wysadzony. Z jednej strony młodzi radykalni opozycjoniści podejmowali akcję bezpośrednią. Z drugiej strony partyjni beton chciał sięgnąć po siłę. A ja starałem się, aby temu jakoś zapobiec, aby uniknąć rozlewu krwi. Stąd między innymi z mojej inicjatywy rektorzy godzili się na zwoływanie wieców na terenie uczelni, aby studenci nie wychodzili dla wyrażenia swoich żądań na ulice.

Pamiętam takie spotkanie Kolegium Rektorów Uczelni Krakowskich, na którym rozmawialiśmy o zachowaniu demonstrujących studentów, w tym głośnym strzelaniu z wiatrówki do tarczy z twarzą Gorbaczowa! Rzecz działa się na terenie UJ. Rektor Koj uznał, że była to prowokacja. Stwierdził, że strzelający nie są studentami. Na spotkaniu był też obecny przewodniczący samorządu studenckiego UJ, więc zapytałem go wprost: *Czy to nie pan tam stoi obok strzelających? A skoro tak, to dlaczego nie wyprosił pan tych prowokatorów, jeśli nie byli studentami?* I pytam dalej: *– Jak sobie panowie wyobrażacie przyszłość Polski? Czy spór ma się rozstrzygnąć na zasadzie „kto silniejszy”? Czy w sytuacji, gdy toczą się rozmowy Okrągłego Stołu, gdy jest otwarcie ze strony Związku Radzieckiego, akceptujecie takie zachowania?* – *Nie* – usłyszałem – *ale to była prowokacja! To co pan zrobił, panie rektorze?* – *pytam – bo i pana widzę na tych zdjęciach. Dlaczego pan nie powiedział, że takich rzeczy nie należy robić? Że to jest wbrew interesowi Polski?*

CIEPŁY: Ten bój nie potrwał już długo.

HASUSNER: To prawda. Na samym końcu, gdy wszyscy pochowali się, ostatni gasił światło. W Komitecie Krakowskim odebrałem wiele ciosów, wyszedłem stamtąd mocno poobijany i na pewno ten okres nie ułatwił mi wejścia w demokratyczną politykę. Nie kandydowałem na ostatni zjazd PZPR, nie startowałem do władz SdRP. Uważałem, że powinienem zejść z afisza, ale chciałem pomóc w tworzeniu czegoś nowego na lewicy.

A na początku lat 90. miałem też problemy na uczelni. Prawie nikt mnie wprost nie atakował, ale wisiąco w powietrzu przeświadczenie, że ktoś powinien jakieś konsekwencje ponieść. A ja pytałem sam siebie: za co właściwie chcieliby mnie ukarać. Nie łamałem ani prawa, ani uniwersyteckich zasad czy kanonów. Prawda, myliłem się, bo uważałem, że system w którym przyszło nam żyć, jest reformowalny i starałem się go reformować, utrzymać, ale w zmienionej politycznie i gospodarczo formie! Niektórzy radzili mi, abym jakoś się schował, zniknął z obrazu.

Obiektem cięć stały się tzw. „przedmioty ideologiczne”. Na uczelni ekonomicznej nie dotknęło to ekonomii, tyle że z ekonomii politycznej stała się ekonomia. Natomiast pocięto filozofię, socjologię i naukę o polityce, chociaż te akurat były u nas porządnie akademicko prowadzone. Nie miałem żadnych zajęć dydaktycznych.

Nie zostałem włączony do żadnej uczelnianej czy wydziałowej komisji. Był to dla mnie swoisty okres „grubej kreski”. Nie atakujemy ludzi związanych z odchodzącym systemem, ale ich odsuwamy i zapominamy o nich.

Ale niech to będzie powiedziane – nikt nie chciał mnie usunąć z uczelni, natomiast niektórzy liczyli, że kompletnie się wyjałowię naukowo. I wtedy poznałem trzech Skandynawów, którzy interesowali się pokomunistyczną transformacją, ale ze skandynawskiej, a nie anglosaskiej wolnorynkowej perspektywy. Zaproponowali mi wejście do dużego europejskiego projektu badawczego. Dostałem wielomiesięczne wysokie stypendium i sporo czasu pracowałem z nimi przebywając w Copenhagen Business School, z którą do dziś jestem związany. Miałem pieniądze na badania, konferencje i wydawnictwa. I szybko przysły znaczące akademickie efekty, wszedłem do europejskiego obiegu naukowego. Zostałem członkiem zarządu dużego europejskiego stowarzyszenia ekonomistów. I okazało się, że ci, którzy postanowili mnie odsunąć od wszystkiego, wyświadczyli mi wielką przysługę.

RATKOWSKI: Przydał się doktorat na temat integracji europejskiej?

HAUSNER: Nie, ja już wtedy zajmowałem się zupełnie innymi sprawami. W okresie, kiedy byłem w Komitecie Krakowskim, zachowałem etat na uczelni i swoje zajęcia. Także uczestniczyłem w pracach dużego zespołu, którym kierował profesor Artur Bodnar. Mnie przypadła rola koordynatora drugiego stopnia. Badaliśmy związki polityki i gospodarki w różnych systemach. To w istocie były prace „tranzytologiczne”. Zajmowaliśmy się systematycznym śledzeniem polskiej transformacji przed i po 1989 r.

CHUDZIŃSKI: A tu niespodziewanie lewica wygrywa wybory w 1993 roku!

CIEPŁY: ... a Pan zostaje szefem doradców wicepremiera!

HAUSNER: Grzegorza Kołodkę poznałem w ruchu młodych pracowników nauki, ale nie była to bliska znajomość. Na początku transformacji Kołodko, wówczas dyrektor Instytutu Finansów, organizował w Wildze konferencje naukowe. Osobą, która nas połączyła, był Tomek Jeziorański, zastępca redaktora naczelnego „Życia Gospodarczego”, pozostający z Grzegorzem w bliskich relacjach. I to on namówił go, aby zapraszał mnie na te konferencje. Przedstawiałem na nich moje spojrzenie na transformację, odmienne od neoliberalnego i krytyczne wobec planu Balcerowicza. A to dla Kołodki była mocna rekomendacja.

W swoich ówczesnych pracach przeciwstawiłem imperatywnej – odgórnej, wymuszonej, szokowej i wolnorynkowej transformacji gospodarczej, transformację interaktywną – negocjowaną, stopniową, wynikającą z oddolnych dostosowań i zorientowaną na kwestie społeczne. To zbliżało mnie do takich osób jak profesor Tadeusz Kowalik, który potem mnie wielokrotnie krytykował, ale obdarowywał przyjaźnią, był dla mnie opiekunem spolegliwym. Jedną z moich prac z tego okresu została opublikowana w broszurze wspólnie z tekstem Jacka Kuronia. Poznałem go, gdy poprosił o pomoc w sprawie Huty Lucchini (Warszawa). Był tam mediatorem w konflikcie załogi z zagranicznym inwestorem. To było później, kiedy już pracowałem w Urzędzie Rady Ministrów.

Kołodko, znając moją publicystykę i prace badawcze, wiedząc, że jestem wyraźnie antybalcerowiczowski, zaproponował mi bliską współpracę. Jesienią 1993 r. przymierzał się do stanowiska wicepremiera i ministra finansów. Wtedy odmówiłem, bo był to dla mnie niezwykle trudny okres – miałem ciężką operację, wszczepiono mi żółtaczkę i byłem rzeczywiście bardzo chory. Powiedziałem jednak, że jeśli tylko wyzdrowieję, będę do jego dyspozycji. I rzeczywiście, kiedy Kołodko objął wreszcie te stanowiska w kwietniu 1994 r., zdecydowałem się go wesprzeć, choć właśnie na uczelni rozpocząłem tworzenie GAP – nowego kierunku studiów „gospodarka i administracja publiczna”.

CIEPŁY: To był okres Strategii dla Polski Kołodki. Niektórzy Panu przypisują znaczną część tego dokumentu...

HAUSNER: Można mnie najwyżej nazwać redaktorem tego dokumentu. Autorem jest Grzegorz. Kiedy przychodził na stanowisko wicepremiera w gabinecie Waldemara Pawlaka, miał gotową koncepcję zdecydowanie innej polityki gospodarczej niż Balcerowiczowska. Już rok wcześniej ogłosił *Strategię dla Polski* w formie 44 tez.

Zaraz po pojawieniu się w Radzie Ministrów wypowiedział się bardzo krytycznie o propozycjach gospodarczych przygotowanych przez profesora Mirosława Pietrewicza, ministra i prezesa Centralnego Urzędu Planowania. Więc premier Waldemar Pawlak powiedział: w takim razie niech pan profesorze przedstawi nam własną koncepcję. Kołodko zwołał kilkusobowy zespół, i dał sobie i nam miesiąc. Spotykając się niemalże codziennie i gorąco dyskutując, w trzy tygodnie mieliśmy zrab dokumentu. Grzegorz uczestniczył w każdej naszej rozmowie i to on rozstrzygał, co wchodzi, a co wypada. Słuchał nas, ale w końcu decydował. Potem nadawałem redakcyjny kształt temu, co zostało ustalone.

W tamtym okresie świetnie mi się z Kołodką pracowało – dla niego i z nim. Kierowałem niewielkim zespołem przez siebie od podstaw stworzonym i byłem, jak to określałam, „aktywnym doradcą strategicznym”. Grzegorz nazywał mnie „prawą stroną jego mózgu”...

CHUDZIŃSKI: Więc jednak „prawą”?

HAUSNER: Nieważne. Marka Wagnera za to nazywał „prawą ręką” i potrzebował go do załatwiania. Mnie do myślenia i po części do powstrzymywania go przed samym sobą. To był piękny i twórczy okres. Wówczas nauczyłem się rozumieć państwo w praktyce, a nie w teorii i działać praktycznie w obrębie mechanizmu władzy.

RATKOWSKI: Czy wtedy na stole leżał problem węgla?

HAUSNER: To był od początku bardzo istotny problem. Przypominam sobie, jak w początkach naszej współpracy Grzegorz pojechał na Śląsk. Jeszcze nie zdążył wrócić, a już w mediach straszło: »Kołodko powiedział Śląskowi „NIE”«. To była wizerunkowa i polityczna katastrofa. Żaden polityk w Polsce nie może być definiowany jako wróg Śląska, bo ma już na wejściu przeciw sobie 10 procent elektoratu. Stało się jasne, że trzeba tam pojechać i posprzątać. Udałem się do Katowic, wtedy jeszcze funkcjonowały małe województwa, porozmawiałem z wojewodą Eugeniuszem Ciszakiem,

który był bardzo mądrym człowiekiem i okazało się, że jest już tam na miejscu inicjatywa, której mogę wyjść naprzeciw. Tak narodził się *Pakt dla województwa katowickiego*.

Kluczowym zagadnieniem była kwestia kopalń, a tam rządziły związki zawodowe. Ich liderzy byli niezwykle agresywni. Ludzie z regionu „Solidarności” stale gadali, że Śląsk to bogata Katanga, która jest kolonią eksploatowaną przez Polskę. To przeciwstawianie było niebezpieczne i zawsze będzie dla Polski groźne. Trzeba z tym walczyć, ale przede wszystkim rozwiązując problem górnictwa i rozwoju gospodarczego Śląska. Temu miał pomóc ten *Pakt*, który został podpisany w 1995 r. i był zwiastunem przyszłej reformy terytorialnej.

Żaden, nawet najmocniejszy rząd nie poradzi sobie z górnictwem, jeśli obok układu wertykalnego rząd – sektor nie pojawi się partner regionalny, mający inną perspektywę rozwoju województwa. Nie wbrew interesom górników czy hutników, ale pokazujący inne możliwości gospodarcze, tak aby przełamywać górniczo-hutniczą monokulturę. Pracowałem bardzo blisko z gminami górniczymi wskazując, że samorządy nie powinny stawać zawsze i bezwzględnie po stronie kopalń, bo to polityka krótkowzroczna, a raczej powinny być partnerem równoważącym i wspierającym inne rodzaje aktywności na swoim terenie. Jednocześnie ratowałem wizerunek Grzegorza...

RATKOWSKI: Który jest poza wszystkim – cholerkiem!

HAUSNER: To pan powiedział!

CHUDZIŃSKI: Potem nastają rządy AWS, a po nich znów wraca Pan na szczyty władzy jako minister pracy i polityki społecznej.

HAUSNER: A jednak to właśnie 1993 r. oznaczał dla mnie przełomową zmianę z życia. Wtedy ci, którzy chcieli mnie na uczelni osadzić z boku, zorientowali się, że mi pomogli. Ówczesny rektor, profesor Jerzy Mikułowski-Pomorski, znany socjolog, zaprosił mnie i skarcił, że nie robię nic dla uczelni, tylko dla siebie.

Stanęło na tym, że coś zaproponuję i po kilku tygodniach przedstawiłem koncepcję GAP – jako nowego kierunku studiów i badań. Zaakceptowany przez rektora plan przewidywał zatrudnienie w Samodzielnym Zakładzie Gospodarki i Administracji Publicznej ośmiu osób w ciągu czterech lat. Uznałem, że skoro teraz ci, którzy przez lata zajmowali się gospodarką planową, zajmują się rynkiem, to ja pójdę w drugą stronę i zajmę się sektorem publicznym.

GAP to mój życiowy projekt zajmujący 70 proc. mojego czasu. Startowałem od zera, mając 27 lat do emerytury i postanowiłem, że w tym czasie w ramach mojej uczelni stworzę „akademicką szkołę”. Mijają 22 lata i GAP systematycznie rośnie i rozwija się. Dziś mamy już za sobą 18 promocji absolwentów. W moim zespole pracuje około 50 osób, przy czym większość nie jest finansowana ze środków uczelni, lecz ze środków pozyskanych na różne projekty. W tym roku rektor, profesor Andrzej Chochół swoim rozporządzeniem utworzył Wydział Gospodarki i Administracji Publicznej. To dla mnie wielka satysfakcja. Wiem, że nie zmarnowałem uczelnianego czasu.

CIEPŁY: Ale opinia publiczna, a przynajmniej jej część postrzega Pana nie tylko jako uczonego, ale



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

może nawet przede wszystkim jako nie w pełni wykorzystanego polityka.

HAUSNER: No dobrze. Czy polityka jest dla mnie ważna? Tak, polityka jest dla mnie bardzo ważna, ale jest taki esej Maxa Webera, w którym odróżnia coś, co jest zawodem, od tego, co jest powołaniem. Z zawodu jestem nauczycielem akademickim, czyli kimś, kto kształci i pomaga ludziom się rozwijać. Natomiast polityka bywa moim powołaniem, gdy jestem do niej wzywany. Dziś o udział w polityce nie zabiegam.

CHUDZIŃSKI: Ale oto w kolejnym roku ta polityka upomniała się o Pana.

HAUSNER: Mój drugi okres udziału w pracach rządu był zupełnie inny niż ten pierwszy. Także w kategoriach psychologicznych. Już nie byłem doradcą, ale konstytucyjnym ministrem i uczestnikiem gry, także gry politycznej. Były momenty trudne. Tu w Krakowie pod moim mieszkaniem demonstrowały żony górników, a ja akurat byłem wtedy w Warszawie. Kiedy w ogromnym napięciu Sejm przyjął program restrukturyzacji górnictwa, a demonstranci zdemolowali fasadę Ministerstwa Gospodarki, natychmiast pojechałem na Śląsk. Otwarcie mówiłem o patologjach w górnictwie i co chcę zrobić. Nigdy nie bałem się mówić, co myślę i bronić tego, co uważam za słuszne.

Przed wyjazdem spotkałem się z Kazimierzem Kutzem i on udzielił mi kilku rad, m.in. abym się spotkał z arcybiskupem Damianem Zimoniem. To była dla mnie ważna rozmowa. Arcybiskup nie dyskutował ze mną o gospodarce, zakładał bowiem, że jestem człowiekiem dobrej woli i w swojej dziedzinie robię to co niezbędne. Wskazywał natomiast na różne, niesłychanie ważne konteksty społeczne. Podkreślił, że nie

wolno mi zlekceważyć roli kobiet. – *Na spotkaniach z górnikiem niech pan nie zaczyna od zwrócenia się do górników, tylko do ich żon.* Zapytałem więc, czy wolno mi powołać się na tę rozmowę. Zgodził się bez wahania.

Spotkanie odbywało się w sali Sejmu Śląskiego. Na galerii siedziały żony górników i swoje pierwsze zdania skierowałem do nich. Powiedziałem, że w czasie ich demonstracji w Krakowie akurat nie było mnie w domu, ale w każdej chwili gotów jestem się z nimi spotkać, bo przecież zdaję sobie sprawę, jaką rolę odgrywają w górniczych rodzinach. Tu przywołałem rozmowę z arcybiskupem i potem mogłem już w atmosferze spokoju wskazać pole niezbędnych decyzji i pole, na którym można dochodzić do kompromisu. Podkreśliłem jednak, że z pewnych decyzji się nie wycofam!

RATKOWSKI: Do dzisiaj są tacy, którzy za kłopoty polskiej lewicy obciążają liberała Hausnera!

HAUSNER: Hm. W każdym razie tam na sali Sejmu Śląskiego mimo wielkiego napięcia nie było już atmosfery wrogości. Ostatecznie, także potem w prasie, dominowało zdanie, że na Śląsk przyjechał ktoś, kto wie, o co chodzi, przedłożył konkretne propozycje, liczy się z racjami lokalnymi i proponuje kompromisowe rozwiązania, ale też jest zdecydowany i nieustępliwy.

RATKOWSKI: Ale nadchodzi taki moment, kiedy dochodzi do konfliktu między Panem a wicepremierem Kołodką...

HAUSNER: To rok 2002. Byłem ministrem pracy i polityki społecznej, ale szefem całego pionu gospodarczego był Marek Belka, z którym miałem dobre ułożone relacje. Ale Marek zostaje zmuszony do odej-

ścia, bo Miller chce mieć Kołodkę, a ten stawia warunki całemu gabinetowi i ode mnie oczekuje, aby wszystko było tak jak kiedyś, gdy byłem szefem jego doradców. Nie może przyjąć do wiadomości, że ja teraz jako minister tak wrażliwego resortu muszę znaleźć się niekiedy z nim w sporze, co on odbiera jako niesubordynację. A ja po prostu odpowiadałem także za biednych i bezrobotnych. Chwyta się więc pomysłu, aby przesunąć mnie z ministerstwa gospodarki, na co ja w zasadzie przystaję. Ale Leszek Miller połączył dwa ministerstwa i w dalszym ciągu byłem odpowiedzialny także za biednych i bezrobotnych! Tak więc pole sporu pozostało niezmienione. A Grzegorz potrafił mnie słuchać, ale układać się – nie.

CHUDZIŃSKI: A może nie trzeba było dać się w to wrobić?

HAUSNER: W ministerstwo gospodarki? To był awans, wyraz uznania. Chciałem pokazać, że potrafię i wierzyłem, że podołam. Nie pchałem się do tego, ale propozycję przyjąłem. Zgodnie z moją życiową zasadą – nie uciekam od odpowiedzialności.

CIEPŁY: Czy on przewidywał wejście Polski do Unii Europejskiej?

HAUSNER: W Ministerstwie Gospodarki trwała intensywna praca nad wykorzystaniem środków unijnych i w to się włączyłem. Miałem wypracować system wykorzystania tych pieniędzy. Spór z Grzegorzem polegał też na tym, że on miał inną koncepcję uzdrawiania finansów publicznych. Przekonywałem go w cztery oczy i na posiedzeniach Rady Ministrów do swoich racji, a on nie mógł się zgodzić, by ktoś stawiał mu warunki. Problem miał więc wymiar merytoryczny i psychologiczny. Nie dało się wówczas nas pogodzić.

RATKOWSKI: A jak jest teraz?

HAUSNER: Nijak. Staram się nie atakować Grzegorza publicznie, niczego mu nie wytykam i nie formuję krytycznych ocen.

RATKOWSKI: A jak Pan ocenia jego książki?

HAUSNER: Nie oceniam, bo nie dotyczą mojej specjalności badawczej.

CHUDZIŃSKI: Zróbmy zatem bilans Pana obecności w rządzie. A przy okazji zapytajmy o plan Hausnera.

HAUSNER: To kilka pytań w jednym, bo moje doświadczenia rządowe pochodzą z dwóch okresów i wyraźnie je rozdzielam. W latach 1994–1997 byłem szefem doradców Grzegorza Kołodki i ten okres wspominam bardzo dobrze, gdyż wtedy nie prowadząc żadnej wojny doktrynalnej dokonaliśmy istotnego przesunięcia akcentów w polityce gospodarczej. Kładliśmy nacisk nie tylko na sprawy makro, ale też na zagadnienia mikro i mezo, jak na przykład na politykę regionalną. Okres ten przyniósł bardzo wiele nowych pomysłów, idei i rozwiązań, i był bodaj najciekawszy w moim życiu. Odpowiadając za strategię, kontaktowałem się z bardzo wieloma ludźmi i mogłem po raz pierwszy od wewnątrz zobaczyć działanie państwa. Tę moją rolę opisałem w książce *Pętle rozwoju*. Jako aktywny obserwator strategiczny nie tylko opiniowałem cudze projekty, ale przygotowywałem je z własnej inicjatywy, jak w sferze organizacji pozarządowych. Tu m.in. mieści się ustawa o działalności pożytku publicznego i wolontariacie.

Drugi okres, czyli lata 2001–2005, jest inny. SLD wygrał wybory, a nie miał żadnego programu gospodarczego. Opracowania, które przed wyborami powstały w Sojuszu, były niespójną zbieraniną pomysłów czterdziestu kilku zespołów. Program rządu przygotowywaliśmy więc praktycznie w biegu i ostatecznie składał się on z trzech niezbyt przylegających do siebie części: Marka Belki. Jacka Piechoty i mojej. Koordynacja działań była słaba, bo Marek Belka jako wicepremier nie przywiązywał do tego specjalnej wagi. Tym, co spajało rząd, były przygotowania do wejścia do Unii Europejskiej. Tego osobiście i skutecznie pilnował Leszek Miller. Było jego wielką ambicją wprowadzić Polskę do UE.

W 2002 r. rejestrowane bezrobocie przekracza granicę 20 proc. Robi się dramatycznie. Już po przyśściu Kołodki, Jacek Piechota – minister gospodarki i Wiesław Kaczmarek – minister skarbu przedstawiają ocenę rosnącego stopnia zagrożenia upadłości przedsiębiorstw. Gdyby zaczęły upadać duże podmioty, bezrobocie szybowałoby dalej. No to Miller pyta – jakie panowie ministrowie macie propozycje. A oni milczą. Staram się zaproponować zestaw kilku możliwych posunięć. Kołodko zabiera głos, popiera mnie, uzupełnia to co zaproponowałem, i zapowiada, że wspólnie ze mną przedstawi pilnie całościowy pakiet działań ratunkowych. Przygotowujemy go w biegu i uruchamiamy. Zadziałało. Początek współdziałania z Grzegorzem był dobry. Potem jednak zrozumienia było coraz mniej. Szczególnie kiedy Grzegorz przedstawił swój program naprawy finansów publicznych, w którym – w moim przekonaniu – ignorował wymogi gospodarki realnej, skupiał się jednostronnie na stronie finansowej. Przy czym co najmniej kilka jego kluczowych propozycji, to były rozwiązania pozorne.

CHUDZIŃSKI: Na przykład?

HAUSNER: Na przykład likwidacja powiatów. Miało to dać cztery miliardy złotych oszczędności. Ale rozwiązanie powiatów nie eliminowało zadań administracyjnych, które i tak musiałyby być wykonywane i finansowane, tyle że przez nową administrację rządową w miejsce tej powiatowej.

CHUDZIŃSKI: I wiszą nad wami jeszcze dyrektywy unijne!

HAUSNER: Dyrektywy unijne nic do tego nie mają. Spór się stopniowo zaostrza i podejmowane przez premiera próby pogodzenia nas niczego nie przynoszą. Miller ma trzy możliwości: wyrzucić mnie, pozbyć się Kołodki, albo pogonić nas obu. O tym, że zdecydował się postawić na mnie, przesądziły nie tylko opinie zewnętrzne, np. przedsiębiorców, ale też jego własnego środowiska politycznego, które przyznawało, że z Kołodką bardzo trudno się dogadać, a Hausner jest też trudny, ale jednak w rozmowach merytoryczny.

CIEPŁY: Jak się Panu pracowało z Millerem?

HAUSNER: Muszę go oceniać w trzech perspektywach – jako przywódcę politycznego, premiera i jako swojego przełożonego. W tym trzecim wymiarze nie mam żadnej uwagi krytycznej. Zawsze chciałem mieć szefa takiego jak on. Nie wzywał mnie bez powodu, nie udzielał instrukcji, miał do mnie zaufanie, pozwalał mi działać i dawał mi niezbędne wsparcie. Był też bardzo sprawnym premierem. Rząd po jego kierunkiem pracował dobrze.

Gorzej oceniam go jako przywódcę politycznego. Nie miał dość wyobraźni, by uprzytomnić sobie, że sposoby działania i rozwiązywania problemów, jakich nauczył się w dawnych czasach, nie przystają do nowych, nie są wystarczające.

RATKOWSKI: A może Miller jest człowiekiem władzy, który nie ma wyrazistych poglądów? Przykładem sprawa podatku liniowego...

HAUSNER: Sądzę, że on pojmuje politykę jako walkę o władzę. Jego przywództwo bierze się ze sposobu rozwiązywania konfliktów wewnątrz układu władzy. Wzięję polityczną zastępuje bon motami.

CHUDZIŃSKI: Cięży na nim rodowód polityczny. Także w sferze mentalnej.

HAUSNER: Nad każdym jakoś cięży rodowód. To nie dotyczy tylko Millera. Uważam go za dobrego premiera. Choć oczywiście jako przywódcę obciąża go upadek SLD.

Pracowałem bardzo ciężko, to był dla mnie okres wyniszczający fizycznie i psychicznie. Mojemu przyjacielowi, profesorowi Andrzejowi Ziębie powiedziałem w pewnej chwili: w Warszawie co drugi to wariat! Mało kto liczy się z konsekwencjami swoich działań, patrzy tylko, jak załatwić swoje sprawy. I prosiłem, obserwuj mnie, czy i mnie nie dopada choroba władzy.

W tym czasie przewodniczyłem też „Kuźnicy”. Ten okres działalności publicznej został udokumentowany w książce *Z Kuźnicy, z rządu i spoza*, w której przygotowaniu kluczową rolę wypełnił Andrzej Kurz.

CHUDZIŃSKI: Przy Millerze towarzysze za dobre się poczuli. Szczególnie baronowie!

HAUSNER: Rację miało środowisko „Gazety Wyborczej”, a szczególnie Ewa Milewicz kiedy napisała, że nam wolno mniej. Należało to przyjąć, a nie się boczyć.

RATKOWSKI: Też się przy tym upierałem i upieram! A wielu do dziś myśli, że to ta opinia zniszczyła SLD.

HAUSNER: Pamiętam rozmowę z Andrzejem Kurzem, który zreferował mi opinię Mieczysława Rakowskiego. Był on zdania, że kiedy połowa rządu pojechała do Jerzego Staraka na ów sławny sylwester w Zakopanem, to był początek końca! Także te urodziny Aleksandra Kwaśniewskiego na 600 osób z wręczaniem mu drogiego obrazu. To dowodzi, że zabrakło instynktu samozachowawczego.

Po roku funkcjonowania w rządzie zdawałem sobie sprawę, że jedziemy bardzo stromą ścieżką, coraz bardziej zdezelowanym wehikułem i zaraz się wywalimy. Z drugiej strony widziałem jednak, jak Miller ogromnie stara się, aby Polskę przygotować do wejścia do UE. Uważałem Aleksandra Kwaśniewskiego za przywódcę dużego formatu, ogarniającego znacznie więcej niż inni politycy. Uważałem zatem, że warto się wysilić, że może się jakoś to poskłada, że nie wolno odpuszczać. I wtedy pojawia się afera Rywina, a każdy ze znaczących działaczy SLD ciągnie w swoją stronę.

Pamiętam rozmowę z Markiem Borowskim, wówczas marszałkiem Sejmu, który mnie wicepremiera i ministra namawiał, abym nie bronił Millera, gdy ten nie chciał dać się odwołać i wystąpił do Sejmu o wotum ufania. Mówię: – *Dobrze, pozbędziecie się Millera i co dalej? Kto ma być premierem, z kim mam pracować, bo przecież finanse publiczne nie czekają!* – On na to:

– *Ty uważasz, że mamy dalej to ciągnąć. Tymczasem powinniśmy doprowadzić do wcześniejszych wyborów, oddać władzę i to na tych z opozycji spadnie problem ratowania finansów publicznych, a my przejdziemy teraz do opozycji z poparciem na poziomie 20 proc. Jak ci nowi polegną, wrócimy do władzy. Zapytałem: – A gdzie w tym politycznym rachunku jest Polska? i rozmowa się skończyła.*

Krzysztof Martens na spotkaniu czołówki SLD mówił, że Plan Hausnera jest dobry dla Polski, ale zły dla SLD. Wtedy odpowiedziałem, że jeśli podejmiemy trudny program naprawy finansów publicznych, będziemy musieli ponieść określone koszty polityczne. Ale jeśli tego nie zrobimy, to koszty polityczne będą o wiele większe i to nie będzie utrata części poparcia, ale utrata na bardzo długo legitymacji do bycia u władzy. Partia rządząca musi być gotowa do wzięcia odpowiedzialności za nawet państwową bez względu na to, jakie koszty poniesie.

CIEPŁY: Po odejściu Millera mamy mniejszościowy rząd Marka Belki, przez wielu ludzi oceniany bardzo pozytywnie.

HAUSNER: Belka przychodzi w 2004 r., w momencie, kiedy tylko ślepy może nie widzieć, że SLD jest już przegrany. Wtedy kwestią jest już nie to, jak utrzymać władzę, ale co zrobić, żeby władzy nie przejęła na długie lata skrajna prawica. Belka wraca wtedy z Iraku, dzwoni do mnie i powiada: *Jesteś trzecią osobą, z którą rozmawiam. Potrzebuję cię do rządu. Oczywiście się godzę, bo trzeba dokończyć to, co robię. Umawiamy się u mnie w Szczawie na długą dwudniową rozmowę. Tłumaczę Markowi, że SLD przegra wybory i co więcej – nigdy się już nie odbuduje. Tak wówczas sądziłem. Będzie rządził PO-PiS. Ale problem polega na tym, co będzie potem. Czy alternatywą ma być Lepper i Gierzych, czy lewica?*

Doraźnie sytuacja się ustabilizowała. Wysoki wzrost gospodarczy został przywrócony, wzrastało zatrudnienie, tworzono wiele nowych miejsc pracy, a stan finansów publicznych budził mniej obaw. Rząd SLD poradził sobie z zapaścią gospodarczą i przygotowaniem akcesyjnymi. Tego nie da się nam odebrać. Ale politycznie kłapa. Nie bardzo rozumiem, dlaczego to ja jestem obwiniany za upadek SLD, skoro w gospodarce daliśmy radę.

Borowski wyprowadził swoje „borówki” z SLD i rząd Belki był zależny od sejmowego planktonu. Uważałem, że wobec zagrożenia przedterminowymi wyborami, posłowie nie mający żadnej gwarancji, że wybrani zostaną ponownie, musieli poprzeć Belkę. Nie mieli innego wyjścia. Mówiłem Markowi, że może być człowiekiem, który odbuduje lewicę pod warunkiem, że wykorzystają okres zarządzenia na stworzenie nowej formacji. – *Nie chodź do parlamentu, nie układaj się z partiami i partykami, z Borowskim, Janikiem... Oni i tak ten rząd utworzą! Jedź do ludzi, spotykaj się w dużych miastach, na uniwersytetach, przedstawiaj swój program polityki europejskiej, program naprawy finansów, założenia polityki społecznej i buduj na tym nową, lewicową formację. Ona nie będzie szybko rządzić, ale będzie alternatywą dla prawicy. Marek werbalnie się ze mną zgodził, ale zrobił odwrotnie.*

CHUDZIŃSKI: Niezupełnie. Do Krakowa przyjechał, miał spotkanie na UJ (zwołane przez

prorektora, profesora Jerzego Wyrozumskiego z inicjatywy „Kuźnicy”), ja je nagrałem, spisałem i wydrukowałem w „Zdaniu”. Więc w części posłuchał...

HAUSNER: Niestety, cały czas politycznie lawirował. Systematycznie nie dotrzymywał też naszych wspólnych ustaleń. Nie kwestionuję tego, to był dobry rząd. Jacek Socha był wybitnym ministrem skarbu państwa, Mirek Gronicki znakomitym ministrem finansów. Mnóstwo rzeczy zostało zrobionych, ale z punktu widzenia dynamiki politycznej to już nie mogło odwrócić biegu wydarzeń.

Jesienią Marek Belka przyznaje mi rację. – *No to co robimy dalej?* Opisałem mu, co jest jeszcze możliwe. I poradziłem, aby poszedł z tym do Aleksandra Kwaśniewskiego. Wrócił z niczym. Z miesiąca na miesiąc polityczne perspektywy były coraz gorsze. Wtedy nagle prezydent zmienił zdanie. Zaprosił nas do siebie. Pomysł był taki, aby przed planowanym na grudzień Kongresem SLD doprowadzić do podziału i wyłonienia nowej formacji. Kluczowe było pozyskanie do tego Włodzimierza Cimoszewicza, który przygotowywał się do kandydowania na prezydenta. Po rozmowie w czwórkę podjąłem się napisania manifestu. Nic z tego jednak nie wyszło, bo Kwaśniewski się znów zawahał.

Doszło do Kongresu SLD, na którym miał wygrać Krzysztof Janik, a wygrał Józek Oleksy. W nocy dzwoni do mnie Kwaśniewski: – *Wiesz co się stało na kongresie? Teraz musimy realizować twój plan!* Ja: – *Wyście chyba zwariowali. Jak byłby Janik, to SLD byłoby dobre, jak jest Oleksy to jest złe? Postawiliście na rozwiązanie kongresowe, to jaki polityczny i moralny sens ma próba podzielenia partii teraz? Jak przegrywamy, to wychodzimy?* Miałem już tego dość. Wystąpiłem z SLD, ale nikogo nie atakując.

To wszystko, co się stało z SLD, jest zdumiewające, bo przecież Sojusz miał ogromny potencjał intelektualny: Kwaśniewski, Miller, Cimoszewicz, Rosati, Hübner, Borowski, Belka, Kalisz, Kołodko – to przecież potęga! A zniszczyły ją wewnętrzne rozgrywki, kunktatorstwo i brak zdolności do radykalnego tępienia nieuczciwości, przy ostentacji w wykorzystywaniu przywilejów władzy.

RATKOWSKI: Zawsze można funkcjonować jak PSL, jako jakaś wystawka broniąca swoich ludzi, układów czy środowisk.

HAUSNER: To dla mnie żenująca perspektywa. Tak więc pomysł budowy nowej partii na bazie SLD umarł. A co pojawiło się w to miejsce? Ano to, że teraz będziemy się łączyć z Unią Wolności. Pomysł wyszedł od Belki, być może za aprobatą prezydenta, który chciał mieć alternatywę i możliwość grania na dwa fortepiany. Ale to już był zupełnie inny koncert, do którego nie miałem przekonania.

CIEPŁY: A więc tak wyglądał Pański udział w powołaniu partii „demokracy.pl”?

HAUSNER: Marnie to wszystko wyglądało. W ogóle byłem zaskoczony tą woltą Marka. Zaprosił mnie na spotkanie i starałem się słuchać, byłem pasywny. Spotkałem tam osoby, które doceniam i rozumiem, do których się autentycznie zbliżyłem i przekonałem, jak Władek Frasyniuk. Ale też takie, które nawet jeśli były sympatyczne, to i tak ich nie pojmowałem, jak Mirosław Czech, Andrzej Potocki czy Jan Lityński. Potem

poznałem Tadeusza Mazowieckiego. To była inna kategoria – wielkość. W sumie poznałem ludzi mających piękne życiorysy, ale żadnej koncepcji politycznej, tylko tęsknotę za niegdysiejszym znaczeniem. Ale przede wszystkim irytująca dla mnie była ich skłonność do wyższości i nieomylności.

Te rozmowy trwały jakiś czas. A i tak na wszystko było za późno. Belka kluczył. I jak trzeba było się publicznie pokazać, to zawsze tak manewrował, abym to był ja. Stanąłem zatem u boku Mazowieckiego i Frasyniuka inicjując nowe ugrupowanie – Partię Demokratyczną. Nic nam jednak nie szło. W końcu Władek Frasyniuk i ja, po przegranych wyborach parlamentarnych 2005 r., postanowiliśmy ustąpić.

CHUDZIŃSKI: Ale coś mi tu nie pasuje w tym autoportrecie. Jest Pan postrzegany jako człowiek dynamiczny i twardy, a tu przedstawia się Pan jako ktoś z szalupy ratunkowej, który nie steruje tylko wiosłuje!

HAUSNER: To nie całkiem tak. W rządzie Millera w istocie nie byłem ekonomistą tylko ekonomem, którego zadaniem było pchać, poganiać nieruchawą maszynę rządową i urzędniczą. Co nie znaczy, że nie miałem inicjatywy i nie proponowałem czegoś nowego. Pracowałem ciężko, bo to umiem i lubię. Nienawidzę nieodpowiedzialności. Ale nie pcham się na afisz i nie wypinam piersi do orderów.

Tzw. *plan Hausnera* miał nazwę *Plan ograniczenia i racjonalizacji wydatków publicznych*. To „Gazeta Wyborcza” nadała mu jego potoczną nazwę. I nie zaprzeczam – jestem jego autorem, także redaktorem.

Kiedyś w Komitecie Krakowskim, kiedy ci najważniejsi się już ewakuowali, ja zostałem, bo ktoś musiał zostać.

CHUDZIŃSKI: To ten sam przypadek co Rakowski. Towarzysze przez dziesięciolecia rządili, a on wziął odpowiedzialność za całe zło PRL-u i robił do śmierci za „komucha”, którym nigdy de facto nie był!

HAUSNER: Człowiek wychowany w poczuciu obowiązku, skoro dał słowo, to choćby mu się to nie opłacało, słowa dotrzymuje. Początkowo przy Frasyniuku byłem wiceprzewodniczącym partii. Miała to być integracja środowisk, a naprawdę było to przyłączenie pewnej części środowisk lewicowych do Unii Wolności. To było irytujące, szczególnie gdy się okazało, że podstawowych rzeczy nie potrafią zorganizować.

RATKOWSKI: Natomiast świetnie umieli zrażać sobie ludzi. I kto wie, czy nie było to jedną z ważnych przyczyn niepowodzenia późniejszego projektu pod nazwą Lewica i Demokraci.

HAUSNER: Po przegranych wyborach wycofuję się z pierwszego szeregu, ale w partii zostaję. Przewodnictwo przejmuje Janusz Onyszkiewicz i włącza partię w projekt LiD-u. W 2007 roku PD zgłasza moją kandydaturę do wyborów parlamentarnych, protestuje Borowski. A Lityński z Onyszkiewiczem przyjmują to ze zrozumieniem. W 2010 r. z chwilą, gdy zostałem członkiem Rady Polityki Pieniężnej, wystąpiłem z partii. I jestem bezpartyjny ostatecznie.

Dowodów na to, że wszystkie partie potrafiły wygrać wybory, a przynajmniej wchodzić do parlamentu i potem nie potrafiły rządzić, jest aż nadto. W demokratycznym państwie musi być sfera bezpartyjności.

CHUDZIŃSKI: Powinno to także dotyczyć urzędników państwowych.

HAUSNER: Powinna być jeszcze domena obywatelska. Domy kultury i inne instytucje tego typu zostawmy obywatelom. W rządzie i rządowych agencjach partyjność ma dotyczyć tylko stanowisk kierowniczych, a nie wszystkich – do sprzątaczk.

Od lat dokonuje się partyjna kolonizacja naszego państwa. Dlatego jest ono coraz słabsze i niezdolne do podejmowania długofalowych wyzwań. W latach 90., bez względu na to czy rządziły ugrupowania centroprawicowe, czy lewica, państwo jakoś funkcjonowało. Jeszcze nasz rząd jako ostatni podejmował poważne wyzwania prorozwojowe. A potem zaczął się schyłek.

CIEPŁY: Pamiętam też Pańskie zaangażowanie w sprawę tak dziś wrażliwą jak ochrona zdrowia.

HAUSNER: To wynikało z tego, że byłem wice-premierem starającym się uporządkować finanse publiczne. Przez parę tygodni premier Belka powierzył mi kierowanie ministerstwem zdrowia. Czas był gorący. Musiałem pilnie przygotować w tej dziedzinie program naprawczy. Swoje zrobiłem, ale potem minister Marek Balicki wszystko wykoleił.

CHUDZIŃSKI: Bardziej się Pan angażował i angażuje w sprawę kultury.

HAUSNER: Jestem współtwórcą kilku raportów zamówionych przez ministra Bogdana Zdrojewskiego w 2009 r. To przejaw mojej aktywności akademickiej i publicznej. Staram się, aby moja uczelnia była uniwersyteckim think-tankiem. Systematycznie przygotowujemy raporty dotyczące kluczowych zagadnień ważnych dla rozwoju Polski. Są one udostępniane wszystkim zainteresowanym – są dobrem publicznym i każdy może z nich skorzystać. Dotyczą na przykład innowacyjności oraz konkurencyjności polskiej gospodarki, stanu samorządności terytorialnej czy polityki surowcowej.

Nasze raporty nazywam diagnostyczno-strategicznymi i ekspercko-obywatelskimi. Uważam ich przygotowywanie za obowiązek pracownika publicznej uczelni.

CHUDZIŃSKI: Oto przed sobą mamy dwa raporty: jeden o samorządzie, a drugi przygotowany na Kongres Kultury Polskiej. Zaczniemy jednak od samorządu. Jak wyrażać się ma rola samorządu w naszym unitarnym modelu konstytucyjnym państwa?

HAUSNER: Uważam, że Polska powinna być państwem unitarnym, a nie federalnym. To nie jest sprzeczne z silną samorządnością terytorialną opartą przede wszystkim o gminę, która jest wyrazem zorganizowanej wspólnoty terytorialnej. Jednak istnieje nierównowaga, bo gmina w większym stopniu jest dziś narzędziem decentralizacji państwa, niż formą samorządności obywateli. I ten drugi człon trzeba dziś wzmacniać.

Samorząd wojewódzki też jest nam potrzebny i powinien odpowiadać przede wszystkim za politykę rozwoju regionu. Nie chcę dyskutować o szczeblu powiatowym ani o liczbie województw, bo to nie ma w mojej ocenie fundamentalnego znaczenia. Uważam, że lepiej nie manipulować przy organizacji terytorialnej państwa, choć pewne korekty są uzasadnione,

np. likwidacja powiatów ziemskich (tzw. obwarzankowych).

Natomiast na pewno mamy bałagan w sferze kompetencji, które są źle przypisane do jednostek samorządowych poszczególnych poziomów, wadliwe są mechanizmy finansowania, a hierarchiczność i resortowość powinny być poważnie ograniczone.

CHUDZIŃSKI: Pominął Pan całkowicie model regionalny, w raporcie także, a on dla Polski jest o wiele bardziej przydatny. Ale ten temat zostawmy na inną okazję. Teraz zapytam, cytując klasyka... Czy dziś nasze państwo istnieje tylko teoretycznie?

HAUSNER: Nie, nasze państwo istnieje realnie, choć w wielu zakresach jest niewydolne, wręcz dysfunkcyjne, w wielu wkracza w dziedziny, w których działać skutecznie nie umie, a w wielu miejscach abdykowało, choć działać powinno. Przykładem jest np. polityka surowcowa – też przedmiot jednego z naszych raportów.

Działalność urzędów skarbowych jest przykładem nadmiernej ingerencji. Państwo nie powinno też, na przykład, tak zarządzać szkołami jak robi to dziś. Powinno więcej inicjatywy pozostawiać samorządom, zachowując oczywiście zdolność egzekwowania standardów.

CHUDZIŃSKI: Dostosowujemy się do dyrektywy europejskich: trzystopniowa oświata i dwustopniowe studia, z możliwością ich kontynuacji na studiach doktoranckich.

HAUSNER: Rzeczywiście, w wielu krajach Unii takie rozwiązania funkcjonują, ale to wcale nie znaczy, że to rozwiązania dla nas najlepsze. I nie mamy obowiązku je stosować. I jeśli tak jest, to wynik nieprze-myślanej gorliwości. Ślepa pogoń za pozorami nowoczesności.

W takich dziedzinach jak oświata formułą integracji europejskiej jest otwarta metoda koordynacji i poszczególne państwa decydują same, jakie środki zastosować. W szeregu dziedzin przyjęte są wspólne cele i niekiedy określone wskaźniki, a to, jaką drogą do tego dojdziemy, to nasza sprawa. Nasz wybór i nasza odpowiedzialność.

Pracując w uczelni podkreślam, że jesteśmy częścią czegoś większego, że mamy jako uniwersytet zobowiązania wobec społeczeństwa. Robimy więc wiele rzeczy *pro publico bono*. Deklarujemy też od razu, że jeśli zostaniemy włączeni w dalsze prace nad tymi tematami, to je wykonamy, pod jednym wszakże warunkiem, że efekty tych prac zostaną ogłoszone publicznie i będą powszechnie dostępne.

CHUDZIŃSKI: I taki właśnie Pański raport został poświęcony problematyce kulturalnej, co władze i przedstawiciele środowisk kultury przyjęły z dużym dystansem!

HAUSNER: Konkretnie to trzy raporty. To, że moje poglądy są początkowo przyjmowane z dystansem, albo i znacznie gorzej, to moje stałe doświadczenie. Z reguły po paru latach przyznaje mi się rację. Ale kiedy przedstawiam jakiś pogląd, staram się, by zawsze była to inspiracja do rozmowy i wszystko jedno czy w tej rozmowie jestem atakowany, czy chwalony. Ważna jest rozmowa, a podczas rozmowy także słucham i uczę się. Nie zamieniam poglądów, ale je kształtuję

i rozwijam. Owszem, czasami modyfikuję frazeologię tak, aby była bardziej czytelna i przyswajalna. Poszerzam argumentację i przyjmuję często argumenty innych.

CHUDZIŃSKI: A jednak na Kongresie Kultury Polskiej wielu twórców Pan nie przekonał do swoich koncepcji.

HAUSNER: To efekt nieporozumienia. Mój bezpośredni udział w Kongresie wyglądał tak, że byłem moderatorem panelu poświęconego organizacji i finansowaniu kultury, i udzielałem głosu jego uczestnikom. Najpierw przypomnijmy, że bardzo ostro, wręcz prowokacyjnie, wystąpił w tym panelu Leszek Balcerowicz, używając parokrotnie w stosunku do tych, którzy nie chcą ekonomizacji kultury określenia „sowieccy działacze”. Waldek Dąbrowski zręcznie przekierował oburzenie sali na mnie. To było o tyle nie w porządku, że uprosił mnie, abym go włączył do tego panelu. Gdy wchodził na salę, powiedział do mnie – *Ale wam przyłożę*. Waldek, który wielokrotnie chwalił mnie publicznie, za to, że byłem ministrem gospodarki, który rozumiał znaczenie kultury dla rozwoju, teraz dla pokłasku obsadził mnie w roli wroga ludu, współbrzmiając w tej sprawie z „Gazetą Wyborczą”, która wywiad ze mną opatrzyła tytułem *Rewolucja kulturalna Hausnera* i eksponowała tylko te wątki jednego z raportów, które pasowały do tezy. To nagonka zresztą na zamówienie tych, którzy chcieli, aby na Kongresie wyszło na to, że Zdrojewski jest dobry, a Hausner zły. Minister akurat zachował się przyzwoicie, dał mi szansę wypowiedzenia się na zakończenie Kongresu. To moje wystąpienie spotkało się z bardzo dobrym odbiorem. Najważniejsze w nim było stwierdzenie, że przeciwstawianie gospodarki i kultury, to kompletne nieporozumienie.

To już jednak minione czasy. Dzisiaj opinia wielu ludzi o moim stanowisku i propozycjach jest inna. Jestem traktowany jako poważny sojusznik i partner. Proszę sprawdzić. Tym bardziej że jasno dowodzę, iż gospodarka, aby się rozwijała niezbędnie potrzebuje kultury – ba, ma być kulturą. Przygotowaliśmy pierwszy polski podręcznik do ekonomii kultury *Kultura i rozwój*, wydany przez Narodowe Centrum Kultury. Rozwijam w swoich pracach i wystąpieniach koncepcję nowego podejścia do wartości w biznesie (Fima-Idea), w której wskazuję na fundamentalne znaczenie aktywów niematerialnych i porządku aksjo-normatywnego dla rozwoju przedsiębiorstwa.

Antagoniści potraktowali kiedyś moje tezy jako atak na podstawy finansowania instytucji kultury przez państwo. Tymczasem uważałem, że część kultury musi być w pewnym stopniu państwowa, część obywatelska, a część rynkowa. I pytanie, jaka ma być polityka kulturalna, aby tak się stało, pozostaje otwarte. Tymczasem kolejne rządy zajmują się instytucjami kultury, a nie kulturą. Kultura to dla nich resortowy silos. A trzeba ją widzieć jako niezbędny wymiar naszej egzystencji i mechanizm rozwoju.

Kultura stała się obecnie głównym obszarem mojej działalności akademickiej. I nie tylko badawczej. Także praktycznej. Zainicjowana przeze mnie Agencja Artystyczna GAP jest producentem bardzo wielu wydarzeń kulturalnych i artystycznych. To np. nagradzany spektakl *Chopin bez fortepianu* pomysłu i w reżyserii Micha-

ła Zadary. W tym roku m.in. wydamy płytę z muzyką Włodka Pawlika do wierszy Adama Zagajewskiego. Agencja to jedna ze ścieżek do uniwersyteckości. Także dlatego, że wszystko robimy przy aktywnym udziale studentów.

CHUDZIŃSKI: Ale środowiska kulturalne czują się bezpieczne, kiedy rząd zapewnia im określone środki, gdy mają do czynienia z ustabilizowanymi instytucjami kultury.

HAUSNER: Jeśli pyta mnie pan, czy mają być publiczne instytucje kultury, to odpowiadam: mają być. Ale jeśli pytanie brzmi, czy te publiczne instytucje kultury są dla kultury najważniejsze, to odpowiadam, że nie są. A jeśli w dodatku są jedynym obszarem polityki kulturalnej, to w konsekwencji wypychają żywą tkankę kultury w struktury działań często zrutynizowanych i zbiurokratyzowanych.

CHUDZIŃSKI: W jednym z wywiadów określił się Pan jako socjalliberał. Co to właściwie znaczy?

HAUSNER: Uważam się za człowieka lewicy. W moim myśleniu kluczowe kategorie to wolność, podmiotowość, samorządność, sprawiedliwość i rozwój. Te fundamentalne wartości odnoszą do państwa, gospodarki, w tym rynku, społeczeństwa i kultury. Jestem zwolennikiem gospodarki rynkowej, ale rozumiem, że muszą istnieć granice urynkwienia, komercjalizacji. I są one potrzebne od strony państwa, ale też od strony społeczeństwa – kultury oraz gospodarki. W tym ostatnim obszarze potrzebna jest i gospodarka publiczna, i ekonomia społeczna. Tym też się zajmuję. Staram się te różne żywioły połączyć w sposób wyzwalający ich potencjały, pomnażający zdolność ludzi do refleksji, podmiotowości, samorządności. Gdy myślę o państwie, to jako sprawa najważniejsza jawi mi się kwestia wolności i jej respektowania, a z punktu widzenia społecznego – podmiotowość jednostki i podmiotowość wspólnoty.

CHUDZIŃSKI: A gdyby na to spojrzeć z punktu widzenia lewicy?

HAUSNER: Dzisiaj lewica musi nauczyć się odpowiadać na globalne wyzwania innym niż dotąd językiem. Nie mogą to być zaklęcia, slogany czy formułki. Jeśli mówimy, że sprawą podstawową jest dla nas sprawiedliwość społeczna, to musimy precyzyjnie opowiedzieć, czym ona jest i jak zamierzamy ją zapewnić. Odpowiedź musi być jasna i przekazana w sposób zrozumiały dla każdego. A tego na polskiej lewicy nie widzę. Zgubiła swój czas i niewiele czyni, aby go odzyskać.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy za rozmowę, która wymagała dwukrotnego spotkania, co w cyklu rozmów *Trzech na jednego* stało się po raz pierwszy.

Rozmawiali:

**Edward Chudziński
Stefan Ciepły
Filip Ratkowski**

Kraków, 22 czerwca 2015, 6 lipca 2015

JAN GÜNTNER

ABY POSTAWIĆ POLSKĘ Z GŁOWY NA NOGI

Na zebraniu „Kuźnicy” w lutym 2005 roku, oceniając skutki transformacji gospodarczej, określonej dla krajów postsocjalistycznych przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy, jako jeden z warunków administracji amerykańskiej przechodzenia od gospodarki o silnej dominacji państwa do gospodarki rynkowej, Hausner zauważa, że ten sposób myślenia wypracowano w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i Banku Światowym głównie na potrzeby krajów Ameryki Łacińskiej. To właśnie „consensus wasyngtoński” legł u podstaw zmian, które zainicjowano w latach 90. w Polsce i w innych krajach naszego regionu. Oto jego brzegowe dyrektywy: przedsiębiorstwa państwowe muszą zostać sprywatyzowane; państwowe subsydia powinny zostać zniesione; stopy procentowe ma określać rynek, podobnie jak kursy walutowe; działalność gospodarcza ma zostać zderegulowana; prawa własności muszą być chronione i zabezpieczone; reforma podatkowa ma być ukierunkowana na poszerzenie bazy podatkowej przez wprowadzenie powszechnego podatku od towarów i usług (VAT) możliwie na wysokim poziomie; ograniczenia dla bezpośrednich inwestycji zagranicznych powinny zostać zniesione.

Dyrektywą nadrzędną staje się, zatem deregulacja, liberalizacja i prywatyzacja; nad wszystkim dominuje paradygmat monetaryzmu. Hausner ocenia negatywne skutki takiego paradygmatu nie jako spadek po poprzednim systemie gospodarczym, lecz jako efekt tak wdrożonej transformacji. Zalicza do nich: masowe strukturalne bezrobocie, wysoki poziom nierówności dochodowych, szeroką i głęboką strefę ubóstwa i wykluczenia społecznego, nadmierne obciążenie państwa wydatkami socjalnymi, niski poziom infrastruktury technicznej i usług publicznych. Funkcjonowanie sektora finansowego podporządkowano interesom globalnym banków, a nie potrzebom sektora krajowego.

W jego umyśle dojrzewa już własny plan działań, który niebawem przedstawi publicznie.

Sformułowanie koniecznych działań wymagało niemałej odwagi, konsekwencji i zastosowania niezbędnych do tego narzędzi. Miał przecież świadomość niebezpieczeństw i zagrożeń, konfliktów, z jakim trzeba się będzie zmierzyć. Przedłożył zespół posunięć i ich konieczną chronologię. Publicystyka nazwie to później „planem Hausnera”. Program Uporządkowania i Ograniczenia Wydatków Publicznych przyjęty został przez rząd Leszka Millera 27 stycznia 2004 roku, jego realizacją zajmował się również rząd premiera Marka Belki.

Wg Hausnera dotychczasowy system finansowania wszystkich wydatków na kulturę i sztukę czekają konieczne bardzo istotne zmiany; wymusi je prognozowane przez ekonomistów obniżenie wydatków na kulturę w najbliższych trzech latach zarówno z budżetu gospodarstw domowych, jak i publicznych i prywatnych mecenasów. Po raz pierwszy od pięciu lat instytucje dostaną

mniej pieniędzy. Zmniejszą się także fundusze unijne w związku ze wzrostem inflacji. W związku z tym niezbędne staną się kompleksowe zmiany w sektorze publicznym kultury, otwarcie na sektor prywatny i obywatelski, przyznanie instytucjom pełnej samodzielności i autonomii przy jednoczesnej kontroli wydatków, rezygnacja ministerstwa ze współfinansowania części narodowych instytucji kultury, dywersyfikacja finansowania kultury, stymulowanie prywatnych funduszy za pomocą odpisów podatkowych (np. dla właścicieli remontujących zabytki), powołanie Funduszu Ochrony Dziedzictwa Kulturalnego zasilanego m.in. z kar za samowole budowlane (podobnie jak Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska).

Nie bez ironii w swoim blogu powie o sobie: „Uchodzę za »człowieka dialogu«, osobę, która nawet nadmiernie koncentrowała się na rozmawianiu kosztem rozwiązywania. Zapronowałem w 2003 r. i usilnie dążyłem do zawarcia *Paktu dla pracy i rozwoju*, znaczącego porozumienia między związkami zawodowymi, organizacjami pracodawców i rządem, kiedy sytuacja społeczno-gospodarcza była dramatyczna – i nie da się ze mnie zrobić wroga dialogu. Na podstawie doświadczeń mogę stwierdzić, że w obowiązującej formie dialog społeczny stał się fasadą, za którą ukrywa się korporatystyczna walka o interesy.

Leszek Miller zapowiadał, że w przypadku odrzucenia przez sejm planu Hausnera, konieczne będą przedterminowe wybory Program Uporządkowania i Ograniczenia Wydatków Publicznych Rada Ministrów przyjęła 8 października 2003 r.

W swoim dzienniku, który profesor nazywa *Zamierzennikiem* słuchając muzyki, pod datą 3 kwietnia 2005 roku z humorem, autoironicznie podsumowuje swoją publiczną karierę: „to w ogóle zabawne, ale moja aktywność polityczno-publiczna przejawia się regularnie w trzyipółrocznych cyklach. I sekretarzem KU byłem od grudnia 1980 do czerwca (tego nie jestem pewien) 1984, sekretarzem KK od października 1986 do marca 1990 (to była już funkcja sekretarza wojewódzkiego SdRP), szefem doradców Kołodki, a potem (od lutego 1997) pełnomocnikiem rządu do spraw reformy zabezpieczenia społecznego (od czerwca 1994, faktycznie od maja) do października 1997, natomiast teraz w rządzie byłem od października 2001 do marca 2005. Za każdym razem było to około 42 miesięcy”.

Do tego należy dodać czas prezesowania „Kuźnicy” od 9 marca 2002 do 5 listopada 2005 r. a więc znowu trzy i pół roku.

Przypomnijmy sprawy i sytuacje, jak to się stało, że Jerzy Hausner wszedł na długo w buty, w których nigdy nie miał zamiaru chodzić. Profesor uważa, że są dwie kategorie polityków: od gry politycznej i zdobywania władzy, i od rozwiązywania konkretnych celów społecznych i gospodarczych, bliższych i dalszych, bo

zdobyta władza powinna służyć ich realizacji; siebie zalicza do tej drugiej kategorii.

7 sierpnia 2001 r. tragiczna śmierć wyrwała z szeregów „Kuźnicy”, Andrzeja Urbańczyka, 54-letniego charyzmatycznego polityka, dobrze znanego polskiej opinii publicznej posła na sejm, ówczesnego prezesa Stowarzyszenia „Kuźnica”, człowieka o rozległych horyzontach intelektualnych. Listy wyborcze SLD były w zasadzie już „dopięte”, mimo to w kręgu „Kuźnicy” zrodziła się myśl, aby młody uczony kandydował z krakowskiej listy SLD w miejsce tragicznie zmarłego posła. Najtrudniejszym zadaniem okazało się samo przekonanie Jerzego Hausnera, bo zupełnie nie miał na to ochoty. Dzięki mądrości przyjaciół z krakowskiego SLD sprawa zakończyła się po myśli „Kuźnicy”. Prezydent Kwaśniewski i osoby z centrali SLD poparły starania wychodzące z kręgu naszego Stowarzyszenia. Jerzy Hausner kandydował z Krakowa i wygrał wybory „w cuglach”.

A od 9 marca 2002 r. rozpoczął z górą trzyletnie prezesowanie „Kuźnicy” (do 5 XI 2005). Dla nas był

Rada Stowarzyszenia

„Kuźnica”

przyznaje

Jerzemu Hausnerowi

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu Jego

- ▶ wytrwałości w dociekaniu, co pusuje więzi społeczne oraz organizmy gospodarki i kultury, a równocześnie w poszukiwaniu realnych dróg naprawy i rozwoju,
- ▶ umiejętności przekształcania myśli w czyn,
- ▶ wielkiego dorobku uczonego i nauczyciela młodych,
- ▶ wierności „Kuźnicy” i wartościom demokratycznej lewicy.

Kraków, 28 kwietnia 2015 r.

okres bardzo intensywnych kontaktów zewnętrznych, W „Kuźnicy” ulokował swoje biuro poselskie, wyposażył nas w niezbędne narzędzia logistyczne; stąd kierował swoimi kontaktami z sejmem, rządem, osobistościami życia publicznego, partiami politycznymi, mediami, które rywalizowały o kontakty z nim, wywiady, teksty nie zawsze w szlachetnych intencjach. „Zdaniu” powierzał swoje istotne teksty. Na naszych walnych zebraniach Jerzy Hausner testował swoje pionierskie myśli strategiczne poświęcone paradygmatom lewicy, populizmu, zagrożenia miękkim państwem, pozorom zmian, stagnacji pomieszanej z anarchią. W naszym gronie prezentował węzłowe problemy gospodarki, rozważania o nieuchronnej konieczności przełomu застоju, bezrobocia, deficytu budżetu, zadłużenia, spadku rentowności, tworzenia warunków do zrównoważonego rozwoju i warunków prawno-ustrojowych, niezbędnych do odwrócenia niebezpiecznych dla społeczeństwa i gospodarki trendów. Był to dla „Kuźnicy” czas owocny i niezwykle intensywny.

Pod datą 26 września 2005 roku, słuchając muzyki Beli Bartoka sporządza na własny użytek bilans swoich wysiłków. Ekstrapolując prognozowane wyniki przyszłych wyborów poddaje je następującej prognozie: „SLD będzie w tej chwili najbardziej gonione przez rządzącą prawicę i nie zagra pierwszych opozycyjnych skrzypiec. W dodatku odśrodkowe podziały i rozbieżne ambicje nie zginęły”.

Sytuację przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi widzi następująco: „Koalicję PiS i PO czeka jeszcze traumatyczna rywalizacja prezydencka. Nie wierzę, że Kaczyńscy odpuszczą, chcą pełni władzy. Wymiana ciosów będzie ostra, a potem rządzić będzie jeszcze trudniej”. Dostrzega zagrożenia tarć parlamentarnych: „LPR i Samoobrona będą od początku grały na rozbitcie nowego koalicyjnego układu (POPiS) i doprowadzenie do wcześniejszych wyborów, zanim lewica się odbuduje. Czekają nas zawirowania i igrzyska – ponury czas”.

Jeszcze bardziej surowo ocenia sam siebie: „Dalsze trwanie w polityce nie ma dla mnie żadnego sensu. Muszę zrobić w tył zwrot. Zamierzam możliwie szybko złożyć rezygnację z funkcji wiceprzewodniczącego Partii Demokratycznej, pozostając członkiem partii. W listopadzie kończy się też moje przewodniczenie „Kuźnicy”, o czym Kurz już wie, ale musi teraz do tego doprowadzić. Zajmę się wyłącznie działalnością akademicką i ekspercką, a publiczną tylko z tych pozycji (...) Teraz najważniejszy jest GAP czyli Katedra Gospodarki i Administracji Publicznej. Szczególnie muszę zapanować nad funkcjonowaniem MSAP” (Małopolska Szkoła Administracji Publicznej – wydzielona część Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie).

Dziś, z perspektywy lat spoglądając na czas miniony, zadajemy sobie i Tobie, Laureacie, pytanie czy, składając Cię do kandydowania z Krakowa, nie wyświadczyliśmy Ci czasem „niedźwiedziej przysług”?

Za lata spędzone wspólnie, za czas i zmagania, „aby postawić Polskę z głowy na nogi”, „Kuźnica” dziękuje Ci za to, co uczyniłeś dla niej jako prezes, za to, że określiłeś jasno stojące przed państwem polskim cele i jednoznacznie wskazałeś narzędzia, którymi należy je zrealizować. Czynimy to w jedyny możliwy dla siebie sposób: nadając Ci w dniu 28 kwietnia 2015 roku KOWADŁO. ■

HIERONIM KUBIAK

JANUSOWE OBLICZE POPULIZMU*

Uwagi wstępne

Populizm, podobnie jak większość ważnych terminów używanych w językach nauk społecznych zarówno w celach idiograficznych (w rozumieniu Wilhelma Windelbanda, gdy poznanie ogranicza się wyłącznie do opisu faktów jednostkowych), jak i eksplanacyjnych (tj. wyjaśniających np. dlaczego w określonych warunkach zbiorowości – wspólnoty i stowarzyszenia – zachowują się w określony sposób, a także z jakich powodów w pewnych fazach życia publicznego retoryka skażona korupcją dyskursu politycznego znajduje swych zwolenników, a w innych nie) należy do zbioru nazw polisemantycznych. Czasami, w określonych stanach życia społeczno-politycznego, towarzyszy jej konotacja neutralna, podczas gdy w innych – emocje pozytywne lub negatywne. Co więcej, wbrew pozorom, nie jest to nowa kategoria pojęciowa, lecz ma długie dzieje, sięgającą przełomu IV – III w p.n.e. W metaforycznym sensie jest więc z populizmem co najmniej tak jak z dwiema twarzami staroitalskiego Janusa, bóstwa biegu słońca: podczas gdy jedna zwrócona jest w tył, druga w przód. Obie jednocześnie oznaczają natomiast przeszłość i przyszłość, początek i koniec, wejście i wyjście. Janusowe oblicze jest zatem *zagadkowe, zmienne, dwuznaczne; dwustronne*¹.

Z tych też powodów większość podręcznikowych, a także słownikowych definicji populizmu, nawet naj-

lepiej zbudowanych, nie dociera do istoty tego zmiennego w czasie fenomenu. Aby uniknąć niejednoznaczności, redaktorzy *The American Heritage Dictionary of the English Language* decydują się na użycie dwu definicji jednocześnie. Pierwsza z nich odwołuje się do zbiorowego aktora amerykańskiej sceny politycznej z końca XIX w. i stwierdza, że termin populizm upowszechnił się pod wpływem działań *the Populist Party* (nazywanej także *People's Party*). Druga, semantycznie szersza, znajduje *differentia specifica* populizmu w politycznej filozofii *directed to the needs of the common people and advocating a more equitable distribution of wealth and power*². [...]

Wielu współczesnych badaczy ruchów społecznych, partii i systemów politycznych (zarówno totalitarnych, jak i autorytarnych, a także demokratycznych) oraz ideologii (w tym nacjonalizmu) w ogóle wątpi, czy populizm jest definiowalny. Wątpliwość tego typu nieobca jest nawet analitykom tej klasy, co Guy Hermet³. Co więcej, uważa on, iż współcześnie termin „populizm” staje się coraz mniej ostry. Jeśli nawet kiedyś dało się go sprowadzić do antyelitystycznego i zarazem protestacyjnego „przejściowego zakłócenia polityki” lub jeszcze inaczej – krótkotrwałego, lecz „chronicznie powracającego zakłócenia ustroju przedstawicielskiego” pod wpływem „kryzysów politycznych

* Skrócona wersja artykułu opublikowanego w „Krakowskich Studiach Międzynarodowych”, nr 4 (VIII), Kraków 2011.

¹ Władysław Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985, s. 424.

² *The American Heritage Dictionary of the English Language*, Houghton Mifflin Company, Boston – Palo Alto 1979, s. 1020.

³ Por. zwłaszcza rozważania przedstawione w jego książce *Les populismes dans le monde. Une histoire sociologique, XIXe – XXe siècle*, Fayard, Paris 2001.

lub gospodarczych”, to dziś staje się on „najczęściej używanym narzędziem zwykłej gry politycznej”, prowadzonej zarówno przez *podżegaczy* „antysystemowych”, jak i aktorów „reprezentujących panujący ustrój polityczny”⁴. [...]

Spośród polskich definicji populizmu dążących do ukazania jego istoty na uwagę zasługują zwłaszcza trzy. Pierwsza z nich uważa populizm za nazwę „określającą formę ruchów i myśli politycznej głoszącej hasła polityczne, ekonomiczne lub społeczne łatwo trafiające do przekonania, o zabarwieniu emocjonalnym i antyintelektualnym, wyrażającym tęsknotę za prostymi rozwiązaniami trudnych problemów oraz zgodnych z oczekiwaniami większości”⁵. Druga dostrzega w populizmie specyficzną „odповідź na problemy modernizacji przybierającą formę ideologii, ruchów i tendencji politycznych, opartych na wieloklasowej koalicji interesów”⁶. Wreszcie, trzecia definiuje populizm jako niespójną ideologię, „której rdzeniem jest przekonanie, że wszystkie problemy społeczne da się rozwiązać, jeśli posłucha się tzw. »prostego człowieka«; populizm jest antyelitarny oraz antykorporacyjny i wyrasta z reguły na proteście o podłożu ekonomicznym”⁷.

Nie znaczy to jednak, iż w polskich środowiskach intelektualnych nie ma również zwolenników całkowicie odmiennych punktów widzenia. Nawiązują oni po części do wcześniejszych konstatacji Immanuela Wallersteina i Zygmunta Baumana, a także nowych kierunków poszukiwań, swoistych np. dla Slavoj Żižka czy Margaret Canovan.

* * *

Sytuacja od I wojny światowej do globalnego kryzysu gospodarczego w pierwszej dekadzie XXI w.

Koniec I wojny światowej i następujące po niej XX stulecie przynoszą wiele zdarzeń i procesów brzemiennych w skutki także dla ruchów, organizacji, ideologii i polityk populistycznych. W Rosji zwyciężyła rewolucja obalająca nie tylko władzę carów, ale i wolny rynek, a także prywatną własność środków produkcji, choć jednocześnie przynosi tragiczne skutki, o których narodnicy nawet nie przypuszczali, że są możliwe. W Niemczech, Włoszech i Portugalii dochodzą do władzy charyzmatyczni przywódcy, wsparci przez masy gotowe oddać własną wolność, za pracę i bezpieczeństwo socjalne. Gwałtownie rozwija się antysemityzm prowadzący w latach wojny do Holocaustu. Z całą mocą ujawnia się skrajny nacjonalizm, wsparty teoriami szkoły rasowo-antropologicznej głoszącej wyższość jednych ras nad innymi. Dojrzewa nowo-

czesny kapitalizm, choć nie we wszystkich krajach jednakowo szybko, zmieniający strukturę społeczną i generujący nowe konflikty klasowo-warstwowe. Ogromne środki przeznaczane są na zbrojenia. Liga Narodów nie radzi sobie ze złożonością problemów międzynarodowych. Powstają nowe państwa. Hekatomba II wojny światowej. Konferencje w Jałcie i Poczdamie legalizują na ponad czterdzieści lat podział ideologiczny, polityczny, ekonomiczny i militarny Europy i świata. Nawet tam gdzie nie ma kontroli bezpośredniej wymuszonej siłą, o biegu wypadków decyduje i tak dominacja jednej ze stron podzielnego świata. Kończy się epoka kolonializmu, ale nie maleje – w każdym razie w tym samym tempie – kumulacja biegunów bogactwa i nędzy. Groza prawdopodobnej wojny nuklearnej. Jednocześnie jednak pojawiają się pierwsze światła w groźnym tunelu. Choć ONZ nie zawsze spełnia łączone z nią oczekiwania, to jednak stwarza namiastkę bezpieczeństwa. Deklaracja Praw Człowieka ONZ ulega w wielu krajach jurydykacji. Nadzieje wnosi helsińska Konferencja KBWE. Nieprawdopodobnie szybko rozwijają się nieznanne wcześniej nośniki masowej komunikacji. Gospodarka globalizuje się, choć zaczyna brakować niektórych surowców, a społeczeństwa europejskie i w Ameryce Północnej przechodzą przez kolejne fazy zmian. Rozwinięte i nowe społeczeństwa przemysłowe stają się społeczeństwami poprzemysłowymi.

Na horyzoncie zmian coraz wyraźniej pojawia się wizja – już nie tylko jako utopia – społeczeństwa informacyjnego. Polska „Solidarność” przyspiesza upadek realnego socjalizmu, a wyścig cywilizacyjny – wraz z towarzyszącym mu wyścigiem zbrojeń – wywołuje implozję ZSRR. Zostaje zdemontowany mur berliński, symbolizujący dawny podział świata. Unia Europejska w pierwszych latach XXI w. staje się już wspólnotą zdecydowanej większości krajów europejskich.

Na Starym Kontynencie powstaje nowy dekalog: Karta Praw Podstawowych oraz potężna przestrzeń umożliwiająca transgraniczny ruch bez paszportów. Migracje międzynarodowe, potężniejszą z roku na rok kierują się teraz nie tylko do USA, lecz i do Europy oraz niektórych krajów arabskich. Islam, zarówno ten z hasłem świętej wojny, jak i jako fenomen kulturowy, jest coraz bardziej widoczny – także przez meczety i wieżyczki minaretów w wielu krajach europejskich – do niedawna prawie wyłącznie – chrześcijańskich. Przyspieszeniu ulegają zmiany polityczne i gospodarcze w Ameryce Łacińskiej oraz Azji. Kraje symbolizowane akronimem BRICH (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny) rozwijają się szybciej od tradycyjnych potęg przemysłowych i to bez koniecznej korelacji (jak do niedawna się wydawało) pomiędzy poziomem rozwoju gospodarki a imperatywami konstytuującymi systemy polityczne współczesnej demokracji. W ten optymistyczny, jak się wydawało, proces ingeruje jednak w końcu pierwszej dekady XXI w. kolejny wielki światowy kryzys gospodarczy.

Jak na te procesy reaguje populizm? Aby się o tym przekonać, należałoby analizie poddać ruchy populistyczne w dwu przeciwstawnych, i to pod wieloma względami, grupach krajów: południowo-amerykańskiej oraz europejskiej. Ze względu na ograniczoną objętość tego tekstu oraz artykuł Tadeusza

⁴ Zob. Guy Hermet, *Przemiany populizmu*, (w:) Jean-Michel De Waele i Anna Pacześniak (red.) *Populizm w Europie. Defekt i przejaw demokracji?* Oficyna Naukowa, Warszawa 2010, s. 35.

⁵ Kazimierz Dziubka, *Populizm* (w:) Andrzej Antoszewski, Ryszard Herbut (red.), *Leksykon politologii*, wyd. III, atlas 2, Wrocław 1997, s. 312.

⁶ Maria Marczevska-Rytko, *Populizm*, (w:) Marek Chmaj i Wojciech Sokół (red.) *Mała encyklopedia wiedzy politycznej*, wyd. II popr. I uzup., Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2002, s. 262; zob. także M. Marczevska-Rytko, *Populizm. Teoria i praktyka polityczna*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995.

⁷ Edmund Wnuk-Lipiński, *Socjologia życia publicznego*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2005, s. 347.

Palecznego poświęcony wyłącznie problematyce latynoamerykańskiej, w kwestiach związanych z pierwszą grupą krajów ograniczę się jedynie do kilku konstatacji ogólnych, koncentrując zasadniczą uwagę na krajach europejskich.

Populizm latynoamerykański

Populizm latynoamerykański skupia, jak w soczewce, wszystkie odmiany ruchów, ideologii, programów politycznych i polityk uważanych za populistyczne. Ma on również pewną cechę dodatkową, wynikającą z dominującej w tym regionie świata pozycji Stanów Zjednoczonych. Poczynając od *Monroe Doctrine* (proklamowanej 2 grudnia 1823 r.) Stany uważały Amerykę Południową za obszar zamknięty dla dalszej kolonizacji przez mocarstwa europejskie, a po *Roosevelt Corollary* z 1904 r. także za swoją wyłączną strefę wpływu, aż do prawa do ingerencji w sprawy wewnętrzne każdego z latynoskich państw. Polityka realizowana na podstawie tych doktryn, opisywana przez jej przeciwników jako *the big stick*, doprowadziła do wojskowych interwencji USA na Karaibach, a także w państwach Ameryki Centralnej. I dopiero w latach 30. i 40. zastąpiona została przez politykę „dobrego sąsiedztwa” (*Good Neighbor Policy*) i współpracy gospodarczej obu Ameryk. Jednak i wtedy obawa przed niekontrolowanym wpływem – ideologicznym i militarnym – ZSRR na kraje tego regionu doprowadziła do wsparcia przez Stany tamtejszych dyktatur. Czynniki polityczno-militarne, połączone ze zdecydowaną przewagą gospodarczą Stanów, wytworzył w wielu środowiskach Ameryki Południowej nastroje antyamerykańskie, wykorzystywane również przez ruchy populistyczne, etniczne i nacjonalistyczne. Ponadto służyły one często jako zastępcze, a zarazem łatwe, wyjaśnienie przyczyn niepowodzeń polityki wewnętrznej.

Mówiąc najogólniej, trzeba się zgodzić z G. Hermet, iż Ameryka Południowa doświadczyła w miarę upływu lat wszystkich znanych odmian populizmu. Część z nich, a zwłaszcza te, które rozwijały się w latach trzydziestych i czterdziestych XX w., charakteryzowała się cechami swoistymi dla *kanonu klasycznego* (m. in. posiadała charyzmatycznych przywódców, głosiła hasła antyimperialistyczne – w praktyce antyamerykańskie i etniczne – zwłaszcza indiańskie, przeciwstawiała się białym elitom, opowiadała się za interwencjonizmem państwowym, generowała autorytarne systemy polityczne). Inne, dominujące zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach XX w. i na przełomie XX i XXI w., a więc w warunkach triumfującego ortodoksyjnego liberalizmu rynkowego, bliższe były *kanonowi neopopulistycznemu*. W obu przypadkach populizm miał jednak wspólne naturalne podłoże. Tworzyła je bieda oraz interferencja problemów społecznych (zwłaszcza właściwych dla środowisk chłopskich) z narodowymi, co wiąże się zapewne ze specyficznym przebiegiem procesu powstawania wspólnot narodowych w krajach Ameryki Łacińskiej⁸.

Co zostało z dawnych ruchów populistycznych do dziś? Czy tylko stereotypy i lęki odłożone w pamięci zbiorowej? Zapewne także pamięć o konkretnych ruchach np. o zapateryzmie oraz o ruchach do niego –choćby pod pewnymi względami – podobnych⁹. Problem sam w sobie zawiera się ponadto w pytaniu o to, czy ruchy populistyczne, ich ideologie i formy działań ewoluują wszędzie w ten sam sposób. Aby sensownie odpowiedzieć na to pytanie, potrzebne są szerokie badania komparatystyczne, obejmujące swym zakresem sytuacje nie tylko tak różne jak np. w krajach latynoamerykańskich i Europy Środkowej oraz Wschodniej, ale także Azji (np. Indii Południowych). O tym, jak są one fascynujące, a jednocześnie trudne, przekonuje książka Ryszarda Stemplowskiego (red.) *Europe and Latin America- Looping at Each Other*¹⁰.

Po teoriach socjologicznych i politologicznych analizujących dziewiętnasto- i dwudziestowieczny populizm utrwaliło się przekonanie, że: 1/ populizm zrodził się z aksjomatu (*notabene*, nie poddającego się, jak każdy aksjomat, racjonalnej weryfikacji i, co więcej, nie wymagający takiej weryfikacji), iż wartości stanowiące podstawę życia społecznego – egalitaryzm, sprawiedliwość, wspólnotowość, uczciwość, mądrość – dane są ludowi (najczęściej utożsamianemu z chłopstwem) z natury; zatem, lud jest ich jedynym depozytariuszem, 2/ populizm pozostaje w opozycji wobec elit – intelektualnych, kulturalnych, politycznych – ponieważ widzi w nich zagrożenie dla syndromu tradycji stanowiących podstawę życia dawnych wspólnot ludzkich, z reguły preliteralnych, opartych o międzygeneracyjny przekaz (poczynając od socjalizacji pierwotnej) systemów wartości, ról społecznych, kulturowych wzorów osobowości i zasad działania instytucji, 3/ zasadniczym czynnikiem determinującym politykę jest wola ludu, dlatego też władze działające w każdym z zakresów życia publicznego muszą tej woli podporządkować interesy innych, mniejszościowych, kategorii społecznych; 4/ postawy roszczeniowe wobec państwa i jego instytucji oraz klas/warstw wyżej usytuowanych w strukturze społecznej są uzasadnione, jeśli przyjmowane przez państwo i elity rozwiązania nie znajdują akceptacji ludu; 5/ relacje pomiędzy przywódcami (charyzmatycznymi, ale także dyktatorami) i masami ludowymi muszą być bezpośrednie, nie zakłócone żadnymi hierarchicznie uporządkowanymi instytucjami przedstawicielskimi; 6/ w ludzie tkwią korzenie wspólnot narodowych; *ergo*, nazwy *lud* oraz *naród* są semantycznie tożsame, a *nacjonalizm* wyraża te tożsamości i stanowi zarazem naturalną podstawę tożsamości (zbiorowej i indywidualnej), a także postaw i polityki wobec obcych; 7/ procesy modernizacyjne, zwłaszcza we wspólnotach, które nie przeszły kolejnych faz stawania się społeczeństwa przemysłowego i poprzemysłowego, traktowane są przez populizm jako zagrożenie generowane przez obce interesy; wreszcie, 8/ „syndrom populistyczny wykracza poza ramy konkretnych ideologii czy systemów politycznych i może być traktowany jako pewien wymiar kultury politycznej w ogóle”¹¹.

⁸ Por.: 1/ G. Hermet, op. cit, s. 36-48, 2/ Ruth Bernie Collier i David Collier, *Shaping the Political Arena: Critical Junctures, the Labor Movement, and Regime Dynamics in Latin America*, Princeton University, Princeton, NJ, 1991 r., 3/ Marcin Kula, *Historia Brazylii*, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław-Lódź 1987, 4/ Tadeusz Łepkowski, *Historia Meksyku*, Zakład Narodowy imienia

Ossolińskich, Wrocław-Lódź 1986.

⁹ Por. Alex Khasnabish, *Zapatistas. Rebellion from the Grassroots to the Global*, Zed Books, London & New York, 2010.

¹⁰ Polish Institute of International Affairs, Warsaw 2010.

¹¹ Por. Jan Nawrocki, *Populizm*, (w:) *Encyklopedia socjologii*, tom 3, Oficyna Naukowa, Warszawa 2000, s. 150-151.

Czy jednak te uogólnienia wystarczają do opisu i interpretacji europejskich ruchów populistycznych z końca XX i pierwszych dekad XXI w.? Wydaje się, że tylko w pewnym stopniu.

Populistyczna twarz dzisiejszej Europy

Jedną z cech charakterystycznych współczesnej Europy jest stan swoistego chaosu. Starej Europy, posadowionej na resztkach postfeudalnych kulturowych archetypów oraz strukturze społecznej i podziale pracy wytworzonej przez następujące po sobie fazy rozwoju społeczeństwa przemysłowego już nie ma, a nowa Europa – społeczeństw informacyjnych – znajduje się dopiero w stadium *in statu nascendi*. Stan ten powoduje jednoczesne istnienie obok siebie co najmniej trzech odmian populizmu: *klasycznego*, sięgającego korzeniami do syndromu ludu jako naturalnego praźródła prawości i uzasadnionych interesów, *lewicowego*, wspartego o różne wersje publicystycznie pojętego socjalizmu oraz *prawicowego*, broniącego *status quo*: strukturalnego, politycznego, ekonomicznego i narodowego.

Wszystkie te postaci populizmu zdają się jednak mieć dwie wspólne właściwości: po pierwsze, żadna z nich nie wynika z przesłanek dających się obronić po krytycznej analizie oraz po drugie, każdej brakuje prognostycznej, nawet średniego zasięgu, wizji przyszłości, obejmującej nie tylko skutki działań celowych *hic et nunc*, lecz również niezamierzone (w tym nieodwracalne) konsekwencje obecnych przedsięwzięć w czasie przyszłym. Większość ludzi zdaje się nie interesować przyszłością i postrzega ją jako egzystencję jako zawieszoną w czasie teraźniejszym, tak jakby reszta ich życia nie miała być spełniona dopiero w czasie przyszłym.

Ruchy populistyczne klasycznego typu zanikają, co wiąże się zapewne z przeobrażeniami współczesnej gospodarki, w tym rolnictwa. Byli chłopci stają się rolnikami. Dawny syndrom kulturowy chłopca jest coraz szybciej wypierany przez rządzący się swoimi prawami zawód. Wielkie masy z Wandei nie maszerują już, jak w latach 1793-1796, na Paryż, a jeśli nawet, to nie w obronie tradycyjnych wartości i dawnego stylu życia, lecz swej nowej sytuacji – jako producentów i konsumentów – na rynku towarów i usług. W efekcie, wyrastające kiedyś z chłopskich interesów ruchy i potężne partie polityczne kurczą się z roku na rok. W krajach, gdzie nadal pozostał silny tradycyjny katolicyzm, jak np. w Polsce, zastępują je nowi aktorzy sceny politycznej, odwołujący się jednocześnie do środowisk naznaczonych bez mała endemicznym ubóstwem, zamieszkałych zarówno w spauperyzowanych wsiach, jak i małych miastach oraz enklawach biedy miast dużych – dawnych monokultur przemysłowych. W krajach takich jak Polska, powstające teraz ruchy populistyczne i partie adresujące swoje programy polityczne do analogicznych środowisk szukają z reguły wzmocnienia w księżach, zakonnikach oraz tej części laikatatu Kościoła katolickiego, którą dzisiejsze nauki społeczne określają jako *wykluczonych*, a jednocześnie nie akceptujących swego położenia. A o tym, że biedacy patrzą podejrzliwie na pomyślność bogaczy, wiedzano już w starożytnym Rzymie¹².

Przykładem europejskiego populizmu klasycznego są np. współczesne polskie ruchy, które doprowadziły do powstania „Samoobrony” oraz Prawa i Sprawiedliwości. Jeżeli „Samoobrona”, ruch o rodowodzie chłopskim szybko znikła ze sceny politycznej to Prawo i Sprawiedliwość na długo zapewne pozostanie jej trwałym elementem. Dlaczego? Ponieważ Prawo i Sprawiedliwość wyraża sobą frustrację liczącej się (szacując na podstawie sondaży z wiosny 2011 r. – ok. ¼) części polskiego społeczeństwa. Transformacja systemowa pozostawiła w tych środowiskach traumatyczny ślad. Zagubieni, sfrustrowani i pełni gniewu szukają wsparcia w Kościele instytucjonalnym i Radiu Maryja o. Tadeusza Rydyzka, autokratycznych przywódcach i archaicznych nacjonalistycznych stereotypach. Za bezpieczeństwo socjalne gotowi są oddać swemu przywódcy – na podobnych zasadach jak siedemdziesiąt lat temu opisał ten fenomen Erich Fromm¹³ – nie tylko głosy w wyborach parlamentarnych czy prezydenckich, lecz również własną wolność. Nie łączą ponadto swej przyszłości z integracją europejską¹⁴.

Populizm lewicowy, choć na skutek doświadczeń wyniesionych z okresu realnego socjalizmu i pod ciężarem prawdy o radzieckich gułagach nie przeżywa swych złotych dni, to jednak nadal poszukuje dla siebie miejsca w życiu publicznym. Co więcej, ma wiele twarzy. Zorganizowany w związki zawodowe, manifestuje swój sprzeciw wobec rzeczywistości w masowych strajkach, często paraliżujących wielkie miasta, a nawet stolicy. Skupiony w szczytkowych strukturach dawnych partii komunistycznych, wegetuje na obrzeżach współczesnych procesów. Najbardziej żywotne – i jako ruch intelektualny i jako skuteczne partie wyborcze – są natomiast orientacje socjaldemokratyczne (nazywane czasami po prostu socjalistycznymi). Co je różni od klasycznych ruchów populistycznych? Lionel Jospin wyjaśnia sens współczesnej socjaldemokracji następująco: *social democracy is a way of regulating society and putting the market economy at the service of the people. It is an inspiration, a way of being, a manner of acting, based upon both democratic and social values*¹⁵. Partie tego typu skupione są w PSE (Europejskiej Partii Socjalistycznej), posiadają silną reprezentację w Parlamencie Unii Europejskiej. Lewicowy ruch intelektualny animowany jest natomiast przez fundacje (typu Friedrich Ebert Stiftung) oraz stowarzyszenia (niektóre z nich, np. brytyjskie Fabian Society, mają ponadstuletnią tradycję).

W środowiskach intelektualnych uwaga skupiona jest najczęściej na wizjach programowych, które byłyby nie tylko adekwatne do potrzeb teraźniejszości, ale

¹² Cornelius Nepos (I w. p.n.e. w *De viris illustribus XII*, 3 pisał: *Non animo aequo pauperes alienam opulentiam intuentur fortunam.*

¹³ Por. Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, Czytelnik, Warszawa 1970. Książka wydana została po angielsku pod dwoma różnymi tytułami: w Londynie w 1942 r. pod tytułem *The Fear of Freedom* oraz w Stanach Zjednoczonych pod tytułem *Escape from Freedom*. Fromm chce wyjaśnić skąd się bierze wśród jemu współczesnych *ucieczka od wolności* i dochodzi do wniosku, iż jest ona emanacją strachu przed wolnością.

¹⁴ Zob. Hieronim E. Kubiak, *La rhétorique anti-européenne des partis politiques polonaise Le cas de Samoobrona (Autodéfense) et de la Ligue des familles polonaises (LPP)*, (w:) Jean-Michel De Waele (ed), *La Pologne et l'intégration européenne*, Editions de L'université de Bruxelles, Bruxelles 2003, s. 43-56.

¹⁵ Lionel Jospin, *Modern Socialism*, Fabian Society, London 1999, s. 1.

także ją wyprzedzały. W środowisku brytyjskim, tym związanym zarówno ze szkolnictwem wyższym, jak i stowarzyszeniami o randze the Fabian Society, jeden z nurtów poszukiwań nazwano – za Anthony Giddensem – „trzecią drogą”¹⁶. W punkcie wyjścia tych analiz znajduje się pytanie o to, jak można połączyć skuteczny wolny rynek z rozumnym interwencjonizmem państwowym. Wg. Giddensa, społeczeństwo przyszłości, do którego prowadzi droga wyznaczona pomiędzy liberalnym kapitalizmem a socjalistycznym systemem wartości (właśnie ta „trzecia droga”) zacznie się od odrodzonego społeczeństwa obywatelskiego zorganizowanego w nowe demokratyczne państwo prawa. W jego ramach, przy wykorzystaniu dynamiki rynku, realizowane będą inwestycje społeczne programowane wg prymatu interesu publicznego. Wreszcie, społeczeństwo to będzie miało otwarty stosunek do zjawisk epoki globalizacji.

W środowisku polskim podobne ambicje, chociaż nie tożsame z wizją „trzeciej drogi”, kierują intelektualistami skupionymi wokół Centrum im. Aleksandra Małachowskiego oraz klubów polskiej lewicy (typu krakowskiego Stowarzyszenia „Kuźnica”), wspieranych przez różne fundacje (zwłaszcza Fundację im. Kazimiera Kelles-Krauza oraz Fundację Róży Luksemburg). Efektem tych ambicji poznawczych i politycznych jest m. in. książka Janusza Reykowskiego, Krzysztofa Janika i Lecha Nikolskiego (red.), *Projekt dla Polski. Perspektywa lewicowa*¹⁷.

Nowym zjawiskiem, zarówno wobec ruchów rozwijających się wg klasycznego populistycznego paradygmatu, jak i wzorów nowoczesnej socjaldemokracji, są natomiast dynamicznie rozwijające się prawicowe ruchy populistyczne. Pod wpływem ich nasilenia i widoczności Adam Krzemiński napisał: „Widmo krąży po zachodniej demokracji. Widmo populistycznego rokoszu przeciwko elitom. Nadchodzi kontrewolucja”¹⁸. Ich genezę należy zapewne łączyć z dynamiką zmian zachodzących na naszym kontynencie. Prawicowe środowiska populistyczne uważają, że: 1/ do Europy napływa zbyt wielu imigrantów, a pod ich wpływem komplikuje się krajobraz kulturowy oraz religijny, zwłaszcza starych krajów UE; dominujące dotychczas chrześcijaństwo musi się teraz zmierzyć z islamem oraz buddyzmem i właściwymi im wzorami kultury (tak wysokiej, jak i życia codziennego), 2/ integracja w ramach Unii Europejskiej zagraża narodowym tradycjom i tożsamościom budowanym od stuleci na ich podstawach, 3/ nowa wielokulturowość dezintegruje zachodni syndrom wzorów wychowawczych, wartości i praw człowieka (w tym stanowiących podstawę równości płci), a także wywołuje konflikt lojalności państwowej (zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych), 4/ nowi imigranci korzystają ze służby zdrowia i świadczeń socjalnych, na wytworzenie których nie pracowali, a ponadto 5/ dezorganizują rynek pracy i wywołują nowe konflikty społeczne.

Prawicowe ruchy populistyczne widzą w tych i innych nieakceptowanych przez siebie zmianach (np. rosnącej biurokracji brukselskiej, ograniczającej – ich zdaniem – kompetencje władz krajowych i regionalnych) symptomy rewolucji i chcą się im przeciwstawić. Niektó-

rzy interpretatorzy widzą w tych dążeniach pewne analogie do wspomnianej już wcześniej amerykańskiej ruch the Tea Party. Niezależnie od różnic, prawicowe populistyczne ruchy europejskie i ruch amerykański mają jedną wspólną cechę: nie wierzą politykom i instytucjom przedstawicielskiej (a więc opartej o zasadę większości) demokracji. I skoro nie ufają politykom – postanowiły wkroczyć na polityczną scenę nie tylko w roli *Wutburger* (obywateli wkurzonych), lecz także znaczących aktorów, dostatecznie silnych, aby zatrzymać proces niechcianych zmian, a może nawet cofnąć czas.

Za szczególnie wyraziste europejskie prawicowe ruchy populistyczne uważa się m. in.: 1/ zainicjowany i prowadzony przez Jean-Marie Le Pena Front Narodowy, najstarszy z francuskich powojennych znaczących prawicowych ruchów populistycznych (kierowany obecnie przez jego córkę Marinę), 2/ ksenofobiczne ruchy skrajnej prawicy w Szwajcarii pod wodzą Partii Ludowej (SVP) i jej lidera Christopha Blochera, spychające wielokulturowość tego kraju na bezdroża¹⁹, 3/ drugą edycję ruchu Haidera, tym razem firmowaną przez Heinza Christiana Strache, 4/ ruch Węgrów wspierających działania Victora Orbana, zmierzające do ograniczenia liberalnej demokracji poprzez wprowadzenie do węgierskiego systemu politycznego rozwiązań autokratycznych, 5/ rozwój holenderskiego ruchu zainspirowanego przed laty przez Pima Fortuyna, a prowadzonego obecnie przez Geerta Wildera i jego ksenofobiczną Partię Wolności, oraz analogicznego pod wieloma względami ruchu duńskiego, żądającego zdecydowanego ograniczenia praw politycznych i socjalnych społecznościom imigrantów (nie tylko muzułmańskich, lecz także wytworzonych przez imigrantów pochodzących z krajów należących do Unii Europejskiej, o ile są bezrobotnymi), 6/ populistów niemieckich o podobnej antyimigracyjnej orientacji jak Holendrzy, Duńczycy, Szwajcarzy i część społeczeństwa francuskiego, 7/ wejście do parlamentu Szwecji partii Jimie Akessona, o wyraźnie neonazistowskich tradycjach oraz do parlamentu Finlandii Partii Prawdziwych Finów (pod przywództwem Timo Soini partia ta w wyborach 17 kwietnia 2011 r. zdobyła 17 proc. głosów – co daje PPF 44 mandaty, podczas gdy socjaldemokraci uzyskali w tych samych wyborach tylko 42 mandaty – i stała się znaczącą siłą w fińskim parlamencie).

Ujmując poglądy europejskich populistów w syntetycznym skrócie można powiedzieć, że mają oni już dość politycznej poprawności (zarówno wobec imigrantów, jak i ruchów feministycznych, a także orientacji homoseksualnych), są zmęczeni procesami integracji europejskiej i zaniepokojeni spadkiem znaczenia dawnych narodowych symboli tożsamościowych. Prawicowy populizm przejawia się ponadto w zamieszkach, podpaleniach, obrzucaniu kamieniami demonstrujących przedstawicieli mniejszości, medialnych naciskach na władze samorządowe i państwowe, wybijaniu szyb w budynkach publicznych itd. Niekonwencjonalne formy protestu inicjowane przez prawicowy populizm zaczynają w sposób znaczący współtworzyć w wielu krajach ich klimat polityczny.

¹⁶ Anthony Giddens, *The Third Way. The Renewal of Social Democracy*, Polity Press, Cambridge 2000.

¹⁷ Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 2011.

¹⁸ Zob. „Polityka”, nr 7(2794), 12 lutego 2011 r., s. 23.

¹⁹ Znakomitą ilustracją tych procesów jest nowa książka Andrzeja Porębskiego, *Wielokulturowość Szwajcarii na rozdrożu*, wydanie II, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2011.

Czasami są prowokowane przypadkowymi zdarzeniami – często jednak także celowo organizowane (jak to ma np. miejsce od 2010 r. pod Pałacem Prezydenckim w Warszawie). I w pierwszym i w drugim przypadku są one wyrazistym przejawem nastrojów znaczącej części opinii publicznej lub, jak mówią liderzy nowych prawicowych ruchów populistycznych, emanacją *głosu ludu*.

Czy przytoczone przykłady współczesnych europejskich ruchów populistycznych dowodzą, że wszyscy niezadowoleni z biegu wypadków w sposób stały związali się z jedną z przedstawionych wcześniej orientacji? Bynajmniej. Nie wszyscy są w tym samym stopniu zagubieni. W najgorszej sytuacji znaleźli się skazani ubóstwem, w tym samoodtwarzającym się z pokolenia na pokolenie. W społeczeństwach wysokiego ryzyka zostali oni wykluczeni z głównego nurtu życia społecznego lub są zagrożeni takim wykluczeniem. Ale nawet jeśli biedacy nie przyjmują z pokorą swego losu, choć niektórzy obserwatorzy sądzą, że jest wprost odwrotnie²⁰, to jednak „oszukani i przegrani są w gruncie rzeczy pozostawieni sami sobie. Za ich oburzeniem kryją się już tylko indywidualne oczekiwania, a nie jakiś nowy pomysł na lepsze urządzenie świata. Dawne nadzieje rewolucjonistów i zbawicieli społecznych obróciły się w przedpotopowe skamieliny”²¹.

Co będzie dalej? Bieda nie tylko stygmatyzuje, lecz rodzi również nieobliczalne zachowania, w tym wyborcze wsparcie dla autokratycznych przywódców. Dyktatorzy mogą więc dojść do władzy, zresztą nie pierwszy raz w najnowszych dziejach Europy, poprzez akt demokratycznego głosowania. Czy wobec braku nadziei na lepsze urządzenie świata, głosowanie – nawet spełniając wszystkie standardy *Declaration on Criteria for Free and Fair Elections* ogłoszonej przez Inter-Parliamentary Union w Genewie w 1994 r. – zastąpi „populistycznym rokoszom” dawne rewolucje?

Retoryka współczesnych ruchów populistycznych

Martti Ahtisaari, prezydent Finlandii w latach 1994-2000 i laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 2008 r. przestrzega: „Obywatele muszą być ostrożni wobec populizmów oferowanych przez polityków we wszystkich krajach, łącznie z Finlandią”²². Dlaczego? Ponieważ stosowana przez populistyczne ruchy i ich przywódców retoryka nie sięga do rzeczywistych związków przyczynowo-skutkowych i dających się zweryfikować, racjonalnych argumentów, lecz je po prostu zastępuje wyrażeniami wzmacniającymi ekspresywność wypowiedzi i pytaniami, na które nie oczekuje się odpowiedzi, lecz stawia je włącznie po to, aby dodatkowo pobudzić emocje odbiorców przekazu. Wymiana racjonalności na emocje następuje przy tym nie tylko w trakcie komunikacji werbalnej, lecz również awerbalnej i jest łatwo zauważalna zarówno w prozodii (rytmie, intonacji i innych technikach posługiwania się głosem), jak i prajęzyku: wokalnym (sprowadzającym się do mruknięć, krzyku, śmiechu, szlochu itp.) i niewokalnym (nazywanym często „językiem ciała” [*body language*],

składającym się z różnych kinetycznych zachowań mówcy). Poprzez umiejętne stosowanie tych i innych środków (np. dekoracji, na tle których występuje mówca, a nawet zapachów), pierwotne pola semantyczne powszechnie znanych słów zostają dostosowane do intencji nadawcy przekazu. W każdym z tych przypadków chodzi o wywołanie tego samego efektu końcowego: silnego wpływu, także podprogowego (niepodlegającego kontroli przez odbiorcę) na percepcję przekazu.

Ujmując retorykę wszystkich odmian ruchów populistycznych jeszcze z innej perspektywy, można powiedzieć za Gary C. Woodwardem²³, że jest jej właściwa endogenna korupcja dyskursu politycznego. Korupcja tego typu ma miejsce wtedy, gdy autor przekazu (jednostki lub podmioty zbiorowe: partie oraz koalicje partyjne) świadomie przekraczają w procesie komunikacji politycznej dopuszczalne w sferze publicznej (przez normy prawa stanowionego i zwyczaje) granice funkcji ekspresywnych. Zasadniczym celem takich zabiegów jest utrzymanie już posiadanej lub zdobycie – przynajmniej w określonym zakresie – dostępu do władzy politycznej. W praktyce ustrojów demokratycznych celowe przekraczanie granic funkcji ekspresywnych procesu komunikacji najczęściej występuje w kampaniach wyborczych i jest zależne nie tylko od podmiotów biorących w nich udział, lecz także od stanu – o czym od dawna wiadomo – kultury politycznej głosujących²⁴.

Korupcja dyskursu politycznego przybiera najczęściej jedną z czterech następujących postaci: przymusu, oszustwa, mistyfikacji oraz przesunięcia znaczenia. W pierwszym przypadku wyraża się ona w groźbie (zawartej w wypowiedzi wprost, lub pośrednio) użycia siły, jeśli odbiorca komunikatu będzie się zachowywał inaczej niż tego oczekuje jego nadawca. W drugim – polega na wprowadzaniu do opinii publicznej fałszywych informacji (ale jednocześnie trudnych do zweryfikowania i łatwo przystających do stereotypów utrwalonych w zbiorowej świadomości). W trzecim – sprowadza się do kamuflażu rzeczywistych motywów i ukrycia intencji wypowiedzi za eufemistycznymi, ale dobrze brzmiącymi zbitkami językowymi. W końcu, czwarta postać korupcji dyskursu prowadzi do skrywania niewygodnych faktów za „mgłą nadużywanej terminologii”²⁵.

Korupcja debaty publicznej nie jest obca również polskiej rzeczywistości. Publicystyka ostatnich miesięcy przyniosła m. in. taki jej wyraz: „Nowi oficerowie wykorzystali wszystkie błędy i kłopoty III RP i zbudowali program IV RP. Umiejętnie pobudzili stare strachy i nowe poczucie krzywdy społecznej, zręcznie skomunikowali się z olbrzymim kapitałem niezadowolenia i kompleksów. Zwrócili się do ludu jako przeciwwagi dla skorumpowanych elit, zręcznie stosowali hasła populistyczne i wykorzystali stabilizowaną teledemokrację. A potem się skłócili i zwarli, walcząc nie tylko o władzę, ale także o kształt państwa i jego treść. Druga dekada niepodległości (tj. lata dziesiąte XXI w.) to był czas walki o dusze (...)”²⁶.

²⁰ Por. Christopher Hitchens, *Misjonarska miłość. Matka Teresa w teorii i praktyce*, książka przywołana przez Artura Domosławskiego w artykule *Niewierzący patrzają na beatyfikację*, „Polityka”, nr 6(2793), 5 lutego 2011, s. 23.

²¹ A. Krzemiński, *Wykluczeni*, tamże, s. 25.

²² Cytat za „Gazetą Wyborczą” z 26-27 lutego 2011 r., s. 24.

²³ Zob. jego *Korupcja dyskursu politycznego*, (w:) Jerzy Szczupaczyński (red.) *Władza i społeczeństwo*, Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa 1998, s. 207-215.

²⁴ Gabriel A. Almond, Sidney Verba (eds), *The Civic Culture Revisited*, Little, Brown and Company, Boston – Toronto 1980.

²⁵ G. C. Woodward, op. cit., s. 213.

²⁶ Mariusz Janicki, Wiesław Włodyka, *Trzy kamyki*, „Polityka”, nr 52 (2788), 25 grudnia 2010 r., s. 26.

Aby zwiększyć swój wpływ na przegranych w procesie transformacji i przekształcić ich we własny – twardy – elektorat, jeden z czołowych liderów tej wersji polskiego populizmu chciał nie tyle ich zmienić, co „pogłębić w nich świadomość wykluczenia, krzywdy, niesprawiedliwości. Wzmógł syndrom zagrożenia, wzmacniał lęki (...)”. Nigdy wcześniej nie miał on „takiej mocy, nikt go przedtem tak nie słuchał”²⁷.

Konkluzje

R. B. Collier²⁸ w haśle „populizm” po krytycznej analizie tekstów z lat 1955-1999 (głównie J. Hicksa, G. Germaniego, R. Pipesa, T. Di Tella, L. Goodwyna, G. Ionescu, E. Gellnera, E. Laclau, M. Conniffa i P. Targarta) stwierdza nie bez racji, iż „Etykieta populizmu była dołączana do tak różnorodnych ruchów politycznych – prawicowych i lewicowych, inicjowanych od góry i od dołu, że trudno jest w tym stanie rzeczy dojść do rdzenia tych nazw i na tej podstawie zbudować jedno precyzyjnie określone pojęcie, użyteczne jako analityczne narzędzie badawcze”²⁹.

W głośnej książce *Shaping the Political Arena*, napisanej wspólnie z D. Collier³⁰, a także w przywołanym wyżej haśle R. B. Collier starają się rozwiązać ten dylemat, wprowadzając zamiast jednej niemożliwej do zbudowania definicji populizmu – typologię ujęć starających się dotrzeć do istoty zjawisk określanych (w zmiennym czasie historycznym, w różnych krajach i z odmiennych perspektyw poznawczych) tym mianem. Podstawą jego typologii są składniki najczęściej pojawiające się w różnych definicjach populizmu. Na ich podstawie wyróżnia dziesięć odmiennych perspektyw definicyjnych przez wskazanie na:

- po pierwsze, *mobilizację lub zbiorowe działanie inicjowane od dołu i jednocześnie głęboko zakorzenione w lokalnych społecznościach*;
- po drugie, *reformistyczny charakter ruchu, lub szerzej; sprzeciw wobec istniejącego stanu rzeczy*;
- po trzecie, *bazę wspierającą, budowaną przez dyskurs starający się promować raczej tożsamość ludu, niż klasy czy warstwy społecznej. Wyróżnione na takiej podstawie całości przeciwstawiane są innym oraz/albo elitom (ekonomicznym, a także politycznym), obcym, grupom interesu, mniejszościom; każda z tych wyłączonych z ludu kategorii jest z reguły przedstawiana jako skorumpowana, lub konspiracyjna*;
- po czwarte, *koalicję wieloklasową lub zbudowaną na innej niż klasy podstawie*;
- po piąte, *masową bazę ruchu, heterogeniczną, lub politycznie podporządkowaną, nie posiadającą jednak autonomicznej władzy, zależną całkowicie od lidera, i/lub interesów innej klasy, czy koalicji*;
- po szóste, *szczególny styl przywództwa: wyjątkowo silny, spersonalizowany, czasami charyzmatyczny, często autokratyczny*;
- po siódme, *raczej bezpośredni związek pomiędzy masami i liderem, niż pośredni, poprzez strukturę organizacji*;

²⁷ Ibidem, s. 26.

²⁸ Zob. *International Encyclopedia of the Social and Behavioral Science*, vol. 17, ELSEVIER, Amsterdam- Oxford 2001, s. 11813.

²⁹ Ibidem, s. 11814.

³⁰ Princeton University Press, Princeton, NJ 1991.

– po ósme, *używanie retoryki oraz raczej stylu oratoryjnego, charakteryzującego się nastawieniem antyteoretycznym, a także aintelektualnym, niż postępowanie się stylem analitycznie spokojnym, przedstawiającym, wyjaśniającym, czy abstrakcyjnymi, rozbudowanymi teoriami czy ideologiami*;

– po dziewiąte, *irracjonalną formułę polityki, starającą się zdobyć poparcie poprzez odwołanie się do emocji lub moralizatorstwa, a nie przez koncentrację uwagi na interesach, lub programach*;

– po dziesiąte, *eksponowanie w polityce ekonomicznej (modelach ekonomicznych) wzrostu, podziału dochodu narodowego, poparcia politycznego, jednak z całkowitym pominięciem kosztów oraz ograniczeń rynkowych. Ze względu na brak racjonalnej korelacji pomiędzy tymi dwoma wymiarami, polityka ekonomiczna populistów jest z reguły niezdiscyplinowana, nieuporządkowana, nieefektywna i jednocześnie zatruta przez cel nadrzędny: dążenie do zdobycia poparcia politycznego*³¹.

Założmy jednak przez chwilę, że nie chodzi nam o generalizację historyczną izomorficzną wobec każdego znanego – w przestrzeni i w czasie – przypadku populizmu, lecz o typ idealny tego fenomenu. Typ idealny w sensie Weberowskim, a więc o wyposażenie poznającego umysłu, konieczne do analizy realnie istniejącej rzeczywistości, ale jednocześnie nie tożsame z żadnym z wyników empirycznego poznania. Co wtedy, a więc na poziomie kategorii poznawczej, będzie stanowiło *differentia specifica*, pozwalającą odróżnić populizm od niepopulizmu?

Twierdzą, że będzie to:

1/ w przypadku populizmu o lewicowych inklinacjach, *masowe dążenie do zmian przerywających proces wykluczenia społecznego, pozbawione jednak dającej się obronić po krytycznej analizie alternatywnej wizji gospodarki i społeczeństw zorganizowanych w racjonalnie działające państwa, w ramach skutecznych struktur transpaństwowych*;

2/ w przypadku populizmu prawicowego – *przekonanie nie znajdujące żadnego uzasadnienia merytorycznego, iż proces dziejowy ludzkości został już dopełniony. Zatem, wszystko co teraz pozostało do zrobienia, zawiera się w obronie, wszystkimi możliwymi środkami (do przemocy fizycznej włącznie) przed myślącymi inaczej*.

Zarówno w pierwszej, lewicowej, jak i w drugiej, prawicowej wersji współczesnego populizmu odnajdujemy jedną cechę wspólną: aintelektualność, manifestującą się w braku potrzeby ciągłego konfrontowania swych przekonań z wynikami poznania naukowego. Dlatego też nazwa *populizm* ma dziś przede wszystkim negatywną konotację i implikuje skłonność do wypowiedzania sądów błędnych jako rachuba oraz podejmowania działań nieodpowiedzialnych, nie licząc się z ich skutkami.

Populizm zatem, to współcześnie nie nadzieja dla demokracji – zwłaszcza bezpośredniej – ani też nieracjonalny sprzeciw wobec zasad demokracji przedstawicielskiej, lecz zagrożenie dla każdego ze znanych dotychczas systemów demokratycznych.

HIERONIM KUBIAK

³¹ Zob. *International Encyclopedia of the Social and Behavioral Science*, vol. 17, op. cit., s. 11814.

JÓZEF LIPIEC

MIĘDZY ZDROWYM KONFORMIZMEM A SZLACHETNYM HEROIZMEM

DLACZEGO?

Heroizm jest cnotą umiowaną przez konformistów. To oni sławią bohaterów w mitach i pieśniach, wznoszą im pomniki i odbywają nabożeństwa ku czci. Czy jest to objaw fundamentalnej obłudy cierpiącej kultury, czy może akt ekspiacji za winę pierwotną zatrwożonego swą słabością człowieka? Naturalnym rozwiązaniem wydaje się stanowisko, które wyrasta z zaufania do postępowania ogółu. Większość jest zawsze i wszędzie zdecydowanie konformistyczna, toteż dziwić musi jej niska samoocena w sprawach kluczowych. Dlaczego tak się dzieje, że masy konformistów wstrzymują się z pochwałą własnej postawy, wbrew sobie wznosząc wysoko sztandary bohaterstwa uprawianego przez nielicznych? Dlaczego nie ma nigdzie sanktuariów Wielkich Konformistów, reprezentujących tych co przetrwali, zamiast tamtych, którzy zginęli?

Dlaczego dochodzi do aksjologicznej sprzeczności między wartościami postulowanymi a realizowanymi w praktyce życia? Zwłaszcza że konflikt ten nie słabnie wraz z budzeniem się rozumu. Ma on nadto zasięg uniwersalny i chyba ponadczasowy.

INSPIRACJA

Nikt nie wybiera czasów, w których żyć musi. Niewielu ma szansę wybrać miejsce, okoliczności i towarzystwo dla siebie. Szczęśliwi, którym przychodzi przebyć swą drogę prosto, łatwo i przyjemnie, bez konfliktów i dylematów, nadto z poczuciem zachowanej cnoty, nie naruszonej godności i wierności zasadom, słusznym ponadczasowo.

Większość, niestety, pozbawiona jest tych komfortów. Z konieczności więc wybiera między różnymi poziomami i gatunkami dobra, niekiedy nawet między większym a mniejszym złem. Rozstrzygać trzeba zawsze tu i teraz, aczkolwiek warto wiedzieć, iż decyduje zazwyczaj nie tylko nacisk teraźniejszości. Potężna bywa również presja wzorów przeszłości, które rządzą apodyktycznie ludzkimi sumieniami nakazując ludziom czerpać podniecie impulsów z wyidealizowanych sylwetek bohaterów z pomników i mitów.

Możliwa do wykorzystania jest też siła obrazów przyszłości. Nasze dzisiejsze myśli, namiętności i czyny będą wszak poddane kiedyś bezwzględnej osądowi naszych następców. Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu, nam zaś zatem pozostaje dziś ewentualność uruchomienia gier celów wyobrażonych. Mądre i dobre oka-

że się to, co otrzyma stempel uznania bliskiej i dalekiej perspektywie, bo przylegać będzie akurat do sytuacji, która nadejdzie za 10, za 100 lub za 1000 lat.

Żyć musi się jednak tu i teraz, i wybierać także dzisiaj i w takim świecie, jaki jest nam przydany.

SYTUACJONIZM

Wzorem kulturowych uproszczeń, *notabene* przejętych z wiedzy o przyrodzie, a także wprost z języka pojęć ogólnych, żyjemy przekonanie, iż można i należy żyć wedle stałych praw, wyposażonych w uniwersalne racje. Za przewodnika służą zestawy niezmiennych zasad, często zresztą zredukowanych do uproszczonych kodeksów (zazwyczaj sakralizowanych).

Podążanie drogą ogólnych kanonów jest oczywiście możliwe, na pewno zaś wygodne poniekąd, albowiem trafia się zawsze w jakieś statystyczne przybliżenia (identycznie zresztą jak w przypadku zasad natury). Przypuszczamy zatem, iż istnieje jakiś stały i niewzruszony wzorzec uczciwości, sprawiedliwości i odwagi (tudzież wszystkich cnót pozostałych), który – nie dość że bezwzględnie obowiązujący – da się zastosować w dowolnych okolicznościach i zawsze z tym samym rezultatem.

Koncepcja ta wspiera się na ontologicznym założeniu, iż istnieją rzeczy i stany absolutnie identyczne, a jeśli tak, to przysługują im równie takie same właściwości i wartości. Efektem tej teorii staje się więc z konieczności przekonanie o istotnej wyższości procedury przenoszenia podobnych reguł z jednej substancji na inną i z jednej sytuacji na wiele podobnych. Pogląd, że ludzie są tacy sami i podobny jest ogół zdarzeń w ich otoczeniu prowadzi do wniosku, że i identyczne muszą być zasady oceny, odczuwania i postępowania. Istnieje wszelako dokładnie odmienna wizja bytu, wspierająca się na dwóch głównych mocnych filarach ontologicznych, mianowicie tradycji heraklitejskiej z jednej strony, i monadologii leibnizjańskiej z drugiej. Według mędrca z Efezu, nic dwa razy się nie zdarza, a więc cokolwiek jest w realnym świecie, pojawia się tylko raz, po czym znika, a nigdy powtórzyć się nie może. Potwierdza to przeświadczenie, o dziwo, także sławna zasada Leibniza głosząca, iż identyczność przysługuje tylko jednemu i temu samemu obiektowi (tożsamość da się osiągnąć wyłącznie wobec samego siebie). Konsekwencje tej koncepcji są niezwykle doniosłe, kwestionują bowiem, a nawet przekreślają zasadność, a tym bardziej absolutność ogólnych praw.

Wynika stąd oczywisty wniosek, iż dla każdego przedmiotu realnego i dla każdej sytuacji należy szukać rozwiązań odrębnych, swoistych i niepowtarzalnych. Inna jest rzeczywistość dla mnie, inna dla ciebie, inna dla każdego człowieka. Co więcej – zmienne są też wszelkie okoliczności, tworzące każdą, poszczególną sytuację.

Wolno i należy rzecz jasna uwzględniać dostrzegane podobieństwa i korzystać z doświadczeń powtarzalności wydarzeń, zbliżonych swą strukturą i fakturą jakościową. Trzeba jednak zachować zawsze odpowiedni poziom ostrożności, unikając łatwości w przenoszeniu się z jednych stanów w inne tylko dlatego, że są podobne pod jakimś względem. Należy też wystrzegać się mechanicznego przenoszenia reguł i wartości. To co w jednej sytuacji jest szkodliwe, niedopuszczalne albo haniebne, w innej może okazać się wyjściem najlepszym z możliwych, a nawet w ogóle jedynym dopuszczalnym.

Przykładów jest tak wiele, że warto zwrócić uwagę tylko na przypadki ekstremalne. Wskazuje się, że podczas okrutnych wojen, a już z pewnością w czas zagłady, zawieszeniu ulegają nawet podstawowe zasady etyczne, niewiele warte są w praktyce najwyższe ideały takie jak prawda, dobro i piękno, a także wszelkie inne wartości od *hedone* po *sacrum*. Milkną mędrcy i prorocy, budzący się niekiedy poniewczasie z mocno spóźnionymi wyrokami.

WARTOŚCI EGZYSTENCJALNE I ESENCJALNE

Nieustający spór o to, które są „wyższe” i „ważniejsze” wymaga bliższego przyjrzenia się obu dziedzinom. Mądrość potoczna, kulturowe preferencje, a przede wszystkim powszechne nastroje nie są najlepszym drogowskazem rozstrzygnięć wybranych przez ludzi.

Pierwsze to takie, które decydują o *i s t n i e n i u*, w przypadku człowieka o istnieniu samoistnym, a więc o *ż y c i u*. Najwyższą i zarazem autoteliczną wartością okazuje się więc samo życie („żywość”, „życiowość” w aksjologicznym porządku kategorialnym), a normą naczelną „twórz i chroń życie”. Wartościami instrumentalnymi są tedy „zdrowie”, „sprawność”, „bezpieczeństwo”, „pokarm” („pożywność”), „tlen” („tlenność”), „ciepło” etc., czyli wszystko co służy życiu, wzmacnia je i czyni niezależnym od przypadkowych okoliczności i środków wspomagania. Egzystencjalny charakter mają też odpowiednie wartości negatywne, ze *ś m i e r c i ą* włącznie, oraz wszystkie antywartości - środki prowadzące do obniżenia poziomu życia, do choroby, bezsilności, aż po ostateczne zniszczenie egzystencji. Wobec wartości negatywnych tradycja przekazała w zasadzie jedno tylko przykazanie: „nie zabijaj” (z historycznie formowanymi listami wyjątków: wrogów, zdrajców, grzeszników i zbrodniarzy).

Pozostałe wartości grupują się wokół *i s t o t y c z ł o w i e k a*, stanowiąc odpowiedź na wezwanie jego natury, na rosnący potencjał oraz posłannictwo i swoistość ambicji. Esencjalność aksjologiczna obejmuje zarówno byt jednostki (tej oto i każdej), przede wszystkim zaś człowieka jako podmiotu zbiorowego (poszczególnych społeczeństw i ludzkości całej). Wartości esencjalne skupiają się w różnych dziedzinach, decydując już nie o samym ludzkim istnieniu po prostu, lecz o jego specyficznie człowieczym charakterze. Szczegółowe znaczenie mają wartości spod znaku wielkiej trójcy platońskiej: prawda, dobro i piękno, a więc wartości poznawcze, etyczne

i estetyczne, ale także szereg pochodnych i swoistych: sprawiedliwość, wolność, honor, ofiarność, wzniosłość, użyteczność, przyjemność etc. Nie wolno zapominać o rozmaitych walorach i przymiotach, stanowiących efekt i przedłużenie wartości poznawczych, wyznaczających obszar technologii i dorobku cywilizacyjnego. Esencjalne wartości kojarzone są niekiedy wprost z dobrem lub interesem podmiotów zbiorowych (grup, społeczeństw i państw), toteż wyłaniają one szczególne formy hierarchii i presji ich bezwzględnej obowiązywalności. Myśliciele i prawodawcy sądzą wówczas, iż wartości esencjalne należą do jakiegoś z góry naznaczonego porządku powinności (prawa naturalnego). Inni mniemają jednak, że są one tworem specyficznie ludzkim, utwierdzanym przez tradycję, praktykę stosowania i trening edukacyjny.

Problem różnicy między wartościami egzystencjalnymi a esencjalnymi niewątpliwie jest teoretycznie interesujący. Donioślejsza wydaje się wszelako kwestia ich korelacji w rzeczywistym rozstrzygnięciu spraw spornych. Otóż, czasem dochodzi do wzajemnego wspierania się obu grup wartości, zarówno w sensie pozytywnym (gdy etyczna szlachetność staje się ratunkiem dla ratowania życia bliźniego) jak i negatywnym (kiedy podłość lub chciwość przekształcają się w akt morderstwa). Specjalnym zagadnieniem staje się jednak rozwiązanie kwestii *s p r z e c z n o ś c i* między wartością egzystencjalną a esencjalną. Człowiek staje, niestety, przed dylematem co wybrać: honor czy śmierć? Tortury dziecka czy zdradę ojczyzny? Dobrostan własny, ale sprzęgnięty z kolaboracją, czy nędzę i wygnanie lecz w ramach bohaterstwa gestu? Ostentacyjny hołd idei czy bezpieczne milczenie?

Etos zbiorowy żąda posłuszeństwa ogólnym kodeksom. Logos indywidualnej rozważliwości usprawiedliwia własne porządki, bliższe, bez wątpienia, wartościom egzystencjalnym. Czy istnieje, albo czy w ogóle jest do pomyślenia jakiś wiarygodny sposób rozstrzygnięcia wszelkich rozterek wyboru, z gwarancją nie tylko spokoju sumienia, ale też i racji ostatecznej?

MOJE I WSPÓLNE

Gdyby człowiek – z nadania i z doświadczenia – był jedynie bytem indywidualnym, samotnym i szczerze zamkniętym w swym wnętrzu, musiałby z konieczności uznawać zarówno wyższość swej monadyczności jak i monopol wartości czysto osobowych, przypisanych dobru danego *ego*. Pozytywnie nacechowany byłby tedy wyłącznie teren egocentrycznej *m o j o ś c i*, za granicami którego rozpościera się niezmierna i nieokreślona przestrzeń obojętności, dalej zaś obszar ewidentnej wrogości. Dodatkowo wartościowe jest wtedy moje istnienie (zwykle poszerzone o byt mej rodziny), dla którego żądam i oczekuję pełnej przychylności świata zewnętrznego (z najbliższym otoczeniem włącznie). Identyfikując się z otoczeniem, nie wysoko umieszczam też wartości związane z moją osobistą, jakościową ekspresją w świecie, oczekującą należytej mi aprobaty, pochwały, a nawet hołdu. Staję się wtedy sam miarą człowieczeństwa, albo i bytu całego. Pragnąc uznania swej wyjątkowej pozycji, muszę w konsekwencji całą zewnętrżność poddać kryterium osobliwej tolerancji, wyznaczonej wyłącznie stosunkiem podporządkowania moim potrzebom. Dobre jest to, co mi służy, złe zaś to wszystko, co mi urąga i to co mnie omija. Wystarczy beczynność, oczekiwanie, na pewno

zaś złe w sobie jest jawnie nieprzyjazne wobec mnie działanie. Czy moją należy uznać za stan naturalny, pierwotny generycznie, po prostu? Otóż, niekoniecznie. Zanim zbudzi się bowiem indywidualny rozum i nim wyłonią się intencjonalne uczucia, człowiek doświadcza już uprzednio swego osadzenia pośród innych ludzi. Pojawia się matka-karmicielka, rodzina, rówieśnicy, sąsiedzi i całe otoczenie wyposażone w mowę i gesty. Wreszcie wyłania się grupa, plemię, struktura lokalna oraz zorganizowana *polis*. Moje ja od razu jest uformowane – jak chciał Arystoteles – przez społeczną naturę nie-ja. Być sobą jako jednostką to tyle, co być „Polakiem małym” (cokolwiek ten wers Władysława Bełzy miałby znaczyć w detalach). To co moje okazuje się zarazem biomoją, dokładniej zaś: pierwotną, organiczną **n a s z o ś c i ą**. Poprzez naszość definiuję siebie samego, z naszości czerpiąc wszelkie zasoby mego życia i myśli o życiu.

Jeśli pozostały we mnie jakieś pierwotne, niezidentyfikowane szczątki mej nieświadomej, przedspołecznej tożsamości, to natychmiast tracą swe uprawnienia, wchodząc wszystkie razem do niekwestionowanej konstrukcji „naszości w moją”. Postrzegam innych bliskich mi ludzi również jako organiczną i konieczną strukturę współskładników i mojej naszości i naszej moją. Odkrywam zresztą i bezustannie potwierdzam, że nie jestem jedynym nośnikiem i gwarantem naszości. Wtapiam się tedy coraz głębiej i gruntowniej w naszą i moją społeczność, odwzajemniając swoją postawą fakt mojego istnienia budowaniem więzi, służącej innym mocą wspólnej naszości. Razem przecież tworzymy naszość, a więc razem też konstytuujemy moją każdego z nas z osobna. Reszta gatunku – jeśli w ogóle jest obecna w naszym pejzażu poznawczym – znajduje się gdzieś za górami, za lasami, czyli realnie nigdzie, docierając jednakże do nas w postaci baśni, fantazji i fikcji, a zwłaszcza lęków przed obcymi.

Zdarza się co prawda, że **m o j o ś ć w c h o d z i w k o n f l i k t z n a s z o ś c i ą**. Dochodzi do tego na dwóch, niezależnych od siebie drogach. Pierwsza to efekt zderzenia z egoizmem jednostkowym, nie powściągniętym przez reguły grupowe, ani przez instynkt hamowania indywidualnego. Kiedy atakuje mnie agresor z wnętrza naszości, a reszta naszości zachowuje się biernie lub przyzwalająco, to rodzi się we mnie poczucie **w y o b c o w a n i a**: oto przeze mnie wykreowana naszość nie jest moja, bo nie należy do mnie, lecz do mojego adwersarza i przeciwnika. Ujawnia się wówczas, jak mniemam, prawdziwa natura naszości, albo nieusuwalna na jej czystym obliczu, kiedy to namiętności jednostkowe podmywają fundamenty wspólnoty, a siły spajające całość przeobrażają się w destruktywną grę sprzeczności. Konflikty obejmują wszelkie relacje międzyjednostkowe, gdzie jedni okazują się beneficjentami zbiorczej siły naszości, podczas gdy inni stają się jej ofiarami. Rewolucyjna zamiana pozycji ostatecznie niczego w tej sprawie nie rozwiązuje; moją i naszość pozostają nadal w sytuacji napięcia przeciwieństw.

Droga druga to odkrycie w sobie stanu pierwotnego, nieuformowanego przez polityczność *polis*. Można by uznać co prawda, że choć wzrastamy w strukturach wyhodowanych przez uprzednią umowę społeczną, to każdy z nas nosi pamięć o pierwotnym stanie przedumownym, czyli sytuacji atomizacji totalnej i walki przeciw wszystkim. Naszość jawi się wtedy jako

stan nadany mi z góry spoza mnie, wymuszony presją transcendentną i przyjęty przeze mnie poprzez polityczną i kulturową tresurę. Stan naszości nie jest zatem dla mnie bezwzględnie pierwotny, jawiąc się jako wymuszona okolicznościami pochodna źródłowej indywidualizacji moją. Broniąc swej ontologicznej, substancjalnej suwerenności, każde Ja znajduje się z konieczności w permanentnym, chronicznie powracającym konflikcie z naszością. Próbuję nieraz zneutralizować jej przewagę, a może nawet wyrwać się z jej wspólnotowych, nachalnych uścisków, mam jednak uzasadnione poczucie, iż nie jest to ani łatwe, ani w pełni możliwe. Starcie moją z naszością okazuje się pracą syzyfową. Romantyczny heroizm nakazuje mi zresztą nigdy walki nie zaprzestać, toteż odrzucam wszelki kompromis jako przejaw pogardzanego konformizmu, słabości charakteru i pospolitego tchórzostwa. Wolę orędownać za batalią jako taką, nawet kompletnie pozbawioną szans, bezdziedziną i z góry przegraną batalią z naszością, *notabene* w przeróżnych jej postaciach. Pewnym pocieszeniem może okazać się kontestacyjna łączność bratnich dusz, odnajdujących się wyłącznie w świetle mitu prometejskiego.

Ja radykalnie nie potrzebuje zresztą sojuszników. Wspólnota kontestacji to konstrukcja wewnętrznie sprzeczna.

NASZOŚĆ I WASZOŚĆ

Jeśli szczególną drogę przemierza moją zjednoczona z naszością, to jej odbiciem staje się nasza twoją niesiona przez każdego z naszych, oczywiście z wyłączeniem mnie samego. W ten sposób formuje się zbiorowisko rodaków, pobratymców, braci i swojaków, obdarzonych przeze mnie specjalnymi uczuciami i przywilejami. Zupełnie odmienna jest natomiast charakterystyka twoją sprzężonej z nie-naszością, a więc zarówno z identyfikowaną waszością, jak i całkiem anonimową obcością. Ogół twoich i onych konstytuuje jakiś inny, dla mnie i dla nas **o b c y ś w i a t**, wymagający – nawet w sferze intencjonalności – radykalnego przejścia, zazwyczaj trudnego do zdefiniowania przeskoku epistemicznego i aksjologicznego.

Obydwa czynniki – indywidualny i kolektywny – potrzebują dookreślenia po to przede wszystkim, aby przeprowadzić rozgraniczenie między moją-naszością a jej zaprzeczeniem. Pozwoli to zrozumieć bardziej dosadnie czym jestem, ja pojedynczy Polak, Grek lub Australijczyk, albowiem nie jestem dowolnym innym i obcym, i być nie mogę. Ten niezwykły obszar niepojętej i **n o ś c i** należy, jak się okazuje, nie tylko do twoją w ramach naszości, ale twoją pojętej radykalnie, czyli wkomponowanej w waszość. Niepojętość tego stanu ma z pewnością różne stopnie. Najwyższym szczeblem niezrozumiałości charakteryzuje się świat z istoty niemożliwy do poznania, złożony z jakichś nurtów materialnie i duchowo obcych i na nas zamkniętych, w rodzaju kosmicznych przybyszów, których życie jest niezupełnie odmienne od naszego podłoża fizyko-chemicznego. Inności charakteryzuje się zasadniczo cały panteon bogów oraz cały, wyobrażony kosmos, wypełniony postaciami, których sensu pojąć niepodobna.

Waszość empiryczna rozciąga się tymczasem w znanych nam, ziemskich rozlicznych kontaktach poszczególnych grup ludzkich, zanurzonych w samonapę-

dżającą się bezpieczną naszość, ale i ustawicznie konfrontowanych ze spotykaną odmiennością innych grup – różniących się nie tylko prostą nietożsamością, ale i licznymi ważnymi przymiotami fizycznymi i kulturowymi.

DYLEMAT WYBORU

Są ludzkie postawy jawnie niedorzeczne albo ewidentnie niegodziwe, przynajmniej wedle zasad uchodzących za oczywiste i powszechnie przyjęte. Z drugiej zaś strony, z podobną pewnością wyróżniamy postawy, nastawienia, myśli i czyny niewątpliwie rozumne, wzniosłe, szlachetne, po prostu piękne. Ten dwubiegunowy podział przyjmowany jest z dobrodziejstwem całego inwentarza wyborów między dobrem i złem. Ma on znamiona propedeutyki teorii wartości, służąc celom raczej edukacyjnym na poziomie wczesnego przygotowania. Niekiedy jednak ludzie zatrzymują się na tym poziomie przez całe życie, sądząc, że cała teoria świata zaczyna się i kończy na elementarzu. Służy on zatem w istocie do wyznaczenia ogromnej przestrzeni stanów pośrednich, równie dalekich od idealnej doskonałości intelektualnej i moralnej, jak i nieskończonej nędzy i upadku ludzkiego ducha. Większość naszych przeżyć, wartości, a zwłaszcza ich urzeczywistnień mieści się bowiem pomiędzy obiema granicami przestrzeni możliwości, ustanawiając przeróżne formy melanżu dobra i zła, rozumu i głupoty, a także uczciwych intencji i wątpliwych w ocenie skutków.

Natychmiastowe rozpoznanie skutków dzisiejszych decyzji i postępów bywa nie tylko bardzo trudne w ogóle, ale całkiem niemożliwe w większości zdarzeń skomplikowanego, ludzkiego świata. Dylemat wyboru, sterowany przez intuicję, wyobraźnię i sumienie, przybiera niejednokrotnie wymiar prawdziwie dramatyczny. Czasem udaje się zweryfikować sens naszych pragnień i zamiarów tuż po podjęciu kroków realizacyjnych, ale w wielu przypadkach przychodzi odczekać aż do wyroków historii. Naszą trafność lub błędy odkryją dopiero następne pokolenia., a może na razie nikt zgoła. To co zdawało się słuszne w bliskiej perspektywie, okazuje się zbrodnią lub farszą w dłuższym biegu dziejów. Rozstrzygnięcia najrozsądniejsze z możliwych z pewnego, zawsze ograniczonego punktu widzenia dominującego w danym teraz, zostają zdewaluowane w kolejnych fazach dziejowych albo przeciwnie – z pozycji zdrady, ułomności i nieświadomego odruchu wznoszą się ku wyżynom rozwagi, dalekowzroczności i bohaterstwa. Poddać się zatem, czy walczyć, negocjować, czy paść na polu chwały, zaprzyjaźnić się z wrogiem, czy trzymać godność w górze jak sztandar, powstać do boju, czy kolaborację uczynić hasłem ratunku, zakłamywać intencje wśród swoich i obcych, czy zawsze szlachetnie otwierać przyłbice?

Co więc uczynić dziś? Jeśli przyjmujemy bez powodu, że przyszłość i tylko ona. ma prawo wyrokować o racjach przeszłych i teraźniejszych, to trzeba zapytać – uczciwie acz naiwnie – niby dlaczego tak ma być, że decyzję o randze realizowanych wartości należy odłożyć w czasie, dzień dzisiejszy pozostawiając aksjologicznie bezradnym? Przyszłość dysponuje wszak jedynie tylko taką przewagą, że ona się staje, nadchodzi i konstytuuje, podczas gdy przeszłość już była i nie wróci, teraźniejszość zaś, choć to ona jest teraz właśnie, także niestety przemija. Czy mamy tu jednak do czynienia

z poważnym argumentem ze względu na racje i wartości, zwłaszcza że przyszłość jest również, a może przede wszystkim *n i e d e f i n i t y w n a*, ustępując miejsca kolejnym etapom nieokreślonego, ciągłego trwania (rozwoju, stagnacji lub upadku)?

Może więc czasem należy przyjąć postawę temporalnego zdrowego rozsądku i chroniąc *p r a w o d o t e r a ż n i e j s z o ś c i* wystąpić przeciw terrorowi jedynie słusznej przyszłości? Jak? Oczywiście poprzez akty dawania świadectwa motywom i emocjom sytuacji bieżącej czy wprost przeżyciom dnia dzisiejszego, bez pytania o wszystkie nieznanne w detalach konsekwencje. Takie odruchy, kierowane logiką chwili, są w pełni zrozumiałe w okolicznościach nad-zwyczajnych, na przykład ratowania swojego lub cudzego życia. Z drugiej jednak strony może też czasem trzeba pozwolić sobie na luksus realnych klęsk, ale za to zwycięstw na polu symboli, oddając w ten sposób sprawiedliwość wcale nie dzisiejszym tryumfatorom kulturowym. Czyż zatem jest wtedy faktyczny tryumf, skoro świętują go pokonani? Również i tacy, którymi kierowały pobudki jawnie irracjonalne (jedne pełne uroku, inspirujące artystów, inne przeciwnie, niskie i trudne do akceptacji).

Każdy czas, a może każda chwila rzuca wyzwanie przede mną, tobą i nami wszystkimi. Teraźniejszość nie przekracza danego momentu, choć umownie, z powodu poznawczej niesprawności i gwoli praktycznej wygody przyjmujemy, iż sięga nawet godziny, dnia, albo obecnego miesiąca. Dla jednostki ważny, bo wyobrazalny jest okres kilku lat, albo nawet i całego życia, ze specjalnym beneficjum pomyślniej egzystencji dzieci i wnuków. Dla społeczności perspektywa rozciąga się od razu na dekady i wieki całe. A dla ludzkości? Pracujemy wyobraźnią formułami tysiącleci i epok, starając się nie przesadzić z prognozami, tak jakby ewentualna. dalsza przygoda kosmiczna miała dotyczyć innego już gatunku.

Dochodzi zatem, jak widać, problem wyboru fundamentalnego: mam się kierować dobrem moim indywidualnym czy może ojczyzny albo ludzkości? Wszystkie rozwiązania są zawsze w moim jednopodmiotowym zasięgu. Ja i tylko ja osobiście podlegam też określoneму naciskowi kulturowemu. Wedle jednej skali powinienem zaufać potrzebom czysto personalnym. Inna koncepcja napiera, bym najwyżej wniósł wartość pomyślności plemina, narodu, państwa lub organizacji. Jeszcze inna ideologia podpowiada mi powinność i konieczność poddania się hegemonii idei rozumu gatunkowego. Każda wizja na dokładkę wyznacza standardy i ideały zazwyczaj uformowane z budulca różnorodnych doświadczeń przeszłych. Nie trzeba zgadywać, iż owa różnorodność opcji tkwi u źródeł i podstaw zwalczających się filozofii ludzkiej osoby, teorii politycznych i światopoglądów gatunkowych, z których każda ma się za posłanniczkę słowa ostatniego, czyli prawdy jedynej.

INSTYKNT SAMOZACHOWAWCZY I PASJA ŻYCIA

Czy jest coś cenniejszego niż własne życie? Trudno znaleźć równie ważną wartość w perspektywie jednostki ludzkiej. Konkurencja jest doprawdy niewielka, w grę może wchodzić tylko równie konkretne życie potomstwa lub innej mocno kochanej osoby.

Wartość własnego życia osadzona jest w fundamentalnej zasadzie ontologicznej, biologicznie wrodzonej,

a więc pochodzącej spoza kultury, na pewno zaś przed-świadomościowej. Zasada trwania trwałości i tożsamości przedmiotowej obowiązywała od zawsze w realnym świecie, obowiązując zatem również poza i przed pojawieniem się życia, w tym życia człowieka. Substancje żywe tylko potwierdziły ogólny kanon istnienia, czyniąc to wszelako ze szczególną mocą i wyrazistością. To podstawowe prawo bytu głosi, że wszystko cokolwiek jest, dąży do zachowania swej integralności przedmiotowej i swego w tej postaci dalszego istnienia. Równolegle – to co jest, broni się przed wewnętrzną dezintegracją i rozpadem oraz obcą, niszczącą ingerencją zewnętrzną. Dotyczy to zapewne substancji o względnie trwałym charakterze zwanych rzeczami, obiektami, systemami albo wprost przedmiotami trwającymi w czasie. Zasada ta ujawnia się zaś z całą mocą i spektakularną stanowczością w sytuacji żywych organizmów, które do swego istnienia wykazują stosunek niezwykle, wręcz wyjątkowy i zadziwiający, b o a k t y w n i e w a l c z ą c y o s w ą e g z y s t e n c j ę. Wszystko co żyje, chce nadal żyć, można by rzec, żyć za wszelką cenę i łamiąc wszelkie bariery. Presją zawartości życia własnego przewyższa wszelkie inne konkurencyjne reguły, w tym szacunek do życia jako takiego reprezentowanego przez życie innych obiektów. Są one zresztą bezceremonialnie niszczone w imię zachowania życia mojego (tudzież mego potomstwa, dodajmy).

Egzystencjalna autodeterminacja indywidualnych bytów żywych przybiera zazwyczaj postać i n s t y n k t u s a m o z a c h o w a w c z e g o. Ma on z natury charakter d e f e n s y w n y, realizując jednostkowy program w o l n o ś c i o d z e w n ę t r z n y c h z a g r o ż e ń. Obowiązująca strategia polega na skutecznej osłonie i oddaleniu niebezpieczeństw zazwyczaj poprzez ucieczkę, ukrywanie się, kamuflaż oraz stawianie odpowiednich barier dla groźnego napastnika. Wyższą i być może skuteczniejszą postacią tej obronnej strategii staje się tworzenie warunków bezpieczeństwa na drodze działań osłabiających lub unicestwiających zawczasu potencjał agresora. Szczególną odmianą obrony okazuje się wtedy prewencyjny atak lub stosowanie innych wyrafinowanych taktyk – szantażu, gróźb i budowania odstraszcających sojuszy. Życiowy pęd kieruje się przy tym ku rozwiązaniom czasowo określonym, poczynając od m o m e n t a l n e g o m i n i m u m (z zadaniem „jak nie stracić życia w danej chwili”), aż po ambitny program długofalowy („jak wzmocnić i przedłużyć bezpieczne życie”). Założona bierność czysto obronna przenosi się w określonych warunkach na teren względnej aktywności, choć także i tutaj ograniczonej względami pozycji zachowawczej w ramach „wolności do”. Przekroczenie rubieży organicznego, biologicznego instynktu dokonuje się wraz z otwarciem życiowej w o l n o ś c i d o p e ł n e g o i s t n i e n i a. Jest ona równoznaczna z wkroczeniem na nowy, najwyższy poziom bytu ludzkiego, związany z uruchomieniem podmiotowej p a s j i ż y c i a, mieszczący *notabene* dwa różne, acz komplementarne czynniki: czysto egzystencjalny i celowościowo-transcendentny. W jednym życie występuje jako wartość a u t o t e l i c z n a, nikomu i niczemu niesłużąca poza samą, własną vitalnością, podporządkowującą sobie wszelkie inne wartości. Na pytanie „po co jest moje życie”, odpowiadamy uczciwie, że po nic więcej niż ono samo, bo nic cenniejszego od własnego istnienia być nie może.

Równocześnie jednak potrafimy życie wypełnić po brzegi innymi walorami, których jakości przekraczają daleko miary wyznaczone przez biologiczne i psychiczne, doskonale spełnianie procesów organicznych. Pasja życia sięga wtedy do bogactwa potencjału podmiotowego i zdolności transcendowania kreacyjnej energii. Życie jest i musi być wypełnione wartościową zawartością cech różnych od trywialnie pojmowanych aktów przedłużania codziennej konstrukcji czystego istnienia. Czyistość ta zostaje dookreślona nowymi treściami, wobec których życie staje się podstawą i środkiem ich urzeczywistniania. Pasja życia zmierza więc równolegle do tego, aby żyć i aby żyć twórczo: godnie, mądrze, pięknie i szczęśliwie.

Obydwe strony mogą funkcjonować w harmonijnej symbiozie, jest tak wtedy tylko, kiedy życie współbrzmi harmonijnie z jego jakościowo określonym pozytywnym i konstruktywnym programem. Rzecz w tym, iż wiem, że żyję – co przeżywam ze szczególną intensywnością w chwilach odczuwania mocy istnienia, ale też wiem, że żyję jak przystało na człowieka. Hamletyczne pytanie o wartość życia jako takiego, dopełnione zostaje kwestią doboru właściwości wprost spod hasła „jak żyć?”. Bywa bowiem i tak, że obie linie – egzystencjalna i esencjalna – miast nakładać się na siebie, zdają się rozchodzić, a tworząc obszary pozornie niezależności, grzęzną w osobowościowych konfliktach, wewnętrznych sprzecznościach i interpersonalnych dysfunkcjach. Autotelicznej potędze życia przeszkadza więc nadmierne zaangażowanie w wartości od sensu samego życia odległe, nie mówiąc o możliwości dojścia do dramatycznej próby wyboru definitywnego. Wygra wówczas albo pasja życia jako życia właśnie, odrzuceniu ulegną natomiast inne, skądinąd obiektywnie cenne wartości, albo odwrotnie, na ołtarzu owych ważnych celów pozażyciowych złożone konkretne, własne życie.

Kwestią oddzielną jest poziom podmiotowego udziału w wyborze rozstrzygnięcia. Czy to co postanawiam uczynić z własnym życiem, wypływa ze mnie samego przede wszystkim, z mojego głębokiego „ja”, czy też podlegam presji zewnętrznej sterowności, poświęcając swe istnienie narzuconym mi pozażyciowym projektom.

ŻYCIE POJEDYNCZE I ZBIOROWE

Filozoficzne i artystyczne zachwyty nad autonomią życia indywidualnego (charakterystyczne dla myśli europejskiej przełomu 19 i 20 stulecia), zderzyły się nie tylko ze starą tradycją Platona i Arystotelesa, upatrujących w polis nadrzędność i swoistość bytu prawdziwie ludzkiego, lecz przede wszystkim skonfrontowane zostały z dziejową praktyką skumulowaną w dwóch wojnach światowych i wielkich rewolucjach. Totalizacja życia zbiorowego przekreśliła nadzieje jednostki na uznanie doniosłości jej pozycji (mimo usilnych zabiegów choćby w uchwaleniu praw człowieka i kilku innych, zbliżonych duchem deklaracji). Przewartościowanie wartości dokonało się – wbrew intencjom Nietzschego – niemal w dokładnie odwrotnym kierunku od założonego przez koryfeusza indywidualizmu. Instrumentalizacja życia jednostkowego, zwłaszcza poddanego naciskom ideologii i militarnej dyscypliny osiągnęła wymiary uniwersalne, by nie rzec bliskie bezwzględności. Miejsc symbolicznych dla epoki zniewolenia i opresji było wiele: okopy wyniszczających, bezsensownych

wojen, obozy koncentracyjne i łagry, niekontrolowane siły tajnych służb, terrorystycznych mafii i równie zdradliwych tajnych mocy monopoli gospodarczych, a także bezwzględność zdobywcy technologicznych i rozrost niższych szczebli kultury masowej. Nastawieni katastroficznie myśliciele, poeci i publicyści sporządzili zresztą znacznie obszerniejszy katalog zagrożeń. Należy zauważyć, iż dawniejsza filozofia polityczna skierowana była niemal wyłącznie na problematykę państwa jako struktury wyższego rzędu (od jednostek ludzkich) reprezentującej po prostu dobro bądź występującej w roli koniecznego elementu. W późniejszych teoriach zbiorowości przybrała postać wielogłowego potwora, wyrosłego z heglowskiego, wciąż rozrastającego się, nieokreślonego ducha dziejowego, stanowiącego niekoherentny obiekt badań wielu różnych nauk. Dawne dość proste koncepcje trybalistyczne i etatystyczne tłumaczyły zjawiska społeczne jako niezbędny produkt służebności wobec życia i jednostek. Warto więc było powściągnąć co nieco indywidualne pokusy wolności absolutnej, aby w ogóle móc istnieć, albowiem zdobyć i utrzymać egzystencję dało się wyłącznie poprzez plemię, miasto i państwo, a więc tylko w dobroczynnych ramach *polis*. Struktura państwa wyznaczała zatem za cel główny bezpieczeństwo ogółu swych obywateli (ogółu, choć z pewnością nie wszystkich). Jednostki istnieją samoistnie, ale są zależne od stworzonych im przez zbiorowość warunków. Priorytet życia jednostek i kolejnych ich generacji uzupełniany bywa wtórnie specyficznymi zadaniami podmiotowej całości, na przykład prowadzeniem ekspansywnych wojen, poszerzających terytorium państwa. Czy obie sfery – pro-indywidualna i pro-społeczna – stanowią zawsze harmonijnie zestrojony, całościowy układ celów i wartości? Wątpliwa to hipoteza.

Doświadczenie podpowiada, że niestety, mamy tu do czynienia z kłębówiskiem bezustannych napięć i sprzeczności. Czasem kosztem społeczeństwa żywią się poszczególne jednostki i wybrane grupy. Innym razem na rachunek jednostek, zwłaszcza po to właśnie powołanych, powstaje i utrzymuje się całościowa struktura. Obie walczą zawzięcie o pierwszeństwo polityczne i moralne, zarówno poprzez uruchamianą przemoc fizyczną, jak i uciekając się do pomocy siły perswazji, czyli programów specjalnej indoktrynacji aksjologicznej, przymuszającej do podporządkowania się określonym wartościom (raz prospołecznym, raz indywidualnym). Rezultat jest oczywisty. Albo więc chętnie, bez szemrania, spontanicznie oddajemy indywidualne życie dla ojczyzny (plemienia, miasta, państwa, narodu, imperium), albo też ojczyznę przymuszamy do sytuacji, w której winna ona obyć się bez takiej ofiary.

PRAWO NATURY I ŚLEPA CENZURA

Według powszechnego mniemania „*vox populi – vox Dei*”, w najprostszej interpretacji chodzi o to, że ogół nie może się mylić, stanowiąc wyraz jedynie słusznego stanowiska, reprezentowanego przez absolutnie wszechwiedzące bóstwo. Mądry Bóg przemawia tedy głosem ludu. Odwrotnie, prakryte wyjaśnienie powiada zaś, że nawet Bóg musi uznać wszelkie prawdy uzyskane na drodze powszechnej, ludzkiej zgody. Symetria zostaje tutaj zachowana, podobnie jak w pierwszej interpretacji,

aczkolwiek zmieniony kierunek wynikania. Obie koncepcje wyrażają swój szczególny stosunek do tak zwanego „prawa naturalnego; albo Bóg ustanowił jego treść i zasadność, implementując swe wyroki w przekonaniach uczciwej, rozumnej większości ludu, albo też na odwrót, dobre prawo wyrasta z mądrości pokoleń, a większość przecież mylić się nie może, czego Bóg jest symbolicznym potwierdzeniem.

W jednym i drugim przypadku mamy do czynienia wszelako z jakąś tajemniczą, nigdzie wprost wyeksplikowaną zależnością, iż to co mądre, słuszne i piękne, najpewniejsze, ma wiarygodne źródło w odległej przeszłości – boskiej lub praludzkiej (jak kto woli). Bóg nigdy nie daje wskazówek ludziom współczesnym, wyczerpując swe edukacyjne wysiłki na praocjach li-tylko. Podobnie jest z mądrością ludzką, która wyczerpała repertuar istotnych zasad w okresie pierwocin gatunku i na tym zakończyło się formowanie „prawa naturalnego”. Tak jest na pewno w kwestii wartości i ich pochodnych (norm, powinności, obowiązków, zakazów i nakazów), zwykle bowiem okazuje się, iż zastana przez nas aksjofera i jej hierarchiczny porządek wspierają swój autorytet na niezidentyfikowanych przestankach, wyłaniających się z mroku pradziejów oraz – co tu kryć – na bezkrytycznym zaufaniu późniejszych generacji do historycznych, zwykle dość mętnych w sensie i intencji przekazów.

Teoria milczącej, apriorycznej ufności względem spuścizny przodków może być, rzecz jasna, całkiem dorzeczną, przynajmniej w myśl zasady, iż historia to *magistra vita*. Niewykluczone, że warto też uwzględnić jakieś metafizyczne albo po prostu światopoglądowe argumenty o nadanych człowiekowi – wedle z góry narzuconego projektu – wrodzonych dyspozycji gatunkowych, obowiązujących zawsze i wszędzie. Brakiem tej hipotezy jest jednak dość słabe ugruntowanie empiryczno-historyczne (pomimo ciągłej atrakcyjności wizji, której początek dali Platon i Arystoteles pospołu). Nie da się tedy odrzucić całkiem innej możliwości, kwestionującej mianowicie program „prawa naturalnego” w dowolnej postaci, a tym samym podważającej argument wiary w mądrość przeszłości. Co gorsza, wolno dopuścić podejrzenie, iż zarówno realna, jak i zmitologizowana przeszłość jest tyleż skarbnicą udanych poszukiwań, co i przepastnym śmietniskiem głupstw, błędów i niedorzeczności, traktowanych jednak często z powagą, a nawet z niezrozumiałym pietyzmem.

Złogi przeszłości są dwójakiego rodzaju. Jedne wydają się – i są faktycznie – eufunkcyjne a l n e, zazwyczaj względnie, a więc w pewnych sytuacjach i w ściśle określonym czasie. Eufunkcjonalność dość łatwo przeobraża się w dysfunkcjonalność, zwłaszcza w wyniku lenistwa umysłowego, błędnych operacji logicznych lub poddaniu się presji emocjonalnej oraz rozmaitych form bezpośredniego przymusu społecznego. Słuszną rzeczą jest nosić turban na piaszczystej, gorącej pustyni, zaś futro podczas mroźnej, północnej zimy. Dziwactwem się zdaje tworzenie z okazjonalnych ułatwień nie tylko powszechnego obyczaju, ale i „odwiecznego prawa ludzkiego” oraz zmuszanie siebie i innych, aby wszyscy zawsze i wszędzie okrywali się turbanami, albo czapami futrzanymi. Kiedyś ludzka przemysłowość nakazywała mościć się w jaskiniach, później jednak budować domy. Kiedy dawniejsza eufunkcja przeobraża się w dysfunkcję, człowiek niezauważalnie

zmienia się w swe przeciwieństwo: poddaje się niewoli przeszłej, choć przebrzmiałej mądrości, wchodząc w sztuczny świat własnych, nieświadomych urojeń.

Bywają wszelako i takie złudzenia, błędy i jawne absurdy, które – nierozpoznane – były nimi od początku i takim i pozostają w kolejnych epokach. W miarę pełną listę sporządził w XVI wieku Franciszek Bacon, a do jego typologii złudzeń niewiele da się dziś dodać. Do wielce przytomnych obserwacji i trafnych wniosków autora *Novum Organum* należy dodać jedyne istotne uzupełnienie, wynikające mianowicie z potrzeby uwzględnienia właśnie wskaźnika *t e m p o r a l n e g o*. Teoria idoli (jaskini, rynku, teatru i plemienia) wskazuje na materialne, lecz tylko synchroniczne źródło fantomów światopoglądowych. Nie mówi jednak prawie nic o s i l e s p r a w c z e j t r a d y c j i oraz wpływie wszelkich, niezidentyfikowanych, pojedynczych odpadów spuścizny minionego czasu. Język i zwyczaje konserwują owe determinanty zbiorowego odczuwania i myślenia, aura szacowności nadaje im zaś nawet splendor nadzwyczajności, a bywa, że i nimb świętości. Skąd wypływają zatem strumienie nieporozumień oraz rzeki błędów i niedorzeczności? Zazwyczaj z pochopności sądów i gustowania w fantazmatach, a może także powolnego rytmu budzenia się

mądrości własnej i autentycznej, przypisywania natomiast niezwyklej przemyślności głosom ludu. Jest przy tym pożądaną, aby *vox populi* składał się z osób najlepiej nieznanymi lecz wyposażonych w nadludzkie dyspozycje. Wierzymy w to szczerze, według tergo samego mechanizmu, z jakim dzieci całego świata utożsamiają rzeczywistość z krainą baśni i mitów (przepełnionych po brzegi szlachetnością niby-herosów i bystrością intelektualnych rzekomych mędrków). Zaletą staje się ostatecznie anonimowość postaci, gdyż ona to właśnie przedostaje się łatwo i niepostrzeżenie do wnętrza indywidualnych i zbiorowych *n i e ś w i a d o m o ś c i*.

Tak powstaje freudowskie *alter-ego*, albo równie potężne „Się” egzystencjalistów. Przejmujemy nauki przeszłości, uznając je za własne, naszych bezpośrednich nauczycieli uznając jedynie za kolejne ogniwa przekazu treści, w zasadzie nigdy nie sprawdzanych, uznanych zatem za zbiór praw bezspornych.

Bunt rozumu przeciw tradycji wybucha stosunkowo rzadko i zwykle osiąga niewielkie, częściowe skutki. Dlatego wciąż tkwimy w tym samym miejscu co poprzednie pokolenia, szczęśliwi poniekąd, że nic się nie zmienia.

JÓZEF LIPIEC



Józef Sękowski, *Dziewczynka ze skakanką*

EDWARD KAROLCZUK

GLOBALIZACJA A DŁUG PUBLICZNY

Globalizacja jest naturalną tendencją, towarzyszącą całej historii ludzkości. Jednak na progu trzeciego tysiąclecia naszej ery przyjęła ona zasadniczo nowe cechy, stała się jednym z wiodących czynników rozwoju społecznego, wywierając jednocześnie głęboki wpływ na wszystkie sfery życia społecznego. Zadecydowała o rozwoju takich samych lub bardzo podobnych zjawisk i procesów społeczno-ekonomicznych w skali planety. W globalizacji transnarodowy charakter przybierają także zjawiska patologiczne, jak np. korupcja, korupcja polityczna czy zorganizowana przestępczość. Jednym z takich powszechnych procesów towarzyszących globalizacji stał się również wzrost długów publicznych w prawie wszystkich państwach, niezależnie od ich poziomu rozwoju gospodarczego.

W warunkach globalizacji następuje modyfikacja form przejawiania się wszystkich podstawowych kategorii i praw ekonomicznych. W myśl ogólnego schematu funkcjonowania prawa wartości powinno następować ujednolicanie płac przy tej samej wydajności pracy. Tymczasem w warunkach globalizacji, przy ograniczeniach w przemieszczaniu się siły roboczej, prawo wartości sprawia, że wynagrodzenia za tę samą pracę w różnych krajach są różne, podczas gdy ceny towarów i zyski kapitału mają tendencję do wyrównywania się w skali światowej. Skutkiem rozwoju rynku globalnego jest więc polaryzacja ekonomiczna, a nie wyrównywanie się poziomów pomiędzy poszczególnymi krajami. Dzięki rozwojowi różnego rodzaju innowacji finansowych, stało się możliwe finansowanie deficytów budżetowych, a dług publiczny stał się narzędziem akumulacji pierwotnej kapitału w skali światowej i zajął miejsce inflacji w redystrybucji dochodu i bogactwa narodowego, i w ostatecznym rachunku, stał się czynnikiem hamującym rozwój gospodarczy i społeczny.

1. O genezie, istocie i skutkach globalizacji

John Bellamy Foster i Robert W. McChesney piszą, że „normalny” stanem gospodarki kapitalistycznej zdominowanej przez oligopole jest jej „stagnacja”, wyraźnie widoczna zwłaszcza w krajach *Triady* (USA, Unia Europejska i Japonia) już od lat 60. XX wieku, maskowana przez pewne górkę i dołki wzrostu gospodarczego. Walka ze stagnacją okazała się nieskuteczna – mechanizmy uruchamiane przez poszczególne rządy umożliwiały jedynie bardzo ograniczone wzrosty gospodarcze. Stagnacja gospodarki światowej związana jest bowiem z paradoksem akumulacji, który występuje głównie w krajach *Centrum*. Zyski kapitału i akumulacja rosną tam przede wszystkim dzięki wzrostowi stopy wyzysku siły roboczej, czyli dzięki powstrzymaniu wzrostu płac w stosunku do wydajności – ale niskie płace robocze ograniczają popyt, a tym samym samą

ekspansję kapitału. Ograniczona, w wyniku rosnącej akumulacji, konsumpcja szerokich mas jest barierą dla inwestycji kapitału i ostatecznie spowalnia długookresowy wzrost gospodarczy. Powstałe nadwyżki mocy produkcyjnych zmniejszają stopy zysku i proces akumulacji musi zwolnić, zwłaszcza gdy nie ma bodźców takich jak wojny, zdobycze nowych rynków, innowacje technologiczne lub atrakcyjne towary rynkowe.

Zdaniem autorów *Kryzysu bez końca*, walka z groźbą stagnacji i jej skutków w warunkach nadakumulacji kapitału miała jednak dwojakie implikacje: z jednej strony nastąpiła finansjeryzacja całej gospodarki, skutkująca dominacją kapitału finansowego nad przemysłowym, zwiększeniem zysków kapitału finansowego w stosunku do kapitału przemysłowego i wzrostem zadłużenia „realnej gospodarki”, a z drugiej nadwyżki kapitałowe zaczęły w większym stopniu szukać swojej korzystniejszej lokaty poza granicami własnego kraju, w różnych zakątkach całej planety.

W latach 1974-1975 skończył się w USA i gospodarce światowej okres powojennego boomu, kiedy to ekspansji finansowej towarzyszył rozkwit gospodarki „realnej”. Jednak pod koniec XX wieku rozkwit ekspansji finansowej został związany ze stagnacją gospodarczą i zaczęła się dominacja finansów nad „realną” gospodarką, inwestycje w papiery wartościowe zaczęły przynosić większe zyski niż inwestycje przemysłowe. „Aby zrozumieć historyczną zmianę, jaka zaszła w tym okresie, kluczowe jest przyznanie, że we współczesnej gospodarce kapitalistycznej istnieją w istocie dwie struktury cen: jedna odnosząca się do wyceny produkcji i związana z PKB oraz czymś, co ekonomiści nazywają »gospodarką realną« oraz druga, związana z wyceną aktywów, na które współcześnie składają się przede wszystkim »aktywa finansowe« lub formalne tytuły do majątku. Generalnie rzecz ujmując, wystąpiła następująca sekwencja zdarzeń: nie mogąc znaleźć ujścia dla rosnącej nadwyżki w gospodarce realnej, kapitał (poprzez korporacje i inwestorów indywidualnych) wlał swoje nadwyżki/oszczędności w finanse, spekulując na wzroście cen aktywów. Tymczasem instytucje finansowe ze swej strony znalazły nowe, innowacyjne sposoby ulokowania tego ogromnego napływu kapitału pieniężnego i na dźwiganie finansowej nadbudowy gospodarki na coraz to nowe wyżyny za pomocą zaciągania dodatkowego długu, ułatwanego przez wszelkiego rodzaju egzotyczne instrumenty finansowe, takie jak derywaty, opcje, sekurytyzacja, itp.”. Wobec rosnących długów „realnej gospodarki” i ich trudności w spłacie kredytów instytucje finansowe uzyskały przyzwolenie poszczególnych państw na zastosowanie różnego rodzaju innowacji finansowych. Użyta sekurytyzacja polegała na przekształceniu nieściągalnych długów

w zbywalne papiery wartościowe, co wywołało iluzję, że dzięki temu ryzyko kredytowe zostało trwale zminimalizowane, a zwiększone zyski zagwarantowane. Zniknęły wszelkie zahamowania przed udzielaniem i zaciąganiem kredytów. „W konsekwencji powstało kolosalne zadłużenie w połączeniu z nadzwyczajnym wzrostem zysków finansowych. Całkowity dług sektora prywatnego (gospodarstw domowych i przedsiębiorstw) wzrósł ze 110 proc. PKB Stanów Zjednoczonych w 1970 r. do 293 proc. w roku 2007, podczas gdy zyski finansowe wystrzeliły w górę, zwiększając się o ponad 300 proc. od 1995 do połowy 2007 r.”¹. Inne państwa *Centrum* podążyły w ślad za USA.

W wyniku przewagi zysków z kapitału finansowego w stosunku do zysków z „realnej gospodarki” nastąpiło zepchnięcie zainteresowania realną gospodarką na dalszy plan. W USA „Część dochodu narodowego przypadająca na sektor finansów, ubezpieczeń i nieruchomości (ang. *Finance, Insurance, and Real Estate, FIRE*) wzrosła w związku z tym z 35 proc. udziału produkcji dóbr na początku lat 80. XX w. do ponad 90 proc. w ostatnich latach. Te tzw. boomy gospodarcze lat 80. i 90. XX w. były zasilane przez szybki wzrost spekulacji finansowych lewarowanych rosnącym długiem, głównie w sektorze prywatnym”².

W pułapkę zadłużeniową wpadło też wiele państw zacończonych i rozwijających się, nie należących do kapitalistycznego *Centrum*. Ułatwiło to instytucjom finansowym wywarcie nacisków na rygorystyczne restrukturyzacje, prywatyzacje, znoszenie ograniczeń dla przepływu kapitału, deregulacje, likwidację państwowej pomocy dla ludności ubogiej – a faktycznie zwiększenie zysków i uspołecznienie strat, w czym istotne stało się zamrożenie lub obniżenie realnych płac roboczych. Tzw. ostatnia globalizacja zaczęła szybko ogarniać kolejne kraje.

Współczesna globalizacja obejmuje kulę ziemską, wyprowadza i łączy różne procesy w skali planety na bazie jednolitego rynku towarów, usług i czynników produkcji, obejmuje z różnym nasileniem wszystkie kraje i regiony gospodarcze. Kapitały odpływają z obszarów, na których koszty są wysokie i spływają do miejsc, w których rentowność jest wysoka. Eliminowane są zbyt wysokie płace i nie dość rentowne kapitały. Chęć wytwarzania tam, gdzie płace większości pracujących są niskie, sprawia, że konsumpcja oparta na płacy roboczej jest blokowana w porównaniu z konsumpcją luksusową, bazującą na innych formach dochodów czy zyskach. Ograniczeniom konsumpcyjnym nie jest w stanie zaradzić wzrost płac i dochodów około 20 proc. zamożnej części społeczeństwa. W związku z tym możliwości ożywienia popytu i sprzedaży szuka się na rynku światowym, gdzie nie ma blokady dochodowej lub prowadzi politykę obniżania podatków. Polityka obniżania podatków ma to do siebie, że z reguły stymuluje konsumpcję warstw zamożnych ekonomicznie, które są nieliczne, a obniżenie stóp procentowych w celu stymulacji popytu wewnętrznego zwiększa zadłużenie większości gospodarstw domowych, których dochody realne są niskie lub nawet spadają. Zaostrza to sprzeczności społeczne i stwarza możliwości wy-

buchów konfliktów społeczno-politycznych. Aby im zapobiegać, warstwy rządzące starają się doraźnie łagodzić powstałe sprzeczności poprzez różnego rodzaju działania osłonowe i socjalne, na które środki pozyskują poprzez zaciąganie długów publicznych.

Obietnice korzyści z globalizacji dla najszerszych rzesz społecznych coraz wyraźniej rozmijają się z rzeczywistością. Główny zarzut przeciwników globalizacji sprowadza się do stwierdzenia, że globalizacja wbrew zapowiedziom nie przyczyniła się do likwidacji dystansu pomiędzy najbiedniejszymi i najbogatszymi krajami³. Globalizacja zamiast do wzrostu harmonii prowadzi do asymetrycznej współzależności, w której utrzymują się i pogłębiają podziały pomiędzy światem preindustrialnym, industrialnym i postindustrialnym. Umacnia się rola korporacji ponadnarodowych, podważających pozycję wyborców i demokratycznie wybranych władz. Występują wstrząsy finansowe w poszczególnych krajach, zwłaszcza w stanowiących *Peryferia* kapitalizmu. Utrzymuje się wysoka stopa bezrobocia i marginalizacja znacznych grup społecznych nie tylko na *Peryferiach*, ale także w *Centrum* kapitalizmu. Rosną dysproporcje w podziale produktu globalnego brutto. W procesie globalizacji rola i znaczenie transnarodowych korporacji ciągle rośnie, a budżety wielu z nich przekraczają budżety poszczególnych państw.

Nie bacząc na to neoliberalowie uważają za swe główne zadanie stanie na straży reżymu wolnorynkowego, pilnowanie niskich wydatków budżetowych i strzeżenie pieniądza przed inflacją. Wydatki budżetowe chcą kierować na sprawy, których nie można załatwić wyłącznie za pomocą wolnego rynku i tylko na to chcą ściągać podatki. Polityki podatkowej nie chcą więc wiązać się ze wzrostem gospodarczym. Mimo takich deklaracji neoliberalna polityka podatkowa prowadzi do wzrostu długu publicznego.

2. Obecna wysokość długów

Dług publiczny stanowi różnicę pomiędzy wydatkami państwa i instytucji publicznych a ich dochodami. Jest wynikiem kumulowania deficytów budżetowych, na sfinansowanie których emitowane są papiery wartościowe (obligacje, weksle, bony) oraz zaciągane są kredyty i pożyczki. Dług publiczny występuje w mniejszej lub większej skali w prawie wszystkich państwach. Jego wysokość może się różnić zależnie od przyjętej metody jego liczenia. Dla przykładu na koniec 2013 roku dług publiczny stanowił procent PKB: w Austrii 74,5; w Belgii 101,5; w Finlandii 57; we Francji 93,5; w Holandii 73,5; w Irlandii 123,7; w Niemczech 78,4; w Polsce 57; w Portugalii 129; w Rumunii 38,4; w Słowacji 55,4; w Słowenii 71,5; w Szwecji 40,6; w USA 74; a w Japonii 220.

Wielu liberalnych polityków i publicystów powtarza, że dług publiczny z chwilą gdy przekracza pewien poziom, staje się bardzo niebezpieczny dla gospodarki i społeczeństwa. Dla uspokojenia własnych sumień wprowadzono nawet zapisy konstytucyjne określające granice, których dług publiczny nie powinien przekra-

¹ J. B. Foster i R. W. McChesney, *Kryzys bez końca. Jak kapitał monopolistyczno-finansowy wywołuje stagnację i wstrząsy od Stanów Zjednoczonych po Chiny*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2014, s. 90-91.

² Tamże, s. 40-41.

³ „Europa w 1820 r. była trzy razy bogatsza od Afryki. Natomiast w 1992 r. już przeszło 13-krotnie”. H. Chołaj, *Ekonomia polityczna globalizacji. Wprowadzenie*, Fundacja „Innowacja”, Warszawa 2003, s. 605.

czać. Okazało się, że jednak granice te ustalono tylko po to, aby je ominąć. Manipulując definicją długu publicznego ukrywa się jego niebezpieczny wzrost. W rezultacie mamy do czynienia ze światowym kryzysem wysokich długów publicznych.

3. Koszty obsługi długu publicznego

Pożyczanie pieniędzy państwu nie jest działalnością filantropijną. Pożycza się po to, aby na tym zarobić. Państwo musi w związku z tym ponosić wydatki na obsługę tzw. długu publicznego, które odnoszą się do skupu krótkookresowych weksli skarbowych i obligacji państwowych, spłat rat kapitałów oraz spłat oprocentowania średnio i długookresowych pożyczek zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

Koszty obsługi długu publicznego w Polsce w 2001 r. pochłonęły 12,1 proc., w 2005 r. 12 proc., w 2009 r. 10,8 proc., a w 2012 13,2 proc. wydatków budżetu państwa. W 2012 r. obsługa długu publicznego wymagała ponad 42,1 mld zł (PLN). Była to druga pozycja po dotacjach dla obowiązkowych ubezpieczeń społecznych (prawie 76 mld). Koszty obsługi długu publicznego w 2012 r. były większe niż łączne wydatki na obronę narodową (ponad 20 mld), administrację publiczną (12,3 mld), ochronę zdrowia (7,2 mld), oświatę i wychowanie (ponad 1,8 mld), gospodarkę komunalną i ochronę środowiska (0,48 mld). O skali tych wydatków może świadczyć porównanie ich z wydatkami na pomoc społeczną i pozostałe zadania w zakresie polityki społecznej (ponad 17,4 mld)⁴. Na 2014 zaplanowano w związku z przekazaniem znacznej części funduszy OFE do ZUS, zmniejszenie kosztów obsługi zadłużenia skarbu państwa na 32,6 mld zł, ale już na rok 2017 wydatki te szacuje się na 41,2-43 mld zł.

W połowie 2010 r. dług publiczny w Polsce wynosił 721 mld zł (PLN), w 2012 r. – 840,5 mld, w 2013 – 899,5 mld zł. A na 2017 szacuje się wzrost do 1 046,6 mld zł. W czerwcu 2013 roku 69,4 proc. długu zaciągnięte było w PLN (występuje spadek w ostatnich latach), 21,2 proc. w euro (EUR) (rośnie w ostatnich latach) i innych walutach 9,4 proc. Zgodnie z prawidłowościami charakterystycznymi dla globalizacji rósł w Polsce udział rezydentów zagranicznych, czyli osób fizycznych i prawnych zdolnych do zaciągania zobowiązań i nabywania praw w długu skarbu państwa: w 2005 roku wynosił on 42,9 proc., w 2010 roku 44,6 proc., a w 2012 już 54,4 proc. długu skarbu państwa⁵. Dochody budżetu państwa z podatku dochodowego od osób prawnych w 2012 roku wyniosły ponad 25 mld zł, a dochody z podatku dochodowego od osób fizycznych na prawie 40 mld zł⁶. Oznacza to, że całe wpływy państwa z podatku dochodowego wydawane są na obsługę długu publicznego, czyli na zaspokojenie roszczeń nielicznej oligarchii, która wcześniej udzieliła pożyczki dla państwa na pokrycie deficytu budżetowego.

Dla uzmysłowienia sobie znaczenia i funkcji długu publicznego możemy jeszcze podać, że dochody z prywatyzacji za lata 2007-2009 wyniosły 31,2 mld złotych, za rekordowy 2010 ponad 22 mld zł. Dochody z pry-

watyzacji są znacznie niższe niż koszty obsługi długu publicznego, a to oznacza, że dług publiczny można również interpretować jako narzędzie prywatyzacji majątku narodowego. Kapitalistyczne rządy odwołujące się do ideologii neoliberalizmu, dokonując prywatyzacji różnych form własności społecznej jednocześnie wywłaszczają ogół obywateli z części należącego do nich majątku. Głosząc poszanowanie prawa do własności prywatnej, podważają prawo do własności społecznej, która jest podstawą do rozwiązywania problemów większości obywateli. Ugo Mattei pisał, że dokonując prywatyzacji „rząd sprzedaje coś, czego nie posiada, coś, co proporcjonalnie należy do każdego z członków danej społeczności”, „pozbawia obywatela przypadającej mu części dobra wspólnego”, „pozwala obecnym rządcom swobodnie wyprzedawać dobra należące do wszystkich, by sfinansować ich własną politykę gospodarczą”. Ponieważ nie ma prawnych zabezpieczeń przed przekazywaniem własności społecznej (nazywanej często własnością publiczną, co nie jest tożsame) w ręce prywatne, rząd nie wywiązuje się ze swej roli „zaufanego administratora”, a występuje w roli wyłącznego właściciela, do czego nie ma podstaw prawnych i moralnych. Wyrażając interesy głównie kapitału finansowego rząd woli bardziej swoje działania finansować z kredytów niż z podatków⁷. Tłumacząc się koniecznością spłacenia poprzednich długów rządu ciągle zaciągają nowe kredyty i dokonują nowych prywatyzacji. Koszty obsługi długu publicznego są na tyle wysokie, że same są dodatkowym źródłem wzrostu długu publicznego. Zjawiska te stały się organiczną częścią globalizacji.

4. Neoliberalowie wobec długu publicznego

Stanowisko neoliberalów w kwestii długu publicznego cechuje wewnętrzna sprzeczność. Z jednej strony negatywnie odnoszą się oni do zaciągania długów przez państwo, gdyż są przeciwni ingerencji państwa w system ekonomiczny i wzrostowi jego roli, zwiększania przez nie ilości pieniądza, wpływowi przez rząd na stopy procentowe i zakłócaniu kalkulacji ekonomicznej przedsiębiorców. Państwo w ich mniemaniu powinno jedynie powstrzymać się przed wywoływaniem inflacji i stwarzać bankom warunki do ekspansji kredytowej. Z drugiej strony chcą traktować państwo jako partnera na wolnym rynku. W związku z tym np. Ludwig von Mises, odwołując się do irracjonalnych argumentów pisał, że udzielanie pożyczek dla państwa na sfinansowanie jego działań świadczy o wzroście zaufania do nowoczesnego państwa. W ten sposób państwo „dało obywatelowi możliwość bezpiecznego przechowania swojego bogactwa i otrzymania stałego dochodu, niepodlegającego jakimkolwiek wahaniom”. Ktoś, kto zainwestował w obligacje skarbu państwa lub zależnych od niego instytucji, „nie podlegał już prawom rynku ani władzy konsumentów”. Nie musiał przymilać się konsumentom, a zyskiwał dodatkową możliwość dysponowania swoim kapitałem. Udzielając pożyczek państwu obywatel, zdaniem Misesa, zyskiwał ekonomiczną podstawę wszelkiej niezależności wobec państwa. „Dochody obywatela przestały

⁴ *Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej 2013*, Warszawa 2013, s. 650.

⁵ Tamże, s. 649.

⁶ Tamże, s. 645.

⁷ U. Mattei, *O konstytucyjną zasadę dóbr wspólnych. Prawo przeciw prywatyzacji*, „Le Monde diplomatique edycja polska. Miesięcznik Społeczno-Polityczny” 2011, nr 12(70), s. 8.

mieć związek procesem jak najlepszego zaspokojenia potrzeb konsumentów, stając się pochodną podatków nakładanych przez państwowy aparat przymusu i przemocy. Obywatel nie był już sługą innych członków społeczeństwa poddanym ich zwierzchnictwu, lecz partnerem rządu, który sprawował nad ludźmi władzę i wymuszał od nich daninę⁸.

Mises z jednej strony deklaruje chęć ograniczenia roli państwa, ale z drugiej dąży do wykorzystania jego klasowych funkcji do obrony interesów kapitału, zwłaszcza finansowego. Dlatego większość finansowych wierzycieli ufa państwu i wierzy, że będzie ono dobrowolnie dotrzymywało złożonych obietnic, pomimo negatywnych doświadczeń z długiem publicznym w przeszłości. Jest w stanie zapłacić mu kolejny haracz ze względu na klasowe interesy. W rezultacie tego „zaufania” już stuletnie doświadczenie wskazuje, że następuje stały wzrost zadłużenia państwa u obywateli. Mises doszedł do wniosku, że dzisiaj „Nikt nie wierzy, że państwa będą w nieskończoność ponosić ciężar spłaty odsetek tych pożyczek. Nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później wszystkie te długi zostaną w taki czy inny sposób zlikwidowane”. Dopiero w przypisie Mises zbliżył się do wyjaśnienia istoty mechanizmu długu publicznego. Pisał, że „Obciąża on warstwy produkujące, a daje korzyści innej grupie ludzi. Jedynym możliwym sposobem uwolnienia producentów nowego bogactwa od tego ciężaru byłoby ściągnięcie podatków potrzebnych na spłatę długu wyłącznie od posiadaczy obligacji. To jednak oznaczałoby otwarte zerwanie umowy⁹, czyli wyrzeczenie się przez państwo swojej klasowej istoty. Mises nie określił bliżej tych grup „produkcyjnych” i „posiadających”. Ubolewał jedynie, że ci, którzy przeznaczają swoje oszczędności na pokrycie długu publicznego „nie przyczyniają się do akumulacji kapitału”, i że „w gospodarce interwencjonistycznej rząd może trwonić oszczędności obywatela¹⁰. Nie wyjaśnił też, dlaczego grupy te pożyczają państwu pomimo dostrzeganego ryzyka.

Stwierdzenia, że wszelki deficyt powoduje wzrost długu publicznego i że redukcja deficytu budżetowego prowadzi do jego zmniejszenia, nie zawsze są prawdziwe. Neoliberalni ekonomiści i politycy próbują przekonać opinię publiczną, że za dług publiczny odpowiedzialni są emeryci, renciści, chorzy, pracownicy budżetówki, studenci, nauczyciele i uczniowie, i ich kosztem realizują programy „oszczędnościowe”. Jeśli redukcja deficytu budżetowego prowadzi do wyhamowania działalności gospodarczej, doprowadzi to do zwiększenia długu publicznego. Teza o tym, że ulgi podatkowe przyczyniają się do wzrostu gospodarczego, jest trudna do pozytywnej weryfikacji. Jest wręcz przeciwnie – ulgi podatkowe rosną, a bezrobocie nie maleje.

5. O globalnych społecznych przyczynach długu publicznego

Współczesne państwa hołdujące doktrynie neoliberalizmu tkwią w pewnej sprzeczności – z jednej strony dokonują większych wydatków niż posiadają wpływy

z podatków, a z drugiej wobec niedostatecznych dochodów nie podnoszą podatków na cele, które uważają za konieczne. Powstaje pytanie: dlaczego jest ono tak niekonsekwentne, jeśli głosi powszechnie walkę z inflacją i troskę o stabilność pieniądza?

W czasach najnowszych aby uzyskać środki na złagodzenie doraźnych sprzeczności pomiędzy pracą i kapitałem, od końca lat 60. zastosowano trzy główne metody: pierwszą z nich była inflacja, którą ograniczono dopiero na przełomie lat 70. i 80. XX wieku, drugą – zadłużenie publiczne i trzecią – zadłużenie prywatne, którego wysokość w większości państw porównywalna jest z wysokością długów publicznych.

Inflacja przestała pełnić swą redystrybucyjną rolę, gdy w odpowiedzi na nią masom udało się wywalczyć indeksację płac, a klasy posiadające zaczęły domagać się większych gwarancji dla swego stanu posiadania. Inflacja, wbrew przewidywaniom Keynesa, doprowadziła do wzrostu bezrobocia, co pociągnęło za sobą ograniczenia konsumpcji, a w konsekwencji stagnację produkcji. Najpierw w USA zaczęto podnosić stopy procentowe, co spowodowało wzrost bezrobocia do wysokości z okresu Wielkiego Kryzysu 1929-1933. Wyjście zaczęto widzieć w ograniczeniu roli związków zawodowych, płac realnych. Stagnacja przemysłowa wrogo nastawiła do podatków warstw zamożne, które chciały wzrostu swoich dochodów. Wzrost bezrobocia spowodowany przez stabilizację pieniądza zmniejszył wpływy podatkowe państwa i jednocześnie wymagał od państwa zwiększonych wydatków na zasiłki i pomoc społeczną. A wraz z tym przestała też zachodzić nieustanna dewaluacja deficytu i długu publicznego. Popyt i produkcję liberalne rządy zaczęły ratować poprzez wzrost wydatków i długów publicznych oraz cięcia w wydatkach budżetowych na cele socjalne. Dług publiczny, podobnie jak inflacja, początkowo pozwalał na redystrybucję dochodów sięgając do przyszłych zasobów. Zamiast drukować pieniądze bez pokrycia, rządy zaczęły coraz więcej pożyczać i zwiększać dług publiczny.

Współczesne rządy hołdujące doktrynie neoliberalizmu, obiecując przełamanie stagnacji gospodarczej obniżały podatki od zamożnych warstw społeczeństw¹¹. Stało się jednak co innego niż przewidywano, gdyż zamożne warstwy społeczne zamiast przeznaczać zwiększone dochody na inwestycje produkcyjne, przeznaczały je w większości na inwestycje finansowe i spekulacje oraz konsumpcję prestiżową. W rezultacie rządy i zamożne warstwy społeczne przyczyniły się do destabilizacji finansów publicznych, co zmusiło państwa do emisji papierów wartościowych i rozbudowy rynków finansowych. Alain Bihr wyjaśniając powstanie długu publicznego odwrócił argumentację stosowaną przez neoliberalistów. Państwo pożyczka od wielkich banków, towarzystw ubezpieczeniowych, funduszy emerytalnych, funduszy inwestycyjnych, czyli instytucji skoncentrowanego kapitału finansowego, oraz zamożniejszych warstw społeczeństwa żądnych odsetek od gromadzonych oszczędności finansowych. „Pieniądże, których państwo nie uzyskuje od niej [burżuazji – E.K.] jako grupy podatników, burżuazja prze-

⁸ L. von Mises, *Ludzkie działanie. Traktat o ekonomii*, Fundacja Instytut Ludwiga von Misesa, Warszawa 2007, s. 194.

⁹ Tamże, s. 197.

¹⁰ Tamże, s. 713.

¹¹ W latach 1986-2007 przeciętna stopa podatkowa dla najwyższego progu podatkowego w krajach założycielskich UE obniżyła się o 20 proc., z wyjątkiem Niemiec (5,5 proc.), które musiały ponosić koszty swego zjednoczenia.

kazuje temu samemu państwu w formie pożyczki na procent. [...] Co więcej, państwo płaci za pieniądze w formie odsetek od bonów czy obligacji Skarbu Państwa. Krótko mówiąc, dług publiczny jest magicznym mechanizmem, który sprawia, że część nadmiernych dochodów uprzywilejowanych, zamożnych warstw społeczeństwa nie tylko nie jest im odbierana w formie podatku, ale zostaje przekształcona w (fikcyjny) procentujący kapitał¹². Zamożna część społeczeństwa dzięki długowi publicznemu uzyskuje więc dodatkowy sposób, żeby jeszcze bardziej wzbogacić się. Państwo nie zaciągałoby długów, gdyby nie miało u kogo pożyczać. To rosnące dysproporcje w dochodach i oszczędności zamożnych warstw społeczeństwa generują dług publiczny.

Ulgi podatkowe dla zamożnych warstw społeczeństwa umożliwiły im gromadzenie oszczędności, które z kolei posłużyły do finansowania długu publicznego, powodowanego przez te same ulgi podatkowe. Powstało błędne koło. Nie ma więc sprzeczności pomiędzy wzrostem bogactwa osób zamożnych i instytucji finansowych a wzrostem długu publicznego. Zamożna część społeczeństwa dzięki długowi publicznemu uzyskała więc dodatkowy sposób wzbogacenia się. Państwo nie zaciągałoby długów, gdyby nie miało u kogo pożyczać. Z jednej strony – to oszczędności zamożnych warstw społeczeństwa, uzyskane m.in. dzięki państwu, choć wydaje się to paradoksalne, generowały dług publiczny. Zadłużenie publiczne stanowiło odpowiedź na popyt na różnego rodzaju bony skarbowe stanowiące bezpieczną lokatę oszczędności i środków finansowych. A z drugiej – świadczyło o spadku popytu spowodowanego zmniejszeniem się udziału płac w dochodzie narodowym.

Dług publiczny zmusza też do sięgnięcia po oszczędności grup nieaktywnych już produkcyjnie – rent i emerytur. Wymusza się kapitalizację i prywatyzację różnego rodzaju funduszy ubezpieczeniowych i emerytalnych. Obiecany przez neoliberalistów wzrost rent i emerytur nie następuje, a wręcz przeciwnie – wszędzie występuje ich spadek lub kryzys systemów emerytalnych i rentowych, co znowu zwiększa dotacje państwa i wzrost długu publicznego. Ostatnio jako deskę ratunkową przedstawia się podniesienie wieku emerytalnego do 67 lat, chociaż to nie eliminuje strukturalnych przyczyn narastania długu publicznego.

W przypadku Polski dodatkowym czynnikiem wpływającym na wzrost długów publicznych stała się reforma funduszu emerytalnego przeprowadzona w 1999 roku. Utworzono *Otwarte Fundusze Emerytalne* (OFE), jako przymusowy filar kapitałowy, obok zmienionego dotychczasowego repartycyjnego (ZUS). 40 proc. składki emerytalnej zaczęto inwestować na rynkach finansowych. W istocie oznaczało to zmniejszenie emerytury z filara repartycyjnego poprzez skierowanie części środków do filara kapitałowego. Kapitalizacja składek w ramach OFE nie przyniosła spodziewanych (obiecanych) efektów. Szczególnie w wyniku kryzysu rozpoczętego w 2007 roku grozić zaczął drastyczny spadek emerytur. Rząd zaczął zmniejszać wysokość składki przekazywanej do OFE i finansować

OFE za pomocą długu publicznego. Prof. Leokadia Oręziak stwierdziła, że „W całym okresie od 1999-2012 z powodu OFE powstał zatem dodatkowy dług publiczny na kwotę 279,4 mld zł, co stanowiło na koniec 2012 r. 17,5 proc. PKB, czyli ponad 1/3 całego państwowego długu publicznego wynoszącego na koniec 2012 r. 52,7% proc.PKB¹³. A do końca 2013 r. istnienie OFE spowodowało powiększenie długu (wraz z odsetkami) do ponad 300 mld zł.

W okresie globalizacji fundusze emerytalne stały się ważnym uczestnikiem rynków finansowych. Kapitalizacja tych funduszy sprawiła, że zgromadzone oszczędności przekształciły się w kapitał, zarządzające nimi zarządy stały się częścią finansjery, a oszczędzający pracownicy oraz emeryci i renciści więźniami kapitalistycznych stosunków. Marks opisał ten mechanizm na przykładzie kas oszczędności, których celem było wspomoczenie robotników w okresach niepomyślnych: „Kasa oszczędności to złoty łańcuch, na którym rząd trzyma znaczną część klasy robotniczej. W ten sposób robotnicy nie tylko stają się zainteresowani w zachowaniu istniejących stosunków. Nie tylko dochodzi do rozłamów między częścią klasy robotniczej uczestniczącą w kasach oszczędności a częścią, która w nich nie uczestniczy. Robotnicy sami dają w ten sposób swym wrogom oręż do utrzymania istniejącej organizacji społeczeństwa, ujarzmiającej robotników. Pieniądze napływają z powrotem do banku narodowego, ten z kolei pożyczka je kapitalistom, jedni i drudzy dzielą się zyskiem i w ten sposób dzięki pieniądзом pożyczonym im na nędzny procent przez lud – co właśnie dopiero w następstwie takiej centralizacji staje się potężną dźwignią rozwoju przemysłu – pomnażają swoje kapitały, swoje bezpośrednie władztwo nad ludem¹⁴.

Aby zapobiec obniżeniu poziomu życia, po ograniczeniu wydatków na cele socjalne i podwyżki płac oraz „uelastycznieniu” zatrudnienia zaczęto oferować ludziom niżej sytuowanym najpierw w USA *kredyty subprime*¹⁵ i złudne bogactwo, na którym się opierały. Zaczęto pompować banki spekulacyjne – elektroniczną, nieruchomościową, surowcową, itp., itd. „Tak oto w odróżnieniu od okresu, w którym panował dług publiczny i pożyczka państwowa pozwalała korzystać dziś z jutrzejszych zasobów, teraz sami ludzie mogli kupić natychmiast to wszystko, czego potrzebowali, w zamian za zobowiązanie, że wydadzą na to znaczną część swoich przyszłych dochodów. [...] Dług prywatny dodano do długu publicznego i popyt indywidualny [...] zajął miejsce pilotowanego przez państwo popytu zbiorowego. To on podtrzymywał więc zatrudnienie i zyski, zwłaszcza w sferze nieruchomości¹⁶. W 2008 roku to

¹² A. Bihl, *Nowomowa neoliberalna. Retoryka kapitalistycznego fetyszyzmu*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008, s. 45-46.

¹³ L. Oręziak, *OFE katastrofa prywatyzacji emerytur w Polsce*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2014, s. 254.

¹⁴ K. Marks, *Płaca robocza*, w: K. Marks, F. Engels, *Dziela*, t. 6, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 626-627.

¹⁵ Kredyty *subprime* – (*Subprime loan*) – są kredytami wysokiego ryzyka, których oprocentowanie jest na dużo wyższym poziomie niż stopa procentowa ustalona przy standardowym kredycie w danym segmencie. Kredyt *subprime* przeznaczony jest dla kredytobiorców, których rzetelność budzi wątpliwości. Do grona produktów *subprime* zaliczyć można kredyty hipoteczne lub specjalne karty kredytowe. Rozpowszechnione i stworzone są w szczególności w USA. Kredyty typu *subprime* w dużej mierze przyczyniły się do wybuchu ogólnosiwiatowego kryzysu finansowego w roku 2007, gdyż największe banki w Stanach Zjednoczonych Ameryki przyznawały te pożyczki praktycznie każdemu, bez względu na jakiegokolwiek kryteria.

¹⁶ W. Streeck, *Kryzys kapitalizmu demokratycznego. Polityczne korzenie załamania finansowego*, „Le Monde Diplomatique” edy-

się jednak skończyło. Zaczęły pękać bańki mieszkaniowe najpierw w USA, a później w innych krajach. Jak napisał Wolfgang Streeck „Zawierucha finansowa 2008 r. oznaczała więc koniec trzeciego etapu i prawdopodobnie zapowiedziała nadejście nowej konfiguracji, której natura pozostaje niejasna”¹⁷.

Jan Toporowski nie zajmuje się społecznym mechanizmem powstania długu publicznego. Ukazuje jednak instytucjonalne warunki sprzyjające jego wzrostowi. Przyjęte w Traktacie z Maastricht z 1992 roku rozwiązania nałożyły ograniczenia na dopuszczalną wysokość deficytu budżetowego i górny pułap relacji długu publicznego do PKB; banki centralne uzyskały niezależność od rządów, a rządy zostały pozbawione banków centralnych jako swoich kredytodawców; jednym z głównych zadań banków stała się walka z groźbą inflacji. Wskazuje jednak na rolę długu publicznego w polityce finansowej. Inflacja rynków kapitałowych stwarzała nowe możliwości zabezpieczeń i finansowania deficytu budżetowego państw, chociaż rynki kapitałowe odnosiły się początkowo nieprzychylnie do finansowania deficytu budżetowego ze względu na „postrzegany spadek wartości długu publicznego jako dobra rzadkiego”. Stosunek ten uległ zmianie w latach 80. XX wieku, kiedy kapitał dla uzasadnienia masowej prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych zaczął posługiwać się ideologią neoliberalizmu. „Prywatyzacja bowiem stanowi w istocie formę finansowania bieżących wydatków rządowych poprzez emisję akcji, które będą pasywami nie dla rządu, ale dla sprywatyzowanej firmy. Jest to reklamowane jako ekscytująca innowacja wspierająca wolną przedsiębiorczość”¹⁸. Jednakże zdaniem Jana Toporowskiego „Przy panującym reżimie niskiej inflacji, obecnie przechodzącej w deflację, i bez możliwości ekspansji fiskalnej system ten nie ma żadnego mechanizmu eliminowania z gospodarki nadmiaru długu”¹⁹.

6. Polityczne skutki wzrostu długu publicznego

Sprawa długu publicznego nie kończy się jednak na problemie korzyści ekonomicznych, gdyż finansjera finansując dług publiczny pragnie zmniejszyć ryzyko dokonanych inwestycji. Oprócz żądań ekonomicznych pojawiają się też polityczne, które skutkują ograniczeniami demokracji. Poszczególne państwa są dla kapitału finansowego idealnym klientem, „mają bowiem dwie przeciwstawne cechy, które razem gwarantują optymalną waloryzację kapitału finansowego; są dłużnikami zawsze zadłużonymi i zawsze wypłacalnymi”²⁰.

Dług publiczny stanowi więc dla kapitału finansowego rodzaj gwarancji i zabezpieczenia, gdy jednocześnie angażuje się w przedsięwzięcia bardziej ryzykowne czy spekulacyjne. Dlatego wierzyciel nigdy nie jest zainteresowany w pełnym wypłaceniu się stabilizującego go dłużnika, zwłaszcza że zmusza dłużnika

do wyjścia naprzeciw żądaniom burżuazji i finansjery w zakresie polityki gospodarczej, jak również obsadzie wielu stanowisk w administracji publicznej, co otwiera drogę do powszechnej korupcji. Zdaniem Alaina Bihra, tyrady neoliberalistów przeciwko długowi publicznemu są zwodnicze, gdyż celem ich jest tylko zajęcie opinii publicznej walką z pozornym wrogiem, a faktycznie domagają się (pod pretekstem walki ze zbytnim obciążeniem podatkowym) obniżenia podatków, na czym korzystają tylko najzamożniejsi.

Akumulacja długu publicznego wobec wzrostu kosztów jego obsługi nie może trwać wiecznie, gdyż odbija się to ujemnie na poziomie wzrostu gospodarczego. Wobec ograniczonego poziomu oszczędności społeczeństw, poszczególne państwa zmuszone zostały do sprzedaży obligacji również inwestorom zagranicznym, co zbiegło się z globalizacją rynków finansowych. Kiedy wierzyciele zagraniczni i krajowi zapragnęli skonsumowania spodziewanych zysków, państwa, aby temu podołać, musiały narzucić dyscyplinę budżetową i zaczęły zmuszać społeczeństwa do zaciskania pasa, a w końcu przeprowadzić masowe prywatyzacje majątku państwowego, które w niczym nie ograniczały przyczyn wzrostu długu publicznego.

Dług publiczny nie był i nie jest jedynym sposobem akumulacji pierwotnej kapitału. David Harvey pisze, że obecnie elementem akumulacji kapitału poprzez wywłaszczenie jest zarządzanie i manipulowanie kryzysami. Kapitał finansowy dokonuje spekulacji na skalę światową, manipuluje kursami walut i stopami procentowymi, zastawia „pułapki zadłużeniowe”, pompuje „bańki spekulacyjne”, niszczy aktywa przedsiębiorstw i funduszy emerytalnych przez sterowaną inflację, dokonuje fuzji przedsiębiorstw w celu przejęcia ich rynków, sztucznie „kreuje” bezrobocie, a wszystko po to, aby dokonywać akumulacji kapitału przez masowe wywłaszczenia i zaoszczędzić przez obniżkę wartości siły roboczej, bez wywołania gwałtownej rewolty społecznej. Tzw. programy pomocowe mają za zadanie utrzymywanie pacjenta w stanie choroby, ale bez wywołania jego gwałtownej śmierci. „Kreowanie kryzysów na scenie światowej, a także zarządzanie nimi i manipulowanie urosło do rangi sztuki przemyślanej redystrybucji bogactwa od krajów biednych do zamożnych”²¹.

7. Marks i Engels o znaczeniu długu

Neoliberalne rządy przez wiele lat przemilczały i bagatelizowały problem długu publicznego. W przeciwieństwie do nich Marks, niezależnie od tego, jaka była forma ustroju politycznego w danym państwie, widział ogromną polityczną rolę długu publicznego, i określał go jako „wyprzedaż państwa”, która „wyciska swe piętno na erze kapitalistycznej”²². Bogata część narodu tym bardziej wzbogacała się, im bardziej naród pogrążał się w długach.

cja polska. Miesięcznik Społeczno-Polityczny” 2012, nr 1(71), s. 30.

¹⁷ Tamże, s. 28.

¹⁸ J. Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego i inne krytyczne eseje o finansach i ekonomii finansowej*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012, s. 103.

¹⁹ Tamże, s. 236.

²⁰ A. Bihra, *Nowomowa neoliberalna...*, jw., s. 47.

²¹ D. Harvey, *Neoliberalizm. Historia katastrofy*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008, s. 218.

²² K. Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*, t. 1, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 23, Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 895. Marks używał zamiennie pojęcia „dług publiczny”, „kredyt publiczny” i „dług państwowy”, gdyż o powstaniu jego decydowały rządy państw jeszcze wówczas bez udziału samorządów czy towarzystw ubezpieczeniowych.

Zdaniem Marksa dług publiczny był jedną z najpóźniejszych dźwigni zmian społecznych i akumulacji pierwotnej kapitału. Pozwolił na zdobycie przewagi mieszczaństwa nad szlachtą i właścicielami ziemskimi. Nie był on jednak obojętny dla funkcjonowania systemu politycznego. Każdy ustrój uzależniał się bowiem od tego, kto mu pożyczał. Dzięki długowi publicznemu nieproduktywny pieniądź był przemieniany w kapitał, bez ryzyka typowego dla inwestycji przemysłowych. Powstała „próżniacza klasa rentierów”, spółki akcyjne, nowoczesna bankokracja, bogacili się dzierżawcy podatkowi, kupcy, prywatni fabrykanci, a finansisci zaczęli odgrywać rolę pośredników między rządem a narodem. Dług publiczny pozwolił na rozwój ażytożu, czyli spekulacji na giełdzie polegającej na wywoływaniu i wykorzystywaniu różnic kursów papierów wartościowych. Powstały banki narodowe już nie tylko z nazwy, ale również ze względu na zasięg swojej działalności. Banki stawały się depozytariuszami krajowych zapasów złota i ośrodkiem oddziałującym na stopę kredytową w skali kraju. Pieniądź legł u podstaw istniejących stosunków społecznych. „W tym samym czasie, gdy w Anglii przestano palić czarownice, zaczęto wieszać fałszerzy banknotów”²³.

Dług publiczny miał wpływ na system finansowy, kapitalizację bogactwa i wywłaszczenia. Miał on daleko idące konsekwencje dla klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy. Zdaniem Marksa zdawali sobie doskonale z tego sprawę także ówczesni mężowie stanu, który uważali, że był to „najlepszy system, aby uczynić robotnika najemnego uległym, skromnym, pracowitym i ... przeciążonym pracą”²⁴. Z punktu widzenia akumulacji pierwotnej kapitału, Marksa bardziej interesowało jednak „spowodowane przezeń przymusowe wywłaszczenie chłopów, rzemieślników, słowem wszystkich warstw składających się na drobną burżuazję”²⁵.

Dług publiczny nie pełniłby redystrybucyjnej funkcji i nie byłby źródłem akumulacji pierwotnej, gdyby wszystko z nim związane było przejrzyste i uczciwe. Specjaliści od finansów i skarbowości stosowali zdaniem Marksa wiele różnych środków, ażeby zamaskować „prymitywne chwyt”. Jeszcze przed napisaniem *Kapitału* stosowane metody określał jako „obrzydlivą scholastykę giełdową” i „alchemię finansową”²⁶.

Dług publiczny pozwalał na ukrycie w krótkim czasie rzeczywistych rozmiarów redystrybucji dochodów. Większość ludzi nie zdawała sobie sprawy z rzeczywistych kosztów przedsięwzięć rządu w danej chwili, a późniejsze jego tłumaczenia o konieczności spłaty długu, nawet bez wyjaśnienia jego przyczyn, przyjmowane były za wystarczające. Dlatego rządy wołały i woła zaciągać pożyczki na poczet przyszłych dochodów niż ściągać podatki, na których pobór z reguły występuje natychmiastowa reakcja dotkniętych nimi grup społecznych.

²³ K. Marks, *Kapitał...*, jw., s. 896. Marks pisze, że „panowanie burżuazji finansowej uzyskało swą pierwszą sankcję przez założenie banku i wprowadzenie długu państwowego”. K. Marks, Recenzja broszury F. Guizota, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 244. Chodziło tu o wskazanie, że początek długowi państwowemu dało założenie Banku Angielskiego w 1694, którego założyciele oddali rządowi do dyspozycji kapitał zakładowy w charakterze pożyczki.

²⁴ K. Marks, *Kapitał...*, jw., s. 897.

²⁵ Tamże, s. 897-898.

²⁶ K. Marks, *Nowy trick finansowy, czyli Gladstone i pensy*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła* t. 9, Książka i Wiedza, Warszawa 1965, s. 52.

Wraz z długiem publicznym powstał międzynarodowy system kredytowy, który również zaczął służyć pierwotnej akumulacji kapitału. Każde państwo, które przeżywało trudności, mogło liczyć na pomoc banków z innych krajów. Marks znajdował przykłady na to, że wierzycielami były nawet państwa, które same przeżywały kryzysy. Dług publiczny ułatwiał budowę systemów represji wewnętrznej oraz prowadzenie wojen handlowych i podbojów kolonialnych. Torował przejście od „staroświeckiego do nowoczesnego sposobu produkcji”²⁷. Dług publiczny przy niezbyt dużej wysokości stabilizował też system kapitalistyczny w skali międzynarodowej.

Ogromna rola długu publicznego w systemie fiskalnym, kapitalizacji dochodów i wywłaszczeniach drobnych producentów doprowadziły wielu autorów „do niesłusznego upatrywania w nim zasadniczej przyczyny nędzy nowoczesnych narodów”²⁸. Rosnący dług publiczny prowadził do nowych pożyczek na jego obsługę. Pożyczki należało kiedyś zacząć spłacać. A jedynym środkiem, jakim dysponowało państwo, były podatki. Dług publiczny, chociaż miał chronić niski poziom podatków – prowadził w końcu do ich wzrostu. „Przeciążenie podatkowe staje się nie szczególnym wypadkiem, lecz raczej zasadą”²⁹. Marks napisał z pozoru sprzeczne i paradoksalne zdanie, że „dług państwa opiera się na dochodach państwa”. Wyjaśniając to Marks napisał, że państwa muszą pokrywać swoje zobowiązania podatkami. Dlatego „nowoczesny system podatkowy stał się niezbędnym uzupełnieniem systemu pożyczek państwowych”. Zaciągane przez państwa „pożyczki umożliwiają rządowi opłacanie wydatków nadzwyczajnych w taki sposób, aby podatnik nie odczuł natychmiast ich ciężaru, w konsekwencji jednak wymagają podwyższonych podatków”³⁰. Ale przeznaczenie podatków na spłatę zaciągniętych długów wymaga od rządu nowych pożyczek na wydatki nadzwyczajne.

Ponieważ podatki bezpośrednie są wymierne i czytelne, powstaje fiskalizm oparty na podatkach pośrednich, „którego osi są podatki na artykuły pierwszej potrzeby”³¹, szczególnie te, które służą zaspokojeniu potrzeb najszerzszych rzesz ludzi pracy, gdyż wówczas wpływy podatkowe są największe.

Marksa dostrzegł ogromną rolę polityczną długu publicznego. Analizując doświadczenia *Wiosny Ludów* wskazywał, że dług publiczny był jedną z pośrednich przyczyn. Trudności finansowe rządu uzależniły monarchię lipcową powstałą w 1830 r. od wielkiej burżuazji, to zaś doprowadziło do ciągłego zwiększenia długu publicznego, co z kolei wpłynęło na rozwój korupcji i demoralizację aparatu państwowego. W związku z tym dopóki nie było równowagi budżetowej, trudno było budżet podporządkować „interesom produkcji narodowej”. Nieustanne zadłużanie państwa leżało bowiem w interesie panującej wielkiej burżuazji finansowej. „Deficyt państwowy był akurat właściwym przedmiotem jej spekulacji i głównym źródłem jej bogacenia się. Co roku – nowy deficyt. Co 4-5 lat nowa pożyczka. A każda nowa pożyczka dawała arystokracji finansowej nową sposob-

²⁷ K. Marks, *Kapitał...*, jw., s. 898.

²⁸ Tamże.

²⁹ Tamże, s. 897.

³⁰ Tamże, s. 897.

³¹ Tamże, s. 897.

ność ograbiania państwa, sztucznie utrzymywanego na skraju bankructwa – państwo musiało zawierać umowy z bankierami na najbardziej niekorzystnych dla siebie warunkach. Każda nowa pożyczka nastęrczała dalszą sposobność ograbiania publiczności lokującej swe kapitały w państwowych papierach procentowych³².

Na pytanie o przyczyny przejścia majątku państwowego w ręce arystokracji finansowej Marks odpowiadał: „Stale wzrastające zadłużenie państwa. A jaka jest przyczyna zadłużenia państwa? – Stała przewaga jego wydatków nad dochodami, dysproporcja, która jest jednocześnie przyczyną i skutkiem systemu pożyczek państwowych³³”.

Marks zauważył, że po wybuchu rewolucji lutowej w 1848 r. we Francji Rząd Tymczasowy, odstawiając klasową funkcję państwa, wypłacił wierzycielom dywidendy jeszcze przed upływem terminów płatności. Koszty tej operacji finansowej ponieśli wszyscy drobni ciułacze. Ich drobne oszczędności skonfiskowano i „zamieniono na niepodlegającą spłacie pożyczkę państwową³⁴”. Miało to polityczną konsekwencję w postaci przeciwstawienia drobnomieszczaństwa rewolucji i republice. Rząd Tymczasowy zaczął również ratować przed bankructwem Bank Francji i zezwolił na podporządkowanie mu banków lokalnych. Zdaniem Marksa bankructwo banku nie byłoby dla rewolucyjnej Francji złe, „stałoby się potopem, który w jednej chwili zmiotłby z francuskiej ziemi arystokrację finansową – tego najpotężniejszego i najgroźniejszego wroga republiki [...]”. A po bankructwie to i sama burżuazja musiałaby przyznać, że stworzenie przez rząd banku narodowego i podporządkowanie kredytu państwowego kontroli narodu jest ostatnią, rozpaczliwą próbą ratunku. [...] Tak więc rewolucja lutowa bezpośrednio umocniła i rozszerzyła tę bankokrację, którą miała obalić³⁵.

Engels dostrzegł wzajemną zależność pomiędzy długiem publicznym a sytuacją międzynarodową i jej zwrotnym oddziaływaniem na stosunki wewnętrzne. Gdy Niemcy pomogły Rosji, która była ostoją reakcji europejskiej, w uzyskaniu pożyczki, Engels pisał, że „pozwoilo to odwlec katastrofę o kilka lat”, że „Bismarck w ten sposób uzależnił od siebie Rosję” oraz „odroczył rewolucję rosyjską, która i jemu nie jest na rękę³⁶”.

Engels zastrzegł, że „Tak zwany kapitał pieniężny, który jest przedmiotem pożyczki, jest w dużej mierze kapitałem fikcyjnym, plikiem papierów kredytowych, a te nie mają większego znaczenia³⁷”. Zaś w liście do Liebknechta pisał, że „Rosja nie może rozpocząć żadnej wojny bez zezwolenia B[ismarcka], gdyż tylko za jego protekcją może zdobyć pieniądze³⁸”. W liście do Pawła Lafargue’a pisał, że Anglia nie chciała wspierać militarystycznych i wojennych planów cara, zaś Bismarck doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że „rewolucja w Rosji oznaczałaby upadek reżymu bi-

smarckowskiego w Niemczech. Bez tej ogromnej armii rezerwowej reakcji panowanie junkrów w Prusach nie utrzymałoby się ani jednego dnia³⁹”. Widzimy, że oddziaływanie to nie miało tak globalnego charakteru jak dzisiaj. Niemniej jednak tendencja była widoczna, a skala i głębia wzajemnych zależności stosowna do ówczesnych warunków i powiązań gospodarczych.

Marks i Engels sformułowali ogólne założenia strategii i taktyki rewolucyjnego ruchu robotniczego wobec podatków i długu publicznego w warunkach rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Według nich świadomi robotnicy zawsze powinni być o jeden krok do przodu w stosunku do żądań liberalnych burżuazyjnych demokratów. „Jeżeli demokraci proponują podatek proporcjonalny, to robotnicy żądają progresywnego; jeżeli demokraci sami proponują umiarkowanie progresywny podatek, robotnicy powinni domagać się takiego podatku, którego progresja musiałaby zabić wielki kapitał; jeżeli demokraci żądają uregulowania długów państwowych, robotnicy powinni zażądać bankructwa państwa⁴⁰”.

W fakcie wzrostu długu publicznego Marks i Engels widzieli więc możliwość rozszerzenia i pogłębienia przemian społecznych i procesu rewolucyjnego. Zobowiązania z tytułu pożyczek i kredytów mogły zachwiać stabilną realizacją polityki społeczno-gospodarczej państwa, a tym samym stać się jedną z istotnych przyczyn rewolucji.

Co dla państwa jest kosztem i stratą, to dla wierzycieli jest zyskiem. Jest bardzo charakterystyczne, że arystokracja finansowa już za czasów Marksa nie była zainteresowana wyciągnięciem kraju ze stanu zapaści finansowej, która była źródłem jej dochodów i wysokiej pozycji w państwie. Politycy wykorzystywali w swoich prywatnych interesach tajemnice państwowe, wahania kursów papierów państwowych. Rezultatem tych działań była masowa „ruina mnóstwa drobniejszych kapitalistów i bajecznie szybkie bogacenie się wielkich graczy”. O skali tego procederu świadczy to, że nadzwyczajne wydatki za Ludwika Filipa dwukrotnie przewyższały nadzwyczajne wydatki za czasów Napoleona, kiedy Francja prowadziła wojnę z feudalną Europą. „Ogromne sumy przechodzące w ten sposób przez ręce państwa dawały nadto sposobność do złodziejskich kontraktów na dostawy, do przekupstw, defraudacji i wszelkiego rodzaju oszustw. Okradanie państwa odbywające się hurtowo przy pożyczkach, powtarzało się detalicznie przy robotach wykonywanych na zlecenie państwa”. Skandale następowały jeden po drugim, zaangażowani w nie byli poszczególni ministrowie i parlamentarzyści. Było to szczególnie widoczne w zleceniach rządowych na budowę kolei, „wszyscy członkowie większości [parlamentarnej – E.K.] wraz z częścią ministrów byli akcjonariuszami przedsiębiorstw tych samych linii kolejowych, które jako ustawodawcy kazali budować na koszt państwa. Z kolei najdrobniejsza reforma finansowa rozbijała się o wpływy bankierów⁴¹”.

³² K. Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Warszawa 1963, s. 13-14.

³³ Tamże, s. 89.

³⁴ Tamże, s. 25.

³⁵ Tamże, s. 26.

³⁶ F. Engels, *List do Salo Ferbera z 22 października 1885 r.*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 36, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 436.

³⁷ Tamże, s. 437.

³⁸ F. Engels, *List do Wilhelma Liebknechta z 1 grudnia 1885 r.*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 36, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 464.

³⁹ B. Tinel, F. Van de Velde, *Deficyt budżetowy pod lupą, czyli jak sektor prywatny tworzy dług publiczny. W Poszukiwaniu przyczyn kłopotów finansowych*, „Le Monde diplomatique edycja polska. Miesięcznik Społeczno-Polityczny” 2008, nr 7 (29), s. 11.

⁴⁰ K. Marks, F. Engels, *Apel Komitetu do Związku Komunistów (marzec 1850)*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 298.

⁴¹ K. Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, jw., s. 14.

Dług publiczny jak „za dotknięciem różdżki czarodziejskiej” obdarzył „nieprodukcyjny pieniądz siłą twórczą i przemienia go w kapitał oszczędzając mu przy tym zachodów i ryzyka nieodłącznego od lokaty przemysłowej, a nawet lichwiarskiej. Wierzytiele państwa w gruncie rzeczy nie dają nic, gdyż wypożyczona przez nich suma zamienia się na łatwe do przekazywania obligacje, które funkcjonują nadal w ich rękach, zupełnie jak gdyby była gotówką. [...] Kredyt publiczny staje się *credo kapitału*”⁴².

Arystokracja finansowa decydowała o przebiegu procesów politycznych i walki parlamentarnej, jej interesy zbiegły się z interesami władzy państwowej i przesądzały o jej trwałości. „Cały współczesny handel pieniądzem, cała gospodarka bankowa jest jak najściślej spleciona z kredytem publicznym”⁴³.

Drobne gospodarstwa chłopskie w okresie poprzedzającym Wiosnę Ludów stały się przedmiotem zwiększonej eksploatacji ze strony burżuazji i kapitału finansowego. Przywiązanie chłopca do ziemi rodziło rosnące hipoteczne zadłużenie gospodarstw domowych. W rezultacie „ciążące na ziemi francuskiej długi hipoteczne obarczają chłopstwo francuskie odsetkami równymi rocznej sumie odsetek od całego długu publicznego Anglii”⁴⁴.

Ponieważ w okresie Wiosny Ludów Francja była krajem, w którym rozmiary produkcji były nieproporcjonalnie małe w porównaniu z rozmiarami długu publicznego, renta państwowa była „głównym rynkiem lokaty kapitałów, pragnących pomnożyć się w sposób nieprodukcyjny – w takim kraju niezliczona masa ludzi ze wszystkich klas burżuazyjnych i półburżuazyjnych musi być zainteresowana w długu państwowym, grze giełdowej, finansach”⁴⁵. Aby zmniejszyć dług publiczny należałoby albo zmniejszyć wydatki rządowe i możliwie mało administrować, albo zaprowadzić równowagę budżetową. Ale partia porządku nie mogła pójść tą drogą w okresie zaostrzenia się sprzeczności i zwiększania protestów społecznych – „musiała ona tym bardziej zwiększać swe środki represyjne, tym bardziej wzmacniać oficjalne ingerowanie we wszystko w imieniu państwa i swą wszechobecność poprzez organy państwowe, im bardziej wielostronnie zagrożone było jej panowanie i warunki egzystencji jej klasy. Niepodobna zmniejszać stanu żandarmerii w tym samym czasie, gdy mnożą się przestępstwa przeciw osobom i własności”⁴⁶.

Zadłużona monarchia lipcowa Ludwika Filipa była, zdaniem Marksa, swoistym „towarzystwem akcyjnym do eksploatacji francuskiego bogactwa narodowego; dywidendy szły do podziału pomiędzy ministrów, obie izby, 240 000 wyborców i ich klikę”⁴⁷. Ponieważ produkcja przemysłowa była niewielka w porównaniu z długiem publicznym i ulegała zakłóceniom w wyniku jego oddziaływania na cały system finansowy, to burżuazja przemysłowa była najbardziej zainteresowana w obniżeniu kosztów produkcji i obniżeniu podatków, w przeciwstawieniu się wszystkim spekulantom finan-

sowym, którzy dążyli do pomnożenia swego bogactwa w sposób nieprodukcyjny.

8. Komu służy, a komu szkodzi zadłużenie państwa?

Dziś likwidacja długu publicznego leży przede wszystkim w interesach wszystkich utrzymujących się ze sprzedaży swojej siły roboczej. W jego rosnącym zaś wymiarze zainteresowani są wszyscy ci, którzy dysponują nadwyżkami finansowymi ponad codzienne potrzeby, zdolni do zainwestowania ich w państwowe papiery wartościowe. Emeryci i renciści otrzymują jednie złudne nadzieje na wzrost rent i emerytur, gdyż długofalowe zyski funduszy emerytalnych są często wątpliwe i tracone podczas kolejnych kryzysów.

W latach 70. i 80. XX wieku dużo dyskutowano o pułapce zadłużeniowej, w którą wpadły państwa Trzeciego Świata. Zarysowała się sprzeczność pomiędzy nimi a bankami państw wysoko rozwiniętych. W 40 lat później okazało się, że państwa wysoko rozwinięte wpadły w pułapkę długów publicznych. Zadłużenie państw Trzeciego Świata znacznie ułatwiło wzrost kapitału spekulacyjnego i umocnienie się finansjery, gdyż spłaty odsetek i rat kapitałowych dla krajów wysoko rozwiniętych uruchomiły transfer bogactwa do państw wysoko rozwiniętych, na korzyść inwestorów finansowych. W obu wypadkach zwycięskie okazały się banki państw wysoko rozwiniętych.

W warunkach globalizacji coraz większą rolę w użytkowaniu pożyczek przez poszczególne państwa odgrywają międzynarodowe rynki finansowe. Na przykładzie Polski widać, jak zmieniła się struktura polskiego długu publicznego. Dłużne papiery wartościowe w posiadaniu zagranicznych inwestorów portfelowych stanowiły w 1995 roku około 19,5 proc., natomiast w roku 2006 już ponad 80,7 proc.⁴⁸. Ale ta zmiana struktury długu świadczy o tym, że coraz więcej kosztów obsługi długu trafia do zagranicznych banków i że cały naród jest wywłaszczony z własności wytworzonej przez poprzednie pokolenia.

Główne korzyści odnoszą jednak banki, które w latach 80. XX wieku przekształciły się w grupy finansowe łączące funkcje banków depozytowych z działalnością inwestycyjną. Banki tworząc kapitał fikcyjny, dzięki lewarowaniu i sekurytyzacji⁴⁹, zniesieniu „kon-

⁴⁸ J. Kulig, *Ewolucja zadłużenia zagranicznego Polski w okresie transformacji w perspektywie globalizacji finansów międzynarodowych*, w: *Globalizacja rynków finansowych – implikacje dla Polski*, praca zbiorowa pod redakcją W. Małeckiego, Vizja Press & IT, Warszawa 2007, s. 99.

⁴⁹ *Dźwignia finansowa* (zwana też *lewarowaniem*) – jest mechanizmem pozwalającym danemu bankowi zaangażować w przedsięwzięcie środki wielokrotnie przekraczające jego kapitał własny. Najczęściej odbywa się to poprzez odwołanie się do rynku międzybankowego. W przypadku przedsiębiorstw efekt dźwigni określa zarazem wykorzystanie długu do zwiększenia własnych zasobów kapitałowych i miarą skuteczności tego mechanizmu (o pozytywnym efekcie dźwigni mówimy, gdy rentowność oraz zwrot z kapitału są większe od kosztu kapitału obcego).

Sekurytyzacja – jest operacją polegającą na przejęciu zobowiązań od podmiotów gospodarczych (kredyty bankowe, kredyty handlowe przedsiębiorstw) i na przekształceniu ich w aktywa finansowe (czyli we wszelkiego rodzaju papiery wartościowe dające prawo do aktywów materialnych) kupowane przez inwestorów, czyli instytucje finansowe lub osoby prywatne dysponujące określonymi zasobami finansowymi i gotowe je zainwestować. Wśród metod opartych na sekurytyzacji najbardziej znane są „aktywa toksyczne” (których ryzyko inwestycyjne zostało pierwotnie znacznie niedoszacowane przez posiadacza) i kredyty subprime, udzielane gospodarstwom domowym o niskiej wypłacalności.

⁴² K. Marks, *Kapitał...*, *iw.*, s. 895.

⁴³ K. Marks, *Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 8, Książka i Wiedza, Warszawa 1964, s. 205.

⁴⁴ Tamże, s. 226.

⁴⁵ K. Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 7, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 89.

⁴⁶ Tamże, s. 89.

⁴⁷ Tamże, s. 15.

trolu kredytu” mogły zacząć pożyczać więcej niż wynosił ich kapitał własny (kapitał założycieli i późniejszych akcjonariuszy), jak również od środków złożonych na depozytach (których głównym źródłem obecnie w rozwiniętych państwach kapitalistycznych są przelewy miesięcznych wypłat). „Podstawą zysków bankowych w Europie stało się finansowanie deficytów budżetowych oraz finansowanie i refinansowanie kredytu hipotecznego, przede wszystkim w państwach, w których spekulacja nieruchomościową przybrała formę baniek. Banki oparły swoją rentowność na wpływach z odsetek od kredytów, by następnie przeprowadzić z ich wykorzystaniem operacje spekulacyjne na innych rynkach, przede wszystkim w segmencie niebankowych instytucji finansowo-inwestycyjnych umiejscowionym w londyńskim City”⁵⁰.

9. Przyszłość długu publicznego

Powszechny i nieprzerwany wzrost długów publicznych prowokuje pytanie co z nimi zrobić, jakie jest wyjście z problemu zadłużenia światowego? Jest kilka rozwiązań.

Istnieją obecnie dwa podstawowe sposoby likwidacji długu publicznego. *Pierwszy*, na sposób neoliberalny, polega na ograniczaniu wydatków, cięciach w budżecie, redukcji administracji, płac, rent i emerytur. Ale istnieje tu jednak pewna granica, poza którą wydatki te są nieredukowalne, w przeciwnym razie dalsze ich zmniejszanie prowadzi do degradacji ilości i jakości obiektów użyteczności publicznej oraz służb publicznych, co skutkuje obniżeniem jakości życia ludności i zagrożeniem tadu społecznego przez niekontrolowany wybuch społeczny. *Drugi* sposób likwidacji długu publicznego polega na zwiększeniu dochodów skarbu państwa, zwłaszcza poprzez podniesienie podatków, dodatkowe opodatkowanie niektórych towarów, znieszenie ulg podatkowych. Państwo mogłoby zwiększyć dochody ze swoich przedsiębiorstw, ale tych pozbyło się w ramach powszechnej prywatyzacji. Drugi sposób jest niepopularny, gdyż często oznacza odebranie przywilejów panującym, najlepiej sytuowanym warstwom społecznym.

Już Marks wskazywał, że podstawowym ograniczeniem umożliwiającym spłatę długów publicznych były interesy poszczególnych klas społecznych. Można było bowiem zmniejszyć dług publiczny „obarczając *nadzwyczajnymi podatkami* klasy najbogatsze. Ale czyżby partia porządku – pytał Marks – miała dla wybawienia bogactwa narodowego od wyzysku giełdy złożyć w ofierze swe własne bogactwo na ołtarzu ojczyzny? *Pas si bête!* [Nie ma głupich]”⁵¹.

Z tego powodu Marks był za wprowadzeniem podatku progresywnego, chociaż uważał go za środek burżuazyjny. Po tym jak burżuazja francuska po Wiośnie Ludów wymazała z konstytucji odpowiadające interesom proletariatu „prawo do pracy” i „podatek progresywny”, który mógł przyczynić się do zmniejszenia długu publicznego, pisał, że był „jedynym środkiem, który mógł związać średnie warstwy społeczeństwa burżuazyjnego z »porządną« republiką, zredukować

dług państwowy, zaszachować antyburżuazyjną większość burżuazji”⁵².

Znamienne są doświadczenia zadłużenia państwa polskiego w okresie kapitalistycznej transformacji ustrojowej. Zadłużenie zagraniczne Polski (krótko- i długoterminowe) pod koniec „rządów Gierka” wynosiło w 1979 r. 23 mld dolarów, a koszty obsługi zadłużenia wnosyły 6,3 mld i były większe niż polski eksport (cały import odbywał się na kredyt). W latach 1982-1988 zaciągnięto 3,4 mld dolarów nowych kredytów, a spłaty odsetek wyniosły 13,9 mld dolarów. W roku 1981 zadłużenie zagraniczne wynosiło 26 mld dolarów. Do roku 1988 zadłużenie wzrosło do 39 mld dol. Na początku lat 90. umorzono Polsce 50 proc. zadłużenia, a mimo to w roku 1997 wynosiło więcej niż przed umorzeniem – 39,9 mld dolarów. W roku 2001 osiągnęło 65 mld dolarów, a w 2004 – 73 mld dol. W 2006 roku zadłużenie zagraniczne wzrosło do ponad 125 mld dolarów. Zadłużenie zagraniczne Polski w przeliczeniu na 1 mieszkańca wynosiło w 2008 roku 5720 dolarów i było wyższe niż w Argentynie (3122 dol.)⁵³, która przeszła wielki kryzys finansowy w 2001 roku.

Rumuni pod rządami Nicolae Ceaușescu udało się kosztem wyrzeczeń całego społeczeństwa spłacić zagraniczne długi, ale wywołało wzrost niezadowolenia społecznego i przyspieszyło jego upadek. W 2008 roku zadłużenie Rumunii w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiło ponad 4879 dolarów, podczas gdy w 2000 roku wynosiło jeszcze tylko 504 dolary⁵⁴. Rosji dzięki destabilizacji runku paliw przez awanturniczą politykę USA i wzrostowi cen ropy naftowej udało się spłacić długi przejęte po ZSRR. Fidel Castro swego czasu proponował umorzenie długów państw Trzeciego Świata i ich spłatę przez rządy państw imperialistycznych. Środki na ten cel miały powstać w wyniku ograniczenia wydatków na cele wojskowe.

Alain Bihr pisał, że rozwiązanie problemu zadłużenia publicznego jest tylko jedno: „trzeba po prostu anulować wszystkie długi publiczne, nie tylko państw peryferyjnych, ale i centralnych. I niech wielcy wierzyciele państwa nie protestują przeciwko zbrodni wyłączenia; wygaśnięcie ich wierzytelności nie będzie niczym innym niż ściągnięciem podatków, których państwo od dawna miało prawo się domagać. Niech się cieszą, że nie każe im się płacić kar za zwłokę”⁵⁵.

Nie można zachowywać się jak de Calonne, minister finansów w rządzie Ludwika XVI, który nie przejmował się rosnącym długiem publicznym lecz zaciągając pożyczki, jak pisał Ludwik Bazylow, „przekształcił marnotrawstwo i przepych w główne narzędzie ratunku”⁵⁶. To doświadczenie francuskie pokazało, że bez obciążenia dodatkowymi podatkami warstw zamożnych jedynym wyjściem może okazać się niechciany wstrząs społeczny. Nie można też postępować jak USA, które posiadają astronomiczny dług i nadal rekordowe wydatki na zbrojenia. Stany Zjednoczone zakładnikiem swoich

⁵² Tamże, s. 47.

⁵³ *Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej 2008*, Warszawa 2008, s. 875.

⁵⁴ *Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej 2010*, Warszawa 2010, s. 946.

⁵⁵ A. Bihr, *Nowomowa neoliberalna...*, jw., s. 49.

⁵⁶ Ludwik Bazylow, *Historia powszechna 1789-1918*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986, s. 40.

⁵⁰ F. Chesnais, *Bezprawne długi. Jak banki sterują demokracją*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012, s. 112.

⁵¹ K. Marks, *Walki klasowe we Francji 1848-1850*, jw., s. 90.

długów mogły uczynić gospodarki innych państw. Deficyt handlowy w USA jest w dużym stopniu finansowany przez Chiny, na które przypada prawie jego połowa i wykazuje tendencję wzrostową. To co zrobią w najbliższym czasie Chiny, będzie miało wpływ na losy gospodarki światowej.

Pojawiło się ostatnio hasło restrukturyzacji długów publicznych. Rozumiane jest nie jako umorzenie, lecz jako rozłożenie spłaty długu w czasie kreślonym przez wierzycieli, dostosowanie spłaty odsetek do aktualnych możliwości zadłużonego państwa. Środowiska przeciwnie neoliberalizmowi uzupełniają te postulaty anulowaniem znacznej części długów.

Coraz więcej ludzi uświadamia sobie konieczność wypowiedzenia lub anulowania długów publicznych jako długów bezprawnych. Komitet na rzecz Anulowania Długu Trzeciego Świata proponuje zorganizowanie kampanii pod hasłem jednostronnego moratorium zadłużenia na rzecz wypowiedzenia długu. W okresie zawieszenia spłaty długu odsetki z tytułu opóźnienia spłaty długu nie powinny być naliczane, a czas ten należy wykorzystać na przeprowadzenie audytu z udziałem obywateli w celu wyjaśnienia ewentualnej bezprawności lub prawomocności długu, oraz tych wierzycieli, dla których spłata długu jest konieczna. Drogą tą poszedł Ekwador, który następnie w wyniku rozmów podjętych z wierzycielami w 2007 roku wykupił swoje długi w wysokości 3,7 mld dolarów za sumę mniejszą niż 1 mld dolarów.

Z kolei Grecki Komitet przeciwko Zadłużeniu Publicznemu zaproponował przeprowadzenie audytu w celu zbadania przeszłości i zdemaskowanie mechanizmu powstania i wykorzystywania pieniędzy z długu publicznego. Komitet zaproponował zebranie dowodów bezprawności długów publicznych i wykorzystanie ich w procesie re-demokratyzacji, który jest procesem przeciwnym do de-demokratyzacji zrodzonej przez neoliberalizm. Komitet zaproponował, aby niezależne grupy obywateli odpowiedziały na następujące pytania: „Co stało się z pieniędzmi z danego kredytu, na jakich warunkach kredyt ten został uzgodniony? Ile odsetek zapłacono, jakie było oprocentowanie, jaka część kapitału została spłacona? W jaki sposób dług urósł do takich rozmiarów nie przynosząc żadnych realnych korzyści obywatelom? Jakimi kanałami przepływał kapitał? Na co został przeznaczony? Jaką jego część sprzeniewierzono, kto to zrobił i w jaki sposób? A także: kto wziął kredyt i w czyim imieniu? Kto udzielił kredytu i jaką rolę odegrał? W jaki sposób państwo stanęło wobec tak wielkiego zobowiązania, czyją decyzją, z jakiego tytułu podjęta? W jaki sposób długi prywatne zostały upublicznione? Kto zainicjował sprzeczne z interesami obywateli projekty, kto je przegłosował, kto na tym skorzystał? Czy pożyczone pieniądze użyto w celach przestępczych albo do sfinansowania zbrodni? Dlaczego nie ustanowiono żadnej odpowiedzialności cywilnej, karnej, administracyjnej za udział w procesie zadłużania?”⁵⁷.

Wyjściu z kryzysu, zdaniem François Chesnais, anulowaniu długów publicznych nie tylko państw europejskich, ale i państw Południa, powinna towarzyszyć zmiana polityki gospodarczej i podatkowej oraz wzrost

płac pracowniczych (wraz z przywróceniem zasiłków dla bezrobotnych i gwarantowanego dochodu podstawowego oraz ograniczeniem wynagrodzeń menadżerów bankowych). „Pierwszym krokiem towarzyszącym decyzji o anulowaniu długu powinno być [...] wyłączenie banków i przekazanie ich sektorowi publicznemu pod kontrolą obywatelską. Banki powinny wrócić do swej podstawowej funkcji tworzenia określonych form kredytu i działania na rzecz gospodarki”⁵⁸. Znacjonalizowane banki ze względu na swoją rolę, powinny przyznawać kredyty zgodnie z priorytetami polityki gospodarczej kontrolowanej przez parlament rządu, a nie pod dyktando „akcjonariusza”, „wierzyciela”, „finansjery”.

10. Bankructwo Argentyny perspektywą dla innych państw?

Dług publiczny wielu państw przybrał tak wielkie rozmiary, że szczególnie zadłużone państwa nie widzą możliwości jego spłaty w dającej się przewidzieć perspektywie czasowej. Ma on dla nich znaczenie nie tyle ekonomiczne, co raczej stanowi rodzaj politycznego zakładu państw zadłużonych wobec państw wierzycielskich i zamożnych warstw poszczególnych społeczeństw. Zadłużenie państw stało się tak powszechne i wielkie, że ewentualna jego spłata spada na barki wielu pokoleń. Zakładając nawet, że dług publiczny by nie wzrastał, koszty jego obsługi zaburzałyby nadal przebieg procesów produkcyjno-społecznych oraz modyfikowałyby stosunki własności, wywłaszczając z własności publicznej większość społeczeństwa i przekształcając ją w neoniewolników. W związku z tym dla wielu polityków i publicystów najprostszym wyjściem z kryzysu długów publicznych wydaje się ogłoszenie niewypłacalności i bankructwa państw. Bruno Tinel i Franck Van der Velde odpowiadając na pytanie co by było, gdyby wszystkie państwa postanowiły zlikwidować zadłużenie publiczne, pisali: „uderzyłoby to przede wszystkim w kapitał... Nie jest niestety pewne, czy byłoby to możliwe do przeprowadzenia – a już niemal na pewno nie bez pograżenia gospodarki światowej w niewyobrażalnej recesji, której pierwszymi ofiarami padliby pracownicy najemni...”⁵⁹. Powszechne stawianie problemu świadczy o ideowej, politycznej i ekonomicznej klęsce neoliberalizmu, który swoje „sukcesy” opłacił gigantycznym zadłużeniem, bezrobociem, zmuszaniem ludzi do pracy poniżej swoich kwalifikacji, pozabawieniem całej ludzkości pewności jutra, nadprodukcją szczególnie widoczną w przemyśle samochodowym i budownictwie mieszkaniowym, pozabawieniem wielu procesów gospodarczych możliwości demokratycznej kontroli. Likwidacja długów publicznych pozwoliłaby odrzucić neoliberalny model globalizacji, w którym zaostrzają się strukturalne sprzeczności kapitalizmu i pogłębia przepaść pomiędzy najbogatszymi i najbiedniejszymi państwami.

EDWARD KAROLCZUK

⁵⁸ François Chesnais, *Bezprawne długi...*, jw., s. 156.

⁵⁹ B. Tinel, F. Van de Velde, *Deficyt budżetowy pod lupą, czyli jak sektor prywatny tworzy dług publiczny. W Poszukiwaniu przyczyn kłopotów finansowych*, „Le Monde diplomatique edycja polska. Miesięcznik Społeczno-Polityczny” 2008, 7 (29), s. 11.

⁵⁷ Grecki Komitet Przeciwko Zadłużeniu Publicznemu. Cyt. za: F. Chesnais, *Bezprawne długi...*, jw., s. 152.

MAREK ZAGAJEWSKI

PERMANENTNY STAN WYJĄTKOWY

Stan wyjątkowy (wojenny)

W potocznym rozumieniu wyrażenie „permanentny stan wyjątkowy” zdaje się zawierać oczywistą sprzeczność wewnętrzną. Wszak słowo „wyjątkowy” zwykle używane jest w odniesieniu do sytuacji i zdarzeń niepowседневnych, nadzwyczajnych, niezwykłych wreszcie pojedynczych, które występują w specjalnych i nieprzewidywalnych okolicznościach. Zgoła odwrotne znaczenie posiada przymiotnik „permanentny”, który sygnalizuje określoną stałość „rzeczy”, pewne powszechne zachowania, stosowne normy, reguły, swego rodzaju normalność. Paradoks polega na tym, że każda próba uchwycenia sensu „wyjątkowości” pozbawia ją od razu intuicyjnie przypisywanego właściwego jej statusu, co pracowite umysły zmusza do beznadziejnego poszukiwania „absolutnego wyjątku”, którego nie sposób precyzyjnie określić.

W konkretnych przejawach „stan wyjątkowy” trafnie kojarzy się z sytuacją klęski żywiołowej czy – ze względu na rodzimą specyfikę – ze stanem wojennym. Dla przypomnienia, jego wprowadzenie dekretem Rady Państwa z 12 grudnia 1981 roku spowodowało czasowe zawieszenie lub ograniczenie konstytucyjnych i ustawowych praw obywateli dotyczących między innymi nietykalności osobistej, nienaruszalności mieszkania i tajemnicy korespondencji, prawa zrzeszania się, wolności słowa, druku, zgromadzeń, wieców, pochodów i manifestacji. Na podstawie dekretu doszło do ograniczenia swobody poruszania się osób, w tym także poprzez wprowadzenie „godziny milicyjnej”, rozszerzenia i zaostrzenia cenzury, kontroli przesyłek pocztowych, korespondencji telekomunikacyjnej i rozmów telefonicznych. Generalnie zaostrzono kilka regulacji dotyczących stosunków pracy w sensie jej „militaryzacji”, zawieszono prawo do strajków i akcji protestacyjnych oraz działalność samorządów przedsiębiorstw (zakładów) państwowych. Zasadniczym elementem wprowadzenia stanu wojennego była oczywiście kwestia kadrowa, w której rozwiązaniu, jak oświadczył w swym przemówieniu 12 grudnia 1981 roku przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego gen. Wojciech Jaruzelski, szeroko zastosowano operację internowania. „W imię interesu narodowego dokonano zapobiegawczo internowania grupy osób zagrażających bez-

pieczeństwu państwa. W grupie tej znajdują się ekstremalni działacze »Solidarności« oraz nielegalnych organizacji antypaństwowych. Na polecenie Rady Wojskowej internowano również kilkadziesiąt osób, na których ciąży osobista odpowiedzialność za doprowadzenie w latach siedemdziesiątych do głębokiego kryzysu państwa czy za nadużywanie stanowisk dla osobistych korzyści. Wśród osób tych znajdują się między innymi: Edward Gierek, Piotr Jaroszewicz, Zdzisław Grudzień, Jerzy Łukasiewicz, Jan Szydłak, Tadeusz Wrzaszczyk i inni¹. Wkrótce okazało się, że władze internowały i aresztowały kilka tysięcy osób, a z biegiem wydarzeń w pierwszym okresie stanu wojennego znacząco wzrosła liczba represjonowanych. W trakcie rozmaitych zajęć i protestów tragiczne, dramatyczne losy dotknęły setek tysięcy ludzi, doszło do śmiertelnych ofiar.

Widocznym jest, że rozumiana w szerokim sensie kategoria „stanu wyjątkowego” w istocie opisuje procesy społeczne na styku politycznego żywiołu oraz instytucjonalnego prawa. Z punktu widzenia władzy państwowej uprawnioną reakcją na rewolucję, rebelię, powstanie, ruch oporu, wojnę domową, a także kryzys gospodarczy jest zastosowanie nadzwyczajnych środków przeciwdziałania, które mieszczą się zwykle w pakiecie prawnych regulacji stanu wyjątkowego. Historyczne doświadczenie dowodzi, że zawartość tego pakietu, zwiększanie czy usuwanie zawartych w nim praw publicznych, czas jego trwania i obejmowanie swym zasięgiem mniej lub bardziej rozległych obszarów życia społecznego nie ma ściśle określonego charakteru. Wszak wprowadzenie stanu wyjątkowego opiera się zwykle na fundamencie silnej retoryki konieczności działań „w imię wyższej konieczności”, „ochrony racji stanu” czy „obrony interesu państwa”. Rozwinięcie tych haseł zawsze prowadzi do ogłaszania zapewnień, że zastosowane ustawodawstwo jest w każdym przypadku wyrazem troski państwa o dobro i bezpieczeństwo obywateli. Nietrudno jednak zauważyć, że takie kluczowe terminy jak „konieczność”, „racja stanu”, „bezpieczeństwo”, czy „interes” niełatwo poddają się precyzyjnemu ujęciu w ramach prawa publicznego.

¹ Stan wojenny w Polsce. Refleksje prawno-polityczne, praca zbiorowa pod red. F. Prusaka, Warszawa 1982, s 181.

W zarysowanym kontekście stan wyjątkowy sytuuje się jako faktyczny stan rzeczywistości społecznej między wojną, wtedy działa prawo stanu wojennego, a pokojem, także w sensie pokoju społecznego, opartym na normalnie funkcjonującym zwykłym prawie publicznym. Stan wyjątkowy może być realizowany w szerokim diapazone rozlicznych wariantów od jego dramatycznie radykalnej postaci, jak to było w pierwszej fazie przedstawionego zgrubnie stanu wojennego w Polsce, po jego znaczne złagodzenie w finalnym okresie. W tym sensie można na przykład potraktować bezprawne w istocie przeprowadzenie drugiej tury głosowania na listę krajową w czerwcowych wyborach 1989 roku, bezprecedensowy nacisk ambasadora USA na opozycyjną elitę parlamentarną dla poparcia kandydatury Wojciecha Jaruzelskiego na fotel prezydenta w głosowaniu w Zgromadzeniu Narodowym czy niesłyszana presja na posłów i senatorów w celu przeprowadzenia przez parlament w ekspresowym tempie pakietu reform Balcerowicza jako niezbyt odległe echo ówczesnego stanu wyjątkowego. Podobnie zastosowanie wobec Polski międzynarodowych sankcji gospodarczych w odwiecie za wprowadzenie stanu wojennego daje się zaliczyć do zestawu tego typu działań, jeśli decyzje władz państwowych poddać interpretacji w ramach stanu wyjątkowego rozumianego w rozszerzonym znaczeniu.

Georgio Agamben w swojej analizie stanu wyjątkowego przypomniał trafną tezę Waltera Benjamina, który stwierdził, że w dwudziestym wieku nastąpiły czasy, kiedy „stan wyjątkowy [...] jest regułą”², jeśli zważyć jak dalece w rezultacie towarzyszącego obu wojnom światowym stanu wyjątkowego rozszerzył się zakres władzy wykonawczej. Zdaniem Agambena, systemy demokratyczne uległy daleko idącej transformacji pod wpływem stanu wyjątkowego, który „funkcjonuje [...] nie tylko jako jedna z technik rządzenia, nie tylko jako środek nadzwyczajny, ale również w coraz większym stopniu jako jeden z konstytutywnych paradygmatów porządku prawnego”³.

Dobrym przykładem, według Agambena, jest Francja, gdzie prezydent dekretem z 2 sierpnia 1914 roku, przekształconym po dwóch dniach przez parlament w ustawę, wprowadził stan oblężenia na terenie całego kraju, który zakończył się dopiero 12 października 1919 roku. Prezydent Poincaré nie był oryginalny, ponieważ w trakcie „pierwszej wojny światowej w większości krajów zaangażowanych w konflikt wprowadzono permanentny stan wyjątkowy”⁴. Podobnie postąpił Hitler, który wkrótce po objęciu władzy ogłosił Dekret o ochronie narodu i Państwa z 18 lutego 1933 roku zawieszający dotyczące swobód obywatelskich artykuły konstytucji weimarskiej. Ponieważ dekret ten „nie został nigdy odwołany, tak więc z punktu widzenia prawa cały okres istnienia Trzeciej Rzeszy może być traktowany jako trwający dwanaście lat stan wyjątkowy. W tym sensie nowoczesny totalitaryzm można określić jako wprowadzenie – za pomocą stanu wyjątkowego – legalnej wojny domowej, pozwalającej na fizyczną eliminację nie tylko przeciwników politycznych, ale również całych

kategorii obywateli, których z jakichś przyczyn nie daje się dopasować do określonego systemu politycznego. Od tego momentu celowe wytworzenie sytuacji permanentnego stanu nadzwyczajnego [*stato di emergenza*] (niekoniecznie zadeklarowanego w sensie technicznym) stało się jedną z podstawowych praktyk współczesnych państw, w tym również tak zwanych państw demokratycznych”⁵.

Światowa wojna domowa

Praktykowanie stanu wyjątkowego ma długotrwały, idący w dziesiątki lat charakter, ale również funkcjonuje w globalnym wymiarze w związku ze zwalczaniem międzynarodowego terroryzmu. Jak zauważył Agamben, wobec „nieuchronnie upowszechniającego się zjawiska określanego mianem »światowej wojny domowej« stan wyjątkowy coraz częściej jawi się jako paradygmat władzy [*governo*] dominujący we współczesnej polityce”⁶.

Dobrym przykładem tej sytuacji jest dla niego uchwalona przez amerykański senat ustawa *Patriot Act* z 26 października 2001 roku zezwalająca na objęcie prokuratorskim dozorem dowolnego cudzoziemca, który jest podejrzewany o działalność mogącą zagrozić „wewnętrznemu bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych”, co skutkuje wydaleniem go z kraju lub postawieniem mu konkretnego zarzutu w ciągu siedmiu dni. Kolejnym posunięciem legislacyjnym prezydenta Busha w tym zakresie było wydanie *military order* (rozkazu wojskowego) z 13 listopada 2001 roku, które sankcjonowało areszty (przetrzymania) na czas nieokreślony oraz procesy, podejrzanych o związku z terroryzmem osób nie będących obywatelami USA, prowadzone przez specjalne komisje wojskowe z oskarżenia starannie dobranych wojskowych prokuratorów. W efekcie rzekomi czy faktyczni członkowie Al-Kaidy czy afgańscy talibowie nie posiadają statusu więźnia wojennego, nie są jeńcami ani oskarżonymi, a ponieważ zostali radykalnie pozbawieni jakiegokolwiek statusu prawnego, są wyłączeni spod prawa i nadzoru sądowego jako byty prawnie nienazywalne i nieklasyfikowalne, chociaż są jednostkami całkowicie podległymi faktycznej władzy.

Zapewne w tym kontekście należy rozpatrywać, na podobieństwo obozu Guantanamo, „więzienie CIA” w Polsce i dramatyczny los ich nieszczęsnych „lokatorów”. Od razu warto zauważyć, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa USA są jedynym państwem na świecie, którego wywiad posiada własne więzienia, strażników oraz śledczych, co jest sprzeczne z prawnym statusem i praktyką działania tajnej służby zewnętrznej.

Należy dodać, że w reakcji na terrorystyczny zamach na WTC prezydent USA rozkazał przeprowadzenie operacji wojskowej przekazując całość postępowania, ściganie sprawców, ich współników i popleczników w ręce zmilitaryzowanych służb wojskowego wymiaru sprawiedliwości, miał zastosować prawnie usankcjonowane instytucje policyjne i prokuratorskie. Naturalnym wyjściem z tej sytuacji stała się planowana od lat przez rząd Stanów Zjednoczonych wojna w Afganistanie, z naszym udziałem napaść na Irak, powiązana ze słynnym „oszustwem” prezydenta USA polegającym na wyrachowanym wmawianiu całemu światu rzekomego

² W. Benjamin, *O pojęciu historii*, w: Anioł historii. Eseje, szkice, fragmenty, przeł. K. Krzemieniowa [o on.], Poznań 1966, s. 417.

³ G. Agamben, *Stan wyjątkowy. Homo sacer II*, 1, przeł. M. Surma-Gawłowska, postowie G. Jankowicz, P. Mościcki, Kraków 2008, s. 15.

⁴ Ibidem, s. 23.

⁵ Ibidem, s. 9.

⁶ Ibidem.

faktu przechowywania przez Saddama Husajna chemicznej broni masowego rażenia. Doszło do kolosalnego blisko piętnastoletniego tragicznego biegu zdarzeń w tej części świata, którego kolejnym rezultatem jest tocząca się od czterech lat wojna w Syrii.

Status „więzienia CIA” uwidacznia osobiście przestrzenny charakter działania reguł stanu wyjątkowego niemal w punktowym wymiarze, który został ograniczony do niewielkiego budynku znajdującego się na małym, wydzielonym i dobrze chronionym terytorium. Podobno polskie władze państwowe przedstawiły amerykańskiej stronie szereg dokumentów, w tym także szczegółowy „regulamin” funkcjonowania „gości zza oceanu”, w którym nawet zapisano tryb postępowania z ciałami więźniów zadreńczonych w Kiejstutach. I jeszcze raz podobno, chociaż stosowny „regulamin” został podpisany przez uprawnionych najwyższej rangi naszych urzędników państwowych, mimo to amerykańscy partnerzy po zapoznaniu się z jego treścią odmówili dołączenia oczekiwanej parafki argumentując, że CIA nie ma zwyczaju podpisywania tego rodzaju dokumentów. Jeśli ten przekaz byłby prawdziwy, to nie ma w nim niczego zaskakującego, ponieważ stanowiłby znakomitą ilustrację działania państwa stanu wyjątkowego w praktyce.

Już bez posmaku sensacji warto zwrócić uwagę na stosowanie reguł bezpieczeństwa w portach lotniczych i ich najbliższych okolicach, gdzie szczególnie wyróżniają się lotniska w Stanach Zjednoczonych. Tam jest czymś zupełnie normalnym wyprowadzenie pasażera, bez żadnych objaśnień, z kolejki oczekujących na odprawę przez funkcjonariusza odpowiednich służb, długotrwałe przeprowadzenie go przez cały budynek na głębokie zaplecze, gdzie w gąszczu monitorów urzędują specjaliści wyższej rangi. Taka wycieczka może zakończyć się machnięciem ręki na podróżnika, gdy oglądana z bliska jego twarz nie zgadza się z wyświetlonym na ekranie wizerunkiem poszukiwanego osobnika. Wtedy pasażer jest niemal bez słowa zwolniony i może spokojnie wrócić do odprawy, najczęściej dowiadując się po drodze, że jego samolot właśnie odleciał i trzeba zająć się „przebukowaniem” biletu na inny rejs. Jeśli zatem nie doszło do oczywistej pomyłki, to podróżnik zostanie poddany długotrwałym przesłuchaniom i dokładnemu sprawdzeniu, a wszystkie wątpliwości i niejasności będą interpretowane przez funkcjonariuszy na jego niekorzyść i nie dostanie on znikąd pomocy. Zbędne dodawać, że w trakcie odprawy wszelkie gwałtowne ruchy, sięganie do kieszeni, portfela, bagażu podręcznego czy torbki może zakończyć się przysłowiową „śmiercią lub kalectwem”. Aby uniknąć niesłusznego posądzenia o antyamerykanizm warto dodać, że na przykład na lotnisku w Erewaniu odlatujący pasażerowie poddawani są obowiązkowemu skanowaniu żrenicy oczu, ale to zapewne kaukaska specyfika.

Innymi słowy porty lotnicze stanowią wyróżnione terytorium o stosunkowo ograniczonym obszarze, gdzie prawa obywatelskie są z zasady zawieszane w dowolnym momencie wobec każdej osoby; kierując się względami bezpieczeństwa i walki z terroryzmem, mogą być zastosowane bliżej nieznanie szerszemu ogółowi prawa stanu wyjątkowego. W tym sensie porty lotnicze stanowią punktowe enklawy państwa stanu

wyjątkowego na terytorium kraju, który funkcjonuje według normalnego prawodawstwa. Rozważając kwestię wolności Hannah Arendt podkreśliła, że zawsze była ona „ograniczona przestrzennie. Szczególnie wyraźnie widać to na przykładzie największej i najbardziej elementarnej ze wszystkich »negatywnych« rodzajów wolności, a mianowicie swobody poruszania się”⁷. W dobie kontrowersji wokół masowej migracji ta uwaga nabiera wyjątkowego znaczenia, zwłaszcza jeśli zważyć, że wiele państw europejskich podejmuje szereg praktycznych działań mieszczących się w arsenale regulacji państwa stanu wyjątkowego.

Doniosłym problemem współczesnego świata jest masowa inwigilacja wszystkich i wszystkiego w masowej globalnej skali, która rozwinęła się do takich rozmiarów, że doszło do wojny informacyjnej. W praktyce doszło do zawieszenia prawa swobodnego komunikowania się między ludźmi z wykorzystaniem nowoczesnych technologii przy użyciu sprzętu elektronicznego. Największy rozgłos ale i doniosłe znaczenie ma tzw. afera taśmowa zwana także podsłuchową, ponieważ wybitni politycy i ludzie biznesu byli potajemnie nagrywani w czasie ich prywatnych spotkań w restauracjach, a następnie te nagrania były szeroko upowszechniane za pośrednictwem mediów. Za klasyka potajemnego nagrywania rozmówców słusznie uchodzi Adam Michnik, który uczynił to jako pierwszy, nagrywając osobiście w swoim gabinecie rozmowę z Lwem Rywinem w sprawie korupcyjnej propozycji w wysokości 17 mln złotych łapówki, jakie w zamian za stosowną ustawę miał dostać rzekomo SLD. Po odczekaniu kilku miesięcy, które Michnik spożytkował na wykonanie kilku osobliwych zabiegów, przekazał taśmę z nagraniem do organów ścigania. Cała sprawa zakończyła się skazaniem Rywina, sejmową komisją śledczą i poważnymi problemami SLD, które stopniowo doprowadziły do jego upadku. Podobnie zresztą ucierpiała Platforma Obywatelska, bowiem główni bohaterowie nagrań pochodzą z jej elity władzy, która została znacznie przetrzebiona, a poparcie społeczne dla partii rządzącej znacznie spadło. Widoczną ofiarą całej afery stał się całkowicie niewinny prezydent Komorowski, którego reelekcja okazała się niemożliwa, a premier Tusk w porę ewakuował się skutecznie do ligi europejskiej.

Od początku uzasadnione były podejrzenia, że potajemne nagrywanie tego rodzaju rozmówców nie mogło ująć uwadze określonych służb, których konkretni funkcjonariusze prawdopodobnie miast chronić swoich pryncypałów starannie pilnowali bezpieczeństwa nagrywającej ekipy. Do tego momentu nic złego się nie dzieje, bowiem jeśli nie udaje się podsłuchiwanie wysokich urzędników państwowych w ich gabinetach, to trzeba ich nagrywać w innym miejscu, gdzie jest to możliwe. Nagrywanie przedstawicieli elity władzy jest normalną praktyką profesjonalnych służb specjalnych, ponieważ zmagazynowana tego rodzaju dokumentacja jest im potrzebna do ochrony swoich podopiecznych z wysokiej półki, czasami nawet przed nimi samymi, aby nie wpadli w niepotrzebne i czasami groźne dla bezpieczeństwa państwa tarapaty. Można jednak domniemywać, że cała ta operacja wymknęła się spod kontroli szefów służb, ponieważ zdaje się, iż konkretni funkcjonariusze z niektórymi współpracownikami stwo-

⁷ H. Arendt, *O rewolucji*, przeł. M. Godyń, Kraków 1991, s. 278.

rzyli sobie „na boku”, w celach zarobkowych, małą firmkę obrotu tajnymi taśmami z państwowych zbiorów. Jeśli w sposób zbliżony do przedstawionych domniemywać rzeczy się miały, to powstaje niezły przyczynek do dziurawego funkcjonowania państwa stanu wyjątkowego, którego określone segmenty są zastrzeżonym dla służb obszarem działalności.

Zimny stan wyjątkowy

Dziwaczna konstrukcja słowna „zimny stan wyjątkowy” nie powinna być nadużywana, bowiem ma się kojarzyć z formułą „zimnej wojny”, która chociaż też nie brzmi najlepiej, jednak przyjęła się i dobrze funkcjonuje w powszechnym obiegu, propagandzie, polityce i akademickim dyskursie.

Ideologiczne ojcostwo zimnowojennej doktryny politycznej przypisuje się Winstonowi Churchillowi, który zdawał sobie sprawę, że Związek Radziecki jako główny pogromca hitlerowskich Niemiec po zakończeniu wojny będzie zamierzał politycznie zdyskontować swoje zwycięstwo. Trafnie przewidywał nie tylko perspektywę uzyskania przez Moskwę nowych zdobyczy terytorialnych, ale także poszerzenie sfery jej politycznych wpływów i zauważalny już pod koniec wojny wzrost znaczenia partii komunistycznych z nazwy, w Europie. Zapewne z tego względu późną wiosną 1945 roku rozkazał swoim sztabowcom opracowanie na pozór szalonego planu agresji na wyczerpany militarnie i gospodarczo Związek Radziecki, mimo groźby wywołania trzeciej wojny światowej. Zadanie zostało wykonane, ale równocześnie autorzy raportu wykazali, że brytyjskie i amerykańskie siły zbrojne nie dysponują zdolnym do walki potencjałem bojowym. Równocześnie dowodzili, że w tej sytuacji jedynym rozwiązaniem byłoby wykorzystanie niemieckich jeńców wojennych, którzy zapewne ochoczo ruszyliby na Moskwę w odwecie za niedawno poniesioną klęskę. Nawiasem mówiąc, wśród lepiej zorientowanych chodzą słycho, że amerykański generał George S. Patton w podległych mu obozach jeńckich traktował byłych żołnierzy Wehrmachtu i SS jako potencjalnych rekrutów w przypadku wywołania kolejnej wojny. Zapewne na tym gruncie wyrósł też mit powrotu Andersa do kraju na białym koniu, w jakiejś mierze podtrzymywany także przez Londyn. Ambitny plan doprowadzenia do trzeciej wojny światowej poprzez agresję na Związek Radziecki został przez brytyjskich sztabowców oceniony jako całkowicie nierealny, ponieważ zakładał przemarsz niemieckiej armii przez polskie ziemie, co ze względu na opór miejscowej ludności uznano za absolutnie niewykonalne.

Churchill doszedł do słusznego wniosku, że skoro niemożliwa jest „gorąca wojna”, to może przynajmniej uda się wprowadzić w życie „zimną wojnę” i w związku z tym należy rozważyć możliwość wypracowania nowej politycznej doktryny.

Zarys doktryny „zimnej wojny”, ale bez użycia terminu, Churchill naszkicował 5 marca 1946 roku w trakcie słynnego przemówienia w Fulton w rodzinnym stanie Missouri prezydenta Harry Trumana. Jako jego prywatny gość Churchill przedstawił społeczności akademickiej Westminster College na życzenie prezydenta, w swoim imieniu, szczerze i życzliwe rady dotyczące niepokojącego biegu zdarzeń współczesnego świata. Przy okazji zaznaczył, że on także edukował się

w Westminsterze, tyle że na angielskiej ziemi. Niemal w pierwszych słowach swojej mowy pod znamienym tytułem *Filary pokoju* Churchill podkreślił, że dzięki temu zaproszeniu „mam też sposobność zwrócić się do tego bratniego narodu oraz swoich rodaków za oceanem i być może mieszkańców innych krajów”⁸. Dalej zgłosił zastrzeżenie, że nie ma on do wypełnienia żadnej misji, ani też nie ma żadnego oficjalnego statusu. Churchill zdecydowanie stwierdził: „Nikt i nic za mną nie stoi”⁹.

Wypowiedzi te jednak zdają się naprowadzać na podejrzenia, że cała operacja została starannie zaplanowana, ponieważ awansowany niemal przed rokiem ze stanowiska wiceprezydenta USA Truman na miejsce zmarłego w trakcie kadencji jego poprzednika Roosevelta i mimo „zaliczenia” ponaddwutygodniowej konferencji poczdamskiej był w międzynarodowej polityce postacią mało znaną. Tak jak Truman potrzebował rozgłosu do budowania swego politycznego autorytetu, tak Churchill utraciwszy władzę po wyborach na rzecz laburzystowskiej opozycji szukał okazji, by „zameldować się” w świecie polityki w nowej postaci i zająć stanowisko wobec nowej sytuacji w Europie.

W swojej starannie skonstruowanej mowie Churchill zwracając się do audytorium jednoznacznie stwierdził, że nie „musimy po raz trzeci odebrać wojenną lekcję, o wiele surowszą niż ta, z której dopiero co wyszliśmy”, i wezwał do skierowania wszelkich sił społecznych do działań zmierzających ku „umocnieniu i stabilizacji pokoju”, po czym wyraził głębokie zaniepokojenie tym faktem, że nikomu nie wiadomo, „co zamierza w najbliższej przyszłości uczynić Rosja Sowiecka oraz jej komunistyczne międzynarodówki; nie wiadomo jakie są – o ile w ogóle istnieją – granice ich ekspansji i zniewalania umysłów”¹⁰. W tym samym ciągu wywodów Churchill sprawnie przeszedł do opisu słynnej „żelaznej kurtyny” skrótowo charakteryzując skrywane za nią działania Moskwy na rzecz umocnienia wpływów partii komunistycznych i ustanowienia systemu policyjnego. Generalnie, jego zdaniem, „w wielu krajach na całym świecie, z dala od granic Rosji komunistyczne piąte kolumny posłusznie działają według dyrektyw otrzymywanych z komunistycznej centrali”¹¹.

W tym miejscu należy przypomnieć, że wyrażenie „żelazna kurtyna” zostało po raz pierwszy użyte przez Josepha Goebbelsa w gazecie „Das Reich” pod znamienym tytułem *Rok 2000*. „Jeśli naród niemiecki złoży broń, wówczas Sowiet, zgodnie z porozumieniem zawartym między Rooseveltem, Churchillem i Stalinem zajmą całą wschodnią i południowo-wschodnią Europę, w tym większą część Rzeszy. Nad tym terytorium zajęтым przez Związek Radziecki zapadnie żelazna kurtyna, poza którą nastąpi rzeź narodów”.

Kiedy ma się w pamięci niedawne pomysły Churchilla dotyczące powojennej napaści na Związek Radziecki, zaskakująco brzmią w jego ustach słowa jak i jego zdecydowany „sprzeciw budzi pogląd, że nowa wojna jest nieunikniona, a zwłaszcza, że nastąpi niebawem. [...] Nie wierzę, że Rosja Sowiecka pragnie wojny. Pragnie owoców wojny oraz nieograniczonej ekspansji swojej władzy i ideologii”. [...] „Na podstawie

⁸ W. Churchill, *Filary pokoju*, w: *Wielkie mowy historii. Od Hitlera do Eisenhowera*, tom 3, Warszawa 2006, s. 206.

⁹ Ibidem, s. 207.

¹⁰ Ibidem, s. 211.

¹¹ Ibidem, s. 213.

tego, co mogłem zauważyć podczas wojny u naszych rosyjskich sojuszników i przyjaciół, doszedłem do przekonania, że ponad wszystko podziwiają oni siłę, a niczego nie darzą mniejszym szacunkiem jak słabości, zwłaszcza wojskowej. Z tego powodu dawna doktryna równowagi jest niesłuszna”¹².

W ten sposób po wielu zakrętach Churchill obciążając równocześnie Związek Radziecki odpowiedzialnością za konfliktową politykę, otwartą prostą drogę do „zimnej wojny” czyli takiego stanu rzeczy, który znajduje się między wojną a pokojem, co nie wyklucza walk zbrojnych na obrzeżach świata, ale wręcz zakłada nieuchronność wojen peryferyjnych i domowych. Jak powszechnie wiadomo, przeciwieństwem równowagi jest stan nierównowagi, rywalizacji, czyli w tym kontekście wyścig zbrojeń, wyścig kosmiczny czy gospodarczy, ponieważ każda ze stron walczy o uzyskanie przewagi nad drugą w czym właśnie nasz kraj ma wątpliwą okazję uczestniczyć. Metafora wody podpowiada, że wojna może być „gorąca” albo „zimna”, a w stanach pośrednich „letnia” lub „chłodna”, co nasuwa myśl o zróżnicowanych przejawach stanu wyjątkowego.

W tym kontekście warto zapoznać się z poglądem Anne Applebaum, która zasadniczo kwestionuje kluczową rolę zimnowojennej „amerykańsko-sowieckiej” konfrontacji. Jej zdaniem, w powojennej Europie Wschodniej decydujące znaczenie miała odrzucana przez podbite społeczeństwa polityka władz stosujących represje wobec dążeń wolnościowych. Miały

miejsce różne formy protestów społecznych przeciwko partiom rządzącym na podstawie nie demokratycznego, ale kremlowskiego mandatu. Ponieważ przejęcie przez Moskwę władzy w Europie Wschodniej po 1945 roku „dzięki wygranym wolnym wyborom skończyło się porażką, głównym filarem państwowości musiał zostać aparat represji, który wymusił siłową legitymizację ustrojowej transformacji. „Surowsza polityka narzucona blokowi wschodniemu w latach 1947-1948 nie była więc zaledwie, a już na pewno jedynie reakcją na zimną wojnę. Była także reakcją na przegraną. Związkowi Radzieckiemu i jego lokalnym sojusznikom nie udało się przejąć władzy w sposób pokojowy”¹³. Jak widać Applebaum pominęła znaczenie wpływu zimnowojennego „amerykańsko-sowieckiego” frontu na wewnętrzne konflikty społeczne w krajach Europy Wschodniej, w których opozycyjne siły uzyskiwały znaczące i wszechstronne wsparcie ze strony zachodnich rządów.

W dyskusjach o kształcie polskiej demokracji hipoteza badawcza, w której rozważa się funkcjonowanie naszego kraju jako państwa stanu wyjątkowego na gospodarczym podłożu kapitalizmu państwowego zdaje się rodzić owocne perspektywy poznawcze uwolnione od propagandowych uproszczeń. Warto zobaczyć, co pokaże przyszłość.

MAREK ZAGAJEWSKI

¹² Ibidem, s. 213.

¹³ A. Applebaum, *Za żelazną kurtyną. Ujarzmienie Europy Wschodniej 1944-1956*, przeł. B. Gadomska, Warszawa 2013, s. 30.



Józef Sękowski, *Sen 40-latki*

WŁODZIMIERZ LUTY

KRÓTKA HISTORIA RESTAURACJI KAPITALIZMU W POLSCE

Pamięci Jerzego Szmajdzińskiego

W toczącej się obecnie dyskusji o kryzysie lewicy w Polsce uwaga jej uczestników skupia się przede wszystkim na tym, co dzieje się z SLD. Niektórzy krytycy Sojuszu wieszczą wręcz jego upadek i całkowitą marginalizację na polskiej scenie politycznej. Ci, którym nieobojętny jest los lewicy w Polsce, poszukują przyczyn porażek politycznych SLD oraz możliwości jej przetrwania. Pierwszy znaczący ferment ideowo-programowy nastąpił zaraz po druzgocącej porażce wyborczej SLD w 2005 roku, a jego kulminacją był tak zwany Raport Reykowskiego. Dziesięć lat po tej porażce wyborczej, przed kolejnymi wyborami prezydenckimi i parlamentarnymi, rozważany jest już najczarniejszy scenariusz: całkowitej klęski politycznej SLD i jego samolikwidacja.

Gdy mowa o porażkach politycznych SLD, z reguły podkreśla się (m.in. we wspomnianym raporcie Reykowskiego), że w Sojuszu oraz w jego poprzedniczkach od 1989 roku nie interesowano się kwestią socjalną, która stanowi podstawowy wyróżnik ruchu socjalistycznego i lewicowego w ogóle od zarania jego istnienia. Znajdując się osiem lat u władzy (jedna trzecia historii III RP) SLD utracił kontakt z klasami pracowniczymi oraz ich organizacjami, które na całym świecie stanowią podstawowe zaplecze społeczne ruchów lewicowych, a przez osiem lat rządów partia ta nie była zainteresowana ani programowo, ani w praktyce bardzo ważną z punktu widzenia praw i wolności pracowniczych i obywatelskich oraz sprawiedliwości społecznej Europejską Kartą Praw Podstawowych. Co więcej, bywało tak, że w konfliktach własnościowych, finansowych i światopoglądowych SLD stał po stronie silniejszych, w tym po stronie największego właściciela ziemskiego w Polsce – Kościoła katolickiego.

Coś jest na rzeczy w tym, że porażki polityczne SLD przez ostatnich dziesięć lat biorą się stąd, że partia ta co innego deklarowała w swoich hasłach i programach

politycznych (przynależność do wielkiej europejskiej rodziny socjaldemokratycznej), a co innego czyniła w praktyce politycznej.

Warto rozważyć następującą hipotezę: **SLD przestał być partią lewicową, gdyż stał się programowo i praktycznie partią restauracji kapitalizmu w Polsce.** Prawdziwość tej tezy implikuje odpowiedź na kolejne pytanie o możliwości i szanse odrodzenia się SLD jako partii lewicowej; warunkiem niezbędnym „odrodzenia lewicowego” SLD jest pożegnanie się z dotychczasową polityką, co oznacza samokrytykę i odrzucenie programowe i faktyczne uprawianej przezeń praktyki restauracji kapitalizmu w Polsce.

Wpierw spróbujmy jednak uzasadnić sformułowaną wyżej hipotezę o SLD jako „partii restauracji kapitalizmu w Polsce”.

1. Restauracja kapitalizmu czyli „deregulacja”, „liberalizacja” i prywatyzacja

SLD oraz jego poprzedniczki (PZPR i Klub Lewicy Demokratycznej w sejmie kontraktowym, SdRP) uczestniczyli w przygotowaniu i wdrażaniu instytucjonalno-prawnych podstaw opartej na własności prywatnej gospodarki rynkowej (gospodarki kapitalistycznej). Początek tej transformacji dała ustawa Wilczka o swobodzie działalności gospodarczej z grudnia 1988 roku. Przełomowym dla dalszych zmian ustrojowych był pakiet reform gospodarczo-ustrojowych zwany planem Balcerowicza oraz kolejne ustawy deregulacyjne (m.in. o zmianach w organizacji i działalności spółdzielni ze stycznia 1990 roku) i prywatyzacyjne: ustawa o prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych z 1990 roku, likwidacji PGR-ów z 1991 roku oraz ustawa o narodowych funduszach inwestycyjnych i ich prywatyzacji z 30 kwietnia 1993 roku, czyli Program NFI, przygotowany przez ekipę Lewandowskiego w rządzie Suchoc-

kiej, poparty, a następnie konsekwentnie wdrażany od 1993 r. przez SLD.

W obowiązującym do dziś (również w SLD) języku racjonalności gospodarczej całokształt uruchomionych na początku 1990 roku zmian ustrojowych określa się mianem „deregulacji gospodarki, połączonej z jej liberalizacją i prywatyzacją”.

Jest to język głównego nurtu ekonomii i nauk społecznych w ogóle, który jak ognia unika pojęcia kapitalizmu na określenie zmian, które zachodzą w Polsce oraz w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej od czasu wielkiego *kolapsu* centralnie planowanej i biurokratycznie regulowanej socjalistycznej gospodarki permanentnych niedoborów.

Pojęciem „deregulacja”, określa się zarówno zniesienie nakazowo-rozdzielczego systemu kierowania gospodarką państwową i spółdzielczą (w tym likwidację wojewódzkich i centralnych związków spółdzielczych), jak i likwidację prawnych i administracyjnych ograniczeń powstawania i rozwoju prywatnej przedsiębiorczości. Deregulacją nazywa się też zniesienie preferencji kredytowych dla przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych oraz likwidację gwarancji ich istnienia niezależnie od wyników finansowych. Pod pojęciem „liberalizacja” kryje się przede wszystkim uwolnienie cen na rynku krajowym oraz zniesienie barier w handlu zagranicznym (likwidacja państwowego monopolu, wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złotówki, wprowadzenie jednakowych zasad cienia towarów z jednoczesnym obniżeniem stawek celnych nawet do stawki zero procent, zniesienie reglamentacji dewizowej).

To co nazywano i nadal nazywa się deregulacją i liberalizacją gospodarki jest niczym innym jak stwarzaniem podstaw instytucjonalno-prawnych dla **organicznego** (opartego na inicjatywie, kapitale i zdolnościach osób fizycznych bądź prawnych, zwanych przedsiębiorcami) rozwoju kapitalizmu w warunkach wolnego handlu oraz wolnej konkurencji. Natomiast prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych i likwidacja PGR-ów była planowym, odgórnym, administracyjno-biurokratycznym procesem „nasadzania” elementów gospodarki kapitalistycznej. W przeciwieństwie do organicznego powstania i rozwoju gospodarki kapitalistycznej można by ten proces nazwać świadomym i planowym konstruowaniem (budowaniem) kapitalizmu. Tak rozumiany „konstruktywizm” jest najbliższy pojęciu **restauracji kapitalizmu**, choć zarówno deregulacja jak i liberalizacja napędza ową restaurację.

2. Upadek spółdzielczości

Deregulacja i liberalizacja zapoczątkowały to, co później zostało nazwane małą prywatyzacją – żywiołowy (organiczny) rozwój handlu prywatnego zarówno detalicznego jak i hurtowego, którego podstawą był transfer na rzecz osób fizycznych lub ich spółek niepełnej wiązki praw własności do nieruchomości komunalnych (dzierżawa, leasing). Ramy prawne dla takiego transferu praw, a w rezultacie dla rozwoju prywatnego handlu stworzyły dwie ustawy: o działalności gospodarczej z grudnia 1988 roku oraz o samorządzie terytorialnym z maja 1990 roku. Pierwsza dawała możliwość prowadzenia działalności gospodarczej każdemu obywatelowi, druga – umożliwiała gminom

swobodny obrót posiadanymi prawami własności. Cały zaś proces rozwoju prywatnego handlu został zdynamizowany likwidacją państwowego monopolu na handel zagraniczny oraz wprowadzeniem wymienialności złotego. W latach 1990-1993 powstało ponad milion nowych firm prywatnych. Zdecydowana większość z nich zajmowała się handlem detalicznym i hurtowym.

Jednocześnie rozwój handlu prywatnego doprowadził do upadku hurtowego i detalicznego handlu spółdzielczego, który do 1989 r. był właścicielem prawie 80 procent sklepów oraz 72 procent powierzchni handlowej w Polsce. Handel spółdzielczy przegrał w konkurencji kosztowo-jakościowej z drobnym handlem prywatnym oraz zasobnymi finansowo zagranicznymi hipermarketami nie tylko dlatego, że był kapitałowo, majątkowo i organizacyjnie nieprzygotowany do tej konkurencji. Do przegranej tej przyczyniła się też w znacznym stopniu „konstruktywna” działalność rządu, który ustawą z dnia 20 stycznia 1990 roku dokonał likwidacji centralnych i regionalnych związków spółdzielczych, a w rezultacie doprowadził do rozdrobienia spółdzielczości oraz zerwania więzi instytucjonalnych i kooperacyjnych między spółdzielniami, co pozbawiło je doradztwa, instruktażu i pomocy finansowej.

Największe straty poniosły dwa największe i najstarsze ruchy spółdzielcze w Polsce: spółdzielnie spożywcze „Społem” oraz spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, które zawsze stanowiły naturalną bazę ekonomiczno-społeczną ruchów socjalistycznych i ludowych.

Wpływ restauracji kapitalizmu (tej organicznej i tej konstruktywnej) na ruch spółdzielczy jest taki, że:

– spadł udział sektora spółdzielczego w PKB z około 10 procent w 1989 roku do około 1 procenta obecnie (w „starej” UE około 5 procent);

– spadł udział spółdzielczości w handlu detalicznym z około 30 procent w 1989 roku do nieco ponad 8 procent obecnie, a w handlu hurtowym z 4 procent w 1992 roku do 1 procenta obecnie;

– spadła liczba zatrudnionych w spółdzielniach z 2,2 miliona osób w 1989 roku do około 400 tysięcy obecnie.

Ekspansja na polski rynek dobrze zorganizowanych i zasobnych finansowo zagranicznych sieci handlowych stanowi kolejny etap rozwoju prywatnego handlu, którego ofiarami stają się tym razem drobni kupcy. Paradoksalnie, jedynym ratunkiem dla upadającego drobnego handlu może być odradzająca się spółdzielczość handlowa.

3. Prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych: kto zyskał, a kto stracił?

Ogromny wpływ na losy milionów ludzi związanych pracą i pomocą socjalną z sektorem państwowym miała jego odgórna, administracyjno-biurokratyczna, konstruktywna (jako przeciwieństwo założycielskiej – organicznej) prywatyzacja. W Polsce na koniec 1989 roku było 8453 przedsiębiorstw państwowych (pp.). Do końca 2006 roku prywatyzacją objęto ponad 86 procent pp. Ilościowe efekty tej prywatyzacji z podziałem na okresy rządzenia ekip postsolidarnościowych oraz SLD przedstawia tabela.

Tabela 1.

Formy zmian własnościowych przedsiębiorstw państwowych (pp.)	Ogółem	1990-1993 OKP plus post. "S"	1994-1997 SLD plus PSL	1998-2001 AWS	2002-2005 SLD
Pp. objęte procesem przekształceń własnościowych	7263	3931	1964	990	378
1. Skomercjalizowane w celu prywatyzacji w tym sprywatyzowano pośrednio:	1584	637	647	246	54
– NFI	512	–	512	–	–
– pozostałe	349	98	126	85	40
2. Sprywatyzowano bezpośrednio	2053	763	627	477	186
3. Zlikwidowane	997	226	412	183	176
4. Włączone do Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa (likwidacja PGR-ów)	1654	1338	316	–	–

Tabela 1. Źródło: *Prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych 2006*, GUS, Warszawa 2007. W tabeli pogrubioną czcionką podkreślono te przekształcenia własnościowe, które przyniosły najbardziej niepożądane skutki ekonomiczno-społeczne.

a) likwidacja PGR-ów

Prywatyzacja PGR-ów była typowym, ogólnym i administracyjnym aktem likwidacji prawnej formy własności państwowej i przejęciem majątku przez Skarb Państwa, a konkretniej – przez Agencję Własności Rolnej Skarbu Państwa. W przeciwieństwie do przyjętej w 1990 roku ustawy o prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, ustawa o likwidacji prawnej PGR-ów z 1991 roku nie dawała ich pracownikom żadnych uprawnień prywatyzacyjnych. W 1989 roku państwowy sektor rolnictwa użytkował 18,6 procent użytków rolnych i zatrudniał 441 tysięcy osób, co z członkami rodzin stanowiło ok. 2 miliony osób. Trzy czwarte rodzin mieszkało w mieszkaniach należących do PGR-ów. Gospodarstwo utrzymywało osiedle mieszkaniowe, często szkołę, organizowało rozrywkę i wypoczynek wakacyjny. Po likwidacji PGR-ów udział państwowych gospodarstw rolnych (pozostawionych głównie dla celów naukowo-technicznych) w użytkowaniu ziemi zmalał z 18,6 procent do 5,2 procent, a zatrudnienie z 441 tysięcy osób do około 48 tysięcy. Likwidacji i degradacji uległa też cała towarzysząca państwowej produkcji rolnej infrastruktura społeczna.

Z badań nad sytuacją rodzin popegeerowskich przeprowadzonych po upływie 15 lat od daty rozpoczęcia prawno-administracyjnej likwidacji PGR-ów wynika, że rodzin, w których pracowali mąż i żona było około 20 procent, tych, w których pracował jeden małżonek –

około 33 procent, zaś tych, w których nikt nie pracował – około 47 procent. W skład tych ostatnich wchodziły też rodziny emerytów i rencistów (około 37 procent ogółu rodzin popegeerowskich). Blisko połowa badanych rodzin dysponowała miesięcznie kwotą od 500 do 1000 zł (na rodzinę). Około 20 procent rodzin deklarowało posiadanie sum poniżej 500 zł.

Jeśli krytycy SLD podkreślają, że partia ta niewiele zrobiła, by poprawić los upośledzonych i wykluczonych warstw społecznych, to prawdziwość tego twierdzenia odnosi się przede wszystkim do programowej i praktycznej reakcji SLD i jej poprzedniczek na los owych setek tysięcy popegeerowskich rodzin.

b) prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych – przypadek NFI

Obok likwidacji PGR-ów, upadku spółdzielczości handlowej, likwidacji przedsiębiorstw państwowych (głównie, jak przewidywała ustawa z 1990 roku o przedsiębiorstwach państwowych, z powodów ekonomicznych plus bankructwa), również nieudana prywatyzacja pp. miała opłakane skutki dla ludzi związanych z tymi przedsiębiorstwami. Klasycznym przykładem takiej nieudanej prywatyzacji był wymyślony przez gdańskich liberałów i wdrożony przez SLD program NFI.

Efekty ekonomiczno-społeczne realizacji tego programu przedstawiają dane:

1. Wartość księgową majątku narodowego objętego programem NFI (około 8 procent wartości księgowej całego majątku)	17,7 mld zł
1a. Urealniona w 1996 roku wartość majątku objętego programem NFI	9,5 mld zł
2. Wartość księgową majątku wniesionego do 15 NFI	10,6 mld zł
2a. Urealniona wartość majątku wniesionego do 15 NFI	5,7 mld zł
3. Liczba przedsiębiorstw włączonych do programu	512
4. Liczba zatrudnionych w przedsiębiorstwach objętych programem	412 tys. osób
5. Wartość księgową majątku udostępniona bezpłatnie pracownikom w ramach „akcjonariatu pracowniczego”	2,7 mld zł
5a. Urealniona wartość majątku udostępniona bezpłatnie pracownikom	1,4 mld zł
6. Wartość księgową majątku/1 zatrudnionego	6,6 tys. zł
6a. Urealniona wartość majątku/1 zatrudnionego	3,4 tys. zł
7. Liczba wyemitowanych powszechnych świadectw udziałowych (pśu) ...	25.889.333 sztuk
8. Wartość urealnionego majątku NFI przeznaczonego do wymiany na powszechne świadectwa udziałowe (85 procent razy 2a)	4,85 mld zł
9. Wartość urealniona majątku NFI na 1 pśu	187,34 zł
10. Cena debiutu pśu na giełdzie	104 zł
11. Cena pśu w ostatnim dniu notowania na giełdzie	62 zł
12. Opłata manipulacyjna za otrzymane pśu	20 zł
13. Liczba umów o zarządzanie NFI	14 sztuk
14. Stawki rocznego wynagrodzenia ryczałtowego – od 1.400.000 USD do 3.900.000 USD	
14a. Kwota otrzymanych przez firmy zarządzające NFI wynagrodzeń (koniec 2003 roku)	200 mln USD plus 88 mln EURO
15. Wartość aktywów sektora NFI w 2003 roku	2,14 mld zł
15a. Spadek wartości aktywów NFI w latach 1996-2003	(3,79 mld zł)
16. Zatrudnienie w spółkach parterowych na koniec 2003 roku	14,4 tys. osób
16a. Zatrudnienie w latach 1995-2003 zmniejszyło się o	297,6 tys. osób
17. Wynagrodzenie za wyniki firm zarządzających za okres 1995-2004	143 mln zł
18. Kwota dywidendy otrzymanej w latach 1988-2004 przez pracowników spółek parterowych	48,4 mln zł
19. Dywidenda roczna w przeliczeniu na jednego pracownika	16,82 zł

Źródło: Departament Instytucji Finansowych MSP: Raport z realizacji Programu Narodowych Funduszy Inwestycyjnych w latach 1995-2003, Warszawa 2005. Obliczenia własne.

W rządowym (za czasów Hanny Suchockiej) uzasadnieniu projektu ustawy o narodowych funduszach inwestycyjnych, popartym i przyjętym przez SLD, można było przeczytać, że celem programu NFI jest m.in. umożliwienie jak największej liczbie Polaków uczestniczenia w procesie prywatyzacji majątku narodowego oraz stworzenie dwojakiego rodzaju instrumentów finansowych – świadectw udziałowych oraz akcji NFI – w celu uzyskania korzyści ekonomicznych przez wszystkie uprawnione osoby.

Faktem jest, że w programie wzięto udział ponad 25 milionów obywateli, w tym 412 tysięcy. w podwójnej roli: jako akcjonariusze spółek parterowych oraz jako właściciele świadectw udziałowych, które bądź sprzedali, bądź zamienili na akcje NFI.

Z przedstawionych wyżej danych wynika jednak, że rzeczywistymi beneficjentami tej formy prywatyzacji majątku skarbu państwa były firmy zarządzające oraz ich udziałowcy. W latach 1996-2003 otrzymały one w formie wynagrodzeń i premii za wyniki ponad 1 mld zł. W tym samym czasie wartość aktywów NFI (wartość majątku skarbu państwa) spadła o około 3,8 mld złotych (63 procent) a pracę utraciło około 300 tysięcy (73 procent) pracowników objętych tym programem prywatyzacji.

Oprócz firm zarządzających funduszami i ich udziałowców na programie zarabiali też inni, nieliczni inwestorzy i biznesmeni biorący udział w prywatyza-

cji spółek parterowych. Ich wzbogacaniu się sprzyjała określona polityka inwestycyjna firm zarządzających i ich udziałowców, polegająca na maksymalizacji zysku poprzez wyjście kapitałowe ze spółek parterowych, mając w perspektywie na celu realizację wariantu likwidacyjnego funduszy i dystrybucji zgromadzonych środków dla akcjonariuszy. Oznaczało to wychodzenie ze spółek w okresie i po wartości nie zawsze korzystnej z punktu widzenia działalności spółek, często bez przeprowadzenia skutecznego programu restrukturyzacji i bez dodatkowego zwiększenia ich wartości.

W okresie 1996-2004 z ogółu 512 spółek Fundusze sprzedały akcje 494 podmiotów. Prasa opisała kilkadziesiąt transakcji dokonanych ze szkodą zarówno dla spółek parterowych jak i samych funduszy. Najbardziej znane i opisywane były afery związane z prywatyzacją zakładów naprawczych taboru kolejowego. Pomysłowi polscy i zagraniczni biznesmeni kupowali od NFI zakłady naprawcze, by wyprowadzić z nich gotówkę, którą otrzymywały z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (PKP splotały kredyty wobec ZNTK ze 100 mln euro kredytu z EBOiR). Niektórzy z nich za środki EBOiR kupowali kolejne zakłady, inni wyprowadzali gotówkę za granicę i doprowadzali firmy do ruiny. Ocenia się, że w ten sposób z firm tych wyprowadzono dziesiątki, jeśli nie setki milionów złotych.

Wiele transakcji kupna kontrolnych pakietów akcji spółek parterowych dokonywano w celu wejścia w po-

siadanie atrakcyjnych nieruchomości bądź wartościowych maszyn i urządzeń, które sprzedawano po cenach wielokrotnie wyższych od cen zakupu tych akcji, a kupione spółki stawiano natychmiast w stan likwidacji.

Niektórym NFI tak spieszyło się z wychodzeniem ze spółek parterowych, że sprzedawali kontrolny pakiet akcji po cenach wielokrotnie niższych od nominalnej wartości akcji. Zarządzający NFI spekulowali też na giełdzie dokonując niekorzystnych dla NFI, czy też dla zależnych od nich spółek parterowych transakcji. Straty w tym przypadku NFI czy też spółek parterowych oznaczały idące w miliony zyski tych inwestorów, z którymi zarządcy NFI dokonywali tych transakcji.

Na koniec trzeba wspomnieć o oczywistych sprawach kryminalnych, o których również rozpisywała się prasa, a mianowicie o łapówkach za zaniżanie wartości sprzedawanego majątku, ułatwianiu przejęć co atrakcyjniejszych spółek, zgodę na transakcje spekulacyjne na giełdzie – a otrzymamy w zasadzie pełny obraz tego, w jaki sposób nieliczni biznesmeni i inwestorzy legalnie, półlegalnie i nielegalnie wzbogacili się na programie, który miał doprowadzić do masowego uwłaszczenia obywateli.

Akceptując, wdrażając i firmując program NFI – SLD ponosi oczywiście polityczną odpowiedzialność za społeczno-ekonomiczne efekty jego realizacji. SLD dzieli też polityczną odpowiedzialność z partiami postsolidarnościowymi (zwłaszcza z Unią Wolności i AWS) za skutki społeczno-ekonomiczne realizacji całego programu prywatyzacji, choć program NFI był najbardziej nieudany jego elementem.

c) prywatyzacja pp. – upadek związków zawodowych

Prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych miała istotny wpływ na zmianę stosunków sił ekonomicznych pomiędzy właścicielami przedsiębiorstw i pracownikami. W firmach państwowych istotnym elementem stosunków właścicielsko-zarządczych były rady pracownicze oraz walne zebrania pracowników, które wraz ze związkami zawodowymi miały istotny wpływ na zarządzanie w tych firmach oraz na podział efektów gospodarowania (m.in. podział zysku). Prywatyzacja firm państwowych oznaczała przede wszystkim likwidację samorządności pracowniczej, co prowadziło do osłabienia również związków zawodowych. Słabnąca pozycja tych ostatnich wiązała się m.in. z tym, że największe związki zawodowe – „Solidarność” i OPZZ – popierały, podobnie jak ich reprezentacje polityczne (UW, AWS, SLD) prywatyzację w ogóle.

Angażując się w przemiany ustrojowe, związki zawodowe, a zwłaszcza główny inicjator tych przemian – „Solidarność”, popadały w konflikt ról i traciły swą tożsamość: popierały rynek i zmiany własnościowe w imię poprawy położenia klasy pracowniczej, które to położenie stawało się w miarę postępu w restauracji kapitalizmu coraz trudniejsze (wysokie bezrobocie, likwidacja rad pracowniczych, osłabienie pozycji związków zawodowych). Efekt jest taki, że obecnie Polska należy do krajów o najniższym w Europie wskaźniku uzwiązkowienia oraz wciąż słabnącym oporem pracowniczym przeciwko pogarszaniu ich warunków egzystencji, nie znajdującym adekwatnego wyrazu w ruchach strajkowych.

Z badań CBOS wynika, że na początku zmian ustrojowych przynależność do związków zawodowych deklarowało 19 procent ogółu dorosłych Polaków, czyli około 40 procent ogółu pracowników. W 2007 roku już tylko 6 procent ogółu dorosłych deklarowało swą przynależność do związków – w tym około 14 procent pracowników. Z badań tych również wynika, że kryzys przeżywa też praktyka układów zbiorowych pracy, które obejmują znacznie mniejszą część osób zatrudnionych niż w krajach „starej” UE. Kryzys 2008 roku dał początek „elastycznym formom zatrudnienia”, które zrodziły prekariat – wielkie grupy pracowników najemnych, których nie obejmują nie tylko zbiorowe układy pracy, ale też związane z zatrudnieniem bezpieczeństwo pracy.

Zmniejszające się uzwiązkowanie pracowników oraz postępująca za nim słabość protestów ekonomicznych stanowi wyraz ograniczenia sektora państwowego, stanowiącego naturalną bazę związków zawodowych oraz osłabienia pozycji związków zawodowych albo nie ma wcale, albo są bardzo słabe. Z badań CBOS wynika, że w instytucjach i urzędach państwowych związkowcami jest 35 procent pracowników, w spółkach z udziałem właścicieli prywatnych i państwa 15 procent, natomiast w spółkach prywatnych tylko 3 procenty.

Kryzys związków zawodowych i osłabienie pozycji pracowników najemnych w ich relacjach z właścicielami i przedsiębiorcami, a w rezultacie zignorowanie w ogóle interesów pracowniczych w procesie restauracji kapitalizmu w Polsce, to największy grzech „postkomunistycznego obozu reform”, jak zwykło się nazywać SLD i jego poprzedniczki.

Jeśli do tego dodamy społeczne skutki związane z nierównościami w podziale dochodów, powstaniem obszarów strukturalnej nędzy i bezrobocia, otrzymamy pełny obraz tego, co to oznacza, że SLD porzucił orientację lewicową w polityce społeczno-gospodarczej i utracił kontakt ze swą naturalną bazą społeczną.

* * *

Zajmując się deregulacją, liberalizacją i prywatyzacją polskiej gospodarki, SLD i jego poprzedniczki nie zawracali sobie głowy ani upadkiem ruchu spółdzielczego i związkowego, ani losem setek tysięcy rodzin popegeerowskich. Postkomunistyczni reformatorzy nie mieli też nic do zaproponowania milionom pozbawianych pracy najemnym pracownikom prywatyzowanych zakładów pracy, kolejnym milionom „pracujących – ubogich”, otrzymujących wynagrodzenie na poziomie ustawowej granicy ubóstwa. To właśnie te grupy społeczne tworzą w Polsce obszary nędzy i wykluczenia.

Innymi słowy, SLD zajmując się restauracją kapitalizmu w Polsce, przestał programowo i politycznie odpowiadać na potrzeby tych, którzy na tej restauracji tracili. Niestety byli to z reguły ci, którzy w przeszłości stanowili bazę materialną i społeczną lewicy. W rezultacie prawie cała baza społeczna, czyli głównie klasy pracownicze przeszły na stronę konserwatywno-narodowej i populistycznej prawicy. Natomiast ci, którzy na restauracji kapitalizmu skorzystali wolą tych, którzy o ten kapitalizm walczyli już w PRL (postsolidarnościowy ruch społeczno-polityczny PO-PIS).

WŁODZIMIERZ LUTY

MARCIN KULA

PZPR – TEMAT BADAWCZY WART GRZECHU

Znakomita większość prac powstałych o Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej za jej własną sprawą może być dla nas co najwyżej materiałem do badania dróg myślenia w tamtym środowisku. Także w nim zdarzały się, rzecz jasna, wyjątki w postaci lepszych badań i ciekawszej refleksji – ale nie były one liczne. W okresie po 1989 r. PZPR nie cieszyła się przemożną uwagą historyków i znaczącym zainteresowaniem publicznym. Pojawiła się pewna liczba ciekawych prac na jej temat, ale dominowały kwestie – rzecz jasna – „białych plam”, potem komunistycznych represji, tajnych współpracowników, stosunków państwo-Kościół... Od pewnego czasu liczniejsi historycy zdają się odkrywać, że PZPR była jednak ważną organizacją. Pogratulujmy im i zastanówmy się co warto w tym zakresie badać¹.

Poniżej zwrócę uwagę na kilka, moim zdaniem, ważnych zagadnień. Zaproponuję je jako tematy do przerabiania problemowego. Można i należy je jednak też badać w przekrojach chronologicznych – bowiem elementy wyodrębnionych zagadnień wpływały na siebie, a rozważana struktura ewoluowała w czasie.

Moje spojrzenie na PZPR jest spojrzeniem zewnętrznym. Sam nie należałem nie tylko do partii, ale nawet do ZMP lub ZMS. W wypowiedzi zawodowej historyk nie musi przedstawiać własnego życiorysu. Niemniej jednak tematyka jest drażliwa i sądzę, że lepiej ten aspekt sprawy wyjaśnić – przez co nie odmawiam prawa do badań i refleksji byłym członkom partii. Aczkolwiek patrzenie z zewnątrz jest najczęstszą sytuacją historyka i pozwala uniknąć części

zawodowych niebezpieczeństw, to jednak pozycja badacza-uczestnika może mieć pewne zalety. Nadto, o czym będzie dalej mowa, trudno traktować członków PZPR jako jednolite grono. W różnych okresach przynależność, a zwłaszcza wstąpienie, co innego też oznaczały. Skądinąd jestem świadomy, że w Polsce rządzonej przez PZPR całkowitej zewnętrzności w stosunku do niej nie dawało się osiągnąć, bowiem była to partia władzy przynajmniej w intencji wszechogarniającej.

Sądzę, że na pierwszym miejscu należy zdać sobie sprawę z elementarnych cech przedmiotu badania. Powinien nas zainteresować statystyczny obraz partii, z uwzględnieniem kryteriów zawodowych, społecznych, hierarchicznych i geograficznych. Badania powinny objąć motywacje wstępowania, występowania (w tym stosunek PZPR do ewentualnego opuszczania jej szeregów), także wyrzucania członków i udzielania im nagan. Należy rozpoznać strukturę PZPR i jej instancji, zmienne w czasie.

Fundamentalną sprawą w proponowanych rozważaniach jest kwestia modelu partii. Nominalnie była ona realizacją modelu leninowskiego. Czy jednak naprawdę była? Otóż sądzę, że ani nie była, ani nie mogła być. Nie może być zakonem rycerskim partia, licząca za Gierka ponad 3 mln. członków (w kraju wielkości Polski!). Czemu służyła tak wielka liczebność? Samouspokojeniu? Transmisji idei oraz decyzji do mas, na podobieństwo związków zawodowych z modelem leninowskiego?

Faktycznie PZPR była piaskiem, który się rozsypywał na wszystkie strony przy każdej nadarzającej się okazji. Największe i zdawałoby się najsilniejsze orga-

¹ Rozwinięta wersja głosu w dyskusji podczas konferencji „Partia, państwo, społeczeństwo” (IPN, Warszawa 5-6 2014).

nizacje partyjne w dużych zakładach pracy po prostu rozpraszają się podczas kolejnych kryzysów. Nie jestem jednak pewien, czy – poza momentami kryzysów – ktokolwiek chciał, by było inaczej. Socjotechniczną ideą przewodnią ustroju PRL było uczynienie ze społeczeństwa (narodu) masy piasku, kierowanej i dającej się kierować przez polityczne centrum. Sądzę, że w gruncie rzeczy od organizacji partyjnych w zakładach pracy także nie oczekiwano wiele więcej. Z grubsza biorąc: ważny był sekretarz kontaktujący się ze swoim partyjnym zwierzchnictwem, a reszta miała wykonywać polecenia. Inicjatywy, poza drobnymi sprawami, od członków partii nie oczekiwano – podobnie jak nie oczekiwano jej od ludzi spoza partii.

Ostatecznie komunizm nie został obalony. Upadł w przemożnej mierze dlatego, że zabrakło mu obrońców. W ostatnich chwilach partią byli ludzie skupieni w gmachach instancji partyjnych, a i oni najpewniej nie czuli się już tam najlepiej. O Stanisławie Mazurze, wybitnym matematyku, przedwojennym komuniście, podczas wojny członku ZPP, wieloletnim posłem do Sejmu PRL, sekretarzu generalnym PAN... odnotowano w niedawno wydanym opracowaniu, że choć do końca życia był członkiem PZPR, to „nic z tego nie wynikało (może tylko łatwiej mu było przeprowadzić przez urzędy rzeczy, które uważał za ważne)”².

Mazur nie był jedyny w swej postawie. Niedługo po zmianie ustroju otrzymałem do wglądu opracowanie, wykonane przez znajomego, cenionego przeze mnie historyka partyjnego, gdzie występowało wiele nazwisk członków PZPR. Ponieważ była to jeszcze epoka przedkomputerowa, widziałem zmiany, jakich dokonano w maszynopisie w ostatniej chwili. Otóż przy prawie wszystkich nazwiskach dopisano lub doklejono informację, że dana osoba od dłuższego czasu odczuwała wątpliwości co do kierunku PZPR. Na początku parsknąłem śmiechem i pomyślałem, że jest to upiększanie *post mortem*, ale dziś mam wrażenie, iż rzeczywiście nie były to już osoby gotowe czegokolwiek bronić. Współczesne wyznania potwierdzają ich niewielką bojowość – nawet jeśli, jako czynione *ex post*, nie mogą być w pełni spolegliwe³. To z braku obrońców polityczne centrum zdecydowało odwołać się do wojska. Na partię jako taką, czyli na zbiór członków, z pewnością nie mogło liczyć. Jeśli PZPR była silna, to dlatego, że szeroko rozumiany aparat państwowy był jej posłuszny, a bliskość ZSRR stanowiła zrozumiałą dla wszystkich ostateczną gwarancję.

Ciekawe jest zagadnienie, w jakim stopniu PZPR była suwerenna w stosunku do KPZR i partii rządzących w obozie radzieckim (światowy ruch komunistyczny zostawmy już na boku, jako sam bardzo mało suwerenny w stosunku do KPZR). Tego pytania nie da się oczywiście oddzielić od analogicznego pytania odnoszącego się do Polski jako kraju.

To, że ruch komunistyczny w Polsce, w swej przedwojennej fazie wykończony przez Stalina, został odro-

dzony za sprawą Sowietów jest równie oczywiste i znane jak to, że w ostatecznym rachunku PZPR i PRL były zależne od KPZR i ZSRR. Stwierdzenie tych faktów jest banałem. Pewne niuanse warto wszakże rozważyć. Postawa wobec podległości i związane z nią realia zmieniały się w zależności od czasów, osobowości i sekretarza, także typu spraw. W kwestii kolektywizacji rolnictwa sprawia wrażenie, że po 1956 r. PZPR wręcz mydliła oczy towarzyszom radzieckim. Polski establishment parokrotnie bał się bratniej pomocy i usiłował hamować jej okazanie. Do rozpatrzenia pozostaje też dużo spraw z zakresu stosunków z innymi partiami komunistycznymi przy władzy. Rzeczywisty internacjonalizm nie był mocną stroną owych relacji.

Warto postawić pytanie, jakimi drogowskazami kierowała się PZPR. Odpowiedź, że ideologią, moim zdaniem nie ma sensu. Różne decyzje, a zwłaszcza odmowy zmian zarówno ustrojowych, jak choćby małej skali, kwalifikowano oczywiście jako sprzeczne z ideologią. Nawet stalinowski marksizm nie miał jednak wiele wspólnego z pragmatyką działania prowadzonego w swego czasu stworzonych ramach. Można wskazać dowolną liczbę partyjnych tekstów i działań bardzo dalekich od rzekomo świętych zasad. Może jakiś pracownicy partyjnych uczelni oraz instytutów najwyższego szczebla myśleli o ideologii – ale po 1956 r. nawet oni nie mogli być liczni.

Trudno w ogóle uwierzyć, by słuchacze wojewódzkich uniwersytetów marksizmu-leninizmu (WUML) wychodzili z zajęć ze znajomością jakiegokolwiek ideologii i, zwłaszcza z chęcią kierowania się nią. Do nadbudowy przywiązywano nadzwyczajną wagę – ale powierzchowną, jak do obrzędowości w kulcie religijnym. Ważna była polityka i kryterium polityczne, a nie ideologiczne. Gdy Henryk Wereszycki w 1973 r. pisał do Stefana Kieniewicza, że „chyba najniebezpieczniejszym objawem tego etapu polityki wobec nauki jest teraz zjawisko, o którym Pan też mi pisze, a mianowicie że kryteria decydujące to »postawa ideologiczna«, miał najpewniej w ogromnym stopniu rację – ale pod warunkiem zastąpienia słowa postawa „ideologiczna” przez „polityczna”. Sam Wereszycki to zresztą potwierdza w dalszych słowach: „Związany z tą polityką jest dobór kadry w szkołach wyższych. Kwalifikacje »ideologiczne« są ważniejsze niż naukowe. Zważywszy w dodatku, że te ideologiczne kwalifikacje w 90 proc. oznaczają dyskwalifikację pod względem moralnym, bo są wynikiem i dowodem oportunistu, fatalne skutki tego są oczywiste”⁴.

Myślę, że sygnalizowane zjawisko było z biegiem czasu wzmocnione przemianą pokoleniową. Mentalność już nie tylko przeciętnego członka partii, ale przeciętnego członka aparatu partyjnego zbliżała się do przeciętnej krajowej. Oczywiście, ci ludzie chcieli mieć władzę, czy, prościej, wybrali drogę pracy w urzędach właściwych dla aparatu władzy. Rozumieli, co wolno, a czego nie. Wiedzieli na co jest uczulony ZSRR, wobec którego miewali uczucia co najmniej

² Mariusz Urbanek, *Genialni. Lwowska szkoła matematyczna*, Iskry, Warszawa 2014, s. 241 (za Bogdanem Misiem).

³ Krzysztof Dąbek, *PZPR. Retrospektywny portret własny*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2006.

⁴ Stefan Kieniewicz - Henryk Wereszycki, *Korespondencja z lat 1947-1990*, wstęp i opracowanie Elżbieta Orman, IH PAN, Księgarnia Akademicka, Kraków 2013, s. 349 (list z 8 II 1973).

mieszane (frustracje, kompleksy zależności, niechęć). Wbrew pozorom nie były one tak odległe, jak się na ogół sądzi, od przeciętnych narodowych. Sytuacja sprzyjała temu, że w ramach owych przeciętnych do aparatu trafiali najczęściej gorsi, ale nie wiem, czy byli oni zupełnie wyjątkowi.

Poznałem kiedyś wiceministra kultury, który wyrażnie nie miał pojęcia o warszawskich Łazienkach. Nie jestem jednak pewien, czy w skali kraju był w tym niezwykły. Był chyba bardziej przeciętny niż – powiem nieśkromnie – ja ze swoją wiedzą o Łazienkach. Obawiam się też, że nie szedł aberracyjną drogą, gdy, zapewne sądząc wszystkich według siebie, zaproponował mi załatwienie magnetofonu (rzecz wówczas cenna!). Na szczęście był takim typem, że odrzuciłem skorzystanie z oferty, jeszcze nim przemyślałem sprawę.

Sądzę, że ludzie aparatu – ci lepsi w nim, i ci gorsi – z czasem nie byli już typami bojowników o sprawę. Pytanie zresztą, ilu było przekonanych bojowników, a ilu oportunistów wśród tych, którzy otaczali jądro establishmentu bliżej po wojnie. Może też niewielu. Ci późniejsi jednak różnili się od pierwszych tym, że nawet nie musieli walczyć o „sprawę”. Nic nie ryzykowali. Jeżeli walczyli, to o własne miejsce w establishmentie, a ryzykowali tylko nim. Ambicje mieli dosyć zwyczajne: niezłe życie, samochód... Nieraz chcieli mieć stopnie naukowe (choć nie wszystkich naukowców partyjnych dobrze tolerowali, zwłaszcza gdy ci wchodziłi do aparatu). Poza wszystkim stopień naukowy pozwalał na miękkie lądowanie w wypadku niepowodzenia w partii, rzadko zresztą zdarzającego się. Często cenili sobie jazdy na Zachód bardziej niż do krajów socjalistycznych ze Związkiem Radzieckim na czele – choć oczywiście nie odmawiali wakacji nad Morzem Czarnym. Partia dbała o ułatwienie im spełnienia takich marzeń (państwowe uznanie dyplomów szkół partyjnych, okresowe przesuwanie do prac interesujących z bytowego punktu widzenia).

Z naszego punktu widzenia to wszystko nie było złe. Lepiej było mieć do czynienia z karierowiczami i ludźmi o banalnych ambicjach niż z fanatykami. W szczególności, mimo wszystko, lepiej było znaleźć się we władzy bezpieczeniaka byle jakiego niż fanatyka. Dla ustroju to było jednak fatalne. Jeżeli jest zasadne widzenie komunizmu jako ruchu i ustroju „religiopodobnego”, to można przypomnieć, że Kościół w dziejach bywał mocniejszy, gdy wymagał od swoich ludzi ubóstwa, wyodrębnienia jako grupy działającej i poświęcenia w imię wiary. Zakony, wymagające od swoich członków ubóstwa, były socjotechnicznie mądre. Centrum PZPR zapomniało o tej zasadzie.

W miarę biegu czasu PZPR paradoksalnie stawała się emanacją narodu w większym stopniu niż powszechnie sądzono. Gdy znajomi mieli w latach 80. sprowadzić jakichś komunistów dla studentów cudzoziemskich, odbywających pewien kurs w Polsce (bo goście poprosili!), to musieli bardzo się natrudzić, by takich znaleźć – a jak ich sprowadzili, to tamci i tak mówili nie o wizji ustrojowej, lecz o geopolitycznych koniecznościach Polski. O jakiej zresztą wizji mogłoby mówić? Przecież za Gierka proponowano nam już w gruncie rzeczy poprawę bytu (do czasu!), małego fiata i Coca-Colę. Bardzo to było miłe (do czasu!), ale do tego nie trzeba było aż komunizmu.

W 1965 r. Jan Szczepański odnotował w swoim dzienniku rozmowę z Alicją Musiałową, przewodniczącą Ligi Kobiet: „Przebijało z jej słów zrozumienie, że ten model rosyjski ustroju socjalistycznego, mieszanica tradycji carskiej, prawosławnej, zacofania i nędzy rosyjskiej z ideami marksizmu, wymaga rewizji. Że właściwie nikt nie wie co to ma być ten socjalizm, bo przecież w praktyce stawiamy ludziom przed oczy ideał zamożności krajów rozwiniętego kapitalizmu”⁵. Kilkanaście lat później Gierek naśladował papieża w Nowej Hucie, gdy „wyciągał ręce gestem błogosławieństwa”⁶, a cały establishment więcej mówił o narodzie niż o socjalizmie.

Powtórzmy: do błogosławieństwa i idei narodowej komunizm nie był potrzebny. Ten system zbankrutował ideologicznie. Jak zauważył pewien Brazylijczyk w odniesieniu do lat sześćdziesiątych, „ten sam typ ludzki, który w Polsce był wygodnym, oportunistycznym aparatczykiem partii, w Brazylii nosił wojskowy mundur, zamykał szkolne gazetki, torturował studentów”⁷.

Bliską ideologii sprawą jest kwestia zróżnicowania dróg myślenia w ramach PZPR. W niektórych momentach odnosiło się wrażenie, że ta partia jest zjednoczona tylko z nazwy. Wciąż faktycznie było w niej ważne, kto się skąd wywodził – nawet jeśli niektórzy b. PPSowcy stali się *plus catholiques que le pape*. Leninowski zakaz frakcji, choć nominalnie przestrzegany, w praktyce też mało znaczył. Nic w tym dziwnego. Gdy w praktyce istnieje tylko jedna partia, to muszą się w niej skupić ludzie różnych poglądów, bo tylko tam mogą być aktywni. Nie było też przypadkiem, że to w ramach PZPR pojawili się „rewizjoniści” (jak ze szkół jezuickich nieraz wychodzili heretycy). Nieprzypadkowo w PZPR narodził się pozornie paradoksalny związek czerwieni z kolorem brązowym, a z innego krańca struktury ruch „poziomek”.

Kolejne zagadnienie, na które trzeba szukać odpowiedzi w badaniach nad PZPR, to pytanie w jakim stopniu partia była dla ludzi kanałem awansu społecznego. Mogła nim być samoistnie (jako wewnętrzna winda awansu) oraz jako wsparcie w awansie pozapartyjnym. Trzeba zapytać, w jakim stopniu przynależność partyjna była wręcz konieczna dla objęcia wielu funkcji pozapartyjnych, a w jakim zwiększała statystyczne szanse ich objęcia i w ogóle zaistnienia (choćby przez uczestnictwo w zebraniach partyjnych w miejscu pracy).

PZPR służyła awansowi ludzi. Nie był to kanał jedyne, ale bardzo istotny. Zdumiewa, jak wielu generałów pochodziło ze wsi lub z małych miasteczek; przypuszczam, że w większości byli oni członkami partii. Różne świadectwa (nie znam systematycznych badań) wskazują, jak wielki procent funkcjonariuszy partyjnych pochodził z niżej usytuowanych grup społecznych. Nieraz zdradzało to nawet ich zachowanie. Jan Szczepański zanotował *Ćpropos* gen. Moczara: „Obserwowanie Moczarów jest pasjonujące: jak z prostych ludzi z rodzin robotniczych tworzy się snobująca się elita, kupująca

⁵ Jan Szczepański, *Dzienniki z lat 1945 - 1968*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Daniel Kadłubiec, Ustroń 2013, s. 244 (zapis pod datą 6 III 1965).

⁶ Stefan Kieniewicz - Henryk Wereszycki, op. cit., s. 485 (list Henryka Wereszyckiego z dn. 2 VIII 1979).

⁷ Artur Domosławski, *Gorączka latynoamerykańska*, Świat Książki, Warszawa 2004, s. 91.

stare meble, obrazy, zapraszająca literatów i plastyków /przyjaźnią się z Dunikowskim, [Jerzym] Szaniawskim i in./, kupująca najlepsze gatunki francuskich koniaków i trunków itp.⁸. Z kolei Mieczysław Rakowski z myślą o towarzyszach usytuowanych niżej w hierarchii partyjnej opisał, jak to delegaci traktują zjazd PZPR jako wielką fetę i okazję do sfotografowania się z przywódcami – ale nie na tyle wielką, by się dobrze umyć: „Ze sprawozdania komisji mandatowej wynika, że największą grupę delegatów stanowią robotnicy (na 1411 - 924). Można ich łatwo rozpoznać zarówno po twarzach, jak i ubiorze. Szczególnie wyróżniają się górnicy. Najciekawsze są przerwy w obradach. Delegaci tłoczą się przy bufetach oraz przy ważnych towarzyszach i gdy napatoczy się fotoreporter, to natychmiast tworzą grupę i proszą, by zrobił im zdjęcie. Widać, że dla wielu z nich przyjazd do Warszawy i możliwość choćby otarcia się o wysoko postawionych towarzyszy jest wielkim przeżyciem. Przykro to powiedzieć, ale wrażliwy nos z łatwością wyczuje, że zużycie mydła na głowę delegata nie jest chyba wysokie⁹”.

Osobną sprawą był awans materialny następujący poprzez mechanizmy PZPR lub dzięki przynależności do PZPR (od możliwości zajęcia dobrych materialnie stanowisk poczynając, a na sławetnych daczach i dostępie do rzadkich dóbr bez konieczności dawania łapówek kończąc). Bardzo ważne były profity niepieniężne, większa łatwość dostępu do władz oraz instytucji czy ludzi. Także korzyści nominalnie niepieniężne – jak talony na dobra, bądź lepsze wczasy. Znam nawet wypadek podniesienia przez władze partyjne kwestii wysokości zagranicznego stypendium dla historyka „zakolegowanego” z aparatem partyjnym – z motywacją, że on nie może otrzymywać od francuskich partnerów mniej niż koledzy bezpartyjni. Lojalnie muszę jednak przyznać, że znam też wypowiedzi, akurat w sferze teatrów, gdzie ludzie władni w tych sprawach prawie dosłownie odpowiadali niektórym sfrustrowanym partyjnym aktorom, że przynależność do partii nie może być usprawiedliwieniem dla beztalencja.

Ciekawa jest kwestia kastowej (parakastowej) struktury społeczeństwa w związku z funkcjonowaniem partii oraz kastowości struktury samej partii. Oczywiście granice nie przebiegały pomiędzy członkami partii a bezpartyjnymi. Raczej to były chyba koncentryczne kręgi rozmieszczenia ludzi w stopniowo zmniejszającej się/zwiększającej się odległości od centrum establishmentu. Członek PZPR miał jednak statystycznie większą szansę znaleźć się w bliskim kręgu. Nadto można chyba mówić o mocnej granicy pomiędzy kręgami bliskimi centrum – członkami „partii wewnętrznej” (Orwell) a społeczeństwem. Pytanie wszakże, jakie były źródła dopływu ludzi do owej wyższej kasty; jakieś musiały być, bowiem samoreprodukcja by nie wystarczyła. Trzeba zapytać także o to, czy były wypadki wypadnięcia z wyższej kasty. Należałoby się przyjrzeć, w jakim stopniu ta kasta była rzeczywiście oddzielona (z kim się żenili/wychodzili za mąż „oni” oraz ich dzieci, gdzie spędzali wakacje, czy razem się bawili, gdzie mieszkali, do jakich szkół wysyłali dzieci, czy udzielali sobie pomocy i wsparcia w potrzebie, gdzie się leczyli, w ja-

kim stopniu przemieszczali się pomiędzy instytucjami partyjnymi oraz państwowymi w trakcie kariery zawodowej, czy całe rodziny krążyły w orbicie instytucji partyjnych bądź szczególnie ważnych dla partii instytucji państwowych?).

Wszystko to mogło ewoluować w czasie. Pozory mogą mylić. Nawet jeśli aparat bawił się na balach sylwestrowych w KC, to podobno nie były to fascynujące bale, a niejeden z ich uczestników wyrwał się na inne. Z kolei przywileje kasty bywały rozszerzane na inne grupy, by je kooptować (np. mechanizm przydzielania talonów na samochody czy rozszerzanie uprawnień do Lecznicy Ministerstwa Zdrowia na pewne kategorie zawodowe). Z kolei związki towarzyskie w ramach aparatu mogły być związkami „z ograniczoną odpowiedzialnością” – trwającymi do czasu, gdy dana osoba była dobrze notowana na wyższych szczeblach.

Oprócz kwestii realnego dystansu pomiędzy aparatem partyjnym a resztą społeczeństwa, można zadać pytanie o stosunki wewnątrz aparatu partyjnego. Podejrzewam, że tam też były jakieś kasty lub podkasty. Nie wiem, czy wszyscy aparatczycy mogli łatwo mieć kontakt z sekretarzami. Były funkcjonariusz partii powiedział mi (już po wypadnięciu z gry!), że ludzie z zewnątrz nie wyobrażali sobie sytuacji pracowników KC – oddzielonych nie tylko od ulicy, ale też od piętra gabinetów sekretarzy.

Warto postawić pytanie o to, jak zapewniano realizację kierowniczej roli partii. W wielu materiałach partyjnych pojawia się wątek, że partia nie powinna zastępować administracji. Obiegowe powiedzonko mówiło: „Śpij spokojnie, rząd rządzi, partia czuwa”. Częstotliwość przypominania, że partia nie powinna wyřęczać administracji, dowodnie jednak świadczyła, iż w praktyce ten podział był trudny, a w niektórych instytucjach pozorny (MO, SB, czy też GZP WP, który funkcjonował na prawach wydziału KC). Podejrzewam, że kierownictwo partyjne zapewniano przez odpowiednie obsadzenie instytucji niepartyjnych i kontakt ich szefów ze strukturą władzy PZPR. Za Gierka mówiło się o PZPR „Związek Dyrektorów i Administratorów”. Teatrami, nad którymi trochę pracowałem, aparat partyjny rządził przez kontakt z dyrektorami, a nie poprzez miejscowe POP, tam akurat nieliczne i najczęściej mało znaczące. Na uniwersytecie lub w PAN też widziałem bardziej wpływ partii niż członków partii rekrutujących się z danych instytucji nauki.

Sprawa układała się odmiennie w instytucjach różnego typu, podobnie jak sama sprawa upartyjnienia. Za Gomułki i za Gierka w komendzie powiatowej MO ponoć sprzątaczką mogła jeszcze być bezpartyjna, a w wojewódzkiej nawet ona już nie. Na uczelniach dbano, by głosowania w senatach uczelnianych mogły przejść po myśli władz siłami członków partii. Podejrzewam jednak, że nawet w komendzie wojewódzkiej MO partia rządziła nie tyle przez działanie masy członków, pewno nawet nie rękami lokalnego sekretarza, a z pewnością nie przez partyjność sprzątarek, ile przez podległość komendanta, członka partii, I sekretarzowi komitetu wojewódzkiego i uczestnictwu tegoż komendanta w egzekutywie KW z jednej strony, zaś przez podległość MSW, dobrze

⁸ Jan Szczepański, op. cit., s. 158 (zapis pod datą 28 IX 1962).

⁹ Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958 - 1962*, Iskry, Warszawa 1998, s. 94 (zapis pod datą 10 marca 1959 r.).

przecież utrzymanemu w ręku przez PZPR, z drugiej. Oczywiście zakłady przemysłowe, zwłaszcza duże, miały swoją specyfikę w zakresie kierownictwa partyjnego, w pewnym stopniu już zresztą zbadaną przez kolegów.

Kto był ważniejszy na co dzień? Struktura partyjna czy administracja państwa oraz władze poszczególnych instytucji? To najpewniej zależało od czasów i *casusu*. Przy ministrze obrony, który zawsze był członkiem Biura Politycznego, kierownik Wydziału Administracyjnego KC nie miał zapewne wiele do powiedzenia w sprawach wojska. W wypadku MSW to już zależało chyba od postaci konkretnego ministra. Czy to Rokossowski, czy Moczar, byli niewątpliwie ważniejsi od kierownika wydziału. W wypadku ministra spraw zagranicznych oraz kierownika Wydziału Zagranicznego KC „ucierał” się najpewniej podział kompetencji. W wypadku ministrów resortów zajmujących się „nadbudową”, ich siła wobec aparatu KC była chyba mała. Trzeba wszakże pamiętać, że tacy ministrowie bądź szefowie instytucji wysokiego szczebla mogli mieć osobiste związki z aparatem, wywodząc się z niego, mieć perspektywę powrotu do aparatu itd. Nieraz aparat państwowy występował też jako agenda wykonawcza, obsługa partii w wykonywaniu funkcji kierowniczych.

Trzeba pamiętać, że decyzje w PRL się „uzgadniało”. W takiej procedurze kierownicy spoza centrum partyjnego mogli mieć coś do powiedzenia. Kwestia przedstawiała się rozmaicie, w zależności od typu sprawy. Prześledzenie trybu podejmowania decyzji w PRL w poszczególnych sektorach życia publicznego i za kolejnych I sekretarzy byłoby bardzo ważnym zagadnieniem badawczym. Zarówno decyzji podejmowanych na najwyższym szczeblu, poczynając od uzgadnianych z Moskwą, przez te podejmowane przez wysokie gremia, po podejmowane przez niższe szczeble, relatywnie samodzielnie – nawet jeśli też z myśleniem o poglądach towarzyszy radzieckich, poglądach hierarchów partyjnych oraz imponderabiliach ustroju w tle. Przy całej potężności aparatu KC zdumiewa wszakże, jak wielu spraw „oni” jednak nie mogli załatwić. Jak powiedział pewien funkcjonariusz partyjny mojemu znajomemu, który usiłował z jego pomocą załatwić sobie mieszkanie: „Ludzie z zewnątrz przeceniają nasze możliwości”. Zdumiewa, jak niezdolna do działania bywała PZPR w większych i największych sprawach. Gdy PRL zsuwała się po równi pochyłej w drugiej połowie lat 70. oraz w latach 1980-1981, wydawało się, że decyzyjne gremia partii są sparaliżowane. Po wprowadzeniu dobrze przygotowanego stanu wojennego chodziła mi po głowie obserwacja, że gdyby establishment włożył tyle pracy – efektywnej pracy – w naprawę sytuacji w Polsce, ile włożył w zorganizowanie stanu wojennego, to pewno nie odczułby potrzeby wprowadzenia go.

Należałoby także pochylić się nad wielkim pytaniem, w jakim stopniu władza PZPR naprawdę obejmowała Polskę, a w jakich sferach były to pozory, podczas gdy podskórnie życie płynęło (prawie) swoją drogą? Niejeden z nas po uczestnictwie w jakiejś akademii szedł dalej, gdzie chciał – prawda, że przy znaczących ograniczeniach wyboru. Nie zapomnę, jak na korytarzu własnego bloku zobaczyłem sąsiadkę wracającą

z pochodni pierwszomajowej z czerwoną szturmówką. Nie byłem walczącym antykomunistą, ale musiałem chyba dostać w tym momencie wytrzeszczu oczu, bowiem sąsiadka odczuła potrzebę wytłumaczenia się. „Kupiłam sobie materiał na czerwony żakiet. Jak pan myśli – mówiła z pytaniem w głosie – czy z tego będzie ładna podszewka?”

Ostatnią, tu wspomnianą sprawą, choć z pewnością nie ostatnią w wypadku systematycznego badania, byłyby kontrprodukcyjne elementy w działaniach PZPR (a raczej jej kierownictwa). Nie można sterować wszystkim – i to „ręcznie”. Nie można zbierać tylu informacji o wszystkim, ile zbierano, by nie doprowadzić do „zatkania się” systemu. Nie można stać za każdym posunięciem i firmować każdej decyzji, bo wtedy każdy, nawet odcinkowy protest musi się zmienić w protest przeciw systemowi w całości oraz przeciw najwyższym decydentom. Nie można tak skonstruować systemu, by sygnały zwrotne nie napływały automatycznie, a trzeba było ich szukać – co robiono efektywnie albo nie. Nie można zajmować się dosłownie wszystkim i czuwać nad wszystkim.

Pozwolę sobie na drobną ilustrację ze wspomnień osobistych. W 1979 r. odbywał się okresowy zjazd historyków polskich w Katowicach. Byłem wtedy – zbyteczne podkreślać – odpowiednio młodszy niż dziś. Moi koledzy zostali ulokowani w akademikach, a ja w pojedynczym pokoju luksusowego hotelu. Pomyślałem sobie, że pewno pomyłono mnie z ojcem, historykiem, który, gdyby przyjechał, z uwagi na wiek i pozycję zostałby oczywiście odpowiednio dobrze zakwaterowany. Nie był to jednak dla mnie wielki problem. Przespałem się i wróciłem do domu. Przez następne kilkadziesiąt lat oczywiście nawet nie pomyślałem o tym epizodzie. Niedawno koledzy przynieśli mi jednak listę warszawskich uczestników zjazdu, przewidzianych przez SB do ulokowania w pokojach z „wyposażeniem operacyjnym”. Zobaczyłem tam siebie na pierwszym miejscu (!). Doprawdy nie miałem zasług usprawiedliwiających aż taki zaszczyt. Gdy to przeczytałem, przyszedł mi do głowy stary dowcip. Rząd Franciszka Józefa znalazł się w opałach finansowych i zdecydował się poprosić o pomoc – powiedzmy – Rotszylda. Minister spraw wewnętrznych wprowadzając bankiera na audiencję do cesarza szepnął mu, że prosi go przy okazji, by zwrócił uwagę na swego Icka, bo on przestaje z anarchistami – co może zaszkodzić stosunkom rządu z finansjerą. Na to bankier odwrócił się ze słowami: „Nie będzie pieniędzy!”. Przerażony minister zapytał, dlaczego. Na to bankier: „Jeżeli to państwo boi się nawet mego Icka, to nie mogę mu pożyczyć pieniędzy!”. Zatem jeżeli komunistyczne państwo odczuwało potrzebę podsłuchiwania nawet mnie, nie będącego żadnym znaczącym opozycjonistą, śpiącego grzecznie w hotelowym łóżku, to znaczy, że przestało odróżniać rzeczy ważne od nieważnych. Nie mogło już mieć głowy do szukania wyjścia z trudnej sytuacji. Samo się zadławiło nadmiarem rzeczy do trawienia, zaś para poszła w gwizdek.

ANDRZEJ GĄSZCZOŁOWSKI

MARCELI KOSMAN

O GENERALE JARUZELSKIM

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza chlubi się szkołą historyczną, której twórcami i filarami w drugiej połowie XX wieku byli uczeni wielkiej miary. Henryk Łowmiański, Gerard Labuda, Jerzy Topolski, Antoni Czubiński to sławy, których nazwiska wypisane są złotymi zgłoskami na kartach księgi honorowej poznawczej nauki historycznej. Ich spuścizna ma wymiar ponadczasowy, jest wzorem inspirującym i drogowskazem dla współczesnych historyków.

Obecnie według wszelkich standardów dorobku naukowo-badawczego, walorów warsztatu akademickiego, pryncypialności etycznej, jakości pisarstwa do owej czołówki zalicza się jako utalentowany uczeń i równy im kontynuator profesor Marcelei Kosman. Taka ocena w jubileuszowym roku 75-lecia profesora oddaje mu należne uznanie i zasłużone dystynkcje.

Profesora poznałem w 2003 roku, pod wpływem jednej z rozmów z generałem Wojciechem Jaruzelskim, który nawiązał do poświęconej mu książki pt. *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci* pióra Marcelego Kosmana. Wkrótce dzięki profesorowi Czesławowi Mojsiewiczowi doszło do spotkania zapoznawczego. Profesor wręczył mi egzemplarz wspomnianej książki, którą po przeczytaniu z uznaniem zrecenzowałem – dołączając uwagi sugerujące pewne poprawki w materii terminologii i specyfiki języka wojskowo-politycznego. Znaleźliśmy wspólnotę poglądów i zbieżność zainteresowań. Domyślałem się, że jak przystało na badacza współczesności, dla profesora moje doświadczenia związane z aktywnym uczestnictwem w życiu politycznym, w tym bliskie kontakty z **Generałem**, a także trwające od 1965 roku bliskie, przyjacielskie więzi z Mieczysławem F. Rakowskim mogły być interesującym źródłem informacji, opinii i komentarzy pochodzą-

cych z obserwacji uczestniczącej na niwie politycznej; niektóre z nich zostały wykorzystane przez profesora w jego publikacjach, przytaczane w odsyłaczach.

Dla mnie kontakty z profesorem okazały się owocujące, wywierały wpływ na moją aktywność publicystyczną na polu toczonych sporów i polemik z fałszerzami historii.

Mam dużą skalę porównawczą, znałem wiele osobistości polityki i świata nauki, wśród nich odnajduję profesora jako wysokiej rangi naukowca i obywatela myślącego kategoriami państwa i polskiego interesu narodowego. To historyk erudyta, dociekliwy, rzetelny badacz, a jako politolog pioniersko przeciera wiele nowych szlaków, jest twórcą i propagatorem dyscypliny naukowej: „kultura polityczna”, dyscypliny w teorii i praktyce niezwykle ważnej, ale niestety wulgaryzowanej, z najgorszymi tego skutkami dla wizerunku Polski i jakości obyczajów politycznych.

Obcując z profesorem i jego piśmiennictwem, z rosnącym zainteresowaniem starałem się zrozumieć jego motywację badawczą i zdecydowaną niezgodę na zachwaszczanie świadomości społecznej mitologią i fałszem. Pod tym względem – jako autor i wykładowca – pozostał pryncypialnym krytykiem rozplenionego wśród niemałej części środowiska „uczonych” historyków koniunkturalizmu, ich służebności motywowanej przeważnie niskimi pobudkami, a także zwyczajnych oportunistów i gorliwych neofitów. W przeciwieństwie do nich, intelektualnie nieprzekupny profesor Kosman wykazał siłę przekonań, hart ducha, wierność zasadom uczonemu z powołania.

Poprosiłem profesora o rozmowę na temat okoliczności i powodów, które sprawiły, że po kilkudziesięcioleciach skupienia na badaniu wieków dawnych, od kilkunastu lat poświęcił się historii najnowszej.

Z tekstu spisanego „ku pamięci”, dotąd niepublikowanego przytoczę większe fragmenty. Ich wartość upatruję w tym, że są szczerą retrospekcją drogi badacza, jego sposobu myślenia dyktowanego wrażliwością i poczuciem obywatelskiej powinności.

Cytuję głos autora:

„W stosunkowo długim czasie, który los dał mi jako badaczowi, przez cztery dziesięciolecia koncentrowałem się przede wszystkim na historii kultury czasów nowożytnych, a przy podsumowaniu tego etapu – w 2000r. – planowałem lata, które mi pozostały przeznaczyć na napisanie dawno zaplanowanej syntezy dziejów polskiej granicy wschodniej w minionym tysiącleciu, Stanowiłaby ona zwieńczenie moich prac analitycznych i monograficznych dotyczących w głównej mierze dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego i wspólnej – pełnej meandrów – przeszłości spod znaku Orła i Pogoni.

Współczesność jednak nakazała mi w ostatniej dekadzie podjąć tematy z nią związane i kierowała mną jako historykiem XVII-wieczne hasło *discernere vera ac falsa* (rozdzielać prawdę od fałszu) oraz poczucie obowiązku obywatelskiego, które nakazuje pracownikowi nauki dzielić się wynikami swych dociekań z zainteresowanymi nimi czytelnikami. Obserwacja propagandy politycznej po 1990 r., kiedy została zniesiona cenzura, pozwoliła dostrzec niebywałą ofensywę sił mieniących się jedynie słusznymi, roszczących sobie monopol na patriotyzm, dla których wkrótce naukową mitrę miał przynieść Instytut Pamięci Narodowej – instytucja kuriozalna już u początku o zadaniach prokuratorских, a także osławiona „polityka historyczna” jako instrument odwetu, mściwości i manipulacji”.

Jako doświadczony badacz wie, że „uderzenie w system poprzedni to nic nowego pod słońcem: *nihil novi sub sole*. Otóż po 1990 r. szukanie »kozła ofiarnego« dla frustracji społeczeństwa, zawiedzionego w swej masie oczekiwaniami na cudowne przemiany – w postaci stanu wojennego, operacji wyjątkowo dobrze przygotowanej i przeprowadzonej pośród ogólnej demoralizacji, która pozwoliła uniknąć krwawej konfrontacji i kolejnego bezsensownego powstania. Czyniono to, zgodnie z zasadami manipulacji faktami, w sposób cyniczny i bezwzględny, a jednak całe lata i do tej pory – mimo zaangażowania ogromnych środków – negatywne oceny 13 grudnia '81 r. nie przekraczają 50 proc. I dotyczą głównie »sędziów« z młodego pokolenia, którzy tamtych czasów nie poznali na własnej skórze. Mam tę satysfakcję, że wielu moich seminarzystów w ciągu dwóch lat przygotowania prac magisterskich zgłębiania materiałów źródłowych diametralnie zmieniło swój stosunek do wydarzeń sprzed trzech dziesięcioleci. Dla nauczyciela akademickiego to satysfakcja”.

W narastającej gorączce „polskiego piekła” profesor odsunął pracę nad ambitnie zamierzoną syntezą o polskiej granicy wschodniej – jak mówił – *ad calendas Graecas*, by zająć się kontrowersyjną, budzącą emocje współczesnością i postacią męża stanu poniewieranego przez nikczemników, który zajął za życia trwałe miejsce na kartach narodowych dziejów.

Ze szczególną predylekcją sięgano do stanu wojennego, nawet poważny autor nadał jednej ze swoich książek tytuł *Wojna polsko-jaruzelska* co wystarcza

za wszelki komentarz. Jeden z byłych premierów wygłosił w Davos na użytek zagranicy zdanie, iż „Polska Ludowa przyniosła krajowi więcej strat niż druga wojna światowa”. Jak groch o ścianę odbijały się felietony Aleksandra Małachowskiego, który przecież nie miałby osobiście szczególnych powodów do pozytywnych wypowiedzi o 13 grudnia.

W mej pamięci pozostają hasła rozwieszane w 1982 r., w rodzaju „Decha na trumnę dla Wojciecha” czy „Dokąd ten ślepiec nas zaprowadzi”, a także telefony, jakie otrzymywał wówczas jeden z najznakomitszych historyków polskich Henryk Łowmiański, po swojej wypowiedzi telewizyjnej uzasadniającej wprowadzenie stanu wojennego: „Dla decyzji Generała Wojciecha Jaruzelskiego nie było alternatywny”. O reakcji wulgarnych prymitywów na wyważoną opinię wielkiego humanisty nie zapomniałem, kiedy po dwudziestu latach przystępowałem do pisania artykułów o stanie wojennym i książek o człowieku, który za jego wprowadzenie wziął na siebie odpowiedzialność. Napisanie ich poprzedziła skrupulatna kwerenda źródłowa oraz ocena materiałów prowadzona pod hasłem odróżniania ziarna od plew. Niestety przeważały – i mimo wszystko nadal tak jest owe *falsa*, ogłaszane na masową skalę, podczas gdy *vera* są publikowane w minimalnych nakładach. W moim podręcznym księgozbiore znalazły się takie materiały, jak nieocenione *Dzienniki polityczne* Mieczysława F. Rakowskiego w 10 tomach”.

Na tym etapie drogi badawczej i piśmiennictwa, jako pierwsza książkowa pozycja w 2003 r. ukazała się biografia *Wojciech Jaruzelski wobec wyzwań swoich czasów. O kulturze politycznej w Polsce przełomu tysiącleci* (s. 235).

Następnie w 2008 r. znacznie obszerniejsza książka (s. 456) *Los Generała. Wokół medialnego wizerunku Wojciecha Jaruzelskiego*. Wreszcie po pięciu latach, w roku wielkiego jubileuszu współtwórcy przemian ustrojowych oraz ich architekta po stronie ustępującej władzy, profesor zdecydował się napisać trzecią jego biografię w formie książki pozbawionej balastu rozbudowanych przypisów (zastąpionych przez kilkunastostronicowe informacje bibliograficzne), za to z bogatymi cytatami źródłowymi w tekście m. in. z wydanych niestety jedynie na Zchodzie, (we Francji, Niemczech i Włoszech) pamiętników Generała.

Wreszcie w tym porządku *Wojciech Jaruzelski mąż stanu w czasach przełomu* (Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2013, s. 227), to biografia wieńcząca cykl twórczy, całościowa, wyróżniająca się, merytoryczna, staranna, rzetelna w treści. Napisana literackim językiem, ale w pełni udokumentowana źródłowo, choć pozbawiona przypisów. Zastępuje je obszerny przegląd piśmiennictwa, doprowadzony do najnowszych publikacji.

Zebrałem (A.G) liczne pochlebne opinie czytelników, świadczące o satysfakcji pod wpływem jej lektury, podkreślające, że książkę czyta się niczym dobrze napisaną powieść – że autor, jako doświadczony pisarz, a zarazem znawca przeszłości i współczesności pisał ją z pełnym zaangażowaniem i z obiektywizmem, nie izolował swego bohatera od wydarzeń, w których przyszło Wojciechowi Jaruzelskiemu działać. Odwołuje się często do cytatów źródłowych, w tym do wspomnień Generała niepublikowanych w kraju, znanych z edy-

cji francuskiej, niemieckiej i włoskiej. Tekst składa się z dziesięciu rozdziałów: *W kręgu patriotycznych tradycji, Przedwczesna dorosłość, Droga do szlifów generalskich, W kręgu wielkiej polityki, W obliczu dramatycznej decyzji, Droga do Okrągłego Stołu, Prezydentura przelotu, Na „spokojnej” emeryturze, Mąż stanu i pisarz polityczny oraz Gdzie jest Generał?*

Autor dzieli biografię polityczną bohatera książki na trzy etapy: cezury między nimi stanowią daty 1981 i 1990. Píše m.in.: „Wojciech Jaruzelski zajął trwałe miejsce w historii, jest – jak już pisano przed laty – postacią na miarę szekspirowskich dramatów. Nic więc dziwnego, że stanowi obiekt napastliwości (i napaści!) ze strony ludzi małych i nikczemnych. Ale poświęcają mu uwagę również wybitni politycy i politolodzy”. Autor odcina się od jednostronnej i tendencyjnej propagandy politycznej, od barw skrajnych, w których przeważa czarna, demonizująca stan wojenny i jego twórcę, obfitująca w demagogiczne stwierdzenia, niewolne od fałszerstw i przeinaczeń. Zwraca na nie uwagę, jak również na opinie wypowiedziane przez ludzi złej woli. Wykazuje, że w miarę upływu czasu, kiedy wygasają emocje po kolejnych doświadczeniach historycznych, zbliża się pora, kiedy doceniona zostanie rola dziejowa Wielkiego Jubilatą w pokojowych przeobrażeniach w naszym kraju.

Na uwagę zasługuje również przedostatni rozdział, poświęcony mężowi stanu, pisarzowi politycznemu i nauczycielowi młodszych pokoleń Polaków.

Z racji mojej aktywności w Obywatelskim Ruchu Obrony Generała Wojciecha Jaruzelskiego – „Przeciw bezprawiu”, prezydent Aleksander Kwaśniewski powołał mnie do Komitetu Honorowego Jubileuszu 90-lecia Generała.

Egzemplarz tej wyróżniającej się dużą starannością edycji biografii na prośbę profesora, wręczyłem Generałowi podczas uroczystości jubileuszowych 6 lipca 2013 roku.

Generał wzruszony tym symbolicznym darem serdecznie podziękował autorowi i wydawcy.

Współbieżnie z tą, wieńczącą cykl książką powstał esej pt. *Mąż stanu i humanista* przeznaczony i zamieszczony w monumentalnej księdze jubileuszowej pt. *Wojciechowi Jaruzelskiemu – żołnierzowi i mężowi stanu* (s. 401–416), wydawnictwo Studio EMKA, Warszawa 2013. Komitet redakcyjny Jerzy J. Wiatr (przewodniczący) Andrzej Gąszczołowski, Andrzej Kurz, Gabriel Zmarliński.

Ogarniając myślą przywołany dorobek piśmienniczy, jego przesłanie ideowe, jakoś warsztatu historycznego – trzeba docenić niewątpliwą przewagę i wysoką lokatę w biografistyce poświęconej Wojciechowi Jaruzelskiemu, jedynej rzetelnej i prawdziwej biografii Generała. Dodam, że profesor Kosman swoim dziełem wysoko zawiesił poprzeczkę rzetelności, profesjonalizmu metodologicznego, znakomitej polszczyzny. Stworzył wzorzec, którego nie da się zbagatelizować czy lekceważąco obejść. Dla różnych, dotąd zuchwale poczynających sobie chałturzystów, producentów bibli jest to wyzwanie, kłopot i reprimenda.

Naszkicowany wywód godzi się zwieńczyć: dominującą konkluzją wszystkich publikacji profesora Kosmana o Wojciechu Jaruzelskim jest przekonująco dowiedziona teza, że Generał dobrze zasłużył się Ojczyźnie:

„W młodości był uczestnikiem wielkiej wojny, znał cenę przelanej krwi, toteż za wszelką cenę starał się uniknąć powtórki. I wyszedł ze zmagania zwycięsko”, a zatem „w kraju..., w którym usiłuje się krzewić kult (przegranych) powstań niezwykle szczęściem stało się, że w 1989 roku Wojciech Jaruzelski stał na jego czele”. To wielka pochwała, być może zwiastująca przyszłość, w której mądry sejm podejmie uchwałę z tradycyjną formułą: „Wojciech Jaruzelski dobrze zasłużył się Ojczyźnie”, czym symbolicznie wynagrodzi małoduszne, mściwe szyskany.

Na zakończenie, jako bezpośredni świadek potwierdzam, że generał Wojciech Jaruzelski wysoko cenił mądrość, prawość i odwagę profesora; odwzajemniał sympatię, był wdzięczny za obronę jego honoru i dobrego imienia w służbie Polsce. Dobitnym dowodem tego szacunku pozostaje adres generała do profesora, który z upoważnienia Wojciecha Jaruzelskiego miałem zaszczyt odczytać i wręczyć profesorowi w dniu 29 10 2011 roku w murach Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, podczas zgromadzenia uczonych i przyjaciół z okazji – wówczas 50. rocznicy pracy naukowej Marcelego Kosmana. List przyjęty został burzliwymi oklaskami dla adresata.

Przy niniejszym załączam jego kserokopię.

ANDRZEJ GĄSZCZOŁOWSKI



Józef Sękowski, *Exodus*

ANDRZEJ KURZ

„KUŹNICA” PRZY OKRĄGŁYM STOLE LEWICY

20 czerwca br. odbyło się spotkanie okrągłego stołu lewicy poświęcone lewicy polskiej i europejskiej wobec zmian społecznych, zwołane z inicjatywy Fundacji im. Kazimierza Kelles Krauza i Fundacji im. Fredricha Eberta. Wśród ok. 50 zaproszonych na nie przedstawicieli organizacji, środowisk i fundacji znalazł się i prezes „Kuźnicy”. Z upoważnienia Rady „Kuźnicy” przedstawił na nim następujące opinie:

1. Cieszymy się, że na niedawnym, zwołanym przez OPZZ spotkaniu partii i organizacji lewicy (na które „Kuźnica” nie była zaproszona) ustalono zgodnie, że konieczne dla skutecznego działania polskiej lewicy i wyłonienia wkrótce jej reprezentacji parlamentarnej jest dopuszczenie każdego, kto się za lewicę uznaje i ogłasza. I że na czele zespołu programowego tak rozumianej lewicy staje Barbara Nowacka.

Przypominamy, że podobną zasadę głosił, przygotowując ostatni Kongres Lewicy, Józef Oleksy. Ale po ciekawych i swobodnych obradach, w czasie których na temat wagi kultury dla społecznego rozwoju mówił także przedstawiciel „Kuźnicy”, skończyło się na pospiesznym uchwaleniu kilkunastu tez niby-programowych, wśród których sprawy wiedzy i edukacji znalazły się na poślednim miejscu, a o kulturze i uwarunkowaniach wszelkiego rozwoju przez kulturę właśnie w ogóle nie wspomniano.

2. Uważamy, że nie ma potrzeby, a przede wszystkim możliwości, w ciągu niewielu dni przedyskutowania znowu programu lewicy. Potrzeba tylko kilkunastu haseł programowych, atrakcyjnych medialnie i kilkuset rozpoznawalnych i także atrakcyjnych medialnie kandydatów ogólnopolskich i lokalnych. Warto przy tym pamiętać, że wyborca lewicowy ma prawo oczekiwać walorów i argumentów intelektualnych.

Treści dla tych haseł lewicy proponujemy szukać we wciąż ważnym i aktualnym, choć nigdy nie popularyzowanym, programie *Projekt dla Polski. Perspektywa lewicowa* Janusza Reykowskiego, Zdzisława Sadowskiego i Jerzego J. Wiatra oraz w dorobku myślowym wielkich autorytetów lewej strony. Szczególnie tych, jak Andrzej Walicki, Monika Płatek, Jan Widacki czy Andrzej Romanowski, którzy zazwyczaj publikują w „Zdaniu” i „Przełądzie”. A także idei czołowych publicystów lewicy z „Przełądu”, „Krytyki Politycznej” czy „Trybuny”.

Wśród haseł programowych powinny się znaleźć zasady współczesnego polskiego państwa opiekuńczego i państwa świeckiego, sprzeciw wobec mitu świętości własności prywatnej i spekulacyjnej reprivatyzacji, demaskowanie popularyzowanych w mediach postaw agresywnego egoizmu, a także hysterii wojennej i antyeuropejskiej. Musimy sprzeciwić się zwiększaniu wydatków budżetowych na zbrojenia kosztem wiedzy, edukacji i inicjatyw innowacyjnych. Nasze ha-

śla programowe muszą odświeżyć ideę silniejszej integracji Polski z Unią Europejską i NATO oraz podnieść sprawę związków polskiej lewicy z lewicą europejską i wykorzystania jej doświadczeń w wychodzeniu z własnych kryzysów.

3. Uważamy, że decydującą rekomendacją przy ustalaniu wspólnych list wyborczych lewicy spośród kandydatów zgłaszanych przez wszystkie środowiska i organizacje lewicy należy oddać w ręce niewielkiej grupy autorytetów. W takiej „radzie mędrców” powinni zasiadać: Aleksander Kwaśniewski, Włodzimierz Cimoszewicz i Krystyna Łybacka. Aleksander Kwaśniewski, dwukrotnie prezydent Rzeczypospolitej, pozostaje wciąż najbardziej szanowanym mężem stanu, współtwórcą Konstytucji RP i procesów wprowadzających Polskę do Unii Europejskiej i NATO, polityki dobrych stosunków z sąsiadami Polski, w tym z Rosją i Ukrainą.

4. Stoimy na stanowisku, że nie można tak rozumianej i w tym sensie nowej polskiej lewicy budować na odrzuceniu uczestnictwa w niej Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Uczestnictwa ważnego ze względów politycznych i organizacyjnych, choć formacji, która przegrała ostatnie wybory.

Zresztą także opinia „Kuźnicy” w ostatnich wyborach prezydenckich się nie potwierdziła, w przeciwieństwie do wyborów roku 2010. Wówczas zwyaliśmy, i to od początku kampanii wyborczej, do głosowania w pierwszej turze na kandydata SLD, a w drugiej na Bronisława Komorowskiego. W obecnych zajęliśmy podobne stanowisko, lecz wynik okazał się inny.

Uznajemy Bronisława Komorowskiego za prezydenta spokojnego i godnego, choć zupełnie niezdolnego do przyzwoitości wobec historycznego dorobku niepodległościowego polskiego socjalizmu oraz w ocenie społecznego i cywilizacyjnego rozwoju, który przyniosła Polska Ludowa, a także nierozumiejącego, że o współczesnej sile obronnej Polski stanowi jej miejsce i zobowiązania w NATO i Europie, a nie wydawanie na zbrojenia nadzwyczajnych środków, które powinny służyć rozwijaniu wiedzy, edukacji i innowacyjności.

„Kuźnica” wyrażała opinie, że kandydatem lewicy na prezydenta w ostatnich wyborach powinna być kobieta nie związana z SLD, np. Monika Płatek czy Barbara Nowacka, a gdyby to okazało się niemożliwe – Krystyna Łybacka. Poparliśmy kandydatkę zaproponowaną przez SLD. Nie rozumiemy, skąd się wzięła jej katastrofalna bierność i bezradność.

5. Dla starszego pokolenia lewicy, które stanowi większość, choć nie absolutną, w „Kuźnicy”, ogromną wagę ma walka o godność ludzi Polski Ludowej – dorobek ich pracy i trafność rozumienia polskiej racji stanu, zaangażowanie w polską drogę do socjalizmu. ■

STO LAT PRZECIWIW GŁUPOCIE

z prof. WŁADYSŁAWEM MARKIEWICZEM

rozmawiają Paweł Kozłowski i Jerzy Słabicki *

– Przechodzi pan zatem na emeryturę. Jak to jest, kiedy już się nic nie musi, ale też i nic już nie może?

– Prawdę mówiąc, ten okres zaliczam do najszcześniejszych w moim życiu.

– Warto długo żyć...

Nie doznałem ani jednej, dokładnie mówię, ani jednej przykrości dotyczącej mnie ze względu na dotychczasową działalność. Ani w PTS, ani w PAN, ani w Instytucie Zachodnim, ani na Uniwersytecie Poznańskim, ani Uniwersytecie Warszawskim. Nigdy nikt przeciwko mnie nie zgłaszał żadnych, nawet krytycznych uwag, nie mówiąc o zarzutach. Nie wiem, czy byłem wymieniany na tzw. listach Wildsteina. Co do tego nic nie wiem, ani się tym nie interesowałem, ale faktem jest, że mnie to nigdy bezpośrednio nie ugodziło. Propozycje pracy miałem od początku, w związku z powstawaniem prywatnych szkół, m.in. w Szkole Humanistycznej w Łowiczu, potem w Pułtusku przez kilka lat, potem bliższe już z Katowicami, do niedawna trwające. Nigdy, powtarzam, nie miałem żadnych kłopotów z tytułu działalności w latach poprzednich. Zyskałem oczywiście ogromnie dużo czasu. Nigdy w życiu tyle nie przeczytałem (...).

– Co Polska zyskała i czy coś straciła w wyniku ustrojowego przełomu?

– Myślę, że w tych kategoriach nie można tego typu wydarzeń historycznych omawiać, a tym bardziej oceniać. Zawsze przy każdych istotnych zmianach społecznych coś społeczeństwo zyskuje i coś traci. To jest

nieuniknione. Rzecz tylko w tym, żeby za dużo nie straciło i za mało nie zyskało. Dla Polski do tego właściwie sprowadza się cały problem: że nie zysaliśmy tego, co zyskać można było, a straciliśmy rzeczy, których nie należało tracić, które należało pielęgnować, zachować. I na tym polega całe nieszczęście tego kraju.

– Czy może pan to zilustrować jakimiś przykładami?

– Właściwie w każdej dziedzinie można by było takie przykłady przytoczyć. Weźmy sprawę kultury politycznej. Jak wiadomo, sam się przyczyniłem w jakimś stopniu do upowszechnienia tej kategorii analitycznej i od czasu, kiedy ukazał się mój artykuł o kulturze politycznej jako przedmiocie badań naukowych nastąpiła wręcz eksplozja tej problematyki w naukach społecznych, w historii, naukach prawnych, politologii, socjologii, w psychologii. W publicystyce to pojęcie było nawet nadużywane. O kulturze politycznej mówiono w dziedzinach zupełnie od polityki odległych, byle tylko tym pojęciem się posłużyć. Tymczasem to co zaczęło zachodzić rzeczywiście w dziedzinie kultury politycznej, było czymś przerażającym. Wiadomo, że jedną z dziedzin kultury politycznej jest sposób wzajemnego traktowania się przez przywódców politycznych. Taką miarodajną wskazówką poziomu kultury politycznej mogą być obrady parlamentu i innych kolektywnych ciał społecznych. Przecież to co zaczęło się dziać w sejmie, było jawnym zaprzeczeniem elementarnych zasad kultury politycznej. (...) Poza tym poziom prasy, radia i telewizji był zupełnie sprzeczny z tym, co się z nazwą „kultura polityczna” zwykle kojarzy. Tak zresztą jest nadal i można odnieść wrażenie, że to się nasiliło. W dziedzinie kultury politycznej nastąpił niebywały regres.

* Fragmenty wywiadu-rzeki, który ukaze się w Bibliotece „Kuźnicy” w 2016 roku.

Przede wszystkim jednak wskaźnikiem kultury politycznej jest zdolność rozumienia przez społeczeństwo, przez naród, tego co jest dla niego samego ważne i istotne, priorytetowe, jak to się – często nadużywając tego słowa – mówi. Gdy idzie o zdolność skalowania potrzeb i interesów, to nadal panuje w naszym społeczeństwie kompletny miszmasz. Nie ma żadnych myśli przewodnich. Innym wskaźnikiem postępu w dziedzinie kultury politycznej jest świeckość. U nas przecież nadal panuje w istocie rzeczy państwo co najmniej na wpół wyznaniowe. Można śmiało powiedzieć, że czegoś takiego, co w Polsce się dzieje, gdy idzie o pozycję Kościoła katolickiego, nie ma nigdzie w Europie. Każde, nawet najmniej istotne, najmniej ważne politycznie wydarzenie musi się zaczynać od kruchty, od kościoła i z kościołem kończyć. W sferze politycznej, życia politycznego, jesteśmy społeczeństwem zupełnie nierozgarniętym i żadna z partii politycznych, łącznie z socjaldemokracją, nie potrafi znaleźć jakiegoś wyjścia. A to dlatego że zmuszona jest do ustępstw, zwłaszcza na rzecz klerykałizmu. Lęk przed zarzutem o antyklerykalizm paraliżuje najrozsądniejszych ludzi z socjaldemokracji przed podjęciem jakichś działań reformatorskich z prawdziwego zdarzenia.

(...)

– **Czy podziela pan przekonanie, że wskaźnikiem kultury politycznej jest nie tylko sposób obejmowania władzy, ale przede wszystkim jej oddawania? W Polsce, naszym zdaniem, po 1990 roku wypada to fatalnie. Zawsze oddawano władzę z bólem. Kaczyński oddał władzę z bólem, uznał, że to jest rezultat spisku i to międzynarodowego. Miller też oddał władzę z bólem. Każdy. Olszewski z bólem, Wałęsa z bólem strasznym. Jaruzelski z ulgą. Jedyny!**

– Najtragiczniejsze jest to, że żadna z tych ekip (aż do wyborów z jesieni 2011 roku) nie powtórzyła wyniku wyborów w swojej kadencji. Żadna. Wszyscy po jednej kadencji odpadali. To znaczy, że coś jest nie w porządku w tym systemie społeczno-politycznym. Każda z tych ekip schodziła z poczuciem klęski, w dodatku niezastużonej. Podejrzewam, że z PO może być tak samo, symptomy już są. Pamiętam rozmowy z Jurkiem Wiatrem, który był ministrem oświaty w zwycięskim rządzie eseldowskim Włodzimierza Cimoszewicza, po inauguracji roku akademickiego w Pułtusku. Był absolutnie przekonany, że SLD zwycięstwo swoje potwierdzi w następnych wyborach. Sam kilka lat później uważałem, gdy dochodził do władzy Miller, że sytuacja była znakomita. Do pełnej władzy brakowało kilku procent. Potem wszystko zmarnowano. I przegrano, w dodatku w sposób fatalny. Bo gdyby to rzecz zależała od miniprocentów? Nie! Katastrofalnie! Nie mówiąc o ich poprzednikach, którzy wypadli jeszcze gorzej; partia, która rządzi krajem, znika z krajobrazu politycznego!

– **Wcześniej to samo stało się z Unią Wolności.**

– Oczywiście. Nikt dotąd nie przegrał z klasą. Nikt.

– **Czy można powiedzieć, używając pojęcia kultury politycznej w znaczeniu opisowym, tak jak pan to proponował, a nie wartościującym, że polska kultura polityczna demokracji, taka jaka jest teraz, definiuje demokrację jako system konfliktowy? Nie konsensualny, nie oparty na debacie, tylko na kon-**

fliście? To znaczy: muszę się przeciwstawić tamtemu, żeby samemu zaistnieć.

– Niekoniecznie musi to być przeciwstawienie się antagonistyczne, wrogie, ale w zasadzie wychodzi tak właśnie. Najlepszy dowód to przekształcenie się idei wspólnego frontu Platformy Obywatelskiej z PiS-em w zdecydowaną wrogość. Już nie było pomysłów na „dziubdzianie” się wzajemne tych dwóch partii, które się tak kochały, szanowały, ciągle się do siebie zbliżały i nagle okazuje się, że są sobie wręcz zdecydowanie wrogie. To chyba rzadki wypadek w historii, żeby partie idące do koalicji, z tak bliskiego wzajemnego miłowania się doszły do tak silnej wrogości.

– **Czy pan nie uważa, że polska polityka oparta jest na psychologii, a nie na ideach? Ktoś kogoś nie lubi, ulega resentymentom, hołduje stereotypom, jest owładnięty emocjami.**

– Ale właśnie myślenie stereotypami jest myśleniem ideami. Stereotypy przyjmują w rzeczywistości politycznej postać idei. Na tym polega nieszczęście Polski i Polaków, że pewne stereotypy stają się ideami. Polacy wierzą w stereotypy. Nikt tutaj nie kalkuluje, że warto byłoby uruchomić, upowszechnić jakiś stereotyp ze względu na jakiś określony cel. Nie. Tu się wierzy w stereotyp i przyjmuje się stereotyp jako element programów politycznych. Ten biedny Kaczyński wierzy w to, że rzeczywiście Smoleńsk spowodowali Rosjanie. A Balcerowicz wierzy w swoją wizję kapitalizmu.

– **Mówił pan już, że Polacy nie są w stanie zdefiniować tego co ważne. To przecież oznacza, że w ramach swojej kultury politycznej nie jesteśmy w stanie dopracować się tego, co się nazywa racją stanu. Tego nie można zrobić na uniwersytecie, to jest proces kulturowy. To co potrafią Francuzi, Niemcy, Amerykanie ...**

– Tu trafiacie w sedno. Zarzut pod adresem Polaków, perfidny, oszukańczy skądinąd, że nie są zdolni do rządzenia, że jest to kraj nie posiadający zdolności sprawowania w rozsądny sposób władzy, ma pewne potwierdzenie. To nie jest wymyślony zarzut. To jest zarzut, który ma podłoże w psychologii masowej.

– **Dlaczego w takim razie uważa go pan za perfidny, skoro jest prawdziwy?**

– Na przykład polityka niemiecka po pierwszej wojnie światowej, po powstaniu Polski była wyraźnie perfidna, ze względu właśnie na ten zarzut, że to polskie państwo i tak się nie utrzyma. Przy czym oni o tyle się mylili, że zanim Polska zginęła, to zginęli Czesi, którym nikt nigdy nie zarzucał, że są niezdolni do samorządzenia. Nie mówiąc o tym, że sami Niemcy też się okazali niezdolni do zachowania swojej III Rzeszy i nawet jakiejś porządnej II Rzeszy. Czym są teraz Niemcy jako struktura geopolityczna? Przecież nie przypominają niczego ze swojej własnej historii. Perfidia polegała na tym, że był to zarzut oszukańczy ze względu na wybór tylko Polski. A takimi krajami okazały się zresztą wszystkie mniejsze państwa, które stały się republikami radzieckimi. Okazały się przeciwieństwami historycznymi, będącymi w historii najwzroślejszymi 20 lat. Łotwa, Estonia, nie mówiąc o Jugosławii.

– **Można by to doprecyzować następująco: Polacy, mówiąc łagodnie, mają kłopot z rządem, ale zarazem są takim narodem, który dąży i musi**

mieć swoje państwo. Jesteśmy narodem państwowym, ale zarazem bezrządnym.

– Historia nas na to skazała. O naszym braku zdolności do samorządzenia można wiele mówić i trzeba bez przerwy o tym mówić. Nie tylko jako o niesprawiedliwym zarzucie, bo skierowanym tylko do nas, a nie wielu innych narodów i państw, które znajdowały się w sytuacji podobnej i nawet wcześniej okazały się niezdolne do życia niż my. Ale faktem jest, że historia skazała nas na to, by rozróżnić w sposób bardzo pryncypialny między narodem a państwem. Pojęcie narodu jest w polskim, nawet potocznym języku, czymś wysoko wartościowanym, czymś – powiedziałbym – nabożnym nawet. Naród można śmiało pisać przez duże N, ale państwa nikt nie napisze przez duże P. Państwo jest czymś, czym można pogardzać, co należy nawet zwalczać, np. w czasie zaborów. Patriotycznym obowiązkiem Polaka było zwalczać istniejące państwo, czy to austriackie, czy niemieckie, czy – zwłaszcza – rosyjskie. To z jednej strony. A z drugiej strony, Polacy dążyli do uzyskania niepodległego państwa i to niepodległe państwo w swoich marzeniach, w swoich dążeniach, ambicjach, upiększyli ponad rozsądną miarę. Wydawało się, że jak Polska powstanie jako państwo niezależne, niezawisłe, niepodległe, to będzie państwem idealnym. Tak przecież wszyscy Polacy wierzyli przed I wojną światową. Potem, w czasie II wojny światowej to się powtórzyło. Znowu to przekonanie, że teraz, po doświadczeniach II wojny Polska powstanie jako państwo niepodległe i rzeczywiście idealne. Nikt nie myślał wtedy o tym, że jest to państwo – tak czy owak – zawsze zacofane. Historycznie nie dorastające do poziomu państw zachodnich.

– Z jakich cech się bierze takie idealizowanie państwowości?

– To wynikało z położenia Polaków. Jak się żyło pod zaborem, a miało się poczucie przynależności do narodu polskiego ze względu na język, na kulturę, na obyczaje, to musiało się nienawidzić to istniejące państwo, a jednocześnie marzyło się o idealnym, wspaniałym państwie polskim w przyszłości.

– Przed zaborami mieliśmy własne państwo i to całkiem spore. Czy jest możliwe, żeby tak radykalnie zapomnieć o tamtej państwowości?

– Wśród historyków i w ogóle intelektualistów polskich od zarania toczył się spór o to, jakim było to niepodległe państwo przed rozbiorem i kto się przyczynił do rozbiorów. Tu jedynym ratunkiem okazuje się szkoła krakowska, skądinąd obrzydliwa, bo zbyt uległa wobec zaborców. Miała świętą rację. Uważała, że sami oddaliśmy niepodległą Polskę, olbrzymie państwo, co prawda od początku zbudowane na nie najsilniejszych fundamentach, ale oddaliśmy. Zamiast umocnić te fundamenty, tośmy je rozwalili i oddali właściwie za bezcen trzem zaborcom. Nadal oczywiście pielęgnowaliśmy, z konieczności, dla utrzymania tożsamości narodowej, mitologię narodową. Mitologię o tym, jacy wspaniali jesteśmy jako Polacy, gdy tymczasem – mój Boże – niko go ten naród wielkiego dla historii ludzkości nie wydał, tak Bogiem a prawdą.

– Kilka wielkich nazwisk jest.

– Jakich?

– **Chopin, Kopernik ...**

– Niemcy nie mogą pogodzić się z tym, ponieważ słusznie, że Kopernik był Polakiem, bo nie był Pola-

kiem w sensie narodowym, takim, jak to się dzisiaj rozumie.

– To jest teza bliska powiedzeniu, że ciąży nad nami fatum i nie jesteśmy w stanie się spod tego fatum wyzwolić. Nie potrafimy sobie radzić z własną państwowością, nie wydaliśmy nikogo ani nic ważnego, co miałoby wpływ na otoczenie i na Europę ... W sensie kulturowym kraj peryferyjny? Jak to uporządkować?

Są tu pewne cechy, powiedziałbym, niedefiniowalne. Bo rzeczywiście jest coś zdumiewającego w postawie naszego narodu. Raz, że w tej sytuacji powstał naród liczebnie dość silny. W końcu po dziś dzień jesteśmy narodem prawie czterdziestomilionowym. Czyli nie takim znowu małym, jak na Europę. Jesteśmy szóstym chyba narodem pod względem liczebności w Europie, mimo że miał za sobą przeszłość skazującą go na wynarodowienie kompletne. Moim zdaniem, jeszcze jedna generacja pod zaborami i nie odnaleźlibyśmy się jako Polacy. Wnioskuje to na przykład ze wspomnień polskich wiarusów w pruskiej armii, którzy walczyli z Rosjanami w I wojnie światowej i którzy po raz pierwszy znaleźli się w Polsce pod zaborem rosyjskim. Oni absolutnie nie mogli się odnaleźć wśród rodaków z Kongresówki, zwłaszcza na wsi. Dla nich to byli obcy. Niemcy, ze względu na obyczajowość, zwyczaje, sposób życia, wydawali się im daleko bliżsi niż ci Polacy żyjący w słomą krytych chałupach bez ubikacji. To było coś dla wielkopolskiego żołnierza z armii pruskiej nie do pojęcia. Ale jednocześnie znajdowali ten sam język, tę samą wiarę, ten sam obyczaj. Stąd ten swoisty cud zjednoczenia w okresie niespełna dwudziestolecia II Rzeczypospolitej. To rzeczywiście był swoisty cud, edukacyjny zwłaszcza. Szkole międzywojennej trzeba budować pomniki, póki nas jeszcze na to stać.

– Póki co budujemy pomniki komu innemu.

– I na tym polega głupota, w sensie kultury politycznej.

– W dwudziestoleciu, niezależnie od tego, jak to się skończyło, bardzo ważną funkcję jednoczącą pełniło wojsko. Mówimy o poborze.

– Oczywiście, wojsko pełniło ogromną cywilizacyjną rolę. Mój starszy brat był fryzjerem w 60. Pułku Piechoty w Ostrowie Wielkopolskim, mam więc wiadomości „z pierwszej ręki”. Przychodzili chłopcy z Polesia, z Wołynia, którzy po raz pierwszy z elektrycznością zetknęli się w koszarach. Nasi wielkopolscy chłopcy napuszczali ich, żeby gasili ręcznikami albo prześcierałami elektryczne żarówki w sali sypialnej. Robili sobie kawały. Duża część, większość młodzieży wiejskiej w Polsce, nawet w Wielkopolsce, do czasu wybuchu wojny nie jechała ani razu koleją. Zapóźnienie cywilizacyjne było przeogromne. A mimo wszystko nasz naród, przy wszystkich różnicach, jakoś potrafił się zebrać, zjednoczyć, potrafił myśleć tak samo. Tu dużą rolę odegrała też religia. Specyficzny sposób traktowania katolicyzmu przez Polaków. Bez względu na zabór, to był czynnik ogromnie scalający. Jednocześnie, niestety, pozostawiał społeczeństwo na poziomie przedoświeceniowym. Wiara w cuda, która po dziś dzień się utrzymuje, pochodzi z tego okresu.

Kłopoty z narodem polskim zaczęły się w momencie, kiedy zaczął się kształtować nowoczesny naród, czyli pod koniec XIX wieku. Bo wcześniej przecież po-

trafiliśmy być narodem wieloetnicznym i wielowyznaniowym. Człowiek wyznający prawosławie, był traktowany jako Polak. Później już nie. Później był traktowany jako podejrzany Polak.

– **W gruncie rzeczy rozmawiamy teraz o tożsamości narodowej, o tym jacy jesteśmy. Niektórzy socjologowie są zdania, że podstawą formowania się tożsamości narodowej były powstania. Jeden z nich kiedyś napisał, że krew scalała naród polski. Co pan o tym sądzi?**

– Stwierdzał fakt powszechnie znany i trudno z nim w ogóle polemizować. Jest to przekleństwo naszych dziejów, wyolbrzymienie roli powstań narodowych jako czynników narodziwczyczych i narodospójnych. Były narody, które równie dobrze przechowały swoją tożsamość kulturową bez powstań. Najlepszy przykład – Czesi. Ale inne narody też. Litwini o tyle uczestniczyli w powstaniach, o ile czuli się Polakami, a nie Litwinami. Antyrosyjskość była wśród Litwinów nawet chyba mniejsza niż wśród Polaków. Łotysze, Estończycy, małe nacje przechowały swoją tożsamość mimo niesprzyjających wydawać by się mogło okoliczności. Ale w każdym razie bez powstań krwawych. I bezsensownych. Bo ja nie miałbym nic przeciwko historii Polski jako historii powstań, gdyby za tymi powstaniami tkwiła jakaś myśl przewodnia, sensowna, dająca w przypadku powodzenia jakieś rozwiązanie. Przecież żadne z tych powstań, z wyjątkiem wielkopolskiego, nie miało szans. Żadne. Nawet kościuszkowskie nie miało widoków na sukces.

– **A po powstaniu zwykle było gorzej niż przed wybuchem.**

– No tak. A czym było powstanie styczniowe? Coś zupełnie beznadziejnego w sensie koncepcji prawno-ustrojowej czy polityczno-państwowej. Po prostu prowadzenie ludzi na rzeź. A jednocześnie jak upiękzone m.in. w koncepcjach Piłsudskiego, który był zarażony ideologią tego powstania. Urodził się cztery lata po jego klęsce. Po latach sprawa się powtórzyła w postaci powstania warszawskiego. Nie mogę pojąć, że nadal nie przyjmuje się jego oceny z punktu widzenia kultury politycznej. Jak można nie widzieć tego, co nawet postrzegali dowódcy wojskowi związani z sanacją: Władysław Anders, Kazimierz Sosnkowski, że jest to przedsięwzięcie absolutnie irracjonalne pod każdym względem: militarnym, politycznym, wychowawczo-politycznym, czyli bezsensowne.

– **Gdzie są źródła takiej postawy?**

– Przypuszczam, że jako czynnika rozwoju historycznego nie uwzględniamy dostatecznie tego, co się nazywa zdrowym chłopskim rozsądkiem. Albo inaczej – jego przeciwieństwem, czyli zwykłej głupoty. Rola głupoty w historii Polski jest ogromna, w szczególności zaś w polityce. Zresztą gdy się rozpatruje historię świata – ileż razy spotykamy się z objawami ewidentnej głupoty?! Nie tylko z brakiem wizji, perspektyw, rozumu, ale brakiem elementarnej wiedzy, wyobraźni, z tym właśnie, co nazywamy w życiu potocznym głupotą. To w życiu politycznym Polski zawsze było obecne i zawsze miało olbrzymie znaczenie. Miało i ma – oczywiście głupota. Jak zakwalifikujecie polityków z PiS, którzy przypisują Rosji przeprowadzenie katastrofy smoleńskiej? No jak? Czy można inaczej rozumieć zarzut, że Putin umyślił sobie zabić Lecha

Kaczyńskiego wraz z 95 współpasażerami? Kim są osoby stawiające tego rodzaju nonsensowny zarzut? Otóż ewidentnymi głupcami!

– **Z psychologicznego punktu widzenia teoria o zamachu może być próbą oddalenia od siebie poczucia własnej odpowiedzialności za to, co się stało? Postępując się słowami Kurskiego: ciemny lud to kupi. Natomiast politycy, którzy ją demonstrują, ciemni nie są.**

– Kiedy ja twierdzę, że niestety ciemni są. Po prostu ciemni i owładnięci obsesjami.

Weźmy inny przykład. Jak ocenić decyzję metropolity krakowskiego w związku z pochówkiem Lecha Kaczyńskiego? Toż to przejaw niewiarygodnej głupoty pochować go na Wawelu w dodatku z żoną, która była przyjemną sympatyczną panią, ale nikim wielkim na miarę, dajmy na to, świętej Jadwigi.

– **A może jednak powody są ideowe, polityczne? Może szło o to, żeby zbudować jakąś tezę?**

– Nie. Gdyby to wchodziło w rachubę, to metropolita by to wykorzystał i tym by swój postępek wytłumaczył. On tymczasem się nie tłumaczy.

(...)

– **Czy położenie Polski jest przekleństwem? Czy to może jest atut?**

– Sądzę, że nie ma narodu, który mógłby jednoznacznie powiedzieć o swoim położeniu geograficznym, że jest przekleństwem. Ale też nie ma takiego narodu, który mógłby uznać swoje terytorium rodzime jako idealne. Czynnikiem geograficznym działa, jak wiadomo, ambiwalentnie. W zależności od tego, jaką się prowadzi politykę, jaką się przyjmuje rację stanu. Weźmy Finlandię. To jest klasyczny przykład narodu, który ma położenie fatalne. Przez całe wieki był ciągle skleszczony między Rosją i Szwecją, kiedyś państwem ogromnie zaborczym. A jednak potrafił w ciągu dziejów wypracować sobie taką rację stanu, dzięki której stała się Finlandia nawet często przykładem dla reszty świata. Potrafi współdziałać z sąsiadami, znakomicie to robi. Podobno także za cenę daleko idących ustępstw. Długoletni prezydent Kekkonen był, jak mówią, agentem radzieckiej NKWD. A teraz wyobraźcie sobie Finlandię, która wprowadza lustrację! Lustracja jest ewidentnym przykładem pomieszania pojęć w sferze kultury politycznej. Przecież Okrągły Stół był spotkaniem dwóch stron: rządzącej i opozycyjnej. Uznano to za osiągnięcie kulturowo-polityczne o olbrzymich wymiarach i skutkach wręcz nieprawdopodobnych, nawet dla Europy i świata. Tak twierdzili przywódcy „Solidarności”, po czym obejmując władzę wprowadzili zasadę lustracji. Bez sensu przy Okrągłym Stołu. Okrągły Stół polegał wszak na tym, że obie strony ustąpiły z czegoś i na coś się wzajemnie zgodziły. I dzięki temu powstał projekt ustanowienia rządów niesocjalistycznych, pochodzących z powszechnych wyborów, w socjalistycznym nadal państwie.

(...)

– **A nie sądzi pan, że Okrągły Stół był przypadkiem? Ze względu na konstelację kadrową? Że gdyby nie Jaruzelski i kilku jego ludzi nie byłoby Okrągłego Stołu?**

– Jest to możliwe. Przypuszczam, że „zaraził się” tym Kiszczak. I całe szczęście. Oczywiście nigdy go nikt nie ogłosił wielkim herosem w historii, ale moim zdaniem

rola tego człowieka jest dużo ważniejsza niż to się chce uznać. Tych dwóch: Jaruzelskiego i Kiszczaka.

– **Czyli polityk z szefem tajnej policji? Wojskowy z policjantem, też zresztą wojskowym.**

– Oczywiście to był przypadek.

– **Z pełnym przekonaniem uważamy, że jest to z punktu widzenia kultury politycznej największe wydarzenie Polski od czasu odzyskania niepodległości.**

– Tak, tak. Ja jestem absolutnie tego samego zdania. Jest to wydarzenie zdumiewające. Do niego trzeba by odnosić wszystkie aktualne działania, przyrównywać, jak się one mają do Okrągłego Stołu.

– (...) **Większość z tych, którzy dzisiaj rządzą, zakwestionowała Okrągły Stół. Od prezydenta począwszy. SLD też właściwie zakwestionował. Nie bronił, podlizywał się drugiej stronie, zamiast uważać się za równorzędnych partnerów.**

– Podstawowy błąd Kwaśniewskiego polega na tym, że mówił wprost, iż dla niego jest najważniejsze uznanie „Solidarności”, bo to ona wygrała. Ale wygrała dzięki Okrągłemu Stółowi. Pamiętam swoją rozmowę z Bronkiem Geremkiem, jak miał wyjechać na stypendium do Stanów Zjednoczonych. Mówiłem już o tym. Rozmawialiśmy o jego wyjeździe, ale też o zupełnie innych sprawach, o tym, co będzie z tym krajem. Mówiłem wtedy tak: wasza opozycyjna działalność do niczego nie doprowadzi, bo nie macie siły. Wojsko, policja, służby itd. są w łapach rządzących. To znaczy, że możliwość zmiany systemu w Polsce jest tylko jedna: że dogadają się obie strony, że w samej partii znajdują się siły, które spowodują odejście od dotychczasowych metod, a wy wtedy ze swoimi propozycjami możecie znaleźć w nich partnera. On jednak twierdził, że sama opozycja spowoduje sytuację, że system padnie. Ale chyba to ja miałem rację.

– (...) **Wracając do kategorii kultury politycznej. Czy da się porównać w kategoriach kultury politycznej polskie ostatnie 20 lat i ostatnie 20 lat przed Okrągłym Stołem? Czy też cezura 1989 roku sprawia, że takie porównania są bez sensu?**

One zawsze mają sens, bo kultura polityczna jest jednak procesem historycznym, ciągłym. Nie można sobie wyobrazić tego, że właśnie w sferze kultury politycznej następuje tzw. przełom, o którym można było sądzić, że nastąpił w związku z Okrągłym Stołem. Nie nastąpił. Po dziś dzień nie rozumiem, jak do tego doszło! Bo to się nie mieści w doświadczeniach historii i tradycji całego rozwoju kultury politycznej w Polsce.

(...)

– **O jakich autorach piszących o polityce, o filozofii politycznej może pan powiedzieć: ja podobnie myślę.**

– Mam takich swoich wręcz ulubieńców. Na pierwszym miejscu przedstawiłbym z „Przeglądu” Bronisława Łagowskiego. Bardzo wysoko sobie cenię Andrzeja Romanowskiego. Bardzo cenię również z „Przeglądu” Jana Widackiego. Przede wszystkim postawiłbym jednak Andrzeja Walickiego. Bardzo wysoko cenię Modzelewskiego. Cenię Tadeusza Kowalika i Wnuka – Lipińskiego, niestety już nieżyjących. Cenię niezwykłe Andrzeja Werblana, piszącego pod pseudonimami. Rozumiem się wyjątkowo dobrze z Jerzym Wiatrem. Cenię Jerzego Jedlickiego i Jerzego Szackiego. Gro-

no podobnie myślących jest dużo obszerniejsze. Jeśli idzie o typowych publicystów, to bliski mi jest, zwłaszcza w sprawach kultury niemieckiej i w ogóle problematyki niemieckiej, Adam Krzemiński. Oczywiście Ludwik Stomma i Daniel Passent należą do moich szczególnie ulubionych autorów. Nie znajduję niczego, w czym bym się z nimi nie zgadzał. Podoba mi się mimo wszystko Tomasz Lis. Do najlepszych komentatorów politycznych w Polsce zaliczyłbym naczelnego „Przeglądu” Jerzego Domańskiego.

– **Jedną z podstaw polskiej racji stanu po 1945 roku było niedopuszczenie do sytuacji, w której społeczeństwo zostałoby narażone na tak skrajne niebezpieczeństwa jak w przypadku np. powstania warszawskiego i bezsensownie ginęło.**

To nie było konsekwentne, bo było przecież strzelanie do ludzi i były ofiary. Sądzymy jednak, że bardziej w wyniku poczucia bezradności władzy i jej strachu niż przyjęcia terroru jako ustrojowej metody „rozwiązywania” problemów, jak to jest w dyktaturze. W systemie autorytarnym tego typu przemoc jest raczej przypadkowa.

– Ja m.in. wysoko cenię Stanisława Kanię za to, że nie dopuścił, żeby władza strzelała do robotników. I rzeczywiście dotrzymał słowa.

– **Nie wiemy, na ile to jest jego zasługa. Wtedy już nie można było strzelać do robotników.**

– Co to znaczy nie można było?

– **W momencie, kiedy ujawnione zostały postulaty gdańskie, tzn. kiedy okazało się, że nie ma tam nic burzącego, co najwyżej mało rozumnego i zupełnie nierealistycznego, nie było żadnego pretekstu, który by mógł posłużyć za alibi dla rozwiązania siłowego. Z tego punktu widzenia cenić należy Gierka. W kolejnej ekipie także nie było ludzi, którzy by się zdecydowali na tak drastyczny krok. Władza dobrze wiedziała, że tak już nie można. A Kania wyglądał na dość bezwolnego, jego wydarzenia niosły.**

– Ale potem przyszedł stan wojenny.

– **Stan wojenny to było ratowanie przed kłopotem. Sam pan o tym mówił. To nie był akt terroru wobec społeczeństwa, władza nie miała zamiaru strzelać.**

– No tak.

(...)

– **Wierzy pan w postęp w historii politycznej? Czy my się czegoś uczyliśmy? Czy w ostatnich 25 latach widzi pan jakiś proces, który przynosiłby nadzieję? Czy jest postęp w kulturze politycznej?**

– Wydaje mi się, że jednak jest. To państwo – bałaganiarskie, nieprzejrzyste, chaotyczne, jednak jest państwem dobrym. Jest to państwo porządne. I ja się w tym państwie dobrze czuję. Nieźle się czułem, nawet przejściowo bardzo dobrze się czułem, w Polsce Ludowej. Już byłem na tyle doświadczony przed II wojną światową, że Polski międzywojennej nie aprobowałem bezkrytycznie. Choć byłem oczywiście tej mojej ojczyźnie bez reszty oddany. Ale wydaje mi się, że obecna Polska jest najlepszą z tych przeze mnie przeżytych. Mimo wszystko.

Z prof. WŁADYSŁAWEM MARKIEWICZEM rozmawiali Paweł Kozłowski i Jerzy Ślabicki

ANDRZEJ WALICKI

O REFORMIE NAUKI

Reprezentuję humanistykę, a więc będę się wypowiadał tylko w jej imieniu. Nie sądzę, aby można było wyobrazić sobie normalną, pełnowartościową kulturę narodową bez nauk humanistycznych w języku ojczystym – bez historiografii, literaturoznawstwa i językoznawstwa, bez własnej recepcji światowej myśli filozoficznej (np. „polski Hegel”, „polski Kant”, itd.). W obecnym zaś kształcie biurokratyczno-rynkowa reforma grozi po prostu katastrofą, za której skutki ktoś kiedyś pociągnie nas wszystkich – i polityków i naukowców – do moralnej i historycznej odpowiedzialności.

Mówię o tym nie tylko dlatego, że katastrofalne skutki reformy, a także związane z nią fundamentalne nieporozumienia widoczne są coraz bardziej, ale również dlatego, że coraz wyraźniejsza jest w tej sprawie polaryzacja stanowisk oraz arogancka agresywność zwolenników dokonanych zmian. Przykładem tego jest np. opublikowany w „Gazecie Wyborczej” (11-12 X 2014, s. 31) artykuł dwóch profesorów nauk ścisłych pod obraźliwym dla środowiska naukowego tytułem *Profesor kopiuj-wklej*, mającym wskazywać, że pisanie książek to rodzaj bułmelancntwa, ponieważ „każdy (rzekomo) może wydać pół tysiąca stron w czarnym półskórku ze złotymi literami i z „zarysem” lub „podstawami” w „tytule”. Obrońcy pisania książek w języku polskim, w tym zwłaszcza „niebieskie ptaki z PAN”, które „nikogo nie uczą, nikt im nic nie zleca”, są w istocie obrażonymi na rzeczywistość leniemi, chcącymi „zrobić karierę w nauce i się nie narobić”.

Formułując tak radykalną tezę, autorzy nie uwzględniają swoistych nauk humanistycznych i społecznych, które z nielicznymi wyjątkami są przecież nieodłączną częścią kultur narodowych i wraz z nimi znikną, nie przetrwają bowiem na łamach trudno dostępnych w ich krajach macierzystych renomowanych czasopism anglojęzycznych (mających przecież swoją własną politykę wydawniczą).

Przejdę zatem do zasygnalizowania w maksymalnym skrócie najbardziej istotnych zarzutów pod adresem reformy, a właściwie destruktywnej rewolucji, wprowadzonej od paru już lat w naszym kraju. A więc:

- zastąpienie normalnego, rozłożonego na etapy procesu środowiskowej oceny dzieł biurokratyczną oceną „punktową”, zwiększającą kolosalnie sprawozdawczość (prof. M. Karwat na łamach „Przeglądu” mówił, że zajmuje mu to 80 proc. czasu!) i rezygnuje z ocen merytorycznych – większość prac nieprzeznaczona jest w ogóle do czytania, ale poddana tylko ocenie „biblio metrycznej”;

- system grantów, uniemożliwiający twórcze realizowanie zadań, wymagający bowiem określenia z góry terminu zakończenia badań i zamkniętego na ostatni guzik, sztywnego kosztorysu;

- absurdalny wymóg „cytowalności”, nieuwzględniający zjawiska cytowań negatywnych i sprzyjający korupcji (cytowanie się wzajemne, ignorowanie meritum

zagadnienie na rzecz cytowania autorów mogących się odwzajemnić);

- rażąca ignorancja reformatorów w kwestii systemów, które chcą niby naśladować – np. nieporozumienie co do amerykańskiego ponoć systemu studiów podyplomowych, które u nas są masówką, a w USA mają charakter elitarny (liczba *postgraduate students*, czyli studiujących po naszym licencjacie jest mniej więcej taka, jak liczba profesorów), a więc zajęcia w gronach zaledwie parosobowych, za to częste osobiste kontakty z każdym studentem z osobna;

- i wreszcie wspomniany postulat transplantacji nauki polskiej na łamy renomowanych czasopism anglojęzycznych – w zastosowaniu do humanistyki absurdalny, niewykonalny i głęboko szkodliwy.

Zabierałem głos na te tematy od samego początku, wykorzystując moje wieloletnie doświadczenia na uczelniach anglojęzycznych. Jako emeryt nie zdawałem sobie jednak sprawy z niektórych swoiście polskich politycznych i akademickich uwarunkowań procesów, o których mowa. Zwrócił mi na nie uwagę artykuł prof. Wojciecha Sady, opublikowany niedawno na łamach „Przeglądu Filozoficznego” (2014, nr 1). Ukazał on ścisły związek, w naszych warunkach, omawianej reformy ze zjawiskiem patologicznego umasowienia studiów, a więc niebywałego wzrostu liczby uczelni i pracowników nauki. Jest to, jak wykazał autor, rezultatem świadomych działań „klasy politycznej”, która likwidując honoraria autorskie (oraz punktowanie niezależnych recenzji) spowodowała – w imię upowszechnienia wyższych studiów – potworny przerost „chałtury dydaktycznej” oraz zjawisko degradującego przetłoczenia uczelni, wywołane stosowaniem nieznannej w innych krajach zasady, że „pieniądze idą za studentem”. Reakcją na to zjawisko był system mający dyscyplinować środowisko uczelniane przez narzucanie mu drakońskiej, biurokratycznej kontroli, okazał się on jednak przeciwny. Skoro bowiem pracowników szkolnictwa wyższego zrobiło się o wiele za dużo, to nie należało chyba zmuszać ich systemem punktacji do regularnego publikowania możliwie największej ilości prac mało komu potrzebnych, nieczytanych nawet przez sprawujących kontrolę urzędników. Przeciwnie: należało stworzyć system niewymagający (na wzór USA, gdzie tylko od pracowników *research universities* wymaga się pracy naukowej) obowiązkowego łączenia dydaktyki z rozwijaniem nauki, promujący jedynie wydawanie prac najbardziej wartościowych (a jest ich w polskiej humanistyce niemało), będących owocem autentycznego, autorskiego zaangażowania.

Nie mam recepty na to, co należy zrobić w tej sytuacji, wiem jednak na pewno, że należy rozpocząć marsz w przeciwnym niż dotąd kierunku.

ANDRZEJ WALICKI

(wypowiedź na spotkaniu w Sejmie, 23 X 2014 r.)

MYŚLICIEL OKRUTNY AŻ DO BÓLU

Trzykrotnym uderzeniem młota w kowadło prezes Andrzej Kurz otwarł 29 września 2015 r. uroczyste posiedzenie „Kuźnicy” poświęcone wręczeniu Honorowej Nagrody „Kowadła” prof. Bronisławowi Łagowskiemu. Ten wybitny filozof i historyk idei ukończył studia filozoficzne w 1961 r. na Uniwersytecie Warszawskim, ale doktorat obronił już na Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie rozprawy o myśl Stanisława Brzozowskiego, a habilitował się w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie przedstawiając, obok znacznego dorobku naukowego, pracę

i prasie codziennej. Profesor jest stałym felietonistą „Przeglądu”, a dwa tomy jego felietonów, czy raczej krótkich esejów – *Duch i bezdusznosc II Rzeczypospolitej* oraz *Symbole pożarły rzeczywistość* wyszły w Bibliotece „Kuźnicy”.

Choć czasach PRL-u był jednym z nielicznych naukowców, którym – pomimo spełnienia wszelkich wymogów, a nawet członkostwa w PZPR zablokowano nominację na stanowisko docenta, a w swoich zajęciach ze studentami dalece odchodził od pseudomarksistowskich



Fot. Andrzej Głuc

habilitacyjną poświęconą filozofii politycznej Maurycego Mochnackiego. Te obie postacie do dziś są w wielu przypadkach wyznacznikami kierunku jego myślenia i – co nie mniej ważne – jego postawy jako publicyisty.

Przez blisko czterdzieści lat (1962–2000) był pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jagiellońskiego, w tym m.in. zastępcą dyrektora Instytutu Filozofii do spraw dydaktyki. W ostatnim dziesięcioleciu swej kariery związał się z Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie, gdzie był kierownikiem Katedry Filozofii Społecznej. Przez dwie kadencje był Członkiem Komitetu Nauk Filozoficznych PAN.

Obok prac ściśle naukowych jest Łagowski autorem wielu pozycji książkowych – ściśle naukowych i pozycji eseistycznych, głośnego *Listu otwartego do trzydziestolatków* oraz licznych esejów prezentowanych m.in. na łamach pism „Twórczość”, „Res Publica Nowa”, „Przegląd Polityczny” czy „Zdanie”), felietonów i wiadomości drukowanych w tygodnikach opiniotwórczych

schematów, nie był bezkrytycznym zwolennikiem opozycji czy „Solidarności”. W szczególności piętnował i piętnuje dziś próby wywierania środowiskowej presji moralnej w celu wymuszenia konformistycznej jednomyślności i eliminowania opinii niezależnych. Tę wyjątkowość myśli Łagowskiego docenił na przykład Andrzej Walicki, który nazwał go „najbystrzejszym analitykiem PRL”, a prezes „Kuźnicy” Andrzej Kurz, w swym wprowadzeniu do uroczystości wręczenia „Kowadła”, „myślicielem okrutnym aż do bólu”!

Laudację ku czci laureata kuźniczańskiej nagrody wygłosił Adam Komorowski. Po ciekawym wystąpieniu samego profesora przyszedł moment na, jak to w „Kuźnicy” bywa, nieskrępowaną wymianę zdań i poglądów, a tradycyjną „część artystyczną” zechciał nam zapewnić z nagłą wywołany do dzieła Jan Güntner prezentując wspaniały poemacik Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Wjazd na Wielorybie*, tak pełen aluzji do dzisiejszości... (F.R.)

ADAM KOMOROWSKI

REALISTA–MARZYCIEL

Mandat do wygłoszenia laudacji tegorocznego laureata „Kowadła” mam bardzo skromny. Być może fakt, że prawdopodobnie jestem jedną z osób, które znają profesora Bronisława Łagowskiego długo (na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku należeliśmy do POP przy Instytucie Filozofii UJ), jest jakimś usprawiedliwieniem. Zdarzyło mi się prowadzić ćwiczenia do wykładów wówczas doktora Łagowskiego. Była to tzw. usługówka, czyli zajęcia z *Elementów filozofii marksistowskiej* dla studentów filologii. Tak się bodajże przedmiot nazywał, nie jestem pewien, ponieważ jego nazwa ulegała fluktuacjom. Staraliśmy się studentom (a były to w większości ładne studentki) przekazać nieco wiedzy o historii filozofii. Nie byliśmy żadnymi antymarksistowskimi konspiratorami. Nasz stosunek do marksizmu był poważny, czyli uważaliśmy, że student nie mający pojęcia o Platonie, Kartezjuszu czy Heglu nic z marksizmu pojąć nie może. Ponieważ czasu było mało, kończyło się zazwyczaj na Heglu. Pragnę podkreślić, że taka praktyka była wtedy powszechna i nie miało to nic wspólnego z subwersją. Z perspektywy czasu można powiedzieć, że dzięki tym zajęciom studenci zdobywali jakąś elementarną wiedzę z historii filozofii i było to bezpieczniejsze, dla prowadzących zajęcia, aniżeli analizowanie tekstów marksistowskich. Zwalniało od podejrzeń o rewizjonizm, dogmatyzm itp... Ot taki sobie paradoks indotkrynacji w PRL, w którą byliśmy uwikłani.

Z laureatem pracowałem stosunkowo krótko, ale jego teksty czytałem od blisko półwiecza i tym, co mnie w miarę upływu lat coraz bardziej zadziwia, to stałość poglądów. Będąc świadkiem niezwykle lekkości, z jaką ludzie (a intelektualiści szczególnie) i instytucje w naszym kraju dokonują ideowych konwersji, podlegają intelektualnym modom i zachowaniom stadnym, istnienie osoby, która pogłębia własne poglądy, jest zjawiskiem zdumiewającym i działa krzepiąco. Parafrazując Władysława Broniewskiego można powiedzieć, że posród nawały medialnej konnicy i politycznych poprawności obowiązujących matryc myślenia, Łagowski stoi jak opoka. Jego teksty z „Tygodnika Powszechnego”, „Zdania”, książka o Maurycym Mochnackim i felietony w „Przeglądzie”, z których powstawały kolejne książki, składają się na konsekwentnie rozwijaną całość i zachowują aktualność.

Ta aktualność tekstów Łagowskiego jest niepokojąca, ponieważ wskazuje na przygodny wobec cywilizacyjnych uwikłań charakter myślenia w Polsce i o Polsce i świecie. Suwerenność, demokracja, transformacja nie miały tak wielkiego wpływu na emancypację samowiedzy narodowej, utwierdzenia się narodu w swoim jestestwie (by odwołać się do pojęć myślicieli bliskich

Łagowskiemu – Mochnackiego i Brzozowskiego), jak sobie imaginujemy. Obiektywne rozpoznanie rzeczywistości nadal nie jest uważane za siłę polityczną i warunek skutecznego działania. Problem nie polega tylko na hegemonii irredentystycznych, powstańczych narracji, które są dziedzictwem jedynie części Polaków. Najogólniej można powiedzieć, że jest to niechęć do relatywistycznego traktowania środków politycznego działania stanowiącego regułę w tych krajach, do których wspólnoty aspirujemy. W hegemonicznej narracji akces i rządanie uznania uzasadniamy moralnymi przewagami, martyrologią, wiktymologią itp... Dlatego w polskim dyskursie największe namiętności budzi wszystko to, co poddaje te moralne przewagi (domnimane lub nie) w wątpliwość, np. polski antysemityzm. We wzorcowym dyskursie Polacy powinni występować jako jedyni nieantysemici na świecie.

Konsekwencją owego rozpanoszenia się moralistyk w funkcji racji politycznej jest stygmatyzacja i kryminalizacja każdego, kto odważa się polityczną rolę moralności związać z rzeczywistością, jej historycznymi konfiguracjami. Na przykład z sytuacją, w której kolaboracja może być skuteczniejszym środkiem obrony i rozwoju narodowego jestestwa aniżeli walka. Odrzucenie związków historycznych konfiguracji z relatywizmem środków politycznego działania jest dla Łagowskiego brakiem realizmu. Czyli odejściem od prawdy. W polemice z Leszkiem Kołakowskim Łagowski wskazywał, że mit nie może być ważniejszy od prawdy. Tyrania moralistyk, zmuszając nas do traktowania środków politycznego działania jako celów, *de facto* likwiduje obszar tego co polityczne. Kiedy mit zastępuje realne dziedzictwo, dyskusja o celach i wartościach staje się niemożliwa. Kiedy nie chcemy znać prawdy lub przyjmujemy ją jedynie po mitycznej obróbce (jak „Solidarność” czy „żołnierzy wyklętych”) musimy zrezygnować z narodowej samowiedzy i w konsekwencji możliwości dokonania tej cywilizacyjnej emancypacji, do której aspirujemy.

U Łagowskiego związek prawdy z działaniem ma charakter źródłowy. Bez próby racjonalnego ogarnięcia rzeczywistości skuteczne działanie jest niemożliwe. Mity są tylko przeszkodą. W tym miejscu pozostaje wierny swojemu największemu mistrzowi, Michelowi de Montaigne. Nieustannie, piórem zaostrozonym u Montaigne’a nakłuwam balony mitów, stereotypów, mistyfikacji i komunatów. Nie ma innego wyjścia, bowiem, jak napisał: „W wymiarze społecznym to co się mówi, wpływa na to, co się myśli, a co się myśli, powoduje to, co się robi. W takiej kolejności”.

Dlatego mam pewne wątpliwości wobec traktowania sporej części pisarstwa laureata jako felietonistyki. Jego związki z wybitnymi polskimi felietonistami są pozorne. Felieton w zasadzie nie wykracza poza pewien zestaw opinii. Można powiedzieć, że felietonista w zasadzie pozostaje niewolnikiem świata, w którym posiadanie i wygłaszanie opinii jest obowiązujące. Tymczasem on nie wygłasza opinii. Łagowski ma poglądy i stara się opisać świat, zwłaszcza ten nam najbliższy, Polskę. Jak słusznie zauważył Andrzej Walicki: „Tytuł felietonisty zdaje się niezaspakajać aspiracji Bronisława Łagowskiego. Jest on krytycznym intelektualistą, jakich nie mamy zbyt wielu”. I tak należy go czytać.

Jak zauważył Walter Benjamin, opinie są towarem, są nie tyle wyrazem samodzielnego myślenia, ale towarem czerpanym z zasobów tego co gotowe, są z rynku i dla rynku. Opinie przejmujemy, nawet jeśli uważamy je za własne, nie mają wiele wspólnego z rozpoznaniem rzeczywistości, próbą jej ogarnięcia. Wybór opinii na jakiś temat jest nie tyle wypowiedzią na temat rzeczywistości, co deklaracją przynależności do

utopia, ale Łagowski zdaje się wierzyć, że jest możliwe budowanie wspólnoty nie poprzez koniunkturalne dzielenie opinii, ale udział w samowiedzy, subiektywnym ogarnięciu doświadczenia rzeczywistości, w którą jesteśmy uwikłani.

We współczesnym świecie gdzie rezonans mediów nieustannie nagłaśnia konfiguracje opinii i tworzy zapory przeciw myśleniu, niepodporządkowanie się im jest aktem heroizmu. Nie tylko intelektualnego, szczególnie w Polsce, gdzie jak zauważył Czesław Miłosz, zdracą jest ten, kto nie deklaruje automatycznego akcesu do obowiązujących w danym towarzystwie czy grupie opinii. Można powiedzieć, że w Polsce zdrada, to w zasadzie zdrada „dobrego towarzystwa”, a może po prostu koterii, bo o stronnictwach trudno dziś w Polsce mówić.

W medialnej kakofonii opinii, których kryterium jest nie tyle prawda, co ich domniemana poprawność, lektura Łagowskiego, jeśli jego teksty potrafimy jeszcze czytać, uwalnia nas od doraźności i przygodności opinii. Przywracają wagę pytań, na które są rzekomo już odpowiedzi – w formie prezentowanych przez medialnych celebrytów opinii. W tym upartym wskazywaniu, że opinie nie rozstrzygają, ale przesłaniają rzeczywistość, przypomina właśnie Montaigne'a.

Jednym z takich pytań, które nieustannie powracają, które sobie i nam zadaje, jest miejsce Polski, średniego kraju w Europie, w cywilizacji Zachodu. Wbrew medialnemu szumowi nie jest ono ani czymś oczywistym, ani czymś danym, zagwarantowanym przez genetykę ethnosu, nie wspominając już o gwarancjach Opatrzności.

Bronisław Łagowski jest myślicielem polskim, ale nie jest człowiekiem mającym jakąś obsesję polskości jako entelechii, misji (dlatego jest mu bliższy Mochnecki niż Mickiewicz, przy całym jego podziwieniu dla geniuszu wieszczka). Jest myślicielem polskim, ponieważ myśli w określonym miejscu na ziemi i pisze w określonym języku. Trudno byłoby tutaj próbować rekonstruować Łagowskiego teorię poznania. W dużym skrócie można powiedzieć, że jest ona – moim zdaniem – bliska epistemologii Jose Ortegi y Gasset. Jest przekonany, że nie można myśleć o rzeczywistości nie uwzględniając własnego uwikłania w miejsce i czas. „Ja to ja i moje uwikłanie.” – jak powtarzał Ortega y Gasset. Łagowski nieustannie musi więc powracać do swojego uwikłania jako Polaka właśnie. Nie jest to ostentacyjna deklaracja polskości, ale uznanie źródłowego faktu.

W pewnym sensie można powiedzieć, że suwerenność, państwo, partie mają dla tego uwikłania znaczenie drugorzędne. To uwikłanie dotyczy przede wszystkim historii długiego trwania ludzi na tym kawałku ziemi. To trwanie jest dla Łagowskiego dziedzictwem zagadkowym i intrygującym. Przypuszczam, że jako Anglik, Francuz czy Szwed Łagowski czułby się mniej komfortowo. Miałby bowiem mniej do przemyślenia.

W pewnym sensie można powiedzieć, że suwerenność, państwo, partie mają dla tego uwikłania znaczenie drugorzędne. To uwikłanie dotyczy przede wszystkim historii długiego trwania ludzi na tym kawałku ziemi. To trwanie jest dla Łagowskiego dziedzictwem zagadkowym i intrygującym. Przypuszczam, że jako Anglik, Francuz czy Szwed Łagowski czułby się mniej komfortowo. Miałby bowiem mniej do przemyślenia.



Fot. Andrzej Głuc

jakiejś grupy, koterii, partii czy towarzystwa. Opinie niewiele mówią nam o świecie, a więcej o przynależności tego, kto ową opinię wypowiada. W tym sensie opinie nie muszą być zapośredniczone ani w wiedzy o świecie, ani jego osobistym doświadczeniu. Deklarowanie opinii zwalnia nas z posiadania scalonego, samodzielnie wypracowanego poglądu. Ma to tę dobrą stronę, że uwalnia nas od samotności człowieka myślącego. Posiadanie i pogłębianie własnych poglądów kłóci się z naszą potrzebą przynależności i wspólnoty, a człowiek jest zwierzęciem towarzyskim.

Problem w tym, że wspólnota opinii jest bardzo krucha, każde tąpnięcie rzeczywistości powoduje ich fluktuację. Ta fluktuacja opinii z kolei podkopuje naszą tożsamość, która staje się czymś równie chimerycznym jak konfiguracje opinii. Dlatego nieporozumieniem jest czytanie Łagowskiego jedynie w poszukiwaniu bliskich nam opinii na jakiś temat. Każdy jego tekst jest bowiem próbą ukazania warunków, w których możliwe będzie zdobycie samowiedzy na jakiś temat. Być może jest to

Łagowskiego zawsze inspirowała myślowo przynależność do wspólnoty, która trwała pomimo braku ciągłości państwa i w pewnym wymiarze także terytorium. Z tych swoich rozważań wyciągnął wniosek, że dla trwania wspólnoty narodowej (nawet jeśli miałyby to być, jak mawia Perry Anderson, tylko wspólnota wyobrażona) suwerenność nie jest wartością najważniejszą, ale pewna cywilizacyjna jakość „pracującego społeczeństwa” i zmyślność elit, także tych zdolnych do kolaboracji. Łagowski jest postępowcem w tym sensie, że jego pozytywnymi bohaterami są ci, którzy przyczynili się do materialnego i intelektualnego, a więc cywilizacyjnego rozwoju wspólnoty. Można powiedzieć, że to echo luksemburgizmu, pochopnie deprecjonowanych poglądów krajanki Laureata. Wszak Róża Luksemburg pochodziła z tych samych stron co on.

Wasilij Rozanow utrzymywał, że z punktu widzenia Rosji rozbiory Polski były błędem. Rozbiory i pozbawienie Polaków suwerenności zmobilizowały Polaków, w pewnym sensie odrodziły. Gdyby Polakom pozostawić państwo, stan entropii by się tylko podgłębiał i wchłonięcie Polski przez Rosję odbyłoby się bez oporów, niejako automatycznie. Być może Rozanow nieco przesadził, ale jest coś zastanawiającego w fakcie, że postęp cywilizacyjny zdaje się w naszym kraju słabnąć w warunkach suwerenności. Wystarczy spacer po Krakowie, Bochni, Nowym Sączu, a nawet Nowej Hucie, by przekonać się o różnicach w kulturze zagospodarowania przestrzeni, gdy suwerenności brakowało, a wtedy, gdy ciesząc suwerennością tolerujemy deweloperские bezbołowie. Można wskazać przykład skwapliwie przemilczany: rzesze polskich chłopów wywiezionych na roboty przymusowe do Rzeszy, po powrocie do kraju stały się pionierami nowoczesnego gospodarowania na roli.

Jest tak, jakby okresy odzyskiwanej suwerenności na dobrą sprawę były głównie pretekstem dla wykonywania spektakularnych gestów politycznych, a nie nadrabiania cywilizacyjnych zapóźnień, zaś przede wszystkim epokowego zadania zniesienia granicy cywilizacyjnej z Niemcami. W tym kontekście przedmiotem krytyki Łagowskiego zwłaszcza w ostatnich latach jest to, co w odróżnieniu od mesjanizmu, nazywa misjonizmem. Misjonizm to przypisanie sobie roli cywilizacyjnej na Wschodzie, głównie względem Rosji, Białorusi i Ukrainy. Te tromtadrackie gesty z jednej strony mają przesłonić naszą własną cywilizacyjną podrzędność wobec Zachodu, z drugiej, ponieważ są pozbawione oparcia w realnej sile państwa i jego cywilizacyjnych zasobach, czynią z Polski pionka w globalnych rozgrywkach Stanów Zjednoczonych i innych mocarstw.

Suwerenna Polska oczywiście ma misję cywilizacyjną, ale obszarem misyjnym jest ona sama. A tymczasem nic nie wskazuje na to, by nasza podrzędność cywilizacyjna względem sąsiadów z Zachodu, Południa i Północy się zmniejszała i uwierała, jak choćby Łagowskiego. Uwodzeni retoryką misjonizmu zapominamy zrobić porządek we własnym mieszkaniu i zastępujemy to zadanie pouczeniem, jak ma urządzić swoje mieszkanie ktoś inny. Polski mesjanizm miał jakieś zaplecze myślowe, był dyskusyjną, ale jednak pewną historiozofią. Natomiast misjonizm, będąc czystym resentymem, należy do psychicznych aberracji. Może dlatego tak trudno z nim walczyć czy polemizować. Nikt nie

chce zostać zaliczony do „piesków Putina”. A niestety człowiek podległy aberracji umysłowej na polemikę i dyskusję z reguły odpowiada kalumnią. Owe „pieski Putina” Tomasza Lisa to tylko ostatni przykład.

Retoryka misjonizmu będąc *de facto* zaprzeczeniem i karykaturą mesjanizmu, jest szczególnie niebezpieczna w naszym zglobalizowanym świecie. Wśród wartości, które Bronisław Łagowski ceni sobie najbardziej i nieustannie nam o niej przypomina, jest pokój. Nie, nie jest pacyfistą, ale mieszkańcem tej części Europy, gdzie wojny były klęskami największymi. W warunkach pokoju można cywilizacyjne zapóźnienie nadrabiać szybciej lub wolniej. Ale dla mieszkańca tej części świata pokój jest *conditio sine qua non* w miarę godnego życia, jeśli nie przetrwania. Tak było, jest i w dającej się widzieć przyszłości będzie. Powiedzenie *better red than dead*, powstało na Zachodzie, ale wcześniej intuicyjnie podzielali je odbudowujący Polskę po wojnie. To oni trafnie rozpoznali sytuację, a nie ci, którzy liczyli na trzecią wojnę. I tego żaden IPN nie zmieni. Na szczęście wezwania „Panie Truman puść ta bania bo jest nie do wytrzymania.” nikt nie wysłuchał. Miejmy nadzieję, że tak będzie i teraz.

Kilka tysięcy ludzi w Polsce, którzy czytują Łagowskiego, to może niewiele w porównaniu z rzeszą poddanych obróbce przez środki masowego przekazu i traktowanych przez nie jak zombi. Ale z drugiej strony media rezonują jedynie opinie, które same kreują. Ludzie te opinie powtarzają, często dla świętego spokoju. Wiara w to, że nie przestali myśleć, niekoniecznie musi być utopią. Choć nie wszyscy potrafią to czynić tak przenikliwie jak Bronisław Łagowski i nie mają jego odwagi.

Jest wiele spraw, których nie poruszyłem. Ot choćby jego zasług jako promotora myśli liberalnej w Polsce. Jest to tym bardziej ważne, że teksty, którymi inkrustował „ZDANIE” docierały w stanie wojennym do czynników decyzyjnych. Pominąłem jego analizy mitologii „Solidarności”. A także sprawę nieco dyskusyjną, jak stosunek do praw człowieka, które podlegając sakralizacji stały się dla niego matecznikiem hipokryzji. W kwestii tej pozostaje Łagowski bliski Roberto Calasso, który stwierdził, że Zachód sakralizując prawa człowieka, uczynił z nich rodzaj bóstwa, na którego ołtarzu kapłani nieustannie muszą składać ofiary. Tak się składa, że są to ofiary z ludzi.

Bronisław Łagowski myśląc i pisząc w tym miejscu, w którym jest, doskonale przerobił lekcje zimnej wojny i upadku realnego socjalizmu. Ta lekcja pokazała, że dla poszerzenia elementarnych ludzkich praw, w tym tak cennej dla niego wolności gospodarczej, nie była potrzebna interwencja zbrojna, wojna i setki tysięcy ofiar, ale subiektywne zmiany myślenia. Realnego socjalizmu (zwanego też pogardliwie komuną) nie zmiotła żadna interwencja tych, którzy głoszą się depozytariuszami praw człowieka. To wszystko dokonywało się w głowach rządzących i rządzonych. Miał w tym swój drobny wkład i Łagowski nikogo nie bombardując i do nikogo nie strzelając. Być może nie do końca jest marzycielem wierząc, że można słowem ludziom pomóc posprzątać w głowach. Tym bardziej jeśli czyni się to polszczyzną o tak bogatych rejestrach jak laureata.

O SOBIE SŁÓW PARĘ...



Fot. Andrzej Głuc

Serdecznie dziękuję „Kuźnicy” za to wyróżnienie, które sobie wysoko cenię i które stawia mnie w gronie tak wybitnych osobistości jak laureaci „Kowadła”. Przy okazji chciałbym powiedzieć słów parę, jak sytuuję się wśród orientacji ideowych obecnych dziś w Polsce.

Podział na lewicę i prawicę jest ciągle ważny, ale dziś już nie najważniejszy. Większą wagę ma podział na stronę „solidarnościową” i tę, która wywodzi się z Polski Ludowej lub do takiej genealogii politycznej się przypisuje, bo jest też spora grupa osób, które z niej się nie wywodzą takie więzi odnajduje. Nie mam dobrych nazw dla tych stron, jakie wydzieliłem i sam podział nie jest ścisły, choć wystarczająco dobitny.

Jednak akceptując swój peerelowski rodowód, czy dziś do niego się przypisując, nie akceptuje się wcale

systemu politycznego, jaki wówczas panował. Nie byłem zwolennikiem tamtego ustroju i w PZPR, do której przecież należałem, doskonale o tym wiedziano. Zachowywałem się tak, by dać władzy partyjnej szansę na to, by mnie z powodu moich poglądów nie szykanowano. Swoje teksty w „Tygodniku Powszechnym” drukowałem pod pseudonimami, ale w krakowskim środowisku nie było nikogo, kto by tych pseudonimów nie umiał rozszyfrować, natomiast dawało to szansę władzy, by zostawiła mnie w spokoju.

Tak też zwykle się działo, ale nie zawsze, bo na przykład Centralna Komisja Kontroli Partyjnej rozpatrując moje grzechy nie usunęła mnie z PZPR, ale – co było rzadkie – ukarała mnie zakazem pełnienia funkcji kierowniczych. Miało to konsekwencje ujemne, bo dotknęło mnie w wieku, kiedy człowiek ma największą ochotę robić karierę, ale i pozytywne, bo uniknąłem w ten sposób pewnej drogi, która nie byłaby dla mnie najkorzystniejsza...

W obronie PRL zacząłem, dość systematycznie zresztą, występować dopiero po upadku tamtego ustroju, choć przecież sama kwestia ustroju jest czysto historyczna. Tak naprawdę, politycznie się nie liczy. A co się liczy? To, że państwo polskie po totalnym zniszczeniu przez Niemców w czasie wojny, odrodziło się i to w lepszym położeniu geograficznym niż miało przedtem, bo za ziemię utraconą na wschodzie Polska otrzymała terytoria o wartości dziesięć razy wyższej niż owe „umilowane Kresy” ze znaczną większością innych nacji.

Na dobrą sprawę, może poza Rosją, a dziś i to jest wątpliwe, żaden kraj nie wyszedł z wojny z takim „zyskiem” jak Polska, a zasługa, że Polska wyszła z wojny w takich relacjach, musi być przypisana polskiej radykalnej lewicy, a dokładniej – komunistom. Gdyby takiej partii w Polsce nie było, nie mielibyśmy stalinowsko-piastowskiej granicy na Odrze i Nysie, i Polska miałaby obszar nie większy niż Księstwo Warszawskie. Powtarzam tu opinię sformułowaną dawno i przez innych autorów, niekoniecznie bliskich mi poglądami, ale jest ona oczywista. Żaden IPN tego nie zmieni, choć usiłuje to przez dziesiątki lat zagadać.

Partia wywodząca się z tamtej partii, dzięki której Polska odrodziła się w takim właśnie kształcie, choć wielokrotnie zmieniała swą nazwę i co więcej – swą naturę, po dziś dzień ma poczucie pewnej winy, ale też przecież zasługę historyczną wobec narodu! Zasługę, jakiej choćby w ułamku nie mają inne partie. Jest jednak ta partia tak zahukana czy onieśmielona, że boi się

o tym mówić, czy nawet myśleć i ten wątek w dyskursie publicznym nie tylko nie jest rozwijany, ale wręcz nie istnieje!

Historycznie w Polsce podział na lewicę i prawicę współwystępował z bardziej fundamentalnym podziałem na lud i warstwy uprzywilejowane, którymi byli raz ziemianie, mieszczenie, potem stan urzędniczy czy biurokracja, i w tym drugim podziale lepiej się odnajduje. Bardziej jestem z ludem, a mniej pewnie, choć też oczywiście, z lewicą.

Także moja pierwotna formacja polityczna była „ludowcowa”, jednak nie zabrzmi to pewnie zbyt przekonująco, bo odnosiłoby się to do okresu, kiedy miałem kilka lat, gdy dzieci polityką się jeszcze nie interesują. Tym niemniej byłem wówczas w środowisku Wiciowców PSL mikołajczykowskiego i takie były pierwsze treści polityczne, jakie docierały do mej świadomości. Kiedy poszedłem do liceum, ojciec zapowiedział mi, że jeśli „zapiszę się do ZMP, to mam mu się nie pokazywać na oczy”. Rozglądając się jednak wokół zobaczyłem tych ZMP-owców jako wesołe środowisko młodzieży organizujące imprezy, pochody, wspólne śpiewanie pieśni i oczywiście szybko tam się zapisałem, a i ojciec z czasem się z tym pogodził.

A sam problem ludu? Dziś cała Polska po powstaniach, wojnach i represjach, po których coś tam z dawnych klas uprzywilejowanych zostało, ale jakże niewiele, wywodzi się przecież z autentycznego ludu i nie ma rzeczy, która bardziej by mnie irytowała niż ta duszna atmosfera konserwatyzmu, restauracji, kłamliwa nostalgia szlachecka unieważniająca autentyczny rodowód współczesnych Polaków!

Oczywiście bardzo wyraziście rysuje się ciągle dawny podział na „my” i „oni” z tym, że dawniej „oni” to byli ludzie władzy, a dziś to środowiska, na których ciąży przynależność do „niesłusznego” obozu, potępionego świata PRL-u.

Jak natomiast wygląda moja pozycja polityczna dziś? Spotkałem starego znajomego z którym niekiedy silnie politykujemy. I on powiada: – Mam problem. Bo chciałbym głosować na partię Palikota, ale nie mogę, bo musiałbym zarazem głosować na Millera. – Odpowiedziałem mu, że mam ten sam dylemat: chciałbym głosować na SLD, a nie mogę na Palikota. W efekcie nasunęła nam się możliwość głosowania na „absencję”. I w tej „paraboli” zawarta jest moja relacja z bieżącą polityką i mój do niej stosunek.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI



Fot. Andrzej Głuc

Rada Stowarzyszenia „Kuznica”

przyznaje

Bronisławowi Łagowskiemu

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

► Jego rzetelności w badaniu historii ludzkich idei i czynów, głębi Jego myśli poznawczej i odwagi obywatelskiej,

► wytrwałości w zmaganiach ze słabościami naszego społeczeństwa, ludzkimi lękami i złudzeniami,

► piękna Jego słowa pisanego,

► wierności przyjaźniom.

Kraków, 29 września 2015 r.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

CZAS INDOEUROPEJSKI

1.

Mit to konfabulowana poezja, która jest nadbudową nad *logosem*, czyli sprawozdaniem. Jeżeli rzeczywistość nie objaśnia się sama przez się, wtedy potrzebna jest fantazja. Obydwie metody – reportaż, czyli opowiadanie o faktach i mit, czyli opowieść o świętych pradach mówią o tym, co się stało, kto to zrobił i dlaczego, kto to widział i może zaświadczyć, że relacja jest prawdziwa, jakie tego są skutki i co z tego wyniknie.

W większości mitologii, a więc w większości kultur, opowieść o stworzeniu świata jest ekstrapolacją przemyśleń wynikających z obserwacji mikroświatów. W mitologii podstawową rolę odgrywa czas, czyli odpowiedź na pytanie: kiedy to się stało. Agencji Reutera wystarczy odpowiedź *dzisiaj, we wtorek*, historykowi – *wczoraj* (co może znaczyć zarówno w roku 1939 jak i w *starożytności*), geologowi – *w plejstocenie*, fizykowi – *sekundę do minus 45 temu*.

A zatem czas to konstrukcja myślowa oznaczająca przemijanie.

Od c z a s u św. Augustyna (*gdy mnie nikt nie pyta, wiem {co to jest czas}, kiedy mnie zapytają – nie wiem*) nic się nie zmieniło.

Rozciągliwość czasu, o której marzymy, żeby zobaczyć, co się dzieje w ułamku sekundy tak mikroskopijnym, że aż nierealnym, jest niemożliwa. Siły grawitacji wzrosłyby do nieskończoności. I wtedy kończy się mitologia, a zaczyna *science-fiction*.

Początek, Siła Sprawcza i Skutek – jako narracja o powstaniu świata – opisane zostały w *Wedach*, najstarszej literaturze świata. Czas (*Kala*) jest pierwszą przyczyną istnienia.¹ Po to, żeby istniał czas, musi się coś dziać.

Jeśli tak, to
czasem jest zdolność materii do powstawania, trwania i zanikania.

Czas jest Wielką Przyczyną? A może tylko towarzyszy wszelkiemu procesowi? Doświadczenie uczy, że nic nie staje się nagle, w mgnieniu oka.² Bez czasu nie wiedzielibyśmy, że tworzenie świata trwało tydzień. A może czas jest skutkiem stawania się? Jeżeli coś działo się po kolei, to jak to opowiedzieć, skoro nie ma czasu? Przyczyną bowiem jest także *Kama* (Pożądanie).

¹ V.M. Apte, *Religion and Philosophy*, w: *The Vedic Age, The History and Culture of the Indian People* t.1., Bharatiya Vidya Bhawan, Bombay 1988, s. 444.

² Przekonamy się dalej, że „mgnienie oka” to podstawowa jednostka indyjskiego czasu.

2.

Początek, Siła i Skutek w Europie to prawdy ostateczne, czyli skrajne doświadczenie człowieka z Dobrem i Złem. W Indiach podchodzi się do nich elastycznie. Istnieją tam jako gotowe rezultaty przemyśleń zapewne przedwedwjskich, zatem istniały jako proces już wcześniej. Procesu nie można stworzyć. (Czas można stworzyć). Ale nie można go też i zatrzymać³.

Początek czasu

Mitologia to pierwotna teoria Wszechświata. Jak w każdej kulturze, poprzedziła religię. Pełno w niej alegorii, które są modelami zachowań ludzi, zwierząt i materii. Powstają jako produkt myślenia, które łączy obrazy, sytuacje i wydarzenia.

Kiedy mowa o „starości” czy „wczesności” tekstów, korzystamy z bieżącego czasu liniowego, czasu archeologicznego i astronomicznego. A także z czasu rozumianego potocznie jako proces nieustannego zaniku aktualności. Ale już na starcie trzeba pamiętać, że *kala* to w hinduizmie *c z a s w i e c z n y*, który „rozpuścił” w sobie wszystkie istniejące czasy, z kołowym i przestrzennym, ziemskim, boskim i niebiańskim włącznie. Jest to – jednym słowem – „Ganges” czasów – wszystkich czasów, wszechczasów, będący metaforą rodem z *Wed*, gdzie nawiasem mówiąc o czasie się nie mówi, bo nie ma potrzeby. Ledwo to napisałem, już mam wątpliwości. W pierwszym hymnie *Rigwed*, do Agniego, mowa jest o dniu.

„Przez Agni, abyśmy posiadli skarby, pomyślność każdego dnia”⁴.

Czy w nowszej wersji:

Oby codziennie przez Agniego bogactwo było i dobrobyt olśniewający, mężów pełen (...)

Do ciebie, Agni, dnia każdego, w nocy, o świecie przyczynimy z natchnioną myślą, hołd ci niosąc⁵.

Dzień wszak i noc to miara czasu. Mierzyliśmy zatem coś, co definiujemy z trudem już kilka tysięcy lat.

³ Spośród kultur współcześnie odwołujących się do tradycji, a zarazem twórczych i rozwijających się nadal, najsilniejszą jest chyba kultura *hindu*, w której każdy może sobie stworzyć nowego boga i dołączyć go do istniejącego panteonu. Deifikacja Mahatmy Gandhiego, na razie poprzez przydomek Maha Atma, bez formalności kanonizacyjnych, jak w Kościele katolickim w przypadku Karola Wojtyły, jest niemal pewna, ale wymaga czasu. Gdyby Gandhi żył równieście z Chrystusem, byłby już zapewne wcieleniem Wisznu.

⁴ *Hymny Rigwed*. Przełożył z sanskrytu, wstępem i komentarzem opatrzył Franciszek Michalski, Ossolineum Wrocław 1971, s. 23.

⁵ Przekład Joanny Jurewicz, w: Km Knott, *Hinduizm*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2000 s. 32.

Atharwaweda opisuje czas jako jeźdźca na wierzchowcu. Ale to wierzchowciec, a nie jeździec ma tyśiąc oczu, wysyła siedem promieni, jest wieczny i płodny. Na tym wierzchowcu pędzi wielu jeźdźców. Czas wrzucony do wody wywołuje kręgi! Czas jeździ także rydwanem o siedmiu kołach. Jego osią jest wieczność. Nie ma co umieszczać tego pojazdu w przestrzeni euklidesowej, bo wtedy będziemy mieli rydwan o nieskończenie długiej osi. Zatem nie będzie tak szerokiej drogi, po której mógłby się poruszać. Cel podróży wierzchowcem czy rydwanem jest określony przez czas. Ale hymn nie zdradza, jaki to cel. *Atharwaweda* zebrała wśród hymnów kolekcję, która odnosi się do wiedzy tajemnej⁶. Wiemy tylko, że czas biegnie do przodu i to jest wspólne z naszymi doświadczeniami. Dzban może jednak stanąć na czasie jak na stole. Można czasem nazwać wszechstworzenie. Jako ten kamień wrzucony do wody podtrzymuje wszystkie światy-kręgi. Raz jest ojcem raz synem, jak poszczególni bogowie, którzy mogą być swoimi własnymi przodkami i potomkami. Nie ma bytu poza czasem. Od czasu pochodzą i niebo i ziemia. W czasie tkwią i umysł i oddech. Jest ważniejszy od Brahmy, bo zrodził najwyższego Boga. Jest więc wartością absolutną. Niestety, w *Filozofii indyjskiej* Radhakrishna nie ma o nim ani słowa. Zajął się tym natomiast Europejczyk Erich Frauwallner⁷. Zauważył, że podobnie jak w Europie, Indusi łączyli czas z przestrzenią. Założyli, że istnieje przestrzeń absolutna. Tymczasem *Kalawada*, nauka o czasie, wyprzedziła rozważania o przestrzeni. Cytując teksty klasyczne, w tym *Mahāprajñāpāramitopadeśa*, *Sāmkhyakārikę*, *Prasannapadę* i *Śāstravārtāsamuccayę* Frauwallner pisze:

Czas doprowadza do dojrzałości wszystkie istoty, czas ponownie niszczy wszystkie stworzenia. Czas czuwa w śpiącym.

Lub

Bez czasu nie można ugotować ani jednej fasolki nawet jeśli postawimy garnek na ogniu. Wiadomo tedy, że to dokonuje się dzięki czasowi.

Rozumując w ten sposób ówcześni, anonimowi filozofowie indyjscy skonstruowali przypuszczalną definicję, która brzmiała zapewne następująco:

Czas jest pewną wieczną, wszechobecną istnością, która wszystko wytwarza, nie będąc jednak przy tym widoczną, a o jej istnieniu jako przyczyny można tylko wnioskować na podstawie skutków.

W Europie nikt nie obciążał czasu mocami twórczymi. Natomiast można się zgodzić, że uzależnia od siebie „wczesność” lub „późniejszość”, o czym już była mowa. Tak jak w przestrzeni coś znajduje się bliżej lub dalej, tak w przestrzeni czasu, o której nic jeszcze nie wiemy, coś wydarzyło się wcześniej, a coś później. Frauwallner bierze w końcu byka (Nandiego?) za roli:

Czas posiada pięć własności wspólnych: liczbę, rozciągłość, oddzielność, połączenie i rozłączenie.

⁶ O odzyskanie wiedzy tajemnej

*Choćby była w przestworzach samych lub wicherze
Pośród drzew zagubiona albo w trawach miękkich
Niech powróci do nas ta wiedza tajemna
Którą trzody słyszały w mowie uroczyściej*

(tłum. Cezary Galewicz), *Atharwaweda. Wybrane hymny*, Oficyna Literacka, Kraków 1999, s. 85.

⁷ Erich Frauwallner, *Historia filozofii indyjskiej*, PWN, Warszawa 1990, t.2, s.80-8, 152-4.

Jedność jest liczbą, która w nim tkwi, ponieważ przejawy, na których podstawie wnioskuje się o istnieniu czasu, zawsze są takie same i przeto pozwalają wysnuć wnioski o istnieniu tych samych rzeczy. Stosownie do tego przysługuje mu jako pojedynczej rzeczy również własność oddzielności. Czas jest nieskończenie wielki, ponieważ jego oznaki są wszędzie dostrzegalne. Wreszcie przysługują mu własności połączenia i rozłączenia, ponieważ w wyniku z czasem w rzeczach powstają własności oddalenia i bliskości⁸.

Bajkopisarze mieli w czasie sprzymierzenia, który potrzebował jedynie zegara umownego: przed wiekami albo dawno, dawno temu, wystarczyło za okolicznik czasu.

La Fontaine pisał w bajce o wilku i owcach, że kiedy pasterze zażywali *wczasu*, przyszli wilcy i zjedli owce⁹. *Wczas* to czas wolny od pracy, tutaj noc. Ale *wczasy* dzisiejsze to nie tylko noc, choć także, czasem nawet przyjemna.

Ale jeśli coś stało się nie w *czas*, to znaczy że stało się być może *wcześniej*. *Wcześniej* pochodzi od *wczasu*. Nazwisko *Niewczas* też. I *wcześniak*. Ale już nie *niewczesny* żart. *Przedwczesny* może być na przykład osąd. *Wcześniejszy* od *wczesnego*. *Zawczasu* znaczy odpowiednio *wcześniej*, *przed*. Co znaczy *tymczasem*? Do metafory *czas* wkraść się jako porzekadło „nie mam czasu”. Jak gdyby była to rzecz¹⁰.

Czasownik opisany jest od każdej strony, czasomierz czyli chronometr też. *Najwcześniej, współcześnie, nowocześnie, jednocześnie* pokazuje moment zdarzenia w stosunku do czasu, który kontrolujemy. *Doczesność* to coś, co dzieje się do czasu. A potem się nie dzieje. Częstotliwość ma związek z czasem w laboratorium, kiedy sprawdzamy wielokrotność wydarzenia w jednostce czasu. *Czesne* płacimy co jakiś czas, za czas spędzony na nauce. *Czasopismo* czyli periodyk czytamy raz na jakiś czas, tak często jak jest wydawany. Dookoła czasu krąży więc, jak wokół źródła, niejedna fala metaforyczno – źródłostowowa.

3.

Dusza indyjska nie reaguje na czas.

Czas – inaczej niż w Europie – nie jest bytem samodzielnym i niezależnym. Nie jest duszą. Nie jest prawdą ostateczną. Z teorii względności (zarówno szczególnej jak i ogólnej) wynika, że względne są miary czasu i przestrzeni¹¹. Na Wschodzie to oczywiste od zawsze. W Europie – od czasów Einsteina, chociaż nie całkiem, bo *c* to prędkość światła, jego zdaniem niezmienna. Wydaje nam się, że widzimy obiekt w czasie identycznym z istnieniem obiektu. Tymczasem droga przebyta przez światło od obiektu do oka wymaga pewnego czasu. Mikroskopijnego, ale zawsze czasu. To co widzimy, nie jest zatem identyczne z tym co istnieje. Widzimy nie to słońce, które świeci, lecz to, które świeciło osiem minut temu.

Jeżeli nie jeden, a dwaj obserwatorzy będą patrzyli na obiekt poruszając się z różnymi, ale bardzo wysoki-

⁸ Frauwallner, op.cit., s. 154.

⁹ La Fontaine, *Bajki*, WAI F, Warszawa 1988, s. 210. Tego „wczasu” użył tłumacz, Władysław Noskowski.

¹⁰ Istnieją również banki czasu – zjawisko społeczne, związane z działaniem wolontarystycznym - MZ.

¹¹ Fritjof Capra, *The Tao of Physics*, Bantam Books, Toronto New York London Sydney Auckland, 1984, s. 150.

mi prędkościami, każdy będzie widział co innego, choć obrazy mogą się na siebie „prawie” nakładać.

„Prawie” – to oznacza warunki brzegowe. Oznacza zmierzanie ku nieskończoności. W przestrzeni stworzonej przez Brahme można sobie wyobrazić różne dziwactwa, na przykład takie tempo wzrostu przyrostu naturalnego, że ziemia będzie „puchła” z prędkością światła. Podobnie założono, że siła przyciągania może być tak wielka (przy nieskończonej masie i gęstości, co pasuje do cech *brahmana*), iż światło emitowane przez gwiazdę będzie „spadało” na jej powierzchnię i nie będzie mogło się od niej „oderwać”¹². Tu widać pokrywanie się wyobraźni brahmanicznej z europejską. Czas i przestrzeń zostają wtedy sprowadzone do języka, w którym istnieją. Max Müller mówił, że „mitologia to choroba języka”¹³. Czy jednak sprowadzone do języka przestały istnieć jednocześnie na jawie?

Matematyk niemiecki Hermann Minkowski skonstruował oś czasu urojonego. W przestrzeni brahmanicznej mieści się ona bardzo dobrze. A w naszej pozwala napisać równania Einsteina o równoważności masy i energii. E równa się szereg, w którym pierwszym wyrazem jest masa pomnożona przez kwadrat prędkości światła. Po tym wyrazie następuje nieskończona liczba kolejnych wyrazów sumy, których wartość dla równania nie ma już większego znaczenia, gdyż ich wielkości zbiegają do zera.

Europejskie myślenie, czyste i eleganckie, uproszczone, co w matematyce jest zaletą, a w humanistyce dyskursów i paradygmatów – wadą, wydaje się szczególnie przypadkiem myślenia w świecie, który stworzył Brahma. Przypomina rzeźbę, o której walorach mówił Michał Anioł: żeby przekonać się, czy dzieło rzeźbiarza jest dobre, należy spuścić je z pagórka. Co było niepotrzebne, to się obtłucze.

Zegar w ruchu chodzi wolniej. Jeśli poruszającym się zegarem jest rytm serca, bije ono wolniej niż serce brata bliźniaka stojącego w miejscu. Kiedy podróżujący brat objedzie świat dookoła, zastanie brata bliźniaka stojącego w miejscu dużo starszego. Oczywiście z punktu widzenia brata stojącego. Ale w przestrzeni brahmanicznej nie takie cuda są możliwe. A co jest możliwe, to się dzieje. Jeśli Brahma narodzony z pępka Wisznu ruszył w podróż przez życie z prędkością światła, może umrzeć, zanim się narodzi, albowiem wpadnie w pętlę czasu, która przypomina nieco niemożliwe do odtworzenia z rysunku figury topologiczne Möbiusa. Nie mogą one istnieć normalnie, u nas, ale mogą w przestrzeni, która „ma” masę. Działają na nią straszne siły przyciągania bardzo gęstych ciał, zdolnych ją zakrzywić. Taką zakrzywioną przestrzeń zobaczył Georg Riemann, a dowiódł jej istnienia Hawking. Na Wschodzie nie ma przestrzeni niezależnej od czasu. I nie ma czasu niezależnego od przestrzeni. Jeśli przestrzeń się zakrzywia, zakrzywia się wraz z nią także czas. A jeśli się zakrzywia, to może przybrać formę koła. Okrąg koła będzie wtedy czasem „liniowym”, europejskim, a koło, to jest cała przestrzeń wewnątrz okręgu z nim samym włącznie, stanie się kolejną, czwartą *ćakrą*, główną, jak widzimy, figurą geometrii brahmanicznej. W takiej *ćak-*

krze możliwa jest koegzystencja przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Dzieje się to podczas medytacji. Narracja wymaga upływu czasu. Wizja – nie.

W naszej kulturze czas to lęk przed śmiercią. Seneka w *O pocieszeniu* pisał:

*Quid est enim novi hominem mori, cuius tota vita nihil aliud, quam ad mortem iter est. „Cóż jest dziwnego, gdy umiera człowiek? Przecież jego życie nie jest niczym innym niż drogą ku śmierci”*¹⁴.

Gdzie indziej słyszymy:

*Żyć to znaczy przenosić z chwili na chwilę esencję własnego istnienia*¹⁵.

Chwila to moment czasu, kropka czasu, przecinek czasu, drobina, atom czasu, porcja czasu, kwant. Jeżeli coś się przenosi z chwili na chwilę, to znaczy, że trwa liniowo. A czemu nie kołowo? Czy na okręgu punkt nie dotyka punktu? Czas jest liniowy u nas, a w Indiach – kołowy. Jak istnienia zabraknie – nie będzie czego przenosić. Ale coś poza istnieniem zostanie. Wszystkie czasy są zgodne co do jednego – wieczności. W wieczności czas jest i nie jest, i nie ma to żadnego znaczenia, bo wieczność, pewnie jak *nirwana* poza kołem życia i śmierci, może być wszystko jedno w jakim czasie – liniowym czy kołowym, czy jakimś tam jeszcze. Ale też może być poza czasem i dobrze sobie bez czasu poradzi, bo jest bezczasem. A zatem do czasu potrzeba życia, które by czas obserwowało i kontrolowało, czyli usprawiedliwiło? W śmierci nie ma czasu?

Jeśli prędkość jest drogą przebytą w jednostce czasu, to jednostka czasu jest drogą przebytą z pewną prędkością. To tak, jak gdybyśmy konstruowali definicję *idem per idem*. I tak postąpili zarówno Borges jak i Sartre. Pisarz argentyński powiedział, że „muzyka to tajemnicza forma czasu”, a francuski filozof, że muzyka „to najlepszy zapis czasu”. Interesujące, że i u Borge-sa, i u Sartra występuje jako stały, ten sam parametr, podobnie jak droga we wzorze na prędkość¹⁶.

Koło historii jako metafora pojawiło się nieświadomie na skutek hinduistycznej koncepcji czasu. Metafora mówi o powtarzalności zjawisk. Santayana pisał, że kto nie zna historii, skazany jest na to, żeby ją przeżyć ponownie. Fukuyama natomiast o tym, że historia zatrzyma się w miejscu, w którym osiągnięty zostanie najwyższy stopień rozwoju – nie komunizm, jak u marksistów, lecz demokracja liberalno-burżuazyjna, jak chcą oświeceniowi liberałowie, do których sam się zalicza. Zatrzymanie się historii nie jest końcem czasu. Czas nie ma końca, tak jak nie ma go ani linia ani okrąg.

U Heideggera – bycie w przeszłości to Faktyczność, bycie w przyszłości to Możliwość bycia teraz to Troska. Napisał *Bycie i czas*. Ale jego czas jest liniowy.

Znakiem czasu jest swastyka. Zapewne znakiem czasu kołowego, bo narodziła się z koła i krzyżyka na ceramice¹⁷.

Indyjska koncepcja czasu kołowego pojawia się już w Biblii, tylko nie wiemy, co było wcześniejsze. W *Księdze Koheleta* czyli *Eklezjasta* mówi się:

¹² Stephen Hawking, *Moja krótka historia*, WAB, Warszawa 2013, s. 79.

¹³ John B. Chethimattam, *Nurty myśli indyjskiej*, PAX, Warszawa, s. 27.

¹⁴ W kryminale (sic!) *Widma w mieście Breslau* Marka Krajewskiego, filologa klasycznego z wykształcenia, wyd. ABW, Warszawa 2005, s. 154.

¹⁵ Za jakimś filozofem Giuseppe Padellaro, *Tryptyk sycylijski*, Warszawa 1973, s. 42.

¹⁶ Za: *Legenda Legionów Demeter*, Warszawa 2008, s. 514.

¹⁷ Thomas Wilson, *The Swastika*, Oriental Publishers, Delhi 1973.

*To, co jest, już było,
A to, co ma być kiedyś, już jest,
Bóg przywraca to, co przeminęło¹⁸.*

Jeżeli w naszej kulturze czas jest liniowy, to z tej linii hindusi zrobili obręcz, gdzie punktem styku obydwu końców odcinka europejskiego są jednocześnie śmierć i narodziny.

W baśniach indyjskich nie ma „dawno, dawno temu, przed wiekami...”. Jest tam zawsze natomiast punkt odniesienia w postaci władzy. „Był sobie król”. To jedna z wartości azjatyckich: poszanowanie ojca rodziny, klanu, plemienia i narodu. Mitologia indyjska jest z naszego punktu widzenia nieuporządkowana. Nasza zaczyna się od początku. Biblia mówi:

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię¹⁹.

Na początku – piszą komentatorzy do cytowanego wydania – znaczy na początku czasu „zanim cośkolwiek stworzonym zostało”.

Potem następuje chronologia. Wiadomo, co dzieje się dnia pierwszego, drugiego, trzeciego. W świętych pismach indyjskich chronologii liniowej nie ma. *Rigweda*²⁰ zaczyna się od hymnu do boga Słońca, Agniego. Zachowana zostaje „chronologia” znaczeniowa. Najpierw jest Słońce, bo ono daje możliwość widzenia wszystkiego, co będziemy przedstawiać po kolei dla nas wartościującej. Najpierw więc będą to obiekty materialne – skarby, ale zaraz potem refleksja na temat ich znaczenia, czyli pomyślność. Kiedy Agni da nam skarby, da nam pomyślność. Zanim pojawi się Brahma, który stworzył bogów, skarby i pomyślność, *Rigweda* przedstawił nam jeszcze półboga Angirasa, Warunę, Indrę, demona Writrę, Marutów i brahmana czyli najwyższy pierwiastek, z którego rozwinął się wszechświat.

I dopiero hymn 72, *Początek bogów*, staje się odpowiednikiem pierwszego zdania Biblii:

*Brahmanaspati²¹ światy te
Jak gdyby kowal razem skuł,
W dawnej epoce przed bogami
Z niebytu się narodził byt²².*

Ale Brahma i Brahmanaspati to jeszcze nie Brahma. Stopień komplikacji genealogicznej, typowy dla mitologii hinduskiej, wyjaśniając płacze, iż jest on jednocześnie bogiem modlitwy, protektorem Brahmy i kowalem „obrabiającym” jak jubiler stworzone światy i bogów.

Rigweda zaspokaja nasze oczekiwania co do nowoczesnego objaśnienia początków. Opis ten mógłby równie dobrze wyjść spod pióra astrofizyka:

*Początek rzeczy
Niebył nie istniał wtedy, ani byt nie istniał,
Nie było też przestworza i nieba u góry,
Co było w ruchu, w czyjej opiece?
Czym wody były, otchłanie głębokie?
Była ciemność, ciemnością od początku odkryte*

¹⁸ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Pallotinum, Poznań 2007, s. 840.

¹⁹ *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu* podług tekstu łacińskiego Wulgaty przekład X. Jakóba W u j k a, tom pierwszy, Michał

²⁰ *Hymny Rigwedy* Przełożył z sanskrytu, wstępem i komentarzem opatrzył Franciszek Michalski, Ossolineum 1972.

²¹ Margaret and James Stutley, *A Dictionary of Hinduism. Its Mythology, Folklore and Development 1500 B.C.-A.D. 1500* Heritage Publishers, New Delhi 1986, s.53. Brahma i Brahmanaspati w *Rigwedy* występuje jako protektor Brahmy, a zarazem bóg modlitwy.

²² *Hymny Rigwedy*, op.cit. s. 98.

*Wszystko było jednym bez cech oceanem,
Zarodek bytu w pustkowiu zawarty
Stał się tym jednym mocą swego żaru(...) ²³.*

Radhakrishnan²⁴ przytacza ten hymn w tłumaczeniu Maxa Müllera (obu ich spolszczyła Zofia Wrzeszcz):

Nie było wówczas ani tego, co jest, ani tego, czego nie ma, nie było ani firmamentu, ani nieba, które jest poza nim. Co stanowiło pokrywę? Gdzie to się znajdowało i pod czyją ochroną? Czy woda była tą głęboką przepaścią (w której) to leżało?...

Dysponujemy także przekładem współczesnym Joanny Jurewicz²⁵

*Skąd to stworzenie się ziściło?
Samo się ułożyło czy też nie?
Wie to opatrność w najwyższych niebiosach
albo i nie wie...²⁶*

„Wie to albo i nie wie” poprzedza szekspirowskie „Być albo nie być”, które w przekładach miewa też inną postać („Być czy też nie być”).

4.

Brahma stwarzający samego siebie to obrót rzeczy w kole logiki indyjskiej. Buddyści wymieniają go po imieniu w swoim kanonie, który jest młodszy od pism wedyjskich. Religia ateistyczna nie musi odwoływać się do bogów, ale w przypadku Brahmy czyni to, aby podkreślić, że Budda jest ważniejszy. Lud wierzy w Brahmę, w którym stopiło się kilka innych postaci. Stwórca, który powstał z pra-wód, pierwotny, nienarodzony Pradžapati tworzył przy pomocy asystentów – Mariciego i Kaśjapy, synów zrodzonych ze swego własnego ducha. Na początku pism świętych hinduizmu jest bogiem samodzielnym, ale z czasem podlega bogowi Wisznu, który każe mu stwarzać²⁷...

W tańcu klasycznym kathakali można pokazać Brahmę na palcach: obydwie dłonie podniesione dłońmi do góry, obok siebie. W prawej ręce kciuk i palec wskazujący stykają się czubkami, tworząc kółko, w lewej mały palec odstawiony jest na bok i z resztą złączonych palców tworzy V. Natomiast kciuk schowany jest w dłoni. Wszystko przypomina ideogram, ale obrazek nic nie mówi. Wystarczy, że działa.

Mamy podobne znaki na określenie Parwati (w prawej mały i wskazujący pokazują rogi), Indra (lewa V), Rama (lewy kciuk do góry). Pięćset innych znaków to cały słownik: lew, żółw, prawda, racja, brat, grzech, etc...

Czas to lęk przed śmiercią

W naszej kulturze największym dramatem w życiu człowieka jest śmierć człowieka. W Indiach – nie.

Cronos, czas, nazwisko Saturna. Uważany był bogiem czasu lub samym czasem. Stąd dają mu kosę na znak, iż wszystko ginie pod ciosem czasu²⁸.

Czas indyjski o kilka tysięcy lat wyprzedzał koncepcje względności sformułowane w Europie. Kosmiczny

²³ *Hymny Rigwedy*, op.cit. s.126.

²⁴ Radhakrishnan, op.cit. s. 125.

²⁵ Joanna Jurewicz, *Studio Opinii* pl, październik 2014.

²⁶ *Rygweda* 10.129.Za: Joanna Jurewicz, *Wędrowniacy za przestrzenią. Wybrane hymny Rygwedy*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2013.

²⁷ Por. Eugeniusz Słuszkiewicz, *Pradzieje i legendy Indii*, Iskry, Warszawa 1980, s. 379.

²⁸ Alojzy Osieński, *Słownik mitologiczny*, Warszawa 1806, t.1, s. 487.

zegar bogów zmieniał się od świata do świata. Każdy bóg mógł mieć swój własny czas.

Cykliczny proces tworzenia, trwania i niszczenia jest obrazem filmowym czasu. Taniec Śiwy oznacza koniec niszczenia i początek tworzenia. „Przenikanie” czasu udaje się tym hindusom, których dusza osiąga *mokszę* (w buddyzmie *nirwanę*), czyli stan po ucieczce z kołowrotu narodzin i śmierci.

Uniwersum nie ma początku ani końca. W mitologii hinduskiej czas został wyjęty z ciała Boga jako rzecz niemal materialna.

Po śmierci twórcy, Brahmy, który żyje 311.4 tryliony (angielskie) ludzkich lat, następuje kosmiczna powódź, w której ginie wszechświat. Wtedy pojawia się nowy Brahma.

W Europie Biblia jest miarą czasu. Z indyjskiego czasu wynika, że świat jest dużo starszy od biblijnego. Życie wodne poprzedza życie małpie, a to z kolei – życie ludzkie. Czy nie jest to zapowiedź koncepcji Darwina? Czy wcielenia bogów nie są potwierdzeniem jego teorii?

Z doświadczenia człowieka wynikał podział zajęć na pracę i odpoczynek. Wymienność jednego na drugie następowało w pewnym rytmie, nazywanym – *nomen omen* – Rta.

Rta oznacza jednocześnie jednego z 11 Rudrów, lecz także jeden ze sposobów osiągania bogactwa oraz – jako Rita – prawdę, czyli subiektywny stan wiedzy o stanie rzeczy. Osiąganie bogactwa możliwe jest – poza przypadkami losowymi – dzięki systematycznej pracy, której czas dzielimy na zajęcia i wytchnienie.

Rytm odkryliśmy słuchając bicia serca, mierząc puls, obserwując oddech. A także ruch planet. Zdaliśmy sobie sprawę z istnienia trzech komponentów cyklu: powstawania, trwania i zanikania. Czas jest niezbywalnym „towarzyszem” tworzenia, o czym była już wielokrotnie mowa. Trójkątny podział dnia ma swoje przedłużenie w etapach życia – dzieciństwie, dojrzałości, starości.

Czas jest formą iluzji, w której żyjemy. Tak długo trwa, jak długo działają zmysły. W świadomości Boga nie istnieje podział czasowy. Mamy tam u Niego moment, czyli stan egzystencji.

Wrażenia na temat czasu zapamiętywano za pomocą metafor. Inaczej biegł czas rzeczywisty, a inaczej „pamięciowy”. Mówi się: jak ten czas leci. Leci jak ptak, jak samolot. W rytmie Rta budził się nie tylko człowiek, ale także Bóg. Pozornie – ekspandował, a potem – zasypiając – wchłaniał w siebie światy i zanikał.

Kala to zarówno czas jak i śmierć. Bardzo logiczne. „Czas to lek przed śmiercią”. Śmierć jest granicą. *Kala* decyduje, jak długo żyjesz. Czas indywidualny zaczyna się wraz z narodzinami. Ale dla duszy śmierć nie istnieje. Dusza nie ma początku ani końca. Bezkostna dusza czystej świadomości porusza się w granicach czasu, przestrzeni, wiedzy, pasji, siły, w cyklu narodzin i śmierci. (Człowiek, który umiera traci wagę, 21 gramów. Mówi się, że tyle właśnie waży dusza).

Czas słownikowy sanskrycki

W naszej kulturze termin oznaczając pięć różnych desygnatów (np. zamek) może być zapisany za pomocą jednego i tego samego wyrazu. Jednym z wyjątków jest „czas”, który znaczy tylko „czas”, *nieprzerwany*

*ciąg chwil, trwania, jedna z podstawowych (obok przestrzeni) form bytu materii.*²⁹

W sanskrycie jest inaczej. Zapis mamy ten sam, wygłos jest różny: *kala*, *kAla*, *kalaa*.

Ka l A znaczy sztuka (f), znaczy czas gramatyczny (m);

K A l a czas (m);

K a l a niestrawiony (przymiotnik), niewyraźny, melodyjny, niewyraźny, niewyraźna wymowa samogłosek, ciemny (o kolorze), niemy, niski, słaby, czarny, ciemnoniebieski, lekki, słaby (o smaku), surowy, emitujący słaby ton;

K a l A łódź (f), embrión, zarodek tuż po zapłodnieniu, symboliczny wyraz liczby 16, zdolność, moment sylabiczny, wyznaczenie trzech podstawowych części ofiary, procent od kapitału, pomysłowość, mała część czegokolwiek, termin na oznaczenie siedmiu substratów ludzkiego ciała, miesięczkowanie, podział czasu, niewiedza, cyfra, jakakolwiek sztuka praktyczna, atom, jedna sześćdziesiąta jednej trzeciej znaku zodiakalnego, niski, słodki ton, jedna szesnasta średnicy Księżyca, minuta stopnia, przesterzeń czasu;

K A l a (m) śmierć, okoliczność, koniec, czas właściwy lub pora, kobra indyjska, czas śmierci, czas wyznaczony na spotkanie, śmierć z powodu wieku, prozodia, planeta Saturn, przeznaczenie, godzina, szkarłat, sekcja (część), czas równy czterem chwilom, los, pora (roku), nasienie.

Czasu ciąg dalszy

W starożytnych Indiach czas (na razie jeszcze liniowy) mierzono w sposób następujący: jednostką był moment potrzebny na przedziurawienie liścia igłą – *Alpa kala*³⁰.

30 *Alpa kalas* równało się 1 *Truti* (brak, omyłka³¹);

30 *Trutis* to był 1 *Kala* (dosł. czas potrzebny na wyrecytowanie mantry, śmierć, los, czerń, jama, sztuka, siła, fragment, czas wieczny);

30 *Kalas* 1 *Kastha* (drewno, mrugnięcie);

30 *Kasthas* 1 *Nimsa* (*matra*-sekunda, czas potrzebny na wypowiedzenie litery alfabetu) {Wypowiedzenie głoski trwa dłużej niż wyrecytowanie słowa lub zdania czyli *mantry* – km};

4 *Nimsas* 1 *Ganita* (matematyka);

10 *Ganitas* 1 *Netu virpu* (czas potrzebny na oddech);

6 *Netu virpus* 1 *Vinazhika*;

6 *Vinazhikas* 1 *Ghatika*;

60 *Ghatikas* 1 *Ahoratra* (dzień i noc);

15 *Ahoratras* 1 *Paksa* (dwa tygodnie);

2 *Paksas* 1 *Candramasa* (dzień Pitrs³²);

2 *Masas* (miesiące) 1 *Rtu*;

6 *Rtus* 1 rok człowieka (dzień bogów);

300 lat (człowieczych) 1 *Divya warsa* (rok boski);

²⁹ *Słownik języka polskiego*, redaktor naukowy prof. dr Mieczysław Szymczak, t.I, PWN, Warszawa 1978, s. 330.

³⁰ *Puranic Encyclopaedia* op.cit. s. 372.

³¹ Tłumaczę za elektronicznym słownikiem sanskrycko-angielskim, *Sanskrit Dictionary*, w którym nie wszystkie terminy są uwzględnione.

³² Wg Frédéricę, op.cit., s. 135: Pitri – w mitologiach braministycznych przodkowie rasy ludzkiej, nieśmiertelne duchy zmarłych.

4800 *Divyawarsas* 1 *Krtayuga*;
 3600 *Divyawarsas* 1 *Tretayuga*;
 2400 *Divyawarsas* 1 *Dvaparayuga*;
 1200 *Divyawarsas* 1 *Kaliyuga*;
 12000 *Divyawarsas* 1 *Caturyuga*;
 71 *Caturyugas* 1 *Manvatara*;
 14 *Manvataras* 1 *Pralaya (Kalpa)*;
 1 *Pralaya* 1 dzień Brahmę;
 7 ½ *Nazhikas (Ghatikas)* 1 *Yama*;
 4 *Yamas* 1 dzień;
 8 *Yamas* 1 dzień (i noc).

Zbudowanie zegara, który podawałby czas we wszystkich tych jednostkach jednocześnie, jest możliwe dopiero dziś, choć nasuwa się pytanie: co by nam to dało? Do czego było potrzebne? Już i tak przeliczanie dnia ludzkiego na dzień boski wymaga niepotrzebnej mitręgi. Wiemy wszak dzięki temu, że mieszkańiec pradawnych Indii zdawał sobie sprawę z istnienia różnych czasów. Czas niepodlegający fluktuacjom można było mierzyć jakimkolwiek metrem. Czas życia ludzkiego za każdym razem wybrzmiewał inaczej. Dlatego Kala w mitologii indyjskiej to także bóg Śmierci, Jama. Czas dany przez Brahmę każdemu stworzeniu ma swój własny bieg. Jama wysłała swoich agentów, żeby zabierali duszę do Jamapuri (Miasta Jamy).

5.

W starożytnych Indiach historia społeczna zaczyna się od Manu, ojca rodu, który tworzył plemię. Na stworzenie rasy ludzkiej potrzebny był okres zwany *manvantara*. Trwał 71 epok zwanych *mahayuga*, każda po 308 milionów lat. W każdym plemienu, poza pra-ojcem Manu, rodziło się siedmiu mędrców i jeden Indra.

Hinduski czas odpowiedzialny jest za brak historycznych zapisów w Indiach. Starożytni Indusi nie zapisywali iluzji. Wydarzenia nie miały znaczenia, jeśli nie miały znaczenia dla bogów.

Cóż to takiego – boski cykl? Jeśli człowiek trudził się i odpoczywał – Bóg musiał też czynić z przerwami to, co do niego należało. Postępował rzecz jasna inaczej i lepiej niż człowiek. Ale na swój sposób podobnie. Miał więcej mocy i możliwości. I inny budulec. Człowiek z wody nie robił (na razie przynajmniej) niczego.

Woda była jednocześnie i materią i metodą. Potop – wszędzie był jakiś potop – potwierdzał rolę tego żywiołu w historii społecznej ludzkości. W *Liście królów* czytamy:

Gdy królestwo zostało spuszczone z niebios...³³

*W Księdze królewskiej Ferdousiego natomiast:
 ...skąd biorą początek te wszystkie żywioły. Z nicności bowiem Bóg wszystko uczynił...*

Takie są cztery początki żywiołów, wyprowadzone bez trudu i czasu: ogień płonący się wzbijał nad ziemię, ciemną pomiędzy wodami i wiatrem...

I wzniosł się ogień, woda opadła...³⁴

Popularyzator wiedzy ezoterycznej Zacharia Sitchin sięga do astrofizyki sumeryjskiej, która jest wczes-

niejszą nauką od astronomii indyjskiej: „Początkiem czasu dla Ziemi była Niebiańska Bitwa”³⁵. Dziś powiemy, że to metafora Wielkiego Wybuchu. Być może sumeryjscy obserwatorzy nieba dostrzegli jakieś eksplozje (interpretowane w Indiach jako kosmogoniczne „wytryski”?) i ekstrapolując ich znaczenie założyli, że od czegoś takiego, absolutnie pierwszego zaczął się Wszechświat. Niemal zaraz po ułożeniu planet dookoła Słońca sumeryjski astronom zdał sobie sprawę z wagi liczby 12, eksponowanej także w innych kulturach. Dwanaście miesięcy i znaków zodiaku musiało mieć swoją liczbową praprzyczynę. Być może przyjęto założenie od tyłu, żeby wytłumaczyć powtarzalność liczby 432 000 w różnych religiach. Matematyka i astronomia indyjska, stojące zawsze na bardzo wysokim poziomie, nie dają żadnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego obecna epoka niezgody *kaliyuga* trwać będzie 432 000 lat ziemskich. Ale też w nauce indyjskiej daje się do zrozumienia, że jest jak jest, a dlaczego – to już nie nasza sprawa. Magia liczb nie jest nauką. Jeśli fakt da się zapisać liczbą, to dobrze. Jeśli liczbę ktoś chce nazwać symbolem faktu, to źle.

Tablica czasów kosmicznych przedstawia się następująco:

Artha Kalpa 4.32 bilionów (po polsku, 10 do potęgi 12) dzień Brahmę;

Kalpa 8.64 bln lat doba i noc Brahmę;

Mahayuga 4.32 mln lat wielka epoka złożona z czterech epok;

Kritayuga 1.728 mln lat złoty wiek prawdy;

Tretayuga 1.296 mln lat trzeci wiek;

Kaliyuga 432 000 lat wiek ciemności;

Manvantara 308 mln lat czas potrzebny na stworzenie rasy;

Rok Brahmę 3.1104 x 10 do potęgi 15 360 *Kalpas*.

Czas ziemski:

Kastha 15 mrugnięć oka;

Kala (mantra, śmierć) 30 *kasthas*;

Muhurtha (4 x 12) 48 minut;

Ahoratra (dzień i noc) 30 *muhurthas*;

Masa (miesiąc) 30 dni;

Pakhsa (połowa miesiąca) 15 dni;

Ayana (pół roku) 6 miesięcy;

Boski rok 360 lat.

Lata układają się w cykle po 60. Poprzedza to jak gdyby sześćdziesięciokrotny układ sekund, które tworzą minutę. Sanskryckie nazwy poszczególnych lat z cyklu 60 brzmią czasem jak metaforyczne definicje czasu, a niekiedy opisują zjawiska, które się wtedy zdarzyły. Ponadto – co już zupełnie nie ma związku z czasem – przypominają nazwy medykamentów z listy leków refundowanych. Choć kto wie. Czas jest wszak jednym z najbardziej wypróbowanych lekarstw.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

Fragmenty przygotowywanych do druku *Mitów indyjskich*. Książka ukaże się nakładem PIW.

³³ Za: Marian Bielicki, *Zapomniany świat Sumerów*, PIW, Warszawa 1969, s. 63.

³⁴ Ferdousi, *Księga królewska wybór*. Przełożył i opracował Władysław Dulęba, PIW, Warszawa 1981, s. 42-3.

³⁵ Zacharia Sitchin, *Kiedy zaczął się czas*, Wydawnictwo Prokop, Warszawa 2002, s. 12.

STANISŁAW GĘBALA

ŚWIAT ODWRÓCONYCH WARTOŚCI



„W ciągu całej historii nie żyliśmy, tylko starali się przeżyć” – to zdanie z *Notatek współuczestnika*, otwierających książkę *Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka* Swietłany Aleksijewicz¹, budzi moje zdziwienie, które oczywiście ani na chwilę nie podważa pewności, że to jedna z najważniejszych książek w literaturze europejskiej ostatnich lat. Jest to zdziwienie przedstawiciela narodu, zgłaszającego nieustanne pretensje do historii, że marginalizowała jego rolę i skazywała na ciągnące się przez długie stulecia pasmo cierpień, których sprawcą między innymi był tamten naród. I oto dowiaduję się, że on także czuje się równie dotkliwie – jeśli nie bardziej – skrzywdzony przez historię. W takim razie kto tę historię tworzył? Bez wątpienia narody – w przeważającej mierze te największe i najsilniejsze; to przecież elementarz wiedzy historycznej. Zatem: coś się nie zgadza w elementarzu.

A może tylko w moim rozumowaniu, utożsamiającym liczbę mnogą „my” („nie żyliśmy”) z pojęciem narodu, podczas gdy dla autorki owo „my” może obejmować tylko zbiorowość poszczególnych ludzi, którzy – nigdy nie zaznawszy życia wolnego od cierpienia – podnoszą to cierpienie do rangi najwyższej wartości nadającej życiu sens. Tak uruchamia się w ludzkim myśleniu mechanizm służący odwracaniu wartości, zamianie znaków „plus” i „minus”. Oto przykład rozumowania ukazującego działanie tego mechanizmu:

„Życie w Rosji powinno być złe, nędzne, wtedy dusza się uwzniośla, uświadamia sobie, że nie należy do tego świata... Im więcej brudu i krwi, tym więcej przestrzeni dla siebie ma dusza...” (s. 359).

A gdzie jest najwięcej brudu i krwi? Rzecz jasna, na wojnie; zatem ten mechanizm myślenia prowadzi wprost do apoteozy wojny, do szokującego w normalnym świecie wniosku, że wojna ucztowicza i nadaje życiu wartość:

„– Potrzebna wojna, może wtedy pojawią się ludzie. Mój dziadek mawiał, że ludzi widywał tylko podczas wojny. Teraz mało jest dobroci” (s. 392).

I jeszcze krótki dialog:

„– Co to jest wojna?

– Wojna jest wtedy, kiedy się chce żyć” (s. 442).

W cytowanych tu na wstępie *Notatkach współuczestnika* autorka stwierdza: „Człowiek chce dzisiaj żyć zwyczajnie, bez wielkiej idei. Czegoś takiego nigdy w Rosji nie było, nie zna tego nawet rosyjska literatura. Właściwie to jesteśmy ludźmi wojny. Albo braliśmy w niej udział, albo się do niej szykowaliśmy. Nigdy nie żyliśmy inaczej. To dlatego mamy psychikę żołnierzy” (s. 8).

Znów muszę zatrzymać się przy tym intrygującym „my”: „jesteśmy ludźmi wojny”. Jacy są właściwie ludzie wojny – dobrzy czy źli? Pod koniec książki Ira Wasiljewa, której film dokumentalny pokazała centralna telewizja, mówi: „Coś jest nie w porządku ze światem, w którym żyjemy. Jak w tym dowcipie: ludzie u nas są

¹ Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, przełożył Jerzy Czech.

dobrzy, tylko naród jakiś zły” (s. 487). Bardzo filozoficzny dowcip, który uświadamia nam, że ta sama zbiorowość może być różnie nazywana i skrajnie odmiennie oceniana.

A człowiek? Jednostka ludzka? Postępujemy Ludmiłą Malikowej (technolog, 47 lat): „Ludzie nie są zli ani dobrzy, są ludźmi i tyle. W szkole uczyłam się z radzieckich podręczników, innych jeszcze nie było. Dowiadaliśmy się, że »Człowiek to brzmi dumnie«. A człowiek nie brzmi wcale dumnie, brzmi różnie” (s. 355).

Radzieckie podręczniki (ludzie w moim wieku także uczyli się w dzieciństwie i wczesnej młodości z ich polskich tłumaczeń) programowo zacierały granicę między rzeczywistością a wizjami ideologów; między „jest” a „powinno być”. Gdyby Gorki napisał: „Człowiek – to powinno brzmieć dumnie”, zapewne wszyscy byśmy się z nim zgodzili – ale on zakłamał rzeczywistość; przede wszystkim rzeczywistość własnego kraju, w którym skrajnie udręczeni i upodleni ludzie śpiewali na rozkaz: „Ja drugiej takiej strony nie znajduję, gdzie tak wolno dyżurzył człowiek”.

Jednak ci ludzie – z pewnością nie wszyscy, ale wielu z nich, jak się dowiadujemy z ich własnych opowieści – to upodlenie i udręczenie uznali za wartość potęgującą ich duchowość, intensyfikującą życie uczuciowe. Postępujemy jeszcze fragmentu opowieści Iry Wasilijewej o jednej z przyjaciółek głównej bohaterki jej filmu: „Była nauczycielką matematyki, ale w szkole płacili tak nędźnie, że odeszła. Miała trójkę dzieci, które prosiły: »Mamo, pójdziemy do piekarni, powąchamy chleb«. Chodzili wieczorem, żeby ludzie nie widzieli. Teraz Ira pracuje w piekarni tak jak Lena, i cieszy się, że przynajmniej chleba jej dzieci najedzą się do syta. Kradną... Wszyscy tam kradną i tylko dzięki temu żyją. Życie jest potworne, nieludzkie, a dusza żyje. Musiałaby pani posłuchać, o czym te kobiety rozmawiają... Nie uwierzyłaby pani! Rozmawiają o miłości. Bez chleba można żyć, ale bez miłości – nigdy...” (s. 475/476).

To wstrząsające słowa, wywołujące skurcz w gardle – ale także szczególnie niepokój, że ci udręczeni ponad wszelką miarę ludzie patrzą na nas, żyjących w innym świecie (normalnym?), z pewną wyższością, a może nawet pogardą, jako na istoty przyziemne, niezdolne do najwyższych wlotów duchowych i poświęceń. Między tymi dwoma światami rozwiera się przepaść – po tamtej stronie oni, żyjący ideałami i ideałami, pragnieniem absolutu; po tej my, z naszą emocjonalnością zredukowaną do odczuwania przyjemności i przykrości. Konflikt między nami i nimi dochodzi już do punktu, w którym zastanawiamy się wzajemnie, czy tamci zasługują jeszcze na miano ludzi. Rośnie wzajemne poczucie obcości. Chyba zbędne jest dopowiedzenie, że owe dwa światy istnieją także w samej Rosji.

Przykład – oczywiście z kolejnej opowieści: „Tato był własnością idei, nie był człowiekiem” (s. 398). Ów „tato”, którego człowieczeństwo kwestionuje syn – „żołnierz, przedsiębiorca, emigrant”, był zastępcą dowódcy do spraw politycznych w pułku lotniczym. Z *Opowieści o prawdziwym człowieku* Borisa Polewoja uczynił coś w rodzaju domowej biblii, którą kazał czytać codziennie swoim synom, mającym wówczas lat osiem i dziewięć. Ta ojcowska szkoła fanatycznego patriotyzmu miała uczynić z synów przyszłych wojennych bohaterów („Tato marzył, żeby rzucić nas pod czołg...”). Omal zresztą nie doprowadziła młodszego z nich do śmierci – ale nie takiej, o jakiej marzył „tato” („Pierwszy raz miałem ochotę się powiesić, kiedy miałem siedem lat...”).

W książce Swietłany Aleksijewicz są przynajmniej dwa wyjątkowo odrażające portrety fanatyków w mundurach (z oficerskimi dystynkcjami, ma się rozumieć). Jeden jest nawet autoportretem katar, prezentowanym również przez człowieka w mundurze, ale młodszego o dwa pokolenia, który w dodatku przeżył wojnę w Afganistanie. Opowieść katar opuszczam, bo trzeba by ją przytoczyć w całości, a to, rzecz jasna, niemożliwe; zacytuję tylko jedno zdanie słuchacza tej opowieści: „Po tym wszystkim, czego się dowiedziałem o ludziach, boję się siebie”

(s. 304) – ono bowiem pozwala zrozumieć słowa, które padły wcześniej: „u nas kaci i ofiary to są ci sami ludzie” (s. 285).

*

„Chodzę i chodzę po kręgach bólu. Nie mogę się wyrwać” (s. 379) – pisze w jednym z nielicznych obszerniejszych komentarzy Swietłana Aleksijewicz. Zwykle jednak ogranicza się do zwięzłych informacji o zachowaniach czy sposobie mówienia ludzi chyba już na zawsze uwięzionych w swoich kręgach bólu.

Krąg – to figura geometryczna, która zdaje się określać strukturę tamtego świata. Czas nie biegnie w nim po linii prostej, co umożliwiałoby osiągnięcie jakichkolwiek indywidualnych celów, ale zatacza kręgi, zamykające człowieka w poczuciu beznadziei i bezwysięciości. Takie linie proste, usiłujące je rozerwać, kreśliła przez całe stulecia wielka literatura rosyjska, którą teraz niektórzy autorzy opowieści zebranych w książce oskarżają o budzenie wśród czytelników marzycielstwa obezwładniającego naród i w rzeczywistości uszczelniającego przeklęty krąg, albo – co gorsza – popychającego w stronę realizacji utopijnej wizji, której potwórna cena po dziś dzień nie została dokładnie obliczona. Zostały jednak w pamięci złowrogie hasła-drogowskazy – jak to na bramie obozu na Wyspach Sołowieckich: „Żelazną ręką zapędzimy ludzkość ku szczęściu” (s. 318).



„Książki zastąpiły nam życie. To był nasz świat” (s. 171) – mówi ktoś z przyjaciół Igora Pogłazowa, 14-latek, który zapowiadał się na poetę, ale od dziecka marzył o bohaterskiej śmierci; a nie mogąc się jej doczekać – wybrał samobójstwo. Jak do tego doszło – usiłuje dociekać jego matka, nie szczędząc sobie samej oskarżeń. W pewnej chwili jednak – w „ataku hysterii”, jak mówi – rzuca najcięższe oskarżenia swojej ukochanej mamie: „Ty łamago jedna, tołstojówko! Wychowałaś dziwolągi, takie jak ty sama! Cośmy przez całe życie od ciebie słyszeli? Trzeba żyć dla innych, dla wzniosłego celu... Rzucić się pod czołg, spłonąć w samolocie za Ojczyznę. Gromy rewolucji... bohaterka śmierć... Dla ciebie śmierć była zawsze piękniejsza od życia. Wyrosliśmy na dziwadła, na monstra. Igorka też tak wychowałam. To ty jesteś wszystkiemu winna! Ty!” (s. 157). Nieco dalej rozszerza to oskarżenie: „Taka była nie tylko mama, ale wszyscy jej przyjaciele – pierwsi inteligenci radzieccy, wychowani na Czernyszewskim, Dobrolubowie, Niekrasowie... na marksizmie...”.

W przeważającej mierze bohaterami tej książki są przedstawiciele ostatniego pokolenia radzieckich inteligentów – tego, które zdegradowała pierestrojka. Z dnia na dzień ludzie z tytułami naukowymi, pracownicy wyższych uczelni stawali się bezdomnymi pozbawionymi środków do życia. Z konieczności imali się najrozmaitszych zajęć, byle przeżyć. Córka Ludmiły Malikowej opowiada, jak jej mama („technolog – 47 lat”) znalazła pracę: „Zobaczyłam ogłoszenie na parkanie: »Potrzebna sprzątaczką z wyższym wykształceniem«” (s. 357).

Opowieści bohaterów *Czasów secondhand* mają nierzadko sugestywność wielkich monologów szekspirowskich. Niech pozostanie tajemnicą warsztatu pisarskiego Swietłany Aleksijewicz, w jaki sposób spisywane po prostu z taśmy albo notowane ręcznie (co wielokrotnie podkreśla – wyróżniając kursywą każdą własną informację czy komentarz) stają się od razu wspaniałą prozą, wielką literaturą.

Może jednak nie ma tu żadnej tajemnicy, bo wyjaśnienie jest najprostsze. W opowieści matki wspomnianego już młodego żołnierza, który przeżył wojnę w Afganistanie, padają takie słowa: „Tyleśmy przeżyli, a nie ma komu opowiedzieć. Opowiadałyśmy sobie nawzajem...” (s. 283). Kobieta jest byłą więźniarką obozu w Karagandzie. Chce go zobaczyć po latach, ale obozu już nie ma – zniknął wraz z ZSRR. W pociągu rozmawia z nauczycielką z Ukrainy, która drugi raz jedzie do Karagandy szukać grobu swego ojca. Dla młodego chłopca – osiemnasto- a może dwudziestolatka, współtowarzysza podróży – są pewnie tymi dziwnymi ludźmi z innego świata, którzy przyjeżdżają rozmawiać z kamieniami; jak mówią o nich mieszkańcy tamtej ziemi nasiąkniętej krwią.

Syn-były żołnierz nieco dalej rzuca uwagę, która brzmi jak ironiczne echo słów matki: „Wszyscy dzisiaj chcą mówić, a nikt nikogo nie słyszy...” (s. 295). Niektórzy z nich zapewne szlifowali latami swoje opowieści, które mogły być wyłącznie monologami wewnętrznymi – a gdy wreszcie mogłyby wybrzmieć głośno, okazało się, że nie mają słuchaczy. Niewątpliwą zasługą Swietłany Aleksijewicz jest znalezienie zarówno owych wytrwałych i utalentowanych szlifierzy jak i słuchaczy

– oraz wykazanie, że ci drudzy stanowią ogromną wielojęzyczną rzeszę.

Warto zresztą uważnie przeczytać, jak ona sama pisze o tych zdumiewających momentach, kiedy w słuchanej właśnie opowieści życie przechodzi w literaturę. W tym wypadku była to opowieść o miłości:

„Zdzwoniliśmy się i spotkali. Był szczęśliwie zakochany i mówił o miłości. Początkowo nawet nie pomyślałam, żeby włączyć dyktafon i utrwalić moment przejścia życia, po prostu życia – w literaturę. Ten moment zawsze staram się uchwycić w rozmowie, wszystko jedno czy z jedną osobą, czy w większym gronie, ale czasem tracę czujność, a »kawałek literatury« może błysnąć wszędzie, niekiedy w najbardziej niespodziewanym miejscu. Tak jak tym razem” (s. 408).

Ale takie opowieści są rzadkością w kręgach bólu, po których wędruje. Po jednym z nich prowadzi ją nasza rodaczka, pisarka Maria Wojcieszonek. Ową wędrowną zamykają m. in. słowa mówiące właśnie o czekaniu na słuchacza i o tym codziennym powtarzaniu – jakby słów modlitwy: „Cierpienie mnie wychowało... To właśnie jest moja twórczość... Moja modlitwa. Ileż razy chciałam komuś to wszystko opowiedzieć. Wygadać się. Ale nikt nigdy mnie nie poprosił: »A dalej... co dalej?«. A ja cały czas czekałam na ludzi, czy dobrych, czy złych, tego nie wiem, ale czekałam na ludzi. Całe życie czekam, że mnie ktoś znajdzie. Ja mu wszystko opowiem... i on wtedy zapyta: »No, a co dalej?«” (s. 254).

To pytanie o metafizyczny sens cierpienia, o Boga. Maria Wojcieszonek oglądała Go jako udreżone ponad wszelką miarę dziecko – w osobie salowej z izby dziecka, obcej kobiety, która przytuliła ją mówiąc: „Moje ty pisklątko”.

*

Na zakończenie tego omówienia, które właściwie jest kompilacją cytatów, muszę przytoczyć jeszcze trzy. Pierwszy to tytuł rozdziału mówiącego o czasie, który ciągle trwa: „**O czasie, w którym każdy, kto zabija, myśli, że służy Bogu**” (s. 255). Zawiera opowieść Olgi W. – topografki, lat 24, Rosjanki urodzonej w Abchazji, o wojnie Gruzinów i Abchazów; opowieść tak przerażającą, że musi od czasu do czasu uciekać w tzw. czarny humor: „Mama chodziła do sąsiadów i wracała za każdym razem przerażona:

– W Gagrze spalono cały stadion Gruzinów.

– Mamo!

– A jeszcze mówili, że Gruzini kastrują Abchazów.

– Mamo!

– Zbombardowali klatkę z małpami... W nocy Gruzini kogoś ścigali, bo myśleli, że to Abchaz. Był ranny, krzyczał... Gdy z kolei Abchazi na niego się natknęli, myśleli, że to Gruzin. Dogonili go, strzelali. Nad ranem zobaczyli, że to ranna małpa. Wtedy wszyscy, Gruzini i Abchazi, ogłosili zawieszenie broni i rzucili się, żeby ją ratować. Człowieka by zabili...” (s. 262-263).

I już ostatni cytat – sucha informacja pisarki, wyróżniona jak zwykle kursywą:

„Pół roku później dostałam od niej list: »Idę do klasztoru. Chcę żyć. Będę się modliła za wszystkich«” (s. 268).

STANISŁAW GĘBALA

MARIAN STĘPIEŃ

OBOWIĄZEK I PRAWO OCENY

(O STANISŁAWIE BACZYŃSKIM)

Ojciec poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Stanisław Baczyński urodził się we Lwowie w 1890 roku. Był synem krawca, uczestnika powstania styczniowego. Podczas pobierania nauki w VI c. k. Gimnazjum należał do tajnej organizacji socjalistycznej młodzieży szkół średnich „Promień”. Pozostawała ona w kręgu ideowych wpływów Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska. Wydawany dla niej miesięcznik „Promień” miał na okładce motto z parafrazą słów Zygmunta Krasińskiego: „Młodość życia jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały”. Były w nim artykuły m. in. Józefa Piłsudskiego, Karola Radka, Feliksa Kona.

Lwowska organizacja „Promienistów” liczyła w 1905 roku około trzystu członków w wieku od piętnastu do dwudziestu lat. Wśród instruktorów przychodzących do nich z nauką i ideologią byli: Stanisław Kot, późniejszy profesor pedagogiki na Uniwersytecie Jagiellońskim, Marian Kukiel, późniejszy generał, Karol Radek, późniejszy działacz komunistyczny, ofiara procesów stalinowskich.

Członków „Promienia” obowiązywały zasady: wzajemne zaufanie, obrona słabszego, koleżeńska solidarność, samodzielne zdobywanie wiedzy, szacunek dla pracy, wrażliwość na problemy społeczne, działanie zgodne z własnym sumieniem, dążenie do jaśniejszej, postępowej przyszłości, do której droga prowadziła przez uzyskanie niepodległości państwa polskiego. Z kręgu „Promienistów” wyszli między innymi: Adam Próchnik, Stefan Jaracz, Bolesław Drobner; również Edward Rydz-Śmigły.

W czasie rewolucyjnych wydarzeń 1905 roku Baczyński miał 15 lat. Występował na wiecach, uczestniczył w demonstracjach, angażował się w czynną działalność niepodległościową. Brał udział w ruchu anarchistycznym, przemycił do Rosji materiały wybuchowe, współpracował z eserowcami przy produkcji bomb dla zamachowców. Razem z grupą „Promienistów” naruszył zakaz uczestniczenia młodzieży szkół średnich w demonstracjach politycznych i przyłączył się do pierwszomajowej manifestacji robotniczej, co wywołało wszczęcie dochodzenia przeciw inicjatorom tego czynu. Baczyński całą winę brał na siebie; został wyrzucony ze szkoły. Dzięki staraniom podjętym w jego obronie powrócił do niej i mógł zdać maturę.

W pracy samokształceniowej „Promienistów” podstawową rolę odegrał tom V sławnego *Poradnika dla*

samouków poświęcony naukom przyrodniczym. Wśród ich lektur była broszura Jana Młota *Kto z czego żyje*, Fryderyka Engelsa *Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa*, Karola Marksa i Fryderyka Engelsa *Manifest komunistyczny*. Karola Marksa *18 Brumaire’a*, Karola Kautsky’ego *Zasady socjalizmu*, Kazimierza Kelles-Krauzza *Materializm ekonomiczny*, Ernesta Renana *Życie Chrystusa*, dzieła Herberta Spencera, Karola Darwina, Henry’ego Buckle’a. Czytano „Chimerę”, „Życie” (Iwowskie), „Krytykę” Wilhelma Feldmana, broszury wydawane przez lwowską „Latarnię”.

Już w latach szkolnych pisał Baczyński rozprawki, wygłaszał odczyty. Przedstawiał w nich socjalizm jako jedyną drogę prowadzącą do niepodległości Polski i zapewniającą wyjście z przysłowiowej nędzy galicyjskiej. W 1908 roku opublikował broszurę *Walka o wolną szkołę jako kwestia społeczna*, w 1913 – młodzieńczą powieść *Wiszary*.

Podczas filozoficznych i polonistycznych studiów na Uniwersytecie Jana Kazimierza, wraz z kilkoma przybyszami z Królestwa Polskiego zaczął w 1909 roku wydawać tajne pismo o charakterze anarcho-syndykalistycznym, działał w Stowarzyszeniu Polskiej Młodzieży Akademickiej „Życie” i w Towarzystwie „Kultura”, prowadził akcję odczytową wśród robotników, zamieszczał artykuły publicystyczne na łamach „Prawdy” Aleksandra Świętochowskiego, Iwowskiego „Życia”, *Rydwana*”, „Tygodnia”, „Sztuki”, „Nowej Gazety”, „Myśli Polskiej”.

Największe poruszenie młodych umysłów wywoływały teksty Stanisława Brzozowskiego. To on był właściwym nauczycielem lwowskiej młodzieży socjalistycznej. Początkowo dyskutowano w Czytelni Akademickiej o jego artykułach, potem ożywione, pełne pasji debaty wywoływała lektura książki o współczesnej powieści polskiej, tekstów o Henryku Sienkiewiczu, *Legendy Młodej Polski*, *Ideji*, i *Płomieni*.

„Od razu jednak trzeba powiedzieć, że chociaż dyskutowano wiele na temat specyficznie przez niego pojętego socjalizmu, to jednak nie te sprawy zdecydowały głównie o jego roli jako nauczyciela młodzieży. Przede wszystkim zwracał uwagę ton jego książek: uporczywe odwoływanie się do sumienia pisarskiego, nawoływanie do czynu, utworzenie z pracy i swobody jakiegoś bożka decydującego o wartości dzieła – jednym słowem, społeczne kryteria oceny dzieł literackich

i artystycznych. To oczywiście urzekło młodych czytelników¹.

Brzozowski był dla nich przewodnikiem po obszarach współczesnej światowej myśli filozoficznej i literackiej. Informował o twórcach francuskich, angielskich, amerykańskich. Otwierał szerokie horyzonty przed polską młodzieżą wychowaną na tradycjach Młodej Polski, na austriackim i niemieckim modernizmie. W dziełach Brzozowskiego spotykała się ona z filozofią pracy, dowiadywała się o Łunaczarskim, Hercenie, Dobrolubowie, Bergsonie, Sorelu, Jamesie, Crocem. Brzozowski „zniewalał do czytania wspomnianych przez niego pisarzy i filozofów; do czytania ich w oryginale. Studiowanie tych dzieł zmuszało do porządkowania własnych myśli i dalszego samodzielnego dociekania. I to właśnie stanowiło o roli Brzozowskiego jako nauczyciela młodzieży²”

Jej normalne życie przerwała wojna światowa. Baczyński już przed rokiem 1914 wstąpił we Lwowie do Związku Strzeleckiego. Był szefem żandarmerii strzeleckiej i kierownikiem laboratorium materiałów wybuchowych. Początek wojny zastał go w Warszawie, gdzie prowadził akcję dywersyjną na tyłach rosyjskiej armii, za co został aresztowany w październiku 1914 roku. Udało mu się zbiec z więzienia i przedostać do Legionów Józefa Piłsudskiego. Był w sztabie I Brygady, a od września 1915 roku – w I pułku ułanów Władysława Beliny-Prażmowskiego. Ranny w bitwie nad Stochodem, po rekonwalescencji działał w Warszawie konspiracyjnie w Polskiej Organizacji Wojskowej.

W 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego, brał udział w walkach przeciwko bolszewikom na froncie białoruskim. Od września 1919 roku został przydzielony do II Oddziału Sztabu Generalnego, sławnej „dwójki” zajmującej się wywiadem i kontrwywiadem, głównie przeciw Rosji i Niemcom. Został oddelegowany do ochrony delegacji polskiej na tajne rokowania pokojowe z Rosjanami (delegacji rosyjskiej przewodniczył Julian Marchlewski).

W grudniu 1919 roku objął kierownictwo wydziału plebiscytowego na Śląsku Cieszyńskim, na Spiszu i Orawie, a od lipca 1920 ponownie walczył na froncie polsko-rosyjskim. Po zawieszeniu broni został przeniesiony na Górny Śląsk, do pracy w POW. Był szefem oddziału do spraw operacyjnych w Dowództwie Obrony Plebiscytu na Górnym Śląsku. Organizował i dowodził Robotniczymi Oddziałami Destrukcyjnymi podczas trzeciego powstania śląskiego. W randze porucznika, w krótkim czasie zdołał zorganizować trzydziestotysięczną armię złożoną z robotników. Jego sukcesy na tym polu wywoływały niechętnie mu odruchy ze strony „piłsudczyków”. Miał też on do nich duże pretensje. O to, że zamiast pilnować tego, co dzieje się na Śląsku, myślą o obszarach na Wschodzie i o ich interesach. Krytycznie ocenił wyprawę Józefa Piłsudskiego na Kijów. We wrześniu 1921 roku zakończył swą karierę wojskową. Na własną prośbę przeszedł do rezerwy³.

W 1925 roku wyjechał do Paryża. Stamtąd – do Grecji, Turcji, Palestyny, Egiptu. Po powrocie do kra-

ju, w którym podczas jego podróży dokonał się przewrót majowy, Baczyński odmówił dalszej współpracy z uwielbianym dawniej Naczelnikiem. Zerwał definitywnie z wojskiem, złożył mundur i szablę. Andrzej Kijowski w przedmowie do *Pism krytycznych* napisał, że Baczyński mógłby być przykładem bohatera „wiernie stojącego u boku wodza pomimo wszystkich oporów i skrupułów⁴”. Nie jest to opinia trafna. Niejednokrotnie mówił, że zawiódł się na służbie legionowej. Przeżył duże rozczarowanie, gdy po odzyskaniu niepodległości Piłsudski odszedł od ideałów socjalistycznych. Swoje nadzieje związał z ruchem robotniczym⁵. Był zawsze wierny sobie, nie uznawał żadnych autorytetów, również Piłsudskiemu nie oszczędził cierpkich uwag⁶.

Baczyńskiemu od młodości bliskie były ideały socjalistyczne. One skłaniały go do trwania przy Józefie Piłsudskim tak długo, jak długo walczył on o niepodległość Polski w duchu Polskiej Partii Socjalistycznej. Przeżył srogi zawód, gdy od tych ideałów Piłsudski odszedł. Nie przystał do troszczących się o swą karierę i gotowych pójść na różne kompromisy. Rozstał się z Komendantem. Szedł własną drogą wierny swoim zasadom. Gdy czyta się jego artykuł *Godność człowieka* poświęcony Andrzejowi Strugowi, ma się wrażenie, że pisząc go myślał też o sobie:

„Literatura nie stanowiła dla niego celu samego w sobie, była narzędziem wyrazu dla jego człowieczeństwa, jego poczucia godności ludzkiej, którą stawiał ponad wszystko. [...] Z światłem absolutnej wiary w duszy opierał się przelotnym zmianom koniunktury politycznych, pogardał karierowiczostwem, minoderią, przystosowywaniem się oraz wszelką chwiejnością życiową. Toteż w czasach Polski Niepodległej przecierpiał najwyższą chyba gorycz zawodu [...]. Idealizm Struga nie był filozofią – był atmosferą jego duszy. Materializm socjalistyczny był z tą atmosferą sprzeczny. Dlatego socjalizm Struga, podobnie jak Żeromskiego, wpływał raczej z oczywistych kontrastów życiowych, ze świadomości panowania krzywdy w ustroju kapitalistycznym, z reakcji uczuciowej na podeptaną godność ludzką – był socjalizmem humanitarnym – nie racjonalistycznym. Rozumiał jednak Strug siłę idei socjalistycznej, jej klasowość, toteż do końca widział w proletariacie główny czynnik odmiany i nie wysiadł na przystanku »Niepodległość« [...].

Drogi jego rozeszły się z drogami towarzyszy broni, gdy zauważył, że ambicje osobiste i błyszcząca kariera zatarła w nich poczucie odpowiedzialności za czystość idei, którym przysięgali niegdyś »wierna służbę«. Przetrawił z godnością kryzys idei legionowej jako najświetniejszy z nielicznych, którzy z nim przetrwali⁷.

Wychowany na tradycjach niepodległościowych był Baczyński zdecydowanym przeciwnikiem Narodowej Demokracji. W związku z książką Władysława Poboga-Malinowskiego *Narodowa Demokracja 1887–1918* pisał: „Narodowa Demokracja. Chcąc z nią walczyć, nie należy przystosowywać się do jej demagogicznych haseł i przeciwstawiać im głębokich argumentów ide-

¹ Edmund Semil, *Ojciec i syn. W: Żołnierz, poeta, czasu kurz... Wspomnienia o Krzysztofie Kamiliu Baczyńskim*. Wydanie III rozszerzone. Pod redakcją Zbigniewa Wasilewskiego. Kraków 1979, s. 22.

² Tamże, s. 23.

³ Zob. Wiesław Budzyński, *Co noc ktoś do drzwi kołaczę*, „Życie Warszawy”, 12-15 VIII 1989.

⁴ Stanisław Baczyński, *Pisma krytyczne*. Wyboru dokonał i wstępem poprzedził Andrzej Kijowski. Warszawa 1963, s. 10.

⁵ Zob. Edmund Semil, *Stanisław Baczyński (Krytyk zapomniany 1890-1939)*. „Twórczość 1960, nr 9.

⁶ Zob. Stanisław Płoski (Stanisławski), *Stanisław Baczyński*. „Lewy Tor” 1945, nr 2.

⁷ S. Baczyński, *Godność człowieka*. „Sygnały”, 1 II 1938.

owych, wystarczy ujawnić za pomocą faktów, że wszelkie jej hasła i wszelka pozorna ideologia pochodziły i pochodzą z mętnych bagienek szachrajstwa politycznego, z interesu jednej, zwartej, pozbawionej idealizmu, a przywiązanej tylko do koryta warstwy społecznej, która zawsze i wszędzie gotowa była poświęcić każdy ideał i znaleźć odpowiednio dywersyjne, płytkie hasło dla zachowania swego stanu posiadania [...]. Narodziła się Demokracja zjawia się jako nieodrodna dziedziczka Targowicy, ugody reakcji i tej ruiny mieszczańsko-feudalnej moralności, która nie tylko sprowadzała, ale podtrzymywała i utwierdzała niewolę Polski⁸.

Po rozejściu się z Piłsudskim i służbą wojskową zwrócił się Baczyński ku sprawom literackim, które go zawsze interesowały. Jeszcze przed wybuchem wojny, w 1914 roku opublikował w „Prawdzie” artykuł, napisany pod wyraźnym patronatem Stanisława Brzozowskiego, *Uwodzicielstwo z musu i obłudy*. Niektóre jego fragmenty uderzają swą aktualnością:

„Každy pisarz w Polsce, by zyskać prawo istnienia, ulega z konieczności podsuwanej sobie roli uwodziciela. Żąda się od niego nie ludzi, lecz ludzkości, nie idei, lecz Polski, nie przeżyć lecz absolutu. Wyciąga się ręce ku nie istniejącym chimerym, i pogrążeni po szyję w błocie chwalimy swojskie niechlujstwo i beztroską religijność uczuć. [...] Polska dzisiejsza, od stu lat nawykła do muzyki chocholich patyków, stąpa w śnie hipnotycznym, utulając się modlitwą i złorzeczeniem swych królów-wieszczów⁹.”

W latach 1917–1918 uczył literatury polskiej w warszawskich gimnazjach, wydał popularne broszury o Adamie Mickiewiczu, Juliuszu Słowackim i Zygmuncie Krasińskim. W 1918 roku opublikował *Literaturę Polski porozbiorowej XIX i XX wieku*, a w 1924 – *Literaturę piękną Polski porozbiorowej (1774–1863)*. Pisała o niej Maria Dąbrowska: „Leży przede mną podręcznik literatury polskiej pióra St. Baczyńskiego. Rzecz opracowana przez kogoś młodego, skądinąd podręcznik bardzo dobry, uwzględniający wiele nowych poglądów na literaturę, ze wszech miar godny polecenia”. Nie zgadzała się z nim wszakże w sposobie odczytania *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza. Baczyński – zdaniem Dąbrowskiej – sprowadzał „przepyszne postaci” Rejenta i asesora do oficjalnej poprawności. Pisarka natomiast – widziała w nich „odtworzenie warcholstwa, burdy, zaściankowości, przesądów, miłostek, polowań, rozkosznych przyjemności stołu, prywaty, a nawet małodusznego przystosowywania się do niewoli¹⁰.”

W 1923 roku wydał tom publicystyki literackiej *Sztuka walcząca*. Jej rozdział poświęcony Brzozowskiemu zatytułował *Sumienie intelektu polskiego*. Jego umysłowość wyprowadzał z epoki, w której wystąpiły wątpliwości dwóch pokoleń: pozytywistycznego i modernistycznego. W pismach Brzozowskiego znajdował syntezę tendencji znamienych dla ideowej i emocjonalnej atmosfery ostatnich dziesięcioleci XIX wieku. Baczyński przedstawiał je antynomicznie. Widział w niej urzeczywistnianie marzeń pozytywistów i wpływy modernizmu, budzące tendencje indywidualistyczne i romantyczną swobodę osobowości. W ruchu so-

cialistycznym spod znaku PPS, do której sam należał, widział dążność jednoczącą walkę ekonomiczną proletariatu z programem walki o niepodległość narodową. A także współpracę w tej walce z narodem rosyjskim.

Rezultat spotkania osobowości Brzozowskiego z polską rzeczywistością postrzegał w wymiarach tragicznych. Tragizm ten był wynikiem zetknięcia się szczególnie chłonnego umysłu, świadomego rozległych perspektyw kultury Zachodu z „niedołęstwem polskim w dziedzinie myśli filozoficznej¹¹”. W otwartym chłonnym stosunku Brzozowskiego do różnych nowo poznawanych idei i propozycji filozoficznych, Baczyński nie widział przypisywanego Brzozowskiemu eklektyzmu, lecz pasję i żywość umysłu publicysty, który uznawał „każdą filozofię, torującą człowiekowi drogę do poznania całokształtu bytu¹².”

Później Baczyński odchodził od wskazówek Brzozowskiego. Zwracał się ku filozofii Karola Marksa i praktycznemu działaniu na rzecz klasy robotniczej zgodnemu z ideologią socjalizmu. W rozwoju poglądów Baczyńskiego dużą rolę odegrał ten dziesięciolecie katalizm, jakim była wojna światowa. To doświadczenie przyniosło kres myślenia romantycznego, „bankructwo pięknoduchów modernizmu¹³”, potrzebę skupienia się na realnych wysiłkach.

Wszelka twórcza działalność człowieka, a więc także twórczość artystyczna i literacka była dla Baczyńskiego czynem, „przystankiem twórczym” w dążeniu do realizacji pełnych możliwości człowieka. O ich walorach i sile świadczy kierunek, w jakim ruch myśli jest zwrócony, by oddziaływać na postawę odbiorców dzieł literackich. Takie spojrzenie na istotę dzieła literackiego pozwalało – zdaniem Baczyńskiego – odkrywać prawdziwe wartości dzieła, a także zająć właściwe stanowisko wobec zawartej w nim tendencji. Wprowadził opozycję między kierunkiem a tendencją. „Obecność kierunku daje miarę napięcia energii, świadczącej o żywotności i dalszym rozwoju twórcy, jest sygnaturą jego wewnętrznego życia ideowego, tendencja natomiast jest przypadkowością, aktualnym, zestrojeniem się z przemijającymi wpływami z zewnątrz, przez chwilową przewagę okrada duszę ludzką z kierunkowego napięcia, obniżając swe znaczenie aktualne [...] Literatura piękna najłatwiej ulega wahaniom między tendencją a kierunkiem. Pierwsza narzuca się z nieogledną bezpośredniością polemicznej zaciekleści, drugi milknie często, zmiażdżony gwałtem aktualnych nastrojów, zza których przelotnie tylko wyblyskuje indywidualność artysty”.

Tendencja wyraża oczekiwania społeczeństwa. Kierunek reprezentowany przez artystę wchodzi w konflikt z tendencją, bo – jego zadaniem – nie jest schlebienie społeczeństwu, stosowanie się do jego oczekiwań, powielanie łatwych do zaakceptowania, utartych stereotypów. Artysta im się przeciwstawia, wskazuje drogę do pełnej samorealizacji, co dla Baczyńskiego znaczyło przeciwstawienie się kultowi narodowego cierpienia, łatwemu patriotyzmowi, mesjanizmowi. Przyznawał, że kiedyś były to rzeczy piękne szlachetne, konieczne, uwarunkowane historią narodu, ale „dzisiejsze naśladownictwo mesjanistycznych posłańców ośmieszają

⁸ S. Baczyński, *Narodowa Demokracja*. „Wiadomości Literackie”, 1933, nr 46.

⁹ Stanisław Baczyński, *Pisma krytyczne...* Jw. s. 39.

¹⁰ Maria Dąbrowska, *O „Panu Tadeuszu”*. Z powodu artykułu J. N. Millera. „Wiadomości Literackie” 1925, nr 15.

¹¹ *Pisma krytyczne...* Jw. 46.

¹² Tamże, s. 49.

¹³ Tamże, s. 95.

i degradowały literaturę naszą do rzędu niezdolnych pod względem rozwoju¹⁴.

Swymi tekstami walczyli o „uwolnienie się z mętnych źródeł mesjanistyczno-teozoficznej fantazyjnej blagi apostołów alchemii narodowej, którzy wydziedziczą intelekt polski z krytycyzmu przez utwierdzenie wiary w jego świętą prostotę i niewiedzę¹⁵”.

Toteż, chociaż uznawał talent i artyzm Stefana Żeromskiego, przypisywał mu służenie złej tendencji, widział w nim pisarza niezdolnego do kształtowania przyszłości Polski, który zamiast dzieła o perspektywach jej rozwoju podsuwał czytelnikowi fantastyczne eksperymenty w rodzaju kasetki Dana i aeroplanu Rozłuckiego.

W *Sztuce walczącej* opowiedział się Baczyński po stronie nowych poszukiwań artystycznych w literaturze. Jego zdaniem dziejowe kataklizmy, w tym głównie pierwsza wojna światowa zlikwidowały wszelki romantyzm, obnażyły jałowość cierpiętnictwa narodowego, ujawniły bezradność „pięknoduchów modernizmu”, zmusiły skierowanie myśli ku realnemu wysiłkowi, do powrotu do pracy organicznej.

Wychodził naprzeciw nowym zjawiskom w sztuce będącym wyrazem poszukiwań nowej treści i odpowiadającej im formy; przynoszącym również nową etykę. Z zainteresowaniem, aprobatą obserwował włoski futurizm. Zwalczał impresjonizm, który „ograniczał się do utrwalenia fragmentów przeżycia, odcinków świadomości [...], kopiował zjawiska [...]. Impresja, czyli wrażenie, była ujęciem zjawiska w ramy stanu psychicznego [...]. Stan psychiczny wyrażał się tu w szablonowym kształcie zewnętrznym, był kopią wrażenia myślowego, zabarwioną indywidualnymi cechami przeżycia twórcy, które zależały przeważnie od oka, ręki i tzw. wyczucia¹⁶”.

Sztuka według Baczyńskiego wynika z czynnej postawy artysty, który wprowadza nowe fakty ujęte w nową formę, niemającą nic wspólnego z kształtami, jakie dotąd istniały. Nowa sztuka nie usiłuje naśladować rzeczywistości za pomocą technicznego rzemiosła, wyzwała natomiast twórczą energią artysty, stwarza świat nowy, nie jest przetwarzaniem rzeczywistości ani jej naśladownictwem.

Pogłębioną analizę filozoficzną i estetyczną kierunków awangardowych dał Stanisław Baczyński w szkicu *Sztuka walcząca*¹⁷.

Z pozycji swej wizji przyszłości, rozwoju literatury nowych czasów oceniał nowatorskie pomysły najmłodszej poezji polskiej w książce *Syty Paraklet i głodny Prometeusz*¹⁸. Była próbą bilansu rozwijającej się po wojnie młodej poezji i wypowiedzi programowych. Z wyrozumiałością traktował skrajne pomysły, jak na przykład odejście od zasad polskiej ortografii przez Brunona Jasiońskiego i innych futurystów. Znajdował bowiem w ich utworach „rewolucyjny rozpęd”, niweczący szablonową tradycję, porzucający dotychczasowe komunały w poszukiwaniu nowych treści i odpowiadającej im formy, które wychodziły naprzeciw nowoczesnej cywilizacji z mechaniką, ruchem, elektrycznością, aeroplanem, kinematografem, ludem miejskim, ulicą,

fabryką. „Minęły czasy Wiesławów, a piskliwy ton wiejskich skrzypek i gawędę gospodarską zagłusza warkot śmigła, ryk syreny fabrycznej i trąba samochodu¹⁹”.

W próbach Czyżewskiego, Tuwima, Jasiońskiego, a z obcych: Błoka, Siewierianina, Majakowskiego, Apollinaire’a znajdował kult pracy, kult świadomej gromady ludzkiej, zapowiedź entuzjazmu dla twórczych przeobrażeń.

W *Losach romansu*²⁰ zajął się Baczyński prozą współczesną, w której odnotowywał – inaczej niż w poezji – duże zaniedbania w stosunku do literatury światowej, spowodowane przez minioną epokę, przez historię Polski. „Monoideizm społeczno-narodowy stał się już zbyt ciasną formułą dla pokolenia, które ma prawo oddychać wolnym powietrzem Europy²¹”. Przyznawał, że wprawdzie Stanisław Przybyszewski, Zofia Nałkowska, Wacław Berent przybliżyli prozę polską do Zachodu, ale jej ogólny obraz przedstawiał mu się bardzo ubogo. Był zwolennikiem prozy jako organizatorki twórczej fantazji. Rolę zwierciadła życia, interpretowania rzeczywistości i krzewienia obyczajów, „balast psychologii gadatliwej pretendującej do prawdy życiowej” pozostawiał publicystyce.

Przykładem złej tradycji, złej kompozycji dzieła, dezorientacji autora była dla niego twórczość Juliusza Kadena-Bandrowskiego. W jego powieściach widział „żerowanie na planktonie życia”, pochłanianie szczegółów sensacyjnych z obserwacji codzienności, uprawianie reporterstwa beletrystycznego bez celowej koncepcji i konstrukcji, nad którą górę bierze drugorzędna fabuła; „sklepanie” bohatera z kilku figur z życia wziętych. Jego powieści – stwierdzał – nie wzruszają mimo natłoku ekspresji, nie wywołują reakcji umysłowej. Do pisarzy młodych rokujących odnowę literatury polskiej zaliczał m. in. Jarosława Iwaszkiewicza, Aleksandra Wata, Marię Dąbrowską. Po ukazaniu się pierwszego tomu *Nocy i dni* witał to dzieło jako „od wielu lat pierwszą powieść polską na wysokim poziomie europejskim²²”. Recenzując tom II i III powieści ocenę nieco obniżył. Miał pisarce za złe, że „traktuje »życiowy poczywi« swych codziennych bohaterów z dala od rzeczywistości zbiorowej, narodowej czy społecznej, że nie naświetla ich ze stanowiska żywej idei nowoczesnej²³”.

Kwestia literatury związanej z proletariatem; literatury, która by była z nim solidarna i ukazywała jego życie w najróżniejszych przejawach – kwestia, którą wyraźnie sformułował Wacław Nałkowski dając wyraz nastrojom dojrzewającym w 1905 roku, pojawiająca się u progu XX stulecia, miała już, aż do końca międzywojennego okresu, nie zejść z porządku dziennego krytyki literackiej. Żywo interesowała szeroko pojętą lewicę intelektualną, inteligencję demokratyczną. W różny sposób: aprobatywnie lub polemicznie, bez zastrzeżeń lub z istotnymi dopełnieniami, sceptycznie, ale rzadko zdecydowanie krytycznie wypowiadali się na jej temat wszyscy wybitni twórcy literatury i krytyki literackiej. Tadeusz Peiper, Stefan Napierski, Jan Hempel, Antoni Słonimski, Władysław Broniewski, Jan Nepomucen Miller, Ignacy Daszyński, Kazimierz Czapiński, Leon

¹⁴ Tamże, s. 30.

¹⁵ Tamże, s. 33.

¹⁶ Tamże, s. 101.

¹⁷ Stanisław Baczyński, *Sztuka walcząca*. Warszawa 1923.

¹⁸ *Syty Paraklet i głodny Prometeusz*. (Najmłodsza poezja polska). Kraków 1924.

¹⁹ Tamże, s. 140-141.

²⁰ S. Baczyński, *Losy romansu*. Warszawa 1927.

²¹ S. Baczyński, *Pisma krytyczne* ...Jw., s. 161.

²² S. Baczyński, *Przegląd wydawnictw z roku 1931. Proza powieściowa*. „Polonista” 1932, z. III, s. 102.

²³ „Polonista” 1933, z. III, s. 139.

Kruczkowski, Paweł Hulka-Laskowski, Stanisław Wygodzki, Władysław Bieńkowski, Aleksandr Maliszewski, Kazimierz Wierzyński, Leopold Staff, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Andrzej Strug, Karol Irzykowski, Leon Pomirowski i wielu innych.

Stanisław Baczyński był również rzecznikiem literatury, która by wyrażała aspiracje klasy robotniczej, dawała artystyczne świadectwo jej przeżyciom, dążeniom, emocjom. W sytuacji, w której wielu – przynajmniej deklaracyjnie – podpisywało się pod programem literatury proletariackiej, gdy stawała się ona czymś w rodzaju mody literackiej, Baczyński za ważne zadanie lewicowej krytyki uważał demaskowanie literatury pozornie proletariackiej i sformułowanie podstawowych kryteriów, które by pozwoliłyby odróżniać „plody nieporozumień literackich od istotniej klasowej, proletariackiej literatury”²⁴.

Jako główne kryterium proletariackości traktował Baczyński „nie pachnący myszką inteligentki liryzm lub jaskrawy realizm negatywny, usiłujący budzić sumienie (czyje? Burżuazji czy proletariatu?), ale wyraźny i jaskrawy motyw walki społecznej, umacniający poczucie wyższości i siły mas robotniczych, i dający burżuazji wiedzę o nieuniknionej klęsce”²⁵.

W dalszej perspektywie przewidywał Baczyński powstanie nowej, proletariackiej zrazu, a następnie socjalistycznej estetyki, która będzie się odznaczała nowym stosunkiem do rzeczywistości, nowym spojrzeniem na świat, nową hierarchią porządkującą jego zjawiska; i z nowym bohaterem związanym ze swym środowiskiem. Z perspektywy takich oczekiwań obserwował nowe zjawiska literackie pojawiające się w Związku Radzieckim. Poświęcił im książkę *Literatura w ZSRR*²⁶.

Książka wywołała burzę. Zauważył ją mało wówczas znany ksiądz Stefan Wyszyński. Przestrzegał przed zagrożeniem ze Wschodu: „Od dawna już popularyzowane jest w Polsce piśmiennictwo bolszewickie, zwłaszcza przez Wydawnictwo »Rój«, szereg firm i ogłoszenia w »Wiadomościach Literackich«. Z literaturą bolszewicką zapoznaje polskiego czytelnika tendencyjna książka S. Baczyńskiego pt. *Literatura w ZSRR*, z zapałem broniąca »nowej« twórczości Sowietów”²⁷.

Z dużym zainteresowaniem polskich środowisk literackich spotkały się poglądy „Lefu” i „Nowego Lefu”. Reportaż, literatura faktu, autentyzm pociągały w tym czasie wielu twórców w Polsce i poza jej granicami. Byli wśród nich: zespół „Dźwigni” z jej naczelnym redaktorem Mieczysławem Szczuką, zespół „Miesięcznika Literackiego” z Aleksandrem Watem, autorem programowego artykułu o reportażu, jego znaczeniu i przyszłości. Zainteresowanie radziecką sztuką faktu wykraczało poza lewicową prasę literacką. „Wiadomości Literackie” przynosiły entuzjastyczną pochwałę filmu *Turksib*²⁸. Tadeusz Boy-Żeleński, w tym kręgu zainteresowań, wynosił wysoko znaczenie *Życiorysu własnego robotnika* Jakuba Wojciechowskiego. Rok 1933 przyniósł program grupy „Przedmieście” inspirowany przez literaturę faktu.

Wielu łączyło z tym kierunkiem przesadne nadzieje. Stanisław Baczyński zrazu żywo interesujący się programami i realizacjami rosyjskiego Lef-u i Nowego Lef-u nabierał w stosunku do nich nieco sceptycyzmu – w miarę obserwowania przemian w literaturze radzieckiej, gdzie pojawiały się opinie, że nie zawsze jest uprawnione przesunięcie istoty literackości na dokument i informację. Dochodzić może bowiem do gubienia treści ludzkich w procesie pojmowania nowej rzeczywistości. „Gdzież zresztą – pisał – jest sprawdzian, że fikcja, nowy układ elementów wyobraźniowych, dlatego tylko, iż jest wymysłem, przestaje mieć wartość? Czyż proces formowania nowych faktów psychicznych, które stwarza literatura, nie jest godniejszy człowieka przyszłego niż fotograficzne odbitki faktów zastanych?”²⁹ Niemniej, pomimo wzrastającego sceptycyzmu wobec literatury faktu, rozpoczętego wyraźnie artykułem Ignacego Fika *O reportażu*³⁰, jeszcze w 1938 roku, w przedmowie do książki Haliny Krahełskiej *Zdrada Heńka Kubisza* pisał Baczyński: „Znamiennym zjawiskiem w krytyce europejskiej ostatnich lat jest stopniowy zanik fikcji [...]. Żądamy nie tylko zaspokojenia estetycznego głodu. Nie wystarczy nam już fantazja – szukamy prawdy”³¹.

Duże zainteresowanie polskiej opinii literackiej wywoływały zjawiska występujące w literaturze, sztuce, polityce kulturalnej Związku Radzieckiego. „Wiadomości Literackie” rozpięły ankietę „Pisarze polscy a Rosja Sowiecka”. Odpowiadająca na nią Zofia Nałkowska z ostrożnym dystansem, ale nie bez aprobatywnego zainteresowania odmiennym porządkiem moralnym, przyjmowała go jako cechę radzieckiej twórczości i krytyki literackiej³². Paweł Hulka-Laskowski wyrażał nadzieje, że to stamtąd nadejdzie wyraźna konstrukcja pozwalająca przewyczyć bierne rejestrowanie faktów i zdarzeń „reportażowe opisywactwo”³³. Leon Chwistek stwierdzał istnienie w Związku Radzieckim „poezji lirycznej najwyższej marki”, „niezmiernie zajmującej powieści” i twórczości filmowej „przewyższającej o wiele to, co robi się na Zachodzie”³⁴.

„Wiadomości Literackie” poświęciły literaturze radzieckiej specjalny numer bogaty w materiał literacki i ilustracyjny. Wypełniły go prace radzieckich autorów informujące stosunkowo obszernie, a zawsze aprobatywnie o przemianach kulturalnych, literackich i artystycznych w Związku Radzieckim, o jego życiu umysłowym i teatralnym³⁵.

Do jego wydania doszło w wyniku umowy między redakcją „Wiadomości Literackich” a redakcją pisma *Литературная Газета*, która w zamian zobowiązała się wydać specjalny numer poświęcony polskiej twórczości literackiej i artystycznej. W związku z realizacją tej umowy Mieczysław Grydzewski udał się w kwietniu 1934 roku do Moskwy³⁶.

Numer ten ukazał się ze znacznym opóźnieniem, dopiero w 1935 roku. Musiał mocno Grydzewskiego

²⁴ S. Baczyński, *Bezdroża literatury proletariackiej*. „Lewy Tor” 1935, nr 13, s. 6.

²⁵ Tamże, s. 10.

²⁶ S. Baczyński, *Literatura w ZSRR*. Kraków, Warszawa 1932.

²⁷ S. Wyszyński, *Kultura bolszewicka a inteligencja polska*. Włocławek 1938, s. 79.

²⁸ S. Zahorska, *Turksib* „Wiadomości Literackie” 1930, nr 22.

²⁹ S. Baczyński, *Literatura w ZSRR*. Jw., s. 154. Por. Cz. Niedzielski, *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej (Podróż – powieść – reportaż)*. Toruń 1966, s. 140-141.

³⁰ „Gazeta Artystów” 1934, nr 5.

³¹ H. Krahełska, *Zdrada Heńka Kubisza*. Warszawa 1938, s. 5.

³² „Wiadomości Literackie” 1933, nr 49.

³³ Tamże, nr 44.

³⁴ Tamże, nr 49.

³⁵ „Wiadomości Literackie” 1933, nr 47.

³⁶ Zob. M. Grydzewski, *Silva rerum*. Wybór: Jerzy B. Wójcik, Mirosław A. Supruniuk. Warszawa 2014, s. 617

rozczarować, jeżeli w ogóle dotarł on do jego rąk. Nie było tu oczekiwanej symetrii. Numer „Wiadomości Literackich” wydany był na dobrym papierze, z licznymi ilustracjami. Redakcja udostępniła swe łamy autorom radzieckim, którzy bez przeszkód chwalili radziecką literaturę, sztukę i politykę kulturalną. Natomiast polski numer *Литературной Газеты* ukazał się na szarym gazetowym papierze, pozbawiony był materiału ilustracyjnego. A teksty o polskiej współczesnej literaturze i sztuce napisali polscy komuniści przebywający na emigracji w ZSRR, którzy odnosili się do „burżuazyjnej Polski” i jej literatury krytycznie. Numer ten ukazał się w niewielkim nakładzie, nie dostał się do normalnej sprzedaży, znalazł się tylko w większych bibliotekach jako formalny dowód dotrzymania umowy z redakcją „Wiadomości Literackich”.

Wzrost zainteresowania literaturą radziecką nastąpił podczas Zjazdu Pisarzy Radzieckich w 1934 roku. Korespondentem własnym „Wiadomości Literackich” był przebywający w ZSRR Henryk Kamieński. Po niezbędnej i rzeczowej informacji o wystąpieniach Żdanowa, Radka i Gorkiego najwięcej miejsca poświęcił referatowi Bucharina o poezji z podkreśleniem, że zajmował on krytyczne stanowisko wobec uproszczonej poezji agitacyjnej³⁷. W podobnym duchu komentowały wystąpienie Bucharina „Dźwigary”, podkreślając uczestnictwo w zjeździe pisarzy z wielu krajów Europy (Bloch, Malraux, Bela Illes, Wolf, Plivier)³⁸. „Miesięcznik Literatury i Sztuki” przyniósł zestaw cytatów z przemówień Gorkiego, Erenburga, Iwanowa, Malraux, Oleszy, Bucharina, Pasternaka, Radka. I z *Listu do Zjazdu André Gide’a*, ze sceptycznymi słowami: „Komunizm zdoła się narzucić tylko w razie uwzględnienia właściwości każdej jednostki”³⁹. W katolickim „Verbum” pisał Rafał Blüth: „Władza sowiecka [...] zainicjowała zjazd literacki, którego konsekwencje socjalno-kulturalne będą donioślejsze, niż to przewidywali jego inicjatorzy”⁴⁰.

„Lewar” zamieścił artykuł Karola Radka *Literatura sowiecka wczoraj i dziś* omawiający polemiki z Trockim⁴¹ oraz Panfierowa *O realizmie socjalistycznym*⁴², z którym polemizował Stanisław Baczyński. Panfierow bowiem interpretował realizm socjalistyczny jako wymóg zajęcia przez pisarza postawy ideowej i politycznej zgodnej z polityką państwa radzieckiego. Nie wspominał nawet o problemach, które najbardziej interesowały polskiego krytyka literackiego – o nowej wizji świata i człowieka w tym świecie.

Już na rok przed Zjazdem we wspomnianej ankiecie „Wiadomości Literackich” pisał Baczyński, że „obecna literatura sowiecka stanowi najbardziej interesujący i płodny eksperyment w dziejach kultury”. Wiązał z nią nadzieję na uzyskanie odpowiedzi na pytanie o wygląd nowej sztuki, o jej zawartość problemową, o nową wizję człowieka, o nowy kształt formalny nowej literatury. „W konsekwencji będzie ona wobec Europy wyższym stopniem ewolucji artystycznej, objawem wyższego poziomu świadomości społecznej. Udowodni ona, że

zagadnienie kultury socjalistycznej stanowi najbliższy etap rozwoju kultury ogólnoludzkiej, że nie jest ona tylko metafizyczną fikcją i urojeniem marksistów”⁴³.

Z perspektywy takich oczekiwań Baczyński obserwował przebieg Zjazdu Pisarzy Radzieckich i uchwały na nim podejmowane. Jego stanowisko miało coś z postawy entuzjasty, który chwytą istotę, problemy główne, nie pozwalając na to, by jasność obrazu zamącały drobniejsze niedoskonałości i uchybienia. Interesowała go przede wszystkim formuła nowej sztuki. Stwierdzał, że dawniejsi ideologowie i działacze przewidywali wprawdzie powstanie nowej kultury, literatury i sztuki socjalistycznej, ale dokładniej umieli rozwinąć tylko krytykę tradycji mieszczańskiej. Umieili ściśle charakteryzować swoje wyobrażenie o przyszłej ekonomice i polityce. Teoria rozwoju kultury natomiast była zaniedbywana. I właśnie w literaturze radzieckiej i w platformie Zjazdu 1934 roku witał Baczyński już pełniejszą, uszczegółowioną odpowiedź na pytanie o wygląd sztuki socjalistycznej. Sztukę epok dotychczasowych charakteryzował jako indywidualistyczną, w ostatniej instancji wspartą o zasady własności indywidualnej.

Nowe propozycje znajdował w literaturze radzieckiej oglądanej przez pryzmat materiałów zjazdowych. Przyjmował je z aprobatą i nadzieją. Widział w nich powstawanie nowej hierarchii wartości opartej na zasadzie kolektywizmu, koordynacji sił społecznych i podporządkowaniu ich sprawom ogółu. Pochwalał dążność sztuki radzieckiej do realizmu i jej postawę wobec świata polegającą nie tylko na jego poznawaniu, ale również przekształcaniu. „Jednostka przestaje być generatorem energii twórczej, staje się współczynnikiem działania zorganizowanego i generatorem jest zbiorowość, zorganizowana celowa siła mas, której napięcie kierunkowe i potrzeby zadecydują o estetyce form i o stylu epoki”⁴⁴.

Baczyński, chwytając istotę tego co nowe, posunął się zbyt daleko w pochwałach kolektywizmu, zbyt radykalnie przekreślił znaczenie indywidualności i jej roli w sztuce socjalistycznej. Krytyk wprawdzie starał się to wrażenie osłabić poszukując formuły, która by zapewniła harmonię między jednostką a zbiorowością. Zbyt ogólnikowe jednak jego słowa nie usuwają wszystkich wątpliwości. Socjalistyczna kultura, rozwijał swą myśl Baczyński, „uznając twórcze znaczenie jednostki i mając na celu maksymalne spotęgowanie jej sił duchowych, przewycięża jej indywidualizm społeczny i wyznacza jej właściwe miejsce w organizacji sił produkujących”⁴⁵.

Początek realizacji tych oczekiwań widział w radzieckich sukcesach na polu upowszechnienia kultury poczynawszy od zwalczania analfabetyzmu, a skończywszy na dziełach sztuki. W radzieckiej polityce kulturalnej upatrywał „świadome urzeczywistnianie przez proletariat własnego planu duchowego i początek kultury, która ogarnie prędkiej czy później cały świat i będzie znamieniem nowej epoki socjalizmu”⁴⁶.

Baczyński w koncepcje radzieckie wpisywał przemyślenia własne. Nie zmierzał do ścisłego informowania o programie literatury radzieckiej. Wyrażał nastroje

³⁷ „Wiadomości Literackie”, 1934, nr 42.

³⁸ *Noty i sprawozdania*. „Dźwigary” 1934, nr 1.

³⁹ *Pierwszy Kongres pisarzy sowieckich*. Wybrał i przełożył T. Jakubowicz. „Miesięcznik Literatury i Sztuki” 1934/35, nr 4, s. 121.

⁴⁰ R. M. Blüth, *Nowa inteligencja sowiecka*. „Verbum” 1934, nr III, s. 394.

⁴¹ „Lewar” 1934, nr 7.

⁴² „Lewar” 1935, nr 10.

⁴³ „Wiadomości Literackie” 1933, nr 38.

⁴⁴ S. Baczyński, *Kultura socjalistyczna*. „Lewy Tor” 1935, nr 1.

⁴⁵ Tamże.

⁴⁶ Tamże.

polskiej lewicy poszukującej formuły nowej sztuki. Re-lacje o zjeździe i o realizmie socjalistycznym zaczynały od stwierdzenia, że sprawa odrębnego prądu artystycznego wisiła niejako w powietrzu, bez wyraźnych konturów, intuicyjnie odczuwana od chwili pojawienia się hasła kultury proletariackiej. Program realizmu socjalistycznego nadawał tym przecuciom konkretny, realny kształt. Tak go przynajmniej odbierał Baczyński. Dla niego program ten był przede wszystkim wyrazem nowej postawy człowieka wobec świata: „Rzeczywistość, świat rzeczy staje się przedmiotem głównym, a czynna postawa człowieka wobec niej motywem zasadniczym. Słowem: człowiek objęty procesami życia, nie przeżywając ich tylko, ale stopiony z nimi w całość jednolitą poprzez zbiorowość, zajmuje miejsce dawnego idealisty, solipsysty”⁴⁷.

Baczyński solidaryzował się ze zjazdowymi ocenami mieszczańskiej literatury Europy Zachodniej. Myśl taka nie była obca również Nałkowskiej. Pisarka widziała, że chociaż i Zachód głosi śmierć myśli burżuazyjnej, to jednak w istocie nie przestaje myśleć jej kategoriami. Dopiero literatura radziecka skutecznie kompromituje przesadny indywidualizm, patologiczny psychologizm, ukazuje rozpad mieszczańskiej postawy duchowej⁴⁸.

Zjazdowe oceny krytyczne twórczości Prousta, Joyce’a odpowiadały przekonaniom Baczyńskiego. W ich dziełach widział przesadny indywidualizm i nadmierną szczegółowość pozbawioną zasad wyboru. Nie widział w nich założeń kompozycyjnych, konstrukcji, metody artystycznej polegającej na doborze treści, selekcji materiału, uchwyceniu najistotniejszych cech rzeczywistości. Opowiadał się za literaturą, w której miejsce jednostkowych spraw psychicznych zajmują procesy dziejowe, konflikty osobiste zostają zastąpione przez problematykę życia zespołu.

Polemizował Baczyński z komentarzami radzieckimi; z książką J.W. Kirpotkina Советская литература 15-летия октября⁴⁹ i ze zjazdowym referatem P. Judina. Zarzucał im, że problem realizmu socjalistycznego redukuje do odtwarzania życia w ustroju socjalistycznym, ukazywania walki klasowej, umiejętnej agitacji politycznej. Inaczej też niż oni, niż programowe materiały zjazdu oceniał twórczość Maksyma Gorkiego. Zdaniem polskiego krytyka ranga autora *Matki* wynikała z polityki partii, a nie z istotnego znaczenia jego twórczości dla nowej metody literackiej. W jego pisarstwie znajdował wszystkie cechy indywidualistycznego poglądu na świat, podczas gdy o istocie realizmu socjalistycznego stanowi kolektywizm i pozytywny stosunek do rzeczywistości: „Podłożem realizmu socjalistycznego nie jest negacja i krytyka rzeczywistości, lecz radość życia, entuzjazm i podziw dla narastających form bytu ludzkiego, coś jakby swoista romantyczność wyrastająca z kolektywnego budownictwa”⁵⁰.

Najciekawszą reakcją na publikacje Baczyńskiego o literaturze radzieckiej i o Zjeździe Pisarzy Radzieckich był artykuł Marii Dąbrowskiej *Rozmyślenia na czasie*⁵¹. Nie wszedł on do dwutomowego wydania *Pism*

*rozproszonych*⁵² autorki, niewątpliwie ze względów cenzuralnych. Ale czemu, przygotowując je do druku, Ewa Korzeniewska nie umieściła nawet tego tytułu w spisie artykułów Dąbrowskiej dodanym do wydania? *Rozmyślenia na czasie* przypomniła „Kultura” w numerze z 31 V 1989 roku.

Dąbrowska zwróciła uwagę na nowe wówczas pismo „Lewy Tor” poświęcone myśli socjalistycznej. „Wydarzenie to w publicystyce polskiej ważne, bo świadczące, że idea socjalistyczna jest żywotna i szuka nowych dróg, które by ją ze ślepego toru życiowego i nawet ideowego wyprowadziły”. Zatrzymała się na artykule Baczyńskiego *Kultura socjalistyczna*, by na jego marginesie „wypowiedzieć uwagi zastanawiającego się czytelnika”.

Podjęła polemikę ze stwierdzeniami wygłaszanymi na Zjeździe Pisarzy Radzieckich i powtarzanych przez Baczyńskiego o przewyżczeniu, odrzuceniu kultury mieszczańskiej wrogiej świadomości proletariatu. Widziała to zupełnie inaczej: „Rewolucja Rosyjska wymordowała, zesłała, zamknęła w więzieniu lub wypędziła z kraju setki tysięcy przedstawicieli kultury mieszczańskiej i zniszczyła wiele jej obiektów, ale dziedzictwa tej czy w ogóle jakiegokolwiek kultury poprzednich wieków nie zniszczyła, bo zniszczyć nie mogła. Postulat wyrzeczenia się dziedzictwa przeszłości jest nie do urzeczywistnienia [...]. Bo dzieje kultury, to dzieje pamięci, a pamięć, to duchowa postać dziedzictwa, i pamięci z umysłów całych społeczeństw wytrącić niepodobna”.

Gdyby jednak wyobrazić sobie skuteczność takiego zabiegu, to jego szkodliwość okazałaby się większa od wszystkich szkód, jakie kiedykolwiek ludziom przez ludzi były wyrządzone. Oznaczałoby to cofnięcie się do stanu „pełnej pierwobytności i absolutną niemożność budowania nowej kultury”.

Nie zgodziła się z Baczyńskim utrzymującym, „że wszelka dotychczasowa kultura stanowi własność i wytwór przystosowany do potrzeb warstw uprzywilejowanych” i że to wszystko, co owa kultura wytworzyła, jest „obce proletariotowi”. Aczkolwiek przyznawała, że powstawały niekiedy dzieła motywowane chęcią doraźnych korzyści, które służyły jedynie interesom warstw uprzywilejowanych.

Natomiast za „niepożyłą zasługę socjalizmu” uznała „obnażenie tej prawdy, że żadne dzieło kultury nie może powstać w pełnej niezależności od warunków społecznych, ekonomicznych, w jakich się pojawia”. Niemniej wskazywała, że zawsze powstawały dzieła, idee, postacie przerastające swą klasę i warunki ustrojowe, czego dowodem jest powstanie i rozwój myśli socjalistycznej oraz rodowód społeczny jej twórców. Podała też krytyce obecny w artykułach Baczyńskiego przesadny kult zbiorowości z niedocenianiem spraw indywidualnych człowieka.

Andrzej Kijowski przygotowując do wydania *Pisma krytyczne* Stanisława Baczyńskiego zupełnie pominął jego teksty dotyczące literatury rosyjskiej i zjawisk literackich w ZSRR. Nie dał żadnego fragmentu z jego książki *Literatura w ZSRR* ani jego artykułów z „Lewego Toru”, w których krytyk zajmował stanowisko wobec

⁴⁷ Stanisław Baczyński, *Realizm socjalistyczny*. „Lewy Tor” 1935, nr 9-10.

⁴⁸ „Wiadomości Literackie” 1933, nr 49.

⁴⁹ Moskwa 1933.

⁵⁰ S. Baczyński, *Realizm socjalistyczny*... Jw.

⁵¹ M. Dąbrowska, *Rozmyślenia na czasie*. „Wiadomości Literackie”, 17 II 1935.

⁵² M. Dąbrowska, *Pisma rozproszone*. Pierwsze wydanie książkowe pod redakcją i z przypisami Ewy Korzeniewskiej. Tom I-II. Kraków 1964.

wydarzeń, które przyciągały uwagę europejskiej opinii literackiej. Poświęcił tej kwestii zaledwie pół akapitu we wstępie. Bez uwzględnienia zainteresowań Baczyńskiego literaturą rosyjską zostaje on okrojony, pozbawiony istotnych elementów swej świadomości literackiej.

Toteż należy się uznanie Maciejowi Chrzanowskiemu, który w artykule *Stary i nowy człowiek*⁵³ przypomniał, że Stanisław Baczyński od wczesnej młodości interesował się literaturą rosyjską. Na jej klasycznych dziełach uczył się w młodości języka rosyjskiego. W dziewiętnastowiecznej literaturze rosyjskiej znajdował duże wartości humanistyczne. Interesował go zwłaszcza jej bohater. Jego dramat między ambicjami, aspiracjami, akceptowanym ideami a rzeczywistością społeczną, polityczną, ekonomiczną, która ograniczała możliwości pełnego rozwoju człowieka. Bohater literatury rosyjskiej głosił swoją prawdę, uświadamiał masy o potrzebie zmiany ustroju. Inteligencja rosyjska żyła w poczuciu tragizmu własnej sytuacji, która powoływała do życia typy i postawy ludzi słabych, wykolejonych, skazanych na niepowodzenie marzycieli i idealistów, pesymistów, neurasteników, „człowieka niepotrzebnego”. Przez znajomość dylematów inteligencji rosyjskiej ukazanych w literaturze rosyjskiej XIX i początków XX wieku dochodził Baczyński do tej problematyki, którą przed inteligencją rosyjską postawiła rewolucja rosyjska i w ślad za nią problematyka rosyjskiej porewolucyjnej literatury i sztuki, którą interesował się cały ówczesny świat kulturalny. Jeżeli w tym kontekście spojrzeć się na zainteresowanie Baczyńskiego zjawiskami pojawiającymi się w literaturze radzieckiej, ukaże się pionierski charakter jego prac o niej, a także konieczność ich uwzględniania w rysowaniu mapy polskiej krytyki literackiej lat międzywojennych w Polsce.

Po rewolucji inteligent traci swą monopolistyczną pozycję bohatera literackiego. Znalazłszy się w nowej społecznej i politycznej rzeczywistości dochodzi do akceptacji rewolucji. Dostosowuje swój idealizm do niej lub rezygnuje z niego na rzecz „praktycznego relatywizmu”, który nakazywał nie ucieczkę od życia, lecz pogodzenie się z nim, uczestniczenie w nim, odnajdywanie w nim sensu i możliwości realizacji własnych zamierzeń i aspiracji. W nowej literaturze jest wypierany przez nowych bohaterów, przedstawicieli robotników, chłopów, działaczy rewolucyjnych. Miejsce dawnego rosyjskiego inteligenta zastępuje bohater – silny człowiek, przedstawiciel twórczej pracy, dynamiki, energii; żyje w zgodzie ze społeczeństwem, także w zgodzie z samym sobą. Baczyński znajdował go w utworach Szołochowa, Płatonowa Babla.

Przemiany w literaturze radzieckiej traktował Baczyński jako eksperyment ważny nie tylko dla rosyjskiej literatury. Kiedy po dwóch latach po ukazaniu się jego *Literatury w ZSRR* odbywał się Zjazd Pisarzy Radzieckich w 1934 roku, był on dla niego naturalną konsekwencją wcześniejszych procesów i zjawisk, co miało wpływ na jego odbiór zjazdowych obrad. Oceniał je według własnych oczekiwań. Nie dostrzegał zarysowujących się zagrożeń. Uznaniu i nadziei dla większości postulatów zjazdowych towarzyszyło przemilczanie niewygodnych faktów. Niektóre propozycje interpretował zgodnie z własnymi przemyśleniami i życzeniami,

przypisując im treści nieraz odmienne od intencji rzeczywiste wpisanych w zjazdowe dokumenty. Przed jego oczami, w jego wyobrażeniu spełniało się to, co przewidywał we wspomnianej ankiecie „Wiadomości Literackich”: „W konsekwencji będzie ona [literatura radziecka] wobec Europy wyższym stopniem ewolucji artystycznej i objawem wyższego poziomu świadomości społecznej. Udowodni, że nie jest tylko metafizyczną fikcją i urojeniem marksistów”. Taki stosunek do poszukiwań pisarzy i krytyków radzieckich pociągało za sobą odpowiednie traktowanie polskiej literatury współczesnej, której poświęcił swą ostatnią książkę, *Rzeczywistość i fikcja (Współczesna powieść polska)*.⁵⁴

Rzeczywistość i fikcja jest próbą syntezy polskiej prozy lat międzywojennych. Syntezy wszakże niepełnej i jednostronnej. Już w punkcie wyjścia autor rezygnuje z obiektywnego prezentowania wszystkich jej nurtów. Zatrzymuje uwagę na wybranych tendencjach rozwoju prozy, na pojawianiu się nowych tematów i problemów, które są zgodne z jego poglądami i oczekiwaniami. Ich opis jest równocześnie ich dodatnią oceną, której towarzyszą oceny krytyczne autorów niesprzających oczekiwaniom przez Baczyńskiego zmianom.

Jego *Rzeczywistość i fikcja* przypomina inne w tym samym czasie powstałe syntetyczne ujęcie literatury międzywojennej – *Dwadzieścia lat literatury polskiej* Ignacego Fika.⁵⁵ Nie jest to przypadkowe. Obie próby syntezy wyszły spod pióra autorów kierujących się metodologią, u której podstaw był materializm historyczny Karola Marksa, traktowaniem zjawisk literackich i pisarzy w związku z ich środowiskiem społecznym i tego środowiska klasowymi interesami. W obydwu przypadkach klasyfikacja tekstów literackich jest wartościująca i ma charakter przede wszystkim socjologiczny. Wspólne jest także porządkowanie zjawisk literackich według motywów i tematów. I – co też uderza jako podobieństwo tych dwóch opracowań – sposób opisu zgodny jest z postulatami autorów. Wydobywane tendencje odpowiadają ich zainteresowaniom i poglądom. Klasyfikacja utworów literackich nie jest obiektywnym ich opisem. Zawiera *implicite* ich wartościowanie, które wynika ze światopoglądu, postawy społecznej, politycznego zaangażowania obydwu krytyków. Obaj byli związani z lewicą społeczną, bliskie im były sprawy proletariatu, co wpływało bezpośrednio na sposób prezentowania opisywanych zjawisk literackich.

W drugim dziesięcioleciu Polski niepodległej zaczęły się pojawiać liczniejsze niż dawniej utwory dotyczące spraw robotniczych i rewolucji społecznej. Fakt ten sygnalizował z radością Ignacy Fik w rozdziale *Proletariat* w książce *Dwadzieścia lat literatury polskiej*⁵⁶. Stanisław Baczyński witał w nim pożądane przez siebie rozszerzenie zainteresowań na nowe tereny tematyczne, dowód wewnętrznego odnawiania się literatury, odchodzenia od wyczerpanej już „klasycznej tematyki wieśniacko-mieszczańsko-inteligenckiej”.

Proponował listę najbardziej pożądanych motywów: „Strajk, lokaut, stosunki fabryczne, życie przy warsztacie, w stowarzyszeniu, w partii, organizacji, a więc „najistotniejsze cechy klasowego bytu”⁵⁷. Zmieniał się rów-

⁵⁴ Warszawa 1939.

⁵⁵ I. Fik, *Dwadzieścia lat literatury polskiej (1918-1938)*. Kraków 1939.

⁵⁶ Kraków 1939.

⁵⁷ Stanisław Baczyński, *Bezdroża literatury proletariackiej*. „Lewy Tor” 1935, nr 13, s. 10

niez bohater literacki. Przeciętności i banalności „szarego człowieka” Baczyński przeciwstawiał wizję człowieka zrosniętego ze swoim środowiskiem społecznym, niemającym nic wspólnego z wybujałym mieszczańskim indywidualizmem. Miał to być człowiek historyczny, twórca, realizujący się w działaniu, wolny od przesadnego uzależnienia od warunków zarówno biologiczno-fizjologicznych, jak i „jaźniowych” i psychologicznych.

Baczyński uważał, że warunkiem doskonałego artysty nie jest „jakis abstrakcyjny, bezideowy obiektywizm”. Według niego pisarz „nie jest tylko obserwatorem i analitykiem w stosunku do swojego środowiska, nie jest mniej lub więcej wiernym sprawozdawcą lub badaczem, lecz musi mieć przede wszystkim własny subiektywny stosunek do rzeczywistości, a za tym ideę, koncepcję świata, opartą o własną świadomość grupową⁵⁸. Każdy z nich należy do grupy społecznej, jest reprezentantem jej świadomości, jej postawy życiowej, jej interesów, dążeń, ideałów. Jego dzieła mogą być dokumentem i materiałem do badań socjologicznych nad grupą społeczną, do której należy. Przeniesienie uwagi z jednostki na zbiorowość prowadzi do ukazywania człowieka od strony jego interesów życiowych, związków społecznych, zależności od otoczenia.

Posługiwał się pojęciem „tła powieściowego”. Była nim między innymi wojna. Zdaniem Baczyńskiego temat wojny w polskiej świadomości dostatecznie się jeszcze nie zobiektywizował. Największa nawet groza i tragedia wojenna nie zdołała przytłumić jej afirmacji ze względu na uzyskane dzięki wojnie zwycięstwo polskiej sprawy narodowej. Krytycznie odniósł się do *Łuku Juliusza Kadena-Bandrowskiego*; głębsze ujęcie wojny znajdował w powieściach Stefana Żeromskiego.

Toteż cenił rewizję szablonowego ujmowania spraw wojny w *Pawich piórach* Leona Kruczkowskiego, w *Ojczyźnie* Wandy Wasilewskiej, w *Rodzinie Mianowskich* Władysława Kowalskiego, gdyż w tych utworach wojna przestaje być tylko tłem, lecz wkracza w przeżycia zbiorowe i prowadzi do przemian w świadomości mas ludowych. Na ogół jednak wojna – jego zdaniem – nie doczekała się w beletrystyce polskiej właściwego ujęcia. Nie umiała wydobyc zbiorowej tragedii ludzkości, przerastającej dramat jednostki.

Z powieści historycznych wysoko stawiał Leona Kruczkowskiego *Kordiana i chama*, Zofii Kossak-Szczuckiej *Złotą wolność* i *Krzyżowców*; ze względu na przesunięcie uwagi z jednostki na zbiorowość, zmniejszenie znaczenia spraw prywatnych, odchodzenie od baśni, plotki, fikcji, anegdoty.

W świetle dzisiejszych ocen można mu poczytać za błąd pomniejszanie wartości takich utworów jak *Ferdynand* Witolda Gombrowicza czy *Sklepy cynamonowe* Brunona Schulza. Widział w nich zawężanie atmosfery do spraw osobistych, psychologicznych, ekscentrycznych. Nie tylko Baczyński odnosił się wówczas krytycznie do tych utworów. Podobnie postępował Ignacy Fik w artykule *Literatura choromaniaków*⁵⁹, również Kazimierz Wyka, który po wyciszeniu słabych stron utworu Schulza doprowadzał do konkluzji: „I te zarzuty najważniejsze, te momenty wyłączają *Sanatorium pod klepsydrą* z żywych osiągnięć lat ostatnich i każą się zdumiewać nad ślepotą zachwytników – an-

tyhumanizm i utwierdzenie chaosu”⁶⁰. Stefan Napierkowski szedł jeszcze dalej: „Książki takie [chodzi o *Sanatorium pod klepsydrą*] to wybieg: próba zredukowania przez podstawienie na ich miejsce marionetek. [...] W sumie nie jest to potrawa strawna lub choćby jadalna; chyba dla tych, którzy cierpią na chroniczne ubóstwo i niedosyt wyobraźni, zatem szukają »pobudzeń«. Jest wśród nich sporo pocziwych mieszcuchów, trochę obojętnych pięknoduchów i garstka natarczywych snobów”⁶¹.

Przytoczone opinie, dziś raczej zaskakujące, stają się zrozumiałe, jeśli się zważy czas, w którym powstały. To ostatnie lata trzydzieste. Okres katastroficznych przewidywań, które niebawem miały się spełnić. To również tendencje sprzyjające faszyzmowi, któremu trzeba było stawiać tamę. Potrzebny więc był odpowiedni wzorzec bohatera.

W dotychczasowym, literackim przedstawianiu robotnika i chłopca widział Baczyński projekcje tych wyobrażeń, jakie mają o nich przedstawiciele klasy mieszczańskiej czy szlacheckiej. Prawdziwy ich obraz może dać tylko literatura wyrastająca ze świadomości, czym ten chłop czy robotnik jest naprawdę, to znaczy literatura tworzona przez pisarzy pochodzących ze środowiska ludowego albo solidaryzująca się z jego interesami społecznymi i kulturalnymi. Znajdował takich wśród młodych twórców, w których utworach chłop i robotnik schodzi z marginesów powieści i wydostaje się na pierwszy plan. Z aprobatą stwierdzał, że powieść polska rozszerzyła znacznie swoje zainteresowania, kierując je nie tylko w stronę mieszczaństwa, ziemiaństwa i inteligencji, lecz przede wszystkim drobnomieszczaństwa, proletariatu i chłopca. „naprawdę istotne jest to, kim jest człowiek, co robi, gdzie pracuje, z kim współdziała, jaką ma ideologię i do czego dąży, jednym słowem wartość dynamiczna człowieka jako członka pewnej zbiorowości”⁶².

Stwierdzał korzystne zmiany w sposobie pojawiania się motywów wiejskich, odejście od folklorystycznego traktowania chłopca, od sentymentów narodowych, mitu „zdrowego chłopskiego rozumu”, pobłażliwej dobrotliwości. Witął zadowoleniem ożywienie po 1930 roku ruchu chłopskiego i utworów literackich sięgających do zasadniczego podłoża życia chłopskiego, do walki o byt, do konfliktów klasowych. Prześledził postępującą rewizję legendy chłopskiej, którą zaczął Bruno Jasieński w *Słowie o Jakubie Szeli*, podjął ją Leon Kruczkowski w *Kordianie i chamie*, w *Pawich piórach*, Wanda Wasilewska w *Ojczyźnie*, w *Ziemi w jarzmie*, Władysław Kowalski w powieściach *W Grzmiącej* i *Rodzina Mianowskich*, w niektórych nowelach Wincenty Burek. W *Pamiętnikach chłopów* chłop sam zabiera głos.

Odnutowywał zmiany w obrazie literackim dzieci i młodzieży. Filantropijny humanitaryzm, sentymentalizm właściwy pozytywizmowi ustępuje obrazowi dziecka w społeczeństwie w utworach Janusza Korczaka, w *Ślepych torach* Haliny Górskiej, w *Gołębiach na dachu* Gustawa Morcinka, w *Dwudziestu latach życia* Zbigniewa Uniłowskiego, w *Pierwszej krwi* Ireny Krzywickiej.

W występowaniu motywu miłości zauważał tendencje do jego społecznego traktowania, wiązanie miłości z kompleksem spraw społecznych, czemu często to-

⁵⁸ Stanisław Baczyński, *Pisma krytyczne...* Jw., s. 265.

⁵⁹ „Tygodnik Artystów” 1935, nr 15.

⁶⁰ „Ateneum” 1939, nr 1.

⁶¹ Tamże.

⁶² S. Baczyński, *Pisma krytyczne...* Jw. s. 299.

warzyszy pesymizm, nawet tragizm jak w powieściach Poli Gojawicyńskiej, w *Zdradzie Heńka Kubisza* Haliny Krahelskiej. Krytycznie odnosił się do *Cudzoziemki* Marii Kuncewiczowej, *Niedobrej miłości* Adolfa Rudnickiego i opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza.

Jako nową, ważną zdobycz polskiej beletrystyki witał Baczyński podejmowanie w literaturze motywu pracy, zjawiska towarzyszącego pojawieniu się nowego bohatera powieściowego: chłopca, robotnika, inteligenta. Wdał się tu Baczyński w polemikę ze swym dawnym wielkim autorytetem, Stanisławem Brzozowskim „który podjął burżuazyjny mit pracy uważając, iż da się nim uszlachetnić czysto klasową, materialistyczną ideologię proletariatu i że ideologia ta właśnie takiej teoretycznej idealizacji wymaga. Był to fałsz polegający na sprzecznościach wewnętrznych inteligencji mieszczańskiej, która usiłowała pogodzić tradycje filozofii idealistycznej z realizmem i materializmem socjalistycznym”⁶³. Był przeciwny idealizowaniu pracy, widział w nim obłudę. Znajdował ją na przykład w powieściach Gustawa Morcinka. Praca, związana z wielkim wysiłkiem fizycznym i moralnym, przymusem, ze świadomością wyzysku i krzywdy, fatalizmu przynależności klasowej, niebezpieczeństwa związanego z posługiwaniem się maszyną nabierała w opinii Baczyńskiego wyrazu dramatycznego. Znajdował go w *Dziewczętach z Nowolipek*, *Ziemi Elżbiety* Poli Gojawicyńskiej, w *Przed jutrem* Gustawy Jareckiej

Sceptycznie patrzył Baczyński na prozę psychologiczną. Widział w niej, w najlepszym przypadku, opis stanów duchowych człowieka, w gorszym zaś rezerstwo na ten temat. W obydwu przypadkach stwierdzał „gadulstwo oparte na intuicji, na »wczuwaniu się« w duszę bohatera lub gołostownym konwencjonalnym uzupełnianiu akcji”⁶⁴.

Z zadowoleniem stwierdzał, że przeważającą dążnością w polskiej literaturze jest realizm, zamiar przedstawienia świata tak jak on wygląda w swoim zewnętrznym układzie, uznanie świata zewnętrznego za rzeczywistość obiektywnie istniejącą, dążność nie tylko do poznania świata, ale i do oddziaływania na niego. W wyborze przedstawianych realiów zawierała się ich ocena. „Próbierzem wartości jest postawa człowieka-artysty wobec świata, jego przekonania, poglądy, wrażliwość i stopień kultury oraz zadanie, jakie sobie wyznaczył”⁶⁵. Główna czynność artystyczna realisty polega na ujmowaniu rzeczywistości w ramy konstrukcji literackiej; w poszukiwaniu nowych sposobów jej realizacji, które odpowiadają zmianom w świadomości społecznej. Jest to czas nowych doświadczeń literackich, którym dawna forma już nie wystarcza.

Odnotowuje i przyjmuje to z akceptacją, że w literaturze coraz częściej staje się nie świat przeżyć indywidualnych, których przedstawienie odwołuje się do wprowadzania fikcji literackiej, lecz człowiek rzeczywisty, określony indywidualnie i społecznie, ukazany nie na tle swego środowiska, lecz w ścisłym z nim związku. Widzi w tym zgodność z dążeniami czasu, w którym pojawia się rozwój gatunków na pograniczu literatury pięknej – reportażu, wywiadu, literatury pamiętnikowej, powieści środowiskowej, autobiograficznej.

Był świadom, że dążność realizmu do wpływania na rzeczywistość prowadzić może do podatności literatury na nacisk formuł ideologicznych, do uproszczeń, do schematów ideologicznych. Że przyjęta z góry teza może narzucić pisarzowi układ, dobór i proporcje konstrukcyjne, co może prowadzić do sfalszowania obrazu, wypaczyć prawdę na rzecz narzuconej, z zewnątrz pochodzącej formuły ideologicznej. Widział, że obcy pisarzowi punkt widzenia doprowadza do sztucznego, pozbawionego artyzmu komponowania dzieła. Prowadzi do fałszu; łatwo go poznać po sztywnej schematycznej kompozycji, skłonności do komentarzy ideologicznych, po rezonerstwie i szablonowości postaci. Gdzie jest rzeczywistość i prawda – nie ma mowy o tendencji.

Bardzo krytycznie odnosił się do współczesnej mu krytyki literackiej. Zarzucał jej „rozprężenie myślowe”, utratę powagi. Widział, że straciła autorytet, odkąd się stała współczynnikiem handlu księgarskiego. Sam fakt uprzemysłowienia produkcji książki, a zatem potrzeba jej reklamy handlowej, sprowadził krytykę do poziomu ogłoszeń.

Tym bardziej ostre były jego sądy o krytyce, im ważniejszą jej przypisywał rolę. Krytyka jego zdaniem jest niezbędna jako łącznik między sztuką a masą jej odbiorców, między „duszą artysty a duszą społeczeństwa”.

Nie zgadzał się z poglądem, że jest ona przeżytkiem, że wyczerpała swe możliwości, że – jak pisał ironicznie – „Irzykowskiego może już zastąpić Marianna Wyrobek. [...] Zdanie o zbyteczności krytyki mogło powstać tylko w czasach powszechnej merkantylizacji sądów, w czasach, gdy krytyk zniżał się do roli akwizytora ogłoszeniowego i stracił szacunek w swoim środowisku lub stał się niewygodny dla spekulantów artystycznych”⁶⁶.

Traktował krytykę jako gałąź piśmiennictwa organicznie związaną z twórczością artystyczną, stanowiącą naturalną reakcję, która wynika ze stosunków międzyludzkich. Próbował określić funkcję krytyka i walory, które powinien posiadać. Jego kompetencje uzależniał od wszechstronnego wyczucia smaku epoki. Ono decyduje o dojrzałości krytyka do spełniania właściwej mu roli, to znaczy do formułowania jej stylu. Pełniąc tę funkcję krytyk realizuje się twórczo wraz z autorem, buduje estetyczny wykładnik epoki, uświadamia procesy podświadome, podkreśla je i utrwala; bez niej uległoby zatarciu. Taki status krytyki literackiej nadaje jej prawo do wystawiania ocen; i obowiązek ich formułowania.

* * *

Od kwietnia do listopada 1928 roku Baczyński redagował tygodnik literacko-społeczny „Wiek XX” wydawany przez Stefanię Zahorską. Ukazywały się w nim publikacje dotyczące różnych dziedzin sztuki, upowszechnienia kultury, o życiu artystycznym w ZSRR. W ankiecie o teatrze przyszłości wypowiedzieli się m. in. Leon Schiller, Andrzej Pronaszko, Stanisław Ignacy Witkiewicz. Pismo uległo likwidacji wskutek trudności finansowych. Jego kontynuacją był miesięcznik „Europa” ukazujący się w latach 1929-1930, założony i redagowany przez Stanisława Baczyńskiego. W skład zespołu redakcyjnego wchodził m. in. Karol Irzykow-

⁶³ S. Baczyński, *Pisma krytyczne...* Jw., s. 379.

⁶⁴ Tamże, s. 384.

⁶⁵ Tamże, s. 393.

⁶⁶ Stanisław Baczyński, *Pisma krytyczne...* Jw., s. 207-208.

ski, J. N. Miller, Władysław Strzemiński. Swe teksty zamieszczali: Jalu Kurek, Julian Przyboś, Stanisław Młodożeniec, Marian Czuchnowski, Benedykt Hertz, Leon Kruczkowski. Pismo było zbliżone do Polskiej Partii Socjalistycznej. Dużo w nim miejsca zajmowały sprawy upowszechnienia kultury i oświaty. Interesująca była rozpisana wśród twórców ankieta na temat sztuki nowoczesnej.

Współpracował z „Lewym Torem”, organem lewicowego nurtu Polskiej Partii Socjalistycznej w latach 1935-1936, walczącym o jednolity front demokratycznej inteligencji z ruchem antyfaszystowskim. Na jego łamach ukazywały się sprawozdania i komentarze z pierwszego Zjazdu Pisarzy Radzieckich, z Kongresu Pisarzy w Obronie Pokoju w Paryżu w 1935 roku. Baczyński należał do jego głównych publicystów (obok J. N. Millera, Mariana Czuchnowskiego, Adama Próchnika).

Zapytany o swe plany autorskie, odpowiadał „Wiadomościom Literackim”⁶⁷: „Do druku przygotowuję książkę [...] o współczesnych prądach społecznych, umysłowych i artystycznych w Europie, tom wykładów o współczesnej literaturze Rosji, z uwzględnieniem literatury białoruskiej i ukraińskiej, a wreszcie większą książkę o problemach społecznych literatury i w literaturze. Tytuły nie ustalone. Na przyszłość mam zamiar pisać więcej artykułów krytycznych, esejów, m. in. o »mitologii pracy« i o tzw. światopoglądzie”.

Wygłaszał odczyty o literaturze rosyjskiej i radzieckiej w Sali Towarzystwa Higienicznego w Warszawie, wykładał najnowszą literaturę rosyjską w wileńskim Instytucie Europy Wschodniej. Niedługo i nie tak jak chciał. Jego poglądy wydawały się tam zbyt wyrotowe, odczyty o literaturze radzieckiej wywoływały zastrzeżenia ze strony rektoratu. Proponowano mu katedrę polonistyki na Uniwersytecie im. Łomonosowa w Moskwie. Nie przyjął tej propozycji, bo wiązało się z nią przyjęcie obywatelstwa ZSRR.

Zajął zdecydowane stanowisko przeciw zachowaniu się antysemickiej części młodzieży akademickiej; nadano mu sztycherz przydomek „Baczyłes”.

W latach trzydziestych podjęto działania zmierzające do mobilizowania lewicy intelektualnej w obronie kultury i wartości humanistycznych przed niebezpieczeństwem faszyzmu. Narodziny takiego frontu, zwanego później Frontem Ludowym umieszczać się zwykło w roku 1933 i wiązać bezpośrednio z reakcją na proces lipski⁶⁸. Tego wydarzenia dotyczyła ankieta „Lewara”, w której – obok wielu znanych pisarzy polskich i obcych – wziął udział Stanisław Baczyński. Dyskusja i spory na temat wspólnego frontu lewicowego doprowadziły do deklaracji programowej *Za porozumieniem* opublikowanej na łamach „Lewego Toru”, „Lewara”, „Po prostu”, „Nowej Wsi”. Deklaracja stwierdzała m. in., że groźny dla kultury i coraz konsekwentniej realizowany nawrót barbarzyństwa „zmusza każdego niezależnego pisarza i artystę do zajęcia wyraźnej i zdecydowanej postawy wobec dzisiejszej rzeczywistości”. Deklaracja była protestem przeciw ograniczaniu swobód demokratycznych i stała się elementem polaryzującym stanowiska, a także jednoczącym twórców lewicowych o różnych

odcieniach ideowych. Stanisław Baczyński również ją podpisał.

W 1936 roku wraz z innymi pisarzami warszawskimi o demokratycznej orientacji złożył swój podpis pod listem ze słowami: „Solidaryzujemy się z protestem proletariatu Lwowa przeciwko krwawym rozprawom z robotnikami walczącymi o pracę, chleb i wolność”. Uczestniczył w Zjeździe Pracowników Kultury we Lwowie⁶⁹.

Z najwyższym oburzeniem odniósł się do najazdu na Czechosłowację w 1938 roku. Skorzystanie z okazji stworzonej agresją niemiecką na ten kraj uznał za głupotę⁷⁰.

Najważniejsza jego książka, *Rzeczywistość i fikcja*, próba syntetycznego ujęcia prozy polskiej lat międzywojennych ukazała się na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej. Autor jeszcze ją przed śmiercią zobaczył, ale do czytelników już nie dotarła. Nim ją rozprowadzono do księgarń, wybuchła wojna, a potem cały nakład spłonął w okupowanej Warszawie. Z zachowanego pojedynczego egzemplarza zamieścił ją Andrzej Kijowski w tomie *Pisma krytyczne*.

Stanisław Baczyński zmarł na raka żołądka w wieku 49 lat, 27 lipca 1939 roku. Pogrzeb odbył się w dwa dni później na Powązkach Wojskowych. Na klepsydrze w „Kurierze Warszawskim” z 28 lipca 1939 roku podpisanej przez żonę i syna napisano o nim:

LITERAT, PUBLICYSTA, LEGIONISTA, BELINIAK, PEOWIAK, KAPITAN REZERWY, ODZNACZONY KRZYŻEM NIEPODLEGŁOŚCI Z MIECZAMI, KRZYŻEM WALECZNYCH DWUKROTNIE, ŻŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI, ODZNAKĄ POWSTAŃCÓW GÓRNOŚLAŃSKICH I IN.

Wspominający Stanisława Baczyńskiego podkreślają, że żył on z dala od głównych stowarzyszeń literackich, był odosobniony i samotny. Jego książki nie spotykały się z żywszym echem; ostatnia nawet nie dotarła do księgarń. Odchodził też w osamotnieniu, nie pamiętany przez innych poza wąskim kręgiem rodziny i najbliższych przyjaciół.

Pamiętali o nim Niemcy. W pierwszych dniach po zajęciu Warszawy zawitało do jego domu gestapo, by go aresztować. Wdowa się obawiała, że z zemsty będą się mścić na synu.

Krzysztof Kamil Baczyński, o czym mało się mówi, szedł po śladach swego ojca. Był wierny jego poglądom ideowym. Nie przystał do grupy „Sztuki i Narodu”, której patronowała wywodząca się z Falangi Konfederacja Narodu. Był członkiem socjalistycznej organizacji Płomień, a podczas okupacji związał się z „Drogą”, piśmie o socjalistyczno-demokratycznych tendencjach. Zginął od kuli niemieckiej w piątym roku po śmierci ojca, w pierwszych dniach powstania warszawskiego.

MARIAN STĘPIEŃ

⁶⁷ 1933, nr 52.

⁶⁸ Władze hitlerowskie Niemiec postawiły komunistów pod fałszywym zarzutem podpalenia Reichstagu.

⁶⁹ Stanisław Baczyński zarabiał m. i n. przygotowując raporty na zamówienie Wojskowego Biura Historycznego. Np. opracowanie historyczne dotyczące powstań śląskich, przegląd stosunków dyplomatycznych polsko-litewskich. Stracił tego rodzaju zamówienia po uczestniczeniu we lwowskim Zjeździe Pracowników Kultury.

⁷⁰ Zob. E. Semil, *Stanisław Baczyński...* jw.

FILIP RATKOWSKI

„NASZ WYRAZ” – PISMO LEWICY ARTYSTYCZNEJ*

»Sąd Okręgowy w Krakowie na posiedzeniu niejawnym zatwierdza (...) zarządzoną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie dnia 29/X 1936 konfiskatę czasopisma „Nasz Wyraz” (...) z powodu artykułu zamieszczonego na str. 6 pt. *Epos głodu i ziemi* w ustępie od słów „podobne jest” do słów „i w Polsce” albowiem treść tego ustępu zawiera znamiona występkę z art. 170 k.k.«. Druga wiadomość dotyczy konfiskaty innego artykułu zatytułowanego *Nihil Novi* tym razem z powodu art. 125 par.2 k.k. – donosi pierwszy numer roku IV miesięcznika z kwietnia 1937 r.

Notka, która ukazała się na drugiej stronie pisma przejętego już przez nowy skład redakcji, dowodzi ciągłości ideowej „Naszego Wyrazu”, który już zdołał sobie wyrobić pewną pozycję w Krakowie i na forum ogólnopolskim.

Prapoczątki pisma to wydawana przez samorząd III Gimnazjum w Krakowie „Gazetka”, na której czele stanął zapamiętany przez kolegów jako „światny organizator” Jerzy Jurkiewicz. Wkrótce w składzie redakcji pojawiają się uczniowie innych gimnazjów, a jako opiekun występuje prof. Tadeusz Szantroch, poeta z beskidzkiej grupy Czartak, uczący w II Gimnazjum im. św. Jacka, a „Gazetka” zaczęła się określać jako „Miesięcznik samorządu uczniów gimnazjów”.

Na liście członków redakcji znajdujemy różne nazwiska, m.in. Leona i Zygmunta Estreicherów (pierwszy z nich był po wojnie znanym lekarzem-społecznikiem na Ziemiach Odzyskanych, a drugi osiadł w Szwajcarii i stał się wybitnym badaczem muzyki Eskimosów), ale też autentycznych ludzi pióra – dziennikarza Bolesława Kruczkowskiego czy Tadeusza Hołuja. To zresztą z powodu opowiadania Hołuja, osnutego na tle sanacyjnych represji wobec ukraińskich chłopów oraz z przyczyny nie skrywanych sympatii Jurkiewicza dla anarchosyndykalizmu pisemko zostało zawieszona.

Doświadczenia „Gazetki” przydały się jednak wkrótce grupie studentów UJ skrzykniętej przez Jurkiewicza. W Starostwie Grodzkim udało się uzyskać zezwolenie na druk pisma „Nasz Wyraz – miesięcznik literacki młodych”. Pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1935 r. i zbiegł się z upadkiem wydawanej przez kilka lat (jako organ krakowskiego Związku Literatów) „Gazety Literackiej”. Profil nowego wydawnictwa – zdecydowanie socjalliberalny zapewnił współpracę, środowiska związanego z uniwersytecką grupą literacką Volty (która zastąpiła rozwiązany przez władze uczelni lewicujący Litart), a także warszawsko-lwowskich Wektorów. Z tego drugiego środowiska na łamach „Naszego Wyrazu” pojawiali się m.in. Erwin Axer, Jan Twardowski (sic!), Jerzy Kamil Weintraub.

I oto już w pierwszym numerze nowego pisma, ukazuje się wywiad Bolesława Kruczkowskiego z Leonem Kruczkowskim zatytułowany *Jedynym wyjściem – socjalizm* i dalej, kontynuując cykl wywiadów, w numerze 3 jest rozmowa Tadeusza Zelenaya ze Światopełkiem Karpińskim dotykająca m.in. kwestii poezji społecznej – proletariackiej. W numerze kolejnym, kwietniowym, wywiad z Emilem Zegadłowiczem nagle zbacza na polityczne tory. Warto przytoczyć fragment, w którym mowa m.in. o rozstrzelaniu robotniczej demonstracji pod krakowskim Urzędem Wojewódzkim:

„ – Jak się zapatruje Mistrz na zajścia w Krakowie?
– Zapatrywania moje są niecenzuralne, więc ich nie wypowiem!

– Jak sobie Mistrz wyobraża przyszły ustrój?

– (...) Upart się pan aby „Nasz Wyraz” został skonfiskowany.(...) Europa podzielona jest na dwa wielkie obozy: obóz faszystowski (militarystyczno-policyjno-kapitalistyczny) i front ludowy; faszyzmu jako człowiek miłujący wolność i sprawiedliwość nienawidzę; wszelką współpracę z nim uważam za poniżającą i hańbiącą”.

Inną ważną notką charakteryzującą ton pisma jest zdecydowanie krytyczna informacja o zablokowaniu przez korporantów (pod hasłem „przecz z Żydami i masonami!”) sali im. Kopernika na UJ, gdzie miał się

* Skrócona wersja referatu wygłoszonego na konferencji *Lewicowcy Kraków w okresie międzywojennym*, zorganizowanej przez „Kuźnicę” i Krakowską Akademię im. A.F. Modrzewskiego (26-27 września 2015 r.).

odbyć z inicjatywy Akademickiego Związku Pacyfistów odczyt prof. Zygmunta Szymanowskiego *O pokój wewnętrzny*. Szymanowski, członek PPS od 1900 r. wybitny bakteriolog, znany był ze swych aż nazbyt lewicowych poglądów.

Konfiskata numeru, którego wydrukowanie kosztowało ok. 150 zł spowodowała, że pismo zostało zawieszona na kilka miesięcy i ostatecznie miało zostać reaktywowane już pod innym kierownictwem.

*

I tak oto 19 marca 1937 r. spisana została umowa, która przekazywała uprawnienia wydawcy Władysławowi Bodnickiemu, znanemu już na gruncie krakowskim i uniwersyteckim inicjatorowi przedsięwzięcia parateatralnych, przewodniczącemu grupy Volty.

Numer pierwszy nowej edycji zbudowany jest dość ostrożnie. Na stronie pierwszej mamy reprodukcję martwej natury Cézanne'a i cytaty z Wellsa: „W najbardziej żywotnych ludzkich sprawach nic nie jest lewe ani prawe”, a w artykule otwierającym, poświęconym „obecności literatury w pismach literackich” autor (nieidentyfikowalny dla mnie J. Malinowski) krytycznie wypowiada się o liberalnych „Wiadomościach Literackich” i na tym samym oddechu o nacjonalistycznym „Prosto z mostu”. Ciepło natomiast pisze o redagowanych przez Karola Kuryluka lewicowych, wielokrotnie zamykanych przez władzę, lwowskich „Sygnałach”.

Ta sympatia „Sygnałów” i „Naszego Wyrazu” przetrwała do końca wydawania obu pism, choć nie było to uczucie bezkolizyjne. Krytykował np. autor krakowskiego miesięcznika artykuł Jerzego Boreiszy (tak w tekście) atakujący ostro Zegadłowicza za jego, „w istocie drobnomieszczański panseksualizm”.

*

Już w pierwszym numerze nowej serii miesięcznika widoczna jest orientacja na kwestie formalno-literackie i „nowoczesność” w kulturze. Naczelny pisma Władysław Bodnicki publikuje tu obszerny szkic o bohaterach literackich Jarosława Iwaszkiewicza, jest też ciekawy fragment prozy Kornela Filipowicza, który będzie ze swymi wierszami, opowiadaniem czy fragmentami prozy obecny w każdym numerze. Znajdzie się miejsce na teatr – Helena Wielowieyska dołącza do zainicjowanej na łamach „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” dyskusji o sytuacji teatrów: „Z artykułu p. K. Leszczyckiego dowiadujemy się z przerażeniem, o czym nie wolno pisać autorowi, który chce widzieć swoją sztukę na scenie. A więc nie wolno poruszać żadnych problemów społecznych, nie wolno narażać się żadnym ugrupowaniom, nie wolno ośmieszać nauczycielstwa, kleru, niższej administracji itp. Oczywiście nie można narażać się możliwym tego świata – to się rozumie. (...)”

Należałoby wstrzymać trochę odwagi dyrektorom teatrów. Niech nie będą surowsi od cenzury urzędowej, a może dobrze na tym wyjdą. Na premierze »Wesela Figara« opóźnionej o kilka lat dzięki zakazom Ludwika XVI i zabiegom cenzury, przy wejściu, w ścisłym uduśły się trzy sposoby – cóż za miły widok dla dyrekcji teatru” – pisze autorka.

Od początku w miesięczniku specjalne miejsce zajmuje *Kronika*, dająca pole do polemik i deklaracji ideowo-artystycznych. Jest więc coś o nagrodzie Prix

Renaudot dla „marksisty” Aragona, jest o rozważaniach Andre Maurois w „Nouvelles Litteraires”, ale też trafia na łamy notka z dyskusji, jakie toczyły się wówczas w sali Kopernika Collegium Novum. Serię spotkań pod hasłem *Ocalmy młodzież* zainicjował jakiś pan Kalinowski z Ministerstwa Opieki Społecznej. „W ogóle mamy wrażenie, że p. Kalinowski zbyt młodzieży nie lubi. Chce ją ocalać, zapominając, że trzeba jej przede wszystkim pomóc. A na pewno nie pomogą okólniki i akcja policyjna, jak się to p. Kalinowskiemu wydaje...” – pisze autor notatki.

Ważną, bo polemiczną rolę spełnia też *Przegląd prasy*. Tu zauważony został np. wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego z pierwszej strony „Prosto z mostu”, w którym autor stwierdza wręcz, że myślenie jest „przestępstwem przeciw Polsce”, a do Matki Boskiej i Anioła Bożego apeluje o zesłanie „Nocy Długich Noży”. To właśnie z powodu tego tekstu liryk Gałczyński w środowiskach przedwojennej lewicy długo traktowany był jako apologeta faszyzmu.

*

I tak oto od pierwszego numeru zarysowuje się mapa przyjaźni i nieprzyjaźni nowej redakcji „Naszego Wyrazu”.

Pewien przegląd opinii zewnętrznych dał Tadeusz Jęczalik w swej pracy magisterskiej pisanej na UW w 1963 r. Krakowski, chadecki „Głos Narodu” potraktował wracające pismo jako „periodyk skrajnie lewicowej młodzieży akademickiej” i potem będzie trzymał się tej linii, życzliwie traktują „Nasz Wyraz” także „Sygnały”, czy wychodząca w Naprawie pod redakcją Mariana Czuchnowskiego komunizująca „Nowa Wieś”. Dobrze pisze o „NW” „Ilustrowany Kurier Codzienny” (dzięki redagującemu dział kulturalny Witoldowi Zechenterowi), wileńskie „Słowo”, poznańska „Kultura”, a nawet wychodzący już wówczas w Warszawie „Czas”, w którym dział literacki redagował Wojciech Natanson.

*

„Nasz Wyraz” był pismem środowiska nieobojętne-go politycznie, ale głównym polem jego zainteresowań była kultura. Mamy tu więc niemal w każdym numerze obowiązkowe uwagi o plastyce, teatrze, drobne utwory literackie, przekłady wierszy poetów niemieckich, francuskich, a nawet japońskich.

Zespół „Naszego Wyrazu” był nieodłączną częścią krakowskiej bohemy artystycznej schyłku XX-lecia, redakcja zaprzyjaźniona była ze środowiskiem malarzy zrzeszonych w Związku Plastyków i z prezentującym się w salach Związku najpierw przy placu Ducha, a potem w domu ZZPAP przy ul. Łobzowskiej eksperymentalnym teatrem Cricot podejmującym trudne wyzwania – od *Wyzwolenia* (tu wielka rola Władysława Woźnika), przez Witkacego – po średniowieczne burleski (*Mistrz Pathelin* w polszczeniu Adama Polewki) czy nawet minipery (*La serva padrona* wedle Pergolesiego).

Środowisko Cricotu było zintegrowane z Grupą Krakowską – kilkunastoma studentami krakowskiej ASP (m.in. Leopold Lewicki, Henryk Wiciński, Maria Jarema, Jonasz Stern, Aleksander Blonder, Berta Grunberg), których łączył polityczny radykalizm (KPP i KZMP) i sprzeciw wobec tradycjonalizmu Akademii.

Ten nurt myślenia o nowoczesnej sztuce przenika wszystkie kolejne numery „Naszego Wyrazu”. Dość spojrzeć na reprodukowane w miesięczniku obrazy – jest np. w jednym z numerów cała seria prac Zygmunta Waliszewskiego, pojawiają się inni „nowocześni” – Picasso, Braque, Klee, Ozenfant, z polskich – Makowski, Eugeniusz Geppert, Katarzyna Kobro, Jonasz Stern... O malarstwie piszą Hanna Krzetuska, która bezlitośnie potraktowała fatalnie przygotowaną pośmiertną wystawę Leona Wyczółkowskiego w Pałacu Sztuki, Zofia Wielowieyska (opiekująca się dziełami plastyki, sięgająca czasami w stronę teorii sztuki) i Henryk Weber.

Autorzy „Naszego Wyrazu” bardzo poważnie traktowali swe obowiązki wobec czytelnika. Na przykład w kolejnym, czerwcowo-lipcowym numerze z 1937 r. Helena Wielowieyska pisze, narażając się śmiertelnie dyrekcji teatru im. Słowackiego: „Nie mająca nic wspólnego ze sztuką, przykra bujda nazwana wdzięcznie »wesółym wodewilem« nasuwa wcale niewesołe refleksje na temat wyobrażeń »wielkiej sceny« o wesołości i wodewilu w teatrze (...), a reżyseria p, Radulskiego podkreśliła wszystkie dwuznaczne, a raczej zupełnie jednoznaczne dowcipy”. Rzecz dotyczyła *Jaskółki z wieży Mariackiej* Krumłowskiego (skądinąd autora udatnej *Królowej Przedmieścia*), sztuczki o zacięciu dydaktyczno-patriotycznym.

Nie szło o walkę z zasłużoną sceną, bo w tym samym numerze jest bardzo życzliwa recenzja z *Lata w Nohant* Iwaszkiewicza pokazywanego na tych samych deskach, a mimo to dyrekcja pozbawiła autorkę recenzenckiej wejściówki.

*

Jednak najważniejszym dokonaniem czasopisma są liczne rozprawy i eseje, a także artykuły poświęcone teorii literatury i krytyce polskiej literatury XX-lecia międzywojennego. Tu pojawia się rozprawka Ignacego Fika *Funkcje społeczne literatury* – szkic ważny, bo podejmujący kilka problemów i wątpliwości, jakie już wówczas dawały o sobie znać szczególnie wyraźnie w ZSRR i w krajach, które równie bezwzględnie próbowały objąć kontrolą państwa czy monopartii życie intelektualne społeczeństwa...

Fik pisał: „Tezy, że literatura jest ściśle powiązana z ewolucją klasy społecznej i z wszystkimi jej wytworami nie należy brać zbyt mechanistycznie. Nie jest więc ona równoznaczna z wnioskiem, że literatura: a) jest wyczerpującym i dokładnym odbiciem życia klasy, b) że jej rozwój idzie dokładnie i równoległe z rozwojem stosunków społecznych, c) że literatura jest zawsze w ścisłym przymierzu, porozumieniu z klasą. Z wielu powodów jest to nawet niemożliwe”.

Widać więc wyraźnie, że rozważania tego poety i teoretyka literatury zmierzają w zgoła odmiennym kierunku niż tezy Sokorskiego z jego nieśmiertelnego tomu

Sztuka w walce o socjalizm, nieprzypadkowo też brak tego tekstu w *Wyborze pism krytycznych* Fika wydanym w 1961 r., wiele lat po śmierci tego wybitnego krytyka i poety, zamordowanego przez hitlerowców w 1943 r. W *Wyborze* zabrakło i innej, drukowanej w „Naszym Wyrazie” pozycji Fika, zatytułowanej *Fantastyka we współczesnej literaturze polskiej*, autor bowiem pisze: „Do dziś dnia jeszcze panuje wśród niektórych marksistów przekonanie, że przyszła literatura tworzona w ustroju socjalistycznym w odróżnieniu od literatury burżuazyjnej oprze się na ścisłym realizmie i wyruguje ze sztuki element wyobraźniowy. Jest to niezmiernie szkodliwe uprzedzenie, które w skutkach doprowadzić może do zniszczenia nowej sztuki w samych zarodkach”.

Zauważa też Fik z sympatią, „fantastykę intelektualną” – zbiór nowel Aleksandra Wata *Bezrobotny Lucyfer*, prozę Brunona Schulza i Uniłowskiego, a także sztuki Jerzego Szaniawskiego. Dzielnie wspiera go



Adam Polewka tekstem *Społeczne znaczenie wychowania wyobraźni*.

Tu warto przypomnieć jeszcze jeden tekst pominięty w wyborze pism Fika. Oto co pisze w szkicu pt. *Rzeczywistość Leśmiana*: „Z Leśmianem na terenie literatury polskiej wiążą się genetycznie perwersje słownikowe Tuwima, zmysłowe mistycyzmy Zegadłowicza, ekshibicjonizm Witkiewicza, makabryczna snowość Schulza, magizm Zarębiny, astrologia Pawlikowskiej czy kliniczność Choromańskiego. W niesamowitej aurze Leśmianowej dobrze się czują wszelkie szaleństwa słowne i wszelkie gatunki irracjonalizmów. Leśmian jest wodzem wszystkich, którzy walczą o prawo do życia dla snu, cudaczności, demonów i majaków wybujałej wyobraźni”. Jakże to dalekie od wszelkiej ortodoksji!

*

Już w 1937 roku nader wyraźnie rysowała się dychotomia systemów politycznych w Europie. Z jednej

strony mieliśmy ZSRR z jego dyskretnie zacienianą (choć w istocie brutalną) polityką kulturalną i ukłonami w stronę artystów europejskich wielu nurtów, a z drugiej, bezczelną tromtadracją III Rzeszy.

I oto w kolejnym numerze miesięcznika, mamy tekst wybitnego malarza Eugeniusza Gepperta, wówczas członka władz Confederation Internationale des Associations d'Artistes. Zaproszony na *Dni sztuki niemieckiej* w Monachium oglądał ze zdumieniem i zazdrością „triumfalne orły” i „naród który święci swoją sztukę”... Jest więc miasto ze swoją pinakoteką, z Tycjanem i Tintorettem, i miasto pochodów, orkiestr, sztandarów i defilad – oraz, jak zauważa Geppert, „karnych batalionów parteigenossen”! Pojawił się na obradach artystów sam „Führer”, był „dr. Goebbels”, padają zdania „Chcemy sztuki narodowej, bez naleciałości obcej, tobie wodzu za to dziękujemy. Tyś nam to wskazał i nas nauczył, bo tak jak budujesz Państwo budujesz i ducha”... A radio przekazuje całemu światu artystyczne credo Niemiec. Wyzwolenie od zgnilizny eksperymentów i „handelków” sztuką!

Ogląda więc polski artysta efekty działania tego credo, wspaniałe sale muzeów, a „*pustka. nuda i banalność bije z tych wspaniałych ścian*”. Wystawie propagandowego chlamu towarzyszy i inna wystawa „*der Entarteten Kunst*”, na której znajdowały się dzieła „wyklętych”: Kokoschki, Groscha, Kleego, Braque'a, Matisse'a i Picassa. „Zresztą bolszewizm także odrzeka się od tej sztuki i również żąda sztuki dla mas, więc tym bardziej nie rozumiem, kiedy na liście z propagandowymi wynurzeniami, czytałem słowo »bolszewik« przy nazwisku malarza... W zestawieniu więc program skrajnie przeciwstawnych organizacji państwowych styka się, by potwierdzić przystawie »les extremes ce touchent«”!

Niebezpieczeństwo wisiało już wówczas w powietrzu, skoro, jak zauważa „Nasz Wyraz”, na kongresie Pen Clubu jego członkowie podpisali zbiorowy protest przeciw stłamszeniu wolności słowa i druku w państwach totalistycznych.

I, choć to dziwne, „rządzące koła” II Rzeczypospolitej potraktowały ten apel z dystansem, a „Prosto z mostu” wręcz stwierdziło, że totalizm sprzyja rozwojowi literatury! I tu, jak zauważają redaktorzy krakowskiego miesięcznika, w samą porę ukazał się artykuł Jana Kotta w „Sygnałach” o powinnościach moralnych pisarza: „Pisarz jako pisarz obowiązany jest bronić literatury, wolności słowa i druku. Pisarz jako pisarz obowiązany jest walczyć z takim ustrojem, w którym literatura i nauka muszą dopiero usprawiedliwiać swoje istnienie, w którym pisarze i uczeni muszą legitymować się zasługami społecznymi”.

Czy można się więc dziwić, że wspierane przez Komunistyczną Partię Polski „Sygnały” mogły się stać gwoździem do trumny KPP i posłużyć jako dowód wrogości jej działaczy wobec stalinowskiego systemu?

*

Już w pierwszym roku „Nasz Wyraz” pod redakcją Bodnickiego znacząco poszerzył zespół współpracowników. Choć żaden z nich ani z członków redakcji nie otrzymał za swoją pracę grosza, udało się zająć niezłe miejsce na mapie polskiego czasopiśmiennictwa kulturalnego i kolejne numery były zauważane tak przez so-

juszników jak i wrogów. Zdecydowano się zmienić format z A4 na gazetowy (32/47 cm), zmienił się podtytuł. Teraz nie jest to już „Miesięcznik Literacko-Artystyczny Młodych” tylko „Miesięcznik Literacko-Artystyczny”.

Bardzo poważny charakter ma więc otwierający nową edycję artykuł Fika *Dzieło sztuki jako budowa*, a wybory ideowe redakcji dobrze ilustruje cytowany fragment *Szopki żywych masek* Adama Polewki wystawionej w sali Domu Plastyków, ale też w salkach kilku krakowskich związków zawodowych, zatytułowanej *Herod i ariowicie*. Oto jedna z kluczowych postaci – Szuka powiada: „Ja często konie Wojciecha Kossaka, Dienstl-Dąbrowy się karmię słowami i Hucułów uwielbiam masami, jako polską sztukę dla Polaka.

Bardzo mi się hitlerizm podoba, bo tam nie ma tej wstrętnej krytyki.

Nie wzoruje się nikt tam na snobach, wszyscy zdrowej tam łakną plastyki”.

To oczywiście nie jest tylko wypowiedź o malarskich gustach królujących na ówczesnych salonach władzy i w wydawnictwach niemal wszechwładnego właściciela „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”.

Nic dziwnego, że w rubryce *Kronika* uwagę redakcji zwraca odczyt prof. Kotarbińskiego. Profesor stwierdzał wprost, że „prądy o podłożu nacjonalistycznym (można je nazwać tutaj prądami reakcyjnymi) propagujące samowystarczalność kulturalną (tzw. sztuka, literatura i wiedza »narodowe«) zahamowują naturalny rozwój człowieka, a u natur bardziej wrażliwych i tych, którzy etnicznie czy uczuciowo nie mają jednolitego oparcia o masę w danym okresie panującą, wywołuje cały szereg konfliktów i urazów psychicznych. (Asymilanci, mieszańcy, przeciwnicy polityczni i intelektualni)”.

Inny z istotnych programowych artykułów w „Naszym Wyrazie” to tekst Juliana Przybosia *Nie o autentyzmie lecz do autentystów* wyraźnie zaczepiający tak określający się nurt w poezji „chłopskiej”, często zresztą prezentowany na łamach „NW” wierszami J.B. Ożoga, czy J.A. Frasika. Do tekstu Przybosia odniósł się więc wkrótce Jan Bolesław Ożóg i nieprzypadkowo w sąsiedztwie Jan Szczepański apelował *O socjologiczny punkt widzenia w krytyce literackiej*, zaś dyskusja o „autentyzmie” będzie trwała i na łamach „Naszego Wyrazu” i poza nimi, a w pewnym sensie trwa i do dziś.

*

Można zauważyć, że redaktorzy „Naszego Wyrazu” coraz dojrzej budują pismo. Z tekstem Przybosia koresponduje artykuł Michała Chmielowca *Figle cyfrowego piękno ducha z ideą* odwołujący się do artykułów Kazimierza Wyki z „Tygodnika Ilustrowanego”, dających rodzaj panoramy międzywojennej literatury. Tekst to dość trudny, wymagający sięgania do licznych zapomnianych dziś kontekstów, ale pełen pasji, wołający o przerwanie „pauzy retorycznej”, jaka objawiała się zdaniem autora (i także zdaniem Wyki), w polskiej literaturze „tego momentu”.

Chmielowiec debiutujący tym tekstem w „Naszym Wyrazie” szybko stał się drugim, obok Fika, filarem krytyki literackiej pisma i pokusił się wkrótce (nr 10, październik 1938 r.) o rodzaj manifestu pisma zatytułowanego *Punkty programu*. To tekst ważny, bo dla miesięcznika autoanalityczny.

Autor przypomina, że oto właśnie Jerzy Zagórski nazwał „Nasz Wyraz” „najsłabszą pod względem radykalizmu artystycznego »awangardową« placówką w Polsce”, Tytus Czyżewski uważa miesięcznik za „zamaskowany organ awangardy”, a Teodor Bujnicki za „ostatnie azylum tego głośnego w swoim czasie kierunku”.

Chmielowiec odcina się od utożsamiania linii „NW” z „linią Peipera et. Comp” ale przyznaje Awangardzie „pozycję mocną” w polskiej literaturze.

*

Rok 1938 – dwudziestolecie polskiej nieodległości, z natury rzeczy skłaniał do podjęcia całościowej oceny dokonań literatury tego okresu. Na łamach „Naszego Wyrazu” podjął taką próbę Fik, starając się dobrać jakieś obiektywne kryteria dla sytuacji polskiej beletrystyki. „Dwadzieścia lat – sto powieści”, to pierwsze podejście do mającej się wkrótce ukazać syntezy jego pióra.

Autor dokonuje wyboru spośród ok. 7 tys. pozycji. Bierze pod uwagę wartość artystyczną, kulturalną i społeczną, sprawdza czy jest książka np. „śmiałym eksperymentem”, czy to charakterystyczna reprezentacja twórczości danego pisarza? Prócz dziś pamiętanych, od Andrzejewskiego po Witkacego, w wyborze Fika jest nieco nazwisk zapomnianych, ale okazuje się, że wybór, czyli prognoza Fika, był trafny w 80 procentach, co jest efektem wręcz niewiarygodnym!

Rozwinięcie też znalazło się wkrótce w książce *Dwadzieścia lat literatury Polskiej*, pierwszej polskiej oceny pisanej z pozycji lewicowych. Nakład 3,5 tys. egzemplarzy rozszedł się na tyle szybko, by cenzura, która na to „przestępstwo” zareagowała z pewnym opóźnieniem, mogła zakwestionować tylko 100 egzemplarzy.

Sama synteza i pojawiające się podobne próby stały się przedmiotem wielu sporów i polemik. Michał Chmielowiec, który analizuje dwa nowo wówczas wydane tomy: Ignacego Fika i *Dwadzieścia lat poezji polskiej* Stanisława Czernika (krytyka i wydawcy *Okoliczności*) zauważa, że „Zasadniczy podział Fika (literatura mieszczańska i niemieszczańska) ma niewątpliwą wartość praktyczną, bo wiąże się wyraźnie z ideologią społeczną autora i »rzeczywistej części jego czytelników«”. Podział Czernika (wedle pochodzenia autorów – chłop, Żyd, szlachcic) „mechaniczny i sztuczny, nie prowadzi autora do żadnych wniosków prócz tego, że chłop potęgą jest i basta”. W sumie jednak obu autorów Chmielowiec ocenia bardzo życzliwie i apeluje żeby „interesujące wady książek nie przesłoniły ich solidnych zalet”.

*

„Piszesz, że czytałeś miesiąc temu drukowane moje punkty zaczepienia do programu literackiego młodego pokolenia” – to osobista wypowiedź Michała Chmielowca w tekście *List* datowanym: Kraków 11 listopada 1938 – wyraźnie w święto niepodległości – „i zadajesz kłopotliwie proste pytanie – co ten projekt programu choćby, ma wspólnego z Polską, czy nie za sprawą przypadku tylko pismo, w którym staramy się go wypełniać, ukazuje się w Polsce a nie na Cejlonie np.?” I gdzieś dalej w tekście: „Literatura o Polsce – to związek, o który się dopominasz i który – przyznaję – najwyżej jest tylko

dorabiany, a dlaczego, niech odpowie ci przykład przyniesiony przez wydarzenia niedawnych dni: gdy Śląsk Zaolziański wracał do Polski, dwóch bardzo wybitnych poetów napisało dwa bardzo patriotyczne i bardzo brzydkie wiersze na ten temat.(...)

Cóż Ci powiedzieć więcej? Może inaczej da się dojść do polskości polskiej literatury, może się teraz rozejdziemy, by się znowu spotkać, bo wszystkie proste drogi prowadzą do Polski”.

*

Już sam ton tekstu Chmielowca wskazuje na zastraszającą się sytuację polityczną w Europie i w takiej sytuacji utrzymanie wyrazistego, lewicowego, wrogięgo nacjonalizmowi tonu pisma nie było łatwe. A jednak „Nasz Wyraz”, sprzedawał ok. 750 egz., a redakcja poważnie zastanawiała się na przejściem na wydawnictwo cotygodniowe.

Dojrzałą i ciekawą próbą było budowanie numeru pisma wokół wyrażenie określonego tematu – polem doświadczeń stał się numer majowo-czerwcowy z 1939 r.: „Mieliśmy prawo być z tego dumni” – pisał wiele lat później Kornel Filipowicz. Tematem przewodnim stał się „czas” i jego rola w sztuce ujmowana z wielu subiektywnych pozycji przez autorów. I tak, Fik pisze szkic pt. *Czas artystyczny*, Michał Chmielowiec daje *Kilka uwag o równoczesności*, Gustaw Herling-Grudziński pod hasłem *Poeci na czasie* rozprawia się z bylejąkością i okazjonalnym charakterem twórczości niektórych osobistości literackich, a Helena Wielowiejska rzuca ciekawe uwagi o „czasie teatralnym” i pisze felieton *Na czasie*, nazywając „obecną sytuację”, nie tyle – jakby chciała autorka – „lapidarnie i dowcipnie”, ale niestety, profetycznie „czasem przedwojennym”.

I wreszcie przychodzi sierpień 1939 r. Powołany pod broń Kornel Filipowicz dostaje ostatni egzemplarz „Naszego Wyrazu” na ćwiczeniach wojskowych: „Na pierwszej stronie zobaczyłem reprodukcję »Kirasjer napoleoński« Tytusa Czyżewskiego, a obok wiersz Ignacego Fika »Ojczyzna«. Ignacy Fik, w tym ujęciu poeta, pisał:

„Dopiero w tę noc,
kiedy nad horyzontem kominów wyrośnie czarna różga
i sercom strudzonym tworzeniem dreszcz nienawistny
błyskawic zagrozi
skrzykuje nas trąbki żołnierskiej zew,
że podpalają Wolność
wtedy wzruszonym szeptem
budzimy Jej drugie imię
świętsze i większe niż życie:
Ojczyzna!”

A poniżej Amelia Średniawa:

„Nie wiecie: w ogniu piasek przetapia się w szkło
Ci co po nas przyjdą – z wizją okropnego pożaru
skrzepniętego
w oczach – będą budować wielkie domy w słońcu.
A następni co po nich przyjdą – spokojnie będą przerzucać karty historii”.

Obok przypomnienie, że „Termin nadsyłania utworów scenicznych na konkurs »Naszego Wyrazu« upływa z dniem 1 września 1939 r.”

FILIP RATKOWSKI

ANDRZEJ NOWAK
(1944-2014)

WIERSZE

I oto Siły Dobra
ustawiły w narożniku Boga,
aby łatwiej Go czcić.
Odtąd już Centurioni
— w chwilach wolnych od złorzeczenia
ceniom Gilgamesza
i nagrzanym piaskom,
co przeciekają ponad podeszwami
ich zaprawionych w zdobyczym kroku
sandałów —
powtarzają nabożnie wskazania Zakonu:
Na ogół nie cudzołóż.
W zasadzie nie kradnij.
Poniekąd nie zabijaj.

Przesłanie

Pamięci Enrique

Nasz trakt wieczornych rozmów i metafor
przemierzali rycerze:
Święty Jerzy od Smoka,
Święty Artur od Okrągłego Stołu
i San Ernesto de la Higuera.

Zwłaszcza ostatni
— bez obu dłoni —

zwykł milczeć tak wymownie,
że rozpałałem Ogniska
na poplamionym stole.

Ale potem gdzieś znikał
nie budząc naszych obaw;
czyż można nazwać bezdomnym
człowieka z M-16?

Nadzy monarchowie

Moi nadzy królowie,
strojni w swe domniemane altemblasy
i gronostaje,
wyruszają raz po raz przed siebie
swoim widmowym, gwarnym korowodem.
Mnożą się nieustannie
z okazji wieczorów autorskich,
odśniania pomników,
chrztu ulic tudzież przechrzty
placów,
zmiany pryncypiów doby
i podczas kampanii wyborczych.
Syci własnej nagości,
tłoczą się potem mozolnie
u rozstajów
Międzyepoki.

MARIAN PILOT

G O D Y (II)

Przystąpiliśmy następnie z Plądrychą do stołu.

Stół ten, kto wie, czy nie jest sama ośrodką całej pląderskiej dziedziny, główna jej ostoja. W całym domu stół to jest jeden jedyny, z jego ciała przecie dałoby się wykrzesać parę stołków: stolnica jest z deski grubej jak słonina stuletniego wieprza, nogi są niczym słoniowe nogi. Postawiony pośrodku kuchennej izby stół ten na swoim miejscu trwa nieporuszenie. Na jego rozległym łądzie wiekowe bytowanie narodu pląderskiego odcisnęte wiernie... Tu odbicie gorącej dłoni, twardego kciuka z grubym paznokciem, tam głębokie żłoby, wybili je wracający od siana i żniwa robotnicy... zasiadając do miski kraszonych kartofli i skopka siadłochy, bezwładnymi, ledwie po kośbie żywymi łokciami żłobią wgłębienia na skraju stolnicy. To na tym stole są miejsca łokciowe, graniczą one z obszarem szewskim, poznaczonym dratwą, podziubanym szpałkami i szydłem; pisarski zaś kraj stołu ciągnie się od samych jego podnóżków, porytych twardymi rysikami, upstrzonych łacińskimi literami i tajemnymi znakami, aż po sam szczyt blatu, gdzie od lat, lat! kwitnie wszczepiony mocno w drewno, rozłożysty, stale odmieniający barwy i postacie atramentniany grzyb... jednak szkolny podpis Rocha Plądra z jakiejś przyczyny wydrapany jest gwoździem na drugim krańcu stolnicy: pluderroh (bo tak się właśnie Plądry piszą: Pluder). Tuż obok tego żelaznego, jak w wieczystej księdze, napisu rozciąga się kątek snu, dolina wybita w drewnie rogatym czołem nieodmiennie zaraz po wieczerzy mrozonego błogim snem dziada Plądra...

Różne inne jeszcze na powierzchni stołu dorzecza, wyniesienia, okolice równinne, kotlinki, płaskowyże. Spaja całą stoliczną sferę stężala jucha i na amen skisły chlebowy kwas. Bo służąc takiej i innej jeszcze sprawie służąc, ten podtrzymujący przez cały wiek pląderskie życie stół był nade wszystko chlebową stolicą. Wszystek chleb Plądrów toczył się po jego powierzchni i nie ma miejsca, które by nie było po stokroć dotknięte ostrzem dzielącego bochenek noża; cięte toporkiem, rozrąbującym łeb wieprza. Tak stół ten, przez wielkie lata dzieł w dzień na równi z gospodarzami karmiony chlebem, treścią chlebową nasycił się cały; i juchy świńskiej nachłęptał się wyżej gardzieli: dzięki temu tak niewzruszenie trwać może, pomarli, odeszli Pląderowie, stoi stół, ani drgnie, choć go rąb, tnij, piłuj. Nieszczęsny Pląder pokutnik, mierne są jego upiorne siły! Żałośnie pomstu-

jąc i krzyżąc przeraźliwie łamie, łupie, kruszy stary stół. Siły jego mdłe, ramiona wątłe. Ślady starań w czyścicu cierpiącego znać tu i ówdzie na powierzchni stołu, draśnięcia to są, skrobnięcia, uszczerbienia... mysz ostawia takie znaki na suchym pierniczku. Podrapany, pokąsany, cały w szramach, karbach, rysach jest stół, nie drgnie jednak którakolwiek jego noga, kiedy gospodyni rozbiła się na nim będzie z najcięższymi swoimi statkami.

Pludercelina zawzięcie ściga się z nazbyt szybko umykającym dniem, dokłada do pieca drewek, ażeby Boże broń nie cofnął się z komina cug i dało się na czas uwarzyć wszystkie dwanaście potraw, jedne z nich już pyrcą się na blasze, inne w brytfankach, na miskach i półmiskach tłoczą się na stole, pośrodku którego czerwona donica, w donicy mak, w kopczyk maku wetknięta kopystka, uciera Pląderka mak, wałkuje też tymczasem na stolnicy ciasto, że zaś trzeba pyrki trzeć na tarte kłuski, wpycha mi w garść donicę i kopyść, siadłszy na taborku pod oknem staram się mak w makutrze młócić równie prędko, jak kucharka, fryga, hula wokół stołu.

Chrzęści gnieciony kopystką mak, płaska wałkowana przez gospodynię ciasto, ogień w piecu trzeszczy, wielka cisza jaraszowieckiego ustronia wchłania te dźwięki i cicho jest jak makiem siał, i wiadomo jest, że na wielkich przestrzeniach i przestworzach dookolnych ta sama dzwonna cisza.

W ciszy cicho mieląc kopyścią w donicy, wspominam duszę pokutującą Pląderjana. Milczy ona także. Mówię do Pląderki z cicha: Ani tu u was psa. Kota. Na odludziu tym. Za wsią.

Pląderka odwraca ku mnie oczy.

– Ja, biedna wdowa? – zadziwia się. – Czy to stać mnie na to, żeby paść takie stworzenie. Czy bym nastarczyła.

Pies jednak (powiedziałem) samym szczekaniem człowiekowi życie dość umila. Kot grzeje nogi.

– Syniu – Plądercela na to – czy to ja już głowy nie mam. Czy myśli moje nie głośniej mi w niej rupocą i hałasują, niż zły pies ze złym kotem.

Zastanawiające słowo... Odrzekłem, że nie ma niczego, co by ex nihilo było (i nawet ja – urodzony jestem, wyznałem szczerze, uśmiała się Pląderka z tego jak z najlepszego żartu). To i myśli (ciągnąłem) nawet, jakby nie wiedzieć jakie chude były, karmić czymś się muszą... Na co odpowiedziała mi Pląderka: zgoda, jednakowoż

jedne myśli mogą się od biedy nażerać innymi, co mnie wdowie karkuluje się grubo taniej, niż gdybym miała chować choć najlichszego kundla, byle burek zeżre tyle, co i prosię, jak nie drugie tyle. A głowie dość i półstowie, jakie to, jakie psiska stają zaraz w mojej pamięci jak żywe, ile ich tu zaraz... jakbym ja swoje życie nie między ludźmi, ale między psami pędziła. Tych psów tyle! Naszych, sąsiedzkich, czyichś. A i bezpańskich, niczyich. Hyclich. Bo i hycłów ilu. Dawniejszymi czasy hycel tu na hyciu wszędzie. Tęgie chłopy, na psim sadle spasione chłopy malowane. Łapaczy tyłu, a dzikich psów drugie tyle wszędzie. Pamiętam, że za panny strach było samej z zabawy nocnej wracać: bo niech tylko zrobię ścieżką za stodołą jakie dwasta kroków, jak dokoła żyta poczynają się poruszać, szumieć, chrzęścić, podnosić się. Nawet po ciemku widać, jak trzęsie się, jeży, a potem już kłoni ku ziemi żyto, trzaskają łamane łodyżki, chrzęszczą kłóski, drogę ci zabiega i szczyry kły wściekły jaki brys... O, żeby to był przy tobie jaki kawaler! Niechby i ten najszpetniejszy, najostatniejszy. O, niechby tam wyrabiał z tobą, co by ta chciał, niechby całował, niechby nawet i inaczej z tobą wiwatował, byle jeno nie widzieć, jak ugi-na się i pokłada łanek żyta, byle nie patrzeć na rozwartą szeroko, pełną kłów paszczkę. Byle jeno cię nie zgły rozjarzone ślepa. Byle nie słyszeć warkotu dzikiej suki.

Bieda w narodzie. W tej biedzie pieniły się psy i ple-niły się na potęgę one. Bieda psa potrzebuje. Bez psa nie obchodzi się. Bieda jest najpewniejsza psia ostoja i kolebka. Nic, że twoje majątki liche, uwieś przy nich na powrózku psa, inaczej na trzeci dzień pierzyny, a nawet i strzępka siennika nie znajdziesz na dnie swo-jego wyrka. Ruszał kto na żebry – i to z psem się zbierał. Bo i żebrackie dobro warte, i było komu połaszczyć się na nie.

Tłustą jałówkę mieć – było majątek mieć. Jakżeś miał złego psa, też żeś był bogaty i pan. Bo jak jest. Taki istny pies, prawdziwie zły kundel, uszczeni się jeden raz na tysiąc, a i to nie. Kto się zna, żywym złotem płacić będzie za takie psie zło. To może być ostatniej maści psiątko, burasek, brys. Że się jednak ulęgło złe, to przechodzi wszystkie brytany i rekсы. Pies pojętna gadzina, sztuki w cyrku wywijają nauczy się, głosem ludzkim gadać nauczy się, ale największe nauki i najdroższe za dolary ekspelery na nic, zła nikt psa nie nauczy. Ile świata, nie było jeszcze takiego psiarka ani hycła, co by sztuki tej dokonał. Może być człek mądry jak z Biblii, a nie tryśnie mu źródło, kiedy pod jego piętą martwa ziemia. Z samej Boskiej łaski wybija z ziemi źródło i z łaski Bożej tak samo szczeni się psiątko z czarnym niebem w pysku.

A ledwo ulęgnie się takie szczenię, już na łańcuch trzeba je brać, na łańcuchu trzymać, nie spuszczać. Dla każdego stworzenia łańcuch jest niewola i poruta wielka, ale psa czarnego jeden łańcuch jeno trzyma przy życiu, bo to jest bestia Boża, woli ona nie znieśie, kury wydu-si i perlice nawet, położy wieprzka, parobka pogryzie, nie da sobie spokoju, aż go wegnają do kąta, okietznają albo zatłuką, bo rady nie będzie.

O, takiego psa mieć, to skarby mieć! Po jarmarkach i targach nie było trzeba z takim szczeniątkiem jeździć, kupcy stręczyli się sami, chmarami zlatywali się pod psią budę, dusze sobie radowali jazgotaniem złego, co się ulęgło świeżo. Rejwach wielki, krzyk, wesele: a to przecie ledwie psiątko uszczeniło się z czarnym jak jodyna podniebieniem.

O, zło było w tamten czas prawdziwy majątek pie-niędzy warte. Powód tego zwyczajny, ten, że bez zła nie utrzyma się żadne dobro. W tamtym dawniejszym czasie zaś zło trzymało się dobra jak rzep psiego ogo-na. Pasto się zło dobrem. Ale i dobro bez złego nie miało użytku. Nie było jednego bez drugiego. Za nieboszczyka Stalina jeszcze tak było. W późniejszym czasie zło od dobra odstrzeliło się. Po psach to się daje poznać najdokładniej. Psy się wyroiły. Hulały sobie po wsiach, po polach. Nie złe, dzikie za to wszystkie, we wściekłości. Hycle tymczasem poprzedady. Z daleka ściągali myśliwi i wojsko nawet. Polowali, tłukli te zwilczone kundle. Wybili do nogi. Sprawiedliwie. Bo psy na co, jak złodzieje przepadli, potracili się gdzieś. Nawrócili się w inną stronę. Może samym złodziejom jeno te terażniejsze złodzieje kradną. Z drugiej strony dobrodzieje trzymają się kupy. Jedna maść z drugą nie miesza się. Na osobności wszyscy. I na co pies komu. Mnie samej, choć moja gospodarka na podlasiu tutaj, ledwo raz kiedyś przepadła kura. To trafiło się przeszłego roku. A i to lis albo łaska musiała kurę porwać, bo się pod płótem poniewieraty kostki i jarzębate piórka.

Syniu (syniu, rzekła Pludercelina do mnie; syniu, tak mówi się do nieswego syna). Psa mi tu nie potrza. Choć głucho bez psa i matyjaśnie czasami. Pies zaszcze-ka, zawyje i człek poczuje się tak, jakby mu kto rąbka świata uchylił... Bo i bór wtedy poruszy się zaraz, psu huczniej jeszcze brysiowi odszczeknie. Zerwą się wrony, już nad polem idą kołem, szumią i kraczą. We wsi gospodar-skie burki zastrzygą uszami, narobią rejwachu. Niosą się głosy światami, światami. Znak, że Pludercelina wdowa Pludrowa żyć żyje. Prawda, jak samemu krzyknąć, bór tak samo ozwie się. Ale wstyd człowiekowi, co ma swo-je lata, z sosną, brzoźką czy tam nawet samym dębem przekrzykiwać i się drażnić. W gminie gotowi pomyśleć, żeś już człeku niespełna jest, i z gospodarki cię wypiszą. To lepiej cicho siedzieć.

Ale, syniu (zwróciła się do mnie Pląderka słowem, jakie używać zwykło się było wobec cudzych synów), czy ja nie wiem, po co głowę na karku noszę? (Zadała Plądercelina pytanie i odpowiedziała sobie sama na nie z chwalbą): Chłopa wychowałażech se, żem wszędzie mogła się nim poszczycić, synów wychowałam trzech chłopa, byłoby się z czego cieszyć, ja z czego mam tym-czasem pociechę: z myśli w swojej głowie. Jak one mi się darzą zawsze, jak nadzwyczajnie dobrze chowają (opowiadała Pląderka i z wielkiej przyjemności przymy-kała oczy. Powieki opadały sine, ciężkie. Aż straszno. Czy aby odchyła się jeszcze). Pludercelina uśmiechała się błogo, lubieżnie, cudaniewidły musiały się jej pod powie-kami jawić, tęcze, koronki, mereżki i pawie, światła ame-ryki. I jak jest już całki u mnie niepeć (wyznawała Pludercelina), ja się tym moim myślom ogłosić każę. Głosem Zagraja z reguły. Był taki pies u nas, Zagraj Reks na dwa miał nazwisko. Za nieboszczyka ojca. O, święty pies był Zagraj ten. A znojdek. Ojciec go z rowu wyciągnął. Żabi-skrzek był taki. Ledwo dychał. A wyrobił się na wielkiego u nas gospodarza. Sam ojciec na niejednym nie znał się tyle, co ten pies. Że krowa się cieli, pierwszy miał wiadomo-ść. Że ciągną goście, choć goście ci za górą. Złodziej że idzie. Rozum miał gospodarski. Głos wielki. Organy w kościele rzewniej nie grają. Kiedy się odezwał, gdzie się to go słyszało. I w drugim powiecie. To ten pies Za-

graj zawsze w myśli mi śpiewa – rzekła Pludercelina i z nagła rozwarła oczy jak szeroko tylko.

– Jak tu psa mieć, syniu? – rzekła, a w piersiach zagrało jej żałośnie. – Żeby nieboszczyka Plądra z jego gospodarki wyścigał? Pląder, on tu jest jedyny złodziej i złoczyńca...

Patrzyła Pludercelina bez drgnienia powieki w jarzącą w śniegu i stońcu przestrzeń pól za oknem.

I ja, zasadzony za tym grubym jak koński żłób stołem, z donicą na kolanach, z kopystką do maku tarcia w garści, miałem przed oczyma tę samą rozległą i bardzo oświeconą przestrzeń. Starannie ucierałem na drobny mak makowe ziarno i patrzyłem, jak pojedynczo, kupą, gromadą, gęsiego, ławą na koniec przeprawiają się moi znenawidzeni towarzysze drogi przez to szerokie, puste w śniegach pole. Ponaglali się wzajem i płoszyli, pędzili dyrdką, Ignęli w zaspach i zapadali się w wykroty, pociesznie się z tych dziur i dołów karaskali, zgarniając swoje roztrzaśnięte manatki, brnęli w kurzawie suchego mialkiego pyłu, para i dym buchały z gęb. Brnęli, chwiejąc się, słyszałem jak na jawie ich rżące oddechy. Litowałem się i cierpiałem z nimi, stygła mi wystawiona na mróz i dujnięcia wiatru dupa, zamęczenie zmysłów przemijało jednak, tym pokorniej gniotłem kopyścią w donicy mak, czując nad sobą ciepły, choć i twardy, to rzetelnie zbity, niewywrotny stołek. Starłem się przez okno nie wypatrywać. Wywijając kopystką, wróżyłem sobie z maku na dnie donicy. Wiedziałem, że ten i ów z błądeuszów, olśniony widokiem białych ścian Pląderówki, nie będzie żadną miarą zważał na to, że siedzę tu u gospodyni Pluderceli za piecem, i runie ku wrotom zagrody nie przeczuwając, że natknie się u progu na posiedzicielkę, nieprzejednanie i gniewnie wymachującą pochwyconym w sieni drewnkiem. Odchodzili jak niepyszni, w taki sposób powitani. Pluderczycha zaś, oburzona, wołała za nawrotem do izby:

– A to paskudy, psierzepy, polatuchy, hulajduchy, patrzaj no ty się, syniu!

Nijako się czułem... Ale czy ja tej samej co tamci maści, czy to ja, podług pludercyńskiego słowa, polatuch, skoro przecie w izbie zasiedziały dobrze, a nawet dla siedziby już odrobinę zasłużony... bo czy całej fury maku nie natłukłem już.

Odurzająca woń makowego zacieru biła w nozdrza i zawracała mi głowę coraz silniej.

Dwa duże noże kuchenne leżały między statkami na stole. Patrzyłem na nie z wielkim rozmysłem. I niczym gospodarski syn, co mu się robota zawsze pali w rękach, odstawiłem jednej chwili donicę, rzuciłem kopystkę, złapałem za noże. Wziąłem je w garść, zacisnąłem mocno. Uderzyłem raz i drugi. Nabierałem rozmachu. Powietrze furknęło i świstnęło dźwięcznie pod posobą. Wtedy ostrzem trzasnąłem o ostrze. Skrzyżowałem w locie ostrza. Rozdźwięczały się jak z nut pięknie.

Głowę oświeconą miałem jaskrawym, nabrzmiewającym ciągle światłem. Moje dłonie, tyle ćwiczone w postugiwaniu się kopystką i makutrą, zręcznie śmigły nożami teraz. Płaz jednego ścierał się z powierzchnią drugiego. Okruszki stali bryzgały na wszystkie strony. Cięty policzki, czoło. Mrużąc oczy silnie, patrzyłem na wirujące w moich rękach noże. Ostrze i ostrze. Biłem ostrzem o ostrze zapamiętałe, lekko jak we śnie. Nie lękałem się wcale, że pokaleczę się, poranię. Niezadowolone (błędne) przeświadczenie, że przez lata całe

ćwiczył się w nożowych sztukach, przesłaniało całkiem tę prawdę, że sięgając po te dwa tępe plądercyne noże, nie pojmowałem wcale, czego je w garści biorę. Uleciało mi z pamięci to nawet, że tak, klin klinem, ostrzem na ostrze, czyści się i szykuje noże. Ale gołym okiem widziałem, jak ostrzeją, jaśnieją one. Zuchwałe ostrzycielskie chwytły moje dłonie stosowały samorzutnie a nieomylnie. Ciąłem, widzę, po mistrzowsku. Ostrze cięło ostrze. Świsł, szczęk nasilały się. Tętnienie hartownego żelaza pogrzmiewało w moich żyłach gorącym echem. Rąbałem, nie ustając. Pojmowałem już, że biorąc do rąk te dwa poczerwiałe szpikulce, tym samym dokonywałem istotnego jakiegoś wyboru.

Wdawałem się w coś najoczywistszej nieobliczalnego. Kto wie, jak w skutkach znamiennego. Nie w głowie mi jednak było wymigiwać się ani przed czymkolwiek cofać. Przeciwnie całkiem. Śmigłość, lotność, skrzydlatość moich nożowych dłoni upajała mnie. Czułem uniesienie. Za nic bym nie opuścił rąk teraz. Rzęśiste skry sypały się z opuszków moich palców. Marsowy szczęk noży brzmiał w moich uszach kusząco i słodko. Czułem się gotowy.

Jak nigdy zbrojny. Siekłem też, jak się mówi, do upadłego. Wymiana razów stawała się coraz zuchwalsza i bardziej namiętna. Jasno zdawałem sobie sprawę z tego, że toczą oto regularny, absolutnie przy tym pojedynczy pojedynek. To moje jedno ramię zbrojne naciecało na zbrojne w nóż ramię drugie. Nóż, którego trzonek ścisnąłem w swojej prawej dłoni, ciął bez pardonu. Nóż lewy uderzał z siłą nie mniejszą. Ostrze i ostrze. Cios, cios. Oko nie nadążało. Chwytało ledwo rozbłyski, migotania skierek na płazach do białości już wyszmerglowanych noży. Uchem już tylko byłem zdolny śledzić postępy tej tak nadzwyczajnej nożowej sprawy. Z napięciem wsłuchiwałem się w szczęki i zgrzytnięcia. Ich częstotliwość nasilała się. Rąbałem się z sobą do upadłego. Wibrujące ostrza młynkowały wokół przegubów dłoni. Ich posępne warkotanie szło na wskroś. Dźwięki te rozchwiewały rozsądek mojego umysłu. Wiedziałem dobrze, że ostrza tych plądercyńskich noży są niczym brzytwki wyostrzone. Zmrużywszy powieki dostrzegałem nawet błękitny blask, jakim żarzyły się krawędzie ostrzy. W swoich nozdrzach nie czułem już zapachu maku. Inna woń odurzała mnie. To była woń gorzącej stali. Z opuszków palców ściekały na ostrza noży krople potu. Płonęły momentalnie, tak przy tym doszczętnie, że smużka pary nie ostawała po nich. Ostrza łyskały. Lśniły jak lusterka. Moja twarz w nich odbijała się. Była ona oznaczona całą ceglastymi plamami; czoło posmuczone potem. I wgłębienie u nasady nosa, ślad po wietrznej ospie, po wręby było zalane potem. Twarz cała jakby wyglądała spod powierzchni wody. Ulewny pot zatopił ją. Oczy jedynie świeciły jak u kota, co ostrzy sobie pazury. Widać też było w lustrach migoczących noży moje sztywne uszy, chciwie łowiące odgłosy toczącej się nieprzerwanie tej jednostronnej, pojedynczej mojej bitwy.

Rozsądek już nie powściągał mnie; przeciwnie, zarzewiał do bitwy. Nareszcie, nareszcie miałem ręce pełne roboty. Wzbudzało to wielkie uniesienie, zarazem bojaźń. Trwałem w stanie ostrej, delikatnej niezmiernie, niebezpiecznej równowagi zbrojnej. Cofnąc ani powstrzymać bitewnej maszyny nie było sposobu, jasne bowiem było, że kiedy powściągnę lewą rękę, prawa nie posłucha, kiedy zaś wypuszczę nóż z prawej, uderzenie pójdzie z lewej: nie uniknę ciosu. Martwiąc się tym

i trapiąc, równocześnie tryumfalnie śmigając nożami, ostrza ścierały się ze sobą ciągle, ciągle, zgrzyt, chrzęst, zgorączkowany, rozplamieniony cały czułem jak pała, płonie moja głowa, wilgotnieje jak powążka, przez którą dopiero co przecedzono mleko, moja koszula, strużka potu cieknie po plecach, łaskocze... nie ustawałem wcale, dyszałem i ziajałem całą gębą, rozogniony i uszczęśliwiony, uniesiony, uanielony, cały w potędze, w majestacie, serce biło, wysoka gorąca fala krwi przetaczała się od stóp do głów, czułem, jak zawraca mi się głowa od buszującej radośnie i hucznie krwi. Biło serce, biły noże, nóż na nóż, ostrze na ostrze, wirowały noże w moich rękach i cięty jeszcze, i jeszcze gwałtowniej, słyszałem ich stale nasilający się jazgot, coraz też siarczyściej pachniało żelazem, krzesiwem, skrą, żarem, popiołem, rąbałem raz za razem i raz za razem szczęśliwie, nieomylnie, wiedząc przecież, że posiekam się w końcu i porezę, z lękiem i czułością o tym myślałem, hulałem po izbie z nożami w garści, nożownik, kosinier...

Jak mnie Pląderka rozbroiła. Nie zgadnę tego. Poczuję pustkę w swoich dłoniach. Machałem nimi stale jeszcze. Oba moje noże skakały po podłodze. Syczały i szczękały przeraźliwie. Nie ustawały, napastowały się. Pludercela podskoczyła i swoim żołdackim butem zdeptała je.

– Doszyć! – rzekła. – Doszyć już tej kosinierki – karcąco rzekła. – Siłę ma – rzekła po chwili, trojąc mi z nagła. – Do sieczki rżnięcia nadać się może – orzekła, lustrując mnie spode łba. – Niech odetchnie ino – i podsunęła mi Pluderkę miednicę. W miednicy tej całą ławicą moczą się solone śledzie: – Na, masz. Ostudź się.

Patroszę śledzie, Pluderkę trzy pyrki, mruży oczy przed wpadającym do izby wielkim czerwonym słońcem, rozważa:

– Która też zaświeci nam dzisiaj gwiazda?

Ile Pludercelina za dni swojego życia widziała wznoszących się w dniu Pańskim na posobę niebios gwiazd. Za boskim zrządzeniem inna zawsze i na innej połąci nieba zaświeca się gwiazdka. Zaświeca się, bywało, gdzie u kraja nieba mały kociślepek, ogieniek maluśki, tli się on ledwie, bystre oko gwiazdora jeno wysłepi ten okruszek światła. Tak jednego roku. Innego zaświeca się wielkie pstre światliko: a bywało też dawniejszymi czasy, że wielka gromada, kosz cały gwiazd wsypywał się za jednym zamachem, wóz cały wywoził się na górne niebo. Ale i takie bywały lata, że błyśnie ledwo na zawałonym chmurami i zabałwanionym niebie jedna ślepa gwiazda: i pytaj się, człeku, wieszczy i proroków, na jaki los to znak?

Co nam dzisiaj objawi niebo, niecierpliwie i tęsknie pyta Pludercelina. Tu na górce u nas, dopowiada, zwykle gwiazd jest takie wielkie zatrzęsienie. Aż od nich kipi, jak w postawionym na gorącej blasze kociołku. Wykipi czasem cała chmura. Skrzą się tu wszędzie, płoną, żywe jeszcze. Wszędzie pełno tych skierek. Cała ziemia osypana suchymi gwiazdkami. Strach stąpać nogą. Żałość, że na wiliję nie zagwieździło się tak okrutnie nigdy jeszcze. Może dnia dzisiejszego, powiada gospodyni i na śledziennika wznosi oczy.

– Hooohola! – woła wtedy, bo spostrzeża, że pyrki na kluski tarte już są utarte, a ona siedzi z założonymi rękami i baje baje; mleczce z mlecznych śledzi tak samo są wydarte: więc woła na gwałt Pląderka, żeby ruszać się, bo choć dużo roboty żeśmy już uskromili, to szmat

jej wielki ostał się jeszcze nie uskromiony. Mak utarty, pyrki starte, śledzie opitwaszone, sieczki zaś nie ma ani na ząb, sieczka nienarżnięta. Ona jedna tylko gospodyni w głowie, sieczkasieczka jazgocze nad moją głową i jak fryga skacze od sąsiedka do sąsiedka, do stojącej pośrodku gumna sieczkarni pcha zgarstki słomy i siana...

Ja tymczasem szykowałem się. Dłonią wygładzałem ostrza dwu wielkich gilotynowych noży, przyśrubowanych do koła zamachowego. Sieczkarnia staroświecka, jak świat stara. Jej gilotyny natomiast jak kosy ostre... kosy świeżo naostrzone zgoła?... Pląder pokutujący, czy by miał może za pokutę ostrzyć je i szlifować? Obie rękami ująłem korbę. Nacisnąłem. Koło zamachowe drgnęło... Skrzypnęło, poruszyło się... na teb na szyję pojechało. Dzwoniło i klekotało. Sieczkarnia wierzgnęła, niczym przebudzona z nagła. Podskoczyła. Opadła na cztery łapy, brzęcząc. Skakała po gumnisku. Musiała dopiero Pląderka nawalić do lady słomy i siana. I ująwszy maszynę za tylne nogi, zaprzeć się mocno. Ja tymczasem co sił kręciłem kołem. Kłębki sieczki poczęły bryzgać na wszystkie strony. Sieczkowy pył momentalnie zatabaczył mi nozdrza. A kiedy, napierając na korbę, pochylałem się, zza kołnierza wysypywały mi się całymi garściami twarde jak suchy groch drobiniki sieczki. Też sieczką zapachniało. Zapach był silny, przypominał zapach maści ichtiolowej. W głowie kręciło mi się coraz bardziej. Naparłem na korbę, zawisnąłem na niej całym ciałem. Sieczkarnia zadudniła, zatupała, wierzgnęła, stanęła. Wydmuchnąłem z nosa kłębki siana i sieczki, zaś Plądercelina rzekła, że żyje na świecie długo i widzi, po co człowiek tu na świecie żyje. Po nic żyje. Panu Bogu w okno żyje. Zziajana, z wolna wypowiadała te słowa. Równocześnie napychała sieczkarnię sianem i słomą. Ułapiła ją za tylne nogi, ja zaś znowu naparłem na korbę całym ciałem. Koło rozmachnęło się. Gilotyny cięły akuratanie. Kłębki siana i sieczkowego pyłu stały nad moją głową. Sieczkarnia statkowała się z wolna tymczasem. Nie huczała już i nie rupotała gwałtownie, furczała i grała jednostajnie. Ostrza wirowały, tnąc. Ozwało się późne echo spod boru. Zzawo grało na tę samą nutę: buchciach... buchciachciach! Napierałem na korbę całym ciałem, korba mnie porywała, wynosiła aż pod żerdki górnego sąsiedka. Gładko szlifowane i należycie wyręchtowane gilotynki cięły coraz piękniej, coraz delikatniejsza sieczka sypała mi się pod nogi, pyłek sieczkowy wznosił się w powietrze i drażnił nozdrza błogo. Koło, wznosząc się i opadając, upajało mnie i kołysało. Toczyło się teraz leciutko, niczym na wietrze piórko... czy może nie ja jeden wprawiam je w ruch? Myśl taka przemknęła mi przez głowę... nie przydałem jej znaczenia jednak. Koło krążyło, nosiło mnie, wirowałem w upojeniu.

Rozległ się krzyk. Korba wymsknęła mi się z rąk. Krzyk był straszny. Skowyczenie istoty żywcem ćwiartowanej. Wypuszczona z rąk sieczkarnia stawała dęba. Wierzgała po gumnie jak ukąszona. Przewalała się z boku na bok. Koło zamachowe kręciło się z niewiarygodną szybkością. Ostrza szatkowały powietrze. Powietrze skrzypiało.

Ja stałem jak ścięty. Patrzałem sobie pod nogi. Z ostrza przed mgnieniem spadły krople krwi. To przysięgnę. Krew wsiąknęła w sieczkę. Nie było śladu. Krzyk brzmiał w moich uszach ciągle. Celina Pląder cofała się przed wierzgającą po klepsku sieczkarnią. Udało się,

umknęła. Machina sieczkarska, dudniąc, szczękając, krokiem pobierającego pierwszą lekcję tańca szaleńca kroczyła przez gumno. Wirującą ciągle jeszcze korbą zawadziła o krawędź wrót. Zachwiała się. Zatoczyła. Z hukiem i brzękiem żelastwa, trzaskiem łamanego drewna zwała się w sąsiek. Tam ugrzęzła w słomie.

Staliżeszmy ostupieni, z oczyma wbitymi w kupę sieczki. Kurzyło się i dymilo z niej. Plądercelina załamywała ręce. Coś mówiła do mnie. Poprzez ciszę, co po upadku sieczkarni rozbrzmiała mi w uszach, nie dochodziło do mnie nawet jedno jej słowo. Staliśmy wobec tego, nie porozumiewając się ze sobą za pośrednictwem głosu. Długo tak trwało. Przerażliwy skrzyp suchego, na kość przemarzniętego drewna ocknął mnie. Skrzypiały ostrożnie rozchylane wrota. Przybysz jakiś stanął na skraju gumna. Był jak z drewnianego kościółka mysz. Nie chciał na mnie patrzeć wcale. Zastaniał sobie twarz szerokim rękawem długopolego mantla. Czegóż okropnie się wstydził, czy coś skrywał. Boczkciem wsuwał się w kąt stodoły, chował się za faję do fajowania żyta, to jest wialnię. Potknął się o kupkę zleżałych plew. O mało nie przewrócił się. Zawstydził się silniej jeszcze.

– No, co ta, co ta – witała go Pląderka niezycziwym burczeniem. Przybysz, to rozdziawiając gębę, to znowu półgębkiem tylko się uśmiechając, wyraźnie coś jej w ten sposób chciał dać do zrozumienia. Pludercela jakoś nie umiała albo i nie chciała znaków pojąć:

– Aa! – mamrotała pod nosem. – At-ta, ta... Połcia żeś mi przyniósł?

Przybyły przeczył, odżegnywał się. Przywabić starał się równocześnie gospodynię ku sobie. Ta obruszała się, wzdrygała ramionami wzgardliwie. Gość ze swego kąta trzepotał rękami coraz usilniej. Wyraźnie zbita z pantafelku Celina Pląder zrobiła krok i drugi w jego stronę. Przybysz wtedy, nie ustając młynkować rękami, tryknął łokciem wrota, wymknął się na dwór. Prздеptując nogami w głębokim śniegu, wabił Pląderkę w dalszym ciągu. Młynkował wielką jak kłonica lagą z wielką zajądłością. Pluderka przestępowała z nogi na nogę niepewnie. W końcu dała się wywieść ze stodoły.

I ja porwałem się wtedy, chciałem iść. Czuję, że marne moje widoki. Dokąd jednak iść. I, sieczkorób, ostałem się w stodole, sam na sam z roztraśniętą sieczkarnią. Pochylając się nad nią, niby to szacując wynikiłkę szkody, równocześnie zwinieją w trąbkę dłoń bezwstydnie przystawiałem do ucha, by podsłyszeć, co się tam za wrotami gada. A tam o kim, tam o mnie gadało się:

– Co to za taki jest ten tu owy – wywiadywał się przybyły. Plądercela ociągała się z odpowiedzią, kołowała, z głupia frant dopytywała się:

– O tym tu godosz?

– A no, a ino, ano...

– Co sieczkę rżnie? – dalej jeszcze z głupia zapytywała Pluderka.

– No, no – przytwardzał przybyły. – Rżnie. Wiele tam nie urznął. Więcej szkody niż pociechy. Jakby się wdał w kogoś, nie powiem kogo... Co on za jeden jest?

Odpowiadając na to pytanie, gospodyni wiktła i gmatwała słowa, plotła jak na mękach, niczego nie wyjaśniając jednak. W końcu już tylko przedeptowała w miejscu. Śnieg skrzypiał. Przybyły drepcił w miejscu tak samo. Śnieg trzeszczał i popiskiwał pod jego trepami.

– Każdy widzi: znojdór – orzekł wreszcie.

– Ale, ale! – Pląderka się sprzeciwiła. – Sam żeś znojdok. Powinowały on. Ale to wielki. Sumiennie ci to, Kosiu, mówię.

Wtedy przybyły do nas Koś znienacka takie śmieszne rzucił pytanie:

– Piśmienny? Hy? Piśmienny?

Tając dech, zaglądałem sieczkarni w zęby. Obie gilotyny gładkie były, czyste. Ani plamki, ani szczerbki. Wytrzeszczając oczy, nastawiałem uszu równocześnie. Gospodyni marudnie pomrukiwała. Koś źlił się:

– Daleko dupa oka! – wołał gromko. Zaczem zniżył głos, szeptał, chichocząc rozpustnie: – Pozbytkować żeś se troszki rachowała?

– A całuj ty mnie, Kościu, w rzyć – źliła się i odgrażała Plądercela. – Nie rób mi tu bydła, gałganie jeden! – a przybyły Koś, obecnie przez gospodynię zwany Kościem, nie uraził się wcale tym, co tak obces powiedziane mu zostało. Obleśnie chichotał:

– Et! Et-ta – pokrzykiwał. – Nie turbuj się. Pozbydziesz się grzycha. Po grziba ci on? Będzie ci tu psocił. Zrobił we dworze co porządne? Narządził co? Sieczkarnię na moich oczach roztrząsał. Wypisz wymaluj nie powiem kto – wypominał, Pląderka zaś pochlipywała, mamrotała coś niezrozumiale.

Wypowiadane na podwórku słowa słyszałem wyraźnie niczym przez gigantofon jakiś. Choć jednak słowa obojga zmawiających się były całkiem jawne, to mowa ich tajemna dla mnie. Miarkować mogłem tylko, że moje losy ważą się... ba, są już przypieczętowane. Bolałem mocno.

Pląderka nie musiała się wstydzić i kłopotać wcale. Stała we wrotach i wpatrywała się w kupkę sieczki pod moimi nogami. Ozwała się z nagła:

– Idź, idź, jak już ta iść ci trzeba jest. Idź, wynocha, idź! Bo powiedzą jeszcze, że cię tu kto na powrózku trzy-ma!

Skrzeczwała tak bez wstydu i Boga. Kościu ten przez wółuchylone wrota wsuwał swoją spiczastą sznupkę i świecił mi w oczy szkłami swoich nowych, jak spod igły, plastikowych okularków.

– A wy? Chodźcie wy tak samo, Plądrzyno – rzekłem, rozżalony wypędek.

Plądrzycha, mnąc i targając fartuch, załamywała ręce:

– A gospodarka? – zakrzyknęła buntowniczo i żałośliwie. – Ostawię ją tu pokutnikowi na zratę i rozdrapanie?

– A niech i on tak samo idzie z nami! – ja na to bezczelnie, Celinie patrząc w oczy.

– Poczkej no, ty ciorcio! – biesiła się na mnie Cela Pląder. – Poczkej, paskudny! Doczekam się tego, że jeszcze i za ciebie pacierz zmówię!

Potem ścichła jakoś, patrzyła na mnie z żałością i pokornie, targała fartuch i ubiadywała:

– Jedy, jedy. O, jedy... – szeptała dziadowskie biedne słowo. – Kto ta wie, gdzie ten paskudnik loto, jak tu mi w gospodarce nie bruździ... Jedy, jedy...

Prawo prawem. I ja nic już, nie spieram się, nie przeczę, nie ociągamy, nie zwlekam. Zostawiam do czysta przeze mnie opitwaszone śledzie, starty mak, poostrzone noże, pobitą sieczkarnię, do worka wpycham, co tam nie w czas nieopatrznie wyciągnąłem z niego, Inianą ścierkę z mapą Australii i Nowej Zelandii, kalendarz stuletni (z którego wywróżyłem Plądercelinie, w jakim

dniu tygodnia wypadnie Wilia w roku przyszłym, w Roku Pańskim 2012, AD 2036 i za sto lat), okruch święconej kredy, którą gospodyni dała mi w zamian za pisak – bo zbierała się ona na Trzech Króli pisać pozdrowienia dla krewnych i powinowatych (a w domu do tej pory miała tylko rysik, z jakim do szkoły chodził przed laty nieboszczyk ojciec Płader); zaciągnąłem na przegubie lewej ręki pasek z zegarkiem radzieckim slava, który zdjąłem, zabierając się do darcia mleczy śledziowych, i wzięłem do ręki poczwornie złożoną chińską chusteczkę do nosa i książeczkę z zapalnikami made in Germany, nie wrzuciłem jednak do torby... doskonale bowiem rozumiałem ten niejasny, a niezależny od kogokolwiek z nas układ rzeczy... zawiniętą w chusteczkę książeczkę z zapalnikami w tajemnicy przed postronnymi wetknąłem w wyżartą przez korniki i myszy szparkę w nodze stołowej.

Bo choć odchodzić miałem, to nie chciałem ze wszystkim dać się wyprowadzić w pole, zabrać nie pytany zauczkę jakąś, maciczkowy guzik, rąbek obrusa; książeczkę swoją z zapalnikami natomiast ostawiałem w potajemnym zakamarku na wypadek wszelki... Żeby kiedyś w to zacisze wrócić, nawet jakby mi przyszło brnąć znowu przez te zawałne śniegi, przez które, nie patrząc na nic, włóknął mnie przybyły Kość; ani myślał on szukać przetartego szlaku, jakież z grubsza chociażby przedeptanej ścieżki. To ówcowi nie powstało w głowie. Mikry jak przyszczyпка u małego butka, smykał po śniegu niczym wydmuchnięty zbuk. Snuł się za nim na stężonej powierzchni śniegów ślad, wąty ślad pajęczka. Patrząc na to, żegnałem się w duchu. Śniegi przybysza tego nosiły niczym woda. Czy on obuty jest w jesusowe butki. Przeżegnałem się raz jeszcze po kryjomu, odganiając od siebie niepotrzebne myśli. Spode łba śledziłem postępy drogi. Wielkiego chodziarka tego sponiewierać i wygwizdać mógł byle wiaterek. Chudzina była z niego. Szczęściem swoim odziany był z furmańska, fest: fufajka, portki fufajowe z nogawkami wpuszczonymi w gumofilce z półkaloszkami; tęgi posoch zaś zdawał się służyć mu wierniej niż nóż i widelec.

Śmigał nim Kościa śmiało i młynkował, bez błędu trzymając równowagę. – Wender, wender! – ponaglał szorstkim tonem przewodry. Popatrywał na mnie z coraz większym strapieniem. Byłem przy nim ciężki jak kowadło. Raz po raz zapadałem się w śniegi głęboko. Z zapaści karaskałem się jak z piwnicznego wykopu. Lej ostawał niczym po wojnie. Kościu pohukiwał i ponukiwał mnie, ale widać było, że wątpi i traci ducha. Choć łaps, sumiennie się trapił, że wywiódł mnie w pole. Stanął i oznajmił, że są gdzie indziej drogi przetarte, odmiecione i solidniej utwardzone niż te polne tu przełazy. Zawracał do Pluderówki i mnie wracać kazał: – Nawróć się! Nawróć się! – skrzeczał. To mi nie w nos było. Pytałem: – Pluderka. Kto ona? – Kościuk odpowiedział: – Heród. – Herod-baba? – jeszcze zapytałem. – Heród istny – Kościa odpowiedział. – Niewstydy! – Tym bardziej mnie strach i wstyd było cofnąć się. Rzecz marna i nie do pomyslenia, by rzetelny piechota i podróżny przed drogą klęknął. Ani mi się śni, odrzekłem i naprzód dążyłem uparcie, zostawiając za sobą grubsze jeszcze wykroty, głębiny, wadoły, gruzy, ruiny, dziury. Jak nie nosił, tak nie nosił mnie śnieg. Zarywał się. Wybuchał pode mną z wielkim hukiem i z hałasem. Jakbym kto wie kim był, wielkiej wagi historyczną postacią. Echo hukowało i powtarzało hałasy, musiały one dochodzić uszu Pładerceliny,

choć pładerskie zabudowania dawno już zeszyły nam z oczu.

Z oczu zeszyły, ostały w sercu i myśli. Frasowała mnie sama tam na swoim chudzina. Całe zagubione w zawałnych śniegach i na wpół rozgromione przez łotra pokutnego gospodarstwo, zdane na łaskę starej kobiety. Niechby ona i sam herod wcielony była, baba-młot niechby była, sama jedna nawet najbardziej nagłych robót nie dźwignie. Dobrze, jeśli oskard weźmie w garść i skuje lodową skorupę na podejściu do studni, nadzieja wtedy, że nóg nie połamie i rąk nie pozwicha, i na Gody przynajmniej czystej studziennej wody nie upragnie. Ale czy przez dziurawe okna wiatr wszystkiego ciepła z izby nie wydmuchnie: wybitą szybę niechby jaśkiem zapchała. Sieczki bydłem od biedy nie zbraknie, ale czy nie należałaby im się świeża podściółka. Też by się zdało choćby słomianym wiechciem zatkać, skoro szyber zaginał, dziurę w kominie. Płot wywrócony postawić i na tymczasem podeprzeć choć odjętym od wozu dyślem, żeby gospodarka nie wyglądała też, niczym ten płot powalony, na upadłą. To zresztą same głupiego roboty. Chcący podupać budynki dźwignąć gospodarz, niechby i włódarz rzetelny, musi mieć i głowę tęgą, i w kieszeni grubo: samego drewna parę festmetrów na początek by się zdało. Dąb deska, buk deska...

– Daleko dupa oka! – Kuś z nagła zahłasował swoim szpetnym przysłowiem. – Ceglarnia het gdzie, w Odolanowie! – Jak Piłat w Kreda wstąpił w moje myśli. Skądeś on wiedział, że w uchu mi dzwoni, nie wiedział, w którym, pofajtało mu się, buk deska z cegłą pomyliła, zwana ceglarnią cegielnia nieukowi z tartakiem pokielbasiała się. – Na podmurówkę w chlewach cegła mikstacka lepsza, ale Mikstat gdzie? Za Odolanowem jeszcze! Przywózka przedroży, taki interes nie interes! – przestrzegał mnie przed zrobieniem głupstwa. I surowo pouczył jeszcze: – Przestań hauzerować, czas się usatkwować!

Kurzawa wytryskała rżęsimym snopem spod stóp i wzbijała się nade mną na wysokość fest chłopca. Od gruntu porywał się uległy Bóg raczy wiedzieć, gdzie wiatr i lepił z wirującego w powietrzu suchego jak pieprz śnieżnego miału mdłe figury ni to męczonych szkaradnie świętych Pańskich męczenników czy słupników, ni to herodów i heretyków, dziwne, plugawe maskary, mamidla i mamony drakułów, smoków i paskudniejszych jeszcze od nich niestworzonych stworów. Roily się one przed moimi oczyma masami. Wabiły, maniły. Na pokusy te i wdzięki niecuły, trapiłem się stale tym, jak łajzie Kości dorównać w sztuce chodu. Łaskawie zatrzymywał się on czasami, by zadać mi zziąjanemu takie pytanie: czy nieboszczykom i zmarłym słuszniej jest życzyć wiecznego odpoczynku, czy też światłości wiekuiestej? Korzystając z chwili zaafierowania mojego wodza sprawami ostatecznymi, ukradkiem patroszyłem kieszenie. Skwapliwie wyrzucałem ciężarki, a nawet rzeczy, które ważą tyle, ile mucha w poście, chusteczki batystowe i jednorazowe, suche pestki dyni, przeterminowane grosze i szewskie szpałki. Wstrzymywałem dech, ważyłem i miarkowałem swoje kroki. Stąpałem po ściętym śniegu stópka za stópką, ostrożnie jak po świeżo zaciągniętym lodem stawie. Kościutek tymczasem hulał sobie, bez troski wywijając kijaszkiem, w powietrzu kreśląc proste jak bicz kreseczki, zygzaczki, na koniec też wielkie koła i dziwne wybryki. Śmiejąc się w kułak z marudy, niezdry

i niewydarzeńca, podawał w końcu łaskawie utopionemu w śniegowym studniku koniec tej swojej furkającej niczym wiatraczna śmiga przedziwne dźwięki i śpiewy lagi. Wydostawszy się na powierzchnię, kurczowo trzymałem się i nie wypuszczałem z rąk zbawczej kłonicy.

– Te, te, mamlasku ty w dziurawym przetaku rodzony! – bluzgał niewyszukanymi wsiowymi wyzwiskami i szarpał się ze mną dzierżący drugi koniec posocha Kościuch. Z ociąganiem i żalem zwracałem mu co jego, to takie miłe i tak dziwnie błogie w dotknięciu drewno. Zostawszy z pustymi rękami, pytałem prawowitego posiadacza kija, od jakiego też on drzewa pochodzi.

– Osina przecie – odrzekł Kościu, jakby to najoczywistsze było, kiedy zaś otrząsnąłem się wiadomością taką usłyszawszy, z kacerskim zgoła zapalem i wymową, pniąc się i tykając słowa, a i całe okresy i zdania, obalał przesady i zabobony narosłe przez wieki wokół drzewa osinowego. Gorliwie wynosił pod niebiosy jego cnoty i inne zalety; dowodził między innymi, że na krzyże nie ma właściwszego drewna, i Pana Jezusa krzyż sprawiedliwie wystrugany był z osikowego drzewa: jest to bowiem drzewo czułe, dobre dla człowieka, łaskawe, stokroć bardziej ludzkie niż inne dziko rosące drzewa. By swym wywodom przydać mocy, Kościuta śmignął i zamlynkował tą swoją zgrabnie z drzennej osiny wystruganą ciupażką. Ciepły wietrzyk osikowy muskał i głaskał mi twarz. Mimo tej atrakcji trudno mi było dać wiarę ekstrawaganckim twierdzeniom domorośłego, wzrostem niskiego, przemądrego roztropka, które niejednemu wydać by się musiały wysoce ryzykowne, a może nawet bezbożne, niezgodne z prawdą ani z naturą, bluźnierskie. Oczywiście, oczyszczenie z podejrzeń, zarzutów, przewinień i domniemyanych zbrodni zawsze jest godne pochwały, wtedy nawet, gdy dotyczy nieświadomego ludzkich, a może nawet boskich wyroków drzewa; trzeba jednak mieć to także na uwadze, że tym razem, cofając oskarżenie wobec jednej istoty, nieuchronnie przenosimy je na wszystkie inne, krewne. Żywiłem obiekcje, ale, na krucyfiks!, czy tkwiąc pośrodku rozległego jak kaliski powiat lodowego pola, które każdej chwili mogło się pode mną rozewrzeć (a wtedy ta Kościukowa kłoniczka osikowa jedynym będzie dla mnie ratunkiem), miałem stawać wobec zaperzonego mego prowodyra w obronie wiązu, dębu, lipki i modrodrzewia? W tyle głowy chowając pamięć o innych jeszcze znanych mi z opowieści pożytkach przez ludzi czynionych z osinowego drewna, przytaknąłem apostołowi, by zaraz go zagadnąc o najbliższy tu w okolicy tartak. Wyjaśniłem, co mnie trapi i dlaczego nastaje na zakup drewna, cegłę odkładając na późniejszy czas. Kościu zadziwił się i skłopotał, wydało mi się, że jego znawstwo ogranicza się do używanej niemal wyłącznie do konstruowania krzyży i podobnego rodzaju terminalnego sprzętu osiny. Popatrywał na mnie wstydliwie jakoś i niepewnie, z boczku, jakby chciał wypatrzyć u mnie jakiś uszczerbek, niedostatek; wietrzył może jakiś nieczysty zamysł. Nic nie odpowiadał, wspierając się na swoim kijaszku parł przed siebie, z poświęceniem torując mi szlak przez szczybiałą nieckę doliny.

Dolina ta rozpościerała się szeroko, szeroko, daleko. Horyzont podźwignięty pod samą krawędź nieba, wysoko. Majaczyły tam oślepiająco białe w jaskrawych śniegach świerkowe i jodłowe masztowe drzewa, gonne sosny, brzożowe przylaski, kępy wierzb, jeżyny, jałowce.

Trzaskające od siarczystych mrozów głązy lodowcowe kulify się i wtulały w ziemię.

Biała kapliczka stała też tu u krańca doliny, na wzgórku. Ją zasy zasywały z czubem, całą.

I zdać się mogło, że świat ze wszystkim, wszystkim, ze szczętem, z rogami i kopytami, zapadł się w te kopcyste nieujęte śniegi. I ja, niepewny, strwożony, raz po raz spadający w śniegowe jamy i czeluście, nie wiedząc czego się trzymać, trzymałem się ile sił Płądrowego płota.

Płot na Płądryźnie niejedyn – i niejednaki. Płądry bo z dawien dawna w płotach, zagrodzeniach, wrótniach, furtach, zamkach, zastonach, a też i siłach mieli ufność i zamiłowanie. Na dalekim polu pobudowani, musieli mieć się na bacności tak przed obcym człowiekiem, jak przed obcym zwierzem, mieć się na bacności tak samo przed cygankiem łobuzkiem, jak przed żarłocznym zajączkiem, tyle przed patentowanym złodziejem, ile przed chytrym lisem; przed strzelcem i żołnierzem tak samo, jak przed wilkiem i dzikim kabanem. Grodzili się i zamykali przed nimi i wszystkimi innymi. Klatkę, gródkę, kojec, budkę miało tu z reguły każde króliczątko, kurczątko, kanarczątko, pisklę jaskółki, co wypadło ze swojego gniazdka w chlewie. Szczelne zapory i zmyślne straszdyła różne otaczały kurniki i indycze grzędy, gęste siatki i kraty osłaniały kojce dla perlic i klatki dla rozmaitych tam innych gadzin. Klatki klatkami, nie zapominało się na Płądrowiźnie też o rozmaitych siłach, łapkach i cłapkach: siadał zimą Pluder jeden z drugim pod piecem i dalej!, na wyprzódki łamigłówni kłecą na lisy, zające i myszy ze szczurami. I masz: kobiety Płądrowe w niedzielę na sumie pyszną się lisimi ogonami, siedem zajęcy całą Wielki Post kruszeje na mrozie, będzie palce lizać wielkanocny pasztet! Futrowały się Płądry zajęczym pasztetem i indyczym jajcem, nabierali sił, żeby zaraz, jak tylko troszkę na spozimku popuszczą mrozy, ruszyć z toporkami i młotkami w garściach na obchód swoich gospodarzek. Bo choć gospodarstwo płąderskie jedno, to na jego gruntach mieli swoje połacie i działki synowie i wnuki, jakiś pociotek nawet wygrodził sobie na stoczku zagonek i siał tam sobie bakun i jakieś konopie... To odstępcza, odmieniec, kocia wiara, wykojeniec, trzy ćwierci do śmierci, rdzenny Pluder to tak we dnie jak w nocy koniarek, zgrzebło, huzda, lejcka, bał z czerwonym kutasem, kary koń, kara kobyłka, żróbek z ogonem jak miotełka na stratowanej ziemi w okólniku za stodołą...

– A ciuj! – pędził mnie niczym śmierdzącego kozła precz od okólnika za płąderską stodołą prowodyr Kościucha – Ciuj, szkódniku, ciuju ciuj!

Tak poniżany i wyszydany, smrodem, cuchnącym ciujem obzywany, szukałem pomsty i odwetu na głowę tego gada, gnoja, oszczercy, trzymając się ciągle obydwoma rękami sztachet płąderskiego płotu, patrzyłem na kwitnącą w sadzie brzoskwinię, uginającą się pod ciężarem wędrownego roju, który dopiero co złotą chmurką przemknął nad moją głową. Pszczoły jak do miodu ciągnęły na Płąderszczyznę; rzepakowe pola, tartarka i gryka, wrzosowe polany, lipy domowe i polne grusze niebem i rajem dla każdej pszczoły, osy i trzmieła, każdej zabłądki były. I z wiosną, z pierwszym kwieciem na Płąderskie ziemie ściągały niezliczone roje. Frunęły w pojedynkę, szybowały i spadały z jasnego nieba całe wielkie chmary, rodziny i rody na osiedliny w miododaj-

nym kraju. Ale nawet w tym świętym raju trafem widzieć można, jak pszczoły rodzimą swoją matkę biorą w kłęb, bez żalości antychrystę w jazgocie i krzykach srogo za nieznanne winy karzą, uśmiercają. Jawił mi się przed oczyma taki bezlitosny dziki kłęb...

Dolina głęboka, przepastna i nawet wielkie te zawałne śniegi nie zaniósł jej bez reszty. Zwały, zasy, kopce i bałwany śniegu pozakrywały jednak i pozawiewały pasterskie ogrody i okólniki, rowy, kamienie graniczne i słupy, i je ze szczytów zasłoniły. Ledwo gdzie skrawek gruntu, orne pole wymiecione przez wichury i wichry do sucha, do skutej mrozem na żelazo skiby; po tej goliźnie szło się jak po grudzie. Ale twardo oprzeć można było stopę i podnieść wzrok bez obawy, że się zachwiejesz, człeku, przejęty zdumieniem i zgrozą, zgorszony widokiem ogromu i bezkresu.

Trwające bowiem od tygodni i tygodni sierdżite mrozy nie dość że rozkuły sklepienia niebios, to starty niebo samo. Niebo było niczym otwarta w wielkim domu na przestrzał sięń. Pustki, więcej niż pustki... nic, nic! nico swój początek brało na dwa palce nad daszkiem uszanki już. Trwoga ogarniała momentalnie. Być może w pozbawiony zwieńczenia i kresu przestwór patrzeć by należało przez zakopcone szkieleto, przez sadzą malowaną szybkę z przydrożnej kapliczki, choćby i przez palce najprościej. Bo dość było nieopatrznie unieść głowę, by zabłąkać się okiem, myślą i rozumem swoim w bezkresnym bezniebiu światów czy już zaświatów może. Z dalekiego daleka, daleka, z zadali, z zadaleka, z bezmiaru bezmiarów biło zamrozem nicestwa, co u swego dna – dna nie miało, mienia żadnego ani materii, ani ducha nie. Wzrok przykuwała i oślepiła, obezwładniała, ludzkie ciało przesywała lękiem i mrozem nicość bez barwy, bez dźwięku, bez żadnego pojęcia, postaci, cienia. Duszy, ducha. Patrzałem, nie ustając, w wielkiej bojaźni zachwycony. Zdzielić mnie na ostatku musiał Kościutek zbawczym posochem, bym swoje na wpół przytomne, omamione i nietrzeźwe, oślepienie blaskiem nicości spojrzenie odwrócił.

I serce mi drgnęło. Przejąłem się widokiem. To, czego nie dostrzegał, teraz okiem wyćwiczonym w ściganiu nicości, na przestrzał widziałem.

Kraj dokoła jak wiór suchy, szorstki. Cicho wszędzie. Polne grusze stały puste, głuche. Zasypane śniegiem wyżej czuba wyglądały jak przedwieczne bogi, strachy, święte bałwany. Inne, na wydmuchu, czarne, wraże, złe, sople lodu i strzępki szronu tyskały w nagich gałęziach. Cała dolina w potężnych ogniach zachodzącego, niezaszłego słońca. Znad grzbietów zasp podnosiły się miękkie jak jedwab smużki srezogi. Śnieżne puszyńki wibrowały w szkarłatnym od płomieni chylącego się dnia powietrzu.

Otumanieni przenikliwym światłem, posuwaliśmy się uciążliwym chodem w głąb pradoliny dalej dalej daleko, krok za krokiem, zaspą za zaspą, okop za okopem, wykrot za wykrotem.

– Głupio w tym życiu... – z nagła nie wiedzieć czemu ozwał się głupio, przystanąwszy dla zaczerpnięcia tchu pod samotnym pośród pól, oszronionym i na kość skutym mrozem drzewem.

– Do rozpuku! – z punktu wydrwił mnie zgryźliwy mój przewodnik. Rechotał oblesnie, zadowolony. Bił w dłoń, klaskał, bez wstydu sobie samemu wiwatując. Dokoła nas pusta tymczasem rozległa się taka wielka, tak bez

granic i kresu pusta, że echo nie znalazło na jego chichoty i poklaski najmniejszej nawet odpowiedzi.

I ja słowem nie odpowiadałem na jadowite przekąsy i przytyki towarzyszącego mi w przeciągłej tej drodze tak żwawego w kroku, a i w gębie jak rzadko obrotowego kumpla. Co innego trapiło mnie i dokuczało mi. Ślepiąc dokoła swoimi zaślepionymi nicością nieba oczami, w rozterce i nagłej gorączce pytać począłem: – Gdzie Onufry? Bugaj! Bugaj gdzie? – A kiedy przewodnik Kościu na zapytanie takie nie odpowiadał, dalsze zadawałem: – Parzynowska Zmyślona, Namysłaki, Zamysły, Wygoda Plugawska, Fidela, Chlewo? A Czubaki?

– A sam świat – pytałem w gorączce. – On gdzie?

Kościu śmiał się, śmiał do rozpuku, jak i zapowiedział, rechotał niczym po chmielu:

– Marny los kataryniarza! – nie ustawał szydzić i naigrawać się ze mnie ciemnego, nie dość toku rzeczy świadomego. – Świat dawno ostał się na boku! Dawno przejdżiona jest Wygoda, a też i Bugaj, Zamysły, i samo Chlewo!

Jąkając się z zaskoczenia i wielkiego zadziwienia pytałem, co zatem. Jakie nasze niedoszłe drogi i kierunki. A losy moje? Życia mojego koleje i przeznaczenia?

Kościu ten otworzył paszczę i wyszczerzył wszystkie swoje, ile ich miał, zęby trzonowe i przednie. Aż się chwiał się śmiać. Śmiał i śmiał. Śmiał się i chwiał ode śmiechu. Aż z wysokości polnego drzewa, pod którym żeśmy popasali, poczęło się po jakimś czasie cichutko, nieśmiele ozywać przebudzone z mroźnego zakucia echo. Półgębkiem jakoś, półszepetem, wstydliwie i z ociąganiem powtarzało ono rozpustne te i rozwiązłe jazgoty, rechoty i obleśne chwieja tego pierdykania, pierdy i bluzgi.

– Ta poleczka to oberek! – obwieścił, zanosząc się wesołym i szczerym śmiechem chytruska, co z siebie jest rad. – Ober!, jaśnie oświecony panie dziedzic, ober! Gdzie masz, dziedzic, łązić, przecie żeś jak raz przyszedł! Masz tu – wskazał – na swoje obertaski dolinę na całe pół powiatu wielką i nieba szmat na przydatek. Hulaj duszo, piekło było, ale i ono przejdżone już jest!

– Ale z kim? – zapytałem poczciwie i zartobliwie, bo wierzyłem, że sowizdrzałki sobie jak to zwykłe mój podróży gada, wdzięczy się i nieprawdy mówi.

– Nędzo błada! Ze mną to nie łaska? Toć ta poleczka to oberek! – w kółko powtarzał swoją prawdę, z udanego fortelu przy tym weseląc się i ciesząc jak głupi. – Żyje się raz, umiera na czas! – na odmiankę dający wiele do myślenia wierszyk wygłosił mój dróżnik. Krzywiąc gębę, krzywe zęby szczerząc, wmawiał mi tę wiarę:

– To obertas, ciubaryku jeden! – I rozjuszony, z nagła mi zadał takie policjanckie podstępne pytanie: – A jakie to jest twoje echt nazwisko, ciubaryku jeden?

Chwyciłem się za głowę wtedy. Rozum, całkiem pomieszany, do cna tymi pomówieniami świecibaki zahukany, nie umiał wykrztusić jednej głoski. Nie znał on zresztą żadnego mojego nazwiska ani imienia. Prawdziwie gałgan wykręcił mi obertasa ciężkiego! Stałem przed nim na bacność, gorączkowo mieszałem w swoim rozumie, ale nie było w nim żadnego nazwiska ani imienia.

Stupajka tymczasem świecił mi bakę i kpił sobie ze mnie w żywe oczy. Wyraźnie na rękę mu było moje zakucanie i płaśawica. Grzał się rozum i gorący pot wyciekał spod czapki pilotki na skronie. Uszy pały ode wstydu. Dusza we mnie tupała. Mój rozum wcale mnie nie

wiedział. Nie widział nawet mnie. Kiedy mnie zapomniał. Co ja miałem w swoim rozumie, jak nie miałem nawet swojego własnego imienia. Kościu ścigał mnie wejrzeniem. – Hy? Hę? – mamlął jak zza stodoły. – Hy? – Płoszyl mnie i płał. Zapadałem się pod ziemię przed nim.

– Hę? – cedził przez szczerbate zęby, popluwał. Zwijąłem się z poruty i wstydu. Byłem czy kimś niebyłym byłem? Było nie było – byłem i rozum miałem. Rozum zaś mając, czemu jednak siebie nie miałem na rozumie. Prowodyra swego nawet Kościa miałem, małego jak goślad, mocnego w gębie chłopinę, co mnie, strzykając piorunami ze swoich zawleczonych żółtą flegmą ślepi, tyłkiem obertaska sobie kręcąc, domagał się beczelnie w diabło pokiereszowanym języku niemieckim: – Byte deine Name, meine lybe Dame! – wykrzykiwał do rzeczy i od rzeczy. Rozpaczliwie broniąc się i swojego rozumu broniąc, zacząłem i ja jego egzaminować natarczywie:

– A niby twoje, Kościutku, nazwisko jest jakie??? Jakie też ono jest?

Udawał zrazu, że ma dziurawe uszy; szturchnięty, rozdarł na mnie gębę:

– Panie ten! Panie ładny! – śmigał mi przed oczami swoim beretkiem osinowym. – Kto ma kotyszek, panie ładny, nawet taki maluśki jak ten, co go trzymam w garści, nie potrzebuje się nazywać Antek Piątek, Wawrzon Pięta ani Wojtek Rogoła! – nadymał się i puszył. – Taki gościu nie musi nosić przy sobie ani nazwiska, ani nawet w kieszeni tabakierki; zawsze, braciaszku, znajdzie się koło ciebie taki, co kasek tabaki podetknie ci pod nos. I kichać możesz sobie na wszystko, na swoje niedosze nazwisko – wyjaśnił ze wzgardą. Śmigał kołkiem tryumfalnie i zwycięsko. – I ani mi śmieję równać ze mną, fajzo ty nieziemska! – huknął na mnie prowodyr.

Wiedziałem i w kościach czułem, że dużo mozołu i męki w swoim życiu zawsze jak i teraz miałem. Ale pamięć zaniedbała pamiętać mnie. Opuściła się. Zawieruszyła się. Wiedziałem ledwo co. Że w dawnych i dawniejszych jeszcze czasach pamiętałem. Jakoś przestałem którejś chwili. Niepamięć zakryła pamięć. Nie trapiło to mnie jakoś, ani nie szkodziło. Co moje, co twoje, nie pamiętałem. Czego innego też nie. Ale swoje wiedziałem. Tego było mi dość. Do czasu. Doszliśmy z zatabaczoną bućką do otrzęsionego ze śniegu czarnego drzewa pośrodku doliny, na którym wisały niezliczone jemioty, które naprawdę mają inne nazwisko, trupie ziele nazywają się.

Mrużąc oczy przed wielkim światłem bijącym od zachodu i na niewidzący, po omacku, głoskę po głosce po mału głosząc, wypowiadałem słowo:

– Pluder.

Zrobiło się bardziej cicho niż przed czasem było. Jemioty pachniały z wysokości trupim ziele. Uniósłem rękę. Była lekka niczym ręka dziecka. Ręce lekkie, na sercu lekko. Czułem radość, żałość. Nie widziałem Boga; do swej duszy modliłem się w duchu. Ktoś dzielny, przebiegły, czym prędzej chciałby pewnie dzielić włos na czworo, snuć rozważne myśli, wydziwiać i nie godzić się, sprzeciwiać. Zgoła los buntować. Swoje nazwisko cicho poszeptując, jak ciele na zabiciu pod jemiotą stałem. Zawalne śniegi, lodowe przestronie, puste przestworza wokoło. Mój podróżnik rozwarł gębę, hałasował:

– Pluder! Piśmienny, a czy nie mówiłem? Zabłądka. Przyszczypka, przyczepka, podpisek! – I już mnie całym od czci i wszelkiej wiary odsądzał: – Pludepląder?

Przybłąder! Zabłąder! Błąder! – Pienił się i wyzywał na sposoby: – Dąder! Jąder! Under! Plunder! – zanosił się krzykiem, zapluwał: – Ader! Kunder! Undekundekunde! – Język z zapalczowości mu się płał, pętał, jak i rozum; bez rozumu bombardował mnie: – Fląde-Punde! Kajne Brude, libe Pluder! Ude-uder! Derr! Er-Er!

Zakrzusił się, a wtedy ja bezlitośnie powiedziałem prawdę:

– Pląder... – wytknąłem go palcem.

– Pląder prawy! – zaskrzeczał z pychą.

– Upiora Pląder! Kościej, ten istny. Szkodnik wiekusty.

– Nie ja szkodny – wyparł się. – Świat ten jedna wielka szkoda jest. Kto też go narządzi?

– Nie ten – powiedziałem – co trzymać musi goły ośliniony palec w górze. Ten, co z drągiem chodzi, rządzi. Jenemu rozum szkodzi i nie wiezieć jakimi światami błądzi.

Na tę wzmiankę Pląder Upiora wznosił swój osinowy kół, zaśmigał nim i zafurkotał potężnie, i zatrzęsł się, i posępnie rozdzwoniły się rozwieszzone na suchym drzewie ścięte mrozem jemiotki.

– Co ty tam wielkiego wiesz, piśmienny – rzekł. – Był żem młody, byłem szczaw zielony, ale głupi nie był. Prawda, byłem za nią jak za żadną. Za nią jedną byłem głupi. jak nie wiezieć kto. Kiedy jej się nie widziałem, chodziłem na smentarz pod murek, gdzie na nie poświęcanej ziemi leżą ci, co ich panny nie chciały. Choć czy to niehonor jest zejść z tego świata, jak cię ten świat nie chce? Szczęściem Celusia rano mnie nie chciała, na obiad nie – a pod wieczór całego, z rogami, z kopytami brała! I jużem był ze wszystkim mądry. I w swej mądrości samego Pana Boga przekabacić w mocy. Dopiąłem ja tego! Kiedy na ślubie ksiądz dopuścił mnie do słowa, ja Celi przysięgam, ale swojej przysięgi nie domówiłem. Jak przyszło powiedzieć „nie opuszczę cię do śmierci”, ja słowo „śmierć” połknąłem żywcem. Wszyscy księża potem ze mną wojowali, przepierali mnie. Nie w nos im było, że się tak obces z tą najpierwszą księżą gospodynią obszedłem. Kładli mi w uszy srogie przestrogi i nauki, karcili za grzech ciężki i pokuty na mnie nakładali okrutne, wołali, bym się ustątkował i przed sponiewieraną niby to przeze mnie śmiertką klęknął. Po przejściu do Domu Pana, mówią, ta twoja kobieta, jak i wszystkie kobiety śmiertelne, już nie tobie, a Panu Bogu poślubiona. Nie tobie! Ja swojej ślubnej, mówię, samemu diabłu nie odstąpię. Bluźnierzu, wyzywa mnie ksiądz, sam biskup na parafię zjedzie i też takie będzie miał na mnie nazwisko: bluźnier. A ja mówię: samemu Bogu śmierci na wierność nie przysięgnę. Ja za Celką stoję, śmierć mi nie ostoja. Śmierci ja nie mam w powadze. Co mnie śmierć, jaka ona dla mnie zastawa, skorom za przedwiecznym Bożym dekretem jest dusza wieczyście nieśmiertelna. Niechby nawet potępiony, na wieczne upały skazany, i w piekle tam na wiek wieków będę Celinę Pląder z domu Zielezińską miał za żonkę sobie poślubioną. Śmierć żem okraczył! I kiedy przyszła, to nie ona, a ja żem do niej wyszczerzył zęby. Siekła mnie kosą i poszła jak zmyta. Wielki mi uszczerbek zrobiła? Bóg pan sprawiedliwy, wierny, po mojej, a nie tej kosej stanął stronie. Jak za życia tak po życiu w swej łaskawości dał mi Miłosierny przy mojej być.

Bóg wielki, potężny, litościwy, naród ludzki marny, bez wstydu, pazerny. – Pląder rzekł jeszcze. – U Boga

Pląder Celina jest Roch Plądera prawą żoną, u łachudrów, totrów, złodziejów mało że wdową, panną jest do wzięcia! Z wianem bogatym pokusą nie lada. I nie robi ona kroku, żeby jej który z chętnych nie zastąpił drogi. W garści bezwstydnym gniewie bukiet goździk. Drugi elegant miętosi stokrotki, inny niesie gałązkę z roztuloną różą. Bezwstydnik bezwstydniejszy od razu za pazuchę sięgnie po kwaterkę. Kawaler fikus dla śmiechu i poruty powrózek przeciąga przez ścieżkę, panna kozła fiknie, wianek pannie z głowy spadnie! Pacierze i żale odmawia biedna w kościele – nie za pokój duszy swojego męża ślubnego wcale, modli się ona o spokój swojej drogi i swego sumienia: bo czy słaba kobieta każdą pokusę zwycięży?, czy na słodki karmelek albo w cukrze wisienkę niechcący się nie połakomi, głowy nie zawróci sobie? Ojczenasz za ojczenaszem pokornie szepcze, litanie i tajemnice różańca klęcząc odprawia, a i tak spokoju nie zazna, nawet w niedzielę na sumie ten do niej mrygnie, tamten w tłoku klepnie, niczciwiara podłym słówkiem bluzgnie, nic mu sakramenta święte.

A to na wsi, na ludziach jeszcze, tu jeszcze waguje się stare chłopstwo i młoda kawalerka. Czy to jednak jeden z drugim drogi nie zna, czy motora nie ma, auta albo i bryczki z czesany konikiem, już ich na naszym polu widzę, na żeniączkę ciągną, gościć się u cudzego stołu jadą. Gospodyni tam już u wrót domostwa czeka, witaj hołoto nieproszona, gnój od krów jest do wyćpięcia, świniak do omiszenia, misiciel jest między wami? O, gnoju się oni boją, za to misić się wstydzą, zawracają ode wrót niepyszni. A ja się pytam żony swojej Celiny, co kobieto będzie, jak się gnojarsz znajdzie, co się stanie, kiedy ten kostropaty na gębie kawaler nóż z zanadza wyciągnie, świnię omisi, kto mu potem ten półkosek z rąk wyjmie? E ta, et ta!, odpowiada moja ślubna Cela, zawsze była lekkiej myśli ona, gdzie tam, dzie tam! A tu we wtorek gnojarsz jedzie, a tu misikról tym samym czasem zajeżdża, zza cholewy nóż wyciąga, nie takiego gnoju i noża warta jest Pluderczynna; dobrze jeszcze, że się jeden z drugim w czasie zbiegli, na poczęstunku jeden mierzy złym okiem drugiego, na miny zapasy robią, siłuje się jeden z drugim, gospodyni z boku. Ale przyciągnie fajdus, ani słowem ani kijem byka nie wygonisz, nie ma ratunku, w te pędy ja na ratunek wtedy, ławę pod nim zarwę, wrzątkiem obleję, gnojówką, do buta mu naszczę, poruty narobię, głupka w ciemię bitego z bykola tego zrobię. Na baczości mieć się muszę stale, jak jednemu z drugim nie uda się czego wskórać za dnia, to złodusza w nocy już złodziejem wróci. Na złodzieju tym dość, że czapka zagore, rzuci porwane ciele, na oślep przez pola na złamanie karku wieje, ten złodziej strachajto, raz drugi już on nie przyleci!

– Choć świta tymczasem, nie zejdem ze straży – swoją powieść wiedzie Pląder. – Widzę jak na jawie, że w swojej chałupie się sztafiruje i do najścia gotuje pierwsza tu we wsi powsinoga i macherka Andzia Makiotka, nic tej pierdoušnicy nie zatrzyma, trąby powietrza, nawalne burze ani pioruny, przyszła już, w kuchni się rozsiadła, na herbatę nie czeka, za Heńciem Brudłą pełną gębą głosuje, jaki porządny, jaki robotny, o inwentarz dbały, jaki do tego w sobie i na gębie okazały, chłop jak rydz, nie brakuje mu nic a nic! Tak prawi, rozumi ciśnie, bredzi, z łajzy, ochlapusa, bladą cnotkę i świętą Cecylię robi, Pląder Celina moja ślubna pod piecem siedzi, nie odezwie się słowem, bo w wartką mowę starej głędy i ksiądz

misjonarz słówka by nie wcisnął, słucha i słucha, głowę sobie mąci, powieści Makiotcyne miodzi, marcepan, słodkie powidło, zasłuchała się Celina w te baśle i bajubaje, okrągłymi oczami na wiedźmę patrzy. I na swoje, też i na moje, jej ślubnego, szczęście, tymi okrągłymi, wielkimi oczami widzi długi włos, co jakoś wysmyknął się z ondulacji Andzi Makiotki. I widzi, że na czubyszku tego włosa siedzi sobie i hujta się wsza! Celina w krzyk, bo ścierpi ona pająka, wąsionę zniesie, do gacka, nawet w swoich włosach zagnieżdżonego, będzie miała serce – weszki nie zniesie, samego widoku nie wytrzyma! W krzyk Celina, moja żona, wszawa swatka weg won robi z izby, wszę zostawi, sama w nogi!

I ani już słuchu o Heńciu Brudle. Ale co tam taki marny kawalerek, co się go da jedną weszką wyścigać, gorzej, jak się bando zbytników zmówi, z wódką jadą, muzykę z sobą wiozą, kupa chłopa, w izbach takim ciasno, wylegli na gumno, hałas, huk na wieś, na bór, na wioski po sąsiedzku, wniebogłosy krzyki, chleją, żrą, hulają, i kto ich poskromi, jak oni sami są z ogniowej straży? Nie żałuj, na Celinę ryczą, nie żałuj! Pocałuj! Znaleźli sobie byki całušnicę! Nie całuje ona, opite berbeluchą byczyska we łzach i rozpaczcy, i całują co tylko, łopatę, żarna, siekierę i krzyż, w chlewie prosię, kogutki w kurniku, jagnię pocałuje rzeźnik i już po jagnięciu, już się piecze jagnię na wolnym ogniu pośrodku podwórka, zbytniki wożą się w pięciu chłopa naraz na starym rowerze, skrzypi, piszczy, zgrzyta stary rower... aż pęka z hukiem jak świńska pacharzyna rower, rozlatuje się na strzępy, jeden rowerzysta leży, kwiczy, szprychy ko użgły w rzyć, jedna szprycha w jaja, drugi dostał kierownicę w łeb, polatała się krew, trzeci padł w ognisko, ostał się kaliką, na jednej nodze kuśtyka, druga mu się ogniem pali, ryczy jak wól! Kto to wszystko sprawił, pogrom narodu tak okrutny? Darmo pytać! Dobrze wiedzą rowerzyści, wolą nie wiedzieć, kto. Rany liżą, pigułki ode strachu łykają, wodą czystą ze studni popijają, uskromili się!

Cieszylby się człowiek, cieszyła Celina, ale co, wycthnienia nie ma, ustanku nie ma, mrozy siarczyste, śniegi zawalne, wlecze się nieprzetartą drogą lichotka chlopek, łajza z przemarzniętymi uszami, ciągnie prosto na Pląderówkę, pozdrawia i o Pludry pyta, widać od razu, że z urzędników on, może i doktor. Mało że o Pludry pyta: sam, ludzie, Pludrem być się mieni! Pluder w Plądrów dom, Bóg w dom! Gospodyni Plądercela rada, cudowne to przecie jest zdarzenie, przyjdzie we wiliję naszej krwi obywatela, do tych por nieznanego, niewidzianego! Uszy przemarzłe rozciera mu Cela śniegiem, drzwi do izby szeroko otwiera. Gości się grzecznie owy gość czekany niespodziewany z największą chęcią, czym prędzej rozzuwa się, rozdziewa, przy piecu zgrabięte ręce grzeje, szczęka zębami, język mu się płącze, ale jak najęty gada, dziękuje, dziękuje, ciekawi się, wypytuje, dziwi się i współczuje, cieszy i raduje, śmieje się i żałuje, herbatki wypije, nie zje, bo pości i suszy, pobożny w wiliję, nastawia uratowanego przez Pląderkę ucha, pilnie wiernie każdego jej słowa słucha. Kiedy, het kiedy, miała Celina u siebie w domu kogoś tak usłuchanego. Ten gość Pludrem zwany w nie byle szkołach postuchu uczony. Słucha jak zaczarowany, palcem nie ruszy, okiem nie mrugnie, przyświadczy, jak czas przyjdzie przyświadczyć, tępnie nogą, kiedy tupnąć należy się, wykrzyknie, jak krzyknąć jest trzeba. Mija czas, godzi-

na za godziną przechodzi, żona Celina nie ustaje, mówi, opowiada, świnie nie karmione, krowy głodne, sieczka nie narżnięta, ona gada, gada, wszystko co trzeba i nie trzeba, litości, chłopu temu powiada i dopiero kiedy rupot i huki w kominie postyszy, ocknie się...

Tu ocknął się sam Pląder. Jakoś język naraz stanął mu kołkiem. Jąknął coś jeszcze, niewyraźnie zamamrotał, zamilkł. Wejrzał na mnie spode łba.

– Ty palcem na wodzie pisany Pluder, masz to, oszukańcu, gdzieś u której pierzynkę albo choć jasek pod głowę, cacusiu? – chamił jadownicie. – Aboś to jest bez ojca, bez matki, bez panny ani bez wdowy nawet poganin? Cudzych szuka – żeby je oszukać, chłoptys cacany?

– Ty chamsiu mlekiem burej suki karmiony! – zeżłony walę na odlew w odpowiedzi. Zbędę jednak milczeniem frywolne i judzące Plądrowe sowizdrzałki, prawdą nieomylną na zapytanie odpowiadam, choć z trudem przechodzi mi przez gardło. Ciemna, zgroźna, ciężka jak otów, haniebna. Przeciwna wszystkim bogom i człowiekowi. Nieustępliwe, dławiące, niedostępne wezwaniom rozumu ani żadnym egzorcyzmom morzysko.

Skryty w głębi snu obraz przemieszcza się z nocy w noc. Niczym ciężka siekiera kładzie się na piersi. Obuch przygniata mnie. Ostrze podchodzi pod grdykę.

Obraz jest prosty jak siekiera. Drukuje się on (los mi go drukuje, złe przeznaczenie) za każdym kolejnym razem – to są razy niezliczone – z bezlitosną konsekwencją i całkowitą precyzją. Nic to, że moja pamięć zna obraz w każdym najmniejszym szczególe. Doświadczyć go muszę raz jeszcze (i jeszcze, i jeszcze) w tym samym co do joty wyobrażonym kształcie. Głupi by się ludzi! ja nieodwoalnie ujrzę zawsze tę samą kobietę, roslą, silną, bosą. Na bosych nogach ma ona jednak sięgające połowy łydek buty ulepione z czarnego mięsistego błota. Cholewki tych błotem malowanych biedatrepów sięgną kolan, gdy kobieta ruszy w głąb rozległego błotnistej pola, na którego skraju w tej chwili stoi. Na głowie ma burą chustkę, ciasno zawiązaną pod szyją, okutana jest w bury tak samo weterynarski kitel, ściągnięty w pasie parcianym pasem. Na plecach zaś ta szara bandoska dźwiga wielki jutowy wór, którego widok niezmiennie przyprawia mnie o drżenie i lęk, i pośrodku najgłębszego nawet snu chylę się zawsze przed Najwyższym, błagając, by nie stało się to, co wiem, nieodwoalnie się stanie – święcie wierzę, wbrew ludziom i samemu Ojcu niebieskiemu. Czy jednak Pan Bó (nie ważę się w tym śnie nigdy wymówić jego pełnego imienia) władzę sprawując nad światami, włada także nad gnojnym polem i uprawiającą je robotnicą.

Kobieta wyjmuje już z worka podługowatą kukłę chleba i ja wtedy mrużę oczy, albo odwracam spojrzenie ku niebu i chmurom lub wbijam wzrok w czarną mokrą ziemię u moich stóp. Nic to jednak, nic to, pod powiekami, na chmurze, na skibie ziemi to widzę, czego żywym okiem nie widzę, bosa robotnica wygniata nogą dziurę w błotnistym gruncie, by w niej posadzić tę kukielkę białego jak opłatek śniegu chleba. Dokonała i na moich oczach stało się coś, co nigdy nie powinno mieć swojego początku i na co patrzę już bez lęku i wstydu, ze zdumieniem tylko i zimnym bólem. Bosonoga nędznicza przygnieciona wielkim worem idzie garbiąc się i grzęznąć w błocie, przystaje, by uderzeniem pięty wybić w ziemi kolejną dziurę i utknąć w niej kolejny bochenek

chleba. Nie jest zbadane, kim jest pryncypał i rządca samotnie przemierzającej podmokłe pole robotnicy, ba, nie jest znany właściciel tej roli ani oracz, co je przed niedawnym czasem orał. Nic nie jest wiadome, nieświadoma tego kobieta pilnym i znużonym krokiem kroczy przez to niewiadome pole i ku memu bólowi, wściekłości i złości, nienawiści, odrazie, raz po raz sadzi w czarnym gruncie piękne jak lale z odpustu kukielki gorącego, tej nocy gdzieś w sąsiedztwie pieczonego chleba.

Niewiadome jest nic, nawet ja sam sobie nie jestem wiadomy. Tkwią jak suchy kołek tu na drugim brzegu tej wrażej, żywcem pożerającej wielkie chleby, ziemi, przejęty zgrozą, zgorszony postępkami ponurej niewolnicy, co z czyjegoś czy sobie samej wydanego rozkazu bezcześci i plugawi pokarm człowieka. Buntuję się i protestuję, z miejsca nie ruszam się jednak, czemu? Czemu palcem nie ruszę, czemu nie wkroczę na to bagniste pole i nie wyrwę tępej najemnicy worka z dwunastoma żywymi chlebami, nie nakarmię ubogich. Złamany, na gwałt tłumaczenia i usprawiedliwienia szukam tak dla siebie, jak i dla wszystkich pozostałych mocodawców (chcąc nie chcąc jednym z nich się staję) kroczącej przez pole niesamowitej chlebobawczyni, nieba tej ofiary strasznej, świętej żądać muszę, mówię sobie, czyż nie wielką ofiarnicą i kapłanką, wiedźmą, może czarownicą jest ta kobieta, co jak wprzęgnięta do kieratu kobyłka dzień w dzień, sen w sen wlecze na swoim grzbiecie cierpliwie, pokornie ciężary nad siły. Z burych niskich chmur sięgnął deszcz silny, coraz silniejszy, rzęsisty, bandoska wlokła się przez pole z coraz większym trudem, wór z chlebami pęczniał na jej grzbiecie, wybity w błocie uderzeniem nogi dołek momentalnie zachodził wodą, pszenna kukielka tajała i rozpląwała się w brudnej brei. Nogi kroczącej Ignęły w gliniastej mazi, przystawała, wyczerpana, bagno wsysało ją, bulgotało błoto, z worka wyjmowała wtedy nasiąknięte wodą, ciężkie jak kamienie chleby, z krzykiem rzucała je na oślep w pełne wody bruzdy.

Ostatni wyjęty z wora kamienny chleb czarna topielica, taczając się, chwiejąc, zapadając się i grzęznąć w błocie, z błota się wydobywając, niesie w podniesionej ręce, by, dobiwszy do suchego brzegu, rzucić mi go w twarz.

Rękawem kurtki otarłem z czoła i oczu pot i chleb. Wykrzywiłem usta:

– Słodkie... – zachrypiałem – słodkie gody! – Humor mi dopisywał wisielczy.

– Gorzkie gody. Gorzki płas! – porwał się Pląder z obrazą i wielkim krzykiem. Zaciął. Na dalszą mowę kazał sobie dobrze czekać. Końcem kostura ją na śniegu pisał. Mazał. Od nowa zygzaki, esy i inne znaki kryślił. Nareszcie czytał, co na białym biało napisane było:

– Brudny chleb! To się samemu Bogu nie śni... Gorzkie gody. Ty, człeku, chyba żeś jest dziki człowiek!

Nad naszymi głowami, na suchych gałęziach drzewa, drżąc, szeptały ciche dźwięki lodowe sople. Chylące się ku zachodowi wielkie słońce świeciło jaskrawo.

– Czy zaświeci gwiazda – wspomniałem cicho.

– Do siego – dał odpowiedź Pląder – martwy losu karakuł.

Ciemne słowo. Czarna w moich oczach gwiazda.

MARIAN PILOT

(Część I opowiadania pt. *Gody* opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Zdania”.)

JAN POLEWKA

DOM POD WIECZNYM PIÓREM

(scenariusz filmu dokumentalnego z najnowszej historii Krakowa;
z udziałem pisarzy i aktorów – fragmenty)

WSTĘP

Scenariusz przedstawia opowieść o legendarnym domu pisarzy przy ulicy Krupniczej w Krakowie, oficjalnie nazywanym Domem Literatów, a żartobliwie „Domem czterdziestu Wieszców” lub „czworakami literackimi”. Jego dzieje obejmują ponad pół wieku, od roku 1945 do połowy lat 90. minionego stulecia. Jak pokazuje kompletny spis pisarzy, którzy dłużej lub krócej mieszkali w domu na Krupniczej, w istocie było ich nie czterdziestu, ale **stu jeden**, jakkolwiek około czterdziestu mieszkało tam więcej niż dziesięć lat, a kilkunastu nawet dwa razy dłużej.

O domu tym napisano wiele rozdziałów, z czego najobszerniejsze są wspomnienia Tadeusza Kwiatkowskiego *Niedyskretny urok pamięci*, które obejmują zdarzenia z pierwszych lat – 40. i 50. Nieco dalej sięgają zapiski następnego sekretarza Związku Literatów Polskich Władysława Bodnickiego *Muzy na Krupniczej*, zakończone w roku 1979, kiedy zarząd i biura ZLP przeniesiono na ulicę Kanoniczą. Jednak nadal pozostało tam około dwudziestu pisarzy, w większości poetów nowego pokolenia z czasu „Studenta” i „Pisma”. O tym ostatnim okresie w życiu literackiego domu na Krupniczej napisano niewiele, nie ma też żadnego opisu obejmującego całość.

Podobnie filmy dokumentalne na temat tego domu były prawie wyłącznie krótkimi reportażami dla TVP lub ujmowały tylko fragmenty z jego dziejów. Dziś nie sposób do nich dotrzeć, nawet w internetowej sieci; jedynie w filmach z cyklu „errata do biografii” pojawiają się osoby pisarzy związanych niegdyś z Domem Literatów. Dlatego założeniem niniejszego scenariusza jest możliwie całościowe i wiarygodne naszkicowanie historii „Domu pod wiecznym piórem”, którego legenda wraz z większością dawnych mieszkańców odchodzi powoli do literackiej wieczności. Oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe w dokumencie z natury swojej krótkim i esencjonalnym – jednak z wykorzystaniem szansy,

jaką daje możliwość wypowiedzi kilku pisarzy i badaczy literatury spośród tych, którzy spędzili w tym domu wiele lat, albo bywali jego częstymi gośćmi. Jak też ich bliskich krewnych, w tym kilkoro urodzonych i wychowanych na Krupniczej.

Trzeba podkreślić, że spośród wyliczonych stu pisarzy, dzieła kilkunastu osiągnęły światowe uznanie – z Wisławą Szymborską, Tadeuszem Różewiczem i Sławomirem Mrożkiem na czele. W jakim zakresie ów dom zaznaczył się w dziejach miasta i literatury jako *genius loci* oraz *imago mundi*?

(...)

O historycznym znaczeniu domu na Krupniczej najlepiej mówią nazwiska jego najstynniejszych literackich mieszkańców: Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Brandys, Jerzy Broszkiewicz, Stanisław Czycz, Stanisław Dygat, Ludwik Flaszen, Konstanty I. Gałczyński, Julia Hartwig, Jerzy Hordyński, Ireneusz Iredyński, Stefan Kisielewski, Ewa Lipska, Sławomir Mrożek, Tadeusz Nowak, Halina Poświatowska, Tadeusz Różewicz, Maciej Ślōmczyński, Jerzy Szaniawski, Wisława Szymborska, Jerzy Zawieyski.

Jest to, spośród stu nazwisk, dwudziestka „podręcznikowa”. Pisarze których utwory są lub były powszechnie znane, nagradzane i tłumaczone na wiele języków. Niektórzy, jak Stefan Kisielewski (kompozytor i publicysta polityczny) czy Ludwik Flaszen (najbliższy współpracownik Jerzego Grotowskiego) są znani ze swojej działalności nie tylko autorskiej.

W Domu Literatów mieszkało też kilkoro aktorów: Maria Dulęba, Halina Kwiatkowska, Lidia Zamkow, Jan Adamski czy Edward Rączkowski. Najdłużej mieszkali na Krupniczej poeci: Jan Bolesław Ozóg i Stanisław Czycz – obaj po około 40 lat. Najkrócej Julia Hartwig jako poetka-studentka UJ. Wisława Szymborska mieszkała dwukrotnie, w sumie 16 lat.

Prawdziwym opiekunem mieszkańców był prozaik i dramaturg Stefan Otwinowski, długoletni prezes

Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Opiekował się także młodymi talentami; zmarł w r.1976 podczas zebrania Koła Młodych ZLP. Przez wiele lat sekretarzami zarządu ZLP byli Tadeusz Kwiatkowski i Maciej Słomczyński.

W końcu lat 80. większość pisarzy wstąpiła do nowopowstałego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a nowy ZLP, nazywany przeważnie „ZLepem” pozostał jako formacja mniejszościowa – podział ten istnieje do dzisiaj.

W połowie lat 90. Dom Literatów formalnie przestał istnieć – jako budynek oddany został w ręce spadkobierców przedwojennych właścicieli, których zamiarem i celem stało się usunięcie mieszkańców z tzw. kwaterunku, czyli pisarzy i ich rodzin. Obecnie w ramach literackich „pozostałości” na Krupniczej jest tylko siedem takich mieszkań (z dawnych trzydziestu). Pozostałe zasiedlili nowi udziałowi współwłaściciele kamienicy. Administrację prowadzi Tymczasowy Zarząd Sądowy.

Około roku 2000 prezydent Miasta Krakowa A. Gołaś rozważał wykupienie połowy budynku przez UM, a Stowarzyszenie Pisarzy Polskich postulowało utworzenie w nim muzeum literatury. Jednak radni m. Krakowa sprzeciwili się tej inicjatywie, podobnie jak niektórzy dziennikarze, uważając, że miasta nie stać na utrzymanie jeszcze jednej muzealnej placówki. Obecnie nie jest to już możliwe.

Do legendy przeszła także tzw. stołówka, czyli sala na parterze, miejsce posiłków, która z czasem stała się Klubem Literatów goszczącym wiele sław literatury światowej. W klubie tym podejmowani byli m.in. laureaci nagród Nobla: Ivo Andrić, Heinrich Boll, Pablo Neruda, Jean Paul Sartre, John Steinbeck, a także niemieccy sławni: Saul Bellow, Paul Eluard, Graham Greene, Simone de Beauvoir i Konstanty Paustowski. Ambasadorem pisarzy krakowskich była Maria Traczewska, tłumacz literatury mówiąca biegle wieloma językami.

W klubie odbywały się też setki wieczorów autorskich i stale tzw. środy literackie. W latach 60. przez rok występował w nim zespół kabaretu Piwnicy pod Baranami i tam właśnie debiutowała Ewa Demarczyk. Zdarzały się także recitale i jam sessions (kwartet Dave Brubecka, Kurylewicz i Komeda). (...)

Scenariusz składa się z 10 tematów – rozmów, wzbogaconych krótkimi cytatami z utworów literackich i *Kartoteki* Tadeusza Różewicza w wykonaniu aktorów, jak również zdjęciami archiwalnymi, fragmentami kronik PKF i grafiką prasową. (...)

DOM POD WIECZNYM PIÓREM – scenariusz PROLOG

Kraków z satelity, Kraków z samolotu, z balonu nad Wawelem, z Wieży Mariackiej, z lotu ptaka nad Błonia-mi, parkiem Jordana i nad ulicą Krupniczą – zbliżenie ogrodu Muzeum Mehoffera i dużego budynku obok, z podwórkiem i dwiema oficynami...

Muzyka: utwór K. Komedy „Za rok, za dzień” na fortepian, gra L. Możdżer.

To ten dom. Na obraz fasady powoli nakłada się zdjęcie budynku z lat powojennych.

NARRATOR:

Dom Literatów w Krakowie. Opisany i wspomniany, często nazywany żartobliwie „Domem 40 wiesz-

czów”, „Domem pod Noblem” albo „literackimi czworakami”.

W istocie, w ciągu pół wieku, mieszkało w nim kolejno stu jeden pisarzy, jakkolwiek tylko czterdziestu dłużej niż dziesięć lat, a nieliczni ponad trzydzieści. Dom zbudowany w roku 1911 był kamienicą czynszową. W czasie wojny okupanci zamienili go na hotel dla inżynierów naftowych, z dużą restauracją na froncie urządzoną w stylu bawarskim.

W styczniu 1945 na krótko zajęli go żołnierze radzieccy; a kiedy ruszyli dalej – budynek został pusty. Wówczas to pierwszy powojenny prezes Związku Literatów Kazimierz Czachowski z pomocą młodego prozaika Tadeusza Kwiatkowskiego uzyskał zgodę ministra Rządu Tymczasowego na przejęcie domu dla pisarzy i ich rodzin. Dla wielu z nich, szczególnie pisarzy z Warszawy, która była w gruzach, jak też dla wysiedlonych ze Lwowa i Wilna była to jedyna szansa na dach nad głową. Niektórzy mieli już za sobą przedwojenne literackie sukcesy. Inni przybyli wprost z „lasu” z partyzantki.

Na obrazie okien fasady, a potem oficyny animacyjnie pojawiają się nazwiska: Andrzejewscy, Brandy-sowie, Gałczyńscy, Jerzy Szaniawski, Tadeusz Róże-wicz...

1. ZARAZ PO WOJNIE

Rozmowa z Haliną Kwiatkowską, Kirą Gałczyńską, Joanną Olczak-Ronikier i Jerzym Korczakiem. Zdjęcie Tadeusza Kwiatkowskiego z żoną, na Krupniczej.

HALINA KWIATKOWSKA – em. aktorka Starego Teatru:

„Od roku 1945 mieszkaliśmy tam z Tadeuszem przez 11 lat. Przez ten czas przewinęły się przez ten dom „literackie tłumy”. Na początku było wielu warszawiaków, którzy po kilku latach wracali od odbudowywanej stolicy. Wtedy przeprowadziliśmy się do mieszkania po Andrzejewskich. Jednak Jerzy zdążył napisać w Krakowie prawie cały *Popiół i diament* pod pierwotnym tytułem *Zaraz po wojnie*. („*Porachunki z pamięcią*”, wyd. Kwadrat)

Kadr z filmu „Popiół i diament” – zapalenie „zniczy” przy bufecie.

„W stołówce na dole żony pisarzy: Brezowa, Brandy-sowa i Otwinowska prowadziły bufet. Można tam było przyjść o każdej porze dnia i nocy. Tam spotykano się i dyskutowano. Scierały się poglądy wyznawców różnych idei, ale bez nienawiści czy złości”.

Zdjęcia pisarzy na podwórku Krupniczej, wśród nich Cz. Miłosz / fot. T. Kwiatkowski/.

KIRA GAŁCZYŃSKA – córka poety Konstantego Ildefonsa:

„Zamieszkaliśmy na Krupniczej w ostatniej oficynie na trzecim piętrze wiosną 1946 r. po powrocie ojca z poobozowej tułaczki. Mieszkanie dzieliłiśmy z Broszkiewiczami, korzystając wspólnie z obszernej, pohote-lowej łaźienki. Tam zwykle w czasie kąpieli przychodziły ojcu do głowy niezwykle pomysły. Biegł wtedy mokry do swego pokoju, znacząc ślady mokrymi stopami. Tak naprawdę cała ówczesna Krupnicza stanowiła azył skrzęcej się dowcipem, trwającej od rana do późnej nocy zabawy. Jej głównym miejscem była stołówka na parterze, a latem kawiarnia w ogrodzie Mehoffera. Jednym z najbardziej aktywnych organizatorów życia

w tym domu był młody Tadeusz Kwiatkowski, który też opisał owe lata w *Niedyskretnym uroku pamięci*. To właśnie Tadeusz był z moim ojcem uczestnikiem owej eskapady, w wyniku której najzwyczajszą dorożka, jej właściciel pan Kaczara oraz jego koń zostali zaczarowani na wieczne czasy.../„Splątało się, zmierzchno”/

Cytat - recytacja kilku strof „Zaczarowanej dorożki” K.I.Gałczyńskiego.

JOANNA OLCZAK-RONIKIER, laureatka „Nike”, córka Hanny Mortkowicz- Olczak:

„Na Krupniczej zamieszkałyśmy z mamą i babcią Janiną Mortkowicz zaraz po wojnie. Mieszkanie dzieliłiśmy z różnymi osobami, z Tadeuszem Różewiczem, Jerzym Korczakiem, Antoniną Brzozowską, a w późniejszych latach z Jerzym Hordyńskim i Haliną Poświatowską.

Tak wiele osób zgromadzonych razem i narażonych na ciągłą bliskość, a każdy z własną, przeraźliwą historią okupacyjną w strachu czy starczy sił, by zacząć życie od początku. W rozpacz, czy uda się temu życiu nadać sens. Najmniejszy pokoił z gankiem ponad śmietnikiem, z którego sypały się góry śmieci, otrzymał młodziutki Tadeusz Różewicz...”.

(„Tygodnik Powszechny”)

Pierwszy fragment spektaklu „Kartoteka” T.Różewicza

(...)

Echo dalekiej partyzanckiej pieśni

JERZY KORCZAK, pisarz, satyryk, radiowiec:

„Na Krupniczą przybyłem jeszcze w mundurze. Dołączyliśmy z żoną pokój od frontu, ale za to z łazienką, w której była kuchnia. Mieszkaliśmy tam trzy lata. To już był początek lat 50. W oficynie zamieszkała też Wisława Szymborska z Adamem Włodkiem, a obok nich Maciej Słomczyński z aktorką Lidią Zamkow. Nastąpiły spotkania, będące początkiem naszych przyjaźni”. (*Biografia W. Szymborskiej*)

2. PIÓRO – INSTRUKCJA OBSŁUGI

Fragment Kroniki Filmowej r. 1948 przedstawiającej delegatów na wrocławski Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju (Picasso, Irena Joliot-Curie, Huxley, Le Corbusier i delegaci polscy z Iwaszkiewiczem na czele).

NARRATOR:

W sierpniu 1948 roku we Wrocławiu odbywa się trzydniowy Kongres w Obronie Pokoju, który po wystąpieniu pisarza radzieckiego Fadiejewa omal nie zostanie zerwany. Fadiejew atakuje imperializm amerykański i pisarzy zachodnich, których przyrównuje do hien i szakali piszących na maszynie. Ostatecznie zostaje uchwalona ogólnikowa wspólna rezolucja, ale równocześnie staje się jasnym, że żelazna kurtyna zaczyna się domykać.

W grudniu tego roku na tzw. Kongresie Zjednoczeniowym PPS i PPR powstaje jedna, jedynie słuszna i powszechna Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, w skrócie PZPR.

MARIUSZ URBANEK, autor biografii Wł. Broniewskiego i St. Kisielewskiego:

„W roku 1949 nastąpiła seria ogólnie przygotowanych zjazdów stowarzyszeń twórczych: zjazd pisarzy w Szczecinie, zjazd twórców teatru w Oborach, zjazd kompozytorów na zamku w Łagowie a potem też innych dziedzin sztuki, na których minister kultury

Wł. Sokorski nakazowo wprowadzał marksistowsko – leninowski (a w istocie stalinowski) kierunek ideowy dla kultury polskiej oraz nową estetykę socrealizmu. Ta instrukcja jeszcze silniej zaznaczyła się w szkolnictwie artystycznym i na uniwersytetach, gdzie stopniowo przedwojenni profesorowie byli eliminowani.

Z krakowskiej polonistyki odchodzili profesorowie tacy jak Kleiner i Pigoń, ale pozostał młody uczyony Kazimierz Wyka, który po kilku latach wychował kilku zupełnie nieprawomyślnych uczniów z Błońskim, Flaszenem, Kijowskim i Puzyną na czele. Pytaniem jest, jak wykłady i zajęcia stosowały się do ogólnej instrukcji”.

ANDRZEJ KURZ, długoletni dyrektor Wydawnictwa Literackiego w Krakowie:

„O to należałoby zapytać profesora Henryka Markiewicza lub jego ówczesnych asystentów. Co do mnie, to przyznaję że moje poglądy były wówczas młodzieńczo radykalne. Na zebraniach atakowaliśmy profesorów Pigionia czy Kleinera –nigdy jednak tak, żeby domagać się ich odwołania. Na ćwiczeniach u Pigionia głośno i otwarcie przedstawialiśmy swoje lewicowe poglądy na dzieła literackie i polonistykę od „pana Zagłoby”. Ale Kazimierza Wyki to nie dotyczyło”. („Zdanie”)

LUDWIK FLASZEN, autor *Cyrografu*, współtwórca Teatru Laboratorium:

„Rzeczywiście Kazimierz Wyka potrafił ominąć wszelką indoktrynację, co też dość szybko rozzuchwalało nas wydobywając odruchy sprzeciwu, a nawet pewnego buntu... Po raz pierwszy zbuntowałem się w pełni stalinizmu pod koniec roku 1951. W masce Lisa wystąpiłem w tzw. walce ze schematyzmem – licencjonowanej zapewne – w literaturze socjalistycznej, dla jej dobra. Ale wiedziony naiwną pasją prawdy przekroczyłem dozwolone ramy. Skutkiem czego rzuciła się na mnie cała sfera starych i młodych Nosorożców pełnych ideowego wigoru. „Aleście kolego, odważni” szepnął mi potem do ucha Julian Przyboś, niegdyś odważny wielki poeta awangardy. Zrozumiałem, że lisia maska służyła nie tylko mnie”.

(„Nowy Zoil czyli o schematyzmie” – „Dzieci Października patrzą na. Zachód”)

Drugi fragment „Kartoteki”

(...)

3. MARMUR I MUR

„*To idzie młodość, młodość...*” śpiewana przez młodych w czerwonych krawatach.

Zdjęcia z budowy Nowej Huty. Dziennikarze na placu budowy. Hasła i sztandary.

NARRATOR:

W styczniu 1951 Jerzy Putrament, ideologiczny nadzorca pisarzy wzywa ich do czynu: „Czy literatura może pomóc w realizacji planu 6-letniego? Winniśmy ukazywać w dziełach to zadanie, które postawiła przed nami Partia i towarzysz Bolesław Bierut”.

MARIUSZ URBANEK:

„I poeci realizują i ukazują, pisząc o rewolucji, o jej Wodzu i budowie socjalizmu. W grudniu 49. o Stalinie piszą wszyscy: Broniewski, Dąbrowska, Nałkowska, Iwaszkiewicz, Jastrun i Gałczyński. Ważyk i Woroszyński o armii radzieckiej. W Krakowie pisarze z Krupniczej wolą zajmować się budową Nowej Huty. Jeżdżą grupowo i pojedynczo na plac budowy i rozmawiają z robotnikami, aby ich utwory zyskały produkcyjne klimaty.

Deklarują książki i zbiory wierszy o Hucie, murarzach i dziewczynach – traktorzystkach. Mąż Natalii Rolleczek jest zresztą jednym z inżynierów na tej budowie. Wkrótce ukazuje się powieść Brandysa o Nowej Hucie i sztuka Słomczyńskiego *Nasze dziewczęta*. Promiński pisze opowiadania o sportowcach oraz powieść z życia cyrkowców. A Jan Kurczab księgę o nowohuckim teatrze „Nurt”.

NARRATOR:

W swojej autobiografii Sławomir Mrozek wspomina: „To co spotkałem w przyszłej Nowej Hucie, było dokładnie takie samo jak to, czego nie lubiłem najbardziej. Ta podkrakowska wieś nie była już sobą i stawiała się nieokreślonym konglomeratem. Wielkie piece były mitycznym celem, ukoronowaniem całej działalności, jeżeli założymy, że komuś rzeczywiście na tym zależało. Ale Nowa Huta przedstawiała się jako nonsens. Jak można było wielbić wielkie piece, które na świecie odchodziły już w przeszłość? Przebyłem tę wycieczkę w stanie otępienia... A jednak w parę dni później napisałem ten reportaż. Napisałem go na zasadzie totalnego, symetrycznego odwrócenia tego, czego nie lubiłem na to, co rzekomo lubiłem. Było to arcydzieło złego pisania, czyli pisania nieprawdy, a kluczem do niego była bajka o Polsce, która właśnie wstąpiła w świetlaną przyszłość. Gdyby nie młody wiek, mógłbym się narazić na przypuszczenie, że oszalałem.” (*„Baltazar”, Noir sur blanc*)

„Tysiące rąk, miliony rąk...” masowa pieśń i fragment kroniki z pochodu 1-majowego z figurami kapitalistów, wuja Sama i Trumana z bombą, a potem zwycięskie, ogromne portrety Wielkich Przywódców. Literaci przechodzą przed trybuną.

Muzyka dęta cichnie – słychać przekorny fortepian-piano solo.

MARIUSZ URBANEK:

„A w tym samym czasie Leopold Tyrmand zakładał kolorowe „bikiniarskie” skarpetki i odwiedzając w Krakowie Stefana Kisielewskiego nucił razem z nim popularną przyśpiewkę, którą Kisiel z upodobaniem grywał na pianinie: „niech żyje nam towarzysz Stalin/ co usta słodsze ma od malin/ niech żyją jego sojusznicy/Amerikanie i Anglicy !” A z Jerzym Waldorffem dopisywali też nieprawomyślne podpisy do satyrycznych i propagandowych rysunków ze „Szpilek” i reakcyjnego Bęc-Walskiego z „Przekroju”.

Kilka rysunków z satyry lat 50., z „kpiącą” muzyką Stefana Kisielewskiego.

Do śmierci Tyrana, do referatu Nikity Chruszczowa potępiającego kult jednostki i do *Poematu dla dorosłych* Ważyka pokazującego całkiem inną Nową Hutę musiało upłynąć jeszcze kilka lat długiej nocy”. (*„Kisiel” WDI*)

Zdjęcia dawnego Krakowa nocą. Melodia „Tiomna-ja nocz”.

4. W STOŁÓWCE NOCĄ

NARRATOR:

Jednak atmosfera Domu Literatów różniła się znacznie od tej na zewnątrz. Wieczorami, do późna, w stołówce na dole trwają „nocne Polaków rozmowy”.

Jerzy Kisielewski, Krystyna Kisielewska-Sławińska, prof. Jerzy Pomianowski

JERZY KISIELEWSKI, dziennikarz radiowy, syn Stefana Kisielewskiego:

„I to jakie rozmowy. Były tam reprezentowane najróżniejsze opcje polityczne i światopoglądowe, z czego wynikały kontrowersje i zażarte spory. I tak do legendy przeszły spory Stefana Kisielewskiego z Adamem Polewką”.

Karykatury Adama Polewki i Stefana Kisielewskiego – autor Andrzej Stopka

JERZY KISIELEWSKI:

„No bo chociaż marksiści byli w przewodzie i w natarciu, to jednak chrześcijanie trzymali się mocno. A Ojciec bardzo lubił podsycać atmosferę wątpliwości. Najbardziej znana jest anegdota o tym, jak kiedyś nie było światła na schodach i szedł Adam Polewka. Ojciec woła: „Stój, kto idzie?” A Polewka: „Swój”. A Ojciec na to: „Jak to swój, to już pana wylali?”. Bo też Polewkowie mieszkali piętro wyżej, nad nami, i wieczorem Adam Polewka, często w płaszczu narzuconym na pidżamę, schodził do „stołówki”. A Ojciec za nim, żeby jakimś nowym argumentem przyprzeć lewicę do muru. Oni najpierw toczyli spory na łamach prasy, a potem kontynuowali je w stołówce”. (*Wypowiedź na 100-lecie*)

Zdjęcie Adama Polewki i fragment „Abecadła Kisielewskiego” w wydaniu filmowym.

KISIEL: „Adam Polewka, specjalna postać krakowska, syn murarza, ateista, bluźnił, herezje urządzał. Po wojnie został posłem. Gadał masę. Trzeba powiedzieć, żeśmy się znosili. Nawet gdy mnie chcieli wywalić ze Związku Literatów za to, że powiedziałem, że Stalin coś głupiego napisał. Mnie bronili koledzy. Cały sąd był. Ja się broniłem i powiedziałem, że Stalin głupi nie jest. Wojnę wygrał więc widać. A poza tym coś takiego powiedziałem że „wolno psu na Pana Boga szczekać – na Piłsudskiego też wymyślali”. Wtedy Polewka, przewodniczący, powiedział: „Zwracam kolegom uwagę na powiedzenie kolegi Kisielewskiego „wolno psu na Pana Boga szczekać”. Uważam, że kolega Kisielewski w swojej samokrytyce poszedł dalej niż można było oczekiwać, i proponuję tylko karę w zawieszeniu”.

JERZY KISIELEWSKI:

„Ojciec dostał wtedy także zakaz wstępu do stołówki przez rok. Ale już po dwóch miesiącach pan Polewka, w kozuchu na pidżamie, puka i mówi: „Idziemy kolego”. Na to Ojciec: „Ale ja mam zakaz, nie mogę”. „Ze mną możecie”.

A w stołówce codziennie krążyły nowe dowcipy polityczne. I ojciec je zapisywał. Na przykład ten: „Dlaczego Partia przypomina tramwaj? Bo jeden kieruje, a cała reszta się trzęsie”. Albo: „Co to jest Wolność? Kino naprzeciw UB”. Często też Jerzy Hordyński tubalnym głosem zwracał się do wszystkich z nowym kawałem. Na przykład, po egzekucji Berii w Moskwie: „czy wiecie że Syberia nie nazywa się już Syberia? A jak? Sybestia!” (*Wypowiedź na 100-lecie urodzin Kisielewskiego*)

Zdjęcia i nagranie radiowe – Stefan Kisielewski opowiada dowcipy z tamtych lat.

Prof. JERZY POMIANOWSKI – pisarz, tłumacz m.in. Solżenicyna i Babla:

„Należę do tych nielicznych już osób, które miały wielką przyjemność i zaszczyt znać dobrze obydwu adwersarzy. Adama Polewkę krócej, w latach 50., a za to Stefana Kisielewskiego przez wiele lat potem. Obydwu spotykałem po wojnie w warszawskim Związku Literatów lub na Krupniczej, gdy wpadałem do Krakowa. Z Polewką rozmawiałem sporo, on znał dość dobrze sytuację w Ro-

sji radzieckiej, a resztę dopowiadałem ja, który spędziłem tam całą wojnę. Myślę, że wiedząc tak dużo, na pewno nie miał ochoty wyrzucać Stefana ze związku i mieszkania za jego krytykę Stalina. Młodzi pisarze, „pryszczaci” nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, a starsi bali się im o tym mówić. Ja byłem pomiędzy pokoleniami ale Stalina i stalinizm widziałem z bliska” (*W.pr.*)

„*Suliko*” ulubiona przez Stalina gruzińska pieśń. *Stalin w Jalcie i Poczdamie.*

Dr ANDRZEJ POLEWKA, psychiatra, syn pisarza:

„Adam Polewka nigdy nie był stalinistą. Miałem 14 lat kiedy Nikita Chruszczow przedstawił swój słynny referat o „kulcie jednostki”. W Polsce zamieszczono go jedynie w miesięczniku partyjnym „Nowe Drogi”. Pamiętam, że zaledwie listonosz przyniósł ten egzemplarz, ojciec niecierpliwie otworzył go i zaczął głośno czytać fragmenty z przejęciem tłumacząc, jak teraz wszystko się zmieni. A stary listonosz zdumiony kiwał głową mówiąc: „tak panie pośle, no właśnie, panie pośle”. (*W.pr.*)

Prof. JERZY POMIANOWSKI:

„Ze Stefanem spotykaliśmy się nie tylko w Krakowie i Warszawie, ale także wiele razy za granicą, przede wszystkim w u Giedroycia w Maisons-Lafitte, jak też u nas w Bari i w Rzymie, kiedy tam długo mieszkaliśmy. To zaczęło się w roku 57., kiedy pisarze, między innymi ci z Krakowa, zaczęli wyjeżdżać na zachód i wszyscy chcieli zobaczyć siedzibę „Kultury” i Księcia – redaktora. On sam był zdziwiony, że odwiedzają go takie tłumy. Bo też wcześniej o „Kulturze” mówiono w kraju zawsze przyciszonym głosem; to było jak Wolna Europa, tylko dla bardziej wtajemniczonych”.

Zdjęcia Jerzego Giedroycia i Stefana Kisielewskiego w Maisons –Lafitte.

KRYSTYNA KISIELEWSKA-SŁAWIŃSKA, tłumaczka, córka pisarza:

„Nasz Ojciec pierwszy raz po wojnie wyjechał do Paryża i Londynu latem 1957, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Krakowie. Udzielił wywiadu Giedroyciowi, o który stawiano mu zarzuty tak z jednej, warszawskiej, jak i drugiej, emigracyjnej strony. Ale odtąd, stopniowo, „Kultura” stała się dla nas wszystkich jakby centrum świata, a chwilami także paryskim domem – mój brat Wacek, pianista, w r.1970 przeniósł tam cały rok i bardzo polubił się z Zygmuntem Herzem, czyli „wujem”, a ja potem serdecznie z Zosią Herzową... Jerzy Giedroyc był zawsze trochę niedostępny, ale równocześnie interesował się wiadomościami z Polski i o wszystko wypytywał.

A tam nieustannie przyjeżdżali pisarze i twórcy polscy, tak krajowi jak i emigracyjni, a potem też krajowo-emigracyjni jak Stawomir Mrozek czy Jerzy Pomianowski”. (*W.pr.*)

Prof. JERZY POMIANOWSKI

„W historii literatury i myśli polskiej po drugiej wojnie światowej „Kultura” paryska odegrała absolutnie najważniejszą rolę. Jerzy Giedroyc był największym Polakiem XX w.”. (*TV*)

5. WĘGIERSKA KREW I POLSKI WSTYD

Rapsodia węgierska. Zdjęcie pomnika Stalina zburzonego w Budapeszcie.

NARRATOR:

Rok 1956 przyniósł wydarzenia nieodwracalne: potępienie kultu Stalina, pogrzeb Bieruta, a wkrótce

poznaki Czerwiec i burzenie pomników stalinizmu. A jesienią polski Październik i w końcu powstanie w Budapeszcie przeciw „bratniej” interwencji wojsk radzieckich.

JAN POLEWKA:

„Pamiętam, jak masowo urządzano zbiórki lekarstw i ubrań dla walczącego Budapesztu. Na Krupniczej uczestniczyła w tym cała kamienica, a my, dzieci, dokładaliśmy swoje ubranka i zabawki. Po wielu tygodniach przyszło do kogoś listowne podziękowanie, ale węgierski znał tylko jeden pisarz, pan Rybicki, który za młodu był pilotem w armii austriackiej, miał wypadek samolotowy i potem na zawsze poruszał się i mówił dwa razy wolniej niż wszyscy. Więc ten list tłumaczył nam godzinami” (*W.pr.*)

Zdjęcia czołgów radzieckich na placu Kossutha w Budapeszcie.

Fragment kroniki z wiecu z udziałem Władysława Gomułki w Warszawie.

NARRATOR:

Ten burzliwy czas przyniósł nową jakość także w polskiej kulturze. I wkrótce nastąpiły rozliczenia i nawrócenia pisarzy i poetów – tych, którzy za sławienie budowy socjalizmu i wielkiej idei Wielkiego Wodza, z małymi przerwami, rozliczani są jeszcze do dziś.

Fragment „Abecadła Kisielewskiego” – filmowy albo czytany przez Jerzego Kisielewskiego.

(...)

LUDWIK FLASZEN:

„Nie chcę przemawiać tonem kaznodziei, ale w biografii pisarzy i intelektualistów w systemie totalitarnym jest pora wierności i pora niewierności, pora euforii i pora skrucy... Pisarze i artyści w latach PRL-u występowali w trzech podstawowych kreacjach. Istniały Nosorożce – jak te z Ionesco – oraz Lisy i Lwy. Nosorożce były to stwory pryncypialne, gotowe do wszystkich postug dla Partii. Lisy – to ci, którzy z reżimem grali o siebie i starali się go przechrzyć i ocalić siebie. I były Lwy – bestie odważne, jawnie porykujące. To są modele idealne, które rzadko występowały w postaci czystej. Fenomenem powszechnym były mieszanki. Bywały Nosorożce liberalne, Lisy totalitarne i Lwy koniunkturalne. Sam osobnik mógł już nie rozoznawać się w tym, kim jest”. (*„Dzieci października patrzą na Zachód”*)

STEFAN KISIELEWSKI (*„Abecadło”, c.d.*):

(...)

JAN POLEWKA:

„Nasz ojciec nie doczekał „Października”, ale zdążył przyczynić się do niego. W połowie września 56, na burzliwej sejmowej sesji wygłosił ostre przemówienie, w którym domagał się rozliczeń dla stalinowców i wyższych wyroków dla tzw. „katów z UB”. Oni najpierw dostali kary po roku więzienia, które Adam Polewka nazwał w swym wystąpieniu wyrokami „jak za manko w sklepie GS-u”. I potem były rewizje procesów i oni dostali po osiem i dziewięć lat. Ale ojciec tego nie dożył, gdyż zmarł 2 października. Na pogrzebie były tłumy ludzi i orkiestra wojskowa. A ludzie podobno mówili, że to jak w Rosji, że pogrzeb był taki głośny, bo sprzątnięto Polewkę po cichu... Nie że z zemsty ale dla przykładu, aby inni nie domagali się dalszych rozliczeń”. (*W.pr.*)

LUDWIK FLASZEN:

„Szła jednak odwilż, zbliżał się Październik. Pora obrachunku. Chwila prawdy. Jeden z moich ówczes-

nych pamfletów nosił tytuł „o trudnym kunszcie womitowania”. Była to – w groteskowej formie kazania – zachęta dla pisarzy, aby uczciwie, bez litości dla samych siebie dokonali obrachunku. Atakowałem tych, u których to przejście od apoteozy do potępienia odbyło się raptownie, jak gdyby nigdy nic, którzy z dnia na dzień przedzierzgnęli się w patetycznych sędziów i oskarżycieli. Godzi się – zalecałem – womitować nie monumentalnie, ale jak spocona mysz”.

(„Dzieci Października patrzą na zachód”)

MARIUSZ URBANEK:

„Ale to nie był jeszcze koniec wywracania świata do góry nogami. Władysław Bieńkowski przywiózł wiadomość, że w nowym sejmie będzie miejsce także dla posłów katolickich, a Antoni Gołubiew wpadł na pomysł: zrobimy Kisiele posłem, to będzie śmiesznie. Kisiel startował we Wrocławiu i dostał największą ilość głosów wyprzedzając ministra Rapackiego i lokalnych dygnitarzy. Teraz na Krupniczej przyjmował znękanych ludzi już nie poseł Polewka, a poseł Kisielewski, piętro niżej”.

JERZY KISIELEWSKI:

„Wszystko się odwracało. Dawniej pytano półszepem: co robić kiedy wieje wiatr ze wschodu? I odpowiadano: wiać razem z nim. A w roku 57 w Polsce powiał silnie wiatr z zachodu. Na Krupniczej okna na zachód też się pootwierały. I nikt już nie chciał wracać do tamtych ponurych lat, wszyscy chcieli być Europejczykami”.

Trzeci fragment „Kartoteki” Tadeusza Różewicza.

(...)

6. ZACHODNI WIATR

Oktładka „Przekroju” ze zdjęciem Mrożka w kozuchu i tytułem „Sławomir Mroźek w Paryżu”. Walczyk a la musette. Paryż, dzielnica tacińska dzisiaj. Ludwik Flaszten przy stoliku w Cafe Odeon. Wokół ludzie wszelkich nacji i kolorów.

LUDWIK FLASZTEN:

Kraków tamtego czasu... Nie mogę oprzeć się starczej pokusie – wspomnienia... Krakowski Październik był – obok owego politycznego pełnego nadziei i napięcia – niebawale artystyczny. Był karnawałem wolności sztuki. Teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora, celebrowanego swoje nowatorskie obrzędy, plastycy Grupy Krakowskiej i kabaret Piwnicy pod Baranami. Awangarda, która właśnie wyszła z podziemia, zrewoltowana, ironiczna, szydercza, wesoła, bogoburcza, prowokacyjna, rojąca się od pomysłów, kipiąca wyobraźnią, czuła na nadsekwantkie nowinki, niosąca przesłanie nowoczesności w prowincjonalnym kraju... I jazz, jazz – od podziemnych koncertów jazzu zaczęła się Odwilż. Taszyzm, abstrakcjonizm, wszystkie rzeczy dotąd pod władzą absolutną stalinizmu tłumione i zwalczane, uważane za dekadenskie, antyproletariackie, imperialistyczne, zachodnie... To był zmartwychwstały artystyczny Kraków, o którym pisał też Mroźek: „Nastąpił złoty okres w teatrze, literaturze i w Piwnicy pod Baranami... Mnożyły się bale i atrakcje. Żyć, nie umierać”. (*Dzieci X.*)

NARRATOR:

Dom na Krupniczej, a ściślej jego „stołówka” zmienia się diametralnie. Zamiast ciężkiego, bawarskiego wystroju wyłania się całkiem nowoczesny Klub Literatów z obrotowymi grubymi szybami, lekkimi fotelami i „picassami” na ścianie, co było dziełem młodych archi-

tektów Andrzeja Kurkiewicza i Bogdana Paczowskiego. I w takim wnętrzu pojawia się jazz – i to światowy jazz.

WANDA WARSKA-KURYLEWICZ, wokalistka jazzowa, poetka:

„W roku 1958 podobnie jak Trzaskowscy i Komedowie mieszkaliśmy jeszcze w Krakowie. I właśnie wtedy, w marcu 58 do Krakowa przyjechał kwartet Dave Brubecka. Koncert był w Rotundzie, a jam-sessions na Krupniczej u Literatów.

I podczas niego tam właśnie świętowaliśmy z Andrzejem nasze wesele. Dave nawet dedykował nam kilka utworów, a potem grali wszyscy razem. Na sali byli też poeci i malarze, naczelny „Przekroju” Marian Eile, no i Leopold Tyrmand z Kisielem i jego synem Wacikiem”. (*W.pr.*)

Kronika – koncert jazzowy Dave Brubecka w Krakowie.

JOANNA OLCZAK-RONIKIER:

„Na początku lat 60., kiedy kabaret Piotra Skrzyneckiego czasowo utracił swoją piwnicę pod Baranami, udało mi się załatwić, z pomocą mojej Mamy, cotygodniowe występy w Klubie Literatów. Sala była zawsze pełna – to był czas, kiedy debiutowała Ewa Demarczyk, którą na prośbę Zygmunta Koniecznego „pożytkaliśmy” z kabaretu studentów Akademii Medycznej „Cyruulik”. Te występy trwały około roku”. (*W.pr.*)

„Madonny” – Ewa Demarczyk i Zygmunt Konieczny.

NARRATOR:

Sławomir Mroźek, który na Krupniczej zdążył jeszcze zadebiutować jako dramaturg, autor „Policji” i „Męczeństwa Piotra Oheya”, i stać się znanym autorem rysunków satyrycznych „Polska w obrazach”, w roku 1960 opuszcza Kraków przenosząc się do stolicy. Przed wyprowadzką porządkuje swoje szuflady.

Auto-da-fe, opowieść prawdziwa:

JAN POLEWKA, scenograf, tłumacz, mieszkaniec Domu Literatów od urodzenia:

„To wyglądało jak jakiś film animowany; nad ulicą Krupniczą unosiły się spalone kartki niczym dziwne czarne ptaki, na podwórku płonęło duże ognisko, i przy nim stał wysoki, chudy, czarno ubrany Sławomir Mroźek z długą tyczką w ręce, którą przysuwał do ognia kolejne papiery, a tunel ciepłego powietrza unosił je, zwęglone, wysoko ponad dachy. W dwadzieścia lat potem, we Włoszech, Mroźek zapytany o ten dzień odpowiedział zwięźle: »a tak, spaliłem wtedy moją przeszłość«. Ale teraz dopiero, po lekturze początku jego *Dziennika 1962* można się domyślać, że to wtedy w tym ognisku spłonął jego pierwszy *Dziennik* pisany przez całe lata 50.”. (*W.pr.*)

Animacja w stylu ilustracji Daniela Mroza: czarna sylwetka z tyczką, płomień i wlatujące czarne kartki z blaknącymi napisami: pokój, partia, postęp, ludzkość itp.

ADAM MACEDOŃSKI, grafik, satyryk, poeta:

„Mroźek pozostawił mi swój pokój na poddaszu i dużą szafę. Drugi pokój zajął poeta z Krzeszowic, Staszek Czycz. Mieliśmy sporo wspólnych znajomych i wkrótce okazało się, że przychodzą do nas równocześnie i to przerodziło się w imprezy zwane przez nas „fascynejszyn”. Przychodziły piękne dziewczyny, które często były fotografowane przez Plewińskiego na okładki. Zresztą wszyscy byli spod znaku „Przekroju” – Eile zamieszczał moje rysunki i teksty Czycz, przychodził do nas też odkryty przez niego pisarz

Stoberski i dziennikarze, Hollanek i inni. Bywało dosyć głośno nawet na schodach, bo nie mieścili się wszyscy i tylko martwiliśmy się, jak to znosi Szymborska, która mieszkała piętro niżej. Ale nie karcila nas zbyt, bo lubiła Staszka. Tyle że udziału brać nie chciała”. (W.pr.)

Rysunki – kwadratowi ludzie Adama Macedońskiego.

JERZY KISIELEWSKI:

„My też wkrótce po Mrożku przenieśliśmy się do Warszawy. Ale zdążyłem zapamiętać, że na Krupniczej to były najweselsze lata. Mój brat na podwórku grał w „zośkę” z Flaszenem i Irkiem Iredyńskim, który zamieszkał na poddaszu. Potem literacki zarząd napisał upomnienie, że nie może członek związku grać na podwórku z synem członka. A jazz trafił też do naszego mieszkania, bo zaczęli przychodzić do Wacka koledzy Tomek Stańko i Jacek Ostaszewski, i robili sobie „jamy” w drugim pokoju. No i przyjeżdżał czasem Tyrmand, który wnosił do nas powiew innego świata”.

MARIUSZ URBANEK

„Kisiel uważał, że Tyrmand zdemoralizował mu dzieci, bo nauczył je jazzu, kolorowych ciuchów i zachodniej mody. Ale sam bardzo lubił jazz”. („Kisiel”)

7. GOŚCIE I MAŁA STABILIZACJA.

NARRATOR:

Lata 60. w Domu na Krupniczej to także otwarcie na gości ze świata. W Klubie Literatów podejmowani są już nie tylko pisarze z krajów ościennych, ale z całego zachodu, a wśród nich nobliści: Heinrich Boll, Pablo Neruda, John Steinbeck oraz wielu innych niemniej sławnych: Paul Eluard, Romain Gary, Graham Greene, Konstanty Paustowski, Saul Bellow, a także Jean Paul Sartre i Simone de Beauvoir.

BEATA BARNAS, córka pisarza:

„Pamiętam, że wracając z zajęć na romanistyce zobaczyłam pod Domem Literatów zachodnie samochody ze znakami dyplomacji. I w tym momencie z naszej bramy wyszła grupa eleganckich Francuzów, a wśród nich dwie nieduże ale wyraziste osoby. To byli Jean Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Poczuliśmy się jak w Paryżu”. (W.pr.)

„*La vie en rose*” Edith Piaf, Montmartre i Plac Clichy. Czwarty fragment „Kartoteki”:

(...)

ROMANA PRÓCHNICKA-VOGLER, aktorka Starego Teatru, reżyser:

„Pamiętam dobrze te lata, z mężem Henrykiem Voglerem bywaliśmy często u kolegów na Krupniczej albo na dole, na obiadach. Trwało intensywne życie towarzyskie i zabawowe. Przychodzili tam Stopkowie i Jerzy Bandura, i Leszek Herdegen do Sławka Mrożka i ludzie z „Piwnicy” do Joasi Olczakówny. Było też sporo różnych romansów, w czym rej wodzili Jurek Broszkiewicz, który opiekował się młodymi poetkami, Irek Iredyński liryczny awanturnik, Ryszard Kłyś prozaik hiszpańskiej urody i Jerzy Hordyński, poeta i notoryczny podrywacz, który zaśląnął opowieścią o swym pobycie w wczasach, gdzie miał takie powodzenie, że powinien być mieć ośmiornicę zamiast fallusa. Stąd Maciek Słomczyński nazywał go, nawiązując do lwowskiej fali radiowej: „wesoly lwowski fallus”. (W.pr.)

Piosenka „Baby, ach te baby”.

7. LITERACI DO PIÓRA, PIÓRA DO SZUFLADY

NARRATOR:

Pozornie beztróskie lata 60. mają jednak swój burzliwy finał. Lata 1968 i 1969 ukazują coś, co na długo zaciąży nad polską kulturą – nienawiść i pomarcowe czystki.

Prof. MARTA WYKA, córka Kazimierza Wyki:

»Przeglądam zapiski ojca — Marzec 68: Telefony, listy, radio, gazety. Nagle rozwarła się prawdziwa rzeczywistość kraju, w jakim żyję. Ujawniło się co mnie właściwie otacza: zajścia w Warszawie i Krakowie, pałkarska reakcja władzy, plugawe i donosicielskie napaści na Jasienicę, Słonimskiego, na Kisielewskiego i innych... Ponure porządki historii ujawniają się bez naszego wpływu; marzec 68 już się w tym porządku znajduje«. („Przypisy do życia”, WL)

Zdjęcia z marcowego ataku milicji na uniwersytety w Warszawie i Krakowie.

MARIUSZ URBANEK:

„Po marcu 68 nic już nie będzie takie samo. W Warszawie, przez nieznanych sprawców pobity został Stefan Kisielewski. W Krakowie, podczas ataku ZOMO na UJot spałowano profesora Konstantego Grzybowskiego. Rozpoczął się festiwal nienawiści i szkalowania. W „Trybunie Ludu” ukazuje się tekst ze wskazaniem: »Niejaki Jan Kott, Ludwik Flaszen i Leszek Kołakowski piszą piórem maczanym w kałamarnicy z gównem«. A kiedy krakowscy studenci, na zajęciach z dramatu polskiego i rosyjskiego pytają profesora Otwinowskiego (który nadal jest prezesem krakowskiego Związku Literatów), co powinni robić, odpowiada, że jest bezradny, że nie śpi po nocach, a kiedy zaśnie, śnią mu się Adam Polewka i Stefan Kisielewski”. („Kisielewscy”, *Iskry*)

Teatr Cricot 2 – Bracia Janiccy jako dwaj chasydzy z deską ostatniego ratunku.

NARRATOR:

„Syjoniści do Syjonu”, „Literaci do pióra!”. Tym razem bez instrukcji obsługi piór – władzy wystarczy, jeżeli pisarze zajmą się pisaniem, a nie krytyką ustroju. Rezultat: pióra i rękopisy trafiają do szuflad. A potem do pierwszych wydawnictw bez debitu. I ten stan będzie się pogłębiał, i utrwał przez całe następne dwadzieścia lat.

8. ŁĄKI NA NIEBIE

NARRATOR:

Pomiędzy Noblem dla Czesława Miłosza w roku 1980 a Noblem Szymborskiej w 96., w Krakowie najżywiej rozwija się poezja. Dom na Krupniczej już w latach 70. i w czasie zwanym „kontrkulturą” zmienia się w Dom Poetów. Mieszkają w nim jeszcze znani i uznani, jak Anna Świrszczyńska, Ewa Lipska, Jan Bolesław Ożóg, Jan Zych i Tadeusz Śliwiak, ale na poddaszach pojawiają się młodzi: Krzysztof Lisowski, Bronisław Maj, Adam Ziemianin, Bogusław Żurkowski i inni. No i muzyka. Często głośna i do późnej nocy.

Obraz dachów i mansardowych okien oraz spiralnych schodów od podwórka.

WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ, poeta:

„Mieszkałem najwyżej ze wszystkich, na samym szczycie tych krętych schodów. Na ganku hodowałem wysokie rośliny i dzikie wino, i niektórzy podejrzewali, że także konopie. Wieczorami ze wszystkich okien na

poddaszach płynęła głośna muzyka. I kiedy ja słuchałem bluesów czy Claptona, z okna Maja płynęły piosenki Breła, a od Lisowskiego, całymi nocami Leonard Cohen. A co jakiś czas ze strychu Ziemiańców muzyka na żywo, czyli Andrzej Sikorowski z gitarą. Pewnego letniego dnia na dachu nad nimi pojawił się jakiś „zmęczony” młody człowiek siedzący sobie na krawędzi. Nikt nie wie, z czyjego okna tam wylał i nikt się do niego nie przyznał. Ale była cała akcja ze strażakami, aby go zdjęli, po której wyznał, że tylko chciał odechnąć wolnością i powietrzem, na łące. Ale chyba był po »kompocie«”. (W.pr.)

Piąty, ostatni fragment „Kartoteki”:

(...)

W tle „Alleluja” Cohena.

JAN POLEWKA:

„Ciekawa były dalsze losy tych pisarzy, którzy opuścili Krupniczą, gdyż kilkunastu z nich zostało emigrantami. Szczególnie ci, którzy mieszkali na górnych piętrach i poddaszach, odlatywali daleko. Jan Zych to nawet, tak jak Mrozek, do Meksyku. Paczowscy do Włoch i Belgii, Zyszkiewicz i Wysogład do Szwecji, no a potem Szymborska wpadła tam po Nobla. Uważam, że widok z okna pod dachem zachęca do dalekiego lotu. Chciałoby być też sporo takich, co marzyli, jak Gałczyński, o leśniczówce albo o dworku. Tylko Staszek Czycz, który miał potem okno na podwórze, nigdy nie wyjechał dalej niż do Krzeszowic. Ale to on najdłużej ze wszystkich pisarzy mieszkał na Krupniczej bo ponad czterdzieści lat”. (W.pr.)

BOGUSŁAW ŻURAKOWSKI, poeta, b. prezes Krakowskiego Oddziału SPP:

„W tych latach poeci najchętniej odwiedzali się i bawili po mieszkaniach. Nade mną mieszkał Adam Ziemiań i do niego często przychodzili koledzy Baran i Warzecha. Kiedyś nie mieli już siły dość wyżej i usiedli pod moimi drzwiami. Wyglądam, a oni mówią: »Boguś, a nie suszy cię tutaj?« Nie, a dlaczego? »A bo tu mieszkał Gałczyński i jego zawsze suszyło, podobno mówił, że to przez te ściany«”.

JAN POLEWKA:

Ten dom jest wielką stroną historii polskiej literatury. W roku 2000. Stowarzyszenie Pisarzy proponowało utworzenie na Krupniczej Muzeum Literatury. W tym czasie prezydent Gołaś rozważał możliwość wykupienia przez miasto połowy tego domu. Wtedy było prawie 400 m² wolnej powierzchni, po biurach Związku i dwóch mieszkaniach obok. Ale radni Krakowa i też niektórzy dziennikarze zaprotestowali – bo po co jeszcze jedno muzeum i kto je sfinansuje. A dzisiaj to już nie jest możliwe. W tym domu jest już tylko kilka mieszkań „politerackich” i wszyscy obawiają się eksmisji, bo handlarze nieruchomości są bezwzględni. I teraz toczy się proces o podział fizyczny domu, bo współwłaściciele jest prawie dwudziestu”.

RYSZARD SADAJ, prozaik, nadal mieszka na Krupniczej:

„Właściwie koniec Domu Literatów nastąpił w połowie lat 90. Chociaż dopóki żyła najstarsza mieszkanka tego domu, Karolina Surówka, dawna woźna związkowa, to wydawało się, że wszystko trwa jak dawniej. To była właśnie „pani Lola”, którą potem z upodobaniem odgrywał Bronek Maj w swoim kabarecie „Szatnia literacka”. U Loli zawsze można było liczyć na ratunek

i kieliszek chleba, zwłaszcza dawniej, kiedy nie było sprzedaży całonocnej. Nosiliśmy jej za to węgiel i zakupy, jak nie wychodziła z domu”. (W.pr.)

9. DUCH W RUINACH

JAN POLEWKA:

„Zapamiętałem panią Lolę i jej poczucie humoru po nocnym spotkaniu na podwórku. Nie widziałem jej od dawna, bo już chorowała i nawet nie byłem pewny, czy żyje. Wychodzę od kogoś koło północy i widzę jak na drugim końcu pojawia się Karolcia i jakby przesuwa się w powietrzu, z siwą głową niczym duch z filmu *Kwaidan*. A zawsze mówiono, że nocą spacerują tu duchy, prezesa Otwinowskiego i pisarzy; jakby w ruinach jakiegoś zamczyska... Zbliżyłem się ostrożnie i pytam: Pani Lolu? To pani? »No, pewnie że ja, a coś pan myślał, że to mój duch?« (W.pr.)

Występ Bronisława Maja czyli „Pani Lola”:

PANI LOLA:

„Pana Miłosza dobrze znałam, kochał się we mnie, ale jażem go odpaliła, bo on był mruk. Z panią Szymborską to się lubiłam, nieraz się wódeczki napiłyśmy i ja jej mówię: »Pani Wisiu, weźże pani co dłuższego napisz, bo to takie krótkie«. A ona mówi: »Lola, ale mi się nie chce«. No to ja mówię: »no ale to musi być grube, bo nam tego Nobla nie dadzą«. A ona na to: »e, no już by takie nie byli, żeby nie dali«. No i dali nam w końcu... Ale ze wszystkich poetów to ja się najbardziej w panu Maju kochałam. Bo on to był bardzo poważny poeta. I takie piękne wiersze pisał”. (zapis z jubileuszu „Znaku”)

10. URODZENI POD PIÓROPUSZEM

Obraz ukazuje oficynę od strony ogrodu Mehoffera. W ogrodzie (można to sobie wyobrazić) spotkanie kilkunastu osób urodzonych w Domu Literatów.

NARRATOR:

W tym ogrodzie, w pierwszych latach po wojnie państwo Mehoffer prowadzili kawiarnię „Egeria”, w której latem literaci przesiadywali do późnej nocy. Potem pawilon zamknięto, a ogród pozostawiony sobie zarastał na dziko.

Jedynie latem literackie dzieci przekradały się przez ogrodzenie kryjąc się wśród krzewów niczym mali Indianie. Urodzonych w Domu Literatów, w różnych latach było sporo: około trzydziestu córek i synów pisarzy, a potem dziesięcioro wnucząt. O prawnukach wiadomo tylko tyle, że jest ich siedmioro, a są to, rzecz szczególna, potomkowie Stefana Kisielewskiego i Adama Polewki – jednak urodzeni już gdzie indziej. A także prawnuczka Kazimierza Barnasia, do niedawna najmłodsza mieszkanka tego domu. Obecnie na podwórku nie ma żadnych dzieci – zastąpiły je rowery.

Jerzy Kisielewski i Grzegorz Miecugow spacerują po ogrodzie. Inni przy stolach.

„Nic dwa razy się nie zdarza”, muzycznie, bez tekstu.

NARRATOR:

Mówiono o tym domu: „Życie i poezja kottowały się w nim niczym karnawał śmiechu i rozpacz”. Czy powstały tam dzieła wybitne? Czy dom i jego legenda stanowią wartość historyczną?

Zdjęcia Tadeusza Różewicza na Ostrowie Tumskim.

Zdjęcia Joanny Olczak w ogrodzie na Salwatorze.
Ludwik Flaszen w parku Monceau w Paryżu.
Sławomir Mrożek na corso kwiatowym w Nicei.
Widok na lazuruwe morze o zachodzie słońca.

KONIEC

POST SCRIPTUM:

Ten scenariusz, nagrodzony Małopolską Nagrodą Filmową „Trzy Korony” w roku 2012, jest oparty na autentycznych wypowiedziach i rzetelnej pamięci. Dzisiaj o Domu na Krupniczej na ogół wypowiadają się osoby, które nigdy tam nie mieszkały i nie były, jak choćby autorki *Biografii Wisławy Szymborskiej* czy też zupełnie niewiarygodna autorka „literackich lustracji” pt. *Kryptonim Liryka i Mahatma Witkac*, która po prostu miesza fakty albo je zmyśla. Najczęściej większość ich wypowiedzi zaczyna się od zdania-kalki: „W 1945 roku na Krupniczej skoszarowano pisarzy”. Nic błędniejszego – dom ten pomimo zagęszczenia nigdy nie przypominał koszar chociażby ze względu na jego zupełnie nieuporządkowany i wręcz ludyczny klimat. A przede wszystkim w roku 1945 nikt jeszcze nie wprowadzał modelu koszarowego – ideę Domu Literatów wymyślił Kazimierz Czachowski, pierwszy powojenny prezes Związku Literatów w Krakowie i urzeczywistnił ją z pomocą Leona Kruczkowskiego i Adama Polewki, jak również młodego Tadeusza Kwiatkowskiego. Mitem jest, że znaczącą rolę odegrał tu Adam Ważyk w mundurze oficera i z naganem u boku. Tadeusz Kwiatkowski wspomina jego jednorazowy udział w przejmowaniu tej kamienicy dla literatów, ale Ważyk nie zamieszkał tam i więcej się Krupniczą nie interesował.

A potem, to wcale nie władze miejskie czy partyjne decydowały o przydziale lokali i pokoi – czynili to sami literaci na posiedzeniach zarządu Oddziału Krakowskiego Związku Literatów, a najczęściej długoletni prezes Stefan Otwinowski. Tak samo nietrafne jest porównywanie tego domu do systemu moskiewskiego, jakkolwiek oczywiste jest, że w najgorszych stalinowskich latach 50., władze partii i bezpieki miały tu literatów wszystkich razem „na oku”. Nikt jednak nigdy nie tylko nie został aresztowany, ale nawet wyrzucony z Krupniczej.

Film dokumentalny z pewnością nie zastąpi książki czy zbioru wspomnień, które wcześniej czy później powstaną, i nie jest to jego celem. Jego istotniejszym zamysłem jest utwalenie pamięci i wizerunków żyjących jeszcze dawnych mieszkańców i tych, którzy znali z bliska całe środowisko. I nawet gdyby ich wypowiedzi były najkrótsze – będą to wspomnienia czy refleksje „z pierwszej ręki”, a nie rekonstrukcje i kompilacje.

Bo też historia tego miejsca, jak to nazwała Marta Wyka, jest swoistym *imago mundi*. Dodajmy: obrazem często dramatycznym, ale równocześnie komicznym i pełnym zdarzeń rodem z Mrożka, Hrabala czy Barrei; albo też pamiętnego *Balu* Ettore Scoli. To właśnie skojarzenie z *Balem* powoduje tu przywołanie muzyki i piosenek z kolejnych lat – oczywiście w krótkich tylko fragmentach, dla podkreślenia klimatu zdarzeń.

Natomiast cytowane wypowiedzi we wszystkich przypadkach stanowią jedynie temat rozmowy, której kształt zależność będzie od samych zaproszonych oraz reżysera.

JAN POLEWKA



Józef Sękowski, *Mała Wietnamka*

JACEK WOJCIECHOWSKI

CEROWANIE ŚWIADOMOŚCI

Rosyjski propagandowy agregat polityczny – jak każdy – funkcjonuje w kilku przestrzeniach. Również w przestrzeni wewnętrznej, co z oddali widać tylko fragmentarycznie. Ale jest to wymiar ważny także dla zagranicy. Następuje bowiem takie cerowanie tamtejszych społecznych przeświadczeń, żeby były spolegliwe dla wszystkich przedsięwzięć władzy. I to się w znacznym stopniu udaje. No więc trzeba o tym wiedzieć.

Arsenał narzędzi jest nieco inny niż wobec adresatów zewnętrznych. Dopóki można, operuje się faktami i prawdą, a kiedy już nie można, stosuje się bajki, nieprawdy i przeinaczenia. Tak zresztą jest wszędzie – propaganda apeluje do emocji, więc rozum i fakty nierzadko bywają przeszkodą, ale inaczej bajdurzy się obcym, a inaczej swoim. Wprawdzie, jeśli wspomnieć kniazia Potiomkina albo Chruszczowa i jego rakiety (których na Kubie nie było), to ma się wrażenie, że stosunek do faktów nad Wołgą był i jest liberalniejszy niż w innych krajach. Lecz może to tylko złudzenie.

Rosyjskie wewnętrzne inicjatywy propagandowe zmierzają obecnie – jak się wydaje – do przekonania swoich, że świat (z wyjątkami) jest antyrosyjski. Dlatego trzeba pokazać siłę, odstraszyć oraz odtworzyć świadomość imperialnej potęgi. I to chyba działa w szerokim, powszechnym wymiarze, gdzie prawdziwych wykształciuchów nie jest zbyt dużo, a liberalnych oponentów jeszcze mniej. Większość Rosjan najprawdopodobniej wierzy, że dookoła rozlewa się ocean nieprzyjaźni, więc basują władzy.

Jakkolwiek przedsięwzięcia propagandowe nie są w pełni jednolite ani wyłącznie jednokierunkowe. To raczej paleta, różnorodna tęcza, tyle że w skutkach dość zwarta. A oto przykłady zawarte w wybranych publikacjach książkowych, które bezpośrednio, same zapewne nie oddziałują, bo ich raptem 3-tysięczne nakłady to

w Rosji tyle co nic. Zwłaszcza że obieg książki jest tam teraz obniżony (czyta ok. 60 proc. populacji – w Polsce zaś 56 proc.), mnóstwo bibliotek i księgarń upadło, a szeroką transmisję treści zapewnia prorządowa telewizja oraz także prasa. Internet – na razie w mniejszym stopniu (zasięg 61 proc. populacji; w Polsce 67 proc.). Tym niemniej te i podobne książki ujawniają kierunki oraz sposoby urabiania świadomości.

BEŁTANIE W GŁOWACH

Dmitrij Bielajew, *Razrucha w głowach. Informacyjna wojna przeciw Rosji*, Sankt Petersburg 2014, Piter, s.256, ISBN 978-5-496-01170-9.

Oto trzydziestoletni praprawnik carskich generałów, informatyk i wzięty (podobno 300 000 odbiorców) bloger Dmitrij Bielajew wydał książkę pod charakterystycznym tytułem, chociaż nie wiadomo kto komu w głowach usiłuje bełtać. Jest tam o wszystkim, o czym teraz rosyjska propaganda traktuje i nie ulega wątpliwości wsparcie ze strony odpowiednich służb. Bo tematów na jednego autora za dużo i blogowiska samemu tak łatwo się nie kreuje, nastawienie zaś też jest stosowne. Prezentuje się przy tym Bielajew atrakcyjnie – śladem Anny Chapman tak teraz bywa z agentami oraz współpracownikami – gra na kilku instrumentach, śpiewa pod gitarę, więc zwłaszcza na płci odmiennej wrażenie wywiera świetne. Pisze znacznie gorzej, chaotycznie jak niemal każdy internetowy dziennikarz, ale potrafi wyeksplikować to, co należy – zwłaszcza pochwały dla militarnej siły oraz ukłony dla Cerkwi – a także przekonać każdego, kto tego zechce. Trochę to zapewne zgodne z rodzinną tradycją, jednak być może nie w każdym szczególe.

Bielajew wymienia osoby, jego zdaniem szczególnie dla Rosji zastępowane i zachęca do aplauzu. To car

Aleksander III, który twierdził, że Rosja ma tylko dwóch sojuszników: flotę i armię. Oraz Józef Stalin (pradziadkowie miotają się w grobach), który w stosownym momencie nie zgodził się na trockistowski eksport rewolucji i tym uchronił ZSRR od zgłady. Zaś w 1937 roku (według historiografów to były zbrodnicze czystki) uwolnił kraj od nieudolnych urzędników. A potem zasłużył się bardzo Władimir Putin, przywracając Rosji dawną świetność i dumę. Hm.

Ogromne zasługi dla Rosji ma też Cerkiew, której – bajdurzy Bielajew – Stalin bardzo sprzyjał. Czy dlatego zamieniał świątynie na magazyny, a popom fundował pobyty w łagrach? Natomiast w stwierdzeniu, że Kościół katolicki sekował oraz sekuje prawosławną Cerkiew – lecz z dopowiedzeniem, że z wzajemnością – może być coś z prawdy. I to dramatycznej. Bo wygląda na to, że poprawa relacji rosyjsko-europejskich miałaby znacznie większą szansę, przy zaangażowaniu Kościoła i Cerkwi, tymczasem obie strony nie widzą w tym swojego interesu.

Obok patriotów, nigdy (twierdzi autor) nie brakowało jednak sprzeniewierców. I tak, kwitnącą (podobno) carską Rosję zniszczyli liberałowie, a pół wieku później przestępca Chruszczow – przez zemstę za śmierć syna otruli Stalina i rozpił naród, znowu doprowadzając kraj nad brzeg przepaści. Potem zaś do władzy dorwali się przestępcy.

Gorbaczow zdradził sekrety Anglikom (nie wiadomo jakie). Pijanica Jelcyn sprzedał Rosję bankom. Zaś premier Kasjanow zwędził zagraniczny fundusz stabilizacyjny. Następnie zameldował się Soros i pozorując dotacje, całkowicie zepsuł rosyjskie szkolnictwo oraz wprowadził wychowanie seksualne – specjalnie po to, żeby przyrost naturalny w Rosji stał się ujemny, bo tego chcieli Amerykanie. Jak widać, dla bredni nie ma żadnych granic.

Zdaniem Bielajewa podobnym knowaniom wciąż nie ma końca. Cała opozycja to obcy agenci, szczególnie Ludmiła Aleksiejewa z Memoriału oraz Aleksiej Nawalny. Szkalują Rosję na każdym kroku i posunęli się nawet do kłamstwa, jakoby z Rosji wyemigrowało 1,25 miliona osób, a to wszak oczywista nieprawda. Autor przytacza stosowne dane, z których (po przeliczeniu) wynika, że to... jednak prawda. Ale tej złej propagandzie przyjdzie wreszcie kres, bowiem rozsądny dekret prezydenta Putina z 2013 roku nakazuje w Rosji każdemu ujawnić wszelkie zagraniczne dotacje i darowizny, czyli srebrniki. Żeby było wiadomo, kto jest kim oraz kto co sponsoruje.

Bielajew jest zwolennikiem opinii, nierzadko tam powtarzanej, że Rosję osaczyli nieprzyjaciele. Mit antyrosyjski w Europie narodził się w XVIII wieku (nieprawda, dużo wcześniej) i krąży do dziś. Zachód usiłuje wyeksportować swój model demokracji i w tym celu stara

się rozbroić Rosjan mentalnie, głosząc że wojen na świecie już nie ma. Tymczasem międzynarodowe ocieplenie polityczne, które chwilowo nastąpiło, dokonano się i dokonuje głównie kosztem Rosji.

Tak jest i tak było. Bo to przeież przeciwko Rosji właśnie – zdaniem autora – pakt z Hitlerem w latach międzywojennych zawarły Francja, Anglia, oraz Polska. O Rapallo i układzie Ribbentrop-Mołotow nie ma w książce nic. Absolwent technicznych studiów informatycznych może o tym nie wiedzieć, a podpowiadacze zmilczeli.

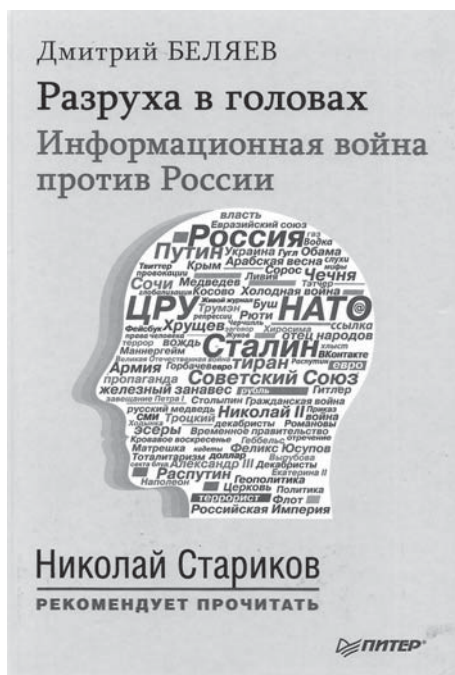
Natomiast będąc na wycieczce w Finlandii nie mógł Bielajew zrozumieć, czemu Finowie nienawidzą Rosjan, skoro podczas wojny miłosierny Stalin zabronił bombardowania Helsinek. Widocznie autorowi nie powie-

dziano, że wojnę radziecko-fińską wzniecił Sowietci i potem zabrali część Karelii, a na bombowe naloty brakowało jeszcze wtedy samolotów. Wcześniej zaś Finlandia długo była pod represyjnym zaborem rosyjskim i pośród różnych restrykcji obowiązywał (na przykład) zakaz publikowania tekstów fińskich w... alfabecie fińskim. Kiepskie to przesłanki przyjaźni.

Jednak wrogiem numer jeden pozostają Stany Zjednoczone, które chcą podobno zrobić z Rosji kolonię i jeszcze przejąć Syberię. Oczywiście, wszak wcześniej zdradziecko kupiły Alaskę. Poza tym Amerykanie zamierzali w swoim czasie obalić Lenina, dlatego podęśli mu Trockiego. Fakty są inne. W okresie międzywojennym zbliżenie amerykańsko-radzieckie było szczególnie silne, nawet czekici paradowali w skórzanych kurtkach amerykańskich lotników, a później od wojennej kłęski uratowała ZSRR amerykańska koncepcja lend-lease. Ale ostatecznie tym gorzej dla faktów.

Obecnie zaś, zauważa Bielajew, amerykańska agresja osiąga wyżyny. Jej głównym ideologiem był i jest Zbigniew Brzeziński, ale to Ronald Reagan określił Rosję paskudnie – jako imperium zła. Poza tym Amerykanie zbuntowali Ukrainę i jest na to stosowny dowód – na Majdanie mianowicie widziano takie same (amerykańskie?) buldożery jak wcześniej w Serbii oraz w Tajlandii. A już szczytem politycznej perfidii było, że ukraiński eksprezydent Juszczenko miał amerykańską żonę – podobnie zresztą eksprezydent Gruzji Saakaszwili ożenił się był z Holenderką. Najwyraźniej zmarnowały się jakieś dziewczyny w Jakucku albo w Magadanie. Do tego wszystkiego zaś dorzuca autor jeszcze kąśliwą uwagę, że mizerna musi być amerykańska demokracja, skoro prezydenta wybiera się tam dwustopniowo.

Jeżeli ktoś myśli, że to są jakieś jaja, to z powagą i pełną odpowiedzialnością informuję, że, niestety, nie. Smutny jest już sam fakt, że młody człowiek bez zażenowania plecie od rzeczy, jak piłkarski sprawozdawca na meczu Nepal-Papua. Ale ciarki przechodzą



na myśl, że mnóstwo ludzi przyjmuje te dyrdymały z całą powagą.

Jednak młody blogger – a tym bardziej jego sponsorzy – nie zostawiłby takiego tekstu bez klarownych dyrektyw finalnych. Przestrzega więc, żeby nie dezawuować ZSRR, bo to niepatriotyczne. Oraz doradza, żeby cenić wartości narodowe – i w tym ma rację. Zwłaszcza kulturę (rzeczywiście), wysoki poziom edukacji (który nadpsuł Soros?), mocną ekonomikę (no...), a poza tym jeszcze naturalne bogactwa i ogromne terytorium. Zaleca też, żeby wierzyć faktom, a nie zmyśleniom. Oczywiście słusznie, chociaż w jego wersji to jest samobójczy gol.

ZONGLERKA ŁGARSTWAMI

Anatolij Tereszczenko, *Choźdienije po katynskim mifam*, Moskwa 2013, Izdatielskij Centr „Akwa-Term”, s.416, ISBN 978-5-905024-18-4.

O ile Bielajew wygląda na współpracownika służb specjalnych, to autor kolejnej, sygnalizowanej tu książki, Anatolij Tereszczenko jest emerytowanym pułkownikiem FSB i kontynuuje służbę pisaniem książek. Młody autor deklaruje głupoty, ale w tonacji głównie ekspiatoryjnej, z Tereszczenki natomiast nienawiść do Polaków emanuje z każdego, przeważnie kłamliwego zdania. Napisał nawet, że podczas wojny Lachy-pluskwy (!) czekały biernie, aż wykrwawi się Armia Czerwona. To o narodzie, który do walki wystawił kilka armii oraz poniósł wielomilionowe straty ludzkie. Coś takiego wykracza poza propagandową stylistykę; to jest moralny bandytyzm. Pisząc w innym miejscu jak to mądry Stalin wyczekał, aż wykrwawią się warszawscy powstańcy, pluskwą go przecież nie nazwał.

Urodził się Tereszczenko w Sarnach, już wtedy sowieckich, może więc wpajano mu tę polonofobię od małego i teraz zionie nią jak smok infekując innych i żerując na potocznej niewiedzy niebywałymi łgarstwami, których statystyczny Rosjanin zweryfikować nie ma jak.

Książka, adresowana do czytelnika rosyjskiego – w żadnym wypadku polskiego – lansuje stereotyp złej i wrogiej Polski oraz próbuje zdjąć z Rosji odium różnych win. Czemu zapewne wielu da tam posłuch, no bo niby dlaczego nie. Mowa zaś (wbrew tytułowi) nie tylko o Katyniu, lecz o różnych relacjach rosyjsko-polskich.

Rozdrapuje więc rozmaite rany i na swoją odróżającą modłę ceruje potoczną rosyjską świadomość. Sygnalizuje, że Polska dwukrotnie najeżdżała Rosję – o najazdach w odwrotnym kierunku nie ma ani słowa – a mimo to Katarzyna II godnie przyjęła Polaków pod swoją opiekę i ofiarowała im *polskoje carstwo*. Jeżeli

już w tym momencie zebrano się komuś na torsje, to jednak przedwcześnie. Dalej bowiem są jeszcze bardziej szokujące wypowiedzi, a wśród nich i taka, że Rosja nigdy (!) nie wtrącała się do innych krajów ani narodów, natomiast sama zawsze była komuś podporządkowana pośrednio lub bezpośrednio.

Zdaniem Tereszczenki, zmagania Rosji z Polską toczyły się o hegemonię pośród Słowian, ale jednocześnie miały szerszy kontekst walki prawosławia z katolicyzmem; trudno powiedzieć, że to zupełna nieprawda. Ale nie da się potwierdzić, że polski Kościół zawsze *deptał* Cerkiew, a już z czystej nienawiści wynika autorska sugestia jakoby głównym ideologiem światowej rusofobii, obok Zbigniewa Brzezińskiego, był Karol Wojtyła.

Wtrącając się w okres międzywojenny, Tereszczenko nazywa Piłsudskiego agentem i nie wiadomo, dlaczego przeciwstawia mu gloryfikacyjnie Kościuszkę. Wygląda na to, że nie bardzo wie, o czym pisze, zwłaszcza nie wie, z kim Kościuszko walczył oraz przez kogo był więziony. Jednak główną uwagę autor skupia na wojnie polsko-sowieckiej, którą (jego zdaniem) przegrali Trocki z Tuchaczewskim przez nieudolność, a następnie Lenin kapitulando oddał Polsce część Ukrainy i Białorusi. Rzekomo jedynie Stalin miał wówczas koncepcje trafne, lecz nikt go nie słuchał.

W tym kontekście następuje wyliczanie, ilu jeńców rosyjskich zmarło w polskich obozach jenieckich. Według naszych źródeł oficjalnych – 16 tysięcy, przeważnie na tyfus i inne choroby zakaźne, bo warunki obozowe w zrujnowanym kraju były wtedy katastrofalne. Tereszczenko serwuje natomiast trzy różne, zmyślane a gigantyczne wielkości: 60 tysięcy, 85 tysięcy, a nawet 120 tysięcy, czyli więcej niż sowiecka historiografia doliczyła się jeńców w ogóle, ale ani tym, ani rozbieżnościami autor nie przejmuje się wcale. Natomiast na rosyjskim czytelniku to musi robić wrażenie. Zwłaszcza że zatajona jest wiadomość o 20 tysiącach jeńców polskich, którzy z kolei zginęli wtedy w obozach sowieckich.

To jest zresztą licytacja wstrętna i potworna. Każda śmierć to śmierć i największa z możliwych tragedii. Przerzucanie się więc liczbami ofiar jest procederem nieczym. Ale w propagandzie szeroko jednak uprawianym.

O polsko-niemieckich walkach we wrześniu 1939 roku Tereszczenko wypowiada się z pogardą (oczywiście pisze o szarżach polskiej kawalerii na niemieckie czołgi), jakby nie wiedział o późniejszych kłękach radzieckich. Natomiast dopowiada, że polski rząd wtedy zrejterował, nie dodaje nic o napaści Armii Czerwonej. Mówi tylko, że Stalin przywrócił wówczas do ZSRR (nie



wiadomo więc jakim cudem) obszary przedtem przez Polskę zagrabione.

Z przyczyn zatem nieznanych – na terenach już wobec tego radzieckich – znalazły się polskie wojska, które zostały internowane, ale nie wiadomo co z nimi zrobić, ponieważ państwo polskie już nie istniało. Dlatego oficerów skierowano do obozów, gdzie jednak nie pracowali, dlatego autor nazywa ich darmozjadami.

Jeszcze gorsze inwektywy padają wobec gen. Andersa, który *uciekł* z wojskiem, zamiast iść na front. Natomiast Armię Krajową nazywa się w tekście terrorystami, dlatego jej członków, w ogólnej liczbie 50 tysięcy, Rosjanie wsadzali do więzień, a nie internowali. O rozwiązaniu AK jest wzmianka, o zamordowaniu gen. Okulickiego nie napisano ani słowa.

Wszystko to służy zohydzeniu i opluskwieniu Polaków w oczach rosyjskich czytelników. Oto jacy są sąsiedzi! I trudno się oszukiwać – zabieg, przynajmniej częściowo, jest efektywny.

Najwięcej miejsca zajmują w książce wypowiedzi o katyńskiej eksterminacji polskich oficerów – adresowane do Rosjan, z oczywistym zamiarem zdjęcia odium zbrodni. Dlatego argumentacja jest nie tylko załgana, ale jest kłamliwa w określony sposób. Żeby została zaakceptowana tam.

Otóż wiadomo, że zginęło wtedy 21 768 osób, a rozstrzeliwać dokonywał smoleński oddział NKWD pod dowództwem Iwana Stelmacha. Jednak Tereszczenko neguje właściwie wszystko, także fakty oraz liczby (sam podaje różne, wzajemnie sprzeczne) i twierdzi, że Rosjanie nikogo nie mogli rozstrzelać, bo na wiadomość o nadejściu Niemców... uciekli. Poza tym – jak pisze – do wybuchu wojny w ZSRR nie rozstrzeliwano nikogo, nie było to w zwyczajach. No i takie to jest pisanie.

Rozstrzeliwali więc Niemcy. Za dowód służą użyte tam niemieckie pistolety; Tereszczenko jednak nie dopowiada, że takie były wtedy na wyposażeniu NKWD. Stwierdzone zaś ślady bagnetów i karabinów maszynowych to świadectwa udziału w zbrodni ukraińskich terrorystów z OUN. Są wprawdzie notatki potwierdzające, że oprawcami byli Rosjanie – poczynione przez generałów NKWD Piotra Soprunienkę oraz Dmitrija Tokariewa, a także przez szefa KGB Aleksandra Szelepina – ale Tereszczenko wie, że zostały sfabrykowane.

Dla niego głównym materiałem dowodowym pozostaje raport Burdenki. Prof. Mikołaj Burdenko, chirurg, członek radzieckiej Akademii Nauk – w książce napisano, że uczony światowej sławy, ale to nieprawda – z rozkazu Stalina przewodniczył sowieckiej komisji katyńskiej i napisał, że Polaków rozstrzelali Niemcy. Spotkały go za to nagrody i zaszczyty, włącznie z nazwaniem jednej z moskiewskich ulic. Ale kiedy w 1946 roku wiedział, że umiera i nie miał już czego się obawiać, stwierdził w obecności kilku osób (istnieją świadectwa), że w Katyniu towarzysze popełnili potworny błąd. Tego Tereszczenko nie cytuje. Natomiast traktuje z buta niektórych czołowych rosyjskich polityków. Tak się składa, że są to osoby standardowo teraz w Rosji obsobaczane. Listę otwiera morderca Nikita Chruszczow, który z zemsty otrął Stalina oraz kazał również zabić Banderę. Jest też na niej Michaił Gorbaczow, bo zniszczył ZSRR, a poza tym był wiaro-

łomny i nie zechciał ratować Ericha Honeckera. Także pijanica Borys Jelcyn, który pozwolił, żeby rozkradano kraj. Oraz (niespodzianka) Dmitrij Miedwiediew, ponieważ za jego prezydenckiej kadencji kontynuował się rozkład imperium.

No to dzięki komu Rosja przetrwała? Największe ma w tym zasługi znakomity Józef Stalin, a wspierał go modelowy postczekista, Ławrentij Beria. I chociaż zdarzało się, że pozbawiali ludzi życia, to przecież dla dobra kraju. Taki oto kit wciska się czytelnikom, a czy ktoś w to wierzy? Wyrażę obawę, że tak.

W dalszej części wywodu napisano, że godnym następcą tych dwóch jest teraz Władimir Putin. Nie wykluczam jednak, że tą opinią Tereszczenko przeszarżował. Mimo dostrzegalnych w Rosji poststalinowskich resentymentów należy wątpić, żeby obecny prezydent chciał się wpisać w taki rejestr jako kontynuator.

Książka powstała na początku zdarzeń ukraińskich, więc uwag o Ukrainie jest niewiele, ale jednak są – oczywiście z imputacją faszystowskiego rodowodu tamtejszych przemian. Niezależnie od tego Tereszczenko (przypominając, że ministra Pierackiego zastrzelono z polecenia Bandery) użala się jednak nad Ukraińcami, którzy z powodu biedy wyjeżdżają do pracy w polskich gospodarstwach i są traktowani jak bydło. Poza tym bywają zmuszani do kradzieży ukraińskiej własności państwowej (np. szyn), którą następnie sprzedają za grosze.

Ten beładny i bzdurny bełkot, dopełnia jednak przypomnienie autentycznej sugestii Bismarcka, który twierdził, że dla Rosji strata Ukrainy oznaczałaby zapaść imperium. Wygląda na to, że o tej opinii tam nie zapomniano.

W STRONĘ REFLEKSJI ROZUMNEJ

Władimir Chotinienko, *Nowyje russkije biesy*, Moskwa 2014, Algoritm, s.239, ISBN 978-5-4438-0900-7.

A oto zupełnie inna książka, pod wieloma względami zaskakująca. Z okładki kluje w oczy wojowniczy nadtytuł *Bitwa o Rosję*. Wewnątrz tytuły rozdziałów i podrozdziałów zalatują agresywną bogoojczyźnianą propagandą. Ale to tylko taki redaktorski i wydawniczy marketing. Natomiast sama treść ma się do tego wszystkiego jak nocnik do miksera.

Poza tym okładka sugeruje autorstwo Władimira Chotinienki, a to także lipa. W rzeczywistości na książkę składają się zarejestrowane wywiady radiowe i telewizyjne, niektóre z udziałem Chotinienki, a czasem też innych osób (np. niezależnego pisarza, Wiktora Jerofiejewa), oraz nawet wypowiedzi telewizjów i radiosłuchaczy, ale bywają także bez niego. W sumie bardzo różne. Mądre, umiarkowane, dyskusyjne, czasem napastliwe i (rzadko) prostackie, ale dzięki tej różnorodności niezwykle ciekawe.

Chotinienko (lat 63) to reżyser filmowy światowego formatu, z bogatym dorobkiem, zawsze wrażliwy, mądry, umiarkowany i tak też prezentuje się w tej książce. Nie jest opozycjonistą, należy do prezydenckiej rady kultury, bo to w końcu formacja państwowa, ale ma własne poglądy, unika ekstremizmów jak ognia i stara

się dociekać istoty rzeczy. W cerowaniu rosyjskiej świadomości społecznej zachowuje imponującą racjonalizm.

W 2007 roku wyreżyserował film *Rok 1612*, nawiązujący do ówczesnej ekspulsacji Polaków z Moskwy i dlatego – na ogół bez oglądania – ten i ów u nas przypiął mu antypolską łatkę, ale to nieprawda. Więcej – takie gadanie to granda. Reżyser zresztą odzegnuje się od takiej opinii stanowczo, tak jak z kolei (w książce nie on jeden) nie uważa filmu *Katyń* za antyrosyjski – to rzecz (powiada) o polskiej narodowej tragedii. Zresztą o Wajdzie oraz o Olbrychskim wypowiada się z uznaniem i wielką sympatią. Mamy więc w tym wybitnym rosyjskim artyście prawdziwego przyjaciela. Tylko czy ktoś u nas o tym wie?

Czołowym tematem dyskusji w tej książce jest (prawie) aktualna sytuacja Rosji. Syndrom obłąkanej twierdzy, otoczonej przez wrogów, pojawia się ale z różnym natężeniem, a nawet bywa wręcz negowany. Są wprawdzie nawoływania – głównie radiosłuchaczy – żeby pokazać imperialną siłę militarną, jednak wiele osób tę napastliwość tonuje. Natomiast ogólna zgoda panuje co do tego, że Rosjanie są inni niż wszyscy, dlatego tak trudno porozumieć się ze światem.

Opinie o stanie bieżących wydarzeń są zresztą na ogół krytyczne. Rządzi wielka forsa oraz przypadek, przy jednoczesnym kryzysie etyki. Dlatego Chotinienco nawiązuje do *Biesów* i Dostojewskiego – według niego powieściowa sceneria mocno przypomina obecną rzeczywistość. Dyskutanci są zdania, że Putin próbuje coś z tym zrobić, lecz w ekipie władzy nie znajduje stosownego wsparcia. Już prędzej w narodzie, ale społeczeństwo nie jest jednomyślne ani w swoich poglądach stałe. Bo zresztą – jak twierdzi reżyser – jeden wspólny, ogólnonarodowy punkt widzenia, to przecież polityczny Gułag.

Stąd zaś tylko krok do pytania o patriotyzm. Chotinienco oraz Jerofiejew nie negują, że patriotyzmem może być akceptacja władzy, ale autentyczna, a nie lakiernicza. Jednak głównym wyznacznikiem jest taki właśnie krytycznie spolegliwy stosunek do własnego kraju.

Natomiast pomysły na patriotyczne wychowanie bywają różne i mało konkretne. Są opinie, żeby robić to przez wprowadzenie szkolnego przysposobienia wojskowego – w ten sposób bowiem wyszkolono kiedyś modelowego bohatera młodzieżowego, Aleksandra Matrosowa – tym bardziej że trzeba uzupełnić armię, po likwidacji obowiązkowego poboru. Ale inni, w tym Chotinienco, są temu zasadniczo przeciwni. Twierdzą, że to tylko pozory i biurokratyczna lipa, a poza tym nie akceptują militarystycznej retoryki.

W dyskusji pojawiają się ponadto sugestie (tak jak u Bielajewa), żeby już nie postępować ZSRR, bo to



mało patriotyczne, ale zdania na ten temat są podzielone. Pada nawet uwaga, że to był twór sztuczny oraz zmitologizowany. A poza tym między pozlepianymi narodami w rzeczywistości nigdy żadnej przyjaźni nie było.

Reżyserując filmy historyczne, Chotinienco kwestionuje istnienie historycznej prawdy. Jego zdaniem takiej nie ma, bo historię opisują ludzie, referując co i jak chcą. Dlatego historyczne doniesienia o Rosji są zawstydzająco niepełne i koloryzują przeszłość, tak żeby nie wylazło żadne paskudztwo, toteż demitologizacja jest pilnie potrzebna. Ale nie przez filmy fabularne. W sztuce filmowej obowiązuje bowiem prawda artystyczna i emocjonalna, a nie dokumentalna.

W luźnym nawiązaniu do filmu *Rok 1612* rozwija się dyskusja na temat nowej daty rosyjskiego święta państwowego, niby powiązanej z tamtym wydarzeniem historycznym. Otóż są głosy, że to jest skojarzenie naciągane. Termin wybrano, ponieważ był bliski (obchodzonej przedtem) rocznicy rewolucji, a poza tym już funkcjonował jako święto Matki Boskiej Kazańskiej.

Od tego zaś niedaleko do tematyki religijnej, bliskiej Chotiniencie – deklaruje wszak swój powrót do wiary – także za sprawą filmów *Muzułmanin* (1995) oraz *Pop* (2009). Zrealizował też film paradokumentalny o św. Piotrze i św. Pawle *Palomnichestwo w wiecznyj gorod* (2005), z wspólnej inspiracji oraz wsparcia Kościoła i Cerkwi. Ta niezwykła i bezcenna forma kooperacji takich sponsorów, nie została jednak nigdy potem w żaden sposób powtórzona.

Od tego zaś niedaleko do tematyki religijnej, bliskiej Chotiniencie – deklaruje wszak swój powrót do wiary – także za sprawą filmów *Muzułmanin* (1995) oraz *Pop* (2009). Zrealizował też film paradokumentalny o św. Piotrze i św. Pawle *Palomnichestwo w wiecznyj gorod* (2005), z wspólnej inspiracji oraz wsparcia Kościoła i Cerkwi. Ta niezwykła i bezcenna forma kooperacji takich sponsorów, nie została jednak nigdy potem w żaden sposób powtórzona.

Podobno aż 80 proc. Rosjan deklaruje się jako wierzący, ale do cerkwi uczęszcza mało kto. Chotinienco uważa, że Cerkiew jednoczyła naród przede wszystkim w czasach wojny i okupacji. Na terenach zajętych Niemcy chcieli początkowo wykorzystać popów do swoich celów, ale to się nie udało, więc zaczęli ich masowo rozstrzeliwać. Z kolei po wojnie prześladowania podjął Stalin (Bielajew plecie głupoty) – popów zsyłano do łagrów na 10 lat, bez prawa skrócenia wyroku. Obecnie wygląda na to, że rola Cerkwi w życiu publicznym rośnie, ale nie wiadomo, w jakim stopniu.

Są także w książce nawiązania do zdarzeń na Ukrainie – z wcześniejszej fazy. Opinie radiosłuchaczy, telewizorów i niektórych dyskutantów bezpośrednich są radykalne: Ukraina Wschodnia nie chce współistnieć z faszystowską Ukrainą Zachodnią, a dla rozwiązania sprawy trzeba tam wprowadzić regularne wojsko, najlepiej zwarty korpus. Temu ostro przeciwstawia się Chotinienco twierdząc wręcz, że oficjalne wkroczenie armii rosyjskiej na Ukrainę byłoby czymś strasznym. A mając świadomość rozhuśtanych emocji oraz zróżnicowanych poglądów doradza, żeby na ten temat póki co pomilczeć.

W zarejestrowanych rozmowach biorą udział rozmaici twórcy, nic zatem dziwnego, że obok pytań o swobody obywatelskie pojawiają się również uwagi na temat prawa do nieskrępowanych wypowiedzi. Otóż z tym (mówi się) bywa rozmaicie. Możliwość wypowiadania się otwartego niby częściowo istnieje, ale nieraz bywa, że nie. Przykładowo: kontrowersyjny film *Rosja 88* pozwolono wprawdzie wyświetlać w Moskwie, ale tylko w jednym kinie i bez żadnej promocji. Podobno łatwiej niż w filmach przebić się z niezależnymi wypowiedziami pisemnymi, ale z kolei ich obieg publiczny jest siłą rzeczy ograniczony.

Tak czy inaczej, zarysował się w tej książce wielotonacyjny rejestr rosyjskich opinii, który świadczy o niesztampowym niekiedy myśleniu. Warto o tym wiedzieć. Zaś postawa oraz poglądy Władimira Chotiniienki imponują i budzą szacunek.

„MEMORIAŁ”

Boris Bielenkin, *Małotirażnye izdanija po istorii političeskich repressij w SSSR w biblioteke Obszczestwa „Memoriał”, Moskwa 2014, NIPC „Memoriał” – Izdatielstwo „Zwienija”, s.160, ISBN 978-5-78700-121-1.*

A oto publikacja absolutnie unikalna, wydana zresztą w mikroskopijnym nakładzie 500 egzemplarzy. To jest adnotowany (czyli: z opisem treści) katalog 409 książek niskonakładowych (poniżej 120 egz.), opublikowanych po 1992 roku, a znajdujących się w zbiorach biblioteki moskiewskiego stowarzyszenia Memoriał. Autorem opracowania jest Boris Bielenkin, członek kierownictwa tej organizacji.

Samo stowarzyszenie dokumentujące zbrodnie stalinowskie jest obecnie zagrożone. Nie wiadomo, czy nie ulegnie likwidacji, ponieważ preteksty i haki zostały już zgromadzone, a współkierującą Memoriałem Ludmiłą Aleksiejewą, liczącą sobie blisko 90 lat oskarża się publicznie o rozmaite antypaństwowe knowania. Jednak na razie funkcjonuje i prowadzi specjalistyczna bibliotekę liczącą 30 000 jednostek w różnych językach, ale głównie po rosyjsku. Z tej kolekcji wybrano i opisano w katalogu publikacje superniskonakładowe – w tym 46 pozycji z nakładami poniżej 50 egzemplarzy. Są tak unikalne, że nie da się ich udostępnić na zewnątrz, poza biblioteką, bo w razie utraty byłyby nie do odtworzenia.

Są pośród nich opracowania poważne, solidne, ale bywają też grafomańskie gnioty. Niektóre wydano profesjonalnie, inne byle jak – te przypominają daw-

ne samizdaty, lecz teraz przyjęła się nazwa samopłaty. Zdarza się, że tytuł z okładki bywa trochę inny niż na stronie tytułowej. Jedne książki są zarejestrowane centralnie (mają numery ISBN), inne oszukują podając takie numery fikcyjne, a jeszcze inne wszelkie formy rejestracji ignorują. Natomiast wszystkie razem składają się na kolekcję szokującą.

To wprawdzie jest tylko katalog, spis, rejestr – z lakoniczną charakterystyką zawartości treściowej. A jednak tego po prostu nie da się czytać! I nie ma żadnego cerowania świadomości, lecz jest prezentacja i dokumentacja niebywałego barbarzyństwa.

Bo to właśnie w publikacjach niskonakładowych (dlatego nikt nie chciał ich wydać oficjalnie) zarejestrowano zbrodnie najcięższe – dokumentują ludobójstwo na skalę niewyobrażalną. W wymiarze jednostek, zbiorowości i całych narodów – w ilościach, o których nie chce się myśleć. To jest przerażająca księga śmierci.

Każda z zarejestrowanych książek sucho, bo w bibliograficznej notce i w bibliotekarskim slangu, sygnalizuje zbrodnię. Oto 23 tomy (!) samych nazwisk osób pomordowanych bez jakiegokolwiek powodu. W innym miejscu rejestr białogwardyjskich oficerów rozstrzelanych w 1921 roku w Archangielsku. I tak w całym tym książkowym katalogu: referencje zabójstw zbiorowych

i jednostkowych dokonywanych z nakazu władz państwowych, lecz jakby z polecenia zbrodniczej mafii.

Ofiarami mogli być i byli wszyscy. Każdy. Ktokolwiek. Dzieci wrogów narodu. Dysydenci. Oraz gimnazjaliści – jako potencjalni dysydenci. Prawosławni duchowni, katolicy, żydzi, różni innowiercy. Niemieccy jeńcy wojenni oraz własowcy. Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy. Litwini oraz rosyjscy Niemcy nadwołańscy. Polacy i Kazachowie. Lista narodowości nie ma końca.

Ktoś wpadł na pomysł, żeby te właśnie, najdramatyczniejsze książkowe relacje osobno spisać i rejestr utrwalić drukiem. Dopóki jest to możliwe, bo wszak nie wiadomo, jak długo jeszcze Memoriał przetrwa.

Całe kierownictwo stowarzyszenia wykazało się niebywałą odwagą. Oraz wytrwałością w dążeniu do rozliczenia się ze złą przeszłością własnego kraju. Z przeświadczeniem, że należy pamiętać nie tylko o tym, co było dobre, ale również o tym, co dobre nie było i wskazywać palcem winnych, bo inaczej państwo obywatelskie powstać nie ma prawa. Trzeba więc utrwalić ślad, dopóki można, żeby w stosownym momencie był do odtworzenia w świadomości narodowej. Taka jest wszak nazwa tej niezwyklej organizacji.



PAWEŁ KOZŁOWSKI

Dziennik profesora nadzwyczajnego (V)

MY, PREZYDENT

Zostałem doradcą prezydenta. Społecznym i jednoosobowym. Właściwie najpierw kandydata na prezydenta. Poradziłem mu, żeby odmawiał udziału. Zastosował się i tak właśnie mówił. Wyrażał niechęć. W końcu uległ. Presji społecznej. On, czyli ja, postawiliśmy jednak warunki. Inni pretendenci muszą być przez niego, a więc przeze mnie, zaakceptowani. Dodaliśmy, że selekcja będzie całkowita. Trzeba dbać o poziom. Użyliśmy też słowa „tożsamość”. Nie wiem, co ono znaczy, ale usłyszałem je już kilka razy. Spodobało mi się, bo zawiera groźbę utraty. Prezydent, czyli my, wspomnieliśmy o groźbie pozbawienia naszej tożsamości, gdybyśmy postąpili inaczej. Wystarczy, że dopuszczamy samych siebie. Zastosował też słowo „wartość” – dla zwiększenia wagi w liczbie mnogiej. Wtedy przybywa jedna litera z kropką. Ma to wymowę. Po tym wszyscy wszystko zrozumieli. Nie wiem, co zrozumieli. Krępowaliśmy się zapytać. Oni też.

Opowiedzieliśmy się za wyborami demokratycznymi oraz wolnymi. Okazało się to jasne. Dla mnie nie. Milczałem. Ustaliliśmy, że przy urnie musi być mąż zaufania. Koniecznie kobieta. Ona ma parytet. Wyborcy przyklasnęli. Są obywatelsko zaangażowani. Zgłosiliśmy postulat. Merytoryczny. Wprowadziłem to słowo. Ujawniłem nim swoją mądrość. Urna ma być przezroczysta. Uzasadniliśmy ów postulat higieną. Panowało milczenie. Zyskaliśmy aprobatę. Pełną.

Powiedziałem głośno, czyli Prezydentowi, że musimy mieć przeciwnika. Wskazałem go. To rowerzyści. Ci jeżdżący na trójkołowych rowerkach. Są groźni. Mali, a więc niewidoczni. Poruszają się zawsze z obstawą. Ona ma do nich stosunek bliski. Słyszałem kiedyś, jak mówiła: „dziecko”. Tak się umówili. Kamuflaż i terminologia mają znaczenie w wielu zawodach. Tacy rowerzyści są szkodliwi potrójnie. Robią trzy ślady. Hałasują. Wpadają na ludzi. Upadają w niewłaściwych miejscach. Celowo, nie ma przypadków. Jeżdżą za wolno. W dodatku się ścigają. Piją, a nawet jedzą. Zanieczyszczają przyrodę. Skrycie. Zajmują miejsce innym. Koniec poślania. Musimy z nimi walczyć. Z ich agresją.

Mój kandydat, czyli my mamy zostać prezydentem. Parkingu. Osiedlowego. Wcześniej zmieniliśmy nazwę stanowiska. Poprzedni był prezesem. Brakowało dostojności. Gdzieś usłyszałem, że się transformujemy. Albo coś w tym rodzaju. Krępowaliśmy się zapytać, co to znaczy. Zrozumiałem jednak, że konieczna jest zmiana słów, a szczególnie nazw. Dokonaliśmy więc w osiedlu reformy. Językowej. Prezydent brzmi właściwie, a prezes nie.

Przedstawiliśmy rozbudowany program. Głęboki, a zrazem rozległy. Już go omówiłem. Następnego dnia

wygraliśmy wybory. Oczywiście. Elektorat albo coś w tym rodzaju nie zawiodło. Mamy przed sobą kilka działań. Na wyciągnięcie ręki zgiętej w łokciu. Najpierw ogłosiliśmy program naprawczy. Ujawniliśmy odwagę, że poprzednik na tym stanowisku był do niczego. Samochody przyjeżdżały i stały na wolnych miejscach. Panował bałagan albo bagno. Teraz będzie inaczej. Uzdrowimy i osuszmy wszystko. Nasz teren, czyli cały parking, ogrodzimy. Siatką wysoką na 1 metr i 84 centymetry. Pomalujemy. Ogłosimy referendum, w którym wszyscy wybiorą kolor ogrodzenia. Wskażemy, by wybrali trafnie: barwę szarą. Jest najmniej widoczna. Zgodnie z naszą zasadą: skromność, bezpieczeństwo, współpraca. Pod ruchomą bramą zainstalujemy kolce. Ładnie wyglądają, zwłaszcza gdy się podnoszą. Wprowadzimy regulamin wjeżdżania na terytorium parkingu oraz opuszczania go. Najpierw trzeba będzie złożyć wniosek do Prezydenta. Na piśmie. Z dołączoną opinią dwóch Rad: Rady Mieszkańców Stabilnych oraz Rady Mieszkańców Mobilnych. Rady przed wyrażeniem swojego zdania zobowiązane są skontaktować się z Instytutem Prezydenta. Opinie formułuje Prezydent.

Za użytkowanie terytorium parkingu należy płacić. Kwoty przewidujemy symboliczne: od 1800 do 1809 złotych. Duży przedział wysokości opłat wskazuje na elastyczność nowego Prezydenta. Cecha ta jest właściwie zlokalizowana w wysokości. Mieszkańcy żyjący w trudnych warunkach płacą mniej. Taki przywilej przysługuje im tylko raz, co z pewnością zachęci ich do poprawy egzystencji. Jeszcze nie ustaliliśmy, czy jest to opłata za tydzień, czy za pięć dni. Skłaniamy się do wyboru pełnego tygodnia. Ważna jest jasność rachunków. Choć w tym wypadku nie wiem, na czym ona ma polegać. Obywatele jeżdżący luksusowymi samochodami są całkowicie zwolnieni z opłat za parking. Odpowiednie sumy wnoszą za nich niejeżdżący samochodami i żyjący w niedostatku. Wprowadzamy tym samym silny czynnik motywujący. Łagodną stanowczością zmuszamy ich do poprawy swojej sytuacji. My, czyli Prezydent, znamy się dobrze na zarządzaniu. Jesteśmy reformatorami.

Obrzeża i wnętrze parkingu wyposażymy w kamery. Obraz w kolorze. Wzmocnimy oświetlenie i zainstalujemy reflektory. Za takie zdobycze globalizacji mieszkańcy zapłacą. Oczywiście, a nawet naturalnie. W związku z tym poczują się lepiej. Zyskają na wartości. W branie ustawimy urządzenie do wykrywania metali. Samochody z częściami metalowymi nie mogą wjeżdżać. Ludzie też nie. Wytniemy drzewa, bo one hamują rozwój miasta. Te są przecież dla ludzi i dla parkingów. Nie dla dziczy. Założymy sygnalizację świetlną. Porządek musi być. Skończymy z anarchią i orchideami.

ROMAN WYSOGLĄD

OKULARY OD BOFFARDA

Czasami nie chce mi się czytać ani żyć, a tym bardziej segregować śmieci, rozmyślać o wyprawach w pagórkowate góry, zapładniać nieciekawe kobiety czy zastanawiać się nad przyczynami chorób Alzheimera lub Parkinsona.

Czasami trwa ten stan miesiącami, przeważnie jednak całe życie, plus kilka dni potrzebnych na niby namysł nad bezsensownością tego wszystkiego. Ostatnio nie czytałem nic ciekawego chyba z ponad pół roku, nawet tygodników czy tak zwanej współczesnej polskiej literatury, której nie traktuję nawet jako pretekst do rozmyślań nad wyższością kąta prostego od dopiero co zakupionej agrafki.

Ale kilka dni temu w Zakopanem, idąc ulicą zwaną Droga do Białego przed domem o numerze 9 natknąłem się na książkę Pawła Kozłowskiego *Dziennik profesora nadzwyczajnego*. Nie zastanawiając się i nikogo nie pytając o zgodę wzięłem ją ze sobą i – o dziwo – w dwa dni przeczytałem. Świat od razu zrobił się dla mnie o wiele przyjemniejszy, chociaż sprawy, o których pisze autor, do wesołych nie należą. Dotyczą życia, miłości, śmierci, filozofii, a przede wszystkim codzienności, czyli tego co najtrudniej opisać, ponieważ banal bywa nudny aż do bólu. A właśnie dla mnie, szukającego w książce przede wszystkim podglądania życia, banal jest najcenniejszy, ponieważ potrafi przerazić aż po ostateczność, czyli po...

Każdy czytelnik tej książki w miejsce wykropkowane może wstawić własne przemyślenia, refleksje, uwagi. Moje są następujące: już dawno w polskiej literaturze, naturalnie tej przez duże L, nie pojawił się tak wspaniały talent prozatorski. Wymknęło mi się chyba złe słowo: lepsze będzie zapewne dojrzał. Większość ludzi potrafiących czytać i rozumiejących, co na danej stronie jest napisane, zapewne zna autora jako ekonomistę, socjolo-

ga, ucznia profesora Kowalika. I nagle, chociaż pewnie trwało to latami, pan Kozłowski zamienił się sam ze sobą rolami, z profesora został pisarzem. Doprawdy wielka to sztuka, gdyż przeważnie, niestety, bywa odwrotnie.

W jego prozie uwielbiam tak zwane podglądanie drobiazgów życiowych i nieprawdopodobne uogólnienia, co czasami prowadzi do zadziwiających wniosków, gdy człowiek już przez sam fakt narodzenia sam staje się pewnego rodzaju absurdem.

Sam wiem, jaką cenę płaci się za postrzeganie, tak jak autor, życia kochającego słowo pisane. Płaci się samotnością, odtrąceniem przez skretyniałe społeczeństwo, czasami nawet ostracyzmem środowiska, ale warto pozbyć się tego całego blichtru by pisać, jak w tym przypadku – świetnie.

Naturalnie, jak to w naszej przecudnej ojczyźnie bywa, opowiadania te pozostaną na marginesie „prawdziwej” literatury, gdzie na jej salonach królują różnego rodzaju „Nowi, Młodzi, Wspaniali”, którzy, niestety, nawet listu nie potrafią napisać? I by łososie królujące na bankietach promujących ich książki ze wstydu z powrotem nie uciekły do Norwegii.

A przecież wystarczy tylko umieć podpatrywać świat i potrafić to, co się zauważyło opisać. Ale to już sztuka wyższych lotów dostępna tylko wybranym. Jednym z nich na pewno jest Paweł Kozłowski.

Osobne słowa uznania należą się Panu Wojciechowi Markiewiczowi, który swoje surrealistyczne grafiki tak wspaniale potrafił „wpleść” w niekonwencjonalne teksty autora. Nie zawsze przecież się zdarza, by rysunki współgrały z tekstem i to na zasadzie kompletnej symbiozy. Czasami doprawdy trudno jest rozróżnić, który z nich pisał, a który rysował. Przenikająca się książka. ■

Dzisiaj odbyła się inauguracja kadencji. Czyli uroczysty początek. Licznie przybyła publiczność. Zarezerwaliśmy dla niej cztery miejsca. Lubimy spontaniczność, stąd nadwyżka dwóch miejsc. Została niewykorzystana do końca. Świadczyła o naszej otwartości wobec społeczeństwa. Najpierw wystąpił ksiądz. Był wysoki rangą: biskup, a nawet być może proboszcz. Pokropił mechanizm zamykający parking i zaakcentował nadrzędność prawa naturalnego. Później wypowiedział się Prezydent. Nowy. Był ubrany elegancko. Dla odmiany w spodniach, chyba w marynarce. Pod spodem miał koszulę i może jeszcze coś. Zauważyłem buty. Wyglądał skromnie, a zarazem gustownie. Bardzo. Z kieszeni wystawał mu krawat. Podkreślił, że parking jednoczy wszystkich. Na nim, a właściwie w nim, jesteśmy u siebie. Przypomniał, że nigdy w naszych dziejach nie było takiego parkingu, bo nigdy nie było tak dobrze. Po prostu doskonale. Nastąpiły oklaski. Owacja na stojąco. Miejsz siedzących

nie było. Zaczęła się część artystyczna. Wypełnił ją zespół taneczny, składający się z weteranów wszystkich powstań. Raz jeszcze zabrał głos Prezydent. Mówił o drugiej kadencji. Wskazał drogę ku przyszłości. Postęp. Stanie tu parking wysoki. Dotychczasowy jest poziomy, następny będzie pionowy. (W tym momencie biskup lub proboszcz przekreślił głowę na szyi ku górze). Dziesięciopiętrowy. Wypełni je muzeum budowniczych parkingu. Interaktywne. Niewątpliwie. Po niebie przeleciała flotylla samolotów. Bombowiec. Model na uwięzi. Później wszyscy się rozjechali.

17.12.2014, godz. 21.10

Ciemno i coś pada

Kończymy druk fragmentów tomu I *Dziennika profesora nadzwyczajnego* Pawła Kozłowskiego. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego (Red.).

WSPOMNIENIA REDAKTORA

Tytuł ostatniej, od razu podkreślmy – nader ważkiej książki **Sławomira Tabkowskiego**, socjologa, znanego dziennikarza, edytora, działacza politycznego, jest cokolwiek mylący – opis działalności „Gazety Krakowskiej” w latach 1983-1988, kiedy Tabkowski był jej naczelnym, stanowi tylko część zawartości tego ponad trzystustronicowego *opusu*, choć część najobszerniejszą i najlepiej (wręcz znakomicie) udokumentowaną. W rzeczy samej te *Wspomnienia redaktora* są pełnowymiarową autobiografią, obejmującą niemal całe dojrzałe życie jej autora i niemal wszystkie etapy jego dotychczasowej aktywności, swoistym też z tym życiem i tą karierą rozrachunkiem.

A do opisanie, podsumowanie i rozliczenia ma Tabkowski zaiste wiele – tym, którzy mogą już tego w szczegółach nie pamiętać, wypada przypomnieć, że przez całe lata był jedną z ważnych postaci Krakowa i Małopolski. U schyłku Polski Ludowej był też – choć krótko – jedną z czołowych postaci życia politycznego w skali ogólnopolskiej, piastując stanowiska kierownika Wydziału Propagandy Komitetu Centralnego PZPR (1988-1989) i prezesa Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch” (1989-1990), uczestnicząc w obradach Okrągłego Stołu (podstolik ds. środków masowego przekazu). Prowadził badania naukowe, wykładał na wyższych uczelniach, pisał i redagował książki, kierował oficynami wydawniczymi; w tej ostatniej sferze na przykład ma się czym pochwalić zarówno jako pełen inicjatywy szef krakowskiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej, jak i – co dotyczy już okresu po transformacji ustrojowej – szef zasłużonego krakowskiego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, którego pracę radykalnie zdynamizował i które skutecznie uchronił przed zgonną prywatyzacją.

W tym, co zdaje się stanowić istotę książki Tabkowskiego – próbie oceny, przynajmniej częściowej, okresu Polski Ludowej i przy okazji wybiórczego jego porównania z latami po restauracji kapitalizmu – uderza rzadka dziś rzeczowość; w szczególności, przytaczając olbrzymią ilość faktów i liczb, rysuje autor wiarygodny obraz rzeczywistych relacji władza – media – społeczeństwo w trudnych latach osiemdziesiątych. Kierowana przez siebie „Gazeta Krakowska”, choć dziennik formalnie (ale nie wedle skali oddziaływania) li tylko regionalny, miała wówczas średnią sprzedaż na poziomie 200 tysięcy egzemplarzy, a więc większą niż dzisiaj ogólnopolska „Gazeta Wyborcza”, i rozchodziła się niemal bez zwrotów, mimo że przecież nikt nikogo do jej nabywania nie przymuszał. Nie tuszując zakresu ingerencji cenzury i koniecznych uzgodnień partyjnych, przypomina Tabkowski, że jego „Gazeta” mogła pisać i pisywała i o Powstaniu Warszawskim (a nawet poprzedni Prezydent RP co rusz publicznie imputował władzom Polski Ludowej milczenie na ten temat!), o sprawie Łemków i ludobójstwie na Wołyniu, o aferach na wysokich szczeblach aparatu partyjnego, mogła też bez przeszkód dru-

kować obszerne fragmenty wydawnictw emigracyjnych, w tym uznawanych za katechizm ówczesnej opozycji *Rodowodów niepokornych* Bohdana Cywińskiego i tak dalej, i tak dalej. Nad wyraz ciekawe są partie książki, poświęcone kulisom rozpoczętej w 1990 roku likwidacji RSW „Prasa-Książka-Ruch” i rodzeniu się, jak to określa autor, „nowego »pluralizmu informacyjnego«, w którym wreszcie nasze jest na wierzchu – jak zawsze w każdym obozie rządzącym” (s. 292).

O swoim życiu w PRL Tabkowski też powiada odważnie i bez ogródek: otwarcie pisze o tym, co legło u podstaw jego zaangażowania w sprawy kraju od młodych lat, a co określa jako „akceptację takich wartości jak równość i sprawiedliwość, a także wolność, ale rozumiana – mówiąc skrótowo – jako uświadomiona konieczność” (s. 321). „Drogę ku zmianie i przekształcaniu otaczającej rzeczywistości na lepszą dostrzegałem poprzez uczestnictwo w oficjalnych strukturach wpływu i władzy” – wyznaje wcześniej – „Nie chciałem obalać czy zamieniać socjalizmu na inny ustrój, dążyłem do tego, aby był, jak to się później powszechnie mówiło, z »ludzką twarzą«... i aby więcej mądrości i normalności zapanowało wkoło” (s. 48). Nie pozycjonuje się też *ex post* Tabkowski – choć takie autokreacje bywały – jako wewnątrzpartyjny opozycjonista czy reformator. Z politowaniem wspomina o wypadkach tworzenia wśród byłych aktywistów PZPR „martyrologicznych legend” (to o osławionym Marku Królu), bez sympatii odnosi się do udziałowców tzw. spółek nomenklaturowych dodając jednak, że wśród wielkich uwłaszczeń stanowiły one jedynie znikomą część. I z ironią przemieszaną z melancholią pisze o „tłumach pędzących ku starym-nowym kapitalistycznym obiecankom-cacankom” (s. 304), w wielu miejscach demaskując prawdziwy stan rzeczy i równocześnie przypominając to, co udało się osiągnąć w PRL, a wokół czego teraz budoje się znowu milczenia.

Książka Tabkowskiego jest sumienna i solidna, uczciwa i pozbawiona minoderii, wreszcie – *last but not least* – dobrze napisana, z rzędu tych, które czyta się lekko i z niegasnącym zainteresowaniem. W zakresie i ramach, które sobie obrała, widzieć w niej trzeba ważne świadectwo epoki. Edytor – Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” – nadał jej porządną szatę, nie zapomniał też zaopatrzyć w tak nieodzowny w podobnych publikacjach indeks osób (gdy na przykład tak bogata „Agora” wydana niedawno „Autobiografii” Izabelli Cywińskiej zafundowała całostronicowe ogłoszenie w swoim dzienniku, na indeksie osób jednak postanowiła zaoszczędzić). Jedyne, z czym w tej książce trudno mi się zgodzić – to pożegnalna („ostatnie publiczne wystąpienie”) tonacja zakończenia; za wcześniej, Szanowny Autorze, stanowczo na taką za wcześniej!

GRZEGORZ WIŚNIEWSKI

Sławomir J. Tabkowski, „Gazeta Krakowska” w *antrakcie. Wspomnienia redaktora*, wyd. „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2014.

ACH TEN GALICYJSKI SPLEEN...

Ponad rok zajęło mi czytanie *Ksiąg Jakubowych*. Zwłaszcza że numeracja stron była jakby „bliskowschodnia”, więc trzeba je było czytać dwa razy, w tę i we wtę... Ale się nie martwię bo Jej, wielkiej Oli pisanie zajęło niemal 6 lat. Jako że czytam głównie na leżąc, cegła była ewidentnie za ciężka. Przyszłe dzieła proszę wydawać w „Roju”, w zeszytach, tak jak przedwojenna *Tajemnica Zamku Rodriganda*. Wiele czasu zabrało mi także częste przekomarzenie się z przyjaciółmi i rodziną. Nie było to ani łatwe, ani proste, jako że w którymś pokoleniu potomek albo „zwykłego” Żyda, albo frankisty, a fakt ten był w rodzinnych kronikach przemilczany. Trzeba też było czytać recenzje, wywiady i rozmowy z autorką, oglądać Jej występy na kanale „Kultura”. Tamże udało mi się nagrać *Tygodnik Kulturalny* poświęcony m.in. *Księgom*. I mogłem więc często odtwarzać sobie p. Sobolewską Justynę, której entuzjastą jestem od pierwszej chwili i w którą, sam już nie wiem czy wolę wpatrywać się, czy może słuchać. Pamiętam, że obok niej siedzi drugi mój faworyt, niejaki Pietrasik. Też dobrze mówi, zwłaszcza to co chcę usłyszeć. Tylko jakby mniej od Pani Sobolewskiej wyraźnie...

Czy potomek frankistów to Żyd, przechrzta, czy Polak *full time* i katolik? Peyrefitte w swych *Żydach* lansuje tezę, że wszyscy, którzy żyli i żyją na świecie, mają co najmniej jedną kroplę krwi żydowskiej. Nawet Walichnowski (a kto to, kocieczku?)... Poza trzema znanymi skądinąd postaciami: Jezusem Chrystusem, generałem de Gaulle'em i ...samy Peyrefitte'em. Kropla to ile? Ja swą błogosławioną porcję dostałem – jak się już rzekło – *iks* pokoleń temu nazad i zapytuję, ile jest to dokładnie procent wg Ustaw Norymberskich czy podług hańby 68.? Mimo dogłębnej kwerendy nie znalazłem w Wójtowicach potomka frankisty, a są tu trzy egzemplarze *Ksiąg Jakubowych*. Niemal tyle samo, ile zarejestrowanych organizacji pozarządowych. Proporcje są z pewnością inne w mej rodzinnej Galicji, zaś po lekturze *Ksiąg*, a zwłaszcza po wystawie *Mit Galicji* na Rynku Głównym w Krakowie pojawiła się tęsknota za tym zaginionym światem, którą Szymon Łucyk nazwał galicyjskim spleenem. I wyróżnia mnie ona (ta tęsknota), on (ten spleen) tu, na tle wójtowickiej zbieraniny.

Dwadzieścia lat temu dzięki grantom Fundacji Batorego zaczęliśmy w tym naszym południowo-zachodnim narożniku szukać korzeni. Projekty łagodnie przechodziły jeden w drugi – od *Korzenie–Die Wurzeln–Korzenie* poprzez *Ustne świadectwa ludzi gór*, *Sudecką sieć*, *Kamienie mówią*... Były jeszcze: *winnice – Noe & Synowie* i *U Abrahama*, a także *Chyży Rój*. Aż z dziełem Olgi przyszedł czas na własną przeszłość. Jak napisała w swym mailu: „coraz więcej osób zgłasza się do mnie z frankistowską proweniencją...”. Więc zgłaszam się, a moja historia jest całkiem niezła. Otóż w ostatniej ćwiartce XVIII wieku Icek Brunstein i szlachetka ormiański Agopsowicz, dwaj genialni geszefciarze gali-

cyjscy wyposażali w konie armię bawarską. Ta zalegała z zapłatą, więc obaj panowie udali się na miejsce, by należne im dukaty wyegzekwować. Bawaria pieniędzy nie miała, więc zaproponowała to, czym od dłuższego czasu handlowała – po tytule barona dla każdego. Szlachcic Agopsowicz się oburzył, zaś Icek wrócił jako Ignacy baron Brunicki. Po paru dekadach uchoił za najzamożniejszego człowieka Galicji.

Ignacy Brunicki (w/Icek Brunstein – jakby napisała „Trybuna Ludu” w 1968 r.) był niestety baronem tylko bawarskim, a tego tytułu w Austrii nie uznawano. Ale trafił się sprzyjający przypadek. Cesarz Franciszek II postanowił objechać Galicję. Podróż miała prowadzić z Krakowa przez Lwów, Tarnopol do Czerniowiec. Postoje i noclegi wyznaczone zostały w większych siedzibach magnackich, jeden wypadł w Zaleszczykach. Powiadomiony o tym Brunicki pośpieszył do Wiednia, przekupił kogo trzeba, a następnie kazał skopiować – w specjalnie w tym celu przebudowanej części pałacu zaleszczyckiego – pokoje zamieszkiwane przez cesarza w jego wiedeńskiej rezydencji. Monarcha przybył, zachwyił się i nazajutrz przed wyjazdem zapragnął pozostawić dowód swego uznania i łaski. Skaptowany uprzednio przez Brunickiego starosta podsunął cesarzowi myśl uznania tytułu bawarskiego, co też nastąpiło.

No i zaczęło się od tego, że najpierw Brunicka (wnuczka Ignacego) wyszła za Drohojowskiego (z tytułem), a jej córka Maria D. wyszła za Drohojowskiego bez tytułu i miała córkę, która wyszła za Stanisława Pinińskiego, no i urodziła im się Bunieczka czyli moja babka. Ta córka puściła męża Pinińskiego w trąbę i zamieszkała w Nicei z tuzinem kotów. Wokół krążyło wielu kuzynów Brunickich

Miała siostrę, czyli tzw. ciocię Halkę, o której bławatkowych oczach pisze Rosco-Bogdanowicz. Kolejna siostra Jadwiga nazwana Kingą (tzw. ciocia Kinia), wyszła za Stanisława Bala i przez wiele lat była muzą Malczewskiego. Pamiętam ją w wielkim kapeluszu, w pełnym obrazów m.in. Malczewskiego, mieszkaniu przy Siemiradzkiego.

Cała ta historia ma niewielkie odniesienie do społeczności wójtowickiej, poza być może parą bawarskich perszeronów, które pracują przy zrywce w lesie...

KRZYSZTOF KOMORNICKI

PS. Przeczytanie *Ksiąg Jakubowych* jest ważnym wydarzeniem w życiu każdego człowieka. To jak droga do nieśmiertelności, tyle że na skrót. Wydajemy więc w Wójtowicach odpowiedni dyplom „Tym, którzy Przeczytali Księgę”. Jest on oryginalnym uzupełnieniem mojej ściany z dyplomami, którą otwiera I miejsce na 50 m motylkowym (35,9) w mistrzostwach Warszawy Szkół Licealnych z 27.V. 1957 r. Wygrał o 0,1 sek. Wówka Tugendreich, którego pozbyliśmy się w 1968 roku, bo jak powiedział mój trener: „Żyd motylkiem? Zupełnie jak Murzyn na nartach!”. No i potem już tylko ja wygrywałem. ■

TOMASZ GOBAN-KLAS

FRANCISZEK I ŻURNALIŚCI

Chociaż jak dobry duszpasterz, papież Franciszek najbardziej ceni i używa formy najstarszej komunikacji – dialogu, unikając przemowy, zwłaszcza suchej i czytanej z notatek, to jest otwarty na spotkania z dziennikarzami, nie unika nawet najbardziej nieszablonowych pytań, reaguje na nietypowe działania medialne, chociaż bywa obiektem tabloidalnej pseudoinformacji. Oto trzy przykłady wydobyte z materiałów Polskiej Agencji Prasowej.

I. Drobnym przykładem niezwykle otwartości papieża jest spotkanie z dziennikarzami na pokładzie samolotu w lipcu 2013 roku. Andrea Tornielli z przysłowiową dziennikarską przenikliwością (to mój żart – TGK) zwróciła się z pytaniem: „Ojciec Święty, kiedy wylecieliśmy, świat obiegło zdjęcie, na którym Wasza Świątobliwość wchodzi po schodach na pokład samolotu, niosąc czarną teczkę. Na całym świecie pojawiły się artykuły komentujące tę nowość, że papież... nie zdarzało się dotąd, aby papież wchodził na pokład samolotu ze swoim podręcznym bagażem. Pojawiły się nawet hipotezy dotyczące tego, co miałoby się znajdować w czarnej teczce. Chciałbym więc po pierwsze zapytać, dlaczego Ojciec Święty sam nioś teczkę, a nie któryś ze współpracowników, i po drugie – czy może nam Ojciec Święty powiedzieć, co w niej było... Dziękuję”.

Franciszek: – Nie było w niej klucza do bomby atomowej! Ha! Niosłem ją, bo zawsze tak robię: podczas podróży zawsze ją noszę. A co jest w środku? Są przybory do golenia, brewiarz, kalendarz oraz książka do czytania. Wziąłem jedną o św. Teresie od Dzieciątka Jezus, której jestem czcicielem. Zawsze kiedy podróżuję, biorę ze sobą teczkę: to normalne. Musimy przecież być normalni... Nie wiem... to, co mówisz, jest dla mnie trochę dziwne, że to zdjęcie obiegło świat”.

II. W styczniu 2015 roku włoska telewizja Mediaset nadała odcinek satyrycznego programu *Żarty na bok*. Ofiarą jego dowcipu padł znany dziennikarz telewizyjny, 58-letni Paolo Brosio, który po burzliwym okresie życia nawrócił się dzięki pielgrzymce do sanktuarium w Medjugorje. Żart polegał na tym, że w trakcie przeprowadzanego z nim wywiadu zadzwonił ktoś, kto przedstawił się jako Franciszek. Brosio uwierzył w telefon z Watykanu, a gdy domyślił się żartu, był zdruzgotany, co również pokazano w programie. Jednak papież dowiedział się o zdarzeniu, postanowił spotkać

się z jego bohaterem, a także na prywatnej audyencji wysłuchać jego opowieści o nawróceniu.

III. Niskonakładowy znany boloński dziennik „Quotidiano Nazionale”, a za nim kilka pomniejszych lokalnych gazet, napisał, iż papież jakiś czas temu był w wielkim sekrecie w Toskanii na konsultacjach u japońskiego specjalisty o światowej sławie, profesora Fukushimy, w sprawie „małej ciemnej plamki w mózgu”. Miał on uznać, że niepotrzebna jest operacja, a nowotwór jest uleczalny – twierdziła gazeta.

Watykan natychmiast zdementował te doniesienia. Rozpowszechnianie takich bezpodstawnych informacji jest nieodpowiedzialne i niegodne uwagi – oświadczył watykański rzecznik, ks. Federico Lombardi. Zdementował też informacje o rzekomym locie papieża do lekarza w Toskanii, wskazując, że zorganizowany tam lot miał związek z przygotowaniem wizyty Franciszka we Florencji.

Watykańscy uważają jednak, że informacja na temat rzekomej choroby Franciszka została rozpowszechniona w decydujących ostatnich dniach synodu na temat rodziny, na którym dochodziło do polemik wśród hierarchii kościelnej.

Czy można wydobyć jakiś wniosek z tych trzech przykładów zachowań dziennikarskich wobec Franciszka oraz jego wobec dziennikarzy? Chyba jeden – papież traktuje dziennikarzy poważnie, powiedziałbym, z chrześcijańską dobrocią, a dziennikarze papieża – z tabloidalną przenikliwością. Pierwsza jest wśród hierarchów wyjątkiem, druga – niestety – regułą współczesnych mediów.

To graffiti na ścianie w Rzymie zyskało aprobatę Watykanu.



więcej
wątpię
jestem

PRZYPISY DO LEWICY

Tematem tegorocznej konferencji „Kuźnicy” była *Lewica w międzywojennym Krakowie*. Mimo że tym razem zwrócono się do tradycji, to okazało się, że – podobnie jak dziś – także wtedy wcale nie było oczywiste, co to jest lewica i kto ją reprezentuje. Co prawda, po wojnie dogmatyczni strażnicy doktryny twierdzili, że na miano lewicy w II Rzeczypospolitej zasłużyła jedynie Komunistyczna Partia Polski i powiązane z nią organizacje i instytucje, lecz ta wykładnia obowiązywała na szczęście tylko w okresie stalinizmu. Kraków bowiem, wbrew temu co głosili z kolei prawicowi wykładacze dziejów, nie był tylko bastionem konserwatywności, lecz także rodzącej się myśli socjalistycznej jeszcze w okresie zaborów. Nic więc dziwnego, że w okresie międzywojennym najsilniejsze wpływy, gdy o lewicę chodzi, miała tu Polska Partia Socjalistyczna, która działała legalnie i uczestniczyła aktywnie w życiu politycznym miasta i całego regionu. Tego przywileju nie miała KPP, zdelegalizowana już w pierwszych latach niepodległości i z tego powodu mająca bardzo ograniczone możliwości szerszego oddziaływania. Dość powiedzieć, że na początku lat 30. liczyła ona 42 członków w całym okręgu krakowskim, obejmującym zwłaszcza uprzemysłowione okolice Chrzanowa. Z zachowanych w archiwach sprawozdań wiadomo, że było wśród nich trzech pisarzy, ale ze względów konspiracyjnych nie ujawniono ich nazwisk. Jednakże nawet radykalnie lewicowe poglądy niekoniecznie wiązały się podówczas z przynależnością do tej partii. Marian Czuchnowski, wybitny poeta II Awangardy związał się z lewicą komunistyczną, toteż kiedy przejął redakcję pierwszego w dziejach chłopskiego pisma literackiego „Wieś – Jej Pieśń” i przemianował jego tytuł na „Nową Wieś” mógł liczyć na wsparcie finansowe KPP. I tylko dzięki temu wydał 16 numerów, z których każdy miał po konfiskacie nakład drugi z białymi plamami na co drugiej stronie!

* * *

Czuchnowski był niewątpliwie pierwszoplanową postacią lewicy literackiej Krakowa lat 30. A jednak to on właśnie, mimo że dokonał wtedy najbardziej – jakby się mogło wydawać z powojennej perspektywy – słusznego wyboru współpracując z komunistami, w PRL-u został skazany aż do lat 70. na całkowite zapomnienie. Zdecydowały o tym jego wojenne i powojenne losy. Po 17 września 1939 roku znalazł się, ponoć z własnej woli, na terenach zajętych przez Armię Czerwoną i od razu został aresztowany przez NKWD. Jednym z powodów mogły być jego przedwojenne kontakty

z KPP-owcami. Więziony jakiś czas we Lwowie i Moskwie, po drastycznych wyrokach, znalazł się ostatecznie za Uralem, zmuszony do pracy przy wyrębie lasu. Kiedy gen. Anders zaczął organizować polską armię na terenie ZSRR, dotarł wyczerpany i chory na tyfus do jednego z punktów werbunkowych i w ten sposób znalazł się wraz z 2 Korpusem na Bliskim Wschodzie, a następnie w Anglii. Swoje przeżycia i ewolucję poglądów z tego okresu opisał w kilku utworach, zaliczonych – jak łatwo się domyśleć – do literatury antykomunistycznej (głównie chodziło o broszurę *Z Moskwy do Moskwy*). Po wojnie żył i tworzył z dala od rozpolitykowanych środowisk emigracyjnych, utrzymując się z pracy fizycznej. Zmarł w 1991 roku zapomniany przez wszystkich – w Polsce Ludowej, którą sobie wymarzył przed wojną i na emigracji, gdzie znalazł się w wyniku wojennej zawieruchy.

* * *

Międzywojenny Kraków stał się także ważnym ośrodkiem rodzącego się podówczas chłopskiego ruchu literackiego. Zjawisko to zauważył i docenił jako jeden z pierwszych Kazimierz Czachowski, wnikliwy obserwator ówczesnego życia literackiego. Kiedy inni, np. Jan Emil Skiński, pisali o „najeździe chamów na literaturę”, autor trzypięciotomowego *Obrazu współczesnej literatury polskiej* zauważył w tym zjawisku wysiłki „w kierunku stworzenia jakiejś odrębnej literatury, sztuki i w ogóle kultury chłopskiej (...) przeciwstawiającej się kulturze szlachecko-ziemiańskiej”. Otóż owe wysiłki zmierzające do stworzenia samodzielnej kultury i literatury chłopskiej, definiowanej według klasowych kryteriów podejmowali pisarze, publicyści oraz uczeni wywodzący się z różnych środowisk ideowo-politycznych, spośród których agraryści (m.in. Stanisław Młodożeniec, Wojciech Skuza) zaprezentowali jej najpełniejszą i przystającą do polskich realiów wizję. Co ciekawe, w poglądach na tę kwestię i postulatach programowych niewiele się od nich różnili przedstawiciele tzw. lewicy sanacyjnej, działający w porządowych organizacjach młodzieży wiejskiej (CZMW) oraz w Państwowym Instytucie Kultury Wsi. Najmniej trafne okazały się rozpoznania, oceny i prognozy w tej dziedzinie formułowane przez lewicę dogmatycznie traktującą marksizm i czerpiącą wzory ze Związku Radzieckiego, czego przykładem może być broszura Czuchnowskiego *Nowa kultura*.

Ale na znacznie większą skalę wulgarny socjologizm i dogmatyzm w marksizmie wypaczył myślenie o wielu zjawiskach w kulturze dopiero w PRL-u.

SCEPTYK

2 września 2015 roku zmarł JERZY PIEKARCZYK – znany dziennikarz, publicysta i felietonista, autor książek i publikacji prasowych wysoko cenionych przez czytelników i kolegów po piórze. Jego teksty mogliśmy czytać m.in. w „Studencie”, „Echu Krakowa”, „Gazecie Krakowskiej”, „Przekroju”, a w ostatnich latach w miesięczniku „Kraków”, gdzie był zastępcą redaktora naczelnego. Związał się także z naszym pismem, uczestnicząc – z ramienia redakcji – w rozmowach *Trzech na jednego* oraz publikując swoje znakomite felietony. Dziękujemy Ci, Jurku, że byłeś z nami. Pozostaniesz na zawsze w naszej wdzięcznej pamięci.

Koledzy i Przyjaciele ze „Zdania”

**PROJEKT JEST WSPÓLFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW GMINY MIEJSKIEJ KRAKÓW**



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Józef Sękowski, *Dyskoteka w Watykanie*